



ODKRYJ STRZEŻONĄ OD WIEKÓW TAJEMNICĘ

DOMINIK W.
RETTINGER

TALIZMANY



DOMINIK W.
RETTINGER
TALIZMANY



1.

Masz prawo do szczęścia.

Ewa usłyszała te słowa w środku snu. Był to kobiecy głos, ktoś, kogo znała. Usłyszała ją, ale nie mogła zobaczyć. Czasem śniła się jej w ten sposób matka, ale tym razem to nie była ona.

Budziła się powoli, otulona jeszcze snem, z miłym uczuciem, że nie jest sama na świecie. Że ktoś o niej myśli, dobrze jej życzy.

Sen rozwiął się powoli, nadciągnął ból głowy. Przytomniejąc, Ewa uświadomiła sobie, że dziś nie ma powodów do szczęścia.

– Tu jestem! Idiotka! – Rozległo się donośnym skrzeczącym głosem zza zamkniętych drzwi.

Podniosła się z łóżka i mocno chwyciła poręczy. Przez chwilę miała wrażenie, że głowa przewróci ją swoim ciężarem. Ostrożnie przeszła cztery kroki do drzwi, otworzyła je.

Na podłodze jadalni wielki czerwono-niebiesko-żółty papug ara przyglądał się jej z przekrzywioną głową i ironicznym błyskiem w oku. Cały wieczór patrzył, jak Ewa zalewa się łzami, coraz bardziej wstawiona obrzydliwie słodko-gorzkiem campari. Próbował ją pocieszać delikatnymi pieszczotami dziobem i miłymi słowami, jednak po północy stracił cierpliwość, zaczął wymyślać i przeklinać. Wówczas, nie zważając na jego protesty, wypędziła go do saloniku i zatrzasnęła za nim drzwi.

– Przepraszam cię, Baltazarze. Nie wiem, co mnie napadło – powiedziała teraz pokornie, ochryplym nieswoim głosem.

Milcząc wyniośle, papug przedreptał obok jej bosych stóp wprost do kuchni, podfrunął na parapet i wszedł do podwieszanej pod sufitem klatki. Oznaczało to obrazę, która mogła trwać godzinę albo trzy dni, zgodnie z tajemną regułą rządzącą papuzią psychiką. Ewa nie miała siły, aby udobruchać go smakołykami i czułymi słowami. Poza tym, przy tym jego nastroju, należało uważać na ostry dziób. Cofnęła się do sypialni i usiadła na łóżku. Jej ciało i umysł potrzebowały czasu, aby odzyskać równowagę.

„Prawo do szczęścia”. Kiedy ludzie tak to nazwali? Sięgnęła na nocny stolik po tablet, wpisała hasło „szczęście”.

„Szczęście jest znaczeniem i powodem życia, całym celem i sensem ludzkiej egzystencji”.

Bezbłędny, jak zawsze, Arystoteles!

Szukała dalej. Zatrzymała się na Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki.

„Uważamy niniejsze prawdy za oczywiste, iż wszyscy ludzie są z natury równi, że zostali obdarowani przez Stwórcę niepodważalnymi Prawami, a między nimi szczególnie Życiem, Wolnością i dążeniem do Szczęścia”.

No tak, pierwsi byli Amerykanie, oczywiście, westchnęła w duchu. Tysiąc siedemset siedemdziesiąty szósty rok. To było rewolucyjne, więc król brytyjskiego imperium wypowiedział im za to bezwzględną wojnę. Amerykanie mają prawo do szczęścia. A my?

Znalazła tekst Konstytucji 3 Maja, przejrzała szybko. Nic o szczęściu, dużo o szlacheckiej wolności i własności. W ostatniej konstytucji wolnej Polski też o szczęściu ani słowa. Może dlatego Amerykanie chodzą uśmiechnięci, a my skrzywieni?

Nieważne. Ona, Ewa Modlińska, okłamana i zdradzona przez osobnika niegodnego miana mężczyzny, ma niekonstytucyjne prawo do szczęścia. I zamierza z tego prawa skorzystać! Chwilowo nie wie jeszcze w jaki sposób, ale to niewielka przeszkoda, którą zacznie pokonywać już dziś. Jak tor przeszkód na grzbiecie ulubionej klaczy Augusty ze stajni stryjecznej babki Zofii.

Od dziś począwszy!

Poczuła na sobie przenikliwe ironiczne spojrzenie. Z siedemnastowiecznego portretu na ścianie patrzył na nią Krzysztof Ossoliński, którego otrzymała w prezencie od tej samej babki Zofii. Dumna piękna twarz, przenikliwe oczy jednego z najmożliwszych panów Rzeczypospolitej.

Może powinnam żyć w jego czasach? Kobiety miały wówczas niewiele praw, ale te piękne i mądre świetnie dawały sobie radę. Ja nie jestem mądra, bo przecież piłam w samotności obrzydliwe campari. Prawdziwa dama kapąłaby się w szampanie.

Ewa energicznie wstała z łóżka. Trochę nią zarzuciło, ale odzyskała równowagę i dotarła do kuchni. Połknęła trzy aspiryny, popiła dwiema szklankami wody. A potem nasypała karmy do pojemnika w klatce, trzymając palce z daleka od dziobu obrażonego Baltazara.

Poszła do łazienki, zatrzymała się przed lustrem i założyła czekający na półeczce wisiorzek ze złotym Abraksasem. Dostała go od matki, tuż przed jej odejściem do lepszego świata. W otoczeniu kilku planet ludzki tułów z głową koguta, rękami i nogami jak węże symbolizował rok, czas i spełnienie. Był amuletem, miał chronić przed złym losem. Nie chronił.

Ewa sama sprowadzała na siebie zły los.

Długo przyglądała się swojemu odbiciu. Co jest z nią nie tak? Czterej mężczyźni, z którymi próbowała się związać, byli dumni z jej urody. Mówili, że przypomina Hiszpankę albo Włoszkę, z ciemną cerą i włosami, z którymi kontrastowały niebieskie oczy. Zachwycał ich ten kontrast, jej ciało też. A potem znikali.

Choć prawdę mówiąc, to ona zmuszona była się ich pozbywać. Słabi, ograniczeni, bez wyobraźni albo wyrachowani egoiści. I wreszcie ostatni, zdradziecka szuja. Gdzie się podzieli mężczyźni? Co się stało z osobnikami o zdecydowanych charakterach i wielkich sercach, o których opowiadają filmy i powieści? Wyginęli podczas wojen czy wyemigrowali? Nie pozostawili dość genów albo uległy one deformacji w czasach oślepiającego konsumpcjonizmu? W kraju pozostali bohaterowie komputerowych gier zalewający się piwem w weekendy i uprawiający życie płciowe w internecie.

Ostatni, z którym Ewa spędziła dwa lata, na tym tle wydawał się ideałem. Aż do wczoraj. A może oszukiwała się, nie chciała ujrzeć prawdy? Jak wiele kobiet zaczęła się bać samotności i godziła na to, co podsuwa los? Trzeba było słuchać Baltazara, który od początku nie cierpiał tego osobnika, a dwa razy z zaskoczenia rozwalil mu dziobem palce u stopy. Bolesne wrzaski i przekleństwa powinny sprowokować ją do myślenia, zamiast do ukarania papuga zamknięciem w klatce.

Mądry Baltazar, zna się na ludziach.

Znów sama, w wieku trzydziestu trzech lat. Czy kobiety dotyczy wiek chrystusowy? Nie, przecież zarezerwowali go dla siebie narcyzowie, zwani kiedyś mężczyznami. Koniec, wystarczy! Nie pozwoli im zbliżyć się do siebie. Wytrzyma w samotności, bez seksu. No, to może przesada, znajdzie sposób na zaspokojenie. Samiec na jedną noc, najwyżej na dwie. I do widzenia, tam są drzwi, zero emocji.

Ewa przybrała zdecydowaną minę. Bez przekonania. Usłużna pamięć, najgorszy wróg człowieka, podsunęła jej wspomnienie trzech identycznych postanowień, po każdym rozstaniu.

Czuła niechęć do swojego umysłu i ciała. Są przecież kobiety, które długo wytrzymują bez mężczyzny. Może rzeczywiście ma hiszpańskie lub włoskie, zbyt gorące geny? Tym razem zapanuje nad nimi, ciało nie będzie dyktowało sercu ani głowie. Prawo do szczęścia oznaczać będzie wolność.

Ewa Modlińska, szczęśliwa, wolna, dojrzała kobieta, bez emocjonalnych burz, bez wspomnień, spokojnie żyjąca chwilą teraźniejszą. Niech no jakikolwiek mężczyzna spróbuje na nią spojrzeć jak na przedmiot pożądania. Zawstydzi się i rozczaruje!

Twarde postanowienie niosło Ewę przez całe miasto. Zachwycił ją maj, ze świeżą zielenią drzew i jazgotem ptaków przekrzykujących warkot samochodów. Podobały się jej refleksy porannego słońca w przeszklonych witrynach i twarze przechodniów. Ciekawe, czy wiedzą o swoim prawie do szczęścia?

Skupiona na myślach, nie zauważyła, że gdy ona wyszła z bramy kamienicy, z zaparkowanego niedaleko wozu wysiadł mocno zbudowany mężczyzna. Ciemna karnacja, długi nos i szeroko osadzone oczy przypominały wytresowanego dobermana. Ubrany był w brązową skórzaną kurtkę i spodnie od garnituru. Utrzymując dystans, szedł za Ewą ulicami, a potem wszedł za nią do tego samego wagonu w metrze.

Kołysząc się w rytm biegu pociągu, w obcisłej sukience i na wysokich obcasach, z mocnym makijażem i ciasno upiętym ciężkim splotem włosów, Ewa spokojnym wzrokiem gasiła uśmiechy mężczyzn. Wysiadła na stacji w centrum miasta z uczuciem tryumfu i energicznym krokiem ruszyła w stronę lśniących w słońcu wieżowców. Była już gotowa stawić czoła współczuciu najbliższej przyjaciółki. Wybrała numer w telefonie komórkowym.

– Cześć, Małgoś. Wpadniesz do mnie? Wieczorem?

– Kawał z niego drania. Powinien umrzeć straszną śmiercią – stwierdził lekko zniekształcony kobiecy głos.

Ewa opanowała przyływ żalu i wstydu.

– Wiesz już? Wszyscy wiedzą? To jakiś koszmar!

– Wszyscy ci współczują, są po twojej stronie – zapewnił telefon.

– I co z tego? To jeszcze gorzej.

Rozejrzała się bezradnie, z uczuciem wzrastającej paniki. Miała wrażenie, że każdy przechodzień zna historię jej porażki. Nie powinna była jeszcze o tym rozmawiać, to był błąd.

Zwolniła krok przed parkingiem u stóp wieżowca z redakcją pisma, dla którego tworzyła pełne optymizmu artykuły o kobiecym życiu. W tym stanie ducha nie należało pojawiać się w pracy.

Śledzący ją mężczyzna-doberman zatrzymał się przed wejściem do restauracji i skupił na wystawionym na zewnątrz menu.

– Jesteś tam? – zapytał telefon.

– Jestem – odparła Ewa.

Zamyślona nie zauważyła, że wchodzi wprost pod koła skręcającego na parking jeepa.

Siedzący za kierownicą mężczyzna zahamował, skrzyżowały się spojrzenia. Umysł Ewy zanotował: trzydzieści pięć, może siedem lat, przystojny, pewny siebie, ale nie zarozumiały.

Najgorszy gatunek, jaki mógł się jej przydarzyć tego ranka.

Obdarowała go wzrokiem pełnym niechęci i ruszyła obejść jeepa. Mężczyzna wycofał w tej samej chwili, żeby zrobić jej miejsce. W rezultacie Ewa prawie wpadła na karoserię. Przystanęła zirytowana.

– Jakiś typ właśnie próbuje mnie rozjechać. Co za osioł! – powiedziała głośno do telefonu i nachyliła się do otwartego okna w aucie. – Może się pan zdecyduje?

Doberman przestał udawać zainteresowanie menu. Uważnie przyglądał się sytuacji pod wieżowcem. Kierowca wychylił się. Sprawiał wrażenie zmieszanego. Miał bujne kasztanowe włosy, pociągłą twarz, brązowe oczy i miły uśmiech.

– Bardzo przepraszam. Chciałem wjechać na parking – powiedział uprzejmym tonem.

– A ja próbuję przejść.

– Oczywiście. Proszę bardzo.

Kasztanowe włosy znikły w samochodzie. Jeep cofnął się, wyjeżdżając tyłem na jezdnię. Rozległy się gniewne klaksony kilku pojazdów, które zahamowały ostro, by uniknąć zderzenia. W oknach aut pojawiły się rozgniewane twarze kierowców, posypały się epitety.

Ewa uśmiechnęła się, świadoma wrażenia, jakie wywarła na sprawcy zamieszania.

– Dziękuję – powiedziała z wdziękiem i przeszła rozkołysanym krokiem przed maską jeepa. – Szkoda, że tego nie widziałas – pochwaliła się przyjaciółce. – Katastrofalnie przystojny dureń!

– Weź od niego numer telefonu.

– Małgoś, nie rozumiesz. Nie chcę mieć z żadnym z nich do czynienia. Bardzo długo.

Czując na plecach spojrzenie kierowcy jeepa, weszła do biurowca. Doberman, który śledził ją przez całą drogę z domu, pozostał niezauważony. Podszedł do przeszklonych drzwi wejściowych, odprowadził wzrokiem Ewę wsiadającą do windy. A potem wyciągnął telefon komórkowy, wybrał numer.

– Nigdzie się nie wybiera. Poszła do pracy – powiedział po włosku.

Poranne słońce zapalało czerwone blaski na ruinie wielkiego renesansowego pałacu. Potężne mury z kamienia i cegły patrzyły na mijający czas ślepyimi otworami po oknach. Strzegły tajemnicy z przeszłości, zdając się czekać na dzień, który zdejmie zaklęcie i przywróci zamarłą magnacką siedzibę do życia.

Rozpięty na planie idealnych rombów, półkoli i prostokątów pałac sprawiał wrażenie budowli wzniesionej przez boskiego geometrę, który zatrzymał się w drodze pomiędzy galaktykami, aby pozostawić ślad doskonałości Stworzenia. W cieniu wysokich wież i murów człowiek czuł się zagubiony, a jednocześnie poruszony ideą, na której kładł się cień śmierci i zniszczenia.

Przez główną bramę pomiędzy dwoma skrzydłami pałacu wlała się barwna wstęga wycieczki prowadzonej przez młodą i energiczną przewodniczkę uzbrojoną w okulary o grubych szklach. Dwaj mężczyźni, którzy weszli na dziedziniec jako ostatni, odróżniali się od kolorowej grupy ciemną karnacją i czarnymi garniturami. Starszy, po sześćdziesiątce, z lwią głową osadzoną na szerokim karku, siwą grzywą włosów, o mocno rzeźbionych rysach, wyglądał jak rzymski senator. Przystanął z telefonem przy uchu.

– Na pewno przyjedzie na pogrzeb – powiedział najczystsza włoszczyzną.

Jego towarzysz, dwa razy młodszy, miał urodę aktora z włoskiego filmu. Ze starannie ułożonymi na brylantynę włosami i wystającymi kośćmi policzkowymi przypominał drapieżnego ptaka. Wrażenie potęgowały jeszcze niewielkie okrągłe okulary w czarnej oprawce. Wyczuć można było jego zniecierpliwienie przymusową wizytą w ruinach.

Starszy miał na imię Federico, młodszy Marco. Obaj nosili to samo nazwisko: Farnese.

Przewodniczka zatrzymała się przed centralną częścią zabytku.

– Proszę pamiętać, że Krzyżtopór jest mylnie nazywany zamkiem – zwróciła się do grupy. – To pałac włoskiego typu, zwany *pallazzo in fortezza*. Czyli pałac w fortecy.

– Gdyby nie przyjechała, mam jej zabrać portret? – zapytał w telefonie głos mężczyzny-dobermana.

– Zdecyduję, kiedy zorientujesz się, co ona zamierza. Tymczasem trzymaj się planu.

Wzrok przewodniczki zatrzymał się na starszym z Włochów. Jej okulary błysnęły ostrzegawczo.

– Jeżeli pana nie interesuje mój wykład, to proszę przynajmniej nie przeszkadzać pozostałym.

Pełne nagany spojrzenia wycieczki skupiły się na winowajcy, który wyłączył telefon i ukłonił się z ujmującym uśmiechem.

– Bardzo państwa przepraszam – powiedział po polsku.

Przewodniczka skinieniem głowy przyjęła przeprosiny, ukrywając jednocześnie zaskoczenie klasą starszego mężczyzny. Aż do tej chwili traktowała grupę zwiedzających jak jednolitą masę. Powróciła do wykładu, szerokim gestem obejmując ruinę w posiadanie.

– Pałac powstał w latach 1627–1644 dzięki magnatowi i wojewodzie Krzysztofowi Ossolińskiemu. Budowniczym, który sporządził plany i nadzorował wznoszenie obiektu,

był Włoch Wawrzyniec Senes. Od strony północnej przylegały niegdyś do budowli piękne ogrody w stylu włoskim.

Młodszy z Włochów nachylił się ku starszemu.

– Czy Ewa wie, że jest naszą kuzynką? – zapytał przyciszonym głosem.

– To dalekie pokrewieństwo, Marco. Sprzed stu lat – odparł tak samo cicho starszy.

– Nie przeszkadzaj!

Małgorzata miała dar niefrasobliwości, niesłusznie nazywany lekkomyślnością. Wydarzenia codziennego życia sprawiały jej nieustanną radość, którą gotowa była dzielić się z każdym, kto chciał słuchać potoków jej słów i śmiechu. To, co dla innych było problemem, Małgorzata uznawała za zdarzenia, z którymi należało się rozprawić kilkoma celnymi epitetami i natychmiast o nich zapomnieć. Irytowała ludzi pragnących poważnego traktowania.

Wjeżdżając windą na najwyższe piętro wieżowca, Ewa kontynuowała rozmowę z przyjaciółką.

– ...do tego wszystkiego naczelna uwzięła się na mnie. Dostałam mejla z zamówieniem na tekst. Nie wyobrażasz sobie o czym!

– Chyba nie chce, żebyś napisała o sobie?

– Dokładnie tak! Mam opisać zdradę Rafała.

– Niesamowite!

Małgorzata wykrzyknęła to słowo z taką pasją, że Ewa aż odsunęła komórkę od ucha.

– Ale może to nie jest taki zły pomysł? – oświadczyła nieco spokojniej. – Opisz oboje tak, że będą się bali pokazać na ulicy!

– To nie ja, Małgoś. Ale jesteś kochana. Tylko z tobą mogę mówić o tym, co czuję. Wpadnij wieczorem, nie zostawiaj mnie samej. Tylko nie przynoś campari, bo można po tym umrzeć. Pa!

Drzwi windy rozsunęły się, a Ewa wyłączyła telefon i wyszła na długi korytarz, który zaprowadził ją przed szklaną ścianę z niebieskim napisem: WSPÓŁCZESNA KOBIEȚA. REDAKCJA.

Zatrzymała się, nabrała głęboko powietrza, popchnęła podwójne drzwi.

Przez przeszkłony hall rozciągał się widok na panoramę Warszawy. Na ścianach wisiały ogromne fotografie słynnych aktorek i modelek. Zza srebrnego pulpitu recepcji niepewnie uśmiechnęła się dwudziestoparoletnia stażystka.

Ona też wie, przemknęło Ewie przez głowę.

Skinęła dziewczynie z uśmiechem, przeszła przez hall i zapukała do drzwi sekretariatu.

– Proszę!

Pomieszczenie prześwietlało poranne światło, padające przez szklaną ścianę.

Sekretarka była kobietą około czterdziestki. Pracowała dla wielu szefów i niewiele rzeczy było w stanie ją zaskoczyć. Pomimo to patrzyła na Ewę wyraźnie zmieszana. A nawet wyszła zza biurka, jakby chciała ją powstrzymać.

– Dzień dobry, pani Ewo. Widziałam pani odpowiedź. Bardzo proszę zastanowić się jeszcze...

– Pani Alu, to kwestia wolności dziennikarskiej.

Ton głosu nie pozostawiał miejsca na dyskusję. Sekretarka odsunęła się.

– Szefowa czeka – powiedziała beznamiętnie.

Gabinet naczelnej urządzony został z myślą o imperium, którym zawsze rządzić będą kobiety. Półokrągła szklana tafla otaczała go z trzech stron, oferując widok na potężne bryły dwóch wieżowców w sąsiedztwie i panoramę miasta w dole. Biurko ze szklanym blatem w kształcie podkowy i podstawą z zielonego marmuru dominowało nad wnętrzem jak mostek kapitański. Podłoga połyskiwała lustrzanym odbiciem olbrzymiego wizerunku Marylin Monroe, która rozciągała się w leniwej pozie na suficie.

Mężczyźni z założenia mieli wypadać na tle tej scenografii jak niezręczni statyści, natomiast kobiety odczuć dzięki niej pełnię siły swojej płci. Ewa jednak zawsze miała wrażenie, że oto wchodzi do dziwaczного akwarium, które na chwilę opróżniono, lecz ten błąd zaraz zostanie naprawiony. Że zaleją ją potoki wody i zostanie wydana na łaskę i niełaskę ośmiornicy zza biurka, nazywanej naczelną.

Naczelna stała na tle okna, ze słuchawką przy uchu. Przekroczyła już pięćdziesiątkę, ale maskowała ten fakt skrywającą czoło i policzki grzywką nastolatki, obcisłym sweterkiem, džinsami przetartymi na kolanach i wysokimi obcasami. Odwróciła się do Ewy.

– Właśnie jest – powiedziała do komórki niskim modulowanym głosem. – Tak, nie ma problemu. Dobrze, nie denerwuj się, będzie.

Ten tembr zarezerwowany był wyłącznie dla szefów koncernu, do którego należała „Współczesna Kobieta”. Do podwładnych naczelna zwracała się wysokim ostrym tonem, któremu nadawała miękkość, kiedy zmuszona była o coś poprosić.

Wyłączyła telefon i spojrzała pytająco. Oznaczało to, że dla niej sprawa jest oczywista i czeka tylko na potwierdzenie rozkazów.

– Chciałabym ustalić... – zaczęła Ewa.

– Masz ten tekst? Wydawca dzwoni do mnie już trzeci raz.

– Nie. Właśnie w tej sprawie chcę...

– Tekst o najnowszej miłości Kubisz – przerwała ostrzejszym tonem naczelna, podchodząc do biurka, na którym pomiędzy stosem pism i papierów tkwił różowy komputer firmy Macintosh. – Miał być dziś w moim laptopie.

Ewa na moment wstrzymała oddech.

– Nie napiszę o niej – oświadczyła z determinacją.

Brwi naczelnej podjechały wysoko, skryły się pod blond grzywką. Głos zmiękł nieco. Pojawił się w im odcień niepokoju.

– Odbiło ci, Ewa? O co chodzi?

– Dlaczego wydawca uparł się właśnie na mnie?

– Bo Kubisz i ten jej nowy lalusz... Jak mu tam?

Naczelna niecierpliwie przerzucała papiery. Znalazła fotografię, pokazała ją.

Zdjęcie wykonane przez paparazzo przedstawiało gwiazdkę telewizyjnych seriali w objęciach przystojnego bruneta.

– Rafał Moguncki. – Ewa odwróciła wzrok.

– Właśnie – zgodziła się naczelna. – To najgorętsza para w tym tygodniu. A ty jesteś najlepsza w uczuciach. – Głos zmiękł o następny ton. – Zrobisz z nią wywiad, umówiłam cię. Kubisz jest zakochana. Wszystkim opowiada, że w życiu nie zaznała takiego seksu, i marzy, żeby cała Polska się o tym dowiedziała. Mistrzostwo świata w ekshibicjonizmie.

– Do następnego lalusia...

– Dokładnie tak. Napiszesz?

Ewa milczała.

Oczy naczelnej najpierw rozszerzyły się z niedowierzania, a potem zwężyły w szparki. Głos zabrzmiał tak, jakby szarpnęła za kolczasty drut.

– Nieee?

Ewa wciąż milczała. Jej przełożona wyglądała teraz jak skrzywdzona nastolatka, która z trudem panuje nad wybuchem żalu i gniewu.

– Mogę położyć swoją głowę pod topór. Albo twoją. Co mi radzisz? – zapytała tak cicho, że Ewa niemal nie zrozumiała jej słów.

Pechowy kierowca jeepa, trzymając w ręku niewielką skórzaną aktówkę, wjeżdżał windą na ostatnie piętro wieżowca. Sprawę, dla której przejechał dwieście sześćdziesiąt kilometrów, można było załatwić jednym pismem lub nawet telefonem. Gdyby jego klientka nie uparła się przy osobistym kontakcie mecenasa z jej stryjeczną wnuczką.

– Żadnych adwokackich pism, panie Adamie – powiedziała. – Nie życzę sobie zawiadomiania Ewy o mojej woli bezosobowo. Ma pan do niej pojechać, zaprosić ją na obiad i wszystko wyłożyć, jak człowiek człowiekowi. Rozumiemy się?

Z Zofią Solińską się nie dyskutowało, o czym wiedzieli wszyscy w okolicy Ujazdu. Jej wola była święta, a zwłaszcza teraz, kiedy starsza pani zeszła już z tego świata. Jakby tego było mało, przed śmiercią pokazała mu zdjęcie piętnastoletniej Ewy, utrzymując, że dziewczynka prawie się nie zmieniła.

Chcąc nie chcąc, Adam Dąbrowa wsiadł przed świtem w terenowego jeepa cherokee i ruszył do Warszawy. Dotarł chwilę po ósmej, lecz nie zastał już Ewy Modlińskiej w jej mieszkaniu. Na szczęście klientka podała mu adres „Współczesnej Kobiety”, do której Ewa pisała, według jej słów, ciężkie bzdury. Adam przyjechał zatem do redakcji z postanowieniem szybkiego załatwienia posłannictwa. Co najwyżej kawa, na pewno nie obiad, postanowił. Dziennikarka zajmująca się plotkami była ostatnią osobą, z którą pragnąłby spędzić więcej czasu niż to konieczne.

Winda przystanęła.

Wychodząc z niej, Adam natknął się na tę samą kobietę, którą zapamiętał z parkingu. Z bliska sprawiała jeszcze lepsze wrażenie. Ponura mina nie przeszkodziła mu docenić jej urody, przypominającej dziewczyny z reklam wakacji nad Morzem Śródziemnym. Niebieskie oczy i wydatne kości policzkowe przydawały jej wschodniego wdzięku.

Adam uśmiechnął się i już otwierał usta, aby powiedzieć coś na temat zdarzenia na

ulicy, ale natknął się na tak zimne spojrzenie, że głos uwiązał mu w gardle. Kobieta minęła go, a gdy się odwrócił, zobaczył ją znikającą za drzwiami windy. Poczul żal, że nie dane im będzie się poznać, a później ruszył w stronę przeszklonych drzwi z niebieskim napisem WSPÓŁCZESNA KOBIETA.

Ewa wyszła z biurowca z uczuciem pustki w głowie.

Prowadzenie kolumny towarzyskiej w piśmie dla kobiet było jej pasją. Dzięki temu poznawała kolorowe postaci ze stołecznych salonów, a ludzie zabiegali o jej uwagę i sympatię. Zdawała sobie sprawę, że nie są to prawdziwe przyjaźnie; chodziło wyłącznie o zaistnienie w jej artykułach, nawet kosztem odkrycia wstydlivych i intymnych szczegółów.

Pomimo to Ewa dobrze czuła się w roli komentatorki zawodów uczuciowych aktorów, prezenterów telewizyjnych, polityków, biznesmenów, dziennikarzy i przedstawicieli wielu innych profesji, pragnących choć przez chwilę pogrzeć się w blasku publicznej uwagi.

Choć najczęściej miewała do czynienia z płytkimi problemami, jej celebryci byli mimo wszystko ludźmi z krwi i kości, tak samo pragnącymi szczęścia i równowagi ducha, jak wszyscy inni na naszej planecie. Fakt, że robili wiele, aby je stracić, był fascynujący. Ewa miała wrażenie, że obserwuje egzotyczny gatunek ptaków, które wychowały się na wolności, a walczą o miejsce w złotej klatce, skąd nie ma ucieczki. Gdzie każdy ruch i oddech grożą unicestwieniem.

I oto cały ten świat zamknął się przed nią.

To było nieuniknione.

Ewa na wpół świadomie dążyła do dnia, w którym sama stanie się obiektem zainteresowania i kpin. To na nią skierują się wówczas drwiące spojrzenia, to ona poczuje, jak bolą teksty, dzięki którym stała się popularną komentatorką salonowych wzlotów i upadków.

Nagle zażądano od niej, aby lekko i dowcipnie opisała romans mężczyzny, z którym spędziła dwa lata życia, a który zdradził ją ze znaną aktorką, czyniąc z tej zdrady zdarzenie publiczne. Na oczach ptaków ze złotych klatek popełniła emocjonalne harakiri! Nic dziwnego, że wydawca i naczelna nalegali, aby to ona napisała ten tekst. Sprzedaż „Współczesnej Kobiety” pobiłaby rekordy. Tyle że wtedy Ewa stałaby się obiektem zainteresowania i świetnej zabawy innych.

Wzdrygnęła się. To było jak przebudzenie z długiego i chorego snu.

Przyjęła tę pracę, żeby utrzymać się, zapłacić za wynajęte mieszkanie, zacząć normalne życie. Po sześciu latach odbijania się od instytucji, które nie miały wolnych etatów dla magister historii sztuki. Dostała szansę dzięki Małgorzacie, która miała romans z kimś ważnym w wydawniczym koncernie, komu pokazała listy Ewy, pełne soczystych opisów poznanych w Warszawie ludzi.

Obiecała sobie, że będzie pisać dla „Współczesnej Kobiety” tylko do czasu, aż uda się jej znaleźć zajęcie w zawodzie, powrócić do ukochanego renesansu. W muzeum lub w poważnym piśmie naukowym. Tymczasem pięć lat minęło błyskawicznie, a wygodne

życie i popularność zmieniły Ewę w osobę, z którą wcześniej ona sama nie chciałaby mieć do czynienia.

Ale na tym koniec. Nie będzie szukała pracy w innym kobiecym magazynie. Nie pograży się w duchowej prostytutce. Woli zatrudnić się jako kelnerka. Zamieni mieszkanie, które tak lubi, na ciasną kawalerkę.

Zacznie wszystko od początku, powróci do książek, do zaniechanej pracy doktorskiej. Jej zniknięcie z salonów doczeka się ironicznych komentarzy. Przez jakiś czas ptaki będą wyrażać współczucie, obwiniać mężczyznę, który doprowadził do katastrofy, ale wszyscy odczuwają satysfakcję z jej upadku. Będą oczekiwać jej powrotu w nowym wcieleniu, a potem zapomną.

Ona tymczasem pojedzie do Ujazdu, wypłacie się na ramieniu kochanej Zofii, wysłucha jej mocnych słów na temat pozornego życia, które prowadziła, obieca poprawę. Odpocznie i powróci pełna sił do walki o nowe życie.

Energicznie wytarła wilgotne oczy, skręciła w stronę stacji metra i niespodziewanie stanęła oko w oko z mocno zbudowanym mężczyzną o twarzy ułożonego dobermana. Wykonała unik, aby płynnie go wyminąć, ale on zrobił krok w bok i zatrzymał się przed nią. W szerokim uśmiechu ukazał ostre zęby.

– O co panu chodzi? – zapytała Ewa nieuprzejmie, odczuwając jednocześnie przyływ niepokoju.

Rozejrzała się dokoła. Chodnik pełen był przechodniów. Jeśli doberman chciał zaatakować, wybrał złe miejsce.

Mężczyzna nie przestawał się uśmiechać.

– Ty jesteś Ewa Modlińska – powiedział ze śpiewnym włoskim akcentem.

Uderzyło ją niemile, że zwrócił się do niej per ty.

– A ty kim jesteś? – zapytała nieprzyjemnym tonem.

– Giovanni Farnese. Twój daleki kuzyn.

Ewa pokręciła głową.

– To pomyłka. Ja nie mam rodziny we Włoszech.

– Twój pradziadek i moja prababka byli bratem i siostrą.

Powiedziawszy to, doberman wyciągnął dłoń do powitania.

Ewa poczuła zamęt w głowie. Jak przez mgłę pamiętała rzuconą mimochodem uwagę Zofii o krewnych z Wenecji. Nie spytała wtedy o nich, a stryjeczna babka już nigdy nie powracała do tematu.

Mężczyzna stał z wyciągniętą ręką, dając jej czas na oswojenie się z zaskakującą wiadomością.

– To długa historia – powiedział wreszcie. – Dowiedziałem się o twoim istnieniu i przyleciałem prosto z Wenecji. – Zauważył, że Ewa drgnęła na dźwięk słowa „Wenecja”, i uśmiechnął się zadowolony. – Coś jednak słyszałaś, prawda? Mogę ci opowiedzieć resztę, przy kawie.

Zawahała się. Włoski kuzyn nie zdarza się przecież codziennie. Gdyby spotkała go dwa dni temu, przyjąłaby zaproszenie. Ale dziś, w stresie, przed czekającą ją zmianą, był ostatnią osobą, z jaką pragnęła rozmawiać. Nie potrafiła skupić się na własnych myślach, a co dopiero na opowieści o przodkach i krewnych, którzy kompletnie jej nie obchodzili!

Poza tym coś w twarzy Włocha ją niepokoiło. Zbyt wielka pewność siebie dobermana, który ukrywa drapieżność i prawdziwe motywy?

– Sorry, Giovanni, ale nie jestem dziś w nastroju – powiedziała. – Przekaż rodzinie, że bardzo się cieszę. I daj mi numer telefonu, to może zadzwonię.

Mężczyzna cofnął dłoń. Sięgnął w zanadrze kurtki, wyciągnął wizytówkę, podał.

Ewa spojrzała na kartonik. Ponad imieniem i nazwiskiem widniał niewielki herb.

– Może pozwolisz chociaż odwiedzić się do domu? – zapytał Giovanni i uniósł dwa palce w geście przysięgi. – Słowo honoru, że się nie odezwę.

Pokręciła stanowczo głową.

– Do widzenia, kuzynie – odparła.

– Nie dasz mi swojego numeru?

– Zadzwonię.

Skinęła głową z uprzejmym uśmiechem, wyminęła mężczyznę i ruszyła w swoją stronę.

Co za dzień!, myślała rozbawiona, pomimo ponurego nastroju. Nie dość, że zaczynam nowe życie, to jeszcze odnajduje mnie włoska rodzina. Szkoda, że go nie zapytałam, w jakim celu mnie odszukał. Może rzeczywiście zadzwonię, choć nie podoba mi się jego gęba...

Giovanni odprowadził wzrokiem odchodzącą kuzynkę, a potem wyciągnął telefon i wybrał numer.

– Nie udało się – powiedział po włosku. – Ale spodobałem się. Kiedy do mnie zadzwoni, spróbuję jeszcze raz.

Przewodniczka wprowadziła wycieczkę na mniejszy dziedziniec, nie przestając perorować donośnym głosem, który odbijał się echem od wysokich ścian z oczodołami okien.

– Krzyż był symbolem wiary i polityki wojewody, topór herbem Ossolińskich. Krzyżtopór to jeden z trzech największych i najwspanialszych pałaców w Europie doby późnego renesansu. Niestety, jedenaście lat po zakończeniu budowy zdobyli go i złupili Szwedzi. Pałac ponownie został zdobyty i spalony przez Rosjan w tysiąc siedemset siedemdziesiątym roku, kiedy bronili się w nim konfederaci barscy.

Mężczyzna z siwą grzywą włosów schował się za załomem muru.

– Nie spuszczaaj jej z oka – powiedział z naciskiem do telefonu. – I obrazu też.

– Wuj zamierza przekopać te ruiny? – zapytał z powątpiewaniem młodszy z Włochów, który zatrzymał się obok.

– Wiedza i rozum, Marco! – odparł spokojnie starszy, chowając telefon. – Wiedza i rozum!

– Ile mamy czasu?

– Tydzień. Najwyżej miesiąc. Na pewno do końca wiosny – stwierdził z przekonaniem Federico. – Następnym razem nastąpi za sto lat. Tak mówi kłątwa.

2.

Z telefonem przy uchu Ewa pokonała ostatnie stopnie schodów i zatrzymała się przed drzwiami mieszkania. Przemknęło jej przez myśl, że jeśli szybko nie znajdzie dobrej pracy, niebawem może nastąpić rozstanie z miejscem, które przywykła uważać za centrum swojego świata.

„Nie przywiązywać się do materialnych spraw, niczego nie uważać za dane na zawsze. To jedyny sposób, by zachować wewnętrzną wolność”, przypomniała sobie słowa Zofii.

Łatwo jej mówić, skoro ostatnie dwadzieścia lat spędziła w odzyskanym dworku położonym pośrodku malowniczego ogrodu, otoczonym łąkami i lasami, pomyślała.

W komórce ponownie usłyszała miękki przyjazny głos stryjecznej babki.

– Nie mogę teraz rozmawiać, ale bądź tak miły lub miła i zostaw mi dobrą wiadomość.

Znała niechęć Zofii do rozmów na odległość, ale przecież starsza pani wiedziała, kto dzwoni. Powinna odebrać.

– Zadzwoń, proszę, kiedy odsłuchasz. Próbuję już piąty raz. – Ewa pohamowała irytację. I dodała, zmieniając ton na błagalny: – Jadę do ciebie, słyszysz? Wiem, że się ucieszysz. Bardzo potrzeba mi rozmowy z tobą, bardzo. Znow wszystko mi się miesza. Zadzwoń, proszę – powtórzyła. – Do zobaczenia! Pa!

Rozłączyła się, a telefon zadzwonił od razu. Ewa spojrzała na wyświetlacz, rozpoznała numer i odrzuciła połączenie.

– A dajcie mi święty spokój! Przecież właśnie wyleciałam z roboty! – mruknęła gniewnie pod nosem.

Otworzyła drzwi i weszła do mieszkania.

Sekretarka naczelnej pokręciła przecząco głową i odłożyła słuchawkę.

– Proszę, niech mi pani pomoże! – powiedział Adam błagalnie. – Przyjechałem aż z Zamościa!

Sekretarka spojrzała z politowaniem. Przewaga nad mężczyzną sprawiała jej przyjemność.

– A co z pana za prawnik, jeśli nie zna pan jej telefonu? – zapytała, unosząc wysoko wyskubane brwi.

– Stryjeczna babka pani Ewy uparła się, żebym załatwił wszystko osobiście, a nie przez telefon. Starsi ludzie mają swoje dziwactwa, trzeba je uszanować. Zwłaszcza jeśli to ich ostatnia wola.

W oczach sekretarki pojawiło się współczucie. Najwyraźniej cień śmierci zmiękczył jej serce. Poza tym prawnik był przystojny i uprzejmy, bez śladu zarozumiałości, jaką prezentowali jego warszawscy koledzy po fachu. Westchnęła z rezygnacją i szybko zapisała na samoprzylepnej kartce numer telefonu. Oderwała kartkę od bloczka, podała.

– Ale to nie ode mnie – zastrzegła. – Modlińska by mnie zabiła.

Ewa stała w kuchni z telefonem przy uchu.

Aż do dzisiejszego dnia nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo potrzebuje rozmów z Małgorzatą. Przyjaciółka była jedną z tych istot zesłanych na Ziemię, które dodawały innym energii i wiary w siebie. Zaliczała się do niech również Zofia, ale surowych sądów babki Ewa obawiała się trochę. Może dlatego nie odwiedzała jej od dawna?

Papug patrzył przez pręty klatki oczami błyszczącymi inteligencją. Z przekrzywionym łbem przestępował z nogi na nogę.

– Makabra! Cholera! – wrzasnął.

– Zamknij dziób! – skarciła go właścicielka. – Przepraszam, to nie do ciebie. Poczekaj moment – powiedziała do telefonu.

Wzięła z parapetu pudełko z ziarnem i napełniła miseczkę w klatce. Papug nastroszył się i szybko schylił głowę, zamierzając się na palec Ewy. Była przygotowana, więc w porę cofnęła dłoń.

– Okropna Ewa! – stwierdził Baltazar. – Okropna Ewa!

– Sam jesteś okropny – odparła z odcieniem współczucia i powróciła do rozmowy.

– Słyszałaś? Zawsze domyśla się, że wyjeżdżam. I cierpi.

– Intuicja – powiedział głos Małgorzaty.

– Makabra! – oznajmił papug, lecz tym razem bez złości, niemal płacząco.

Ewa pokręciła bezradnie głową i ruszyła do sypialni.

Małgorzata prowadziła jedną ręką swojego mini morrisa, drugą przyciskając komórkę do ucha pod grzywą rudych włosów. Miała jasną cerę i zielone oczy. Za kierownicą potrafiła wykonywać wiele czynności jednocześnie: rozmawiać, przyglądać się ludziom na chodniku, swojemu odbiciu w lusterku, grzebać w torebce w poszukiwaniu ulubionych miętusów lub szminki do ust, poprawiać makijaż, zmieniać stacje w radiu.

W głosie przyjaciółki wyczuwała desperację. Nie znosiła, gdy któryś z jej bliskich cierpiał z powodu złego nastroju. Pędziła wówczas gasić pożar, zasypując delikwenta dziesiątkami niepotrzebnych rad i zarażając go w końcu entuzjazmem do własnej prawdy o życiu. Że liczy się wyłącznie bieżąca chwila, a wszystko poza nią to nieważna przeszłość i ciekawa przyszłość.

– Weź się w garść, dobrze? – mówiła do telefonu. – Świat się jeszcze nie wali. W tej chwili jesteś wspaniałą, wolną, niezwykłą Ewą, którą uwielbiam!

Słowa Małgorzaty działały razem jej ruchliwą obecnością, błyszczącymi oczami, gestykulującymi rękami, zachodzącymi na siebie zębami w szerokim uśmiechu. Bez tego widoku uzdrawiający efekt był słabszy. Dlatego Ewa odparła ponuro:

– Mój się wali, jak najbardziej.

Zaczęła wrzucać do torby podróżnej ubrania, książki i najróżniejsze przedmioty z biurka, stolika nocnego i szafki. Fotografia matki w metalowej ramce wylądowała obok przynoszącego szczęście słonika z brązu, posążek Buddy razem z albumem zdjęć z muzeów całej Europy.

Miała nadzieję, że uda jej się utrzymać mieszkanie przez następny miesiąc. Że będzie miała dość czasu, aby spakować wszystko, co zdołała zgromadzić przez ostatnie pięć lat. Rozejrzała się w panice. Po co człowiekowi tyle niepotrzebnych rzeczy, z którymi nie potrafi się rozstać?, pomyślała. Kiedy wybucha wojna, cały ten bałagan okazuje się nic nie wart. A ja właśnie wyruszam na własną wojnę!

– Tyle razy cię uprzedzałam: nie mieszaj spraw osobistych z zawodowymi – powiedział z naganą głos Małgorzaty.

Ewa zatrzymała się w biegu, zdumiona, z dziewiętnastowiecznym pudłem na kapelusze w rękach, wygranym na jakieś aukcji dobroczynnej.

– Zwariowałaś, Małgoś? Miałam zrobić ten wywiad z Kubisz? O jej seksie z Rafałem?

– Zagalopowałam się, fakt. Głupio gadam – zreflektowała się Małgorzata. – A machnij na nich ręką! Uśmiechnij się, natychmiast!

Ewa zagapiła się na ścianę nad szerokim łóżkiem, które było świadkiem tak wielu szalonych nocy. Teraz wydawało się puste. Na oprawionej w szkło dużej fotografii zobaczyła uśmiechniętą siebie, przytuloną do wysokiego przystojnego mężczyzny. Oboje w strojach kąpielowych, a w tle lazuruwe morze i bezbłędne niebo Sycylii.

Ona i Rafał na wakacjach.

Zdjęła zdjęcie ze ściany, podeszła do okna i mocnym uderzeniem rozwalila szybkę w ramce, kalecząc się w palec. Wyciągnęła fotografię i przedarła ją na cztery części. Pomimo bólu i krwi poczuła spokój. Jakby wykonała ważną część planu rozstawiania się z przeszłością.

– Ha, ha, ha! – powiedziała do telefonu, stosując się do polecenia przyjaciółki.

Małgorzata stanęła na światłach. Zajęta rozmową, nie dostrzegła radiowozu, który zatrzymał się tuż za nią.

– No widzisz! Od razu lepiej, prawda? – zapytała.

– Nie zgadniesz, co jeszcze mi się dzisiaj przytrafiło – powiedziała Ewa.

– Dawaj!

– Jakiś Włoch przedstawił mi się jako daleki kuzyn. Na ulicy.

– Żartujesz czy poważnie?

W lusterku po stronie pasażera Małgorzata dostrzegła zbliżającego się policjanta.

– A drań zranił mnie jeszcze w palec – oświadczyła Ewa zniecka.

– Jak to: w palec? Ten kuzyn? Włoch?

– Nie. Rafał.

– Kiedy?

Mundurowy zastukał w szybę mini morrissa, zajrzał do środka. Małgorzata skinęła mu głową, zbyt zaabsorbowana wymianą zdań z przyjaciółką, aby domyślić się jego intencji. Jednocześnie zauważyła, że światło zmieniło się na zielone.

– Już, już! Przepraszam! – Uśmiechnęła się szeroko do policjanta.

Nie odrywając telefonu od ucha, ruszyła i przejechała przez skrzyżowanie.

Funkcjonariusz wskoczył do podjeżdżającego radiowozu. Na dachu zamigotało niebieskie światło, zawyła syrena.

Tymczasem Ewa wrzuciła podarte zdjęcie do kosza i przysiadła na łóżku.

Satysfakcja i chwila spokoju minęły, znów była bliska płaczu. Bezradnie przyglądała się zranionemu palcowi.

– Ja krwawię, Małgoś – poskarżyła się do telefonu.

– Makabra! Makabra! – wrzasnął z kuchni papug.

W tylnym lusterku mini morrisa pojawił się radiowóz na sygnale.

– Ki diabeł? – mruknęła zdziwiona Małgorzata.

Posłusznie zjechała na pobocze i przystanęła, ustępując mu drogi.

– Nie przesadzaj – powiedziała. – A ten Rafał to bydlę! Jak on mógł? Z taką Kubisz?

Radiowóz zatrzymał się również. Wysiadł z niego ten sam policjant, co poprzednio, i podszedł powoli. Tym razem od strony kierowcy.

– Coś ci powiem. Rafał cię kocha. Tylko ciebie! – oświadczyła Małgorzata w przeblysku intuicji. – Z tą Kubisz to głupia pomyłka. Wpadka samca, nic więcej.

– Nie interesuje mnie to!

Policjant zastukał energicznie w szybę. Miał okrągłą twarz ze śladami po ospie. Małgorzata wykrzywiła usta w uśmiechu.

– Zaraz – powiedziała bezgłośnie.

Jednocześnie wskazała wolną ręką na telefon, dając do zrozumienia, że jest zajęta.

– On szaleje za tobą, uwierz mi – ciągnęła. – Popęłnił wielki błąd. Ta zdzira go uwiodła.

Policjant chwycił za klamkę, ale Małgorzata uprzedziła go, szybko wciskając blokadę zamka. Gestem dała do zrozumienia, że sprawa musi zaczekać. Zniecierpliwiony funkcjonariusz zastukał ponownie, tym razem mocniej.

– Wiesz, ona jest gwiazda, media liżą jej stopy. Na facetów to działa jak opium na świnię. Rafał żałuje, dzwonił do mnie, serio. Nie wie, co ma robić.

Stukanie przeszkadzało w skupieniu, więc Małgorzata spojrzała z irytacją.

– Nie widzi pan, że rozmawiam? – zapytała. – W życiowej sprawie! Jezu, co za nachal!

Ewa nie miała siły wstać z łóżka. Przypomniała sobie słowa Zofii wypowiedziane, kiedy oblała pierwszy egzamin na studia i wydawało jej się, że świat runął w gruzy. „Wszystko jest wyłącznie w głowie, cała ludzka energia, wszystkie bzdury, w które wierzymy”. Nabrała głęboko powietrza i ruszyła do łazienki, żeby opatrzyć palec.

– Może się powiesić. Dla mnie nie żyje – mruknęła do telefonu. – Wyjeżdżam, odlatuję do innego świata. Mam tylko prośbę. Przetrzyj moje meble po dziadkach.

Policjant wyciągnął z kabury pistolet i gestem pokazał, że rozbije szybę. Małgorzata popukała się wymownie w czoło.

– Nie ma sprawy – odparła. – Odpocznij, opal się na bóstwo, poromansuj – zgodziła się. – Dobry pomysł. A gdzie lecisz?

– Do Ujazdu.

– Dokąd?

– Ujazd. To takie miasteczko niedaleko Opatowa.

– Gdzie?

– No, obok Sandomierza.

– Jezu! – jęknęła Małgorzata.

Z radiowozu wysiadł drugi policjant. Podszedł zdecydowanym krokiem i zapukał w szybę mini morrisa od strony pasażera. Miał kościstą twarz i nieprzyjemnie wąskie oczy, przypominał zawodowego zabójcę.

Małgorzata była zbyt poruszona informacją, którą właśnie usłyszała, by zwrócić na niego uwagę.

– Nie szalej! Jaki znów Ujazd? Na cholereę ci on?

Ewa patrzyła na skrzywioną twarz w lustrze ponad umywalką.

– Mam dość – oznajmiła. – Warszawki, swojej roboty, wszystkiego. Ciotka Zofia zrobi mi porządek w głowie. Jest mądra i kochana. Mam tylko ją.

– To ja jestem niby wredną idiotką, tak? – oburzyła się Małgorzata, patrząc z rosnącą irytacją na policjanta-zabójcę. – Bardzo dziękuję! A robotę straciłaś na własne życzenie. Musisz znaleźć następną, to wszystko. Sama ci ją znajdę, sieroto! Jezu, muszę jechać! – zawołała, widząc, że policjant z twarzą po ospie bierze zamach.

Zdeterminowana puściła hamulec i nacisnęła pedał gazu. Automatyczna skrzynia biegów zareagowała z sekundowym opóźnieniem, cios kolbą pistoletu trafił w słupek pomiędzy przednimi a tylnymi drzwiami. Mini morris skoczył do przodu, pistolet odbił się i wypadł z dłoni zaskoczonych policjanta.

Obaj stróże prawa zamarli na moment ze zdumienia i złości, a potem zaklęli, pobiegli do radiowozu, wskoczyli i ruszyli z wyciem syreny. Tymczasem mini skręcił z impetem w boczną ulicę. Wyminął wyjeżdżającą ciężarówkę.

– Do Ujazdu z powodu idioty Rafała? – wrzeszczała do telefonu Małgorzata, sprawdzając jednocześnie w lusterku dystans do ścigającego ją patrolu. – Daj spokój, Ewcia, znajdzie się pięciu innych!

– Właśnie. I to jest najgorsze. Ilu ich już było?

Radiowóz wszedł w zakręt, kierowca jadącej z naprzeciwka ciężarówce również. Źle skalkulował szybkości i przyhamował ostro. Policjant mylnie odczytał jego intencje, spróbował odbić w bok, lecz spóźnił się o ułamek sekundy.

Radiowóz z impetem zahaczył o tył ciężarówce.

Huk zderzenia i zgrzyt blachy spowodowały, że przechodnie przystanęli na chodnikach. Rozwścieczony policjant wyskoczył na ulicę i puścił się biegiem za odjeżdżającym mini morrisem. Jego kolega nie był w stanie otworzyć zgniecionych drzwi.

Małgorzata zarejestrowała wydarzenia w tylnym lusterku. Skręciła w następną ulicę i przyspieszyła.

– Tomek, Darek, Franek... – wyliczała.

Ewa wyszła z łazienki. Przystanęła przed portretem Ossolińskiego. Zamierzała zabrać wizerunek wojewody ze sobą.

– Przestań – poprosiła.

Skupiła wzrok na małym medalionie ponad ramieniem magnata. Z symbolem Abraksasa, takim jak na jej wisiorku.

– Franka lubiłam najbardziej. Fajny był – ciągnęła Małgorzata. – Szkoda, że się nie hajtnęliście.

– Tak, tak – odparła półprzytomnie Ewa.

Delikatnie przesunęła palcami po medalionie na portrecie. Słabo widoczny pod warstwą pociemniałej farby ludzki tułów z głową koguta, rękami i nogami jak węże, w otoczeniu kilku planet. Co oznacza? Jaki jest mój związek z Ossolińskim i skąd matka miała wisiołek z Abraksasem?, zastanowiła się. Wiele razy zadawała te pytania Zofii, ale zawsze słyszała tylko niejasne odpowiedzi o dalekich przodkach i zapomnianej wiedzy z przeszłości.

– Teraz się zakochaj, tylko naprawdę. To cię wyleczy – usłyszała głos przyjaciółki.

Tym razem zmuszę Zofię do wyznania mi całej prawdy o matce i o portrecie!, postanowiła.

Być może była banalna – któryś z przodków zauważył medalion, przedmiot mu się spodobał, więc zlecił złotnikowi wykonanie kopii. Intuicja jednak podpowiadała, że rozwiązanie zagadki nie jest aż tak proste. Może to wygłodzona wyobraźnia historyka sztuki, obudzona przez utratę pracy?

Ewa z trudem skupiła się na rozmowie.

– Jesteś tam? – zapytała Małgorzata niecierpliwie.

– Jestem.

– Powiedziałam, że musisz się zakochać.

– Słyszałam, Małgoś. Nie potrafię, taka karma.

– Nie karma, tylko otaczają nas cieniasy! – zdenerwowała się Małgorzata.

– Na to samo wychodzi. Ja odlatuję.

– Zwariowałaś? Każdy próbuje, aż nie znajdzie tej jedynej miłości. – Małgorzata zachichotała. – Ja najbardziej lubię próbowanie. Tysiące prób.

Ossoliński patrzył uważnie w oczy Ewy, zapraszał do niezrozumiałej gry. Już dawno powinna się nim zająć, ale rozleniwiła się, wypisując idiotyzmy o nieciekawych ludziach.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

– Precz! Makabra! – wrzasnął w odpowiedzi Baltazar.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała z pretensją Małgorzata. – Rozmawiasz ze mną czy nie?

– Ktoś przyszedł, poczekaj chwilę – odparła Ewa.

Nie miała ochoty na niezapowiedzianą wizytę. Z westchnieniem oderwała się od portretu, ruszyła do przedpokoju.

– Ewcia, posłuchaj. Znów uciekasz, kiedy masz problem – ciągnęła niezrażona przyjaciółka. – Z pracą, z uczuciem. Zawsze w nogi. Musisz stawić czoła sytuacji, tu i teraz! Podamy redakcję do sądu pracy, damy popalić Kubisz i odzyskamy Rafała!

Zaskoczona Ewa zatrzymała się przed drzwiami.

– My? Podoba ci się Rafał? – zapytała.

Usłyszała obracające się w zamkach klucze. Wiedziała już, kto przyszedł, i z oburzeniem czekała, kiedy otworzy.

– No co ty! W życiu! – zaprotestowała Małgorzata. – To znaczy tak, ale nie tak, jak myślisz!

W progu stanął wielki i ciężki osobnik. Mała łysa głowa na szerokiej szyi,

skrzywiony nos i szeroko rozstawione blade oczy. Zarządca kilku mieszkań w tym domu. Nazywał się Kurdyk. Był ostatnim z ludzi, których Ewa miała ochotę dziś spotkać.

– Chyba mówiłam panu, że nie życzę sobie... – zaczęła z zamiarem jak najszybszego pozbycia się gościa.

– Mało ważne – oświadczył Kurdyk. Odsunął Ewę i wszedł do mieszkania. – Należy się czynsz, jasne?

Małgorzata rozpoznała ten głos.

– Co jest? To zarządca?

Ewa podążyła za szerokimi plecami Kurdyka, który zatrzymał się w progu sypialni. Wprawdzie termin zapłaty za czynsz upłynął trzy dni temu, ale zarządca nigdy dotąd nie robił z tego problemu.

– Po co ta wizyta? – powiedziała Ewa, hamując irytację. – Czekam na wypłatę, zrobię przelew.

– Każda tak gada – mruknął lekceważąco Kurdyk i wszedł do sypialni. – Trzeba było się zgodzić... Mówiłem, przysponsoruję.

– Co takiego?

Ewa była bardziej zdziwiona niż dotknięta.

– Niech nie udaje nietykalnej, znam się na takich. Dwie studentki zrobiły dyplomy, a prawie nic nie płaciły. I zadowolone były. Piętro wyżej.

– Niech pan natychmiast idzie, bo zwymiotuję!

Kurdyk wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekceważąco. Jego wzrok zatrzymał się na portrecie Ossolińskiego.

– Jak sobie chcesz, nie narzucam się. Nawet mi się nie podobasz.

– Ewcia, co się dzieje? – zawołała Małgorzata w telefonie. – Wywal chama!

– Za ciężki – stwierdziła Ewa i próbując zachować spokój, zwróciła się do Kurdyka. – Czego pan szuka? To jest moja sypialnia. Albo pan wychodzi, albo dzwonię na policję.

– Policja! – wrzasnął z kuchni Baltazar.

– Dzwon, dzwon – zgodził się Kurdyk. – O, ten będzie w sam raz.

Podszedł do portretu i zdjął go ze ściany. Zaskoczona Ewa otworzyła szeroko usta.

– Co pan robi? Proszę to natychmiast oddać!

Ruszyła zdecydowanie w stronę zarządcy, ale ten ją zatrzymał. Wyciągnięta ręka oparła się o jej pierś.

– Oddam, jak zapłacisz!

Odsunął Ewę na bok, jakby nic nie ważyła, i wyszedł do przedpokoju.

Patrzyła za nim jak za zjawą ze złego snu.

Małgorzata, która słyszała każde słowo, wykrzyknęła z gniewem:

– Walnij go czymś! Zaraz u ciebie będę!

Ewa oprzytomniała. Dogoniła Kurdyka przed drzwiami wyjściowymi, chwyciła go za ramię.

– Ten obraz jest wart setki czynszów! Oddawaj!

– Jazda mi!

Kurdyk szarpnięciem uwolnił ramię, położył rękę na klamce. Ewa chwyciła za

ramę obrazu, odwróciła go do siebie. Ossoliński spojrział z bliska, wzrokiem prosząc o ratunek.

– Weź coś innego, nie ten portret! – zawołała z desperacją i nagle przyszło jej do głowy rozwiązanie zagadki Abrakasa. – To mój przodek!

– A mój tyłek! No już, z drogi! – krzyknął Kurdyk.

Popchnął Ewę tak mocno, że jej nogi niemal oderwały się od posadzki. Rozpaczliwie próbując złapać równowagę, zrobiła kilka kroków do tyłu, a potem runęła na plecy, wypuszczając z dłoni telefon. Oszołomiona podniosła głowę i zobaczyła zamykające się za Kurdykiem drzwi. Zerwała się i chwyciła za klamkę.

Drzwi były zamknięte na klucz.

– Cholerny sukinsyn! – wrzasnęła w przypiływie wściekłości.

Zawrzała w niej krew. Gotowa była zabić Kurdyka, z zimną krwią poderznąć mu gardło.

Odwróciła się i pognęła do sypialni. Minęła leżący na podłodze telefon, który wołał głosem Małgorzaty:

– Ewa, halo! Co się dzieje?

Ewa pośpiesznie wysypała zawartość torebki na łóżko, ale pośród kosmetyków, chusteczek, notesu i drobiazgów nie było kluczy. W panice otworzyła szufladę stolika nocnego, przerzuciła stos papierów. Bez rezultatu. Klucze schowały się, jak zawsze, gdy ich potrzebowała.

– Proszę, proszę! To niemożliwe! – powiedziała błagalnie.

– Makabra! – przytaknął jej Baltazar i wybuchnął skrzekliwym śmiechem.

Ewa pobiegła do kuchni i rozejrzała się wokół z szaleństwem w oczach.

Kurdyk z portretem Ossolińskiego w ręku zszedł na parter, otworzył drzwi wyjściowe.

Za nimi stał osobnik z twarzą przypominającą dobermana. Coś w jego oczach sprawiło, że wielki zarządca zaniepokoił się przez sekundę, ale potem ruszył wprost na nieznajomego.

– Suń się pan!

Odsunął osobnika z drogi z taką samą łatwością, jak wcześniej Ewę. Obcy nie stawiał oporu, ale wykonał krok w bok i lekko popchnął ramię Kurdyka, wsunąwszy jednocześnie stopę między jego pięty. Zaskoczony zarządca usiadł w progu.

Doberman trzymał w ręku obraz.

– To chyba nie twoje? – zapytał z włoskim akcentem.

Twarz Kurdyka pociemniała z wściekłości. Wsparł się o framugę i zerwał na równe nogi.

– Czekaj, ty skurwysynu! – wrzasnął.

Wielka pięść wyskoczyła w kierunku twarzy nieznajomego, ten jednak wykonał unik i cios zakończył się na ścianie przy drzwiach. Rozległ się trzask łamanej kości, wycie z bólu i stłumione przekleństwo. Kurdyk zwinął się, z ręką przyciśniętą do brzucha, a tamten krótkim ruchem opuścił dłoń, trafiając dokładnie w jego kark. Zarządca

rozciągnął się jak długi, a przeciwnik przekroczył jego ciało i z obrazem w ręku wszedł na klatkę schodową.

W tej samej chwili przy chodniku zatrzymał się mini morris. Wskoczyła z niego Małgorzata. Zdziwiona ominęła sinobladego Kurdyka, który leżał na boku i mamrotał coś niewyraźnie. Kątem oka dostrzegła skręcający w ulicę radiowóz z rozbitym bokiem. Szybko weszła do budynku i ruszyła schodami na górę.

Przez okno na półpiętrze zerknęła jeszcze na zewnątrz i dostrzegła, że zarządca biegnie chwiejnie w stronę radiowozu, wymachując ręką. Policjanci zauważyli zaparkowanego mini i zahamowali. Małgorzata ruszyła dalej, ale znów przystanęła, zaskoczona widokiem opartego o ścianę obrazu. Wzięła go pod pachę.

Ponad nią rozległy się pośpieszne kroki. Na schodach pojawiła się Ewa. Dostrzegła portret w ręku przyjaciółki.

– Skąd go wzięłaś? – zapytała zdziwiona.

– Co się dzieje? – odparła pytaniem Małgorzata. – To twój, prawda? Widziałam Kurdyka, uciekał, jakby diabła zobaczył. Zaraz tu będzie z gliniarzami, a ja wolę ich nie spotkać.

Ewa otworzyła szeroko oczy.

– Zabrałaś portret Kurdykowi?

Małgorzata wzruszyła ramionami.

– No coś ty? I schowaj mnie, tylko szybko!

– Nic nie rozumiem. Dlaczego boisz się gliniarzy?

– Potem ci opowiem. Pośpiesz się!

Wyminęła Ewę i pobiegła na górę z portretem Ossolińskiego w ręku. Zdumiona przyjaciółka ruszyła za nią.

W mieszkaniu Małgorzata odstawiła obraz i zanurkowała pod łóżko w sypialni. Ewa weszła za nią do pokoju, wyszła na balkon i wychyliła się przez poręcz. W dole zobaczyła bladego Kurdyka, który podtrzymywał bezwładną rękę i coś tłumaczył policjantom, gestami symulując napad i walkę. Funkcjonariusze sprawiali jednak wrażenie bardziej zainteresowanych mini morrisem.

– Małgorzata! Małgorzata! – wrzasnął Baltazar.

– Ucisz to ptaszysko! – Spod łóżka dobiegł syk. – Idą tutaj?

– Spokojnie. Stoją przy twoim wozie. Kurdyk chyba im nie powie, że próbował mnie okraść. Napadłaś na niego?

– Małgorzata! – zawołał papug ponownie.

– Przez niego pójdę siedzieć! – jęknęła Małgorzata. – Zamknij przynajmniej to okno!

Ewa posłusznie wykonała polecenie.

– Co ty nawywijałaś? I skąd masz Ossolińskiego? – zapytała, przysiadając na łóżku.

– Stał sobie na schodach, oparty o ścianę.

– A co się zdarzyło zarządcy?

– Nie mam pojęcia. Nie idą tu?

Ewa wyszła na balkon. Policjanci wracali do radiowozu w towarzystwie przygarbionego Kurdyka.

– Idą do swojego auta. Czym ty znów naraziłaś się policji?

Małgorzata wyczołgała się spod łóżka, usiadła obok przyjaciółki i poprawiła rudą czuprynę. Jej zielone oczy błyszczały zadowoleniem.

– E, tam. Gadałam z tobą przez telefon – rzuciła lekceważąco. – Przyczepiły się cieniasy, nieważne. To Kurdyk zabrał obraz?

– Za czynsz. Porąbało go – odparła Ewa i wskazała palcem na stojący w przedpokoju portret. – Ten obraz wart jest dziesięciu lat jego zakichanego czynszu!

– No dobra – powiedziała Małgorzata. – Kurdyk zmienił zdanie, zostawił wojewodę. I coś mu odbiło z policją. Nie poskarżył się, bo przyszliby do ciebie.

Ewa wzruszyła ramionami. Nie rozumiała niczego. Małgorzata uśmiechała się szeroko. W jej świecie takie problemy nie zasługiwały na uwagę.

– Nieważne, odzyskałaś obraz i już. A co z tym Ujazdem? Żartowałaś? Daj mi się czegoś napić! Po takiej adrenalinie umieram z pragnienia!

Ewa wstała i ruszyła do kuchni.

– Wyjeżdżam – rzuciła stanowczo. – I wyprowadzam się. Nie stać mnie już na takie mieszkanie. Umówię się z firmą przewozową, zabierze do ciebie część mebli. Dobrze?

Małgorzata usiadła przy kuchennym stole. Na jej widok papug zaczął skakać po klatce z rozpostartymi skrzydłami, skrzecząc przy tym przeraźliwie.

– Co mu jest? Dlaczego go nie wypuścisz?

– Cieszy się, bo cię zobaczył. I jednocześnie skarży się, że wyjeżdżam. Niech tam siedzi. Próbował mnie dzisiaj podziobać.

Spojrzenie Małgorzaty wyrażało teraz niepokój. Miała umiejętność przeskakiwania z nastroju w nastrój. W ciągu minuty potrafiła przejść od śmiechu do płaczu.

– Baltazar ma rację. Ujazd to dziura – stwierdziła i wyjrzała ostrożnie przez okno. – Odjeżdżają z Kurdykiem – oznajmiła. – Ciekawe, czym im podpadł. A ty mnie denerwujesz! – dodała.

Ewa wzięła ze stołu skrawek zapisanego papieru.

– Zostawiam ci adres Zofii. Rozejrzę się, może znajdę tam coś dla siebie. Jestem historykiem sztuki, a nie pismakiem.

– Bardzo dziękuję. A co ja? – zapytała Małgorzata cierpko.

– Będziemy się odwiedzać... – zaproponowała niepewnie Ewa, unikając spojrzenia zielonych oczu.

Jej ucieczka bez zapytania przyjaciółki o zdanie była zdradą zasad, których przestrzegały obie.

– Obraziłaś się na świat, na Warszawę – stwierdziła Małgorzata oskarżycielskim tonem. – W Ujeździe żyją zupełnie inni ludzie. I na pewno wielu superfacetów, wiernych, inteligentnych i przystojnych. Twój książkę już na ciebie czeka u bram wioski! – Uderzyła się w czoło teatralnym gestem. – Dlaczego jeszcze mnie tam nie ma? Idiotka ze mnie! Jadę z tobą!

– Idiotka! Idiotka! – wrzasnął papug.

– Zostawię ci Baltazara, dobrze? Na razie, zanim się nie urządzę.

– W życiu! – zaprotestowała Małgorzata. – Nie dam sobie rady z tym ptaszyskiem. Skąd nagle ta Zofia?

– To moja stryjeczna babka, opowiadałam ci o niej. Kiedy mama wyszła za ojca, cała rodzina zerwała z nią kontakt, bo tatuś nie był dobrze urodzony. Tylko ciotka Zofia zachowała się jak człowiek.

Małgorzata przewróciła oczami.

– Kiedy to się działo? W dziewiętnastym wieku?

– Nie znasz mojej rodziny – stwierdziła spokojnie Ewa.

– Wiem, że twój tatuś się zmył. Może jej członkowie nie mylili się co do niego?

– Podróżuje po świecie. Doznał szoku po śmierci mamy. – Ewa wzruszyła ramionami. – Byłam już prawie dorosła, nie potrzebowałam go.

Małgorzata ujęła przyjaciółkę pod podbródek, zmuszając do odwrócenia głowy. Zajrzała jej głęboko w oczy.

– Dorosła jak twój papug! – powiedziała. – Jesteś podobna do ojca, uciekasz, kiedy coś nawala. Proszę, jedź sobie do tego swojego Ujazdu, czemu nie? I znajdź robotę. Może w rolnictwie? Albo w lesie, przy sadzonkach? Wrócisz, jak się zrobi jesień, znam cię. Tylko wcześniej rozpijesz się z nudów.

Ewa objęła ją za szyję. Przytuliła się mocno.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła – odparła.

Zielone oczy zwilgotniały.

– Spadaj, egoistko! Nie chcę cię znać! – oświadczyła Małgorzata głosem obniżonym ze wzruszenia. Otarła oczy wierzchem dłoni. – Kiedy masz ten autobus? Odwiozę cię.

Ewa spojrzała na zegarek.

– Za godzinę! Psiakrew! – zerwała się i pobiegła do sypialni. – Oddasz klucze Kurdykowi, napiszę ci jego adres. Powiedz mu, że zrobię przelew. Zabierzesz książki? Ja nie dam rady.

Małgorzata pokręciła z ubolewaniem głową. Stała w progu i patrzyła smutno na przyjaciółkę, która szybko zapinała zamki w wielkiej torbie.

– Nie martw się, wszystko wezmę – powiedziała. – Zrobi się ciasno, ale zamieszkałam w łazience. Z Baltazarem.

– Dbaj o niego, bardzo proszę...

– Piórko mu z tyłka nie spadnie!

Torba wylądowała w przedpokoju.

Ewa weszła do kuchni, wspięła się na stół, odczepiła klatkę i postawiła ją na stole. Ostrożnie wsunęła palce między pręty i pogłaskała Baltazara po skrzydle. Papug nastroszył pióra, ale nie drgnął. Patrzył na nią osowiały.

– Masz rację, kochany – mruknęła Małgorzata. – Zostaliśmy zdradzeni.

Ewa westchnęła z rezygnacją, złapała za uchwyt torby i pociągnęła ją ku drzwiom. Wystawiła na klatkę schodową portret Ossolińskiego. Małgorzata podniosła klatkę.

– Makabra! Makabra! – wrzasnął Baltazar.

– Słusznie – przytaknęła Małgorzata. – Masz w ogóle jakieś pieniądze? – zwróciła się do Ewy.

– Mam. Dziękuję.

Trzasnęły drzwi, zazgrzytał przekręcany klucz. Ewa miała poczucie, że oto zamyka

za sobą kawał życia, do którego nie wróci już nigdy. Opanowała wzruszenie i dreszcz lęku przed nieznanym.

– Dzwon, cały czas. Jest tam zasięg? – zapytała z troską Małgorzata.

– No skąd? Na Syberii?

– Mądrała! Zobaczysz, jak będziesz tęsknić!

Ewa w milczeniu objęła przyjaciółkę.

– Idź już, bo mnie jasny szlag zaraz trafi! – wymamrotała Małgorzata, nie próbując powstrzymać łez. – Nareszcie się ciebie pozbyłam! Już dawno chciałam ci powiedzieć, że za dużo miejsca zajmujesz w moim życiu.

– Jasna cholera! – wrzasnął Baltazar.

Dwie godziny później Adam Dąbrowa bezskutecznie naciskał dzwonek.

Za plecami usłyszał ciężkie kroki. Na schodach pojawił się Kurdyk z ręką na temblaku. Zatrzymał się i spojrzał niezadowolony na intruza.

– Pan do kogo? – zapytał burkliwie.

– Do Ewy Modlińskiej.

– I co? Nie wpuszcza?

– Chyba jej nie ma – odpowiedział Adam niepewnie. I dodał tonem usprawiedliwienia: – Na dole było otwarte.

Kurdyk włożył klucze do zamka, przekręcił je i pchnął drzwi.

– Czego pan chce od Modlińskiej? – zainteresował się.

Adam pomyślał, że wygląd tego osobnika nie pasuje do opowieści jego klientki o stryjecznej wnuczce.

– Pan jest z rodziny? – zapytał chłodno.

Szerokie bary Kurdyka zasłaniały wejście. Najwyraźniej nie miał zamiaru nikogo wpuszczać do środka.

– Na szczęście nie – odparł przez zęby, na znak lekceważenia. – Coś przekazać?

– Jestem prawnikiem. Mam do pani Modlińskiej sprawę.

Kurdyk nie cierpiał prawników. Wiele razy miał z nimi kłopoty, kiedy stawali w obronie lokatorów.

– Oszukała kogoś – stwierdził ze złośliwą satysfakcją.

– Dlaczego tak pan uważa? – zapytał Adam spokojnie.

– To zawodowa oszustka.

Dąbrowa miał dość rozmowy z tym osobnikiem.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Mogę jej zostawić wiadomość?

– Zostawiaj pan, co chcesz – mruknął zarządca.

Wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi.

Zaskoczony Adam stał chwilę bez ruchu. Potem oparł teczkę o poręcz schodów, wyciągnął z niej notes i wieczne pióro, zaczął szybko pisać.

Tymczasem w sypialni Kurdyk patrzył ze złością na puste miejsce po portrecie.

– Kurwa mać! – wycedził.

Wyszarpnął z zanadru komórkę i wybrał numer.

– Nie ma jej, wyjechała – powiedział. – Zabrała obrazek. Co, co? No, mówię, że zabrała! Nie wisi, mam oczy! Zostawiła meble, mogę je wziąć. Więcej są warte od tego zakichanego portretu!

– Mówił pan, że to łatwe! – warknął telefon. – Gdzie jest obraz? Dlaczego pan go nie masz?

– Próbowałem! Jakiś złamas załatwił mi rękę! – Rozzłoszczony zarządca podniósł głos. – Myślałem, że to jej przydupas i że jej oddał obrazek! Dlatego tu teraz przylazłem.

– Idiota! Do jutra masz się pan dowiedzieć...

– Nie! Teraz ja mówię! – wrzasnęła Kurdyk. – Niczego nie będę robił! Należy mi się za moją fatygę! I za złamaną rękę!

– Jak nie znajdziesz, kretynie, obrazu, źle skończysz! – oświadczył groźnie głos w komórce.

Kurdyk aż pobladł z wściekłości.

– Co takiego? – Zagotował się. – Ja mogę iść na policję! – krzyknął. – I jak się podoba? Kasa albo pożałujecie!

Rozłączył się z pasją, rozejrzał, opanował trochę i ruszył przeszukać mieszkanie. Nie zamierzał rezygnować z pomysłu zabrania mebli. Ewa zgromadziła kilka antyków, które można z łatwością sprzedać.

W saloniku stał stół i dwa fotele w stylu empire. Mógłby je zabrać do swojego samochodu, gdyby nie to przekłete złamanie nadgarstka.

Kurdyk zamarł nagle, z poczuciem, że ktoś na niego patrzy.

Na szeszlengu w rogu saloniku siedział mężczyzna, który złamał mu rękę, i przyglądał się z ciekawością. Zarządca chciał coś powiedzieć, ale zakrztusił się i stracił oddech. Po sekundzie odwrócił się na pięcie i błyskawicznie wypadł na korytarz, po drodze uderzając się boleśnie o framugę.

Adam cofnął się przed otwierającymi się gwałtownie drzwiami. Omal nie zderzył się z uciekającym, ale ten wykonał unik i puścił się w dół schodami. Rozległ się ciężki tupot, trzasnęły drzwi. Zapadła cisza.

Zdziwiony Adam powoli przekroczył próg. Ostrożnie zajrzał do kolejnych pokoi. Spodziewał się groźnego psa lub innego zwierzęcia, lecz nic z tego. Uspokojony wyrwał kartkę z notesu i zawahał się, gdzie ma ją zostawić. Zdecydował się na kuchenny stół. Wyszedł z mieszkania, starannie zamykając za sobą drzwi.

Gdy jego kroki ucichły, zza drzwi saloniku wyszedł Giovanni. W kuchni znalazł zapisaną kartkę, przeczytał. Wyjął telefon, wystukał numer i po uzyskaniu połączenia odczytał:

– „Muszę się z panią spotkać w związku z ostatnią wolą Zofii Solińskiej. Proszę o telefon. Mecenas Adam Dąbrowa”.

– Jesteś pewien, że zabrała obraz? – zapytał po włosku głos Federica Farnese.

– Tak, wuju.

– To wracaj. Nic tam po tobie.

– Dobrze. Już jadę – potwierdził Giovanni.

Wyszedł z mieszkania i pozamykał zamki wytrychem z elektrycznie sterowaną głowicą. Był z siebie dumny. Trudne i niebezpieczne zadania to była jego specjalność.

Zieleń pofałdowanych pól i głęboki cień lasów działały na Ewę kojąco. Za każdym razem kiedy ruszała przez Polskę, zaskakiwało ją, że żyje w tak pięknym kraju. Pamiętała zdanie z wykładu swojego ulubionego profesora Jelińskiego: „Wielkie miasta sprawiają, że nasza wyobraźnia zmienia się w beton i szkło”.

Przez całą drogę robiła zdjęcia i filmowała mijane pejzaże, zabarwione przez zachodzące słońce na wszystkie odcienie czerwieni.

Mężczyzna siedzący kilka rzędów przed nią, o wyglądzie rolnika zmęczonego życiem i alkoholem, często oglądał się i uśmiechał, ukazując braki w uzębieniu. Albo przymrużał znacząco przekrwione oczy.

Ewa starała się nie zwracać na niego uwagi. W końcu posłała mu zdawkowy uśmiech, który powinien zakończyć nieudolne próby flirtu, co jednak okazało się błędem. Rolnik natychmiast podniósł wypchaną zakupami plastikową torbę i przesiadł się na sąsiedni fotel.

– Spikniemy się? – zaproponował ochryple.

Nie od razu zrozumiała ofertę. Na wszelki wypadek zapytała uprzejmie:

– Przepraszam, że co?

Mężczyzna z zachęcającym uśmiechem otworzył umieszczoną między swoimi kolanami reklamówkę. Kołysały się w niej w rytm jazdy dwie butelki wódki, parę puszek piwa i duże pęto kiełbasy.

Rolnik mrugnął znacząco, najwyraźniej dumny z tych zasobów.

– Dziękuję, nie jestem zainteresowana – powiedziała Ewa, starając się, aby jej głos zabrzmiał uprzejmie i stanowczo.

– Tak się tylko mówi!

Tymczasem autobus wjechał do Opatowa i zatrzymał się przed czerwonym frontonem nowoczesnego dworca PKS. Ewa chwyciła opakowany w tekturę obraz i energicznie ruszyła do wyjścia.

Jej sąsiad nie opuścił fotela, ale pomógł jej się przepchnąć, skwapliwie wspierając dłońmi jej pośladki.

Oszołomiona Ewa zdała sobie sprawę, że oto znalazła się w świecie, w którym panują odmienne prawa. W Warszawie nie zawahałby się za taki chwyt walnąć w pysk. Tutaj istniało ryzyko, że zostanie skarcona. Zdusiła w sobie obrazę, bez słowa podążyła do drzwi.

Kątem oka dostrzegła ironiczny uśmiech jednej z pasażerek.

Kierowca otworzył bagażnik, ale nie pośpieszył z pomocą. Ewa wywlekła więc swoją torbę samodzielnie, postawiła na chodniku i rozejrzała się bezradnie. Na pustym placu nie było wózków. W oddali zobaczyła postój taksówek.

– Damy radę – usłyszała za plecami chrapliwy głos.

Uśmiechnięty rolnik wręczył jej pobrzękujący szkłem plastik i pewnie chwycił za jej bagaż. Był silny.

Dobrze, że nie próbowałam szarpać się z nim w środku!, pomyślała Ewa.

– Dziękuję – wymamrotała, zastanawiając się, czy on nie weźmie tego za zachętę

do znajomości.

Ruszyli w stronę postoju. Ewa czuła na plecach wzrok pozostałych pasażerów autobusu. Była pewna, że w ich wyobraźni „spiknęła się” z rolnikiem skuszona prowiantem z reklamówki.

Małgorzata miała rację. Wystarczyło, że wysiadłam, a już spotkałam prawdziwego mężczyznę!

– Moja stara przekręciła się jesienią. Dzieciaki w internacie, babka ciągle śpi. Nikt nam nie przeszkodzi – zapewniał przyjaznym tonem jej towarzysz.

Ewa powstrzymała się od komentarza.

Na ich widok pierwszy taksówkarz wysiadł z wozu i otworzył bagażnik. Był łysy, niewielkiego wzrostu, z dużym brzuchem.

– Wsiadaj! – rzucił rolnik.

Ewa postawiła plastikową torbę na krawężniku, położyła portret na tylnym siedzeniu, a sama umościła się na tym dla pasażera. Rolnik wsadził torbę do bagażnika i zatrasnął go z impetem.

Ewa nacisnęła guzik blokujący zamek.

– Niech pan jedzie, bardzo proszę! – powiedziała do taksówkarza.

Ten skinął głową na znak, że rozumie sytuację, natychmiast uruchomił silnik i wrzucił bieg.

Grymas uśmiechu znikł z twarzy zdumionego rolnika, który gniewnie szarpnął za klamkę i zapukał w szybę. Ewa skuliła się na siedzeniu.

Wóz skoczył do przodu, a uczepony klamki rolnik omal nie upadł. Gdy jego sylwetka rozplynęła się w oddali, Ewa odetchnęła z ulgą.

– Ale miała pani pomysł! – skomentował kierowca.

– Nie miałam – odparła, wdzięczna za ratunek. – Do Ujazdu proszę. Zna pan dworek Zofii Solińskiej?

– Oczywiście! Kto by nie znał? – potwierdził taksówkarz i dodał z poważną miną: – Bardzo współczuję.

– Powiedziałam już, zakończmy ten temat – ucięła zdecydowanie.

Pochwyciła w lusterku zaskoczone spojrzenie taksówkarza, ale nie miała zamiaru wysłuchiwać ani jednego słowa więcej o wydarzeniach na postoju.

Pół godziny później taksówka wjechała w długą dębową aleję. W zapadającym mroku drzewa robiły wrażenie wiekowych strażników, z uwagą pochyłających się nad przybyszami, gotowe powstrzymać ludzi, którzy zjawiają się ze złymi zamiarami.

Ewa od dziecka uwielbiała te dęby za dnia i obawiała ich się po nocy, kiedy zdawały się ożywać. Światła samochodu to wyławiały, to gubiły w półmroku grube pnie i ciemne korony. Miało się wrażenie, że drzewa chcą powierzyć ludziom swój smutek.

Aleja kończyła się szerokim gazonem przed klasycznym dworkiem z drewnianą werandą, spadzistym dachem i ścianami pokrytymi bluszczem. Tętno Ewy przyśpieszyło, obudziły się wspomnienia z dzieciństwa.

Cieszyła się na spotkanie z babką Zofią, na szereg wspaniałych dni wypełnionych

energiją, poczuciem humoru i błyskotliwą inteligencją starszej pani. Przy niej monotonia była wykluczona, ciekawiła każda rozmowa podczas konnych i pieszych wypraw po okolicy. A obowiązkowa wizyta w ruinach Krzyżtoporu wypełniona była coraz to nową opowieścią o czasach Ossolińskiego.

Zofia zdawała się być depozytariuszką wiedzy o pałacu i jego budowniczym. Dzieliła się nią z pasją, która czasem dziwiła jej stryjeczną wnuczkę. Potrafiła przeklinać Szwedów i Rosjan, niszczycieli zamku, jakby zrobili to nie dwieście, lecz zaledwie kilka lat temu. Żałowała szczerze, że Krzysztof Ossoliński nie zdążył się nacieszyć swoim dziełem, bo rok po przeprowadzce do pałacu zmarł na febrę. A jego syn Baldwin zginął zaraz potem, na wojnie z Turkami.

– Opatrzność przypomina nam, że sięgając zbyt wysoko, możemy upaść najniżej – mawiała Zofia, stojąc przed potężnymi murami i patrząc na wieże odcinające się na tle nieba.

Taksówka zatrzymała się przed dworkiem. Zaparkowano tu kilka osobowych samochodów, na werandzie zebrała się grupa osób ubranych na czarno. Nie był to zwyczajny widok, bowiem Zofia nie przepadała za wizytami. Czyżby babcia zachorowała?, zaniepokoiła się Ewa. Może dlatego nie odpowiadała na telefony i esemesy?

Zapłaciła taksówkarzowi, wysiadła z portretem w dłoni i zobaczyła biegnącą w jej stronę chudą siedemnastolatkę z długimi nogami i podskakującym końskim ogonem. Z okrzykiem radości dziewczyna zawisła Ewie na szyi.

– Cudownie, że jesteś! – zawołała. – Oszaleć z nimi można!

– Iza, ja też się cieszę. Nie uduś mnie! – roześmiała się Ewa, oddając uściski.

Taksówkarz z wysiłkiem wyciągnął z bagażnika torbę, postawił ją przed werandą i uklonił się obecnym. Odpowiedziały mu skinienia głów, z rezerwą przekonania o wyższym szczeblu na drabinie społecznej.

Ewa przebiegła wzrokiem po wpatrzonych w nią twarzach.

Pośrodku grupy stała imponująca rozmiarami ciocia Lusia, która podczas pięćdziesięciu trzech lat życia nigdy i nikomu nie przyznała racji. Jej zdaniem świat składał się z durniów albo w najlepszym wypadku cwaniaków, którzy próbują ją przechytrzyć i wykorzystać. Długi nos ciotki rozpoznawał i jednych, i drugich, a przenikliwy wzrok i ostry głos nie pozostawiały złudzeń co do jej wyższości nad resztą ludzkiej rasy.

Wuj Zenon trzydzieści trzy lata temu został jej mężem, składając tym samym kontrolę nad swoim losem w jej ręce. Odpowiadało mu to, ponieważ od dziecka miał problem z wypowiedzeniem własnego zdania na jakikolwiek temat. Chudy i niewielki, z mocno przerzedzonymi włosami na okrągłej czaszce tkwił u boku żony gotów do potakiwania i obrony jej stanowiska. Czasami jednak wybuchał w nim ogień wolności i wówczas dochodziło do piekielnych zwarć. Lusia miotła piorunami, on krzyczał cienkim głosem. Sypały się wyzwiska, przywoływano fakty z całego okresu pożycia. Zenon wycofywał się, pokonany, a po kilku godzinach składał przeprosiny. Uzyskiwał wybaczenie i w nagrodę bywał przytulany do rozległej żoninej piersi.

Ich córka Izabella nie przypominała ani matki, ani ojca. Była chodzącą prostotą,

radością i wdziękiem. Trochę jeszcze dziecinna, zapowiadała się na piękną kobietę. Z wielkimi ciemnymi oczami, pełnymi ustami i wydatnymi kośćmi policzkowymi przypominała Ewę, którą uwielbiała od dziecka.

Podobieństwo do rodziców wykazywała natomiast jej starsza siostra, trzydziestotrzyletnia Daria, owoc pochopnej namiętności, jak o niej mawiała matka. Wielka jak Lusia, lecz z wątłym ciałem Zenona miała za duże stopy na końcu chudych nóg i wklęsłą klatkę piersiową. Ładne, ale zbyt szeroko rozstawione oczy i tapirowane na niedużej głowie rzadkie włosy nie dodawały jej uroku. Zawsze była gotowa do konfliktów, których obiektem był jej mąż Robert.

On sam uważał się za przystojnego mężczyznę. Cieszył się powodzeniem u kobiet, zanim roztoczona przez Lusię, lecz dotąd niezrealizowana wizja majątku skłoniła go do poślubienia Darii. Po ślubie przestał odwiedzać kluby fitness, folgował sobie z jedzeniem i pić. Zaokrąglił mu się brzuch, wypełniło podgardle, a twarz zaczęła przypominać talerz klusek.

Zofia miała własną teorię na temat namówienia Roberta do ślubu z Darią. Jej zdaniem chodziło o pozyskanie mężczyzny, w którym wyczuła materiał do realizacji swoich planów. W przeciwieństwie do nieatrakcyjnego Zenona, przystojny i wygadany Robert był świetnym reprezentantem poplątanych interesów rodziny. A Lusia marzyła o bogactwie i wdawała się w operacje finansowe, które rzadko kończyły się sukcesem.

Ewa nie miała wątpliwości, że jej stryjeczna babka, nawet poważnie chora, nie zgodziłaby się na taki rodzinny zjazd. Co innego, gdyby chodziło wyłącznie o Izę, za którą przepadała i która często bywała jej gościem.

– Dzień dobry, Ewo – powiedziała poważnym tonem Lusia, nie ruszając się z werandy. – Nie zawiadomiłaś nas o swoim przyjeździe.

– Czy coś się stało?

– Jak to? To ty nic nie wiesz? – Uniesione w zdziwieniu brwi oznaczały, że Lusia czuje się dotknięta.

Ewa pobladła i położyła dłoń na ustach. Miała ochotę uciec, aby tylko nie usłyszeć nieuniknionego.

Lusia westchnęła, ocierając palcami niewidoczną łzę.

– Kochana ciocia Zofia opuściła nas. Przedwczoraj w nocy.

– To mama nie zadzwoniła do Ewy? – Iza zwróciła się do matki z pretensją.

– Myślałam, że Zenon to zrobił – oświadczyła Lusia i spojrzała na męża. – Nie zawiadomiłaś siostry?

– Umawialiśmy się, że to ty powiadomisz wszystkich – przypomniał Zenon, unikając jej wzroku.

Cała rodzina patrzyła na Ewę z ciekawością. A ona stała, niezdolna do ruchu, z oczami pełnymi łez, drżała na całym ciele. Miała wrażenie, że jej świat runął, że nie ma dokąd się zwrócić. Nagle stała się straszliwie samotna. Dlaczego nie odwiedziłam Zofii przez ostatnie pół roku?, zadawała sobie pytanie. To moja wina! Zaniedbałam ukochaną osobę, być może przyspieszyłam jej śmierć...

– Przykro mi, ale wyszło, jak wyszło – oświadczyła chłodno Lusia, głosem, który oznaczał, że okazywanie uczuć jest słabością. – Byliśmy wstrząśnięci, przyjechaliśmy

natychmiast.

Ewa odwróciła się, wciąż z dłonią przy ustach. Jej ramiona zadrgały od płaczu, gdy odeszła kilka kroków wzdłuż ściany dworku.

Iza spiorunowała matkę wzrokiem, pobiegła za Ewą, objęła ją ramieniem. Ona przytuliła dziewczynę, z wysiłkiem próbowała opanować płacz, lecz łkanie wezbrało w gardle i wylało się potokiem łez.

Lusia nachyliła się do Zenona.

– Popatrz tylko na ten teatr! – powiedziała donośnym szeptem.

– Jak możesz...? – zaczął, ale nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

Była to jedna z tych chwil, w których małżonkowie rozumieli się doskonale. Kiedy w ich mniemaniu inni ludzie okazywali się słabsi i gorsi.

Lusia wzruszyła ramionami.

– Nie zdążyła naciągnąć Zofii na spadek, dlatego ryczy – stwierdziła. – Jak myślisz, po co ciągle tu przyjeżdżała?

– Komediantka! – Do rodziców dołączyła Daria, patrząc na męża w oczekiwaniu solidarności, ale Robert milczał znudzony.

Lusia westchnęła niecierpliwie.

– Jeśli chcesz pożegnać Zofię, zapanuj nad sobą! – zawołała do Ewy. – Nie zamknęliśmy jeszcze trumny. W tej temperaturze nie można z tym czekać, bo ciało zacznie się rozkładać!

Ewa skinęła głową. Wciąż stała przytulona do Izy, która delikatnie głaskała ją po głowie.

– Zajmijcie się jej torbą – zwróciła się Lusia do Zenona i Roberta. – No, ruszcie się! Po co ci tyle bagażu? – zapytała Ewę. – Aha, jeżeli chcesz zostać, to na pewno nie w tym domu! Wystawiamy go na sprzedaż.

Panowie zeszli z werandy, chwycili torbę za uchwyty i wmaszerowali do dworku.

– Nie mam ochoty na sceny – mruknęła Lusia z naganą w głosie. – Ludzie rodzą się i umierają, nas też to kiedyś spotka. Na razie trzeba zagospodarować wolne miejsca.

– Tak, mam – przyznała jak echo Daria.

Obie podążyły za mężami i znikły we wnętrzu dworku.

Kilka minut później Ewa i Iza weszły do hallu, trzymając się za ręce. Ewa była blada, miała zaczerwienione oczy.

Wysokie pomieszczenie udekorowane było czarnymi suknamami, które zakrywały obrazy, okna i wielki kredens w głębi. Na przykrytym czarnym aksamitem stole stała otwarta trumna, zgodnie z tradycją zwrócona nogami ku drzwiom, żeby ułatwić odejście duszy. Za głową widniał żelazny krucyfiks, po bokach płonął rząd świec.

Pomimo woskowej barwy, twarz zmarłej wydała się Ewie młoda i piękna. Sprawiała wrażenie wyrzeźbionej w marmurze. Ewa przypomniała sobie, że Zofia nie okazywała najmniejszego lęku przed przejściem na tamtą stronę, jak zwykła nazywać swoją śmierć.

– Ty się obawiaj. Wrócę i dam znać, jak tam jest – żartowała, nie zważając na protesty Ewy, według której babka miała żyć wiecznie.

Podeszła do trumny i wstrzymując oddech, pocałowała Zofię w czoło i oba

policzki. Przez moment miała wrażenie, że widzi drgające powieki. Zapragnęła zawołać, żeby ciotka zakończyła swój żart, wstała i poszła z nią na spacer.

Ale śmierć była bezwzględny przeciwnikiem. Ewa pamiętała chwilę, kiedy stała przed trumną matki. Niezgodę i niedowierzenie, że już nigdy nie zobaczy jej żywej, osoby, którą tak mocno kochała. Nigdy już nie porozmawiają, nie będą razem śmiać się i płakać ze wzruszenia.

To było niesprawiedliwe, bezsensowne. Świat nie powinien być urządony w taki sposób. Po co człowiekowi miłość, przyjaźń i wierność, jeśli mogą zostać zdmuchnięte jednym oddechem wieczności? Mówienie, że ludzie pozostają w naszych sercach, jest wymyśloną bzdurą, bo nie przynosi ulgi.

Cisza wokół trumny przeciągała się.

Lusia skrzywiła się z niesmakiem.

– Proponuję, abyśmy teraz uszanowali wolę Zofii i pozostawili zmarłą w spokoju – powiedziała z naciskiem. – Mamy kilka spraw do wyjaśnienia, zanim Ewa wyjedzie.

Przez otwarte drzwi dobiegł odgłos silnika i chrzęst żwiru pod kołami samochodu. Robert wyszedł na ganek, a po chwili wsunął głowę przez drzwi.

– Jest już prawnik – oświadczył.

– Najwyższy czas! – Ucieszyła się Daria, która od początku dnia cierpiała katusze nudy.

Ewa nie poruszyła się.

Lusia podeszła do drzwi i zatrzymała się ze złożonymi rękami w pozie gospodyni. Naprzeciwko niej pojawił się Adam Dąbrowa z aktówką w ręku.

– Dzień dobry. Przepraszam za spóźnienie – przywitał obecnych.

Podszedł do Lusi, która wyciągnęła przed siebie dłoń do pocałunku.

– Dzień dobry, panie mecenasie. Lepiej późno niż wcale.

Zaskoczona Ewa patrzyła w stronę drzwi. Na mężczyznę, który omal nie potracił jej przed biurkiem.

– Znasz go? – spytała cicho Iza.

– Nie.

Mecenas ujął dłoń Lusi, odwrócił ją i potrząsnął.

– O której pogrzeb? – zapytał i w tej samej chwili dostrzegł Ewę. – Czy pani Modlińska?

– We własnej osobie – odpowiedziała Lusia. – Dlaczego pan pyta?

Adam podeszedł, skłonił głowę w stronę trumny.

– Żałuję, że wtedy pani nie rozpoznałem. Proszę przyjąć moje kondolencje. Wiem, jak bliska relacja łączyła panią ze zmarłą.

– Dziękuję.

Lusia westchnęła, zniecierpliwiona.

– Można wiedzieć, w jakim celu szukał pan naszej krewnej? – zainteresowała się cierpko.

Adam zawahał się, czy ujawnić prawdę.

– Nie byłem pewien, czy otrzymała zawiadomienie o postępowaniu spadkowym – skłamał gładko.

– Wszyscy otrzymaliśmy. Nie musiał się pan trudzić – wtrąciła Daria.

– No właśnie – przytaknęła jej matka.

Ewa patrzyła uważnie. Mecenasa najwyraźniej coś ukrywał.

– Dziękuję – powiedziała. – Nikt mi nie powiedział o śmierci babci.

– Ach tak...?

– Zaszło małe nieporozumienie – stwierdziła Lusja. – Przywiózł pan testament, prawda?

– Odczytanie po pogrzebie? – odparł Adam pytaniem.

– Jeśli musimy trzymać się przesądów... Ja nie miałabym nic przeciwko załatwieniu formalności już dzisiaj.

Mecenas zignorował ten przytyk.

– Jeśli to wszystko, pozwólcie państwo, że się pożegnám. Jeszcze raz moje kondolencje.

Lusja chłodno skinęła głową.

– Pogrzeb o dziewiętej – oznajmiła. – Proszę się nie spóźnić i zabrać testament – dodała sucho. – Do zobaczenia, panie mecenasie.

Uklonił się Ewie, skierował do wyjścia.

Zaintrygowana, ruszyła za nim. A za nią Iza.

– A ty dokąd? – powstrzymała ją matka ostro.

Iza nie zwróciła na nią uwagi.

Ewa i Adam przystanęli na podjeździe przed werandą.

– Babcia Zofia prosiła, żeby pan się ze mną spotkał, prawda?

Popatrzył na nią ze współczuciem. Błada, z podkrążonymi i zaczerwienionymi oczami, wyglądała jak skrzywdzona dziewczynka.

– Po pogrzebie – szepnął. Zerknąwszy na Izę, dodał: – W cztery oczy, jeśli to możliwe.

– Dobrze.

– Zatem do widzenia, pani Ewo. Bardzo mi przykro.

– Do widzenia.

Adam uklonił się, wsiadł do terenowego jeepa i uruchomił silnik. Okrążył gazon i oddalił się aleją wśród dębów. We wstecznym lusterku nikła kobieca postać.

Nagle zapragnął zawrócić, ale powstrzymał odruch. To nie jest dobra chwila, muszę poczekać do jutra, postanowił. Przypomniał sobie moment, kiedy minął się z Ewą w drzwiach windy, i swój żal, że nigdy jej nie zobaczy. Nabrał głębiej powietrza, zacisnął dłonie na kierownicy i przyśpieszył.

3.

Mały cmentarzyk położony malowniczo pośród starych wiązków i klonów, które strzegły spokoju dusz, pamiętał czasy świetności Krzyżtoporu. Niebo ponad nim smuciło się niskimi chmurami.

Czytając zatarte litery na nagrobkach, Ewa próbowała wyobrazić sobie, jak żyli ludzie, o których nikt już nie pamięta. Epitafia powinny więcej mówić o zmarłych, pomyślała. Pracował, marzył i kochał, był pogodnym miłym człowiekiem. Ponury samotnik, nudziarz, pijak, awanturnik. Nieszczęśliwa z oziębłym mężem. Wyrachowana, skąpa. Bogobojna, szczodra, wspaniała kochanka.

Otrząsnęła się z zadumy, kiedy stary ksiądz na czele żałobnego orszaku zatrzymał się przed otwartym grobowcem, nad którym rozpostarła skrzydła granitowa anielica. Dwaj grabarze zdjęli trumnę z wózka i położyli na ziemi. Wokół zgromadził się zbity tłumek kobiet, mężczyzn i dzieci przybyłych z okolicznych miasteczek i wsi.

Naprawdę tak wielu zechciało wyrazić szacunek dla Zofii, pomimo że babcia nie przepadała za ludzkim towarzystwem?, zdziwiła się Ewa.

Wśród żałobników dostrzegła trzymającego się z tyłu Adama Dąbrowę. Zapomniała o nim albo raczej starała się zapomnieć. Zainteresowanie nowym mężczyzną zaraz po zdradzie Roberta nie jest dobrym pomysłem. Miała wrażenie, że słyszy cichy śmiech babki. Zofia zawsze śmiała się z sercowych dramatów Ewy.

– To nie była jeszcze ta miłość, kochanie – mówiła, trzymając jej dłoń i patrząc w oczy ze współczuciem. – Teraz liczy się tylko to, czy masz siłę, aby pogonić za kolejnym marzeniem. Miłości nigdy nie zabraknie. Jest najwspanialszą siłą, która rządzi wszechświatem. Nasze zadanie to zachować otwarte serca i umysły, a ona znajdzie nas sama. Zawsze.

Miała rację. Nie mijało wiele czasu, a Ewa znów była gotowa na nowe uczucie.

Teraz nikt nie przywróci mi równowagi, pomyślała. Muszę polegać na pamięci, przywoływać słowa Zofii. Ciekawe, co by powiedziała o Robertcie?

– To szczęście, że okazał się zdrajcą właśnie teraz – stwierdziłaby zapewne. – A nie za dziesięć lat, kiedy miałabyś z nim dwoje dzieci.

Ewę zaskoczyły własne myśli. Dzieci? W żadnym z mężczyzn, z którymi była związana, nie zobaczyła ojca swoich dzieci.

– No właśnie! – Ucieszyła się Zofia w jej głowie.

Ewa zerknęła podejrzliwie na trumnę. Miała wrażenie, że babka doskonale bawi się na własnym pogrzebie.

„Każdy człowiek ma prawo do szczęścia”, powróciło zdanie ze snu. Teraz już była pewna, że wypowiedziała je Zofia. Nie, ona nie umarła, tylko jej ciało odeszło. A ona po prostu przybrała subtelniejszą formę bytu i odtąd już zawsze będzie przy Ewie.

Poruszona tą myślą, najchętniej odeszłaby z cmentarza, aby w spokoju porozmawiać z Zofią.

Przywołała się do porządku, skupiła wzrok na księdzu i stojącej obok niego sześćdziesięciolatce, która pracowała w dworku jako gospoia. Miała na imię Zenia, była związana z Zofią od trzydziestu lat i traktowana przez nią jak krewna. Jej szerokie

ramiona drgały od płaczu, pulchna twarz była mokra od łez.

Ewa uświadomiła sobie, że Zeni nie było w dworku. Że widzi ją po raz pierwszy od przyjazdu.

Lusia, Zenon, Daria i Robert nie odstępowali trumny na krok. Jak strażnicy pilnujący, żeby zmarłej nie przyszło do głowy zmartwychwstać i uciec, przemknęło Ewie przez myśl.

Lusia ubrana była w długą do kostek koronkową suknię i ogromny kapelusz. Dłonią w czarnej rękawiczce przyciskała do oczu białą chusteczkę. Daria miała taką samą czarną kreację, jak matka; znudzona, odruchowo sprawdzała godzinę na małym zegarku. Obaj mężowie wystąpili w ciemnoszarych garniturach.

Wśród tłumu wyróżniała się okrągła postać osobnika w aksamitnym ubraniu, zielonym krawacie i ze sztuczną różą w butonierce. W dłoni ścisnął bukiet żółtych tulipanów. Ufarbowane na czarno włosy przyklejały się do spoconego czoła, które ocierał co chwila.

Ewa nie pamiętała, by spotkała go kiedykolwiek.

Próbując zapanować nad smutkiem i osamotnieniem, ponownie spojrzała na trumnę. Będę przychodzić na cmentarz, siadać przy grobie Zofii, zwierzać się jej i opowiadać o ważnych zdarzeniach, pomyślała. Zostanę wysłuchana. Niewidzialna obecność babki wesprze mnie w chwilach próby.

Poczuła uścisk dłoni Izy. Zapłakana twarz dziewczyny sprawiła, że poczuła jeszcze większy smutek. Przypomniała sobie, jak często Iza przyjeżdżała do Ujazdu. Śmierć Zofii była ogromną stratą i dla niej.

Objęła dziewczynę ramionami, poczuła, że cała drży.

Usłyszała głos księdza.

– Powierzamy dziś Panu naszą drogą Zofię Solińską. Znaliśmy ją z mocnego i niepokornego charakteru, ale także z wielkiego serca. Nikt nie odszedł sprzed progu jej domu bez dobrego słowa, a często i materialnego wsparcia. Komunizm odebrał jej rodzinie majątek, lecz Zofia po jego odzyskaniu dzieliła się nim jak prawdziwa chrześcijanka. Będzie nam brakowało jej dzielności, współczucia. A także ostrych słów, od których niejednemu z tutaj obecnych czerwieniały uszy.

W tłumie żałobników rozległy się niewyraźne kobiece potakiwania. Mężczyźni zachowywali pozorną obojętność. Ktoś zachichotał nerwowo, ale uciszyły go karcące szept.

Lusia zmierzyła spojrzeniem Adama Dąbrowę. Nachyliła się do męża.

– Przylazł ten mecenas – wyszeptała z naciskiem. – On coś knuje.

– Niby jak? – zapytał Zenon, również szeptem.

Jego żona spojrzała wymownie na Ewę.

– Coś z nią.

Zenon wzruszył ramionami. Na cmentarzu czuł się bezpiecznie.

– Zawsze te twoje obsesje! – mruknął zadowolony, że znalazł dobre określenie i nie zostanie skarcony.

– Mam nosa do ludzi. A ty jesteś naiwny – wyszczała Lusia i nieco podniosła głos, by mogli ją usłyszeć stojący najbliżej. – To jest twój majątek. Twoje święte prawo

najbliższego krewnego!

– Dobrze, już dobrze! Ćśśś! – Uspokajał. – Nie tutaj, proszę.

– Jak sobie chcesz! – wyszeptała. – Ale żebyś mi potem nie płakał!

Wiatr poruszył konarami drzew, zaszumiały ciężkie krople deszczu. Rozprysnęły się na granitowej płycie i na skrzydłach anielicy. Ponad tłumkiem żałobników wykwitły czarne czasie parasoli.

Deszcz bębnił o czerwone dachówki opuszczonego dworku, przypominając o upływającym czasie.

Na tyłach przesuwała się zwinna postać mężczyzny; Marco Farnese, w dżinsach i sportowej kurtce, trzymał torbę, w której pobrzękiwały metalowe narzędzia. Zatrzymał się i spróbował popchnąć framugę okna, ale nic z tego. Podszedł do kolejnego, sprawdził ponownie. W trzecim dostrzegł otwarty lufcik.

Zawahał się, po czym rozpoczął wspinaczkę. Starając się robić jak najmniej hałasu, wsunął przez lufcik torbę, a potem ciało. Z wysiłkiem przecisnął ramiona, chwycił się wewnętrznego parapetu, usiadł na nim, aż wreszcie stanął na podłodze.

W pokoju panował półmrok – deszczowe chmury i gałęzie klonu nie przepuszczały dziennego światła. Marco wyciągnął z kieszeni kurtki małą latarkę. Omiótł mocnym snopem światła antyczne meble i ściany zawieszzone pociemniałymi portretami. Znajdował się w niewielkim saloniku, który służył pani domu za gabinet. Spojrzał na zavalone książkami i papierami biurko.

Poprawił okulary, wyjął telefon i wybrał numer.

– Jestem – powiedział po włosku.

– Brawo! – pochwalił go głos Federica.

– Dużo starych papierów...

Między książkami stała ozdobna szkatułka. Marco otworzył ją, wyciągnął poźółkłe, ręcznie zapisane kartki.

– Jakiś dziwny język – stwierdził. – Chyba greka.

– Nie jesteś w bibliotece! – skarcił go Federico. – Szukaj dalej!

Marco odstawił szkatułkę, obszedł biurko i sięgnął do szuflad.

Na piaszczystej drodze, za kamiennym murem otaczającym park, Federico i Giovanni siedzieli w jaguarze. Deszcz bębnił o karoserię, rozmazując na szybie obraz rozległych pól. Giovanni wpatrywał się w swój telefon. Jego oczy błyszczały.

– Marco! – Federico ponaglił go niecierpliwie.

– Zaraz, wuju, zaraz! Widzę coś po włosku...

Starszy Włoch wyciągnął ze schowka pudełko z cygarami. Od jednego z nich małym nożykiem odciął końcówkę. Wcisnął zapalniczkę pod deską rozdzielczą.

– Przepraszam, wuju. Ale chyba się udusimy – zaprotestował miękko Giovanni.

Zapalniczka wyskoczyła ze szczękiem. Federico przytknął ją do trzymanego w ustach cygara, zaciągnął się głęboko dymem. Giovanni, wciąż zapatrzony w wyświetlacz komórki, uruchomił silnik.

– Dokąd się wybierasz?

– Jakieś trzysta metrów, blisko...

Federico zabrał bratankowi telefon. Z ekranu spojrzął na niego mały żółty stworek.

– Jesteś skończonym kretyńcem – stwierdził spokojnie. – Jeszcze raz zobaczę, że w to grasz, i odeślę cię do domu. Nie dostaniesz ani grosza.

– Przepraszam – wymamrotał Giovanni. – Już więcej nie będę.

Wyłączył silnik, odkaszlnął i uchylił okno. Pomyślał z żalem, że pokemon Drowzee na niego nie zaczeka. W Polsce nie schwytał jeszcze żadnego, zajęty wypełnianiem rozkazów apodyktycznego wuja. Zrezygnowany patrzył na wydobywające się z auta kłęby dymu z cygara.

Deszcz rozszumiał się w drzewach, okrył cmentarz litościwym całunem. Rozpuszczał łzy na policzkach Ewy.

Przemoczeni grabarze pośpiesznie wsunęli trumnę do krypty, naciągnęli na otwór granitową płytę. Na niej ułożyli wieńce i bukiety.

W kolejce do rodziny zmarłej ustawił się długi szereg uczestników żałobnej ceremonii. Lusią i Zenon ściskali dłonie, wysłuchiwali kondolencji, uśmiechali się uprzejmie i kiwali głowami. Daria i Robert odeszli na bok. Ukryci pod ogromnym parasolem niecierpliwie wyczekiwali końca.

Przed Ewą i Izą przystanął osobnik z różą w butonierce. Aksamitny garnitur nasiąknął wodą, krawat przekrzywił się, farbowane włosy przykleiły się w strąkach do czaszki. Blisko osadzone oczy, długi nos i wąska broda przypominały lisa. Pochwycił dłoń Ewy i uważnie spojrzął jej w oczy.

– Pani to Ewa Modlińska, prawda? – zapytał z naciskiem.

– Tak. A pan?

– Podrecki. Maurycy, kustosz muzeum w Zamościu. W pani cała nasza nadzieja!

– Nie rozumiem. – Spojrzała zdziwiona.

– Wszystko się wkrótce wyjaśni – rzucił Podrecki z tajemniczą miną. – Bardzo pani współczuję.

Pochylił się i złożył na dłoni Ewy ceremonialny pocałunek. Po czym odszedł w kierunku cmentarnej bramy, ignorując resztę rodziny.

– Okropny typ! – wyszeptała Iza. – Cuchnął jak perfumeria dla bezdomnych!

W konarach mocniej zaszumiał wiatr. Szarpnął parasolami, zaciął deszczem w twarz. Lusią potrząsała ręką starego wieśniaka, który mamrotał coś niewyraźnie.

– Przepraszamy, ale przy tej pogodzie nie sposób dłużej tu stać! – oznajmiła donośnie. – Zapraszam na stypę do dworu Zofii! Do zobaczenia!

Energicznie popchnęła Zenona i ruszyli oboje, walcząc o parasol ze wzmagającym się wiatrem. Tłumek żałobników rozstał się, potem poszedł w ich ślady. Ksiądz i grabarze podążali truchtem na końcu.

Cmentarz opustoszał.

Nad pokrytym kwiatami grobem pozostały przemoknięte Ewa z Izą. Nagle nad ich głowami ktoś rozpostarł duży parasol. Ewa odwróciła się i zobaczyła mecenasa Dąbrowę.

– Dziękuję, ale to nie jest konieczne – powiedziała zmieszana.

– Wolałbym, żeby nie rozchorowały się panie na zapalenie płuc – oświadczył poważnie prawnik. – Czekają nas trudne zadania – dodał.

Ewa powstrzymała chęć zapytania, co ma na myśli.

– Dobrze znał pan Zofię? – Zmieniła temat.

– Taka kobieta, jak ona, nie pozwala nikomu poznać się do końca. Tajemniczość była jedną z jej fascynujących cech – odparł Adam, przytrzymując jednocześnie szarpany wiatrem parasol.

– Też miałam uczucie, że babcia ma swoje sekrety – westchnęła Ewa ze smutkiem.

– Żałuję, że nie zadawałam jej więcej pytań.

– Ona i tak odpowiadała tylko na te pytania, na które miała ochotę – zauważyła Iza. Ewę zaskoczyła trafność tej uwagi. Zerknęła na prawnika.

– Nie przychodzi mi do głowy żadne stosowne epitafium – powiedziała w zadumie.

We troje, w zacinającym deszczu i podmuchach wiatru, wyglądali jak spiskowcy. Zza cmentarnego muru dobiegał warkot silników odjeżdżających samochodów.

– Kochała życie – powiedział Adam.

Ewa pokiwała głową.

– I była kochana. Tak każę napisać. Dziękuję.

– Mnie też się podoba, ale chodźmy już. – Iza zadygotała z zimna. – Zaraz dostanę kataru.

Marco utknął w lufciku.

Jak to się stało?, myślał w popłochu. Przecież do środka wcisnąłem się bez problemu. Zapewne dlatego, że zamiast obu rąk włożyłem jedną, razem z głową!

Nie był w stanie wykonać ruchu w żadną stronę. Szarpnął mocniej uwięzioną ręką i usłyszał trzask pękającej skóry. Moja ulubiona kurtka!, jęknął w duchu. Zaczynała go boleć wykrzywiona szyja, miał ochotę wyc z wściekłości i bezradności.

Wolną ręką wymacał w kieszeni telefon. Wyciągnął go z trudem i, zezując przez szybę, wybrał numer.

– Co się dzieje? – usłyszał.

– Zaklinowałem się!

– Jak to? Gdzie?

– W pieprzonym oknie! – wyjęczał Marco. Przekręcenie głowy sprawiło, że szyja rozboleła go jeszcze bardziej. – Zaraz będę wisiał!

– Czekaj! Nie ruszaj się! I nie rób hałasu! – polecił mu Federico.

Giovanni bez słowa wysiadł z samochodu. Jak zwykle to ja muszę posprzątać bałagan, pomyślał ze złością, ale i z satysfakcją. Plan zdobycia majątku już dawno wzięłoby w łeb, gdyby nie jego siła i rozum.

Wdrapał się na mur, zeskoczył po drugiej stronie i ruszył biegiem przez park, w stronę majaczących za zasłoną deszczu białych ścian dworku. Z boku zobaczył szereg reflektorów i wjeżdżające przez główną bramę auta. Skulił się odruchowo i skręcił w stronę gęstych drzew pod murem. Musiał teraz dotrzeć do domu szerokim łukiem.

Na gazonie kilkoro pracowników firmy cateringowej kończyło rozpościerać biały

namiot. Kelnerzy ustawiali na długich stołach talerze i sztuce. Kucharze krzatali się w mniejszym namiocie, gdzie parowały kotły z jedzeniem. Wszystkim dowodził energiczny szef, wysoki i chudy osobnik w czarnym garniturze z muszką.

Z pierwszego samochodu wysiedli Lusia i Zenon, z następnego Daria z Robertem. Ksiądz przywiózł Zenię. Tuż za nimi starym mercedesem kombi zajechał kustosz Maurycy Podrecki. Jako ostatnie pojawiły się Ewa i Iza, jeepem mecenasa Dąbrowy.

Lusia z werandy władczyim spojrzeniem ogarnęła przygotowania do stypy. Spojrzała w stronę dębowej alei.

– A gdzie się podziała reszta? – zwróciła się do męża.

– Nie mam pojęcia, kochanie – odparł równie zdziwiony. – Z cmentarza ruszyła kawalkada aut.

– To się dowiedz! Jak zawsze coś pokręciłeś!

– Ja? – zająknął się Zenon. – To ty ich zaprosiłaś na stypę...

– Zamknij się i zrób coś! – odpaliła Lusia ze złością.

Zenon sapnął gniewnie, a następnie zszedł z ganku i pomaszerował w stronę szefa ekipy cateringowej.

– Zmieniłam zdanie, wyjeżdżam – powiedziała Ewa, wysiadając z jeepa. – Możemy spotkać się w Warszawie?

– Proszę wytrzymać jeszcze trochę – poprosił z naciskiem Adam.

– Zostań, błagam! – poparła go Iza.

Ewa westchnęła. Wizja spędzenia kolejnych godzin w towarzystwie rodziny była ponad jej siły.

– Cóż, jeśli to konieczne...

– Dziękuję – odetchnął mecenas.

– Kochana jesteś! – Iza pocałowała ciotkę w policzek. – Nie chcę sama płakać!

Na tyłach dworku z lufcika wciąż wystawała głowa i ręka Marca Farnese. Jego twarz była wykrzywiona, okulary zaparowały od wysiłku.

– Pomóż mi! – wykrzyknął na widok nadchodzącego kuzyna.

– Cicho! – rozkazał szeptem Giovanni. – Wrócili już z cmentarza.

Zaczął energicznie wypychać kuzyna z powrotem.

– Co ty robisz? Ja chcę wyjść! – zaprotestował Marco.

– Nie gadaj! – uciał Giovanni.

Marco pojął wreszcie jego intencje. Zaczepiona o gwóźdź kurtka trzasnęła ostrzegawczo.

– Uważaj! – jęknął.

– Chcesz, żeby cię złapali? – zdenerwował się Giovanni.

Kosztowała mnie tysiąc euro!

– Idiota!

Kłócili się przez chwilę, szeptem. Obrażony Giovanni odwrócił się, na znak, że odchodzi.

– Dokąd idziesz? – zawołał za nim przerażony Marco. – Wracaj natychmiast!

Rodzina Zofii, ksiądz, kustosz i Zenia zebrali się w dużym salonie.

Mecenas Dąbrowa położył aktówkę na małym stoliku pod ścianą, gotów do

odczytania testamentu.

– Tata dostanie dworek i wszystko, a mama zrobi się jeszcze okropniejsza – wyszeptała Iza. – Miałaś rację, nic tu po nas.

Zanim Ewa zdążyła odpowiedzieć, rozległ się donośny głos Lusi.

– Zgodnie z tradycją podejmiemy okoliczną ludność poczęstunkiem. Przemokli i pojechali się przebrać, musimy na nich poczekać. Testamentem kochanej cioci Zofii zajmiemy się potem.

– Bardzo słusznie, droga pani. Tradycja – rzecz święta – przytaknął skwapliwie ksiądz.

– „Okoliczną ludność”! – szepnęła z sarkazmem Iza. – Za catering zapłaciła jeszcze babcia Zofia! Mama chciała odwołać stypę i odebrać kasę, ale się nie udało. Babcia przewidziała wszystko!

Ewa spojrzała na nią z rozbawieniem.

– To może ja zrobię państwu herbatę? – zaproponowała Zenia. – I kawę.

– Dziękujemy. Nic nam nie potrzeba, gosposiu – podziękowała Lusia, nie patrząc w jej stronę.

– Starsza pani mówiła do mnie po imieniu – stwierdziła gospodyni z godnością.

Nie znosiła, gdy zwracano się do niej w ten sposób.

– To nie jest najlepszy moment, ale skoro gosposia poruszyła ten temat, postanowiliśmy nie korzystać już dłużej z jej usług – oświadczyła Lusia.

– Że niby jak? – zdumiała się Zenia.

Nie wyobrażała sobie życia i pracy z dala od dworku ukochanej Zofii. Nawet gdy jej chlebodawczyni nie było już na świecie. Zajmowanie się domem uważała za swój obowiązek.

– Nie rozumie? – odparła niecierpliwie Lusia. – Zwalniam gosposię.

– Zwolnić to mnie mogła pani Zofia. A teraz jej siostrzeniec pan Zenon – oświadczyła Zenia spokojnie. – A na razie to ja zrobię państwu kawę.

Powiedziawszy to, odwróciła się z godnością i wyszła z salonu.

Lusię na moment zatkało. Lekko poczerwieniała i odwróciła się do męża.

– Idź i zrób z nią porządek, bardzo cię proszę! – poleciła.

– Czyli co?

– Jak to: co? Wyrzuć babę!

– Mamo, może nie dziś – zaproponowała nieśmiało Daria.

Lusia była bliska eksplozji.

– Ona mnie obraziła. Przy wszystkich!

– Przeżyjesz – rzuciła lekko Iza, nie ukrywając satysfakcji.

– Nie życzę sobie takich uwag od córki! – zaprotestowała Lusia rozzalonym tonem i podniosła do oczu chusteczkę. – Ten pogrzeb kompletnie wytrącił mnie z równowagi. Życie jest takie krótkie i bez sensu!

Zenon troskliwie objął ją za ramiona i posadził w fotelu.

– Uspokój się – powiedział czule. – Zaraz będzie kawa.

– Nie dotknę jej kawy!

Marco z pomocą Giovanniego wcisnął się wreszcie do saloniku. Podał kuzynowi przez lufcik plik starych papierów i znów wszedł na parapet.

– Otwórz okno, durniu – usłyszał.

– Co...? – zdziwił się Marco. Spojrzał na klamkę i zrozumiał. – A, rzeczywiście!

Dawno nieużywany zamek nie chciał drgnąć. Marco naparł mocniej. Stojąca na parapecie donica z paprocią runęła na posadzkę i rozleciała się z hukiem.

Przechodząca korytarzem Zenia znieruchomiała. Nieraz słyszała o duchach, które po pogrzebie odwiedzają swoje domy. Odstawiła tacę z kawą na podłogę, przeżegnała się i odważnie otworzyła drzwi.

Zaniemówiła z wrażenia.

Marco odwrócił się, przestraszony. Gospościa chciała krzyknąć, lecz strach odebrał jej głos.

– Odsuń się! – rozkazał kuzynowi po włosku Giovanni i zamachnął się łokciem.

– Złoodzieeeeee – wyszeptała Zenia.

Łokieć uderzył w okno, pierwsza szyba rozsypała się z brzękiem. Zenia nagle odzyskała głos.

– Złoodzieeeeee! – Jej donośny krzyk rozległ się w całym domu.

Giovanni stłukł następną szybę, Marco wskoczył na parapet.

Jednocześnie z głosem, Zeni wróciła odwaga. Cofnęła się, chwyciła za srebrną cukiernicę, przekroczyła próg saloniku i cisnęła z rozmachem. Pojemnik poleciał łukiem, trafiając Marca w tył głowy. Włoch zachwiał się z jękiem i osunął na podłogę. Okulary upadły na ziemię.

Zenia ruszyła w jego stronę, ale powstrzymał ją widok Giovanniego na tle okna.

– Łapać złoodzieeeejaaa! – wrzasnęła z jeszcze większą mocą.

Zenon i Robert wybiegli na korytarz, za nimi ruszyli Daria, Lusia i ksiądz. W tej samej kolejności wpadli do gabinetu.

Zenia przez okno wskazywała ręką na ogród.

– Tam są! Uciekli! Tam, łapać ich!

Zenon i Robert zobaczyli tylko rozkołysane gałęzie krzewów. Spojrzeli po sobie, niepewni, czy mają ochotę ścigać intruzów. Lusia obrzuciła wzrokiem gabinet.

– Co ukradli? – zapytała ostro.

Zenia wskazała biurko. Na blacie stała otwarta szkatułka.

– Biżuterię pani Zofii – powiedziała zmartwiona.

Lusia posłała jej uważne spojrzenie.

– Nie było tu żadnych złodziei – oświadczyła dobitnie. – To ona ukradła!

Zenia aż pobladła z urazy. Z błyskiem w oku odwróciła się do Lusi i wymierzyła jej siarczysty policzek.

Uderzenie sprawiło, że ciało skrzywiło się o sto osiemdziesiąt stopni, splątały się nogi, a zamroczona ciosem Lusia straciła równowagę. Runęła na stojącego tuż obok Zenona i oboje padli na zaścielający podłogę dywan.

4.

Ewa patrzyła na wściekłą i obrażoną ciotkę i odczuwała dziwną wdzięczność.

Istnienie Lusi wyznaczało granicę nieprzekraczalną dla zwykłego człowieka. Samo bycie nie-Lusią sprawiało satysfakcję. A ponieważ czai się ona w każdym z nas, spotkanie z nią podpowiada, że warto tropić w sobie cechy charakteru, które grożą przeistoczeniem się w to coś.

Lusia była doskonałym wcieleniem ego; dzięki takim osobnikom jak ona, powstawały i upadały imperia. Lecz gdy spotykała ją w końcu nieunikniona kara i upokorzenie, normalni ludzie czuli, że świat jest harmonijnym miejscem do życia.

Lusia zaległa na szeszlengu w salonie, z mokrym kompresem przyłożonym do spuchniętego policzka i zamkniętymi oczami, na znak kompletnego wyłączenia się z towarzystwa. Jasne było, że tylko śmierć gosposi może zmasać obrazę.

Robert, z telefonem w dłoni, przemierzał pokój tam i z powrotem. Teściowa poleciła mu ściągnąć policję w związku z kradzieżą biżuterii, lecz on miał wątpliwości. Zbita szyba w saloniku przemawiała na korzyść wersji gosposi, a policzek nie był wystarczającym powodem do interwencji stróżów prawa.

Ewa powstrzymywała rozbawienie zachwyconej obrotom wydarzeń Izy. Zakłopotany mecenas Dąbrowa skupił się na swoich dokumentach, kustosz Podrecki uciekł na werandę. Dołączyli do niego wkrótce: wzburzona Zenia, zdenerwowana Daria i zakłopotany Zenon.

– Nie musi mnie pan zwalniać. Moja noga więcej tutaj nie postanie! – oświadczyła z mocą gosposia, odwracając się na stopniach ganku.

– Pani Zeniu, bardzo proszę... Trochę pani przesadziła – mamrotał Zenon, nie wiedząc, jak wywiązać się z zadania pomszczenia małżonki.

– Trochę? – prychnęła Daria. – Pani jest kryminalistką! Będzie się pani tłumaczyć z kradzieży babcinej biżuterii!

Zenia błyskawicznie zwróciła się w jej stronę. Przestraszona Daria schowała się za ojca, który szeroko rozłożył ręce, gotów bronić córki.

– Nikt nie będzie mnie bezkarnie pomawiał! – rzuciła Zenia ponuro. – I do widzenia państwu!

Odwróciła się i zeszła po stopniach.

– Bardzo wygodna obrona! – rzuciła Daria zza pleców Zenona.

Gosposia nie zareagowała. Wyprostowana, z godnością przeszła obok namiotów ekipy cateringowej i pomaszzerowała w stronę bramy.

Na werandzie pojawili się Robert i Iza.

– Jak się czuje mama? – zapytał Zenon.

– A jak niby mam się czuć? – Dobiegło z hallu.

Lusia przepchnęła się między córką a zięciem i wyszła na zewnątrz. Przy policzku wciąż trzymała kompres z lodem. Popatrzyła za odchodzącą Zenią.

– Wredna małpa poszła sobie? I nikt jej nie zatrzymał? – zapytała oskarżycielsko.

– Nie było powodu, kochanie... – zaczął delikatnie jej mąż.

Lusia tylko na to czekała. Wreszcie mogła wyładować na kimś frustrację.

– Nie było? Kradzież i znieważenie żony nie są dla ciebie wystarczającym powodem? Nie dziwię się! Nigdy nie byłeś mężczyzną! – zawołała.

Zenon pobladł. Zaczepnął powietrza, aby odpowiedzieć, ale przerwał mu donośny kwik koni i huk kopyt uderzających o drewniane przepierzenia. W stajni również wybuchła awantura.

Ewa, słysząc ten hałas, wybiegła z domu. Za nią podążył Adam Dąbrowa.

– Tylko tego brakowało! – warknęła Lusia. – Pozbędę się tych zwierzaków, gdy tylko testament nabierze mocy. Smród i brud!

Wszyscy wiedzieli, że Ewa uwielbia konie i podczas każdej wizyty u Zofii jeździ na ukochanej klaczy.

– O ile pamiętam, dosiadałaś jednej z tych kobył? – zwróciła się do niej ciotka z satysfakcją w oczach.

– Owszem.

Rozległ się jeszcze jeden koński kwik i zapanowała cisza. Ewa zeszła z werandy, ruszyła wzdłuż ściany dworku.

– Jeśli chcesz ją sobie zabrać, proszę bardzo!

– Nie mam dokąd.

Lusia wzruszyła ramionami.

– Jak wolisz. Jak nikt ich nie kupi, to pójdą na rzeź – rzuciła lekko.

Ewa odwróciła się i spiorunowała ją wzrokiem. Lusia przezornie cofnęła się o krok, stanęła przy Zenonie.

– No co? – zapytała zaczepnie.

– Nie zrobisz tego! – W Ewie wrzała hamowana pasja.

Ta rozmowa nie ma sensu, myślała jednocześnie. Lusia i tak robi, co zechce z odziedziczonymi końmi. Być może w spokojniejszej atmosferze uda mi się ją powstrzymać przed najgorszym.

Ponownie skierowała się do stajni.

– Ciocia Ewa uwielbia tę klacz – powiedziała cicho Iza.

– No to co? Przecież to tylko koń!

– Nie jest miło usłyszeć, że ktoś, kogo się kocha, ma iść na rzeź – podpowiedział Adam.

Lusia znacząco popukała się w czoło.

– Miłość do konia?

Zaznaczywszy w ten sposób swoją przewagę, spojrzała niecierpliwie na namioty i kelnerów.

– No i co z tą stypą? – zapytała.

Deszcz przestał padać, a wiatr przegonił niskie chmury i odsłonił szerokie pasy błękitnego nieba.

Czarny jaguar stał teraz na początku dębowej alei, w cieniu zwisających konarów. Z uchylonych okien buchał dym. Federico palił kolejne cygaro i za pomocą lupy oglądał pożółkłe kartki.

– To fragmenty oryginału. Z siedemnastego wieku – mruknął zadowolony. – Brawo!

Zaokrąglone pod powiększającym szkłem przesuwają się litery, cyfry, tajemnicze znaki.

Siedzący z tyłu Marco przykładał do głowy butelkę z zimną wodą.

– Muszę kupić nowe okulary – oświadczył ponuro. – No i nie wiem, czy nie mam wstrząśnienia mózgu.

– Nie zaszkodzi ci – stwierdził złośliwie Giovanni. – Następnym razem pamiętaj, że okno otwiera się od środka!

– Tobie nawet wstrząs mózgowicy nie pomoże! – odciął się Marco.

Giovanni pokazał mu zaciśniętą pięść.

– Spokój! – nakazał Federico.

Podniósł kolejny dokument, przyłożył do niego lupę. Giovanni zakaszłał i szerzej otworzył okno.

– Ktoś rozszyfrował kod, w dziewiętnastym wieku. Słyszałem o tym – mruknął stary Włoch i odczytał po cichu: – „Drogi bracie Krzysztofie, przygotowuję przesyłkę, wyruszy do ciebie za parę dni”.

– Bracie? – zdziwił się Giovanni.

– Masoni. – Domyślił się Marco.

Federico potrząsnął grzywą siwych włosów.

– I już? Nie ma planu czy mapy? – niecierpliwiał się Giovanni.

– Pozwól pomyśleć! – rzucił z irytacją Federico i powrócił do lektury. – „Śpieszymy się, musimy uniknąć oczu i uszu doży. Od dawna próbuje położyć rękę na wszystkim, co wywieźliśmy z Bizancjum. Pożąda zwłaszcza największego skarbu cesarzy...”.

Umilkł w pół zdania. Papier był rozerwany, brakowało fragmentu tekstu.

Marco rozgonił ręką dym z cygara.

– Doża Wenecji, nasz przodek – powiedział. – Czy wuj musi tyle palić?

– Tak – potwierdził stary Włoch. Nie wiadomo, czy miał na myśli dożę, czy cygaro.

– Po zdobyciu Konstantynopola przez Turków Bizantyńczycy uciekli do Wenecji. Nasi przodkowie udzielili gościny ostatniemu cesarzowi Aleksemu Paleologowi. A on nas oszukał, złamał przysięgę. Ukrył, co miał najcenniejszego.

– Krzysztof to Ossoliński – stwierdził Marco.

– Ten na portrecie. – Giovanni popisał się bystrością.

– Tak, ten z obrazu. Cieszę się, że powoli układa ci się w głowie.

Giovanni nie zrozumiał ironii w głosie wuja.

– Oddaliśmy portret tej kobiecie, żeby za nas rozszyfrowała zagadkę? – zapytał.

Marco skrzywił się z dezaprobatą. Irytowała go skłonność kuzyna do wypowiedziania oczywistości. Rozumiał, że Federico chce mieć przy sobie kogoś z mocnymi pięściami i gotowością do przemocy, jednak ograniczenie umysłowe Giovanniego stanowiło zagrożenie dla ich planu. Postanowił namówić wuja, aby odesłał go do Wenecji.

– Jest historykiem sztuki. I mogła dostać jakieś wskazówki od babki – stwierdził

Federico. – Tak utrzymuje nasz człowiek.

– Nie bez powodu babka dała jej portret – wtrącił Marco.

– Myślałem, że wuj wystarczająco zna się na starociach... – powiedział z westchnieniem Giovanni.

Marco zeszywniał. W normalnych warunkach, we Włoszech, kuzyn pożałowałaby długiego języka.

Federico nie zareagował. Zaciągnął się cygarem w milczeniu. Miał świadomość, że jego wiedza na temat siedemnastowiecznych tajemnic i kodów jest niewystarczająca. W przeciwnym wypadku już dawno rozwiązałyby zagadkę ostatniego cesarza Bizancjum.

– Co przysiągł doży cesarz Paleolog? – zainteresował się Marco. – Skarb miał być zapłatą za schronienie w Wenecji?

Najstarszy Włoch z powagą skinął głową.

– I należy do nas – powiedział. – Do rodu Farnese.

Grube mury stajni zapewniały chłód podczas upałów i utrzymywały ciepło w zimie. Przez małe okna wpadało niewiele światła.

Z boksów wysunęło się pięć końskich łbów. Rozdęte chrapy i zaciekawione oczy świadczyły, że starają się rozpoznać przybysza.

Ewa zatrzymała się przy karej klaczy, która na jej widok parsknęła radośnie i kilka razy zagrzebała przednią nogą. Przytuliła się do łba, ramionami objęła za szyję.

– Dzień dobry, Augusto – powiedziała.

Odwiedziła ulubienicę już poprzedniego wieczoru. Długo płakała z żalu za Zofią. Miała wrażenie, że klacz doskonale rozumie, co się wydarzyło. Była pobudzona, chrapała z lękiem, jakby wyczuwała śmierć. Pozostałe cztery konie też zachowywały się nerwowo: objęły się o ściany, krążyły po ciasnych boksach, rżały i uderzały kopytami o przepierzenia.

Dziś Augusta reagowała spokojniej, jakby obecność przyjaciółki była zapewnieniem, że pomimo odejścia Zofii nic złego jej nie spotka.

Ewa wyjęła z kieszeni kostki cukru, wsunęła je klaczy do pyska, pocałowała w chrapy.

– Nie pozwolę cię skrzywdzić, nie bój się. Lusię oddamy na rzeź.

Przytuliła ponownie głowę do szyi Augusty.

– Nie przeszkadzam? – usłyszała za plecami męski głos.

Kilka kroków za nią, między boksami, stał Adam Dąbrowa. Ewa, zbyt zajęta myślami, nie zauważyła, kiedy podchodził.

– Gdybym mogła, zabrałabym stąd Augustę – powiedziała. – Muszę znaleźć dla niej miejsce. Nie pozwolę, żeby moja ciotka zrobiła jej krzywdę. Znamy się od źrebięcia, ujeździłam ją...

Klacz, jak na potwierdzenie, skinęła kilka razy głową. Adam uśmiechnął się.

– Mogę? – Wyciągnął rękę.

Pogłaskał kobyłę po głowie i chrapach.

Ewa poczuła, że jego bliskość sprawia, że przyśpiesza jej tętno. Zaskoczyła ją ta

reakcja; zmieszana i zła na siebie odsunęła się od boksu. Adam się odwrócił, ich spojrzenia skrzyżowały się.

– Juliusz, Klaudiusz i Hera. Babcia Zofia lubiła rzymskie imiona – powiedziała Ewa.

– Jeśli pani się zgodzi, kupię Augustę – zaoferował Adam. – Mieszkam niedaleko. Będzie pani mogła odwiedzać przyjaciółkę.

– Dziękuję, panie mecenasie. A co z pozostałymi? Jeździ pan konno?

– W dzieciństwie jeździłem. Chętnie sobie przypomnę.

Zapadła cisza. Ewa wciąż unikała wzroku rozmówcy.

– Słaby jeździec tylko by ją popsuł... – stwierdziła niepewnie, ukrywając zmieszanie.

– To chyba lepsze od rzeźni – odparł i podniósł dłoń w geście przysięgi. – Klacz będzie wyłącznie do pani dyspozycji. Mam znajomych ze stajniami. Namówię ich, żeby wzięli pozostałe konie.

– Dziękuję! Świetny pomysł.

Uspokoila się, podniosła oczy. Jeśli to jego sposób na uwiedzenie mnie, powinien mieć się na baczności, pomyślała. Nie ma na to gorszej chwili ani miejsca.

Wytrzymał jej spojrzenie, poważny i skupiony.

– Zofia poprosiła mnie, żebym się panią zaopiekował – powiedział, starannie dobierając słowa.

W pierwszej chwili nie zrozumiała.

– W jakim sensie? – zapytała zaskoczona. – O czym pan mówi?

– Pod względem prawnym. I ludzkim – wyjaśnił.

To już przekraczało granice tolerancji. Było nieuprzejme, wręcz bezczelne. Jak on śmie powoływać się w taki sposób na wolę zmarłej? Zofia z pewnością nie powierzyłaby mojego losu obcemu człowiekowi!

Ewa opanowała się, żeby nie parsknąć śmiechem. Albo nie krzyknąć ze złości.

– Musiał pan źle zrozumieć – odparła wreszcie chłodno. – W Warszawie nie brakuje dobrych prawników. Jestem bardzo wdzięczna za konie, naprawdę, ale poza tym nie potrzebuję niczego.

Wyminęła mecenasa Dąbrowę i wyszła ze stajni.

Na tle przesuwających się po niebie białych chmur pokaleczone mury i wieże Krzyżtoporu wyglądały jak wielki żaglowiec odplywający po przegranej bitwie.

Trzej Włosi wolnym krokiem podążali wzdłuż zewnętrznych murów, uważnie przyglądając się budynkom i wieżom. Giovanni szedł ostatni. Nudził się i palił papierosa.

– Musimy ustalić, czym posługiwał się Ossoliński – powiedział Federico. – Jakimi instrumentami pomiarowymi. Jaką skalą.

– To powinno być w zapisie kodu – zauważył Marco.

Jego wuj skinął głową.

– A właśnie. Gdzie jest cały kod?

Przecisnęli się między murem a gęstymi krzewami, weszli w wysoką trawę.

– Plan pałacu jest zapisem wiedzy magicznej. – Federico wskazał na wysokie ściany z pustymi oczodołami okien. – Działa jak jeden ogromny talizman.

– To znaczy jak? – zainteresował się Giovanni.

– Miał zabezpieczać mieszkańców, zapewniać im zdrowie i szczęście – wyjaśnił stary Włoch. – A także bronić przed wrogami, złymi mocami. No i przechowuje to, czego szukamy. Skarb cesarzy Bizancjum.

Giovanni wykonał lekceważący gest w stronę ruin.

– Świetnie zadziałało – stwierdził z ironią. – Wiwat magia i tajemnice masonerii!

Federico zatrzymał się, odwrócił wielką głowę i spojrzął na krewniaka ciężkim wzrokiem.

– Weźmy się za tę Ewę – zaproponował zaniepokojony Giovanni. – Przepytajmy ją porządnie.

Oczy jego wuja stały się jak szparki.

– A o co chciałbyś ją zapytać?

– O wszystko.

– Czyli?

– O pałac. O tego Ossolomini... I tak dalej. – Płątał się Giovanni.

– Ossolińskiego – poprawił go Marco.

– No właśnie.

Federico nie spuszczał z niego wzroku.

– Nie potrafisz zapamiętać jednego nazwiska?

– Te polskie... – zaczął Giovanni.

– Masz dość polskiej krwi. Uczyłeś się języka w dzieciństwie. Wszyscy się uczyliśmy w oczekiwaniu na ten rok. Może zatem wykonasz mały wysiłek?

Zapadła cisza. Twarz Giovanniego, z zaciśniętymi ustami, jeszcze bardziej przypominała pysk dobermana. Federico zamilkł na chwilę.

– Dlaczego Ossoliński? – zapytał.

– Bo wywiózł to, co obiecał nam cesarz. W piętnastym wieku – wyrecytował Giovanni i poprawił się. – To znaczy w szesnastym.

– Kto?

Giovanni skupił się.

– Osso...limiski – wyartykułował z trudem.

– Wywiózł i ukrył, w siedemnastym wieku. Mózg, Giovanni. Mięśnie ma byle idiota. Farnese od pięciu wieków są wykształconymi humanistami. Nie rozumiem, jakie geny zaplątały się w twoim przypadku.

Giovanni z irytacją cisnął w trawę papierosa, rozgniół go stopą. Federico wskazał palcem na niedopałek.

– Podnieś.

Marco przygryzł wargi, żeby się nie roześmiać. Giovanni posłusznie podniósł niedopałek i wcisnął do kieszeni kurtki.

– Musimy to znaleźć tej wiosny? – zapytał zaczepnie.

Federico skinął głową i ruszył dalej.

– Uważamy, że dokładna data jest w kodzie Ossolińskiego – powiedział Marco. –

Pewnego dnia, o pewnej godzinie słońce w domu pewnej planety rzuci promień na plan. Giovanniego wkurzył wykład wykształconego na uniwersytetach kuzyna. Zarozumiały słabeusz!, pomyślał.

– Niby wiesz, a nie wiesz – powiedział na głos. – „Pewnego dnia, o pewnej godzinie słońce...” – przedrzeźniał.

– Albo księżyc – dodał poważnie Federico. – Ja stawiam na księżyc. Noc była ulubioną porą tajemnic ludzi renesansu.

Słońce grzało coraz mocniej. Mokry trawnik na gazonie parował.

Lusia z rodziną, Adam Dąbrowa i ksiądz siedzieli w wiklinowych fotelach na werandzie. Czekając na przybycie reszty żałobników, pili herbatę i pogryzali słone ciasteczka. Ewa po powrocie ze stajni udała się do pokoju, w którym mieszkała podczas wizyt u Zofii.

Pragnęła przez chwilę zostać sama, pożegnać się z domem i z przeszłością.

Obsługa cateringu zaczęła składać namioty. Kelnerzy zbierali zastawę ze stołów.

Po porażkach Lusia szybko dochodziła do siebie. Upokarzający policzek był niczym wobec przejęcia spadku.

– Co oni wyczyniają? – Wskazała na kręcącą się obsługę. – A jeśli znów nadejdzie deszcz? – Nikt nie odpowiedział, więc dokończyła sama: – Zresztą, niech robią, co chcą, byle nie nawalili. – Spojrzała z wysokości ganku na siedzącego obok namiotu Maurycego Podreckiego: – Czy ktoś mi powie, kim jest ten osobnik?

– To kustosz z muzeum. Z Zamościa – pośpieszył z wyjaśnieniem ksiądz. – Podobno był blisko z nieboszczką.

– Jak blisko? Co to znaczy? – Nie ustawała Lusia. – Ma jakieś nazwisko? I kto go tu zaprosił?

Ksiądz bezradnie rozłożył ręce.

– Proboszcz jest najslabiej zorientowanym duszpasterzem, jakiego znam! – stwierdziła. – Poproś do mnie tego pana – zwróciła się do zięcia.

Robert zszedł z werandy.

– Zapraszamy do nas – powiedział z uprzejmym uśmiechem. – Mama pragnie pana poznać.

Podrecki ukłonił się i podszedł do Lusi, a ona zmierzyła go krytycznym spojrzeniem.

– Dzień dobry. – Wyciągnęła rękę. – Podobno znał pan Zofię. Mogę zapytać o nazwisko?

Kustosz chwycił jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

– Podrecki, Maurycy – przedstawił się z namaszczeniem. – Kustosz i przyjaciel świętej pamięci nieboszczki. To znaczy: były przyjaciel. Niestety.

– Aha. – Lusia cofnęła dłoń. – Nie słyszałam o panu, więc muszę wierzyć na słowo. Cóż, może dołączy pan do nas?

Podrecki ukłonił się z wdzięcznością i rozejrzał dokoła, ale wszystkie fotele były zajęte. Zenon podniósł się, wszedł do domu i po chwili wrócił z krzesłem. Kustosz usiadł

sztywno, poprawił zielony krawat i wbił wzrok w przestrzeń ponad gazonem. Jego przemoczony aksamitny garnitur parował w ciepłe słońca.

Lusia nie przestawała przyglądać mu się nieufnie.

– Może pan wie, dlaczego wszyscy się spóźniają? To jakiś miejscowy zwyczaj?

– Zofia zostawiła rozporządzenie w tej sprawie – odparł ostrożnie.

Oczy Lusi zaokrągliły się ze zdziwienia. Pozostali również patrzyli zaskoczeni.

Z domu wyszła Ewa.

– Mogę wiedzieć, co za rozporządzenie? – zapytała Lusia, rozciągając sylaby.

Pan Maurycy poprawił się na krześle i przyglądał dłonią farbowane strąki na czaszce. Jakby próbował opóźnić nieuniknioną prawdę.

– Zofia zawczasu zaprosiła ludzi z okolicy – bąknął. – Z dwieście osób. Opłaciła catering, transport. I...

– Wiem, ale dziwi mnie to – przerwała niecierpliwie. – Podobno zmarła nagle, w nocy.

– Wyczuwała, że jej czas się kończy. – Kustosz uśmiechnął się usprawiedliwiająco.

– Aha – zgodziła się Lusia. – Zatem długo jeszcze mamy tu siedzieć i czekać?

– Zofia zarządziła, że jeśli pani spróbuje wycofać pieniądze za catering, stypa odbędzie się we wsi, w remizie strażackiej. Pani to Leokadia, prawda? – upewnił się i zerknął na zegarek. – Myślę, że goście już tam są. A catering zaraz do nich dołączy. Sołtys negocjował z nimi przez jakiś czas, stąd to zamieszanie.

W zapadłej nagle ciszy rozległ się chichot Izy. Działania obsługi nabrały sensu.

Zaczęło się właśnie pakowanie skrzyń z namiotami i zastawą do ciężarówki.

Lusia pobladła z wrażenia, potem poczerwieniała ze złości. Przebiła kustosza wzrokiem.

– To pan doniósł miejscowym? – wychrypiała nieswoim głosem. – I zjawił się tutaj, żeby nas upokorzyć?

– Nas? – zdziwiła się Ewa, wywołując u Izy kolejny atak wesołości.

Pan Maurycy z godnością wyprostował się na krześle.

– Ależ skąd! Nie miałem o tym bladego pojęcia, zapewniam panią. Przed chwilą usłyszałem o sprawie od szefa cateringu. Sam jestem w szoku.

Lusia chciała coś dodać, ale nie potrafiła wydobyć z siebie dźwięku. Dwa ciosy jednego dnia to już było za wiele. Zacisnęła zęby, wstała z fotela.

– Świetnie – oznajmiła zimno. – No to zakończmy tę farsę. Gdzie się podział mecenas? – Zatrzymała spojrzenie na Adamie. – A, tu pan jest. Proszę za mną!

Powiedziawszy to, podążyła do hallu. Dąbrowa ruszył za nią, potem Zenon, Daria i Robert.

Maurycy Podrecki podniósł się z krzesła i sięgnął po butelkę wody mineralnej. Zaczepił przy tym ręką o marynarkę Ewy.

– Och, przepraszam! – rzucił, wsuwając jej jednocześnie do kieszeni przedmiot wielkości guzika.

W salonie Zenon towarzyszył żonie, która chodziła tam i z powrotem, próbując uspokoić nerwy.

– Kochanie, może urządzimy stypę we własnym gronie? – zaproponował nieśmiało.

Spojrzała na niego z furią w oczach.

– Nie będzie żadnej stypy! – wrzasnęła. – Nie ma po kim! Złośliwa małpa pokazała, co potrafi! Ale to już ostatni raz! Testament i finita komedyja!

Ewa z Izą dotarły do salonu jako ostatnie i przystały z boku, pod oknem. Adam Dąbrowa usiadł przy stoliku i zaczął wyciągać dokumenty z aktówki. Jego skupiona mina nie zdradzała, że ma dość i Lusi, i jej rodziny.

Maurycy Podrecki pozostał na werandzie, odczekał, aż zostanie sam. Potem szybko zszedł po stopniach, przebiegł wzdłuż ściany dworku i zanurzył się między rosnące pod murem gęste krzewy.

Na kawałku cegły stało tu niewielkie pudełko z antenką; mrugał zielony czujnik. Kustosz wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy, wybrał numer.

– Halo, to ja – powiedział cicho.

Ostatnia wycieczka zwiedzających Krzyżtopór właśnie wychodziła przez wąską bramę na most, pod którym kiedyś rozciągała się fosa. W zaparkowanym w pobliżu jaguarze siedzieli Włosi.

– Kto ja? – zapytał po polsku Giovanni.

– No ja – powtórzył zniecierpliwiony Podrecki. – Miało być bez nazwisk – przypomniał.

Giovanni spojrzał na wuja.

– To ten Podrecki.

Federico ze złością odebrał mu telefon.

– Halo! Co się dzieje? – rzucił do mikrofonu przestraszony kustosz.

– Nic, nic. Urządzenie działa?

– Nie tak się umawialiśmy!

– Powiedziałem już, wszystko w porządku. – Głos starego Włocha zabrzmiał ostro. – Zadałem pytanie.

– Działa – odparł z ociąganiem Podrecki.

Marco wyciągnął z torby laptopa. Na ekranie wyświetlił się program do zapisu dźwięku, uruchomiło internetowe połączenie. Po chwili rozległ się gwar, przez który przebijał się głos Lusi.

– Proszę o ciszę, zaczynamy! Panie mecenasie!

– Dobrze – pochwalił kustosza Federico.

– Będą czytać testament. Muszę tam być – poinformował go Podrecki.

– A co potem?

– Postaram się wy dostać sztychy, o które prosiłem starą. I instrumenty astronomiczne. Nie będzie łatwo, bo żona spadkobiercy to wściekły babsztyl.

– Rozumiem.

– I bez nazwisk na przyszłość – dodał ostrzegawczo kustosz. – Bo zerwę umowę.

– To ja ustalam warunki. Jasne? – rzucił Federico z odcieniem groźby.

– Tak – powiedział potulnie Maurycy. – Ale skończyły mi się środki, a koszty rosną.

Włoch skrzywił się lekceważąco. Zbyt dobrze poznał Podreckiego, aby przejmować się jego słowami.

- Czy to szantaż? – zapytał spokojnie.
- Powiedzmy, że negocjacje.
- Wracaj i rób, co do ciebie należy – polecił sucho Federico i wyłączył telefon.

Zirytowany kustosz patrzył na komórkę z niechęcią. Od początku ta współpraca układała się nie po jego myśli. Dużo jednak zawdzięczał staremu Federicowi, który wyciągnął go z kłopotów we Włoszech. Po aresztowaniu w muzeum, z którego Podrecki wynosił cenne dokumenty Ossolińskiego.

Miał nadzieję, że bogaci Farnese docenią jego wiedzę i hojnie go wynagrodzą. Usłyszał zaledwie mglistą obietnicę udziału w zyskach, oczywiście po odnalezieniu skarbu cesarza Bizancjum. Z trudem udało mu się wyprosić trochę pieniędzy na zakup benzyny i jedzenia. Gdyby nie wiara w cel, który od wielu lat pobudzał jego wyobraźnię, Maurycy Podrecki rozstałby się z aroganckim hrabią Farnese i jego bratankami.

Spojrzał po raz ostatni na pracujący przekaźnik, który łączył pluskwę w kieszeni marynarki Ewy z komputerem w jaguarze, i ruszył do dworku. Po dwóch krokach przystanął, zawrócił i splunął na czarną skrzynkę. Z satysfakcją obserwował spływającą po plastiku ślinę. Wykrzywił lisią twarz w przebiegłym uśmiechu i wymaszerował z krzaków.

W salonie zapanowała cisza.

Wszystkie oczy zwróciły się na mecenasa Dąbrowę, który podniósł żółtą zapieczętowaną kopertę i zaczął ją otwierać. Ewa siedziała z boku, z dala od rodziny, smutna i trochę zobojętniała. Z rezygnacją myślała o rozstaniu z domem, z którym związane było tyle jej wspomnień.

Domy też mają dusze, powoli wypełniane istnieniami wielu pokoleń, myślała. Rodzinne szczęścia i dramaty nasączają niewidzialną treścią ściany, meble i obrazy, nadają im życie. Mogłyby przemówić, gdybyśmy potrafili ich wysłuchać. Wiedzą, że nic się nie kończy i trwają cierpliwie, wchłaniając ludzkie losy, dopóki nie skończy się ich czas.

Pożegnanie z dworkiem odczuwała jak rozstanie z kolejną bliską osobą.

Obok niej przysiadła na niskim stołku Iza. Chwyciła Ewę za rękę. Domyślała się jej smutku i pragnęła ją wesprzeć.

– Ciekawe, co stara dziwaczka wykombinowała – mruknął cicho Robert, nie wytrzymując napięcia. – Mam nadzieję, że nie odbiło jej i nie przekazała wszystkiego na jakiś klasztor. Czy na dom dziecka.

– Na kościół nieboszczka złożyła ofiarę jeszcze za życia. Proszę się nie niepokoić – odparł ksiądz.

Mecenas wyciągnął z koperty spięty wstążkami i oznaczony pieczęciami akt notarialny. Pokazał go obecnym.

– Oto ostatnia wola pani Zofii Solon, spisana w Warszawie, w obecności Adama Dąbrowy, dnia dwudziestego piątego marca roku dwa tysiące piętnastego – odczytał. – Przepraszam, szesnastego.

Lusia westchnęła.

– Solińskiej, nie Solon, proszę pana. I piętnastego czy szesnastego?
– Szesnastego. – Dąbrowa spojrzął na datę. – Szóstka jest trochę niewyraźna – wyjaśnił.

– To dziwne – oświadczyła Lusia. – O ile wiem, Zofia spisała ostatnią wolę jakieś trzy lata temu...

– Tak. I unieważniła ją. Ten zapis jest ostatni. Pozwoli pani?

Lusia wzruszyła ramionami i gestem dała do zrozumienia, że się zgadza.

Drzwi otworzyły się cicho, do salonu wsunął się Maurycy Podrecki. Dąbrowa zauważył go i znieruchomiał z otwartym testamentem w dłoni. Obecni odwrócili głowy.

– Przepraszam, a co pan właściwie tutaj robi? – zapytała z irytacją Lusia.

– Mam być obecny przy otwieraniu testamentu pani Zofii – oświadczył pewnym tonem kustosz.

Brwi Lusi powędrowały wysoko w górę.

– Ma pan być? A to niezwykle. Kochanie, proszę cię, załatw to.

Wywołany Zenon podszedł do Podreckiego.

– Przykro mi, ale nie należy pan do rodziny. Proszę nas opuścić.

Kustosz nie poruszył się.

– Bardzo proszę. Wiem, że pani Zofia... – zawahał się.

– Co: pani Zofia? – zniecierpliwiła się Lusia. – Niechże pan wykrztusi!

– ...coś mi zapisała – dokończył skromnie Podrecki i szybko dodał: – Sama mi to powiedziała przed śmiercią.

Lusia patrzyła na niego przez chwilę, a potem odwróciła wzrok.

– Pan zostaje z nami do odczytania testamentu. Lecz ani chwili dłużej. Proszę kontynuować, panie mecenasie.

Zenon powrócił na fotel obok żony. Kustosz zajął krzesło z boku.

– Ostatnia wola Zofii Solon – podjął mecenas Dąbrowa. – Spisana w kancelarii Dąbrowa-Kolski dnia dziesiątego marca dwa tysiące szesnaście. Potwierdzona notarialnie. Ja, Zofia Solon...

– Solińska! – warknęła Lusia. – Czy pan jest nietrzeźwy? Pochodzimy z rodu hrabiów Solińskich, więc niechże pan przestanie przekręcać, bo to jest irytujące! Zofia była z domu hrabianka Solińska. Soliński był jej dziadek, ojciec i brat, czyli ojciec mojego męża też! I najmłodsza bratanica, matka Ewy! Czy to jasne?

Adam Dąbrowa nie przejął się jej wybuchem.

– Pani Zofia zmieniła nazwisko na Solon – powiedział spokojnie i zerknął na inny dokument. – W roku dwa tysiące piątym.

Zapadło zdumione milczenie. Lusia patrzyła pytająco na Zenona i Darię, potem na Ewę, jakby oczekiwała od nich wyjaśnień. Oni też byli zaskoczeni. Zenon rozłożył bezradnie ręce.

– Solon? – upewniła się.

Mecenas skinął głową.

– A co to za dziwactwo? Ktoś z was rozumie, o co chodzi? – pytała dalej Lusia.

– Babcia pozbyła się szlachectwa – rzuciła rozbawiona Iza. – A „Solon” i tak lepiej brzmi niż „słodzon”...

Lusia spiorunowała córkę wzrokiem.

– Bardzo inteligentna uwaga. Dziękuję ci, skarbie. Pan wie, dlaczego to zrobiła? – zwrócił się do prawnika Zenon.

– Nie zajmowałem się tą sprawą.

Lusia pokręciła głową na znak, że się poddaje.

– No cóż, nie dowiemy się już. Kolejne jej dziwactwo, i tyle. Proszę, niech pan kontynuuje.

– Najpierw aneks – powiedział Dąbrowa.

– Jaki znów aneks? – zapytała Daria.

– Tak jest zapisana kolejność. Najpierw mam przeczytać aneks do testamentu.

Lusia machnęła ręką.

– Zapisy testamentu nabiorą ważności po notarialnym zadeklarowaniu przez moich spadkobierców, iż utrzymają fundację Callida Iuventus dla utalentowanej młodzieży, założoną przeze mnie w dwa tysiące piątym roku w Zamościu – odczytał mecenas.

– A to co takiego? – Lusia wykrzywiła się jak po zjedzeniu cytryny. – Co to za fundacja?

– Znam ją. Dochody pani Zofii pokrywały jej koszty – odparł mecenas.

– Mam nadzieję – odetchnęła z ulgą Lusia, ale zaraz dodała podejrzliwie: – Pokrywały? Ale coś zostawało?

Zenon nie wytrzymał i odwrócił się do żony.

– Kochanie, przestań – poprosił. – Pan mecenas już odpowiedział.

– I to wszystko? – upewniła się, nie zwracając uwagi na męża. – Cały aneks?

– Tak, proszę pani.

– No i chwała Bogu. Damy radę tej fundacji. Od czego są prawnicy? – Lusia machnęła lekceważąco dłonią. – Niechże pan czyta wreszcie testament! Dość tych niespodzianek.

Adam powrócił do dokumentów.

– Ja, Zofia Solon, będąc w pełni władz umysłowych...

– Powiedzmy! – mruknęła Lusia.

– Będąc w pełni władz umysłowych, postanawiam, co następuje – ciągnął niezrażony prawnik. – Mój dom, wraz z przyległym parkiem oraz całym umeblowaniem i wyposażeniem, zapisuję mojej ukochanej stryjecznej wnuczce Ewie Modlińskiej.

Zamyślona Ewa w pierwszej chwili nie rozumiała. Nagle spostrzegła radośnie uśmiechniętą twarz Izy, a za nią blednące oblicza Lusi, Zenona, Darii i Roberta. Iza podskoczyła na stołku i zaklaskała w ręce z radości.

– Yes! Tak! Nareszcie ktoś mamie zagrał na nosie! – zawołała na cały salon.

Lusia zachwiała się w fotelu, chwyciła ręką za serce.

– Co takiego? – wychrypiła przez ściśnięte gardło.

Zrezygnowana Daria pokiwała ponuro głową.

– Można się było spodziewać.

Zenon siedział bez ruchu. Jak wyciągnięta z wody ryba to otwierał, to zamykał usta.

– Ponadto całą moją ziemię oraz pozostałe nieruchomości znajdujące się na tej ziemi zapisuję również Ewie Modlińskiej – czytał miarowo Dąbrowa, z naciskiem

wypowiadając każde słowo. – Zapisuje jej również zawartość mojego konta bankowego, w wysokości stu trzydziestu tysięcy złotych.

– Cudownie! Wszystko twoje! – wyszeptała Iza.

Treść testamentu powoli docierała do Ewy. Nigdy i niczego nie posiadała na własność, nie licząc paru mebli i portretu Ossolińskiego. Poczwała się dziwnie. Spadała na nią odpowiedzialność, której nie potrafiła ani nie chciała udźwignąć.

– Ja nie...

Iza mocno ścisnęła jej dłoń.

– Nie zrzekniesz się! – powiedziała. – Nawet o tym nie myśl!

Adam Dąbrowa spokojnie czekał na reakcję Ewy. Proszę nie podejmować teraz żadnych decyzji!, mówił jego wzrok.

– Nie należy ci się! Jesteś krewną drugiego stopnia. – Nie wytrzymała Lusia. – Zrzeknij się!

– Nie ma mowy! – zawołała Iza.

Z oczu jej matki strzeliły błyskawice.

– Ty się zamknij, bo cię przeklnę! – zagroziła. – Ewa, powiedz to, do diabła!

Krzyk otrzeźwił Ewę. Spojrzała przytomniej, potem przeniosła wzrok na mecenasa.

– Proszę czytać dalej – poprosiła cicho.

– Boże, to niemożliwe! – jęknęła Lusia. – A mój mąż? Głowa mi pęka! Nie masz serca, kobieto?

Zenon chwycił dłoń żony, lecz ona wyrwała ją gwałtownie.

– Mieszkanie w Zamościu przy ulicy Bazylińskiej sześć zapisuję Izabelli Solińskiej, córce Zenona – podjął Dąbrowa. – W dniu, w którym dostanie się na studia, wspomniana Izabella otrzyma również zawartość mojego drugiego konta bankowego, w wysokości dziewięćdziesięciu tysięcy złotych.

Zaskoczona Iza otworzyła usta.

Lusia nie była w stanie się odezwać. Oddychała ciężko, chrapliwie, jej oczy nabiegły krwią. Zenon patrzył na żonę z rosnącym przestraczem, jakby wizja jej wybuchu była gorsza od utraty potencjalnego majątku.

– Znajdujące się w moim domu siedemnastowieczne sztychy oraz skrzynię z instrumentami astronomicznymi i narzędziami otrzymuje Maurycy Podrecki.

Kustosz, który czekał na ten fragment testamentu z napięciem, z ulgą otarł chustką spocone czoło. Przyszło mu do głowy, że obecni zdziwiliby się na wieść, że jego udział w spadku może doprowadzić do majątku, za który można by zbudować pałac wielkości Krzyżtoporu. Ta myśl rozbawiła go, więc mimo woli uśmiechnął się szeroko.

– Kompletny cyrk! Ja mam dość – oświadczył sucho Robert, wstając z fotela. Właśnie rozwała się jego ostatnia szansa na wzbogacenie się przez małżeństwo. Potrzebował czasu, aby przemyśleć następny krok. Spojrzał na Darię. – Idziesz?

– Jeszcze moment. Chcę wysłuchać do końca – syknęła przez zaciśnięte zęby.

– Wystarczy... – wyszeptała Lusia.

Adam wskazał na testament.

– Jeszcze nie skończyłem, proszę pani.

– Powiedziałam: wystarczy – powtórzyła martwym głosem. Podniosła się ociężale.

– Niech nikt się nie rusza, zaraz wracam. Zenon!

Zenon poderwał się, podał żonie ramię. Wyszli z salonu – Lusia kroczyła sztywno, ciężko oddychając, on drobnymi krokami, podtrzymując ją troskliwie. Daria westchnęła, jakby obudziła się z ciężkiego snu, potem skinęła na Roberta. Oboje ruszyli za rodzicami.

Zamknęły się drzwi, zapanowała cisza.

Zmieszany ksiądz nie wiedział, co ze sobą zrobić. Spoglądał pytająco na Ewę. Ona bez ruchu patrzyła przez okno na rozświetlony popołudniowym słońcem pusty gazon, z murawą zdeptaną przez ekipę cateringu.

Trzeba będzie posiać nową trawę, przeleciało jej przez głowę. Myśl rozbawiła ją i zaniepokoiła. Ile spraw będę musiała ogarnąć, ile remontów, rachunków, problemów? Pasza dla koni... Skąd wezmę na to pieniądze? Nie wrócę już nigdy do Warszawy i spędzę resztę życia na tej wsi?

Tak właśnie oświadczyła Małgorzacie, ale był to bunt na niesprawiedliwość, która ją spotkała. Po kilku miesiącach z Zofią zamierzała zacząć nowe życie, ale w stolicy. Co teraz?

Spojrzała na Dąbrowę, oczekując wyjaśnienia niezwyklej sytuacji.

– Pan znał ten zapis. Dlaczego nie powiedział mi pan wcześniej?

– A co by to dało? – odparła pytaniem Iza. – Nie martw się, ciotka, damy radę. Prawda, panie mecenasie?

Prawnik patrzył z uwagą, jakby starał się ocenić, czy majątek Zofii trafia w dobre ręce.

– Nie wiedziałem, słowo daję. Testament sporządził notariusz – dodał poważnie. – Ale domyślałem się. Po tym, jak Zofia o pani mówiła.

Wyjął z teczki niewielką kopertę.

– To też dla pani.

Ewa wyciągnęła plastikowe pudełko z płytą DVD. Spojrzała pytająco.

– Pani Zofia życzyła sobie, aby zobaczyła pani to nagranie – wyjaśnił.

– Co na nim jest? – zaciekała się Iza.

– Nie mam pojęcia.

W tej samej chwili do salonu wkroczyli Daria z Robertem. Ich miny mówiły, że są gotowi na decydujące starcie. Ale Dąbrowa zwracał się już wyłącznie do Ewy.

– Czeka nas dużo papierowej roboty – powiedział. – Jestem prezesem i prawnikiem fundacji Callida Iuventus. Jeśli podejmuje się pani ją utrzymać, musimy spisać umowę. Uprzedzam, że będzie pani skazana na współpracę ze mną. Choć jako główny udziałowiec może pani równie dobrze zmienić prezesa...

W jaguarze panowała pełna skupienia cisza. Federico zapomniał o wygasłym cygarze, Marco i Giovanni wpatrywali się w ekran laptopa, jakby próbowali dojrzeć podsłuchiwaną scenę. Z komputera dobiegło skrzypnięcie drzwi, potem stukot mocnych kroków. Wnętrze auta wypełnił zdecydowany głos.

– To jest oszustwo!

Zapadła chwila ciszy, a potem głos rozległ się z jeszcze większą siłą:

– Powiedziałam: oszustwo! Jesteście parą oszustów! Pan mecenas i ty też!

Pośrodku salonu Lusie z groźną miną wskazywała palcem na prawnika i Ewę.

– Proszę się liczyć ze słowami – powiedział z naciskiem Dąbrowa.

Jego słowa nie zrobiły wrażenia na Lusi, która działała jak w natchnieniu. Jej oczy mówiły, że to jedna z chwil decydujących o życiu. W takich momentach przegrywają ludzie słabi, a ona z pewnością nie należała do tego gatunku.

– Obserwuję was od początku – ciągnęła dobitnie. – Udajecie nieznanomych, unikacie kontaktu. Gracie swoją grę, ale ja mam oczy. Gdzie jest prawdziwy testament hrabiny Zofii Solińskiej, panie mecenasie? Bo ten tutaj jest z pewnością sfałszowany!

– Spisał go notariusz w obecności pani Zofii – oświadczył spokojnie mecenas, choć jego policzki drgały z irytacji. – Wiem to z pewnością.

– Gównu pan wie! – ryknęła Lusia.

Z niezwykłą zwawością podskoczyła do stolika z dokumentami i chwyciła testament. Zaskoczony Dąbrowa ruszył, by ją uprzedzić, lecz spóźnił się o ułamek sekundy. W rezultacie dokument znalazł się w rękach obojga. Lusia szarpnęła, akt notarialny rozerwał się na pół. Triumfalnie pokazała swoją część rodzinie, jak koronny dowód przed sądem.

– Udowodnię, że to fałszerstwo! – zawołała. – Znam ostatnią wolę Zofii, wyjawiała mi ją kilka lat temu! – Wskazała palcem na męża. – Wszystko miał dostać mój Zenon, bo jest jej najbliższym bratankiem. I dostanie! – Odwróciła się do Adama Dąbrowy. – Nie wiem, kim jesteś, oszuście, ale policja to wyjaśni! Szybko. Obiecuję ci! I ty też, kochana Ewciu, możesz się liczyć z konsekwencjami!

Zmieszany ksiądz wiercił się w fotelu.

– Ależ droga pani! Wskazany jest jednakowoż...

– Niech się proboszcz zamknie, z łaski swojej! – zażądała Lusia.

– Przepraszam, że jak? – zdziwił się duszpasterz, do którego jeszcze nigdy nie zwrócono się w taki sposób. Podniósł się z miejsca. – W takiej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak tylko...

– Powinien proboszcz lepiej znać swoją parafiankę! Żegnam!

Ksiądz chciał coś odpowiedzieć, lecz oburzenie odebrało mu mowę. Skinął głową Ewie i ruszył do drzwi.

Ewa zerwała się, dogoniła go i chwyciła za rękę.

– Do widzenia, księżę proboszczu! – powiedziała. – Bardzo przepraszam. Odwiedzę księdza, kiedy to wszystko się uspokoi.

– Idź się wyspowiadać, oszustko! – rzuciła z nienawiścią Daria.

Proboszcz uścisnął rękę Ewy, uklonił się wszystkim i wyszedł z salonu.

– Proponuję, żeby się panie opanowały – powiedział spokojnie Adam Dąbrowa. – Niszczenie testamentu jest przestępstwem.

– Fałszerstwo to znacznie poważniejsze przestępstwo, panie mecenasie – odpała Daria.

– Jeśli to w ogóle prawdziwy mecenas! – Do żony przyłączył się Robert.

Adam Dąbrowa wzruszył ramionami. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

– Odpis testamentu znajduje się w kancelarii notarialnej, wystarczy zadzwonić. Proszę, tutaj jest numer telefonu.

Wyjął z teczki wizytówkę, wyciągnął w stronę Lusi.

Ona zawahała się.

– To wspólnik! – powiedział Zenon.

– Zmanipulowali starą, biedną, schorowaną kobietę! – Ucieszyła się Lusia. – Notariusz też jest w zмовie, to oczywiste. Cała szajka!

– Zmanipulowali? – zapytał zimno Dąbrowa. – Czyli testament jednak jest prawdziwy?

– To się jeszcze okaże! Zofia Solińska na pewno nie była w pełni władz umysłowych!

– Ta idiotyczna zmiana nazwiska, w tajemnicy przed rodziną... – podsunęła matce Daria.

Lusia uniosła obie ręce gestem oskarżyciela publicznego.

– Właśnie! Choroba umysłowa i oszuści. Klasyka! – Spojrzała z góry na siedzącą Ewę. – Wróć tu jeszcze! Szybciej niż ci się wydaje, moja droga. Z policją i prokuratorem! – Odwróciła się do Zenona i Izy. – Mam dość. Głowa mnie rozbolała. Jedziemy!

– Zostawimy ich samych? – zapytał niepewnie jej mąż. – Tutaj?

Widocznie ta część planu nie była dogadana, bo Daria i Robert też wyglądali na pogubionych.

– Powiedziałam: jedziemy! – powtórzyła Lusia, chowając do torebki połowę testamentu. – Moja noga nie postanie w tym domu ani minuty dłużej! Dopóki nie zdemaskuję spisku, zamachu na nasze dziedzictwo!

– Ja zostaję – powiedziała spokojnie Iza.

Lusia odwróciła się do niej z szybkością atakującego pytona.

– Wykluczone! Jedziesz z nami!

Dziewczyna chwyciła oburącz za krawędź stołu, na znak, że jest gotowa stawić czynny opór.

– Niedługo kończę osiemnaście lat. Zostaję – powtórzyła. – Mogę? – Spojrzała błagalnie na Ewę.

– Oczywiście, kochanie. Jak długo zechcesz.

Głos Lusi szedł do podziemnych rejestrów klątw.

– Jeśli nie będzie cię jutro w domu... Niech odtąd Ewa płaci za twoje utrzymanie. I za edukację! Moje drzwi będą przed tobą zamknięte!

Ruszyła w stronę drzwi, lecz zatrzymała się, tknięta nową myślą. Odwróciła się do córki.

– Ostrzegam cię, że jako rodzice pozostajemy twoimi prawnymi opiekunami. Mieszkanie po Zofii jest pod moją kuratelą. Mogę z nim zrobić, co mi się żywnie spodoba!

– To znaczy, że uznajesz testament, mamó? – zapytała przytomnie Iza.

– Zamknij się! – warknęła Lusia.

Wielkimi krokami dotarła do drzwi, otworzyła je i opuściła salon.

– Gratuluję – rzuciła z krzywym uśmiechem Daria. – Mogłam się spodziewać, że stać cię na każdą podłość. Do zobaczenia w sądzie, droga kuzynko!

Wymaszerowała za matką z wysoko uniesioną głową. Robert i Zenon ruszyli za nią.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Ewa miała wrażenie, że salon nagle wypełniło lżejsze powietrze. Iza próbowała się uśmiechać, choć dygotała na całym ciele.

– Ale jazda! – powiedziała. – Nagle jestem dorosła.

Jaguar jechał wolno szosą pośród rozległych łąk. Giovanni prowadził jedną ręką. Wskazał na laptopa i zawołał roześmiany:

– Są jak włoska rodzina!

Federico słuchał transmisji w skupieniu.

– Mają włoskie geny – zauważył poważnie. – I greckie.

W samochodzie rozległo się brzęczenie osy.

Giovanni natychmiast spowaźniał i rozejrzał się nerwowo.

– Gdzie ona jest? – zaniepokoił się. – Nie widzę jej!

Jego towarzysze nie zwracali na niego uwagi, wciąż zapatrzeni w ekran.

Brzęczenie przybrało na sile. Zdenerwowana osa, szukając drogi ucieczki, odbijała się od szyb. Giovanni dostrzegł ją przelatującą w pobliżu jego głowy.

– Nie! – wrzasnął desperacko, oganiając się wolną ręką.

Jaguar przyśpieszył gwałtownie i zaczął zygzakować na wąskiej jezdni, jakby intencją kierowcy było pozbycie się owada za pomocą siły odśrodkowej. Marco i Federico zaparli się rękami. Laptop spadł na podłogę, pokrywa zamknęła się z trzaskiem. Spanikowany Giovanni nie pamiętał już o prowadzeniu.

– Kierownica, do cholery! – wrzasnął na niego Federico.

Wóz zahaczył dwoma kołami o krawędź rowu, wpadł w lekki poślizg i odbił na drugą stronę szosy.

Marco dał nura między fotele. Złapał za kierownicę i próbował zapanować nad kierunkiem jazdy.

– Przeгон ją! – błagał go Giovanni. – Ugryzie mnie! Gdzie ona jest? – krzyczał histerycznie.

– Rozbijesz nas, durniu! – zawołał Marco.

– Giovanni, opanuj się! – dołączył do niego Federico.

Jadący zygzakami jaguar odbił od przeciwległego rowu i wszedł w zakręt akurat w chwili, gdy naprzeciwko niego wyrosła sylwetka ogromnej ciężarówki. Mignęła przestraszona twarz kierowcy, rozległo się donośne buczenie klaksonu. Federico zasłonił twarz rękami, Marco, jęcząc z wysiłku, skręcił kierownicą.

Jaguar przejechał przed maską nadjeżdżającej ciężarówki, przeskoczył przez płytki rów, wyjechał na łąkę i zarył w miękkiej ziemi tuż przed pniem starego dębu. Gwałtownie pchnięte drzwi od strony kierowcy otworzyły się z impetem, z wozu wyskoczył Giovanni. Nie przestając machać rękami, rzucił się do ucieczki.

W kabinie zapadła cisza. Śmiertelnie blady Marco opadł na tylne siedzenie. Federico oddychał głęboko, trzymając się za serce. Po chwili sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął małe pudełko, wyciągnął i połknął różową tabletkę.

Giovanni wrócił po chwili i ostrożnie zajrzał do środka.

– Poszła sobie? – zapytał.
– Poleciała – sprostował odruchowo Marco.
– Omal nas nie zabiłeś, idioto! – powiedział stary Włoch.
– Łatwo wujowi mówić! A ja bym umarł – poskarżył się Giovanni. – To była osa czy pszczoła? Polskie są gorsze od włoskich.
– A to dlaczego? – zainteresował się Marco.
– Czytałem o tym przed wyjazdem – oświadczył jego kuzyn, wsiadając za kierownicę. – Muszą przetrwać ciężki klimat, twarde są jak najemnicy. Albo jak polskie kobiety. Jedno ukąszenie i duszę się na śmierć.
Federico podniósł i otworzył laptopa.
Z głośnika dobiegł głos kustosza.
– Czy pozwoli pani, że zabiorę moje sztychy?

Ewa, Iza i Adam Dąbrowa patrzyli zaskoczeni na Maurycego Podreckiego, który tymczasem wrócił i zatrzymał się za progiem drzwi.

Ewa w pierwszej chwili nie wiedziała, co odpowiedzieć. Spojrzała na wiszące na ścianie dwa sztychy, które pokazywał kustosz. Na jednym widniał Krzyżtopór przed zburzeniem, drugi przedstawiał poziomy plan pałacu. Poczula opór przed oddaniem pamiątek po Zofii.

– Teraz? Tak od razu? – zapytała z ociąganiem.

Podeszła, przyjrzała się z bliska. Podrecki poszedł w jej ślady.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu... – powiedział z drzeniem w głosie, zdradzającym silne emocje.

Ewa była zdziwiona jego reakcją. Sztychy nie przedstawiały wielkiej wartości, ale może kustosz rzeczywiście był przywiązany do Zofii?

– To plan z epoki... – powiedziała.

Podrecki pokiwał głową w milczeniu. Spuścił oczy, żeby nie ujawnić pożądanego błysku. Gdyby ta kobieta domyśliła się, że plan jest kluczem do jednego z największych skarbów w historii świata, z pewnością znalazłaby pretekst, aby go zatrzymać.

– Testament powinien się uprawomocnić – stwierdził mecenas Dąbrowa.

Kustosz zadrżał. Musiał odchrząknąć, by uwolnić uwięziony w gardle głos.

– Pani Zofii bardzo zależało, żeby muzeum włączyło te sztychy do swojej kolekcji jak najprędzej. Pragnęła je nam podarować. Niestety, nie zdążyła.

Ewa powróciła na środek salonu.

– Proszę, niech pan je weźmie – powiedziała niechętnie.

– I instrumenty, ze skrzynią. – Podrecki wskazał na zabytkowy mebel pod oknem.

Jego pośpiech był irytujący. Ewa usłyszała głos, który mówił z naciskiem w jej głowie: Nie oddawaj sztychów i instrumentów! Zdarzało jej się czasem usłyszeć taki imperatyw; miała wówczas wrażenie, że druga, ukryta w niej Ewa, stara się nią kierować. Często okazywało się, że miała rację, lepiej rozumiała sytuację, była mądrzejsza. Ta pierwsza nieraz żałowała, że nie posłuchała. Za każdym razem, kiedy dopadał ją ten stan ducha, Ewa odczuwała dziwny niepokój.

– Chciałabym jeszcze rzucić na nie okiem – oświadczyła, żeby zyskać na czasie.
Kustosz wykonał zapraszający gest.

– Ależ oczywiście.

Podeszła do okutej żelazem skrzyni, otworzyła. Wyjęła i położyła na podłodze trzy stare instrumenty pomiarowe, wykonane z mosiądzu i drewna.

– Piękne! – powiedziała cicho Iza.

– Wyglądają na renesansowe – stwierdziła Ewa.

Trzej Włosi słuchali w skupieniu.

– Będą ozdobą naszego muzeum – oświadczył z dumą Podrecki.

Pomimo zniekształceń dźwięku, w jego głosie wyczuwało się napięcie.

Federico odetchnął z ulgą.

– Za pomocą tych instrumentów przeniesiemy horoskop na plan zamku? – zapytał Marco.

Jego wuj z satysfakcją pokiwał głową.

– To znaczy, że mamy już wszystko? – upewnił się Giovanni.

– Jeszcze data. Dokładna. Miesiąc, dzień, godzina – odparł Federico.

– Skąd ją weźmiemy?

Federico przewrócił oczami.

– Może ci się przyśni, Giovanni – powiedział zjadliwie. – Jeśli nie, to nie przeszkadzaj, bardzo cię proszę. To nasza jedyna szansa na uratowanie rodzinnego majątku.

– Pomoże mi pan mecenas? – zapytał głos kustosza. – Skrzynia jest ciężka.

Wieczór kładł granatowe cienie na południową ścianę dworku. Dęby skupiły się w półmroku na własnych tajemnicach, powietrze przecinały szybko skrzydła nietoperze.

W blask żółtego światła wkroczyli Adam Dąbrowa i Maurycy Podrecki. Ze skrzynią w rękach skierowali się do zaparkowanego przed werandą mercedesa. Kustosz otworzył bagażnik, dźwignęli ciężar do środka.

– Wie pan, co to za instrumenty? – zapytał prawnik.

– Zbadamy je w muzeum.

– To astrolabium, torquetum i libella. Są dużo warte.

Podrecki wsunął oba szyćchy na tylne siedzenie.

– Zna się pan na renesansowej astronomii? – zapytał obojętnym tonem.

– Trochę.

Adam Dąbrowa już w salonie zauważył, z jakim napięciem kustosz domagał się wydania spadku. Domyślał się, że przedmioty mają dla niego większe znaczenie, niż pragnie ujawnić.

– Potrafiłby pan je zastosować? – drążył Podrecki.

– Dokonać pomiarów astronomicznych?

Kustosz w napięciu pokiwał głową.

– W jakim celu? – odpowiedział pytaniem prawnik.

Na twarzy jego rozmówcy pojawiło się wahanie. Gdyby udało się wykorzystać wiedzę mecenasa, być może skróciłoby to drogę do skarbu. Nie, nie mogę posunąć się zbyt daleko bez ryzyka ujawnienia prawdy, zdecydował. Wyciągnął rękę, na twarz przywołał grymas uśmiechu.

– Pytam z ciekawości historyka sztuki. Dziękuję i do zobaczenia.

Uścisnęli sobie dłonie.

Kustosz wsiadł do samochodu, włożył kluczyk do stacyjki. Adam Dąbrowa nie spuszczał z niego wzroku.

– To nie byłoby trudne – powiedział powoli. – Ale bezcelowe. Mamy teraz nowocześniejsze narzędzia.

– Oczywiście. Jeszcze raz do widzenia, panie mecenasie.

Silnik zakrztusił się dwukrotnie, ale za trzecim podejściem odpalił. Mercedes odjechał szybko, jakby jego właściciel uciekał przed dalszymi pytaniami.

Dąbrowa odprowadził go wzrokiem, a potem ruszył z powrotem do dworku.

Złoty hyundai van i czerwone mitsubishi podążały szosą w stronę ciemnego nieba na wschodzie. Zza długiego pasma fioletowych chmur wysunął się pomarańczowy księżyc. Pofalowane łąki i zagajniki powoli zanurzały się w mroku. Pasażerowie obu samochodów byli obojętni na otaczające ich piękno; od wyjazdu z dworku nie zamienili ani słowa. Prowadzący hyundaia Zenon sięgnął do radia, aby zmienić stację, w której zaczęły się wiadomości.

– Zostaw !– warknęła ostrzegawczo Lusia.

Była to powtarzająca się konfrontacja: Zenon nie cierpiał polityki, jego żona uważała, że tylko idioci nie są poinformowani o sprawach tego świata.

– Gdyby wybuchł kryzys albo wojna, ty byś się dowiedział ostatni – mawiała, przełączając telewizor na program informacyjny.

Zenon zwykle powoływał się na wiadomości wysłuchane godzinę wcześniej i ustępował po kilku minutach kłótni. Tym razem bez słowa cofnął dłoń. W aucie przez chwilę panowała ciężka cisza.

– To wszystko twoja wina – stwierdziła Lusia, z nieruchomym wzrokiem utkwionym w przedniej szybie.

– No wiesz, coś takiego! Moja? – zaprotestował z oburzeniem. – Niby jak, jeśli mogę zapytać?

Odwróciła się do niego ze złością.

– Ile razy mówiłam: „Jedźmy do tej starej wariatki”? No, ile? – zapytała z goryczą.

– Do Zofii?

– Nie, do świętej Felicji! Prosiłam: pojedźmy, bądźmy dla niej mili. Nie wiadomo, jak długo pociągnie. Ale nie, ty zawsze miałeś coś ważniejszego! A to twoja zakichana ciotka, nie moja! No to teraz masz! Ewa była mądrzejsza, wszystko wyrwała. Rękę dam sobie uciąć, że przylatywała do starej co miesiąc! Robiła jej wodę z mózgu. Całą rękę!

Z pasją zademonstrowała odcinanie kończyny.

Zenon patrzył na ten pokaz przestraszony, jakby spodziewał się zgrzytu kości i chlustania krwi.

– Nie przesadzaj... – zaprotestował niepewnie.

– Wiem, co mówię! – parsknęła Lusia. – Ale, kochany, będziesz musiał naprawić swoje błędy.

– Niby jak?

O dziwo, Lusia nie miała gotowej odpowiedzi.

– Zawsze mówiłam... Ta twoja rodzinka – stwierdziła wymijająco – była i jest chora.

– Może porozmawiajmy o twojej? – zaproponował Zenon.

Głos jego żony zabrzmiał śpiewnie i drwiąco.

– Moja, kochany, nie ma wielkopańskich pretensji. To byli i są ciężko pracujący normalni ludzie.

– Socjalistka!

– Hrabia od siedmiu boleści! Arystokraci dziedziczą gen pychy i egoizmu!

– Ja przecież...

– Ty masz szczęście, że na mnie trafiłeś! – przerwała mu Lusia.

Zamilkli oboje, przepełnieni wzajemną urazą i poczuciem nieprzyjemnej pustki. Pomimo trzydziestu lat walk, żadne z nich nie wypracowało ochronnego pancerza na ciosy przeciwnika.

W czerwonym mitsubishi panowała cisza. Młodzi małżonkowie instynktownie odwlekali bolesne starcie.

– No powiedz to, słucham – przerwała wreszcie milczenie Daria.

– Nic nie mówiłem – odparł Robert sucho.

– Słyszę te twoje myśli!

– Nie przesadzaj.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Zawsze wiedziałem, że te wasze mrzonki o bogactwie to czyste bzdury – podjął Robert.

– Gównu wiedziałeś! – stwierdziła z satysfakcją Daria. – Ożeniłeś się ze mną dla tych mrzonek. A może teraz chcesz się rozwieść? No, choć raz zdobądź się na szczerłość!

W jej głosie zabrzmiała niebezpieczna nuta, coś pomiędzy wściekłością a płaczem.

Robert milczał z satysfakcją w oczach. Daria sama wystawiła się na strzał, więc brak odpowiedzi był najlepszym posunięciem.

Jego żona opanowała się jednak i nabrała powietrza przed następną rundą. W ataku przeszkodził jej dzwonek telefonu. Robert wyciągnął aparat ze schowka, odebrał połączenie.

– Halo! – rzucił tonem mężczyzny panującego nad sytuacją. Po chwili jego pewność siebie zastąpił niepokój. – Proszę się uspokoić. To nie nasza wina, że ktoś na pana napadł. Co? Nie, panie Kurdyk, mówiłem już panu. Nie należą się panu pieniądze. Nie dostarczył pan obrazu!

Z komórki dobiegał stłumiony wrzask. Robert musiał odsunąć telefon od ucha.

– Niech pan na mnie nie krzyczy! – wołał głos Kurdyka. – Ja też potrafię krzyczeć!

A jak nie dostanę forsy, to idę na policję!

Robert poczerwieniał ze złości.

– Nie szantażuj mnie, bo mogę tak zadziałać, że wylądujesz za kratkami, gnoju!

Rozumiemy się?

Z pasją wyłączył telefon i odrzucił go na tylne siedzenie.

– Nie odczepi się – stwierdziła Daria.

Rozmowa z Kurdykiem zjednoczyła ich na moment. Wspólni wrogowie cementują małżeństwa.

– Może coś mu zapłacić? – zastanowił się Robert pojednawczo.

– Zwariowałeś? Tylko tego brakowało! – zaprotestowała Daria.

Twarz Roberta miała zacięty wyraz człowieka oszukanego.

– Musimy mieć ten portret Ossolińskiego! – rzucił z pasją. – Pamiętam, co powiedziała kiedyś Zofia. Że nikt nie zdaje sobie sprawy z jego prawdziwej wartości.

– I podarowała go Ewie – zauważyła gorzko Daria. – Znajdzie się sposób – dodała z przekonaniem. – A nawiasem mówiąc, skąd ty wytrzasnąłeś tego Kurdyka? Ten facet to pomyłka.

Wypchnięcie jaguara na szosę zabrało dużo czasu i sił.

Po akcji Giovanni wyciągnął się na trawie. Palił papierosa i spryskiwał się owadobójczym sprayem w aerozolu. Federico i Marco w samochodzie słuchali transmisji z laptopa.

– Jak myślisz, dlaczego babcia Zofia zmieniła nazwisko? – zapytał głos Izy.

– Nie mam pojęcia – odparła Ewa. – W ogóle to mam wrażenie, że śnię.

– Przyjemny sen?

– Boję się kłopotów.

– Mama nie odpuści, możesz być pewna – stwierdziła Iza poważnie. – Po co babcia dała ci kiedyś ten obraz?

Ze ściany gabinetu z tajemniczym uśmiechem patrzył Krzysztof Ossoliński. Sprawiał wrażenie zadowolonego, że powrócił na miejsce po kilku latach tułaczki. Iza przyglądała mu się uważnie. Nagle podskoczyła poruszona. Wskazała na emblemat na portrecie, a potem na wisiołek Ewy.

– Identyczny wzór! To niesamowite!

– Wiem – przyznała Ewa. Wzięła wisiołek w dwa palce. – To Abraksas. Ludzki tułów, głowa koguta, ręce i nogi jak węże. Odpowiada liczbie trzysta sześćdziesiąt pięć, symbolizuje rok, czas i spełnienie. A wokół niego kilka planet ze starej astrologii.

Federico i Marco zamarli z wrażenia. Głosy były tak wyraźne, jakby rozmowa toczyła się tuż obok.

– Dostałam go od mamy, dawno temu – ciągnęła Ewa.

– To może być talizman? – zapytała Iza.

– Myślę, że raczej nic ważnego. Komuś spodobała się ornamentyka i zlecił

wykonanie kopii.

– E, tam... – Iza była nieprzekonana. – Zapewne kryje się za tym tajemnica, którą my odkryjemy!

Kabinę jaguara wypełnił śmiech Ewy.

– Krzyżtopór ma trzysta sześćdziesiąt pięć okien – mruknął Federico pod nosem. – I jedno zamurowane. Symbolizujące rok przestępny.

– Mamy właśnie rok przestępny – zauważył Marco.

Stary Włoch skinął głową.

– Planety Abraksasa mają znaczenie dla daty. I dla horoskopu.

Obaj drgnęli na widok twarzy Giovanniego, który znudzony czekaniem podszedł do samochodu i nachylił się do okna.

– Mowa o czymś ciekawym? – zapytał bez zainteresowania.

Ewa z Izą przeszły do salonu, gdzie mecenas Dąbrowa składał do teczki dokumenty.

– Dziwny osobnik z tego kustosza – powiedział na ich widok. – Trudno uwierzyć, że pani Zofia była z nim zaprzyjaźniona.

– Miała ekscentryczny gust – odparła Ewa.

Prawnik starannie zamykał teczkę, jakby pragnął oddalić chwilę rozstania.

– Spotkanie o dziesiątej rano?

Ewa skinęła głową.

– Dziękuję zatem paniom. I dobranoc.

Skłonił się lekko i ruszył w stronę drzwi, lecz Iza zastąpiła mu szybko drogę.

– Zaraz! Chyba nie ma pan zamiaru jechać po alkoholu?

– To tylko jeden kieliszek...

– Widziałam, ile pan wypił. Proszę nie ściemniać! Pan mecenas zostaje, mamy dość miejsca – zdecydowała dziewczyna i zwróciła się do ciotki. – Prawda?

– Jeśli to konieczne... – zgodziła się Ewa z ociąganiem.

Chyba jestem nieuprzejma, skarciła się w myślach.

Dąbrowa odczytał jej rezerwę, wykonał ruch w stronę drzwi.

– Mogę ściągnąć taksówkę – powiedział.

Iza rozpostarła szeroko ręce.

– Co to za gadanie? Zje pan z nami kolację, a wszystko wyjaśnicie sobie rano. I popracujecie, okej?

– Może pan przenocować. Są wolne pokoje. – Ewa podjęła decyzję.

Była na siebie zła za tę uległość, a jednocześnie pragnęła, aby mecenas został. Moja reakcja na niego to przejaw słabości, zżymała się w duchu. Minęły zaledwie dwa dni od postanowienia trzymania mężczyzn na dystans, a już dochodzi do głosu przekłeta skłonność do męskiego gatunku!

Iza podskoczyła z radości i klasnęła w dłonie.

– No i załatwione! Napijmy się jeszcze!

Podbiegła do kredensu, chwyciła otwartą butelkę wina i nalała do kieliszków.

– Za nową właścicielkę! – zawołała.

Adam podniósł kieliszek jak do toastu.

– Proszę koniecznie obejrzeć film od Zofii – przypomniał.

5.

Noc zbliżyła się do białych ścian dworku ze wszystkich stron. Opary mgły znad łąk niosły senne marzenia. Księżyc schował się za horyzontem, na niebie zapanowały nieskazitelne gwiazdy. Schowana w mroku pomiędzy dębami sówka skarżyła się płaczliwie.

W sypialni obok salonu Ewa siedziała bez ruchu na łóżku. Gabinet oddała mecenasowi Dąbrowie. Nie chciała, żeby mężczyzna spędził noc w pokoju Zofii. To byłoby niestosowne, jakby powierzała obcemu intymność, której stryjeczna babka nie mogła już obronić.

Czuła się nieswojo, mimo że nie bała się ducha zmarłej. Nie miałyby nic przeciw temu, aby Zofia ukazała się i porozmawiała z nią. No, może niekoniecznie w środku nocy, przy akompaniamencie lamentów sówki...

Otrząsnęła się z niespokojnych myśli. Nie odczuwała jeszcze senności, poza tym była ciekawa nagrania, które zostawiła Zofia. Wyciągnęła płytę z koperty.

Żadnego opisu.

Babka z pewnością dała do skopiowania filmy, które przez wiele lat kręciła kamerą na taśmie osiem milimetrów, a potem na wideo. Utrwalanie rodzinnych wydarzeń i mijających lat było jej pasją. Na myśl, że za chwilę zobaczy siebie siedmioletnią, na kucu, na którym pokonuje pierwszy w życiu tor przeszkód, Ewa poczuła wzruszenie. Znała ten film, i wiele innych, ale po raz pierwszy miała je obejrzeć w samotności.

Zwilgotniały jej oczy.

Zdjęła marynarkę i powiesiła ją w szafie, włożyła szlafroczek. Podeszła do odtwarzacza, ustawionego przed przeszkloną biblioteczką, i wsunęła do niego płytę. Usiadła na łóżku i wzięła do ręki pilota.

– Zaraz się okaże, że babcia Zofia była facetem. Agentem, pułkownikiem wywiadu – usłyszała i odwróciła się zaskoczona.

Stojąca w otwartych drzwiach Iza parsknęła śmiechem. Przebiegła przez pokój i z impetem wskoczyła do łóżka. Była już w piżamie. W ręce trzymała otwartą butelkę wina.

– Miałas spać – przypomniała jej z wyrzutem Ewa, odczuwając jednocześnie wdzięczność, że nie jest sama.

– Nie nudź, ciotka! – Dziewczyna przymrużyła oko.

Jaguar, ze zgaszonymi światłami, poskrzypując oponami na żwirze, wyjechał cicho zza zakrętu i zatrzymał się przy murze otaczającym park.

Rozmowa Ewy z Izą sprawiła, że Federico zdecydował się zawrócić z drogi do domu, który wynajął kilka kilometrów za Ujazdem. Odgłosy z laptopa stały się niewyraźne, jakby dobiegały zza ściany, a on chciał słyszeć każde wypowiedziane w dworku słowo.

– Co się stało? – zapytał Giovanni.

– Może zmieniła ubranie? – Domyślił się Marco.

– Niedobrze. – Skrzywił się Federico. – Musicie zadziałać.

Młodzi Włosi jak na rozkaz wysiedli z samochodu. Giovanni wyciągnął zza pasa duży pistolet, sprawdził magazynek.

– Po co ci to? – Marco z ubolewaniem pokręcił głową. Skłonność kuzyna do przemocy napawała go lękiem i niesmakiem.

Giovanni spojrzał z wyższością.

– Ty masz swoją robotę, ja swoją. Jestem zawodowcem, okej?

Marco skrzywił się, nieprzekonany, ale nie odezwał się słowem. Obaj wspięli się na mur i zeskoczyli po drugiej stronie.

Na ekranie plazmowego telewizora pojawiła się kobieta, którą mimo sześćdziesięciu siedmiu lat wciąż można było nazwać piękną. Klasyczny owal twarzy z wielkimi ciemnymi oczami i lekko wystającymi kośćmi policzkowymi przypominał urodę Ewy. Ciasno związane na głowie siwe włosy wyglądały jak hełm, mocno zarysowana szczęka i wyostrzony wiekiem nos świadczyły o zdecydowanym charakterze. A liczne zmarszczki w kącikach ust i oczu o poczuciu humoru i skłonności do śmiechu.

Zofia wyglądała na poważną i zakłopotaną. Siedziała w głębokim fotelu, za oparciem którego widać było sztych przedstawiający Krzyżtopór. Długo wpatrywała się w obiektyw kamery, jakby próbowała wy badać wzrokiem reakcję słuchaczki.

– Brr! – mruknęła Iza i chwyciła ciotkę za ramię. – Mam uczucie, że na nas patrzy! Zza grobu...

Ewa milczała. Też miała wrażenie, że Zofia spogląda nie z ekranu, a z odległej przestrzeni. Drgnęła przestraszona, kiedy padły pierwsze słowa.

– Ewuniu kochana... To, co ci wyjawię, może być niebezpieczne. Lękam się o ciebie, ale liczę na twój błyskotliwy umysł i wykształcenie historyka sztuki. Tylko tobie ufam, z całej rodziny, bo jesteś mi bliska. Słuchaj uważnie, a potem zniszcz to nagranie.

Zofia zrobiła długą pauzę, jakby pragnęła, by wstęp zapadł w pamięć słuchaczki.

– Twoja prababka wyszła za Włocha ze starego weneckiego rodu Farnese. Po wojnie przyjechała do Polski, aby wprowadzić mojego ojca i mnie w tajemnicę naszej rodziny. To, co usłyszysz, brzmi fantastycznie, ale jest prawdą. Przez wieki ród Solonów służył cesarzom Bizancjum...

– Solon! – wykrzyknęła podniecona Iza. – Coś podobnego!

– Cicho!

– Po zdobyciu Konstantynopola, stolicy cesarstwa, przez Turków, Solonowie razem z rodziną cesarza uciekli do Wenecji – ciągnęła Zofia. – Dwa wieki później ostatni cesarz Aleksy Paleolog wyprawił Georgiosa Solona do swojego przyjaciela, polskiego magnata Krzysztofa Ossolińskiego. Do Krzyżtoporu. W zamku miało być ukryte coś najcenniejszego dla Bizancjum. Coś, czego pragnął wenecki doża. Nie udało mi się, niestety, ustalić, co to było. Nie wiem, czy Ossoliński spełnił oczekiwania cesarza. Jeśli jednak, to w Krzyżtoporze został ukryty niezwykły skarb.

Zofia sięgnęła po szklanekę, wypita kilka łyków wody. Jej dłoń drżała lekko.

Ponownie spojrzała w obiektyw.

– Solon pozostał w Polsce, założył rodzinę. Myślę, że byli strażnikami skarbu. Przyjęli nazwisko Soliński, to od nich pochodzimy. Włoska prababka wierzyła w miłość męża. Z czasem jednak zrozumiała, że jej małżeństwo było tylko częścią planu rodu Farnese, aby wydrzeć nam tajemnicę skarbu cesarzy. Rozczarowana prawdą uciekła z Wenecji do Polski. Ukryła się w naszej rodzinie.

Z samochodu, stojącego pod tylną bramą z wyłączonymi światłami, wysiedli dwaj mężczyźni. Ich sylwetki niewyraźnie odcinały się na tle muru. Wciągnęli na głowy kominiarki, otworzyli bagażnik, wyjęli narzędzia i dużą torbę. Jeden z nich zapalił latarkę.

– Zgaś to! – ofuknął go drugi.

Światło zgasło. Mężczyźni cicho zamknęli bagażnik i ruszyli w stronę bramy.

Zza załomu muru wyszli Marco i Giovanni. Przykucnęli niezdecydowani.

– To był rok pięćdziesiąty szósty – kontynuowała Zofia. – Pamiętam zdumienie mojego ojca, kiedy starsza elegancka Włoszka przedstawiła się jako nasza daleka krewna, Maria Rosa. Nie zapomnę jej opowieści. Twierdziła, że od wieków skarbu szukają potomkowie weneckiego doży, ród Farnese. Są zdecydowani na wszystko i niebezpieczni.

Zza uchylonego okna dobiegł trzask suchej gałęzi.

Ewa zatrzymała odtwarzanie. Chciała sprawdzić, co to takiego, ale w parku panowały ciemności. Nie była przyzwyczajona do takiego mroku, w mieście nigdy nie było ciemno. Jak będzie się czuła, mieszkając tu sama przez cały rok? Zofii to nie przeszkadzało, a ona przy niej była bezpieczna.

Wzdrygnęła się, przymknęła okiennicę i powróciła do łóżka. Iza popatrzyła na ciotkę lekko wystraszona.

– Pewnie dzik – stwierdziła Ewa uspokajająco.

– No. Podchodzą pod sam dom, grzebią w ogródku – przytaknęła z ulgą dziewczyna. – Strach czasem wyjść w nocy.

Płyta ruszyła od nowa.

– Z pokolenia na pokolenie my, Solonowie, przechowujemy tajemnicę cesarzy Bizancjum. W zawieruchach wojen zagubiliśmy wiele elementów i nie potrafimy już wskazać, gdzie w Krzyżtoporze ukryto skarb. – Zofia przerwała i na chwilę spuściła oczy.

– Niestety, okazałam się lekkomyślna. Kilka lat temu pojechałam do Włoch. Chciałam odnaleźć bibliotekę i księgę, o której usłyszałam od naszej krewnej. Biblioteka mieści się w pałacu rodu Farnese, w Wenecji. Piękna budowla, jak wiele włoskich pałaców przypominająca ogromną kamienicę z tarasami i krużgankami. Sprawiała jednak wrażenie zaniedbanej: kruszący się tynk, nieremontowany dach, zielsko w ogrodzie. Wpuszczono mnie, kiedy podałam nazwisko. Już ten fakt powinien być ostrzeżeniem, lecz ciekawość okazała się silniejsza. – Oczy Zofii błysnęły. – Znalazłam tę księgę, z siedemnastego wieku! Mówiła o Krzyżtoporze, pełno w niej było symboli i ukrytych znaczeń! Kiedy jednak zaczęłam fotografować ilustracje, pojawił się ten sam mężczyzna, który wpuścił mnie do biblioteki. Przedstawił się jako Federico Farnese, właściciel pałacu,

i zażądał, abym oddała mu zdjęcia. Próbowalam protestować, ale dał mi do zrozumienia, że zmuszony odbierze aparat siłą. Co miałam robić? Wyjęłam kartę pamięci z aparatu. Byłam naprawdę przestraszona, ale Farnese okazał się wykształconym i miłym człowiekiem. Przeprosił za ostrą interwencję, którą wytłumaczył troską o rodowy majątek. Zadał mi pytania o rodzinę. – Zofia przerwała opowieść, po czym podjęła ją na nowo. Skrzywiona mina świadczyła o jej braku aprobaty dla siebie samej. – Oczarowały mnie jego erudycja i klasa, zachowałam się jak idiotka. Nie powiedziałam o odwiedzinach Marii Rosy, ale opowiedziałam o Georgiosie Solonie, Krzysztofie Ossolińskim i o Krzyżtoporze. Naiwnie myślałam, że niczego nie zdradzam, że go przechytrzę, dowiem się czegoś. Mój rozmówca słuchał bardzo uważnie...

– Miała szczęście, że wyszła z tego cało! – zawołała przejęta Iza.

Ewa zatrzymała nagranie.

– To chyba naprawdę sen – powiedziała, patrząc na znieruchomiałą twarz Zofii. – Mam nadzieję, że wszystko okaże się tylko fantazją starszej pani.

Iza pokręciła przecząco głową.

– Ja jestem pewna, że czeka na nas wielka tajemnica! – oznajmiła i napiła się wina prosto z butelki.

– Ej, dziewczyno! – napomniała ją Ewa.

Zabrała butelkę i sama wypiła łyk.

– Po powrocie do Polski zaczęli mnie odwiedzać turyści z Włoch – ciągnęła Zofia po uruchomieniu nagrania. – Zdarzyło się włamanie do domu, zginęły dwa sztychy z wizerunkiem Krzyżtoporu. Dlatego właśnie portret Ossolińskiego znalazł się u ciebie. Bałam się, że go stracę. Później zaczęłam szukać śladów przeszłości w muzeum w Zamościu. Zaprzyjaźniłam się z kustoszem Maurycym Podreckim. Zapisałam mu dwa sztychy i stare instrumenty. Chcę, żeby były bezpieczne jako muzealne eksponaty. Być może trzeba tam zdeponować również portret wojewody.

– Nie podoba mi się ten Maurycy... – wtrąciła Iza.

– Nie przeszkadzaj!

Zofia dumnie podniosła głowę.

– Poczułam, że w moich żyłach płynie krew Georgiosa Solona – mówiła z naciskiem. – W tobie też wyczuwam to dziedzictwo, droga Ewo. W moim biurku znajdziesz szkatułkę, a w niej fragment listu Ossolińskiego, zakodowany. I jego tłumaczenie na włoski. Doktor Maurycy Podrecki to znawca Bizancjum i renesansu, prowadził badania w Wenecji. Wysłuchaj go uważnie. Jest jeszcze twój wisiołek. No i portret. Wiem, że nasi przodkowie znali przepis, jak złożyć w całość wszystkie elementy prowadzące do skarbu. Myślę, że mój pradziadek zapłacił życiem za odmowę wyjawienia tajemnicy. Zaginął w dziwnych okolicznościach, podczas podróży do Italii po pierwszej wojnie światowej. Nie zdążył przekazać swojej wiedzy synowi. Mam nadzieję, że ty, dzięki wykształceniu, poskładasz wszystkie tropy. Ja nie potrafię – westchnęła smutno. – A jeśli rozwiążesz zagadkę z przeszłości, dotrzymaj przysięgi Solonów! – nakazała dobitnie, z ogniem w oczach. – Znajdź skarb cesarzy Bizancjum i strzeż go!

Ekran pociemniał, twarz Zofii znikła.

Iza odruchowo zerknęła na wisiołek z Abraksasem.

– To co robimy? – zapytała.

Z głębi domu dobiegł stłumiony hałas. Jakby przewróciło się coś ciężkiego.

– Słyszałaś? – rzuciła Ewa.

Nasłuchiwały obie, ale dobiegło je tylko wołanie sówki.

– Duch Krzyśka Ossolińskiego! – parsknęła nerwowym śmiechem Iza.

Dwaj mężczyźni w czarnych kominiarkach znieruchomieli na moment pośrodku ciemnego gabinetu. Po chwili jeden z nich ponownie włączył niewielką latarkę, podniósł przewrócone krzesło i powrócił do przeszukiwania biurka. Drugi pochylił się nad szufladami po przeciwnej stronie. Przerzucając szybko dokumenty, wymieniali ciche uwagi.

– Niczego tu nie ma!

– Szukamy rachunków i listów. Wszystkiego, co dotyczy spadku. Albo testamentu. Tego prawdziwego.

– Wiem, tato, czego szukamy! – rzucił zirytowanym szeptem jeden z mężczyzn.

– Ciszej!

Jego towarzysz wyciągnął z kieszeni kurtki telefon i wybrał numer.

Zamojskie mieszkanie Zofii mieściło się w osiemnastowiecznej kamienicy i składało się z trzech dużych pokoi, kuchni, łazienki i korytarza. Urządzone było ze smakiem, starymi meblami. Na ścianach wisiały gobeliny i obrazy.

Lusia z Darią siedziały przy stole w pokoju jadalnym, kończąc późną kolację, gdy rozległa się stłumiona muzyczka. Lusia zerwała się, podeszła do leżącej na kredensie torebki i zaczęła ją przetrząsać w poszukiwaniu komórki.

– No, znajdźże wreszcie! – ponagliła ją zaniepokojona córka.

– Zaraz, psiakrew! – zakląła Lusia, wysypując zawartość torebki na blat.

Złapała za zaplątany w chustkę do nosa telefon, lecz w tej samej chwili muzyka umilkła. Szybko odnalazła ostatnie połączenie, wybrała numer.

– Daj na głośno! – rzuciła Daria.

Obie czekały niecierpliwie.

W ciemności cichy dzwonek zabrzmiał jak syrena okrętowa.

– Ćśśś! – zasyczał jeden z zamaskowanych mężczyzn.

Drugi nerwowym ruchem wyszarpnął z kieszeni aparat i odebrał.

– Co jest? – zapytał wściekłym szeptem.

– Jak to: co?! – odpowiedział mu głos Lusi. – To ty do mnie dzwoniłeś!

– Nie ja, tylko ojciec. Niczego tu nie ma!

Snop słabego światła wydobył z mroku twarz spoconego Roberta. Kominiarkę miał wywiniętą na czoło.

– Znajdźcie coś! Cokolwiek! – zażądała Lusia. – Musimy udowodnić, że stara

zwariowała!

Trzymający latarkę drugi mężczyzna ściągnął nakrycie głowy i stał się Zenonem. Odebrał telefon zięciowi.

– Mówiłem, żeby nie wyjeżdżać z dworku! Spokojnie by się poszukało – powiedział głośnym szeptem.

– Idioci! – stwierdziła Lusja. – Para idiotów. Musi coś być!

– Sama przyjeżdż i poszukaj! – zakończył Zenon ze złością i przerwał połączenie. – Powiedziała, że jestem idiotą. Wyobrażasz sobie? – poinformował Roberta.

– Mówi tak, bo tato jej pozwala.

– O tobie też tak powiedziała.

Patrzyli po sobie, spoceni i poirytowani.

– Przy mnie by się nie ośmieliła – oświadczył Robert.

– Ach tak? – Skrzywił się Zenon.

– Tak. Bo ja jestem samiec alfa. Nie pozwalałam na takie zachowanie.

– A ja to niby co jestem?

– Samiec beta. W najlepszym przypadku.

Zenon zacisnął usta, odwrócił się ostentacyjnie.

Snop światła padł na portret Ossolińskiego. Obaj intruzi znieruchomieli zaskoczeni.

Robert gwizdnął z podziwem.

– A to dobre! Ewunia przywlokła go z powrotem!

– Mówiłem, że coś jest w tym kartonie – przypomniał mu Zenon.

– Bierzemy! – zadysponował Robert.

Twarz jego teścia zdradzała wahanie walczące z chciwością.

– No ale testament...

Robert się zachnął.

– A było w nim cokolwiek o portrecie?

Wątpliwości Zenona słabły.

– Sam nie wiem... Ale Ewa dostała go wcześniej.

– Na przechowanie.

Robert zdecydowanym ruchem zdjął obraz ze ściany i rozejrzał się za czymś, w co mógłby go zawinąć. Sięgnął po narzutę z łóżka. Na nocnym stoliku obok leżała aktówka mecenasa Dąbrowy.

– Poznajesz? – zapytał zaskoczony Zenon.

Robert przytaknął z satysfakcją.

Podeszli obaj do łóżka, Robert oparł obraz o ścianę, podniósł aktówkę. Zenon pociągnął narzutę. Zobaczyli wystającą spod kołdry bosą stopę, cofnęli się obaj, przestraszeni. Robert zahaczył o stolik, przewrócił go z hałasem. Narzuta spadła na podłogę, na łóżku usiadł półprzytomny Adam Dąbrowa. Zenon szybko naciągnął kominiarkę na twarz, skierował na niego latarkę.

– Kto jest? Co... – zawołał Dąbrowa, próbując coś dojrzeć przez oślepiające światło.

Robert chwycił za kołdrę, narzucił na jego głowę. Zaczęli się szarpać, spod kołdry dobiegły stłumione przekleństwa. Zenon ruszył na pomoc zięciowi, przygniótł prawnika

do łóżka. Przez kilka sekund trwała zaciekle walka. Adam zaczął wysuwać się spod napastników.

Zenon zamachnął się latarką i uderzył w zaokrąglenie kołdry, pod którym znajdowała się głowa. Rozległ się zduszony jęk, ciało na łóżku zwiotczało. Zenon i Robert zerwali się. Patrzyli przestraszeni na znieruchomiłe nogi i ręce.

– Nie zabiłeś go? – spytał niepewnie Robert.

Ostrożnie chwycił przegub Adama, sprawdził puls.

– Żyje – powiedział z ulgą.

– Szybko! – rzucił Zenon.

Podniósł narzutę i owinął nią obraz. Robert nadal patrzył na nieruchome ciało pod kołdrą.

– Obudź się! – syknął ze złością Zenon. – Kominiarka!

Robert wciągnął na głowę kominiarkę, ruszyli obaj do drzwi. Światło latarki padło na twarz wbiegającej z korytarza Ewy, z ułańską szablą w ręku. Zenon rozpaczliwym zwrotem uniknął nadziania na klingę, zderzył się z Ewą. Wywrócili się oboje, szabla upadła na podłogę. Chwyciła ją Iza, która uniknęła zderzenia.

W ciemności dostrzegła mężczyznę w kominiarce, błyskawicznie uniosła szablę i zadała cios. Rękojeść obróciła się w dłoni, klinga uderzyła Roberta płazem w bark; rozległ się donośny wrzask bólu. Przestraszona Iza cofnęła się.

Zenon zerwał się, przewrócił podnoszącą się Ewę i z obrazem w rękach puścił się pędem korytarzem. Robert, trzymając się za obolały bark, pobiegł za teściem. Ewa wstała z okrzykiem złości, gotowa do dalszej walki. Ktoś wpadł na nią i przewrócił znowu na podłogę. Iza odwróciła się i zamachnęła szablą nad plecami podnoszącego się napastnika.

– To ja! – krzyknął głos Adama. – Bandyci uciekli! Au, moja głowa!

Ciemności rozświetlała słaba poświata gwiazd.

Zenon i Robert gnali przez gazon w stronę bramy. Jeden trzymał pod pachą portret Ossolińskiego, drugi kurczowo ścisnął aktówkę.

– Musiałeś narobić wrzasku? – wołał ze złością Zenon.

– Ja? – zaprotestował Robert. – Kto pierwszy wrzasnął?

– Myślałem, że to noga Zofii!

– Jasne, wstała z grobu i wróciła do łóżka! Debil by tego nie wymyślił!

– Licz się ze słowami! Jestem twoim teściem! I pokonałem mecenasa!

Na werandzie zapaliło się światło.

– O cholera, szybciej! Tędy! – zakomenderował Zenon.

Skręcili za kępę krzewów przy murze. Byli już blisko bramy, gdy na ganku pojawili Ewa, Adam i Iza.

– Stać! Policja! Stać, bo strzelałam! – wrzasnęła dziewczyna.

Zenon i Robert wbiegli w bramę, popędzili drogą wzdłuż muru, w stronę zaparkowanego hyundaia. Robert w biegu otworzył zamki pilotem. Zenon zatrzymał się przy bagażniku.

Męska dłoń poklepała go po ramieniu.

– Zaraz! – rzucił niecierpliwie, wkładając obraz do bagażnika.

Dłoń ponownie klepnęła jego ramię. Zenon odwrócił się zniecierpliwiony.

– Czego chcesz?

Stojący przed nim Giovanni jedną ręką przyłożył mu do twarzy tampon, drugą chwycił za głowę. Zenon szarpnął się, ale od razu osłabł, usiadł na ziemi i zasnął. Giovanni schował tampon do plastikowego pojemnika, potem wyciągnął obraz z bagażnika.

Zza samochodu wyszedł Marco. Odwinął obraz z narzuty i zapalił latarkę. Snop światła padł na twarz Ossolińskiego.

Włosi przez chwilę przyglądali się portretowi, potem zawinęli go w narzutę i odeszli w ciemność. Obok hyundaia leżeli ciężko oddychający przez sen Zenon i Robert, przy nich leżała porzucona aktówka.

Kobięcy głos powtarzał monotonicznie:

– Posterunek policji Ujazd, proszę czekać na przyjęcie zgłoszenia.

Ubrana w szlafrok Ewa stała przy siedzącym w wiklinowym fotelu Adamie Dąbrowie, przemywała jodyną skaleczenie na jego czole. Mecenas trzymał przy skroni plastikowy worek z lodem, owinięty kocem drżał z zimna. Na stoliku leżał telefon komórkowy, obok oparta była szabla. Jodyna dostała się do ranki, Dąbrowa zasyczał z bólu.

– Ćśśś... – napomniała go Ewa.

– Fatalnie, że ukradli teczkę z dokumentami spadku – powiedział mecenas przez zaciśnięte zęby. – I z listami pani Zofii.

– Coś mogą z tym zrobić?

– Nie sądzę. Wykonam duplikaty dokumentów. Ale szkoda mi listów. Au!

Ewa odruchowo odsunęła wacik, poły szlafroka rozchyliły się. Adam zerknął na jej nagie uda.

– Ej, co jest? – zaprotestowała, poprawiając okrycie.

Adam uciekł w bok wzrokiem.

– Przepraszam... Boli mnie głowa.

– Posterunek policji Ujazd, proszę czekać na przyjęcie zgłoszenia – powtarzał uparcie telefon.

– Gdyby był pan przytomniejszy, nie zaskoczyliby nas – stwierdziła Ewa.

– Dostałem twardym narzędziem w głowę. Mogłem zginąć.

Na ganku pojawiła się Iza z parującym kubkiem herbaty w dłoni.

– Przeżyje pan? – spytała z udaną powagą.

Mecenas wziął kubek i parząc wargi, wypił kilka łyków.

– Jest pani cudowna! – Uśmiechnął się do dziewczyny.

– Wiem – oświadczyła spokojnie.

Ewa uniosła brwi na znak, że nie podoba się jej ten flirt z mecenasem. Iza mrugnęła porozumiewawczo, po czym weszła z powrotem domu.

– Posterunek policji w Ujeździe, słucham? – odezwał się w telefonie męski głos.

– Halo? Dzwonię z dworku Zofii Solińskiej – powiedziała Ewa. – Wie pan, gdzie to jest? Tak. Ewa Modlińska, krewna Zofii. Zostaliśmy napadnięci przez uzbrojonych bandytów. Uciekli, ale mogą wrócić. Proszę przysłać radiowóz, jak najszybciej. Dobrze. Czekam. – Rozłączyła się i zwróciła do mecenasa. – Mamy się zamknąć w domu.

Dąbrowa spojrzał na nią poważnie.

– Proszę się zastanowić nad prośbą pani Zofii – powiedział z naciskiem.

– To dość dziwne, nie uważa pan?

– Będzie pani potrzebować pomocy prawnej. Finanse majątku i fundacji nie są proste. I ktoś powinien zadbać o pani bezpieczeństwo.

Przez parę sekund patrzyli na siebie w milczeniu, oboje nagle zmieszani.

– Prawdziwy mężczyzna, który ochroni mnie przed bandytami – rzuciła Ewa ironicznie i natychmiast pożałowała tego tonu.

Dąbrowa odwrócił głowę. Spojrzał na ciemny park.

– Zaskoczyli mnie – powiedział. – Niestety, mam mocny sen. I nie jestem ochroniarzem. Trzeba wynająć firmę.

Ewa chciała przeprosić za ironię, ale w tym momencie na werandę powróciła Iza. W rękach trzymała dubeltówkę.

– Skąd to wytrzasnąłeś? – zdumiała się Ewa.

– Z magazynku.

– Daj spokój. Skąd weźmiesz naboje? Zresztą włamywacze już zwiali.

– Tacy przestępcy potrafią wracać – powiedział Adam, podnosząc do ust kubek z herbatą.

– Zna się pan na przestępcach? – spytała niewinnym tonem Iza.

– Niezupełnie, ale...

– Niech się pan ubierze – przerwała mu Ewa. – Brakuje nam tylko zapalenia płuc. Adam uznał, że w jego sytuacji dyskusja nie ma sensu. Wstał.

– Jeśli panie pozwolą, wezmę gorący prysznic.

Rozbawiona formą pytania Iza wykonała przyzwalający gest.

– Proszę bardzo – powiedziała Ewa.

Uspokoila się po przeżytym lęku i pojawiło się współczucie. Obudzony zniecka prawnik stoczył rozpaczliwą walkę z napastnikami, został ogłuszony uderzeniem w głowę, a teraz musi znosić jej kpiny.

Mecenas uklonił się i wszedł do domu.

– Strasznie po nim jedziesz – zauważyła Iza. – W końcu walczył jak lew.

Ewa wzruszyła ramionami.

– Raczej jak kot. A spał jak suseł. I jeszcze teraz wyjeżdża z dziwnymi ofertami.

– Z czym?

– Policjant kazał nam zamknąć się na cztery spusty.

– Ja tam nie dam się zaskoczyć – oświadczyła Iza i usiadła w fotelu z dubeltówką na kolanach. – Szkoda, że nie mamy reflektora.

Ewa popatrzyła na nią z podziwem. Potem podniosła opartą o fotel szablę i ruszyła do domu.

– Zgaś światło – powiedziała dziewczyna. – Oni mają nas jak na patelni, a my nic

nie widzimy. I może zrób kawy. Co ci zaproponował pan mecenas? Małżeństwo? Jesteś teraz dobrą partią.

– Właśnie – mruknęła Ewa.

Posłusznie wyłączyła lampę nad drzwiami, weszła do środka i zajrzała do gabinetu.

– No nie! Tylko nie to! – zawołała na widok wypłowiałego prostokąta na ścianie.

Odwróciła się i zobaczyła biurko z szeroko pootwieranymi szufladami. Podeszła doń, szybko przerzuciła pogniecione papiery.

Ani śladu listu, o którym mówiła Zofia.

Zrezygnowana przysiadła w fotelu. Kto mógł wiedzieć o dokumentach i portrecie Ossolińskiego? Włosi, o których wspomniała stryjeczna babka?

Nagle przypomniała sobie mężczyznę z twarzą dobermana, który przedstawił się jej jako włoski kuzyn.

Nie pojawił się przypadkiem. Musiał być jednym z ludzi, którzy w przeszłości próbowali włamać się do dworku. Teraz im się udało, bo ona nie okazała się dość czujna. Powinna odnaleźć list natychmiast, nie czekać z tym do rana. I dlaczego nie schowała portretu?

Przez moją głupotę rozpląnęły się marzenia historyczki sztuki o skarbie cesarzy Bizancjum, westchnęła w duchu.

Robert wydał stłumiony jęk, po czym uniósł się z trudem na czworakach i wstał. Zachwiał się, ale chwycił za otwarte drzwiczki i odzyskał równowagę. Rozejrzał się niezbyt przytomnie. Nie miał pojęcia, co się wydarzyło, czuł się jak po przedawkowaniu alkoholu.

Usłyszał niewyraźny jęk i w mroku dostrzegł trzymającą się chwiejnie na nogach sylwetkę. Cofnął się przestraszony.

– Kto tam? – rzucił chrapliwie. Język miał jak z drewna.

– Ja... Zenon.

Pamięć Roberta zaczęła działać. Przywołała obrazy walki z mecenasem i ucieczki z dworku. Mimo to wciąż nie rozumiał, dlaczego zasnął na ziemi ani czemu boli go głowa i zbiera mu się na wymioty.

Obszedł samochód na miękkich nogach i zatrzymał się przed teściem, który oburącz opierał się o maskę. Twarz miał koloru kredy.

Popatrzyli po sobie niepewnie.

– Co się stało? – zapytał Robert.

– Nie mam pojęcia – wyznał nieswoim głosem Zenon.

– Niedobrze mi – poskarżył się Robert.

Zenon czknął, powstrzymując mdłości. Podniósł z ziemi kominiarkę i przycisnął ją do ust.

– Mnie też.

Powoli docierał do nich przebieg wydarzeń.

– Bandydzi! Otruli nas narkotykiem – wyszeptał Robert. – Zajrzał do otwartego bagażnika. – Obraz!

– Co: obraz?

– Ukradli nasz portret!

Zrezygnowany Zenon zatrzasnął bagażnik.

– Dobrze, że żyjemy – powiedział. – Zjeżdżajmy stąd!

Zięc spojrział na niego oczami płonącymi ze złości.

– W życiu! Nie zostawię im obrazu!

– Mało ci jeszcze?

Robert bez słowa odsunął teścia, otworzył bagażnik. Szukał czegoś przez chwilę, aż wreszcie wyprostował się z kluczem do kół w ręku.

– A jeśli wezwali policję? – zapytał Zenon.

– Niby kto? Kuzynka Ewunia? Napuściła na nas bandytów! Niech wzywa, zobaczymy!

Robert obszedł auto dokoła. Zauważył leżącą przy drzwiczkach aktówkę.

– Teczka mecenasa – stwierdził. – Dobrze i to.

– Może odpuścimy? – zaproponował pojednawczo Zenon. – Słabo się czuję.

– Ile wart jest obraz? – zapytał Robert.

Zenon wzruszył ramionami.

– Zofia mówiła, że dużo.

– Mnie wystarczy.

Robert wrzucił aktówkę do samochodu, zatrzasnął drzwiczki. Naciągnął na twarz kominiarkę i ściskając klucz w dłoni, skierował się do bramy. Szedł chwiejnie, lecz z determinacją.

Zenon zawahał się, ale pokaz takiej odwagi i w jego sercu obudził lwa. Sięgnął do bagażnika, wyjął turystyczny toporek, zważył go w dłoni i pobiegł za zięciem.

Ubrany w damski szlafrok Adam wyszedł właśnie z łazienki i na zakręcie korytarza wpadł na Ewę. Oboje stracili równowagę.

– Och, przepraszam! – wykrzyknął prawnik, odruchowo chwytając Ewę w objęcia.

Uwolniła się natychmiast, dała krok do tyłu. Przez moment patrzyli zmieszani.

– Co pan na siebie włożył? – W głosie Ewy zadźwięczało zdumienie.

Adam spojrzał po sobie.

– Sądzę, że chyba szlafrok Zofii – oznajmił. – Był w łazience. Idę po swoje ubranie.

– Ukradli portret Ossolińskiego – powiedziała zmartwiona Ewa. – I dokumenty z biurka.

– Fatalnie. Przykro mi. Powie mi pani, co było na nagraniu od Zofii?

Ewa otworzyła usta, ale powstrzymał ją donośny huk wystrzału. Oboje ruszyli na korytarz. W ciasnej przestrzeni zderzyli się ponownie.

– Niechże mnie pan puści! – zdenerwowała się Ewa.

Wysforowała się naprzód i pierwsza wbiegła do salonu.

Na stole leżała szabla, więc chwyciła ją i pobiegła dalej. Adam rozejrzał się wokół, na ścianie dostrzegł ułańską pikę. Szarpnięciem zerwał ją z dwóch łańcuszków.

Na schodkach werandy stała Iza z przełamaną dubeltówką. Właśnie wyrzucała

puste gilzy po nabojach. W odległości kilkudziesięciu kroków z ziemi podnosili się dwaj mężczyźni w kominiarkach. Dziewczyna wyciągnęła kolejne dwie sztuki amunicji z kieszeni kurtki i wsunęła je do komory.

– Przestań! – zawołała przerażona Ewa.

Na zewnątrz wybiegł Dąbrowa z piką w dłoni. Mężczyźni na gazonie rzucili się do ucieczki. Jeden z nich mocno kulał i trzymał się za pośladek.

– Podpuściłam ich blisko i zapaliłam światło! – oznajmiła tryumfalnie Iza. – Jak na polowaniu! No, chodźcie tutaj!

Zatrzasnęła dubeltówkę, przystawiła kolbę do ramienia i wycelowała w uciekających.

Ewa podbiła lufę. Huk wystrzału odbił się od ścian.

– Co robisz, ciotka! – zawołała gniewnie dziewczyna.

Pierwszy mężczyzna znikł w mroku przy bramie, drugi wykonał rozpaczliwy wysiłek i przyspieszył. Iza wymierzyła ponownie.

– Oskarżają panią o zabójstwo – rzucił ostrzegawczo Dąbrowa. – Przekroczenie granic obrony koniecznej.

– Iza, dość! – Ewa wyrwała dubeltówkę z rąk dziewczyny.

Rozległ się kolejny huk. Iza chwyciła za szablę i zbiegła ze schodków, z zamiarem puszczenia się w pościg.

– Mogą być uzbrojeni! – krzyknęła Ewa ostrzegawczo.

Dziewczyna opuściła szablę. Zdyszana odwróciła się do Adama.

– Prawdziwy facet złapałby tych drani! – rzuciła tonem wyzwania.

– Nikt nie będzie ganiał po nocy za bandziorami! – zaprotestowała Ewa. Odłożyła dubeltówkę na blat, przyłożyła dłonie do uszu. – Jezu! – westchnęła. – Kto cię nauczył strzelać?

– Babcia Zosia zabierała mnie na polowania. Lis zjadał kury. – Iza wskazała na swoje uszy. – Trzeba trzymać usta otwarte. Wtedy nie boją.

Ewa opadła na fotel.

– Mogłaś kogoś zastrzelić – jęknęła. – Jak byś się z tym czuła?

Dziewczyna lekceważąco wzruszyła ramionami.

– Gumowe kule. Babcia nie chciała zabijać lisów. Dawałyśmy im tylko popalić.

Adam patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Nie wrócą – ciągnęła spokojnie Iza. – Trafiłam jednego w dupę. Gdzie moja kawa?

– A co to jest? – Ewa wskazała na lancę.

– Pika, chyba ułańska – wyjaśnił Adam. – Chciałem was jakoś obronić...

Iza spojrzała na niego z wyższością. Mrugnęła porozumiewawczo do ciotki.

– Mnie tam nie trzeba bronić. A was coś długo nie było...

– Pan mecenas brał prysznic – ucięła Ewa. – Bandyci ukradli Ossolińskiego. I papiery, o których mówiła Zofia.

Robert zatrzymał się przy hyundaiu i ściągnął kominiarkę ze spoconej twarzy.

– Szybciej. Ruszaj się, tato! – zawołał stłumionym głosem.

Z ciemności wynurzył się kulejący Zenon. Skrzywiony z bólu, trzymał się ręką za pośladek.

Robert usiadł za kierownicą, zatrzasnął drzwiczki. Jego teść patrzył bezradnie.

– Na co tato czeka?

– Boli mnie! – poskarżył się Zenon. – To twoja wina!

– Dobra, dobra. Ciszej!

– Mam kulę w kości ogonowej! Zostanę inwalidą!

Robert westchnął, wysiadł z samochodu, przykucnął.

– Niech tato pokaże.

Zenon, pojękując cicho, opuścił spodnie.

– Paskudny siniak – stwierdził Robert, przyświecając sobie latarką.

– Bardzo krwawie? – zapytał słabym głosem jego teść.

– A gdzie tam! To pewnie gumowa kula.

– Widać ją?

– Przecież mówię, że gumowa! – zdenerwował się Robert. – Policja takich używa.

Odbiła się od taty dupy.

– Cała Iza! – pożałował się Zenon, wciągając spodnie. – Żeby tak własnego ojca urządzić! Policyjną kulą!

Robert otworzył tylne drzwiczki i pomógł teściowi ułożyć się na brzuchu.

– Uważaj! Popamięta mnie córeczka...!

– Jasne! Opowie jej tata, co tu się działo?

Robert usiadł za kierownicą i uruchomił silnik.

– Na dziś odpuszczamy – powiedział. – Ale wrócę. Nie zostawię obrazu!

Zenon próbował umościć się wygodniej. Zajęczał boleśnie.

Hyundai ruszył powoli. Skręcił za załom muru, zapalił reflektory i odjechał, kołyszając się na wybojach. Naprzeciwko, pomiędzy pniami drzew zamigotało niebieskie światło.

Robert zahamował gwałtownie. Zenon odbił się od przednich foteli i wrzasnął z bólu.

– Oszalałeś?! Co robisz?

– Gliniarze!

Kogut migotał coraz bliżej. Smuga światła z reflektorów radiowozu skręciła w ich stronę.

Robert jak zahipnotyzowany patrzył na zbliżające się fatum.

– Do tyłu! – krzyknął Zenon. – Obudź się!

Jego zięć oprzytomniał, wrzucił tylny bieg, nadepnął na pedał gazu.

Hyundai ruszył ostro, otarł się ze zgrzytem o kępę krzewów i z hukiem uderzył w pień okazałego dębu.

Zapadła cisza.

– Światła, kretynie! – wyjęczał Zenon, ledwie żywy po kolejnym zderzeniu z fotelem.

Robert przekręcił wyłącznik, reflektory zgasły.

Po szutrowej drodze tuż przed nimi przemknął policyjny radiowóz.

Siedzący na parkowym murze Giovanni przez lornetkę z noktowizorem obserwował scenę przed dworkiem

Z radiowozu wysiadali właśnie dwaj policjanci.

– Przyjechały psi – mruknął.

– Psy – poprawił go Marco. – Pokaż.

Wyjął lornetkę z dłoni kuzyna, przyłożył do oczu. Giovanni się skrzywił.

– Nie masz o tym pojęcia – powiedział. – Potrzebne jest szkolenie. Lata szkolenia.

W zaparkowanym tuż za murem jaguarze Federico oglądał przez lupę sztych z planem Krzyżtoporu. Obok niego siedział zdenerwowany Maurycy Podrecki. Po chwili stary Włoch pochylił się nad portretem Ossolińskiego. Wyjął z torby niewielką buteleczkę. Zwilżył jej zawartością watę i ostrożnie oczyścił fragment płótna.

– Nie mogłeś lepiej umieścić podsłuchu? – zapytał.

– Niby gdzie miałem jej wsadzić tę pluskwę? – odparł dotknięty Maurycy.

Federico uniósł lupę i przyjrzał się świeżej plamie na ramieniu wojewody.

W wypukłej optyce pojawiła się łuska pancerza, w niej lekko odkształcone okno pałacu, przez które widać było wieżę.

Poruszony odkryciem wyjął z torby oprawną w skórę książkę, przekartkował ją szybko. Na kolorowej ilustracji obok tekstu widniała identyczna wieża, a pod spodem symbol Abraksasa.

Federico przeniósł lupę nad sztych z planem pałacu, obejrzał go i wyszeptał do siebie:

– Mam cię, książę!

– Co takiego? – zapytał kustosz.

– Właśnie się domyśliłem, gdzie położyć plan pałacu – odparł enigmatycznie Włoch.

Podał Podreckiemu szkło powiększające.

– Niesamowite! – westchnął z podziwem Maurycy. – Jak oni malowali coś tak małego?

– W renesansie kochano się w miniaturach. I w tajemnicach. – Uśmiechnął się zadowolony Federico. – Musimy jeszcze odnaleźć Abraksasa. I poznać datę.

– Horoskop. Tylko skąd go wziąć?

– Wydostaniesz płytę z nagraniem Zofii. Nie byłem w stanie usłyszeć, co mówiła. Podrecki rozłożył ręce.

– Niby jak? Nie jestem włamywaczem.

– Zdobądź zaufanie Ewy.

Federico sfotografował oczyszczony fragment pancerza.

– To nie będzie łatwe – westchnął kustosz.

– Dałeś radę z Zofią, to z jej spadkobierczynią też sobie poradzisz. Jest młoda i naiwna.

– Domyśliłem się, że to ona będzie dziedziczyć – pochwalił się Podrecki. – Zofia

ciągle powtarzała, jaki to z niej świetny historyk sztuki. I że się marnuje.

– Zrób coś, żeby zaczęła działać.

Kustosz się zdziwił.

– Żeby to Modlińska poszukała skarbu?

Błysk flesza rozświetlił jego niespokojną twarz.

– Trzeba pobudzić jej wyobraźnię – ciągnął Federico. – Ma naturę Zofii, ruszy się.

Gdzie są instrumenty astronomiczne?

– W muzeum – odparł szybko kustosz.

Ucho starego Włocha wyłowiło fałsz. W świetle latarki lisia twarz Podreckiego ułożyła się w wyraz niewinności.

– Nie kręć, bo pożałujesz! – warknął Federico. – Przywieź je. I umieść podsłuch w dworku, w kilku miejscach. Muszę znać każdy ruch Ewy.

– Dobrze. Tylko że... – zająknął się Maurycy.

– No co?

– ...skończyły mi się środki – dokończył kustosz.

– Jakie środki?

– Fundusze. Złotówki, pieniądze.

Federico powrócił do oglądania obrazu.

– Zapłaciłem za kontakt z Zofią. Taka była umowa – stwierdził spokojnie. – Chcesz więcej, to zarób.

Do jaguara podeszli Giovanni i Marco. Podrecki wysiadł, ale nie zamierzał odchodzić.

– A za sztychy nic się nie należy? – zapytał z pretensją. – Ciężko będzie coś zdziałać. Za dużo ludzi się tam kręci.

Skupiony na portrecie Federico nie zaszczycił go spojrzeniem.

– Wyciągnąłem cię z więzienia – powiedział. – To mało? Siedziałbyś za te kradzieże jeszcze parę lat.

– We włoskim mamrze nie było tak źle... – wymamrotał kustosz. – Żartuję, żartuję! Ale muszę coś jeść, prawda?

Włoch westchnął zniecierpliwiony. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął portfel, a z niego cztery banknoty stużłotowe. Wcisnął je Podreckiemu w dłoń.

– Dziękuję. – Skrzywił się tamten. – No to na razie.

Giovanni usiadł za kierownicą, Marco obok niego. Zatrzasnęły się drzwiczki, zaszumiał silnik. Jaguar ruszył wzdłuż muru i skręcił w drogę dojazdową.

Kustosz splunął z pogardą. Otworzył bagażnik swojego mercedesa kombi, spojrzął z satysfakcją na zabraną z dworku skrzynię.

– Zobaczysz instrumenty jak świnia własny ogon! – mruknął pod nosem. – Pieprzony sknera!

Wsiadł za kierownicę, przekręcił kluczyk.

Silnik zakaszłał, ale po chwili zaskoczył. Mercedes ruszył w ślad za jaguarem. Za zakrętem Podrecki zapalił światła i przyspieszył.

Młody policjant przygotowywał sprzęt do oględzin miejsca przestępstwa. Miał dwadzieścia parę lat, był wysoki, bardzo chudy, z młodzieńczymi krostami na policzkach. Jego przełożony, komisarz Tomasik, był średniego wzrostu, miał krótkie nogi, szeroką klatkę piersiową, czarne włosy i wąsik oraz zielone oczy ze skłonnością do marzycielstwa.

Kiedy zobaczył Ewę, jego serce zadrżało, a pociągła twarz spoważniała i posmutniała. W Zamościu i okolicy tajemnicą poliszynela było, że Tomasik od wielu lat rozgląda się za kandydatką na żonę. Intuicja podpowiedziała mu, że spotkał kobietę światową, lecz poza zasięgiem marzeń powiatowego policjanta.

– Komisarz Bogdan Tomasik, młodszy aspirant Lesień – dokonał prezentacji. – Jesteśmy z Zamościa, ale byliśmy niedaleko w sprawie pewnego śledztwa i dostaliśmy zawiadomienie. Doszło tu napadu?

Ewa zorientowała się, jakie wrażenie wywołała na komisarzu. Pomyślała, że jego uroda jest prowincjonalna, ale po zgoleniu wąsika i przycięciu baczków zyskałby na klasie. Zganiła się za te myśli i odpowiedziała z uprzejmym uśmiechem:

– Dziękuję, że panowie przyjechali tak szybko. Włamywacze ukradli cenny portret należący do mojej stryjecznej babki.

– I jeszcze wrócili, ale przegoniliśmy ich – pochwaliła się Iza.

Tomasik wyciągnął notes i długopis, usiadł przy stole. Ewa zajęła miejsce w fotelu.

– Kto pierwszy natknął się na włamywaczy? – zapytał, odwracając wzrok od odsłoniętych ud Ewy.

– Ja – powiedział mecenas. – Adam Dąbrowa, prawnik. Jestem tu w związku ze spadkiem. Pani Modlińska zgodziła się, żebym został na noc. Było dwóch napastników.

Długopis komisarza szybko przesuwiał się po papierze.

– Potrafiłby pan ich rozpoznać?

– Nie, raczej nie. Wszystko działo się tak szybko... Uderzyli mnie czymś w głowę. Straciłem na chwilę przytomność.

– Pan mecenas spał w gabinecie z portretem – powiedziała Ewa.

– I nie obudził się pan, kiedy weszli? – zdziwił się Tomasik.

– Niestety. Mam mocny sen.

Komisarz zanotował odpowiedź, potem spojrzał wymownie na Ewę. Jego wzrok mówił: gdybym to ja był z panią, bandyci niczego by nie ukradli. Ewa uśmiechnęła się z wdzięcznością. Adam skrzywił się na widok jej porozumienia z Tomasikiem.

Izie żał się zrobiło mecenasa.

– Daliśmy im radę, z panem Adamem. Ja z dubeltówką babci, a on...

– Siostrzenica postraszyła bandytów strzelbą Zofii – przerwała jej Ewa. – Nikt z nas nie umie strzelać, ale podziałało.

Na wzmiankę o broni Tomasik zrobił się czujny.

– Mogę zobaczyć tę broń?

Ewa wzrokiem nakazała Izie milczenie. Wstała, weszła do domu, wróciła z dubeltówką i podała ją komisarzowi. On powąchał lufę, zajrzał do komory nabojoyej. Wyciągnął dwie puste gilzy.

Nie miał wątpliwości, że ktoś wystrzelił. Ponieważ jednak nie było ofiar, ze

względu na Ewę zdecydował pominąć ten fakt.

– Sam widok broni mi nie wystarcza – powiedział spokojnie. – Macie panie pozwolenie?

– Stryjeczna babka chyba miała. Czy to panu wystarczy?

– Pani Ewa Modlińska została zaatakowana i okradziona przez groźnych przestępców – zwrócił się do komisarza oficjalnym tonem Dąbrowa. – Kwestię broni myśliwskiej można chyba odłożyć na później?

Tomasik nie śpieszył się z odpowiedzią.

– Oczywiście, panie mecenasie – powiedział wreszcie. – Czy poza obrazem coś zginęło?

– Kilka starych papierów – odparła Ewa. – Portret Krzysztofa Ossolińskiego jest cenną pamiątką rodzinną.

– Ukradziono też moją aktówkę z dokumentami – powiedział Adam.

Komisarz zapisał wszystko w notesie.

– Jaka jest wartość obrazu? – zapytał.

Ewa zastanowiła się.

– To siedemnasty wiek, typowy polski portret późnorenesansowy... Może osiem, dziesięć tysięcy złotych?

– Pani jest historykiem sztuki?

– Z wykształcenia.

– Nie pracuje pani w zawodzie?

– Niestety.

– A jakie to ma znaczenie? – wtrącił niecierpliwie Adam.

Tomasik zignorował pytanie.

– Ma pani fotografię obrazu?

– Nie jestem pewna. Poszukam.

Iza przewróciła oczami.

– Osiem tysięcy? Napadli nas za taką kasę?

Komisarz spojrział na nią z naganą.

– Dla wielu ludzi to duża suma – oświadczył poważnie. – Pani Solińska znana była w Zamościu. Chodziły legendy o jej zamożności. Portret miał być zapewne jednym z łupów. Zastanawiam się, dlaczego bandyci nie poczekali, aż dom będzie pusty. Nic innego nie zginęło?

– Gospościa uważa, że ukradziono biżuterię – powiedziała Ewa. – Ktoś włamał się do domu również w dniu pogrzebu.

Tomasik pokiwał głową.

– Dwa włamanie – podsumował. – Teraz wykonamy zdjęcia, potem ściągnę ekipę śledczą, która zabezpieczy ślady. Czy możecie państwo nie wchodzić na razie do pomieszczeń, do których dokonano włamań?

– Tak. I dziękuję, panie komisarzu. Czy to już wszystko? – zapytała Ewa.

Policjant zastanowił się przez chwilę.

– Napastnicy mogą powrócić... – powiedział.

– Już próbowali – przypomniała Iza. – Dlatego wzięłam dubeltówkę i...

– Może napiją się panowie kawy? – Ewa zmieniła temat.
Komisarz schował notes i długopis. Wstał z krzesła.
– Czy mógłbym zamienić z panią słowo na osobności?
Ewa spojrzała na niego zaskoczona.
– Ależ oczywiście. Proszę.
– Jeśli pani Modlińska uzna, że obecność prawnika jest konieczna... – Podniósł się z miejsca Dąbrowa.
– Dziękuję, panie mecenasie – powiedziała Ewa i wskazała ręką na drzwi.
Ona i policjant znikli wewnątrz dworku.
– Nie podoba mi się ten komisarz – mruknął niechętnie Adam.
– Świetny gość – zaprotestowała przekornie Iza. – Opuścił dubeltówkę, chociaż na pewno wyczuł proch.
– Chciał się podlizać Ewie.
Iza zagryzła wargi, żeby się nie roześmiać.
– Usadził pana.
– Powiedzmy.
– Co za noc! – Przeciągnęła się dziewczyna. – A komisarz wpadł ciotce w oko, widziałam. Właśnie rozstała się z facetem. Zdradził ją z jedną aktorką.
– To ja już chyba pojadę – stwierdził sucho prawnik.
Iza z uśmiechem zajrzała mu w oczy.
– Podda się pan bez walki?
Dąbrowa wykonał ruch w stronę drzwi.
– Nie wiem, o czym pani mówi. Proszę pożegnać ode mnie panią Ewę. Zabiorę tylko moje rzeczy.
– Szkoda. Kobiety lubią, kiedy mężczyźni się starają. Do widzenia.
Adam spojrzał na nią zaskoczony. Dziewczyna żartowała z niego, ale miała rację. Zachowuję się jak zazdrosny uczeń, przyznał w duchu.
Z pomocą przyszedł mu młody policjant, który przystanął na schodkach ganku. Trzymał w rękach aparat fotograficzny.
– Pokaże mi pani pokój, z którego ukradziono obraz? – zwrócił się do Izy.

Ewa zaprosiła Tomasika do salonu, zamknęła drzwi i wskazała na dwa fotele.
– Lepiej mi się myśli w ruchu – oświadczył komisarz.
Przeszedł parę kroków i przystanął przed Ewą.
– Czy podejrzewa pani mecenasa Dąbrowę? – zapytał.
Spojrzała na niego ze zdziwieniem.
– Skąd to przypuszczenie?
– Zauważyłem pani wzrok, kiedy opowiadał o napadzie. Był w pokoju z portretem, nie obudził się.
– To prawda – przytaknęła Ewa z wahaniem. I od razu zaprzeczyła. – Nie, to przecież prawnik Zofii. Nie mógł nasłać na nas bandziorów.
– Gdy chodzi o pieniądze, ludzie są zdolni do wszystkiego – rzucił tonem

zawodowca komisarz. – Nikt lepiej od mecenasa nie wie, jaki majątek pani odziedziczyła.

Ewa pokręciła głową.

– Ale po co mu portret?

Tomasik spał się jak myśliwski pies, który pochwycił trop.

– Żeby poczuła pani zagrożenie. Że jest pani sama, otoczona niebezpiecznymi ludźmi.

– I miała potrzebę męskiego wsparcia?

Komisarz w milczeniu pokiwał głową. Ewa poczuła niepokój.

– Zaproponował mi opiekę, podobno na prośbę Zofii. Cynik bez zasad? Nie, to przesada!

– Ja tylko pytam, pani Ewo. Policjant musi sprawdzać wszystkie poszlaki. I motywy.

– Rozumiem. I dziękuję. Napije się pan kawy?

– Z przyjemnością.

Iza oddaliła się z chudym aspirantem. Adam Dąbrowa zabrał z hallu swój płaszcz i poszedł do samochodu. Nie rozumiał, dlaczego jest w tak złym nastroju, więc próbował to sobie wytłumaczyć kontuzją. Muszę zrobić rezonans głowy, pomyślał. Kto wie, czy nie mam wstrząśnienia mózgu? Nawet to nie tłumaczyło rozdrażnienia, jakie wywoływał w nim komisarz z Zamościa.

– Powiatowy Valentino! – mruknął z niechęcią. – Nic tu po mnie.

Zerknął w stronę oświetlonych okien i zauważył, że jedno jest uchylone. Był sam, mógł posłuchać, co Tomasiak omawia z Ewą. Chciał podejść, ale opanował ten odruch. Podszuchiwanie jest poniżej mojej godności, stwierdził. A zazdrość o nią po prostu idiotyczna!

Roześmiał się w duchu na tę myśl, ale nie był ze sobą szczery.

Odpalił silnik, ruszył powoli dokoła gazonu. Wjeżdżając w aleję, przyśpieszył i rzucił ostatnie spojrzenie na dworek.

Nagle zahamował ostro. Spojrzał uważnie.

Na tle bocznej ściany domu widniał ciemny prostokąt.

Adam zatrzymał jeepa, wysiadł, przekroczył płotek otaczający trawnik i podszedł bliżej. Intuicja podpowiedziała mu, co zobaczy.

Nie pomylił się. Na haku wisiał portret Ossolińskiego.

Schodzący z ganku młodszy aspirant odwrócił głowę w jego kierunku.

– Kto tam? – zapytał.

Snop światła wydobył z ciemności męską sylwetkę. Adam stał przy samochodzie z obrazem w ręku.

– Stać! – zawołał policjant. – Co pan tam ma? – rzucił ostrym tonem, podchodząc szybko.

– Skradziony portret Ossolińskiego – odparł prawnik, mrużąc oczy. Jednocześnie kłął w duchu idiotyczną sytuację, w jakiej się znalazł. – Wisiał na ścianie domu – wyjaśnił.

– A to ciekawe, panie mecenasie... – powiedział nieśpiesznie aspirant. – Pan pozwoli ze mną.

Ujął Dąbrowę pod ramię, drugą ręką odebrał mu obraz.

– Chyba pan nie sądzi, że ja... – zaczął Adam.

– Wszystko się wyjaśni. Tymczasem proszę – przerwał mu policjant i lekko, ale stanowczo popchnął w stronę ganku.

– Sam pójdę! – zaprotestował prawnik.

Młodszy aspirant puścił jego ramię, cofnął się o krok i położył znaczącym gestem rękę na kaburze pistoletu.

W progu powitali ich Ewa, komisarz Tomasik i Iza. Ta ostatnia niosła tacę, na której parował dzbanek z kawą. Na widok mecenasa, chudego policjanta i portretu Ossolińskiego cała trójka znieruchomiała.

Pierwsza oprzytomniała Ewa. Zbiegła z ganku.

– Skąd to macie? – zawołała.

– Wisiał na bocznej ścianie domu – powtórzył po raz kolejny Adam, z miną, która świadczyła, że spodziewa się kłopotów.

Komisarz zszedł po schodkach.

– Pan mecenas próbował odjechać z obrazem – powiedział młodszy aspirant.

– Jak to? Nie rozumiem – zdumiała się Ewa.

– Pakował obraz do samochodu – wyjaśnił policjant.

– To bzdura! – parsknął rozdrażniony Adam. – Obraz wisiał na haku, na bocznej ścianie domu! Zdjąłem go, kiedy ten pan mnie zaskoczył!

Tomasik podniósł brwi.

– Zaskoczył?

– Udaremniłem kradzież – pochwalił się młody funkcjonariusz.

Jego policzki poczerwieniały lekko, krosty zaznaczyły się mocniej.

Ewa patrzyła oszołomiona. Dąbrowa ledwie opanował gniew.

– Odjeżdżałem właśnie i zobaczyłem... – Starał się mówić spokojnie.

– Moim zdaniem, pan mecenas ukrył obraz w tym miejscu – przerwał mu aspirant.

– Brawo, Sherlocku Holmesie! – wściekł się Adam. – Ukradłem obraz i powiesiłem go na zewnętrznej ścianie. Może mi powiesz, po jaką cholere?

– Może pan nam powie – zaproponował Tomasik, nie kryjąc satysfakcji. – Adwokaci mają dobre gadane. Słuchamy.

Dąbrowa wziął głęboki oddech. Absurdalna sytuacja śmieszyła go, ale zdawał sobie sprawę, że pomówienie może mieć poważne konsekwencje. Jeśli włamywacze działali w rękawiczkach, na portrecie będą wyłącznie jego ślady. Co go podkusiło, żeby zdejmować obraz z tej ściany? Trzeba było zawołać przemądrzałego komisarza! Zachował się jak amator. Bo chciał zaimponować Ewie. Musi teraz myśleć jak prawnik i rozwiązać te idiotyczne wątpliwości!

– Gdybym ukradł obraz, czy nie włożyłbym go od razu do samochodu? – zapytał.

– Za dużo świadków. – Zlekceważył jego argument policjant.

Ton głosu Adama stał się zimny.

– Przesadza pan, komisarzu. – Odwrócił się do Ewy. – Widziała pani złodziei,

razem z nimi walczyliśmy.

Ewa nie odpowiedziała. Zauważyła właśnie oczyszczony fragment pancerza Ossolińskiego i patrzyła na to miejsce zdziwiona. Bez słowa wzięła latarkę z ręki policjanta, oświetliła jasną plamę. Kto, kiedy i po co oczyścił farbę? Musi to zobaczyć z pomocą szkła powiększającego. Z boku usłyszała głos Tomasika.

– Pan im nie dał rady.

– Dostałem w głowę! – zawołał Adam, tracąc opanowanie. – Czy wszyscy tu oszaleli? Mówię wyraźnie: obraz wisiał na bocznej ścianie domu! Zauważyłem go z samochodu. Panowie policjanci nie dostrzegają takich drobiazgów. A jechaliście tą samą drogą!

– Proszę się uspokoić – polecił mu służbowym tonem młodszy aspirant.

– Ja jestem spokojny!

Ewa zwróciła się do Tomasika.

– Ma pan może lupę?

– Lupę? – zdziwił się. – A po co? Zdejmiemy odciski palców, sfotografujemy i...

– Nie chodzi o odciski – przerwała mu. – Ja wierzę panu mecenasowi – dodała. –

Widziałam, co się stało w nocy.

Adam skłonił się sztywno.

– Dziękuję – powiedział.

– To jak będzie, panie komisarzu? – zapytał młody funkcjonariusz. –

Zatrzymujemy?

– Czy może pan uspokoić swojego podwładnego? – Nie wytrzymał Dąbrowa.

Komisarz pokiwał głową, po czym powiedział, rozciągając słowa.

– Proszę mnie nie pouczać, panie mecenasie. Aspirant ujął pana z dowodem rzeczowym.

– Ujął? Przecież nie uciekałem!

– Uspokójmy się – poprosiła Ewa. – Ręczę za pana Dąbrowę. A portret wraca do mnie już po raz drugi. I również w niecodziennych okolicznościach.

– Co pani przez to rozumie? – zdziwił się Tomasik.

– Po raz pierwszy skradziono go dwa dni temu. W wynajętym mieszkaniu, w Warszawie. I wrócił.

– Pan mecenas go odniósł?

Adam gestem dał znać, że to pomówienie przekracza granice rozsądku.

– Nie. Moja przyjaciółka – sprostowała Ewa. – Stał na klatce schodowej.

Porzucony, jak dziś.

Komisarz spojrział podejrzliwie. Przyszło mu do głowy, że Ewa żartuje z niego.

– Magiczny portret! – zawołała rozbawiona Iza. – Ossoliński daje w zęby każdemu złodziejowi!

Powiedziawszy to, parsknęła śmiechem. Pozostali popatrzyli poważnie na obraz. Wojewoda uśmiechał się tajemniczo.

– Bardzo ciekawe – stwierdził Tomasik. – Jeśli to prawda, źle pan zrobił, że dotknął pan portretu. Tak się zamazuje odciski palców – pouczył.

Adam z satysfakcją wskazał na chudego policjanta.

– A pański geniusz?

– No, no, proszę się liczyć ze słowami! – zaprotestował młodszy aspirant, zerkając jednocześnie z niepokojem na przełożonego.

– Zbadamy wszystkie wątki i motywacje – uciął dyskusję komisarz. – Mogę zabrać obraz do analizy daktyloskopijnej? – zwrócił się do Ewy.

– Czy to konieczne?

– Może pan ściągnąć ekipę śledczą – zauważył cierpko Dąbrowa.

Komisarz przytaknął.

– Jeśli tak sobie pani życzy...

– Wolalabym nie tracić go z oczu – przyznała Ewa.

– Dobrze – zgodził się Tomasik. – Proszę jednak pamiętać, o czym mówiliśmy w cztery oczy. Sporządzę protokół i przywiozę go do podpisu. Razem z ekipą śledczą. I proszę unikać dotykania portretu.

Ewa podała mu rękę.

– Do widzenia, panie komisarzu – powiedziała. – I bardzo dziękuję.

Tomasik oddał uścisk, skinął głową Izie i ruszył do radiowozu. Młodszy aspirant posłał Adamowi ostrzegawcze spojrzenie, które mówiło, że nie wierzy jego zeznaniom, po czym wsiadł za kierownicę.

Warknął silnik. Auto okrążyło klomb i wjechało w bramę. Długie światła reflektorów wydobyły z mroku potężne dęby i znikły za zakrętem alei.

– Zostałyśmy same – powiedziała Iza do Adama nieznośnym sprzeciwu tonem.

– Pan musi się nami zaopiekować!

6.

Świt wstał szary i ciemny. Słońce albo zapomniało o Ziemi, albo nie wróciło na czas z wyprawy w kosmos. Piętrowe kamieniczki przy rynku nie obudziły się jeszcze ze snu, drzewa na skwerze zatrzymywały mrok.

Boczną uliczką zbliżał się powoli złoty hyundai van. Spod wykrzywionej maski wydobywała się para, zgnieciony tylny zderzak zawadzał o opony. Uszkodzony bagażnik przewiązany był sznurkiem.

Auto podjechało pod bramę jednej z kamienic i zatrzymało się ze zgrzytliwym hałasem.

Przez chwilę nie działo się nic. Potem otworzyły się drzwiczki od strony kierowcy i wysiadł Robert ze skórzaną aktówką w ręku. Miał bladą twarz, brudne ubranie, poruszał się sztywno, jakby doznał kontuzji. Podszedł do tylnych drzwiczek i szarpnął.

Nic z tego. Blokowała je wgnieciona karoseria.

Mocował się przez moment z klamką, potem zaklął bezgłośnie. Podszedł do bagażnika, odwiązał sznurek, podniósł klapę i nie zważając na jęki teścia, wyciągnął go na zewnątrz.

Żaden z nich nie odezwał się. Ruszyli obaj, podpierając się nawzajem, w stronę bramy. Sprawiali wrażenie wojowników powracających z przegranej wyprawy.

Zaspana Daria zamarła w otwartych drzwiach mieszkania. Widok ojca i męża pozbawił ją głosu. W następnej chwili w jej umyśle rozbłysło zrozumienie.

– Dranie! Uchlaliście się! – parsknęła gniewnie.

Zenon chciał coś powiedzieć, ale zawiodły go siły. Osunął się bezwładnie na podłogę, przygniatając ciałem stopy córki.

Akcja ratunkowa pod wodzą wyrwanej ze snu Lusi trwała pół godziny. Zenon został zanieiony do jadalni i położony na sofie brzuchem do dołu. Do jego obnażonych pośladków przyłożono kompres z plastikowej torby z lodem.

Robert siedział sztywno przy stole, z obandażowaną szyją, nadwerżoną po uderzeniu hyundaiem o drzewo. Na brzuchu trzymał termoфор.

Relacja z ostatniej nocy została zdana drobiazgowo, ze szczegółami świadczącymi o odwadze, inteligencji i poświęceniu. Zabrakło tylko szczęścia, bowiem fałszywi bandyci natknęli się na prawdziwych.

Lusia czym prędzej wysłała Darię do apteki, po czym usiadła obok zięcia. Założyła okulary i zajęła się przeglądaniem dokumentów znalezionych w teczce mecenasa. W pokoju zapadła cisza.

– No proszę – powiedziała wreszcie Lusia, postukawszy palcem w jeden z papierów. – Dowód przelewu bankowego. Osiem tysięcy złotych dla kancelarii adwokackiej Adama Dąbrowy za opiekę prawną nad Ewą Modlińską.

– Dużo – mruknął Robert.

– Spisek, mówiłam! – stwierdziła z satysfakcją Lusia. – Zofia kupiła sobie pana mecenasa.

– To nie przestępstwo – zauważył Zenon.

– Nie wymądrzaj się! Powiedz lepiej po co?

– Żeby przypilnował kręctw z testamentem – powiedział domyślnie Robert.

Lusia potwierdziła to przypuszczenie gestem ręki. Sięgnęła po napisany odręcznie list.

– Posłuchajcie tylko. „Drogi panie mecenasie...”. Bla, bla, bla. „Jestem przekonana, że kurację moich nerwów Leokadia zechce wykorzystać do podważenia testamentu. Bardzo proszę, niech pan wydobędzie moją dokumentację medyczną z sanatorium w Busku-Zdroju. Załączam upoważnienie notarialne...”. Bla, bla. – Zakończyła, zdjęła okulary i spojrzała tryumfalnie na zięcia i męża. – Jak wam się to podoba?

– Cóż, Zofia знаła się na ludziach – wypalił odruchowo Robert i natychmiast pożałował tych słów.

W oczach Lusi zobaczył bezmiar pogardy.

– Czy to miał być żart, mój drogi? – zapytała lodowato. – Jakoś mnie nie śmieszy.

– Zmusiła go do opuszczenia oczu. – Chore nerwy? Mamy cię!

Drzwi otworzyły się i do jadalni wkroczyła Daria. Nieświadoma wagi słów, które przed chwilą padły, położyła na blacie lekarstwa.

– Węgiel na odtrucie, przeciwwymiotne, przeczyszczające. Woda Burowa na siniak taty.

Po słowie „przeciwwymiotne” Robert chwycił się za brzuch i wybiegł do łazienki. Odgłosy, które stamtąd dobiegły, były jednoznaczne. Daria skrzywiła się z niesmakiem.

– Lepiej bym się czuł na izbie przyjęć – powiedział nieśmiało Zenon. – Ja też jestem otruty.

– Proszę bardzo. Tyle że lekarze na pewno wezwą policję. Wyjaśnisz im, dlaczego masz zbitą dupę?

Zenon otworzył i zamknął usta.

– Przeżyliście ostanie dwie godziny, to raczej nie umrzecie – dokończyła spokojnie Lusia.

– Mojej zboczonej siostrzyczce przydałby się miesiąc aresztu – stwierdziła Daria.

– Własnego ojca... Kulą z dubeltówki! – poskarżył się Zenon.

Lusia zamknęła temat machnięciem ręki i podała Darii znaleziony w aktówce list.

– Ktoś z nas musi dotrzeć do Buska przed tym Dąbrową – powiedziała tonem, który wykluczał sprzeciw. – I zdobyć papiery wariatki.

Robert przystanął w progu. Miał twarz koloru papieru, a pod oczami czarne cienie.

– W jaki sposób? – zapytał słabo.

– Głową i pieniążkami – odparła Lusia, wskazując na niego palcem. – To twoje zadanie. Łykniesz proszki i pojedziesz – stwierdziła twardo. – Zenon jeszcze długo nie usiądzie jak człowiek.

Dwie godziny później niskie niebo wciąż było szare. W parku przed dworkiem przesuwwały się opary mgieł, mokre gałęzie dębów tłumiliły poranne ptasie śpiewy. Przez otwarte okna salonu napływało chłodne powietrze.

Śniadanie przebiegało w sennej atmosferze. Przy stole nie padło ani jedno słowo

o wydarzeniach minionej nocy. Jakby cała trójka zawarła pakt, aby milczeć i unikać stresu.

Ewa przez resztę nocy zaledwie drzemała, wyobrażając sobie sposób rozwiązywania tajemnicy cesarzy Bizancjum w towarzystwie mecenasa. Starła się odganiać te wizje, ale powracały uporczywie. Raz nawet Adam Dąbrowa objawił się jej w sypialni w zbroi Ossolińskiego, z długą piką w rękach, której końcem unosił kołdrę na jej łóżku. Zamiast jednak przestraszyć się czy rozgniewać, ona niecierpliwie czekała, aż dokończy dzieła.

Ocknęła się rozczarowana i zła na siebie, z mocnym postanowieniem ochłodzenia tej relacji.

Po śniadaniu przystąpiła do oględzin portretu Ossolińskiego za pomocą szkła powiększającego. Skupiła się na oczyszczonym fragmencie pancerza. Po chwili bez słowa podała lupę Izie, a ta przekazała ją Adamowi.

W półokrągłym wykrzywieniu szkła zobaczyli odbijające się w łusce pancerza okno, a za nim wieżę pałacu.

– Zauważyła to pani wcześniej i nic nie powiedziała komisarzowi? – zapytał prawnik z nutą pretensji. – Ja nie byłbym w stanie oczyścić tego fragmentu...

Ewa odebrała mu szkło i ponownie nachyliła się nad płótnem.

– To nie jest sprawa policji – powiedziała. – Portretowi już nic nie grozi. Złodzieje po prostu chcą, żebym doprowadziła ich do celu.

– Do jakiego celu? – zdziwił się Adam.

– Do skarbu cesarzy Bizancjum ukrytego w Krzyżtoporze! – zawołała Iza. – Babcia Zofia wszystko nam opowiedziała. Na nagraniu.

– Iza, proszę cię... – westchnęła Ewa.

– No co? Sama zaczęłaś.

Ewa pokręciła głową.

– Nie podjęłam jeszcze decyzji co do pana mecenasa.

– Nie zalewaj, mam oczy – stwierdziła dziewczyna.

Ewa zerknęła na Adama. Ich spojrzenia spotkały się i uciekły na boki.

– A zatem to pani Zofia miała na myśli – stwierdził prawnik.

– Czy pan zna stan jej majątku? – zmieniła temat Ewa.

– Pięćdziesiąt hektarów pól i łąk jest w dzierżawie. Nie będzie pani miała z tym wiele pracy.

– Świetnie. W takim razie pomoże mi pan z fundacją. Chciałabym też, żeby zobaczył pan nagranie – powiedziała.

Ostatnie słowa były zaskoczeniem nawet dla niej samej. Do głosu znów doszła ta druga Ewa. Mogła wszystko odwołać, ale zamiast zmieszania czy irytacji poczuła wdzięczność za interwencję nieznannej siły. Wyjęła z kieszeni pudełko z DVD, wręczyła je Adamowi. On skłonił głowę.

– Dziękuję za zaufanie.

– Musi pan na nie zapracować. Ciężko – oświadczyła Iza poważnie.

– Przyjadę po południu, z duplikatami dokumentacji. Nie chciałbym pozostawiać pani sam na sam z policją.

Rozbawiona Ewa pokręciła głową.

– Nic mi nie grozi.

– Co najwyżej zakocha się w panu komisarzu – rzuciła Iza. – Niezłe z niego ciacho, co? Ogolimy mu tylko wąsy.

– I baki – dodała Ewa.

Adam skrzywił się. Żarty o policjancie nie bawiły go.

– Proszę zatem dać mi znać, kiedy zechce się pani ze mną spotkać.

Chwilę potem Ewa i Iza wyszły na ganek. Patrzyły na odjeżdżającego jeepa Adama. Wolno okrążył klomb, przyspieszył przed bramą i nagle zahamował. Z naprzeciwka w bramę wjechał z rozpędem stary mercedes kombi, o mało nie zderzył się z jeepem. Zahaczył kołami o murawę, objechał gazon i z impetem zatrzymał się przed dworkiem, obsypując schody werandy żwirem. Z samochodu wysiadł Maurycy, ukłonił się.

– Witam panią dziedziczkę. Czy mogę, na słówko?

Ewa wskazała na podjazd.

– To nie jest tor wyścigowy – powiedziała z naganą.

– Bardzo przepraszam – bąknął zmieszany kustosz. – Zamyśliłem się. I ktoś zajechał mi drogę.

Machnął ręką w kierunku jeepa, który oddalał się aleją między dębami.

– Poświęci mi pani chwilę? – zapytał ponownie.

Ewa opanowała odruch niechęci.

– Proszę.

Podrecki pochwycił jej dłoń, złożył na niej mokry pocałunek.

– Fúj! – mruknęła Iza, chowając za siebie obie dłonie.

Kustosz udał, że nie dosłyszał.

– Mogę w cztery oczy? – nalegał.

– Nie mam tajemnic przed bratanicą.

Westchnął na znak, że musi pogodzić z wolą Ewy, choć nie jest zadowolony.

Weszli we troje do salonu, usiedli dookoła stolika. Maurycy ściągnął usta w refleksyjną tulejkę, chwilę trwał w milczeniu, wreszcie spojrzął Ewie w oczy.

– Jestem pewien, że już zorientowała się pani... – zaczął. – Cieszyłem się najwyższym zaufaniem Zofii Solińskiej vel Solon.

– Owszem. Słyszałam.

– Na nagraniu? – zapytał kustosz tonem niewiniątka.

Ewa z Izą zerknęły na siebie.

– Wiem więcej, dużo więcej – oświadczył Podrecki z uśmiechem.

– Na przykład? – rzuciła chłodno Iza.

– Na przykład, młoda damo, że twoja babcia chciała odkryć tajemnicę Krzyżtoporu – powiedział z wyższością.

– Co pan ma na myśli? – Ewa zrobiła się czujna.

Podrecki westchnął i pokiwał głową. Bawiła go łatwość, z jaką rozprawi się z tymi kobietami.

– Miła pani, ze mną nie trzeba grać w zagadki – powiedział z naciskiem. – Byłem

prawą ręką pani babki.

– Ach tak? – mruknęła Iza z powątpiewaniem.

Kustosz nie zaszczycił jej spojrzeniem.

– Przez kilka lat prowadziłem badania pozostałości po cesarstwie bizantyjskim. W Wenecji. – Skrzywił się mimo woli na wspomnienie włoskiego więzienia, w którym wylądował za usiłowanie kradzieży starych ksiąg. – Na trzy lata zamknąłem się w bibliotekach. Jak pensjonariusz zakładu karnego.

– Zazdroszczę. Sama chciałabym dostać taki wyrok – westchnęła Ewa.

Podrecki pokręcił głową.

– Można stracić kawałek zdrowia. Pani Zofia bardzo na panią liczyła – ciągnął.

– A pan? Na co pan liczy? – zapytała nieufnie Iza.

Ewa uniosła dłoń.

– Iza, wystarczy.

Kustosz podziękował jej uśmiechem.

– Może zaciekawi cię, co zostało ukryte w Krzyżtoporze? – zwrócił się do dziewczyny.

– Pan to niby wie? – Skrzywiła się wymownie. – Nie jesteśmy na ty.

– Na nagraniu Zofia mówi, że nie wiadomo, co to za skarb – wtrąciła Ewa.

Iza otworzyła szeroko oczy w udawanym zdziwieniu.

– Nie powiedział jej pan?

Podrecki podniósł ręce obronnym gestem.

– Błagam, po kolei! Już mówię. – Zrobił efektowną pauzę. – Pani Zofia ufała mi. Podzieliłem się z nią moją wiedzą. Ona jednak obawiała się, że płyta z nagraniem wpadnie w niepowołane ręce. Mam nadzieję, że dobrze ją pani zabezpieczyła?

– Owszem.

Kustosz rzucił wzrokiem w stronę okna i ściszył głos.

– Nieboszczka powierzyła mi misję wprowadzenia pani w tajemnicę. Słyszała pani cokolwiek o talizmanach Apoloniusza?

– Trochę. Apoloniusz z Tiany, pierwszy wiek naszej ery.

Podrecki skłonił głowę z uznaniem, a potem wstał.

– Wyobraźmy sobie plac przed pałacem cesarzy Bizancjum, obok kolumny Konstantyna Wielkiego, założyciela imperium – zaczął tonem wykładowcy, gestykulując i modulując głos. – Na placu kolorowy wielojęzyczny tłum. Ludzie są przestraszeni, bowiem do Konstantynopola zbliża się armia tureckiego sułtana Mehmeda Drugiego. Pośrodku placu fontanna z talizmanami Apoloniusza z Tiany. To figury zwierząt ze złota i srebra, wysokości człowieka, wysadzone drogimi kamieniami. Orzeł z wężem w szponach, wąż z lwią głową, feniks, słoń. I dwa inne, o których nic mi nie wiadomo. Talizmany mają tysiąc czterysta lat, mieszkańcy Konstantynopola wierzą, że od zawsze bronią miasta przed zarazami i wrogami. Teraz magiczna moc figur Apoloniusza ma wesprzeć sześć tysięcy greckich obrońców miasta w walce ze stutysięczną armią Turków. Na tarasach pałacu dostojnicy kościoła, na złotym tronie sam cesarz Konstantyn XI z rodu Paleologów. Rozlega się spiżowy głos trąb, zaczynają się modły. To błagania o zwycięstwo, ratunek przed muzułmanami.

Ewa i Iza słuchały z przejęciem. Podrecki dostrzegł ich reakcję, ukrył uśmiech i zamilkł.

– I co? – Nie wytrzymała Iza.

Kustosz surowo spojrzał jej w oczy.

– Nie pomogły talizmany ani modły. Ani waleczność Greków, Wenecjan i Genuńczyków. Turcy zdobyli miasto, większość obrońców zginęła. W walce padł sam cesarz Konstantyn. – Przerwał, podniósł wskazujący palec. – Ale w ostatniej chwili ucieka przed Turkami kuzyn cesarza Teodozjusz Paleolog. Wywozi starożytne talizmany Apoloniusza na okręcie Wenecjan. Doża wenecki udziela schronienia dziedzicowi Bizancjum. Lecz domaga się zapłaty. Talizmanami.

– Talizmany znikły... – wyszeptała Ewa.

Podrecki wycelował w nią palcem.

– Przez dwa wieki Bizantyjczycy zwodzą potomków doży, ukrywając swój święty skarb. Wierzą, że świetność Bizancjum powróci, talizmany znów staną przed pałacem cesarzy. Doża nalega, poprzez szpiegów rozpoczyna poszukiwania. Ostatni z Paleologów, Aleksy, prosi o pomoc przyjaciela, potężnego magnata z Polski, księcia Krzysztofa Ossolińskiego. Jest rok tysiąc sześćset trzydziesty. Bezcenne talizmany Apoloniusza w ścisłej tajemnicy ruszają w daleką drogę, do Rzeczypospolitej, do wspaniałego *pallazzo*. Do Krzyżtoporu.

Kustosz ze skupioną miną usiadł na miejscu i wbił wzrok w blat stolika. Zupełnie jakby zapomniał dalszego ciągu albo próbował przemilczeć smutną prawdę. Iza poruszyła się niespokojnie.

– Pan twierdzi, że w ruinach Krzyżtoporu zostały ukryte złote figury z Konsta...tynpolo...

– Z Konstantynopola. – Pokiwał głową. – Cztery, może sześć figur ze złota i drogich kamieni, wysokości człowieka słusznego wzrostu. Mają teraz prawie dwa tysiące lat. Być może przywieziono też fontannę, całą ze złota. Drogę do skarbu Ossoliński zaszyfrował. Znał ją tylko on.

– Nie tylko. Również zaufany sługa cesarza Aleksego, Bizantyjczyk Georgios Solon – powiedziała cicho Ewa.

Zapadła cisza. Szare światło zza okna kładło nikłe cienie na podłodze i ścianach.

Ewa miała wrażenie, że cofnął się czas. Że oto siedzą w siedemnastowiecznym domu, że zaraz wejdzie jej przodek Solon. A może nawet sam Krzysztof Ossoliński? Spojrzała na oparty o ścianę portret.

Kustosz, który pochwycił jej spojrzenie, wskazał na oczyszczony fragment pancerza.

– Widzimy tutaj jeden z elementów szyfru Ossolińskiego.

Iza podążyła za jego wzrokiem. Jej oczy błyszczały, nie próbowała kryć podniecenia.

– Ile są warte te talizmany? – zapytała.

– Tego nie wie nikt – odparła Ewa.

– Jak to?

– Miliard, pięć. Ile chcesz. Zaginione talizmany Apoloniusza z Tiany to bezcenne

skarby.

Podrecki kiwał głową jak stary profesor doceniający wiedzę zdolnej uczennicy.

7.

Następnego dnia po mglistym i zimnym poranku wyszło słońce i od razu zaczęło palić żarem.

Uliczki Zamościa opustoszały po porannym ruchu, miejsce śpieszących się ludzi i samochodów zajęły gołębie i leniwie spacerujące matki z wózkami. Na ławkach prowadzili nieśpieszne rozmowy emeryci, a schowani w cieniu drzew pijaczkowie dochodzili do siebie po nocnych libacjach, w oczekiwaniu na okazję zdobycia kilku złotych na butelkę taniego wina.

Z zacienionego jeszcze zaułka Starówki energicznym krokiem wkroczyła w pełne słońce Lusia. Jej postać w długiej sukni z brązowej tafty i obcisłej marynarce koloru wiśni, z surowo ściągniętą twarzą, emanowała bojową energią, która odsuwała nielicznych przechodniów na boki.

Jak dowódca śpieszący na przegląd broniących twierdzy oddziałów przeszła przez Nową Bramę Lubelską, skręciła w prawo, przedostała się przez płataninę ścieżek dla pieszych za murami, podążyła szeroką ulicą Prymasa Wyszyńskiego i dotarła do białego nowoczesnego budynku Komendy Miejskiej Policji.

Umówiła się wcześniej telefonicznie, więc bez problemu została wpuszczona przez oficera dyżurnego. Wjechała windą na drugie piętro, odnalazła właściwy pokój, zapukała. A raczej załomotała w drzwi. Weszła, nie czekając na zaproszenie.

Na jej widok zza biurka podniósł się komisarz Tomasik. Odruchowo sięgnął po mundurową bluzę.

– Może się pan nie krępować. – Lusia zbyła jego kurtuazję machnięciem ręki.

Zajęła krzesło po drugiej stronie blatu i spojrzała surowo.

Poprzedniego dnia poinformowała komisarza o zamiarze złożenia zawiadomienia o przestępstwie. Więcej przez telefon powiedzieć nie chciała. Domagała się natychmiastowego widzenia, najlepiej w obecności prokuratora. Komisarz przekonał ją, aby najpierw z nim podzieliła się swoim problemem. Zgodziła się. Pod warunkiem że prokurator będzie na bieżąco z wynikami śledztwa, które jej zdaniem ma doprowadzić do skazania winnych.

– Rozumiem, że przyszła pani złożyć zeznanie? – zapytał służbowym tonem Tomasik, który zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z kobietą twardą. Potrafiącą stawiać na swoim, a w razie potrzeby sprawiać kłopoty.

– Mój mąż i ja zostaliśmy podstępnie pozbawieni majątku – zaczęła, przebijając go ciężkim spojrzeniem. – Sprawcy działają w sposób zorganizowany i profesjonalny.

Tomasik skinął głową na znak zrozumienia.

– Ma pani przy sobie dowód osobisty? – zapytał. – Muszę spisać dane.

– Naturalnie, panie komisarzu – przytaknęła Lusia, zadowolona, że sprawa nabiera formalnego charakteru. – Zdjęcie nie jest najlepszej jakości i postarza mnie, ale to ja.

Wyjęła z torebki dużą czerwoną portmonetkę, wyciągnęła dowód, położyła go na blacie.

Tomasik uruchomił stacjonarny komputer, otworzył nowy plik, wpisał dane w odpowiednie rubryki.

Interesantka czekała z przyjaznym uśmiechem na ustach.

– Proszę opisać całe zdarzenie – zachęcił ją komisarz. – Co pani rozumie przez majątek i kto dokonał zawłaszczenia?

Lusia nabrała powietrza. Obecność człowieka, który został wyznaczony do wymierzenia sprawiedliwości, sprawiała, że poczuła jak wielka krzywda ją spotkała. Zapanowała nad przytłumionym wzruszeniem.

– Majątek należał do zmarłej Zofii Solińskiej – zaczęła niskim głosem. – Z racji najbliższego pokrewieństwa powinien odziedziczyć go mój mąż, a jej bratanek Zenon Soliński. Jednak za pomocą fałszerstwa, zмовy i spisku oraz podstępem prawnym został mu on skradziony.

Tomasik gestem poprosił o przerwę, aby dokładnie zapisać jej przemowę.

– Poszkodowanym jest pan Zenon Soliński? – Upewnił się.

– Dokładnie tak.

– W takim razie to on powinien złożyć zawiadomienie.

Lusia machnęła ręką.

– Mój mąż nie ma nic do powiedzenia.

Komisarz otworzył usta, aby powiedzieć, że jest innego zdania, ale Lusia go uprzedziła. Wyciągnęła z torebki dokument notarialny, rozpostarła go i położyła na biurku.

– Dziś rano podpisał upoważnienie. Reprezentuję go w tej sprawie.

Tomasik przeczytał i zeskanował pełnomocnictwo.

– To wystarczy, dziękuję. Proszę kontynuować – powiedział.

Lusia nabrała powietrza w płuca.

– Złodziejska szajka to, niestety, moja krewna Ewa Modlińska oraz jej wspólnik, pozał się Boże adwokat, mecenas Adam Dąbrowa.

Tomasik stukał w klawisze w milczeniu. Wiele razy miał do czynienia z podobnymi sprawami. Rozżaleni członkowie rodziny oskarżający innych członków rodziny o zawłaszczenie spadku. Jednak nie zdarzyło się jeszcze, żeby zawiadomienie o takim przestępstwie potwierdziło się w trakcie śledztwa.

– Poduszczony przez Ewę Modlińską mecenas Dąbrowa, zapewne w celu uzyskania znacznej gratyfikacji finansowej, wszedł w bliskie stosunki ze zmarłą Zofią Solińską – ciągnęła Lusia.

Palce komisarza znieruchomiały.

– Przepraszam, nie rozumiem – powiedział.

– Czego pan nie rozumie, panie komisarzu?

– W jakie stosunki wszedł mecenas ze zmarłą...?

– Przecież to skrót myślowy! – zachnęła się Lusia. – To oczywiste, że wszedł w nie z żywą. W stosunki przyjacielskie, celem zawrócenia jej w głowie.

– Ma pani na to dowody?

– Jak najbardziej! Dowodem jest choćby zmiana nazwiska. Z Solińska na Solon.

Tomasik przestał pisać.

– Ostatnie nazwisko pani Zofii brzmiało Solon?

– Przecież mówię wyraźnie!

– W takim razie w zeznaniu należy używać tego właśnie nazwiska.

– Proszę, niech pan je zmieni. Choć to jeden z dowodów choroby psychicznej.

Zapadło milczenie. Komisarz zastanawiał się, jak delikatnie przekonać tę kobietę do wycofania oskarżenia.

– Choroby czy przestępstwa? – zapytał wreszcie.

– Jednego i drugiego – stwierdziła z przekonaniem Lusia. – Ewa i mecenas wykorzystali psychiczną chorobę zmarłej... To znaczy jeszcze żywej Zofii, aby nakłonić ją do zmiany nazwiska oraz testamentu. Jeśli testament w ogóle jest autentyczny. Moim zdaniem to fałszerstwo. A szaleństwo Zofii szybko udowodnię. Być może nawet jeszcze dziś.

Z tego emocjonalnego monologu komisarz nie zapisał ani słowa. Nie uszło to uwagi Lusi.

– Dlaczego pan nie notuje?

– To zarzuty bardzo ogólnej natury. Trudno byłoby...

Lusia nachyliła się nad biurkiem.

– Panie komisarzu, ja znam się na moich prawach! – oświadczyła z naciskiem.

– Proszę pozwolić mi skończyć. Trudno byłoby wszcząć na tej podstawie postępowanie...

Przerwał na widok łez w oczach Lusi. A ona gestem dała znać, że potrzebuje chwili przerwy. Wyciągnęła z torebki chusteczkę i zaczęła osuszać policzki.

– Przepraszam pana – powiedziała. – Zaraz się opanuję, jestem mocną kobietą. Ale cierpię na migreny i właśnie straszliwie rozboleła mnie głowa. Pan nie potrafi sobie wyobrazić, jak czuje się człowiek ograbiony z rodzinnego majątku...

– Czy pani Zofia nie zapisała państwu niczego?

Chusteczka zakryła oczy.

– Nic! Najbliższa krewna! Sercem, umysłem i stopniem pokrewieństwa! Kochała mojego Zenona bardziej niż ja sama. Na pewno nie chciała nas skrzywdzić. – Lusia wyciągnęła chusteczkę w stronę Tomasika. – O, proszę.. To od niej, z monogramem. Z herbem Solińskich. Podarowała mi ją, jeszcze zanim zwariowała, zmieniła nazwisko i dała się podejść grupie oszustów, z moją kuzynką na czele. I z tym adwokatem!

Opadła bezwładnie na krzesło. Mokre oczy patrzyły bezradnie i nienawistnie jednocześnie.

– I jak ja teraz wyglądam? – zapytała.

Komisarz był pod wrażeniem jej występu.

– Bardzo dobrze... – powiedział. – Trochę tylko tusz się pani rozmazał. – Wskazał na miejsce pod swoim okiem.

– Nie o to chodzi! – parsknęła z irytacją Lusia. – Jak ja wyglądam w życiu? Oszukana i okradziona! Testament Zofii Solińskiej jest fałszerstwem dokonany przez zorganizowaną grupę przestępczą! Domagam się, aby pan natychmiast wszczął śledztwo i powiadomił prokuraturę! Boże, moja głowa!

Tomasik zapisał plik, uruchomił drukarkę. Nie okazując, co myśli, wyjął zadrukowany papier i podsunął go Lusi.

– Proszę przeczytać i podpisać – polecił. – Jednak uprzedzam, że niewiele z tego

wyniknie. Prokurator nie podejmie postępowania. Za mało tu faktów.

– A to już moja sprawa, panie komisarzu – stwierdziła wyniośle Lusia. – Pan niech wykona swój obowiązek.

Twarz komisarza pozostała nieruchoma, lecz jego oczy błysnęły ostrzegawczo.

– Przy okazji... Słyszała pani coś o nocnym napadzie na dworek? – zapytał.

Lusia wzruszyła ramionami.

– Wszyscy słyszeli.

– Wszyscy? To znaczy kto? W lokalnej prasie nic nie było. Pani Modlińska zawiadomiła panią?

– Tak. To znaczy nie. Mąż mi powiedział.

Tomasik zaczekał, aż Lusia podniesie wzrok znad wydruku.

– Pan Zenon? A on skąd wiedział?

Oczy Lusi pałały nienawiścią.

– Proszę go o to zapytać!

– Na pewno to zrobię, proszę pani.

Podpisany dokument pojechał po blacie w stronę Tomasika.

– Dostanę kopię?

– Oczywiście – potwierdził komisarz, wsuwając papier do skanera. – Niech pan Zenon do mnie zadzwoni, chętnie wysłucham jego relacji. Moim zdaniem napastnicy byli amatorami.

– Co pan sugeruje?

– Nic. Badam wszystkie wątki.

Lusia schowała do torebki kopię zeznania i wstała. Jej postawa wyrażała oburzenie.

– Lepiej proszę wszcząć śledztwo w sprawie oszustwa dokonanego przez Ewę Modlińską i mecenasa Dąbrowę. Mój mąż źle się czuje, nie jest dostępny.

– Co mu jest? – zainteresował się Tomasik.

– Atak hemoroidów. Zna się pan na tym? – zapytała Lusia z przekąsem. – Chwilowo nie siada na czterech literach. Do widzenia, panie komisarzu.

Odwróciła się z godnością i wyszła z gabinetu.

Tomasik wyłączył skaner.

– Po gumowej kuli w dupę też bym nie siadał – mruknął pod nosem.

Dzień robił się coraz gorętszy. Blask słońca rozmazywał kontury lasów, rozjaśniał kolory łąk i zielonych jeszcze zbóż. Ale Robert nie zauważał piękna mijanych pejzaży. Siedział za kierownicą auta teściowej pogrążony w ponurych rozmyślaniach.

Pięć lat małżeństwa z Darią minęło szybko, a do niego dotarło, że mogą być czasem bezpowrotnie straconym. Miał trzydzieści osiem lat, za chwilę czterdziestka. Nie wyglądał tak dobrze, jak wówczas gdy poznał Darię. Nie będzie mu teraz łatwo znaleźć dobrą partię. Wyrzucił sobie lekkomyślność, że zbyt ochoczo uwierzył w spadek po bogatej ciotce Zenona, która według Lusi uwielbiała bratanka i chorowała na serce.

Powiniennem sprawdzić tę wersję rodzinnej miłości. To przecież nie było trudne, myślał gorzko. Pamiętał, że na początku był podejrzliwy, zastanawiał się, czy matka nie

próbuje pozbyć się z domu niezbyt atrakcyjnej córki, trzydziestolatki z dużymi szansami na staropanieństwo.

A jednak dał się podejść. Uległ wizji, którą roztoczyła przed nim Lusia. Zamarzyło mi się mieszkanie w wygodnym dworku, zarządzanie dużym majątkiem. Wyobrażał sobie, że będzie zostawiał Darię w domu i wyjeżdżał pod pretekstem interesów do Warszawy. Znajdzie kobietę, która lubi dobrą zabawę i nie ma nic przeciwko podwójnemu życiu. Teraz ta wizja rozpadała się na kawałki, a zastępował ją obraz życia z żoną. Bez perspektyw, bez możliwości ucieczki. Nie posiadał przecież mieszkania ani zawodu, który zapewniłby mu niezależność.

Dlaczego nie ostrzegła mnie intuicja?, zastanawiał się. Owszem, miałem wówczas problemy z nerwami, zażywałem środki psychotropowe po aferze z pewną wdową, od której wyciągnąłem trochę pieniędzy. Nie przewidziałem, że baba doniesie na policję...

Tylko on wiedział, jak wrażliwym i delikatnym jest człowiekiem. W głębi duszy.

Ale dlaczego nie dbał o siebie przez te pięć lat małżeństwa, rozleniwiony czekał na spadek? Fologował sobie z jedzeniem i alkoholem, nie zwracał uwagi na rosnący brzuch i podgardle. Wyglądał, jakby miał czterdzieści pięć lat. Stracił już młodzieńczy wdzięk i wigor, które przyciągały wzrok kobiet i umożliwiały łatwe zdobycze.

Zaniepokojony pomacał się po brzuchu i zerknął w lusterko. Może nie jest tak źle, jak podpowiada wzrok? Może wystarczy kilka miesięcy abstynencji i wizyt w klubie fitness. Wróci do formy, odmłodnieje, a następnym razem będzie mądrzejszy i uważnie sprawdzi kandydatkę na żonę. Na razie jednak będzie współdziałał z Lusią. Być może jej plan obalenia testamentu powiedzie się i zainwestowane pięć lat okaże się najlepszym posunięciem w życiu?

Wyjechał samochodem z Zamościa o dziewiątej rano i po trzech godzinach dotarł do Buska-Zdroju. Zostawił auto na parkingu, odnalazł budynek administracji, dowiedział się, gdzie mieści się archiwum. Kupił w kwaciarni bukiet tulipanów, zdjął z palca obrączkę i wmaszerował do obszernego pokoju zastawionego szafami, które skrywały tajemnice tysięcy pacjentów.

Szybko ocenił dwie archiwistki. Jedna była młodą mężatką. Druga, czterdziestoletnia, mało atrakcyjna, nie miała obrączki. Podeszedł do jej biurka, położył na nim bukiet, przeczytał napis na identyfikatorze. Odsłonił zęby w uśmiechu, o którym wiedział, że jest czarujący.

– Dzień dobry, Malwino – powiedział. – Tylko pani jest w stanie mnie uratować. Wspaniale się składa, że mogę liczyć na tak piękną kobietę.

Archiwistka zaczerwieniła się lekko i odruchowo zerknęła na młodszą koleżankę. Ta rzuciła interesantowi szybkie spojrzenie, uśmiechnęła się i skupiła na komputerze.

– W czym mogę panu pomóc? – Archiwistka przeniosła wzrok z tulipanów na Roberta.

On usiadł na krześle po drugiej stronie blatu, nie przestając patrzeć urzędnicze prosto w oczy. Spojrzenie to wypracował jeszcze w młodości, gdy zauważył, że większość ludzi tego nie potrafi, a umiejętność robi duże wrażenie na kobietach. Posiadający ją mężczyzna wysyłał komunikat: jestem silny, możesz mi zaufać.

– Pani Malwino. Moja ciotka była kuracjuską w waszym uzdrowisku. Niestety,

zmarło się biedaczce tydzień temu. Była samotna, tylko na mnie mogła liczyć. Opiekowałem się nią przez wiele lat. No i na mnie spadł obowiązek pochówku. Tymczasem NFZ powołuje się na braki w dokumentacji, a pogrzeb sporo kosztował. Do tego okazało się, że jako spadkobierca jej skromnego majątku, muszę spłacić długi ciotki. Miała, niestety, lekką rękę do wydatków. Jak to kobieta. Jestem człowiekiem zamożnym, ale lubię porządek w sprawach finansowych.

Archiwistka pokiwała głową ze zrozumieniem i współczuciem. Zerknęła na dłonie Roberta, odruchowo poprawiła włosy.

– Przykro mi – oświadczyła poważnie, po czym dodała z uśmiechem: – Są też oszczędne kobiety, bynajmniej.

Robert zerknął na wydatny biust unoszony oddechem pod cienką koronką bluzki.

– Nie wątpię, pani Malwino – powiedział. – Ale piękne, rozpuszczane przez mężczyzn kobiety, jak pani i moja ciotka w młodości, czasem tracą rozsądek. Nie można przecież przez całe życie myśleć wyłącznie o pracy i obowiązku.

Po wygłoszeniu tej kwestii znów spojrział urzędnicze prosto w oczy. Jego wzrok dawał do zrozumienia, że ich znajomość nie musi się zakończyć na załatwieniu sprawy zmarłej ciotki.

Archiwistka roześmiała się cicho, zerknęła na koleżankę i pogroziła Robertowi palcem.

– Chce pan zobaczyć dokumentację krewnej?

– A co pani robi w taki wieczór, jak dziś? – odparł pytaniem. – Na imię mi Damian – przedstawił się.

– O tym później, panie Damianie. – Malwina roześmiała się ponownie i zarumieniła. – Jak ciotka miała na nazwisko?

– Zofia Solińska. Być może zmieniła je w trakcie leczenia na Solon.

– Proszę poczekać.

Palce archiwistki, ze sztucznymi paznokciami w różowym kolorze i srebrnymi gwiazdkami, zastukały w klawisze komputera.

– Jest, Zofia Solon. Ostatni raz była u nas rok temu.

– Znakomicie! Czy udostępni mi pani do wglądu jej teczkę? – zapytał Robert. – Niestety, nie jestem w stanie udowodnić naszego pokrewieństwa. Moja matka była jej siostrzenicą, a ja noszę nazwisko po ojcu.

Malwina zawahała się.

– Nie powinnam tego robić...

– Wiele jest rzeczy, których nie powinniśmy robić, i pani, i ja. Ani dziś, ani przez następne miesiące.

Archiwistka wymieniła spojrzenia z koleżanką. Tamta zrozumiała prośbę w jej oczach, odchrząknęła znacząco, wzięła do ręki jakieś dokumenty i wyszła z pokoju.

Malwina sprawdziła numer akt w komputerze, podniosła się ze skupioną miną, obciągnęła spódniczkę na biodrach. Podeszła do jednej z szaf, znalazła teczkę i położyła ją przed Robertem.

– Nie tutaj – zastrzegła. – W poczekalni dla interesantów, po drugiej stronie korytarza. Proszę zrobić zdjęcia akt i oddać mi dokumenty. Pracę kończę o szesnastej.

– Cudownie! – Robert zgarnął teczkę z napisem „Zofia Solińska/Solon”. – Jest pani zjawiskiem! Czekam o szesnastej na parkingu.

– Nie. Proszę przyjechać pod ten adres o siedemnastej. – Szybko napisała kilka słów na małej karteczce. – Nie chcę niepotrzebnych plotek.

– Naturalnie, pani Malwino.

Chwycił jej dłoń, podniósł do ust i przytrzymał.

– Tylko niech się pan pośpieszy! – poprosiła z zalotnym uśmiechem.

Ewa wyjechała z Ujazdu o siódmej rano.

Wystarczyła godzina, żeby dotarła autobusem do Sandomierza i przesiadła się do pociągu, który powiózł ją do Zamościa. Nie zauważyła jaguara, którym jechał za nią jej rzekomy włoski kuzyn. Nie zdawała sobie również sprawy, że ma na sobie marynarkę z pluskwą w kieszeni, włożoną tam przez Maurycego Podreckiego.

Poprzedniego wieczoru, kiedy surfowała w sieci, próbując znaleźć cokolwiek na temat renesansowych tajemnic i kodów, nagle natrafiła na informację o cyklu wykładów profesora Jelińskiego z Uniwersytetu Warszawskiego. W Zamościu właśnie.

Profesor był jej wykładowcą, a później promotorem niedokończonych prac doktorskich i na pewno miał dość wiedzy, aby pomóc w rozwiązaniu zagadki Krzyżtoporu. Ewa zdecydowała się jechać. Uprzedziła Izę i powierzyła jej opiekę nad domem i końmi. Obiecała wrócić jeszcze tego samego dnia.

Nie powiedziała siostrzenicy, że dawno temu kochała się w Jelińskim. Miał wówczas czterdzieści parę lat, był atrakcyjnym mężczyzną i autorytetem naukowym. Zauważył zainteresowanie swojej doktorantki, wydawało się nawet, że rozważa związek z nią, lecz nagle wyjechał na stypendium do Włoch.

W autobusie i pociągu Ewa próbowała czytać książki, które znalazła w bibliotece stryjecznej babki: jedną autorstwa jakiegoś profesora z Cambridge, zatytułowaną *Renesans*, i drugą, pracę zbiorową pod redakcją Richarda Stempa, pod tytułem *Renesans. Odkrywanie tajemnic*. Miała nadzieję natrafić na tropy kodów, które pomogłyby jej zrozumieć związek Abraksasa z talizmanami Apoloniusza.

Szybko przekonała się, że nic nie wynika z lektur, więc choć powrót do niezwyklej symboliki renesansowych malarzy i architektów sprawiał jej przyjemność, wydarzenia ostatnich dwóch dni odwracały uwagę od książek.

Wciąż nie potrafiła oswoić się z niespodziewanym dziedzictwem. I tak miała szczęście, że przezorna Zofia zapewniła domowi niewielki dochód z wydzierżawionych pól i łąk. W przeciwnym wypadku wizja prowadzenia gospodarstwa rolnego byłaby przerażająca. Może nawet zrzekłaby się spadku na rzecz rodziny. Wciąż nie potrafiła sobie wyobrazić życia na wsi, z dala od wszystkiego, do czego przywykła. Nie będzie chodzić do teatrów, do kina, zwiedzać wystaw, spotykać się ze znajomymi?

Przypomniała sobie nagle o Małgorzacie, z którą od chwili opuszczenia Warszawy nie zamieniła ani słowa. Sięgnęła po telefon, ale cofnęła rękę. Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Że zostaje w Ujeździe na resztę życia? Wydało się to jej tak absurdalne, że roześmiała się, przyciągając zaciekawione spojrzenia kilkorga pasażerów.

A może by tak sprzedać majątek Zofii? Na pewno jest wart kilka milionów. Mogłaby spokojnie wznović przewód doktorski. Nie, to byłaby zdrada. Zofia by jej tego nie wybaczyła. Tylko jakie to ma znaczenie, co pomyślałaby zmarła ciotka? Życie toczy się dalej, nie można zamurować się na zapadłej wsi.

Przypomniała sobie, jak wyglądają w Ujeździe jesień i zima, i przeszedł ją dreszcz. Siedem miesięcy deszczów i pustki!

Wizyty w piękne mroźne dni, kiedy park i dworek otulone były śniegiem, to zupełnie coś innego niż samotne tkwienie na pustkowiu, w ciemnościach i zimnie. Jakim cudem Zofia to wytrzymała? Może to sprawa dojrzałości, wieku, w którym człowiek niczego nie oczekuje od życia? Ale Ewa miała dopiero trzydzieści trzy lata, była głodna wrażeń, przeżyć, miłości! Nie może pogrzebać się żywcem!

Powstrzymała rozpedzone myśli. Jakiej znów miłości, idiotko!, skarciła się w duchu. Kolejnego egoisty, z którym zmarnujesz rok albo dwa lata życia?

Nagle ujrzała twarz Rafała, tak realną, jakby usiadł na wolnym miejscu naprzeciwko. Poprzedniego dnia zablokowała w telefonie jego numer, nie wiedziała nawet, czy on nie próbuje się skontaktować. Może jakoś wytłumaczyłby tę zdradę.

Nie, nie ma mowy! Nie chcę tego słuchać!

Rafał znikł, na jego miejscu pojawił się Adam Dąbrowa. Ewa spróbowała skasować go z umysłu, ale stawiał opór. Nie chciał się rozpuścić. Jakim jest człowiekiem, dlaczego porusza ją jego obecność? Stanowi połączenie mężczyzny i zabawnego chłopca. Tym bardziej powinna trzymać się z daleka od pana mecenasa.

Bycie chłopcem jest ulubioną pozą dzisiejszych mężczyzn. Niedojrzałość sprzedają jako wdzięk kobietom gotowym im matkować, aż do chwili kiedy przekonają się, że to maska, za którą kryje się zwyczajny narcyz.

Ewa miała jednak wrażenie, że w przypadku prawnika jest inaczej, a jego nieśmiałość i niezgrabność wynikają z delikatności. Szacunku dla jej uczuć. Wyczuwała w nim mężczyznę, który przestrzega prostego systemu wartości, wie jak postępować. Na którym można polegać.

Nie spotkała jak dotąd kogoś takiego, więc budził w niej ciekawość i niepokój jednocześnie. Nie była gotowa na kolejne uczucie ani na rozczarowanie. Pan mecenas może maskować się lepiej od innych mężczyzn, pomyślała. Poza tym, czyż nie miałam podobnych odczuć w czterech ostatnich przypadkach?

Zachowam chłodny rozsądek, niczego nie będę zakładać ani przyjmować bezkrytycznie, postanowiła. Adam Dąbrowa będzie musiał bardzo uważać, bo jedno fałszywe zdanie czy reakcja zakończą moją wizję. Bez wątpliwości podobam mu się i wywołuję zamęt w jego głowie. Czas pokaże, czy na mnie zasługuje.

Zajęta myślami Ewa zdziwiła się, że pociąg zatrzymał się już przed budynkiem dworca PKP w Zamościu. Nie zauważyła, kiedy minęły trzy godziny. Wysiadła z nieliczną grupą pasażerów, udała się na postój i poprosiła o zawieszenie do pałacu Zamoyskich. Skupiła się na oglądaniu miasta przez szyby samochodu.

Zero myśli o przeszłości i przyszłości!, nakazała sobie. Liczy się tylko to, co dzieje się tu i teraz. Spadek, życie na wsi i Adam Dąbrowa to iluzje umysłu. Teraz jest pogodny dzień w Zamościu, jednym z najpiękniejszych miast w Polsce.

Decyzja została podjęta, mogła więc z przyjemnością przyglądać się szeroko rozrzuconym domkom, które wkrótce ustąpiły miejsca zielonemu parkowi. Podziwiała zbliżającą się panoramę Starego Miasta. Wysiadła przed pomnikiem hetmana Jana Zamoyskiego, wskazującego wyciągniętą buławą na rosyjskie wojska, z którymi stoczył zwycięską wojnę.

Ruszyła do pałacu nieświadoma, że tuż za taksówką podążał jaguar, za kierownicą którego siedział Giovanni.

W Sandomierzu wszedł za Ewą na dworzec kolejowy i sprawdził połączenia. Potem pojechał do Zamościa i zszedł przed dworcem, w samochodzie ukrytym w cieniu drzew. Kiedy Ewa wysiadła z pociągu, odzyskał połączenie z pluskwą w jej marynarce i zadowolony zawiadomił o tym fakcie Federica i Marca.

Tymczasem Ewa weszła do pałacu, gdzie mieściła się siedziba sądu. Wielka klasycystyczna budowla była zaniedbana. Sprawiała ponure wrażenie, a hall na parterze i schody niczym nie różniły się od wielu państwowych urzędów. Wszędzie panowała szarość i nijakość.

Trochę lepiej wyglądała biblioteka na piętrze, dzięki zabytkowym regałom wypełnionym po sufit starymi tomami. Ewa weszła tam i zatrzymała się za drzwiami.

Pięćdziesięcioparoletni obecnie profesor Jeliński prowadził wykład dla kilkunastu studentów i asystentów. Za plecami miał plan renesansowego Zamościa. Ewa poczuła ukłucie zazdrości; oddałaby teraz całą dziennikarską karierę, żeby znaleźć się w tej grupie.

Giovanni stanął przy wysokim oknie w korytarzu, odwrócony plecami do biblioteki, z przekaźnikiem w dłoni i anteną wystającą ponad ramieniem. Był gotów do złowienia każdego słowa.

Profesor przechadzał się tam i z powrotem przed słuchaczami. Wysoki, w stalowych okularach, nieco przygarbiony, ale o ruchach sprężystych jak u byłego sportowca. W młodości uprawiał lekkoatletykę, przypomniała sobie Ewa. Mówił niskim głosem, z namysłem dobierał słowa.

– Najtęższe umysły renesansu marzyły o stworzeniu miasta idealnego, zbudowanego na podstawie danych astrologicznych. Sam Leonardo projektował i proponował Medyceuszom budowę takiego miasta od podstaw. Niestety, bez efektu.

Jeliński podniósł wzrok i zauważył gościa. Ewa skłoniła głowę, on odpowiedział zaskoczonym uśmiechem.

– W tysiąc pięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, na zlecenie potężnego polskiego magnata Jana Zamoyskiego włoski architekt Bernardo Morando zaczął budować Zamość – ciągnął. – To jedyne na świecie miasto idealne. Proporcje Zamościa oparte są na tajemniczym kodzie astrologicznym, który zapewnia miastu pomyślność, a zdrowie i talenty jego mieszkańcom.

Profesor wyciągnął z kieszeni złożony dokument.

– Przyznano nam grant Unii na prace pomiarowe, badania architektoniczne i sondáže archeologiczne – oznajmił, podnosząc papier. – Nasz zespół wyda ostateczną opinię o tej jedynej w swoim rodzaju renesansowej perle.

Zerwały się brawa. Jeliński gestem uciszył gwar.

– Chwila przerwy – powiedział. – Muszę przywitać się z moją najzdolniejszą studentką. I z moim... największym rozczarowaniem.

Zebrani odwrócili się jak na komendę. Ewa poczuła zawstydzenie i irytację. Jeliński podszedł, rozbawiony jej miną.

– Dziękuję bardzo, profesorze – mruknęła.

– Jak mnie znalazłaś?

– W internecie. Gratuluję grantu.

– Chciałabyś dołączyć? Trochę późno, ale...

– Nie zmieniałam decyzji. Za słaba jestem.

Jeliński pokiwał głową.

Przez moment patrzyli na siebie bez słowa, oboje nieco zmieszani. Ewa dostrzegła zakola na czole, zmarszczki w kącikach oczu i ust. Wciąż był przystojny, ale powoli stawał się starszym panem. Opatrzność czuwała nade mną, wysyłając go do Włoch, stwierdziła. Dwadzieścia lat różnicy to jednak zbyt wiele.

– Jesteś jeszcze piękniejsza – powiedział Jeliński. – A twoja pokora dla historii kultury wciąż jest podszyta pychą. Co cię sprowadza?

– Wciąż to samo. Brak wiedzy. Możemy znaleźć spokojne miejsce?

Uśmiechnął się przekornie.

– Jak bardzo spokojne?

Ewa wbrew sobie poczuła dreszczyk emocji. Ewentualny romans mógłby być ciekawy...

– Nie aż tak – odparła z podobnym uśmiechem.

Jeliński odwrócił się do grupy.

– Wracam za kwadrans – oznajmił.

Na korytarzu minęli stojącego twarzą do okna Giovanniego, skęcili w lewo. Jeliński otworzył jakieś drzwi.

– Dostaliśmy to pomieszczenie – wyjaśnił, wskazując na niemal pusty pokój, z dwoma fotelami o zniszczonych obiciach. – Jeszcze nie zdążyliśmy się urządzić.

– Co byś powiedział na możliwość odnalezienia talizmanów Apoloniusza? – Ewa usiadła na jednym z foteli.

Starła się mówić możliwie obojętnym tonem.

– Gdzie?

– W Polsce.

Jeliński uniósł brwi.

– Zapytałbym, czy chodzi o wywołanie taniej sensacji w mediach – stwierdził po sekundzie zastanowienia. – Słyszałem, że pracujesz dla jakiegoś kobiecego pisma?

Ewie zrobiło się przykro. W pierwszym odruchu chciała wstać i wyjść. Profesor zrozumiał, położył rękę na jej dłoni.

– Przepraszam. To było niepotrzebne. Ale twoje pytanie zabrzmiało jak czysta fantazja.

– Wiem. Jak fantazja brzmi również fakt, że pochodzę z rodu Georgiosa Solona, zaufanego dworzanina cesarza Bizancjum. Według listu z siedemnastego wieku, został on wysłany z tajną misją do Krzysztofa Ossolińskiego.

Twarz Jelińskiego wyrażała zdziwienie pomieszane z niedowierzaniem. Ewa chwyciła w dwa palce swój wisiorek.

– Wiesz, co to jest? – zapytała.

– O ile się nie mylę, Abraksas.

– Nie mylisz się. Identyczny widnieje na portrecie Ossolińskiego, który jest w posiadaniu mojej rodziny od wielu pokoleń. Popatrz!

Otworzyła kolejno dwa zdjęcia w telefonie.

Na jednym widniał portret wojewody z oczyszczonym fragmentem na ramieniu. Drugie ukazywało zbliżenie łuski pancerza, z miniaturą okna i wieży Krzyżtoporu.

Fotografie zrobiły wrażenie na Jelińskim.

– Nadzwyczajne! – powiedział z podziwem. – Dawno nie widziałem tak znakomitej miniatury!

– Wykonano ją nie bez przyczyny. Tak samo jak wizerunek Abraksasa. Nos mi mówi, że są ze sobą powiązane.

– W jaki sposób?

– Gdybym to wiedziała, dawno zaprosiłabym cię do kopania w Krzyżtoporze.

– To nie takie proste. Nie dostalibyśmy pozwolenia.

– Ja z pewnością nie. Ale pan profesor z Uniwersytetu Warszawskiego?

Jeliński pokręcił głową, ale bez ironii. Wstał z fotela i zaczął przechadzać się po pokoiku.

– Co za zbieg okoliczności... – Przystanął przed Ewą. – Gdybyś miała rację... Wiesz, co to by oznaczało?

– Największą sensację od...

– ...odkrycia grobowca Tutenhamona.

– No, prawie – stwierdziła Ewa ostrożnie.

Jeliński machnął ręką.

– Żadne prawie! Media na całym świecie zwariowałyby! Nie mówiąc o uniwersytetach. – Zacerpnął powietrza, żeby ochłonać. – Nie, to zbyt fantastyczne.

Ewa wiedziała, że połknął haczyk.

– Prawdę mówiąc, też tak myślę. – Rozłożyła ręce z rozczarowaną miną. – Cóż, dałam się ponieść wyobraźni. Dziękuję, że mnie wysłuchałeś. A teraz wracaj do studentów.

Ruszyła do drzwi. Jeliński chwycił ją za ramię.

– Czekaj, nie tak szybko! Tym razem mi nie zwiejesz. Siadaj i słuchaj! Przysięgaj, tu i teraz! Jeśli jest w tym choć cień prawdy i znajdziesz cokolwiek, wracasz i kończysz doktorat. Albo robisz nowy. Z Krzyżtoporu.

Rozbawiona Ewa podniosła dwa palce.

– Bez tego uśmiešku, proszę, bo nic więcej ci nie powiem! – ostrzegł ją Jeliński. Spojrzał jej w oczy z uwagą. – Jesteś beznadziejnym przypadkiem! – stwierdził. – Ale dobrze, słuchaj. – Ponownie ruszył w wędrówkę od ściany do ściany. – W dwa tysiące pierwszym pracowałem w weneckich archiwach. Szukałem prac Moranda. To był wstęp do projektu Zamość...

Federico i Marco siedzieli w wiklinowych fotelach na ganku.

Dom, w dogodnej odległości od dworku Zofii i Krzyżtoporu, od dawna niezamieszkały, stał pośrodku zdziczałego ogrodu. Wynajęli go tydzień wcześniej. Właściciel, który na starość przeprowadził się do Sandomierza, zdziwił się nieco, że taka ruina odpowiada obcokrajowcom. Dla nich dom był jednak idealny. Znajdował z daleka od wsi i nikt tu nie zaglądał.

Na stoliku stał laptop. Z jego głośników dobiegał lekko stłumiony, lecz wyraźny głos.

– Przypadkiem natrafiłem na kilka dokumentów, które wspominały o istnieniu w Wenecji zakonspirowanego dworu ostatniego cesarza Bizancjum. Ród Paleologów na wygnaniu otaczała szpiegowska siatka kolejnych dożów. Badałem raporty agentów weneckiej tajnej policji z szesnastego i siedemnastego wieku. Zainteresowały mnie z jednego powodu. Otóż wymieniały kilkakrotnie... – Jeliński zrobił efektowną pauzę. – Cristoforo Ossolińskiego!

Zapadła cisza.

Obaj Włosi zawiśli nad laptopem jak myśliwi. Federico chwycił oburącz blat stolika. Jego palce drżały z napięcia.

– No i tyle – zakończył spokojnie Jeliński. – Możesz wrócić do swoich tabloidów i plotek – dodał przekornie. – Choć gdy raz cię wciągnie taka historia, będziesz szukać do końca życia. Najczęściej z mizernym rezultatem. Nie dostaniemy pozwolenia na kopanie w Krzyżtoporze, zbyt mało poszlak. A ty wycofałaś się z nauki.

– Zabiję cię! Ostrzegam! – Z głośników dobiegł głos Ewy.

– Proszę bardzo! Jak sobie życzysz – zgodził się z humorem Jeliński. – Z raportów szpiegów wynikało, że dożowie szczególnie zainteresowani byli jakąś wielką tajemnicą Paleologów. Ostatni cesarz wywiózł coś z Konstantynopola. To coś miało wartość, nie tylko materialną. W raportach mówi się o *tesoro*, czyli o skarbie. A ty zjawiasz się piętnaście lat po moich studiach w Wenecji i dodajesz do tej historii niezwykłą puentę.

Giovanni czujnie reagował na przechodzących urzędników i klientów sądu. Odsuwał się od drzwi, udając, że czegoś szuka w telefonie, wiązał sznurowadła. I cały czas pilnował właściwego ustawienia przekaźnika z antenką.

– Założę się, że ustaliłeś jeszcze coś – usłyszał w słuchawce głos Ewy.

– Z innych dokumentów, protokołów tajnych posiedzeń Wielkiej Rady Wenecji wynikało, że tajemnica ta ma mistyczny charakter – podjął Jeliński. – Wiąże się z nadprzyrodzonymi mocami, którymi chcieli zawładnąć dożowie. Jak wiesz, ludzie renesansu marzyli o zastosowaniu starożytnej magii. Bardzo w nią wierzyli.

– Talizmany Apoloniusza...

W pokoju zapadła cisza. Giovanni znieruchomiał z przekaźnikiem przytkniętymi do drzwi.

– Muszę już wracać, odprowadź mnie – powiedział głos profesora.

Drzwi otworzyły się. Włoch odskoczył z takim impetem, że omal się nie

przewrócił.

Zdziwiony Jeliński spojrział na mężczyznę, który wycofywał się pośpiesznie z wyrazem paniki w oczach.

Giovanni ruszył korytarzem i skręcił w drzwi toalety. Stał twarzą w twarz z wychodzącą z kabiny kobietą. Bezceremonialnie wepchnął ją z powrotem i posadził na otwartym sedesie.

– Co pan wyprawia?! – zawołała z oburzeniem.

– Raporty szpiegów dożów Giovanniego Farnese i Francesco Erizzo donoszą o bliskiej znajomości cesarza Paleologa z Polakiem Ossolińskim – zaszumił w słuchawce Włocha oddalający się głos Jelińskiego.

Giovanni uchylił drzwi. Profesor i Ewa kierowali się w stronę schodów.

– Ossoliński poszukiwał zaufanego architekta, Bizantyjczycy zarekomendowali Wawrzyńca Senesa. To właśnie on zbudował Krzyżtopór. Szpiedzy doży twierdzili, że *tesor* Paleologów ma być wywieziony w tajemnicy z Wenecji. Gdzieś do Barbarii, na północ. Renesansowa tajemnica, która...

Głos profesora stawał się coraz słabszy, aż wreszcie zanikł zupełnie. Federico i Marco opadli z westchnieniem na fotele.

– Odbudujemy fortunę rodu Farnese! – powiedział cicho stary Włoch.

W głośniku jęknął Giovanni.

– Zboczeniec! – wrzasnęła jakaś kobieta.

Kolejne krzyki, po włosku i po polsku, zlały się w nieczytelny hałas. Potem zapadła cisza.

– Co ten idiota wyprawia? – zdenerwował się Federico. – Uspokój go natychmiast!

– Giovanni, co to za kobieta? – powiedział Marco do mikrofonu. – Dlaczego nie poszedłeś za Ewą?

Laptop milczał. Federico machnął ręką.

– Dość usłyszeliśmy. Tak czy inaczej, musimy poznać szczegóły.

– Jak? – zapytał Marco.

– Na razie nie spuścimy z oka naszej drogiej krewnej.

Grupa Jelińskiego patrzyła z zaciekawieniem na powracającą parę.

– Po kilku latach znów znalazłem się w Wenecji, w Archivio Publico. W związku z Zamościem. Przypomniałem sobie o skarbie Bizancjum i o raportach szpiegów i postanowiłem do nich zajrzeć. Zdumiało mnie, że znikły wszystkie karty, w których pojawiało się nazwisko Ossolińskiego. Jeszcze bardziej zdziwiłem się, kiedy archiwista powiedział, że numery archiwalne zgadzają się i niczego nie brakuje. Nie było też żadnej kradzieży. Archwista stał się podejrzliwy, zapytał mnie o notatki z tych nieistniejących dokumentów. Przezornie odpowiedziałem, że nie wykonałem notatek. „W takim razie musiał pan czytać o tym gdzie indziej”, stwierdził uspokojony. Jakby ktoś mu płacił za czujność!

– Niesamowite.

Jeliński pokiwał głową. W jego oczach błysnęła przekora.

– Masz te notatki, prawda? – powiedziała Ewa.

– I ich ksero też.

– Mogę je zobaczyć?

– Są w moim mieszkaniu w Warszawie – odparł. – Wracam za tydzień, zadzwoń.

Nie pomogę ci teraz, mam dużo pracy w Zamościu. Szukanie skarbów to nie jest poważne zajęcie dla historyka sztuki. Sama o tym wiesz.

Ewa milczała z zaciętą miną. Jeliński pokręcił głową.

– Krzyżtopór wpadł w ręce Szwedów podczas potopu. Potem, w trakcie konfederacji barskiej, zajęli go Rosjanie. Jeżeli coś tam było, to jedni albo drudzy po cichu to wywieźli. I zapewne przetopili na sztabki. Żołdacy nie mogli znać wartości talizmanów. Napisz o tym pracę, poważną. Będzie więcej warta od skarbu. Doktorat, okej? – Wyciągnął rękę. – Cieszę się, że wracasz do zawodu. Powodzenia!

– Dzięki. Zadzwonię po notatki.

Jeliński westchnął, chciał dodać coś jeszcze, ale zrezygnował. Odwrócił się i odszedł.

Adam Dąbrowa z wrażenia aż wstał zza biurka.

– Jak to: wykradziona? – powiedział do słuchawki. – Co to znaczy? – rzucił zdenerwowany. – Udostępnił pan obcej osobie dokumentację medyczną mojej klientki? Bez upoważnienia?

Dał rozmówcy czas na odpowiedź.

– Damian? Nie ma takiego imienia w rodzinie Zofii Solińskiej. Zawiadomił pan policję? Mam nadzieję, że dysponuje pan kopią?

Był coraz bardziej zirytowany.

– Panie dyrektorze, zwracam panu uwagę, że sanatorium ma obowiązek chronić dane osobowe pacjentów. Zwłaszcza takie dane! Proszę odzyskać dokumentację jak najszybciej albo będę zmuszony podjąć odpowiedni kroki. Do widzenia!

Na stole w jadalni leżała rozłożona tekturowa teczka, a nad nią wisiała Lusia. Na nosie miała okulary do czytania.

Daria i Robert czekali w napięciu po drugiej stronie blatu. Zenon leżał na kanapie pod ścianą i wyciągał szyję, próbując dojrzeć cokolwiek.

Studiowanie dokumentów przedłużało się w nieskończoność. W powietrzu zawisł wyrok, od którego zależała przyszłość rodziny. Aż wreszcie Lusia podniosła głowę i skupiła wzrok na zięciu. Jej twarz była blada, w oczach płonęła gorączka.

– Czytałeś te dokumenty? – zapytała.

Robert zaniepokoił się.

– Nie było czasu – odparł zmieszany. – Chciałem jak najszybciej...

Lusia przeniosła wzrok na córkę. Wreszcie odwróciła się do Zenona.

– No co, mamó? – Nie wytrzymała Daria. – Nie strasz nas!
– To jest... – zaczęła Lusia, lecz zabrakło jej tchu. Umilkła.
– Co jest? Wykrztuście wreszcie! – zdenerwował się Zenon.
Głos Lusi z każdą sylabą brzmiał potężniej. Policzki odzyskiwały kolory.
– To-jest-spa-dek! Twój spadek, nasz spadek! – Wskazywała palcem siebie i członków rodziny. – To-jest-dy-na-mit, wart miliony dynamit! Dom, ziemia, wszystko! I kopniak dla Ewy, aż pofrunie do Warszawy!
– Tak mama sądzi? – zapytał ostrożnie Robert.
– Czy ja sądzę? Nieważne, co ja sądzę! – Palec Lusi stukał w dokument. – Tu stoi napisane! Wariatka, wariatka!
– Babcia Zofia? – zapytała Daria.
Jej matka przewróciła oczami na znak kończącej się cierpliwości.
– A kto? Przecież nie ja!
– Tak napisali? Wariatka? – Wyciągnął rękę Zenon. – Pokaż!
– Zostaw, bo wszystko popsujesz! – Lusia nakryła ręką papiery. – Jesteś urodzonym pechowcem!
– No wiesz! – Na twarzy jej męża pojawił się grymas oburzenia.
– Wiem, doskonale wiem! – przerwała mu Lusia. – Te same geny, co u Zofii! Nawet półarystokraci są chorzy psychicznie!
– Wypraszam sobie. Nie jestem chory.
– Ale blisko ci. Bardzo blisko. – Lusia ponownie postukała palcem w jeden z dokumentów. – Wegetatywna nerwica lękowa. Lękowa! Wiecie, do czego prowadzi nerwica lękowa? – Potoczyła wzrokiem po twarzach. – Do schi-zo-fre-nii! Do zapisania całego majątku byle komu, na przykład Ewie! Dobrze, że nie zapisała go swoim kobyłom!
– Kochanie, uspokój się... – zaczął Zenon.
Machnęła na niego ręką i zwróciła się do zięcia.
– Wykradłeś dokumentację jak James Bond!
Robert dumnie wyprostował się na krześle.
– Ścigali mnie.
– Kto? – zaniepokoiła się Daria.
– Dwie wściekłe baby z sanatorium. I uzbrojony strażnik.
Daria zmrużyła kpiąco oczy.
– Nie zmyślaj!
– Zamknij się, córeczko! Twój mąż jest wielki! – oświadczyła Lusia. Nachyliła się nad stołem, chwyciła Roberta za szyję, przyciągnęła do siebie i ucałowała w oba policzki.
– Kocham cię, zięciu – oznajmiła. – Zawsze wiedziałam, że można na ciebie liczyć. Jak na mężczyznę.
– Dzięki, mamó – odparł lekko przyduszony Robert.
Lusia wypuściła go z objęć.
– Powinnaś być mi wdzięczna, że cię do niego przekonałam – zwróciła się do córki.
– Pomimo twojej hysterii.
– Jakiej hysterii? – zaciekawił się Robert.
– Ona utrzymywała, że ma odruchy, kiedy jej dotykasz.

– Odruchy?

Robert spojrział pytająco. Daria pobladła nieco.

– Mamo, jesteś wstrętna – stwierdziła lodowato.

Lusia westchnęła z poblażaniem.

– Pamiętam, tajemnica – powiedziała z lekceważąco. – Ale kto cię namówił na kurację? Kto ci kazał iść z jego koszulą do alergologa?

Robert był coraz bardziej zdumiony.

– Miałaś na mnie alergię?

Daria spiorunowała matkę wzrokiem, odsunęła krzesło, wstała i wyszła z pokoju.

Lusia zaczęła, aż za córką zamkną się drzwi.

– Spokojnie, kochany, to była alergja psychiczna – zwróciła się do Roberta. – Przeszła jej, kiedy obiecałam, że dam wam mieszkanie. Jeśli przestanie zadawać się z Karolem.

– Z moim kuzynem? – Robert wyglądał na poruszonego.

– Kochała się w nim. – Machnęła ręką Lusia. – Albo tak się jej zdawało. Ale on mi się nie podobał. Nieważne. Było, minęło. – Postukała dłonią w dokumenty. – Nie mogę się doczekać miny drogiej Ewy! I jej adwokata! – Wskazała ruchem głowy na drzwi. – No, idź do niej! Na co czekasz?

Robert spojrział na rozłożone papiery, a potem na teściową. Dobrze się w tej chwili rozumieli. Wizja odzyskania spadku sprawiała, że małżeństwo z Darią nadal było interesujące. Wstał, z godnością poprawił koszulę, odwrócił się i poszedł za żoną.

– No co? – Skrzywiła się Lusia na widok dezaprobaty w oczach Zenona. – Trochę prawdy nie zaszkodzi żadnej rodzinie, a oczyści się atmosfera. Nie patrz tak, znajdź lepiej w tej dziurze sensownego adwokata. Chodzić przecież możesz. Chyba że wolisz czekać, aż Ewa rozkradnie twój majątek!

Ewa szła uliczką odchodzącą od rynku, wzdłuż szeregu bajecznie kolorowych kamieniczek. Odebrała telefon od Małgorzaty i zdała jej relację ze wszystkiego, co do tej pory się wydarzyło.

– Powiedz, że nie chcesz romansu z tym profesorem! – zawołała przyjaciółka, kiedy opowieść dobiegła końca.

– Nie, Małgoś. To skończona historia. Ale fakt, że natrafił na ślady cesarza Bizancjum w Wenecji, to kolejny sygnał od włoskich przodków.

– Sygnał?

– Dają mi znać, żebym nie rezygnowała z wyjaśnienia tajemnicy. Jeliński też był pod wrażeniem, choć naukowe podejście zwyciężyło.

– Odżyły wspomnienia – stwierdziła autorytarnie Małgorzata. – Wciąż się w tobie kocha.

Ewa uśmiechnęła się mimo woli.

– Twoje życie potoczyłoby się inaczej – ciągnęła przyjaciółka. – U boku znanego profesora zrobiłabyś karierę naukową.

– Komentowaną złośliwie przez zazdrosne języki. Bo dostawalibyśmy granty na

badania, jeździli po świecie i pisali świetne książki.

– Żałujesz?

Ewa spoważniała.

– Dziś rano obiecałam sobie, żeby niczego i nigdy nie żałować – powiedziała.

– A co ja ci powtarzam od lat?! – zawołał głos w telefonie.

– Masz rację. Ale muszę kończyć.

– Poczekaj! Powiedz mi jeszcze, co z tym Adamem?

– Nic, Małgoś. Na razie! Pa!

Ewa rozłączyła się i zamyśliła. Zdanie o nieżałowaniu przeszłości przyszło samo, bez udziału umysłu. Nie obiecała sobie czegoś takiego dziś rano. Miała wrażenie, jakby do głosu znowu doszła druga Ewa, wciąż ukryta i czekająca na swój czas.

Ludzie zatruwają sobie głowy myśleniem o zmarnowanych szansach, gorzknieją i szybciej się starzeją. Przeszłości nie można zmienić, bo przeszłość nie istnieje. To proste. Prawdziwe jest tylko to, co tu i teraz.

A przyszłość, którą planujemy i której się obawiamy, to też wytwór naszych umysłów. Kiedy dostrzegamy tę prawdę, życie staje się łatwiejsze, westchnęła Ewa. Pomimo nieprzyjemnych wydarzeń, jak na przykład koniec relacji z Rafałem. On należał już do przeszłości, czyli nie istniał. Może dlatego, że podświadomie w miejsce myśli o nim pojawiły się myśli o Adamie?

Zaskoczona ostatnim spostrzeżeniem zatrzymała się nagle i zobaczyła przed sobą tablicę z napisem: FUNDACJA CALLIDA IUVENTUS. Wisiała na osiemnastowiecznej kamieniczce, otynkowanej na niebiesko, z fantazyjnymi płaskorzeźbami i pilastrami.

Umówiła się tutaj z mecenasem Dąbrową, lecz niespodziewanie poczuła przyływ paniki.

Druga Ewa zamilkła. Zaś pierwsza próżno czekała na odpowiedź. Nie wytrzyma następnego rozczarowania, jeszcze jednego egoisty, który widzi w niej wyłącznie trofeum. Lepiej dają sobie radę kobiety, których wygląd nie wywołuje u mężczyzn samczych instynktów. Powinna ściąć włosy, założyć okulary i nieforemną sukienkę, zapomnieć o makijażu i utyc. Zaniedbana i brzydka pani doktor nauk humanistycznych zapewne tak właśnie wyglądałaby po kilkunastu latach z Jelińskim.

Wzdrygnęła się i nacisnęła dzwonek domofonu. Usłyszała brzęczyk, pchnęła ciężkie drzwi, minęła ciemny korytarz i weszła do sali, z której dobiegał ożywiony gwar.

Adam Dąbrowa stał w otoczeniu kilkanaściorga siedemnastolatków płci obojga i zdenerwowanych dorosłych. Wszyscy mówili jednocześnie, z podnieceniem próbując przekonywać do swoich racji. Mecenas, z plikiem dokumentów w dłoni, bezskutecznie usiłował zapanować nad hałasem.

Zaskoczona Ewa usunęła się pod ścianę, ale Adam ją dostrzegł.

– Proszę o ciszę! Cisza! – zawołał głośno.

Wrzawa powoli ucichła, choć z twarzy obecnych nie znikły napięcie i niepewność.

– Fundacja otrzymała dofinansowanie z Unii – ciągnął Dąbrowa. – Sami mamy zdecydować, kto pojedzie na stypendium. I do jakiego kraju.

Jego słowa, zamiast uspokoić, na nowo wywołały podniecony gwar.

– Proszę, bardzo proszę! – krzyknął Adam. – Wiem, że wasz wkład nie był równy,

że jedne wnioski otrzymały więcej punktów, inne mniej. Chciałbym, żebyście pojechali wszyscy, ale zabraknie prawie jednej trzeciej środków. Musicie demokratycznie rozstrzygnąć, kto dostanie stypendium. Bardzo mi przykro. Tymczasem przedstawiam wam nową patronkę fundacji, panią Modlińską – dodał na jednym oddechu.

Wyciągnął dłoń ponad głowami zgromadzonych.

Wszystkie odwróciły się jak na komendę. Zmieszana Ewa skłoniła się uprzejmie.

– Dzień dobry – powiedziała.

Rozległ się pomruk zbiorowego powitania.

Mecenas wręczył papiery jednemu z chłopców.

– Wybierzcie komitet stypendialny, a my z panią Ewą dołączymy do was później. Tylko bez kłótni. Pamiętajcie, jesteście najzdolniejszą młodzieżą w tym mieście.

Przecisnął się przez grupę.

– Zostawmy ich samych, dadzą sobie radę – szepnął Ewie do ucha.

Pożegnał ich harmider, który wybuchł ze zdwojoną siłą.

Przed kamienicą lekko oszołomiona Ewa z ulgą rozejrzała się po cichej uliczce.

– Zachowują się jak banda pawianów – mruknął zmartwiony Dąbrowa.

– Co się stało?

– Oszczędności, cięcia, kryzys. Komisja z Brukseli obarczyła naszą fundację odpowiedzialnością, przyznając dotację grupową zamiast indywidualnych stypendiów. Moja wina, bo pozostawiłem prawną furtkę dla takiego rozwiązania. I skutek jest taki, że jedna trzecia tych dzieciaków nie pojedzie na wymarzone studia do Europy. Niech to diabli! Żal mi ich, ciężko pracowały – podsumował i zmienił temat. – Tam jest moja kancelaria, mam świetną kawę.

– Ile brakuje? – zapytała Ewa.

– Dużo. Sześćdziesiąt tysięcy.

– Złotych?

– Euro. Idiota ze mnie, nie powinienem do tego dopuścić. Teraz pokłócą się, pozrywają przyjaźnie... Fatalnie!

– Znajdźmy zatem te pieniądze – podsunęła.

– Łatwo powiedzieć!

– W majątku Zofii. Zna pan jego stan.

Adam aż przystanął, ale zaraz pokręcił głową.

– Nie ma takiej gotówki na kontach...

– Ziemia jest wprawdzie wydzierżawiona, ale widziałam w papierach, że są jeszcze działki budowlane. Pamiętam, jak Zofia narzekała, że z nimi tylko kłopot. No i antyki z dworku. Z tym pójdzie najszybciej, prawda?

– Fundacja działa trochę inaczej... – zaprotestował Adam.

– To zmienmy zasady działania.

– Dzieciaki głośno krzyczały, rodzice też. Zrobiło to na pani wrażenie, ale to nie jest decyzja, którą podejmuje się pod wpływem emocji. Wyprzeda pani majątek i co potem?

Ewa ujęła go pod ramię.

– Wciąż jestem zaproszona na tę kawę? – zapytała z przekornym uśmiechem. –

Proszę głęboko oddychać, to pomaga. Aha, i jestem Ewa. Tak będzie prościej.

– Adam.

– Bardzo mi miło. Obejrzałeś już nagranie?

– Owszem. Mocna rzecz.

– Tylko tyle? – Ewa z trudem ukryła rozczarowanie.

– Jej opowieść jest niezwykle ciekawa – odparł Adam po chwili zastanowienia. –

Ale to zaledwie poszlaki, podejrzenia. Co z nich wynika? Nie miałbym pojęcia, od czego zacząć.

– Jest więcej tropów – powiedziała Ewa spokojnie. – Masz mleko do tej kawy?

Kilka minut później siedziała w kancelarii z filiżanką aromatycznego naparu w rękę i patrzyła na przeszkloną bibliotekę w biedermeierowskim stylu. Na jednej z półek stała srebrna statuetka jeźdźca na koniu.

Z zaplecza wrócił Adam. Dźwigał dwa grube segregatory.

– Oto cała księgowość fundacji – oznajmił. – I majątku pani Zofii.

Ewa podeszła do półki.

– „Pierwsze miejsce w konkursie ujeżdżania” – odczytała napis pod statueta. – No tak... „Jeździłem trochę, w dzieciństwie” – zauważyła złośliwie.

Adam odłożył skoroszyty na biurko.

– Byłem wtedy studentem – mruknął usprawiedliwiająco.

Pokiwała głową z udawanym zrozumieniem.

– Aha, genialne dziecko. Niech zgadnę. Aplikowałeś jako jedenastolatek?

– Przepraszam. Nie lubię się chwalić. – Rozłożył ręce.

– Wystarczyło powiedzieć: tak, jeżdżę. W ten sposób manipuluje się ludźmi.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Usiądziemy? – zaproponował Adam. – Mamy do omówienia jeszcze jeden problem.

Ewa wróciła na fotel. Statuetkę postawiła na stoliku.

– Problem?

Adam usadowił się naprzeciwko.

– Obawiam się, że ktoś od Lusi wykradł dokumentację medyczną Zofii.

Z sanatorium.

– Ktoś?

– Jest w waszej rodzinie jakiś Damian?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– No to podał fałszywe imię. Ukradł papiery z archiwum.

– Co może w nich być?

– Szczegółów nie znam. Ale wiem, że Zofia leczyła się z nerwicy.

Ewa wzruszyła ramionami.

– Wielu ludzi cierpi na nerwice...

– To jest poważna sprawa – powiedział Adam z naciskiem. – Do sądu nie idzie się po sprawiedliwość, tylko po wyrok. W rękach dobrego adwokata, ze zblatowanym psychiatrą, dokumentacja Zofii może oznaczać rozstrzygnięcie unieważniające testament.

Ewa spojrzała poważnie, ale po sekundzie się uśmiechnęła.

– „Zblatowany psychiatra”? To termin prawniczy?

– Między zdrowiem psychicznym a chorobą jest cienka linia. Może ją wyznaczyć dowolny lekarz. A zwłaszcza taki, z którym dogada się Lusja. Zresztą według psychiatrów wszyscy jesteśmy chorzy...

O ludzkim życiu rozstrzygają iluzje w głowach innych, a nie prawda!, zirytowała się Ewa w przyptywie gniewu.

– Babcia Zofia była najzdrowszą osobą, jaką w życiu spotkałam – powiedziała głośno. – Mnóstwo ludzi o tym zaświadczy. Widziałeś przecież film.

Adam spróbował się uśmiechnąć.

– To ma być dowód zdrowia?

Ewa zachnęła się, ale opanowała irytację.

– Rozmawiałam dziś z moim dawnym profesorem, historykiem sztuki. Kilka lat temu natrafił on na ślad skarbu bizantyjskich władców. I Krzysztofa Ossolińskiego, zaprzyjaźnionego z ostatnim cesarzem z Paleologów. Być może to legenda, ale fascynująca. Chodzi o talizmany Apoloniusza z Tiany, wykonane w pierwszym wieku naszej ery, ze złota i drogich kamieni. Więc jeśli Zofia zostanie uznana za wariatkę, to on też.

Adam pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Chcesz szukać skarbów?

– Czy przypadkiem nie obiecałeś Zofii, że będziesz mi pomagał? – odpowiedziała pytaniem. – We wszystkich sprawach?

– Prawniczych – sprostował.

– I innych. To twoje słowa.

– No tak... Ale skarb cesarzy Bizancjum?

Zapadła cisza. Adam nie wytrzymał rozczarowanego spojrzenia Ewy. Wziął statuetkę jeźdźca, zaniósł ją do biblioteki i ustawił na półce. Potrzebował czasu, aby przemyśleć następne słowa. Ewa obserwowała go uważnie. Odwrócił się do niej, chciał coś powiedzieć, lecz nagle widok na ulicy przykuł jego uwagę. Podeszedł do okna, wyjrzał przez nie.

– Przepraszam cię na chwilę – powiedział stłumionym głosem i wybiegł z kancelarii.

Zaskoczona Ewa siedziała parę sekund z filiżanką kawy zawieszoną w powietrzu. Postawiła ją na stoliku, wstała i podeszła do okna. Kancelaria mieściła się na pierwszym piętrze, dobrze było stąd widać ulicę.

W stronę kamienicy szedł czterdziestoparoletni mężczyzna pod rękę z młodszą o dziesięć lat kobietą. Ubranie i pewny siebie wyraz twarzy mężczyzny mówiły o zamożności. Kobieta była ładna i zgrabna, ale mowa jej ciała nakazywała trzymać się z daleka. Adam przed bramą bez ruchu patrzył na zbliżającą się parę.

Oni dostrzegli go z daleka, zawahali się i zwolnili. Mężczyzna powiedział coś do kobiety, ona uśmiechnęła się zadowolona, potem oboje poszli dalej. Kilkanaście metrów przed Adamem skręcili w boczną ulicę.

W torebce Ewy zadzwonił telefon.

– Halo?

– Bardzo cię przepraszam, ale muszę porozmawiać z żoną – usłyszała głos Adama.

– Jak to? Teraz?

– Niestety, to nie może czekać. Zadzwoń później. Na razie.

Ewa ponownie wyjrzała przez okno, zobaczyła, że Adam znika w tej samej uliczce, co tamta para. On ich śledzi!, zorientowała się.

– Bałwan! – mruknęła rozczarowana.

Za jej plecami rozległ się kobiecy głos.

– Pan mecenas prosił, żeby przejrzała pani te księgi...

Sekretarka była młoda i zmieszana. Nerwowo poprawiła okulary. Zapewne też widziała scenę pod oknem.

– Niech sam sobie ogląda – rzuciła Ewa, ruszając do drzwi. – Do widzenia pani. Czy pan mecenas jest szczęśliwie żonaty? – zapytała lekkim tonem, przystając w progu.

– Tak. To znaczy nie. – Płatała się dziewczyna. – Są w separacji. Ale proszę nie mówić, że wie to pani ode mnie...

– A powie mi pani coś więcej? Muszę znać mojego prawnika. Zwłaszcza jeśli zachowuje się jak wariat.

Oczy sekretarki posmutniały. Z okrągłą twarzą i krótkimi włosami przypominała zagubionego kota.

– Bardzo kocha żonę. Niestety – powiedziała.

– Aha. To dobrze – stwierdziła cierpko Ewa. Dotarło do niej, że sekretarka jest zakochana w swoim szefie. – Świetnie, coraz lepiej! – mruknęła pod nosem, nie ukrywając irytacji.

Cofnęła się do gabinetu, podniosła segregatory.

– Nie może pani ich zabrać! – zaprotestowała dziewczyna.

Ewa bezceremonialnie odsunęła ją na bok.

– To moja fundacja – oznajmiła zimno. – I mój majątek. Dokumenty są mi potrzebne, bo zamierzam zmienić prezesa. I kancelarię prawną. Może pani poinformować o tym pana Dąbrowę.

Trzasnęła drzwiami i ruszyła w dół po schodach, nie zdając sobie sprawy, że łomoce butami jak żandarm. Czuła upokorzenie i wściekłość. Jak mogła zaufać nieznanemu mężczyźnie?!

Idiotyczne były jej wizje przyjaźni, a nawet romansu. Czytała w spojrzeniach Adama treści, które pragnęła ujrzeć. Była nieuleczalną idiotką. A mecenas kolejnym samcem, uwodzicielskim, gdy tylko nadarza się okazja! Prowincjonalny Don Juan, niepotrafiący utrzymać przy sobie żony! Do tego ośmieszający się publicznie.

Chyba upadła na głowę, że przez moment zobaczyła w nim prawdziwego faceta! Widocznie rozczarowanie Rafałem pozostawiło głód, który próbowała zaspokoić zbyt szybko. Dobrze, że obudziła się w porę. Dlaczego nie jest jedną z kobiet, które po nieudanym związku długo pozostają w celibacie? Jest tak głupia i pusta? Czy aż tak nieszczęśliwa?

Druga Ewa milczała uparcie.

Po południu tego samego dnia, w miejskiej komendzie policji, u inspektora i naczelnika Kolasy stawili się dwaj mówiący po polsku Włosi. Starszy przedstawił się jako Federico, młodszy jako Marco. Obaj nosili nazwisko Farnese. Przybyli w sprawie zatrzymanego kuzyna Giovanniego, umieszczonego w areszcie. W związku z podejrzeniem o czynną napaść na kobietę w toalecie sądu mieszczącego się w pałacu Zamoyskich.

Starszy Włoch przedstawił dokument, który według jego słów miał rzucić światło na osobę aresztowanego.

Inspektor Kolasa od początku nie ukrywał wrogiego nastawienia. Przyjrzał się opatrzonemu pieczęciami papierowi.

– Nie mówię po włosku – stwierdził sucho.

– To świadectwo weneckiego lekarza – wyjaśnił ze śpiewnym akcentem Federico.

– Tu jest napisane, że mój bratanek może się zrobić niepoczytalny. Z powodu ataku alergii.

– Alergia sprawiła, że próbowałem zgwałcić kobietę w pałacowej toalecie? – zapytał ponuro inspektor.

– Pałacowej? – zdziwił się Włoch i spojrzał na Marca, jakby chciał powołać go na świadka. – On nie jest do tego zdolny. Nie tylko jest niepoczytalny, to całkowity impotent. Może ma pan inspektor alergika w rodzinie?

Kolasa zamyślił się. Medyczne dowody zawsze robiły na nim wrażenie. W swojej trzydziestoletniej karierze nieraz spotykał się z ludźmi chorymi psychicznie, którzy dopuszczali się przestępstw pod wpływem głosów lub w stanach podwójnej osobowości.

– Cioteczny kuzyn szwagra żony ma nietolerancję na wódkę – powiedział po chwili.

– No właśnie! – podchwycił Federico. – Jak się wtedy zachowuje?

– Odpala mu totalnie – przyznał inspektor. – Strach podejść. Ale nie rzuca się na kobiety.

Senior rodu Farnese rozłożył ręce.

– Każdy reaguje indywidualnie.

Spojrzał na Marca, który skwapliwie przytaknął.

Kolasa zmierzył obu spojrzeniem.

– Wasz człowiek był trzeźwy jak świnia – powiedział twardo.

– Przepraszam, jak kto? – zainteresował się Marco.

Też miał śpiewny akcent, jak z włoskiej opery.

– Tak się mówi w Polsce – wyjaśnił Kolasa.

Federico pokiwał głową ze zrozumieniem.

– U nas mówi się: pijany jak świnia. Ale Giovanni jest uczulony na osy, pszczoły i pająki. I na wiele składników żywności. To ciężki alergik. Na pewno coś go ugryzło. Bardzo mu przykro z powodu tej kobiety.

Inspektor zamyślił się ponownie, zgodnie z wypróbowaną od lat metodą. Im więcej milczenia podczas przesłuchań, tym bardziej denerwują się podejrzani. I tym więcej popełniają błędów.

– No, nie wiem – powiedział wreszcie. – Ofiara domaga się prokuratora.

– Przecież to Giovanni doznał obrażeń – zauważył Marco. – Po uderzeniach w głowę. I w krocze.

– Ta kobieta działała w samoobronie – stwierdził inspektor. I dodał, z odcieniem dumy: – Została przeszkolona przez męża.

– Jesteśmy gotowi zrekompensować jej straty moralne – zaproponował Federico. – Jeśli wycofa oskarżenie.

Marco, który lepiej zrozumiał ostatnie słowa, spojrział na policjanta z niepokojem.

– Czy napadnięta należy do rodziny pana inspektora? – zapytał ostrożnie.

Kolasa przytaknął z zadowoleniem.

– Jak bliskiej? – zapytał Federico.

– To moja żona.

W ciszy, która zapadła, Kolasa przyglądał się obu mężczyznom jak orzeł samotnym jagniętom.

Włosi spojrzeli po sobie. Federico skinął głową na znak, że przejmuje dalsze negocjacje. Marco wstał z krzesła.

– To ja zaczekam w samochodzie – powiedział. – Do widzenia, panie inspektorze.

Uklonił się i wyszedł.

Federico i Kolasa przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Jak pan myśli, na jaką sumę mogłaby wyrazić zgodę żona pana inspektora?

Oczywiście w ramach ugody – zapytał Włoch.

– Dobrze pan mówi po polsku.

– Nasze narody są podobne do siebie w wielu kwestiach – zauważył Federico.

– To prawda. Weźmy choćby papieża Polaka – zgodził się inspektor.

Platforma porozumienia została ustalona.

Pół godziny później z budynku miejskiej komendy policji wyszli Giovanni i Federico. Giovanni miał na głowie bandaż, był blady i zestresowany. Marco czekał na nich w jaguarze na parkingu.

Stary Włoch zajął miejsce obok kierowcy, Giovanni usiadł z tyłu.

– Dziękuję, wuju – powiedział cicho. – Myślałem, że wyślą mnie do jakiegoś obozu.

– Przydałoby się – mruknął Federico.

Marco pokiwał głową z satysfakcją.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– Do banku – odparł Federico. – Po pieniądze na ugodę. Znajdź oddział Pekao S.A. Do niedawna należał do Włochów. Mamy tam konta.

Marco wpukał w GPS znaleziony w sieci adres. Uruchomił silnik i wyjechał z parkingu.

– Mam dość Polski – oświadczył Giovanni.

– Bo nie udało ci się zgwałcić tej kobiety? – zapytał Federico.

– To nie tak. Ona znalazła się tam zupełnie niepotrzebnie. Musiałem się gdzieś schować przed Ewą i tym profesorem.

– Brawo, brawo! – Federico złożył dłonie jak do oklasków. – Znikłeś po cichu! Nikt o nas nie wie, nikt nie słyszał. Nie licząc całej polskiej policji.

– To był wypadek – mruknął Giovanni.

– Wiesz, ile twój wypadek będzie nas kosztował?

– No ile?

– Spróbuj zgwałcić żonę Berlusconiego, to się dowiesz.

Jaguar wjechał w ulicę prowadzącą na Starówkę. Marco zdusił śmiech.

– To była żona polskiego premiera? – Giovanni patrzył na wuja szeroko otwartymi oczami.

– Znacznie gorzej – odparł Federico. – Poza tym polski premier jest kobietą. Coś cię bawi, Marco?

– Skądże, wuju.

– Pokryjecie ugodę z waszych kont.

Marco spowaźniał.

– Ja mam płacić?

Federico spojrzał na niego ciężkim wzrokiem.

– Do banku, Marco! – polecił. – Teraz już możesz się śmiać.

Jaguar zaparkował pod murami Starego Miasta.

Trzej Włosi wysiedli i pomaszzerowali ulicą między piętrowymi kamieniczkami. W ponurym milczeniu weszli do banku. Wyszli z po półgodzinie, ruszyli w stronę rynku. Najstarszy trzymał pokaźnych rozmiarów kopertę.

– Dokąd idziemy? – zapytał Marco.

– Do kwaciarni – odparł Federico i zwrócił się do Giovanniego. – Kupisz sto róż i zanieziesz tej kobiecie, razem z pieniędzmi. I będziesz bardzo, ale to bardzo miły!

Giovanni skrzywił się z niechęcią.

– Nie wystarczy, że babsztyl dostanie za nic dziesięć tysięcy euro?

Federico przystanął.

– Wolisz spędzić kilka lat w polskim więzieniu?

– Może przeszłyby ci alergię – zakpił Marco.

Giovanni odwrócił się do niego błyskawicznie, gotów do bójki.

– Spokój! – warknął Federico.

Za rynkiem skręcili w zaułek, przy którym znajdowała się kwaciarnia o nazwie „Renesansowa”. Giovanni posłusznie kupił setkę róż w różnych kolorach.

– Idziesz załatwić sprawę z żoną inspektora – powiedział łagodniej Federico. – A potem wracamy do pracy.

8.

Poranek następnego dnia zaczął się od przelotnego deszczu, ale potem wiatr przegnał chmury i w mokrych liściach parku zaśnięło słońce. Na piętrze dworku otworzyły się dwa okna, pojawiły się w nich Ewa i Iza, obie ubrane w nocne koszulki.

Iza była uśmiechnięta. Dla niej każdy dzień był początkiem przygody, wszystkie kolory, dźwięki i zapachy świata zadziwiały i zachwycały.

Ewa późno wróciła z Zamościa i źle spała po wydarzeniu z nagle ujawnioną żoną Adama. Przewracając się z boku na bok, powtarzała to, co zapamiętała z lektur na temat psychopatów. Ich półkule mózgowie mieszają zadania, a odpowiedzialne za emocje ciało migdałowate w środku mózgu jest wyłączone.

Dlatego tacy jak Adam manipulują kobietami, nie odczuwając przy tym wyrzutów sumienia. Rozsądek podpowiadał, że mecenas nie zadeklarował żadnych uczuć, jednak o drugiej w nocy nie słucha się rozsądku.

Niewyspana i rozdrażniona Ewa mrużyła oczy osłepione nisko wiszącym natrętnym słońcem.

– Ale cudnie! – zawołała Iza. – Patrz, królik! – Wskazała palcem na gazon i skaczącą po nim białą figurkę.

Spomiędzy drzew wyłonił się niespodzianie Maurycy Podrecki z teczką w dłoni, a spłoszony królik dał nogę. Na widok sylwetek w oknach kustosz zatrzymał się i uklonił.

– Pomyłka. – Skrzywiła się Iza. – To skunks.

– Jest przydatny Bądź miła. – Ewa podniosła dłoń w geście powitania.

Dziewczyna przyłożyła do ust zwinięte w trąbkę dłonie.

– Dzień dobry, drogi panie kustoszu! – zawołała. – Cudownie, że pan wpadł! Zapraszamy na śniadanko! Śnił mi się pan w nocy, proszę zgadnąć jak!

Podrecki ruszył w stronę dworku.

– Wolę nie wiedzieć, ty mała żmijo! – mruknął pod nosem.

Iza wychyliła się mocniej, spojrzała na ciotkę.

– Spałam, kiedy wróciłaś – zagadnęła półgłosem. – Nie opowiedziałaś mi, co z Adamem. Było wspaniale?

– To taki sam osioł, jak wszyscy – odparła Ewa, siląc się na spokój. Nie zamierzała ciągnąć tematu. – Pusto tu strasznie bez Zofii...

– No – przyznała dziewczyna. – Babcia była jak cztery osoby naraz. Nigdy się przy niej nie nudziłam.

– Ona jest z nami, czuję to. Podobno dusza wędruje przez siedem tygodni, zanim się odrodzi. W tym czasie widzi całe swoje życie i towarzyszy bliskim.

– Podoba mi się! – Uśmiechnęła się Iza. – Babcia Zofia jako niemowlę! Da popalić nowej rodzinie.

Słońce podniosło się ponad dęby, grzało coraz mocniej. Ewa i Podrecki siedzieli na werandzie, popijając kawę ze śmietanką. Podczas śniadania, które składało się z jajecznicy i grzanek z masłem, kustosz rozwodził się nad faktem, że jego mercedes wymagał naprawy, ale on nie chciał zawieść szanownej pani gospodyni. Dlatego przyjechał autobusem i przeszedł dwa kilometry pieszo.

– Panie pozwolą, że zapalę? – zapytał, kiedy na werandę wróciła Iza.

– Jeśli pan musi... Ale z wiatrem – odparła dziewczyna, wskazując mu wolny fotel po przeciwnej stronie stołu.

Kustosz przesiadł się posłusznie. Z kieszeni marynarki wyciągnął srebrną papierośnicę.

– Zamieniam się w słuch – oświadczył z powagą, wypuszczając kłęb niebieskiego dymu z cygaretki.

Iza z niedowierzaniem spojrzała na ciotkę.

– Ty go zaprosiłaś? – zapytała szeptem. – Myślałam, że przyła... przyszedł sam z siebie.

Ewa nakazała jej wzrokiem milczenie.

– Mam dla pana propozycję – zwróciła się do kustosza.

– Mogę zgadywać? Razem odnajdziemy skarb Krzyżtoporu?

– Trafił pan – przyznała.

Podrecki ukrył ekscytację za obłokiem dymu. Włosi nie pomylili się, stwierdził z satysfakcją. Ta kobieta doprowadzi ich do celu. Sama się o to prosi. Wzdrygnął się na myśl, co ją spotka, kiedy znajdą talizmany. Rodzina Farnese nie będzie chciała się podzielić skarbem. To jednak nie jego zmartwienie. On ma obiecane udziały i wie, jak się zabezpieczyć.

– Ale na moich warunkach – powiedział z naciskiem po chwili milczenia.

Iza obserwowała z niechęcią grę emocji na jego twarzy.

– A to niby dlaczego? – zawołała. – Bez nagrania babci Zosi nie wiedzielibyśmy niczego. A już na pewno nie pan! Skarb jest nasz, rodziny Solonów!

– Iza, zaczekaj... – Próbowała powstrzymać ją Ewa.

– Na co? Chyba słyszysz, co on mówi!

– Jeśli pozwolisz, wytłumaczę – zaczął Podrecki.

– Nie jesteśmy na ty! Już panu mówiłam! – parsknęła dziewczyna.

Kustosz wykonał ruch, jakby chciał się podnieść.

– Przepraszam, ale w takiej atmosferze...

Ewa chwyciła go za ramię i posadziła z powrotem.

– Bardzo pana proszę – powiedziała z naciskiem. – Natychmiast dasz panu Podreckiemu spokój! – zwróciła się do Izy.

– Okej, ciotka. – Dziewczyna pojednawczo podniosła dłonie. – Ale nie zmieni się pająka w księcia...

Kustosz pokręcił głową z miną dorosłego, który darowuje wybryk dziecku.

– Mógłbym powiedzieć, że skarb na pewno nie należy do Solonów. – Spojrzał na Ewę poważnie. – Tak jak Krzyżtopór nie jest częścią majątku nieboszczki. Ale nie chcę się kłócić.

– Cóż, ma pan rację. Mimo to poszukam talizmanów Apoloniusza. Z ciekawości historyka sztuki, a nie z chęci zysku.

– Jasne. Znalazcy należy się dziesięć procent? – zapytał. – To bardzo mało.

– Co panu chodzi po głowie?

Podrecki, który tę część wystąpienia przygotował starannie, odpowiedział bez

wahania.

– Zostańmy miliardermi. Pani, ja. I nawet panna Iza. – Kupimy sobie po wyspie i będziemy się opalać. Oczywiście na innych półkulach, panno Izabello.

– Mam pan na myśli te ziemskie czy swój tyłek?

Podrecki zignorował zaczepkę Izy.

– Zostawmy sprawę zysków na potem – zaproponował ugodowo. – Skupmy się lepiej na tropach do skarbu. Wspólnicy?

Przełożył cygaretkę do lewej dłoni, prawą wyciągnął do Ewy. Zawahała się, ale podała mu rękę.

Iza wskazała na swoje oczy i uszy.

– Jestem tu, widzę i słyszę – ostrzegła. – Proszę nie próbować żadnych numerów!

– Naturalnie, panienko – zgodził się kustosz. – A teraz do konkretów.

Przygasił cygaretkę o podeszwę, schował do papierošnicy. Otworzył teczkę i z namaszczeniem wyłożył na blat stołu stare papiery. Starannie rozpostarł pierwszy, zapisany gotykiem, z ryciną.

– Po upadku Konstantynopola, czyli po roku tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim, kardynał Bessarion ułożył dla cesarskiego rodu Paleologów horoskop – zaczął belferskim tonem. – Bessarion był uczonym mnichem z Konstantynopola, wysłannikiem cesarza Bizancjum do Florencji. Negocjował unię kościołów Wschodu i Zachodu, która miała uratować ginące pod naporem Turków cesarstwo. Niestety, nie doszło do niej. Bessarion pozostał we Włoszech, otrzymał od papieża kardynalski kapelusz. Jego horoskopy w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku przełożył na niemiecki niejaki Rudolf Zimmer i ogłosił je na łamach „Zeitschrift für Byzantinistik”. Właśnie na nie patrzymy.

– Co to ma wspólnego z Krzyżtoporem? – Zniecierpliwiła się Iza.

– Zapewne chodzi o datę rozpoczęcia budowy pałacu – zgadła Ewa.

– Brawo! – pochwalił Podrecki. – Ale nie tylko o nią. Również o coś znacznie bardziej precyzyjnego. O miejsce ukrycia skarbu. – Przełożył papiery, wskazał palcem na tabelę. – Bessarion wyznaczył daty wielkich wydarzeń dla rodu Paleologów. Tutaj, proszę. Lata tysiąc sześćset trzydzieści jeden, siedemset dwadzieścia sześć, osiemset dziesięć, dziewięćset siedemnaście i... – zawiesił efektownie głos. – Dwa tysiące szesnaście!

Ewa poczuła dreszczyk emocji. Zupełnie jak w chwili, gdy zobaczyła łuskę na pancerzu Ossolińskiego.

– Jak pan na to wpadł?

– Mówiłem już, że pani Zofia nie była jedyną depozytariuszką tajemnicy.

– Kim? – Nie zrozumiała Iza.

– Strażniczką – wyjaśniła Ewa.

– Interesowałem się talizmanami Apoloniusza, jeszcze zanim ją poznałem – dodał z dumą kustosz.

– To stąd ta nagła przyjaźń z babcią... – Iza spojrzała na niego z niechęcią.

– Oczywiście. Wspólnota zainteresowań. – Pogodnie przytaknął Podrecki. – Pozwoli pani, że będę kontynuował? Otóż potomkowie jednego z weneckich dożów

wykradli tekst Bessariona. Nie zapobiegli jednak wywiezieniu talizmanów cesarzy. Moim zdaniem stało się to w roku tysiąc sześćset trzydziestym pierwszym. Intensywnie ich jednak poszukiwali w następnych stuleciach.

– Aż do dziś – westchnęła Ewa. – Stąd te dziwne powroty portretu Ossolińskiego. Zna pan tych ludzi?

– Ależ skąd! – zaprzeczył gładko kustosz. – I wolałbym ich nie poznawać. Są z pewnością bezwzględni i okrutni.

– Niby skąd pan to wie? – zapytała nieufnie Iza.

– W poprzednich wiekach, niestety, ginęli ludzie. Kiedy potomkowie doży wyruszali na poszukiwanie talizmanów – powiedział ponuro Podrecki. – Pani Zofia na przykład opowiedziała mi o tajemniczej śmierci waszego pradziadka. We Włoszech, po pierwszej wojnie. – Postukał palcem w dokument. – Trzecia data Bessariona. Tysiąc dziewięćset siedemnaście.

Powiedziawszy to, kustosz zapatrzył się w papiery i zamilkł zamyślony.

Ewa potrzebowała chwili, żeby uporządkować jego rewelacje. Wizja odnalezienia talizmanów była podniecająca, ale mało prawdopodobna. Nagle, po latach odejścia od zawodu miałabym stać się słynną historyczką sztuki?, pomyślała sceptycznie. Jeliński ma rację, muszę zachować spokój i rozwagę. Kustosz może być zwykłym maniakiem, jakich pełno wokół tajemnic przeszłości.

Mimo to miała ochotę przyjrzeć się bliżej jego teorii. To na pewno ciekawsze zajęcie od myślenia o mężczyznach.

– Uważa pan, że należy poszukać astrologicznego klucza? – zapytała. – Horoskopu skarbu?

Przytaknął z uroczystą miną.

– Ma pan pomysł, gdzie go znaleźć?

Kustosz rozłożył ręce.

– Czyli nic pan nie wie! – parsknęła Iza. – Myśli pan, że to Ewa poszuka klucza, bo się zna na historii sztuki. A pan zgarnie skarb i kupi sobie wyspę! Podoba mi się ten plan.

– Spokojnie – powiedziała Ewa. – Nie znam się na astrologii ani na horoskopach.

– To co robimy? – spytała rozczarowana dziewczyna.

Ewa nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Jej cioteczna bratanica przeskakiwała od irytacji przez nadzieję do zawodu z łatwością hasającego po wybiegu żrebaka.

Maurycy Podrecki otworzył usta, by coś powiedzieć, ale przeszkodził mu odgłos końskich kopyt.

Przez bramę wjechała bryczka zaprzężona w kłusaka. Powoził nią mocno zbudowany siwy mężczyzna po sześćdziesiątce. Zatrzymał konia przed werandą, zeskokczył i wszedł po schodkach. Ściągnięta twarz, podkrążone oczy i głębokie bruzdy wokół ust świadczyły o bezsennej nocy.

– No proszę, pan koniuszy! – mruknął z niechęcią kustosz. – Nie boi się pan spojrzeć w oczy nowej gospodyni?

– Dzień dobry, Stanisławie. – Ewa objęła przybysza. – Dobrze się czujesz?

– Dzień dobry, Ewuniu.

– Nie było cię na pogrzebie.

– Ano nie było. Kiedy pani umarła, naszła mnie taka gorączka, jak w malignie!
Z żalości.

Otarł oczy rękawem.

Ewa przytuliła go mocniej.

– Proszę dać spokój, bo się rozkleję – zaprotestował bez przekonania.

Podrecki przyglądał się tej scenie z ironicznym uśmiechem.

– Napijesz się z nami kawy? – zaproponowała Ewa. – Czy może czegoś mocniejszego?

Stajenny wskazał na bryczkę.

– Nic mocniejszego nie mogę.

– Ech, Stanisławie, Stanisławie... – Kustosz pokiwał głową. – Szkoda pani Zofii, nieprawdaż? Mogłaby sobie jeszcze pożyczyć, gdyby nie jedna jazda za dużo.

Stanisław spojrział na niego z niechęcią.

– Pozwolisz na słówko? – zwrócił się do Ewy. – Na osobności.

– Oczywiście. Zapraszam do środka.

Weszli oboje do domu. Iza opadła na fotel.

– Jest pan tu bardzo lubiany – zauważyła zgryźliwie.

Podrecki wrzucił ramionami i podniósł filiżankę.

– Cwaniak z tego Stanisława – powiedział. – Udaje, że nie wie, o co chodzi. Tymczasem pani Zofia spadła z konia. Najpierw kontuzja, potem zapalenie płuc. To Stanisław podstawił jej konika, narowistego ogiera. Był przy wypadku, ale nie odwiózł Zofii do szpitala. A teraz gra idiotę. Cóż, boi się. Dobrze wie, że znam fakty. Ciekawe, kto mu zlecił wykończenie starszej pani? Założę się, że przekupili go ci Włosi!

W oczach stojącego naprzeciwko Ewy stajennego zaśniły łzy.

– To ja zabiłem panią Zofię – powiedział stłumionym głosem.

Ewa zadrżała.

– Zwariowałeś? Co ty mówisz!

– Pozwoliłem jej dosiąść Cezara. To dwulatek, młody ogier.

– Znam Cezara, jest narowisty, średnio ujeżdżony. Zofia z niego spadła? Umarła przecież w łóżku, na zapalenie płuc.

Stanisław przecząco pokręcił głową.

– To Cezar ją zabił. Ja ją zabiłem! Osiodłałem go, podstawiłem jej! Jak Judasz.

Ewa chwyciła go za rękę, pociągnęła w stronę stolika, posadziła na jednym z foteli, sama usiadła w drugim. Nie mogła zebrać myśli.

– Przestań! – zawołała. – Zabraniam ci tak mówić! Nawet myśleć! Założę się, że Zofia się uparła. A ty próbowałeś ją odwieść od tego pomysłu. Prawda, że tak było?

– Nie powinienem próbować, tylko zakazać! – odparł łamiącym się głosem stajenny.

– Nie urodził się taki, który zabroniłby babci czegokolwiek! – Ewa pogładziła go po ręce. – Opowiedz mi wszystko, minuta po minucie.

Stanisław zastanowił się przez chwilę.

– Może gdybyśmy nie spotkali tych ludzi, pani Zofia by się nie zdenerwowała. Wiesz, Ewuniu, jak konie wyczuwają nerwy jeźdźca. A już szczególnie te narowiste.

– Jakich ludzi?

– Z początku wszystko szło dobrze. Rozchodziliśmy konie na maneżu, pani Zofia chciała pojechać na spacer po okolicy. Ale dzień nie był do jazdy, zbierało się na burzę. Wyjechaliśmy na pola, ona na Cezarze, ja na twojej Auguście. Kłus, potem galop z dosiadem, normalnie. Byliśmy niedaleko pałacu. I wtedy pojawił się samochód, czarny jaguar. Nie powinno go tam być, na bitej drodze między polami. Jechał powoli, a pani Zofia skręciła w jego kierunku. Samochód zatrzymał się, wysiadł jakiś mężczyzna. Z daleka widziałem tylko, że ma siwy łeb. Rozmawiali chwilę z Zofią. I chyba się pokłócili, bo ona nagle zawróciła Cezara, zacięła go szpicrutą i odjechała galopem.

– Domyślam się, skąd przyjechał ten człowiek – powiedziała Ewa. – I w jakiej sprawie.

Stanisław spojrzał pytająco.

– Mów dalej – zachęciła go.

– Ruszyliśmy do domu, jaguar pojechał za nami. Pani Zofia zobaczyła to i skręciła do brzozonego zagajnika. Za szybko jechała. Gałęzie uderzały konie po głowach, a do tego zagrzmiało na burzę. Cezar spłoszył się, wyłamał, kiedy przeskakiwał przez rów z wodą. No i spadła.

– Nieraz jej się to zdarzało.

– Właśnie. Dała radę chwycić Cezara i wsiąść. Ale minę miała niewyraźną. Po powrocie do stajni poprosiłem, żeby pojechała do szpitala, prześwietlić się i zbadać. Usłyszałem, że to tylko potłuczenie i żebym dał jej spokój. Była nawet niegrzeczna, zupełnie nie jak ona, podenerwowana. Położyła się do łóżka, chyba zasnęła. Czekałem do późna. A następnego dnia, kiedy zobaczyłem, jaka jest blada, chciałem sprowadzić lekarza. I znów się nie zgodziła. Siedziała cały dzień w jakichś starych książkach. Wiem to od Zeni. – Głos uwiązał stajennemu w gardle. – W nocy dostała gorączki. I zapalenia płuc. Rano już jej nie było.

Ciszę, która zapadła, przerwała Ewa.

– Czasami wszystko dzieje się tak, jakby wypełniał się los – westchnęła smutno. – Tak było z moją matką. Wydawało się, że leki zadziałały, że wraca do zdrowia. A pewnej nocy obudziłam się z uczuciem, że zdarzy się coś złego. Zdążyłam tylko ją pocałować. Ale Zofia i moja mama wciąż istnieją, tyle że w innym wymiarze. Często odczuwam ich obecność. A w całym zdarzeniu nie ma cienia twojej winy. Dobrze, że mi opowiedziałeś.

– Dziękuję – powiedział cicho Stanisław.

– Chciałabym, żebyś nadal zajmował się końmi. Zgoda?

Oczy stajennego błysnęły.

– Oczywiście, Ewuniu. Bardzo się cieszę. Naprawdę przykro mi, że nie potrafiłem powstrzymać pani Zofii...

– Nie mówmy już o tym. Babcia umarła tak samo, jak żyła. Na swoich warunkach. Nikomu nie pozwala sobą kierować. Pozazdrościć charakteru, choć czasem bywała trudna. No i samotna.

– Żaden mężczyzna nie dałby jej rady.

– Raczej nie spotkała godnego siebie. To nieodosobniony przypadek, zapewniam cię. Dawniej kobiety były jak przedmioty, a mężczyźni brali nas bez pytania o naszą zgodę. Teraz jesteśmy wolne, ale nie ma już odpowiednich mężczyzn... Aha, i powiedz żonie, żeby wróciła do pracy. – Zmieniła temat Ewa. – Dzięki pieniądзом, które zostawiła Zofia, będę mogła wam obojgu wypłacać pensje.

Uspokojony Stanisław patrzył na nią z wdzięcznością.

– Dziękuję – powiedział. – Zenia będzie szczęśliwa. Prosiła, żebym się za nią wstawił. Bardzo jej przykro, że walnęła panią Lusię.

– Akurat to się mojej ciotce przydało. – Uśmiechnęła się Ewa.

Na tarasie Podrecki kręcił się niecierpliwie i spoglądał na zegarek.

– Coś długo ich nie ma – mruknął.

– Nie zatrzymuję pana – bąknęła Iza.

Kustosz wstał.

– Czy mogę skorzystać z toalety?

– Jeśli pan musi. Tylko proszę niczego nie ruszać.

Podrecki udał, że nie dosłyszał ostatniego zdania.

Wszedł do hallu, obejrzał się, sprawdził, czy dziewczyna pozostała na werandzie, po czym skręcił do salonu. Zamknął za sobą drzwi, rozejrzał się, podszedł do stołu i wdrapał się na blat. Z kieszeni marynarki wyjął niewielki przedmiot. Przyczepił go do żyrandola.

Na korytarzu rozległy się kroki. Podrecki zeskoczył zręcznie, przebiegł przez pokój i zniknął za drugimi drzwiami.

Iza, zwabiona podejrzanymi odgłosami, które dobiegły przez uchylone okno, zatrzymała się w progu.

– Co ty kombinujesz, skunksie? – mruknęła do siebie.

– Jest! Działa! – wykrzyknął z zadowoleniem Marco.

Trzej Włosi siedzieli wokół stolika z laptopem.

Na ekranie pojawiły się wykrzywione krótką optyką wewnątrz salonu i stojąca w drzwiach Iza. Dziewczyna wycofała się po chwili.

Marco nacisnął jeden z klawiszy i zobaczył na zbliżeniu twarz Maurycego, który w sypialni na piętrze właśnie kończył instalować kolejną kamerę.

– Bravo! – pochwalił Federico.

Kustosz zszedł z krzesła i wyszedł z pokoju.

– Co z pozostałymi? – zapytał Giovanni.

Marco ponownie przełączył ustawienia. Ekran podzielił się na sześć prostokątów. Każdy pokazywał co innego: pokoje na parterze i piętrze, kuchnię, korytarz i werandę.

Z głośnika dobiegł odgłos kroków i na werandzie pojawił się Podrecki. Spojrzał w obiektyw kamery i podniósł kciuk. Zaraz za nim wyszła Iza.

- Gdzie pan się podziewał? – rzuciła nieufnie. – Szukałam pana po całym domu.
 - Skorzystałem z łazienki na piętrze. – Kustosz usadowił się w wiklinowym fotelu.
 - Ta na dole była zamknięta.
 - Nieprawda. Ja do niej weszłam.
 - Podrecki wzruszył ramionami.
 - Widocznie klamka się zacięła. Czy nie jest panience obojętne, gdzie się wysikałem?
 - Ależ z pana cham! – parsknęła dziewczyna.
 - Kustosz roześmiał się głośno.
- Nic nie mogło popsuć mu humoru, gdy prawie cały dom został obstawiony kamerami z czułymi mikrofonami. Nie udało mu się wprawdzie dotrzeć do gabinetu Zofii, ale urządzenie na korytarzu powinno wystarczyć. Jeśli tylko drzwi nie będą szczelnie zamknięte.

9.

Nisko wiszące chmury okrywały lasy i pola ponurym całunem.

Wiatr szarpał włosami Ewy, przyginał do ziemi wysokie trawy pośrodku wielkiej łąki. W oddali Zofia podeszła do mężczyzny z siwą grzywą, stojącego obok jaguara. Pomimo odległości jego niski, ciężki głos był słyszalny doskonale.

– Złamano przysięgę. Klątwa ciąży nad tym miejscem. Jesteś z naszego rodu, pomożesz nam odnaleźć tajemnicę skarbu. Młodości i wiecznego życia.

Zofia milczała. Jej twarz była blada i nieruchoma.

Ewa odwróciła się i zobaczyła ogromną bryłę Krzyżtoporu. Wiatr gnał chmury nad poczerniałymi murami i wieżami. W półmroku, na tle bramy tkwił nieruchomo jeździec na koniu.

– Każdego, kto się nam sprzeciwi, dosięgnie zemsta – ciągnął mężczyzna.

Zofia zignorowała go, podeszła do jeźdźca. Koń ruszył jej na spotkanie.

Krzysztof Ossoliński miał na sobie błyszczący srebrem półpancerz i kaftan. Za nim podążał giermek, prowadząc za uzdę Cezara. Teraz Zofia miała na sobie długą renesansową suknię. Z pomocą giermka dosiadła ogiera.

Ossoliński patrzył wprost w oczy Ewy.

– Musisz strzec tajemnicy – wyszeptał. – Nawet za cenę życia.

Zofia i wojewoda ruszyli galopem, wprost na mężczyznę przy jaguarze. Tamten przypadł przestraszony do ziemi. Dwa rumaki potężnym skokiem przesadziły samochód i pognały przez rozległe pola w stronę ciemnego lasu.

Sypialnię wypełniało blade światło świtu. Ewa leżała na łóżku, przytomniejąc powoli. Otworzyła oczy i zobaczyła siedzącą na krześle, łagodnie uśmiechniętą Zofię. Słyszała jej głos, choć babka nie poruszała ustami.

– Miałaś ciekawy sen – mówiła Zofia. – W Zamościu jest plac. Sprzedasz go, to wystarczy na stypendia fundacji. Sprawdź w księgach. Zobacz, co dla ciebie przygotowałam.

Nie odwracając głowy, wskazała dłonią za siebie.

Ewa uniosła się na łokciu.

Pośrodku pokoju stały cztery talizmany Apoloniusza, lśniące od złota i drogich kamieni. Orzeł z wężem w szponach, wąż z lwią głową, feniks i słoń. Adam Dąbrowa, który nie wiadomo skąd znalazł się pomiędzy nimi w stroju cesarza Paleologa, z berłem i mieczem w dłoniach, patrzył poważnie. Czekał.

Zadowolona Zofia uśmiechnęła się.

– Odnajdziesz talizmany, odkryjesz tajemnicę młodości i wiecznego życia – szeptała. – Będziesz miała troje dzieci z cesarzem Adamem, następcą tronu. Będziecie żyć długo i szczęśliwie...

– Wstawaj, śpiochu! – zawołał młody głos.

Do łóżka Ewy, gwałtownie wyrwanej z pólśnu, wskoczyła z rozpędu Iza w pizanie. Roześmiana, przewróciła się na plecy.

– Boże! Zawału można dostać! – zawołała Ewa.

Dziewczyna chwyciła ją za ramię.

– Piękny dzień! Stanisław już czeka, żeby osiodłać ci Augustę. Pouczysz mnie jeździć? Proszę! Proszę!

Ewa przeciągnęła się rozkosznie.

– Miałam niesamowity sen – powiedziała.

– Mogę zgadnąć? Pan mecenas Adam zabrał cię do Konstantynopola. I zamieszkaliście w cesarskim pałacu.

– Nie wymądrzaj się! – bąknęła zdumiona Ewa. – Jadłś już śniadanie?

– Cały dzień chodziłaś zamyślona! – roześmiała się Iza. – Nietrudno zgadnąć, kto zawrócił ci w głowie...

Ewa wstała z łóżka, owinęła się prześcieradłem, usiadła przy stole. Przyjrzała się dwóm segregatorom.

– Co to takiego? – zainteresowała się Iza.

– Księgowość majątku. Zofia powiedziała mi, żebym znalazła jakiś plac w Zamościu.

– Kiedy?

– Kiedyś, przy okazji. – Ewa wolała nie wyjawiać, że usłyszała to we śnie.

Otworzyła jeden z segregatorów, zaczęła przeglądać papiery. Iza zdecydowanie nie miała ochoty jej towarzyszyć.

– Zenia czeka ze śniadaniem, lepiej z nią nie zaczynaj – ostrzegła.

– Później, później... – mruknęła skupiona Ewa.

Dziewczyna pokazała język, ale nic nie było w stanie zepsuć jej doskonałego nastroju.

– To szukaj swojego placu, ja idę do stajni – oznajmiła.

– Tylko poproś Stanisława o najlepiej ułożonego konia!

– Jasne, nudziaro. Pa!

Kroki Izy zadudniły na schodkach i zapadła cisza.

Ewa popatrzyła na właśnie otwarty akt własności placu i kamienicy w centrum Zamościa.

– Coś podobnego! – szepnęła do siebie. – Dziękuję, ciociu.

W ogrodzie ubrany w czarne kimono Giovanni walczył drewnianym mieczem z drzewami, wydając przy tym bojowe okrzyki. Federico i Marco siedzieli przed laptopem. Na ekranie widać było kuchnię w dworku, w której Zenia kończyła smażyć jajka, pokoje na parterze i sypialnie na piętrze. W jednej z nich pochylała się nad stołem Ewa.

– Jeśli nie zaczniesz szybciej działać, musimy się wtrącić – powiedział stary Włoch.

– To znaczy kiedy? – zapytał Marco.

– Dzisiaj.

Zenia z zastawioną tacą przeszła z kuchni do jadalni. Jednocześnie do sypialni weszła Iza i rzuciła z siebie piżamę. Naga podeszła do szafy, zaczęła wybierać ubranie. Marco wstrzymał oddech.

– Wyłącz to! – polecił Federico.

– Ależ wuju...!

– Wyłącz. Nie jesteśmy podglądaczami.

Zawiedziony Marco nacisnął jeden z klawiszy. Kuszący obraz znikł z ekranu.

– A jeśli ona... – zaczął.

– Ta dziewczyna nie znajdzie talizmanów – uciął Federico. – Nie myśl o niej.

Niedługo później Ewa wyjechała na Auguście.

Samotny spacer na ukochanej klaczy okazał się jedynym sposobem na niepokój, który nie opuszczał jej od chwili przyjazdu i odczytania testamentu. Spotkania z Adamem wywołały jeszcze większy zamęt w jej głowie.

Kłusem pokonała mały zagajnik za parkowym ogrodzeniem i ruszyła galopem przez otwarte pola. Pęd powietrza, rytmiczny ruch potężnego końskiego ciała i szybkość działały jak balsam. Wszystko inne stawało się nieważne, istniała tylko ta wyjątkowa chwila. Nieistotne, czy Adam okaże się narcyzem i czy ja zdecyduję się mieszkać na odludziu, przemknęło jej przez myśl. Każdy krok Augusty czyścił głowę z niepotrzebnych lęków.

Ścieżka między polami prowadziła na grzbiet niewielkiego wzniesienia. Ewa ściągnęła wodze, zwolniła bieg. Przed oczami miała potężne mury Krzyżtoporu. Przyozdobiony porannym słońcem pałac nie przypominał ponurej ruiny, zdawał się jaśnieć pełną świetnością. Jakby zapraszał, aby przeniknąć jego tajemnicę.

Po chwili zadumy popchnęła udami Augustę. Klacz posłusznie ruszyła kłusem. Zatrzymały się na moście przed pałacową bramą pałacu. Ewa zeskoczyła z siodła.

– Dzień dobry. – Podeszła do budki strażnika. – Czy pozwoli pan, że przywiążę tutaj konia? Chciałabym zwiedzić ruiny.

– Dzień dobry. Proszę bardzo – zgodził się z uśmiechem młody mężczyzna. – Wie pani, gdzie kupić bilet?

– Tak, dziękuję.

Minutę później Ewa szła powoli wzdłuż ściany wielkiej sali w prawym skrzydle. W dłoni trzymała fotografię, którą wywołała w Zamościu. Powiększenie oczyszczonej łuski na pancerzu Ossolińskiego. Z oknem, przez które widać było wieżę.

Starannie porównywała zdjęcie z widokiem ścian i okien. Na szczęście nikt jej nie przeszkadzał; o tej porze dnia pałac był pusty.

Przystanęła trzy metry od okna, w tym samym miejscu, w którym przed trzema wiekami musiał stać autor miniatury. Podeszła do ściany, przyjrzała się z bliska resztkom starego tynku. Miała wrażenie, że dostrzega zatarty fresk, zbyt zniszczony jednak, by można było domyślić się, co przedstawia.

Opuściła salę i zatrzymała się na dziedzińcu, między oknem a odwzorowaną na miniaturze wieżą. I nagle poczuła, że jest obserwowana. Rozejrzała się; dziedziniec był

pusty. Zmrużyła oczy, oślepiana promieniami słońca padającymi przez otwory po oknach w przeciwległym skrzydle Krzyżtoporu. Wysoko na murze dostrzegła zarys ciemnej sylwetki. Kiedy jednak spróbowała przyjrzeć się dokładniej, sylwetka znikła.

Ktoś mnie śledzi czy to tylko przywidzenie?, pomyślała z lękiem. Może człowiek na murze to upiór obudzony moim zainteresowaniem zakazaną tajemnicą talizmanów Apoloniusza?

Wzdrygnęła się, ale potem uśmiechnęła. Wypełniony światłem poranek nie przystawał do ponurych wizji.

Obejrzała uważnie pozostałe ściany, lecz na zniszczonym przez wieki murze nie dostrzegła żadnych rysunków ani znaków. Zniechęcona odwróciła się do bramy i ruszyła przed siebie. Kątem oka zauważyła pod stopą coś dziwnego.

Pod zdeptaną trawą ciemniał fragment kamiennej płyty.

Pochyliła się i spojrzała z bliska – na kamieniu widniały jakieś ryty. Sprawdziła, czy wciąż jest sama, i wyjęła z kieszeni scyzoryk. Ostrzem ostrożnie odsunęła darń.

Po chwili zamarła, poruszona wizerunkiem zatartego trochę Abraksasa. Wrażenie było tak silne, że straciła równowagę i usiadła na trawie, gapiąc się z szeroko otwartymi ustami.

Trzysta lat temu ktoś pozostawił ten ślad, czytelny wyłącznie dla wtajemniczonych. Tak aby nie zwracał niczyjej uwagi wśród wielu kamiennych płyt pokrytych innymi rysunkami. Żeby go odnaleźć, należało stanąć dokładnie pomiędzy oknem i wieżą z miniatury na portrecie. Tu, gdzie przypadkiem stanęła Ewa.

Z pewnością istnieją też inne tropy prowadzące do tego miejsca, pomyślała. Wizerunek Ossolińskiego mógł przecież zaginać...

Co oznacza Abraksas, jaką jest wskazówką, gdzie dalej iść i na co patrzeć? Rozejrzała się bezradnie, świadoma, że renesansowe kody składają się z wielu śladów i symboli. Równie dobrze mogła być blisko ukrytych talizmanów lub bardzo od nich daleko.

Podniecenie powoli opadało.

Wyjęła cyfrowy aparat, zrobiła kilka zdjęć rysunku na płycie, potem ściany budynku i wieży. Na ekranie aparatu znowu zarysowała się prześwietlona słońcem sylwetka wysoko na murze. Nacisnęła migawkę, świadoma, że słońce prześwietli kadr, potem spojrzała do góry. Mur był pusty. Może to samotny turysta, albo strażnik robiący obchód pałacu? Kucnęła i starannie nasunęła murawę na kamienną płytę. Abraxas znikł.

Kilkanaście minut później, zamyślona, jechała stępa. Młody strażnik powiedział jej przy pożegnaniu, że nikt poza nią nie wchodził do ruin. Ktoś mógł się przedostać przez mur obronny, od tyłu pałacu, tylko w jakim celu? Aby ją śledzić, pozostając niezauważonym?

Nie do końca mu się to udało, choć na zdjęciu nie było go widać. A może chciał, aby ona go dostrzegła i przestraszyła się. Niestety, doprowadziłam tego człowieka do Abraksasa, pomyślała z rezygnacją. Czy będzie potrafił wykorzystać ten trop? Może więcej wie o całym kodzie Ossolińskiego.

Klacz nieśpiesznie szła w stronę dworku, sama wybierając drogę. Zrobiło się znacznie cieplej, ponad łąkami uwijały się owady, wysoko śpiewał niewidoczny

skowronek. Augusta zatrzymywała się, skubała soczystą trawę i ruszała dalej.

W parkowej bramie Ewa podniosła głowę, przebudzona z zamyślenia odgłosem zbliżającego się samochodu.

Za kierownicą jeepa siedział Adam. A obok niego dziesięcioletnia dziewczynka.

W pierwszym odruchu Ewa chciała cofnąć Augustę, objechać park dookoła, dotrzeć do tylnej bramy obok stajni. Byłoby to jednak zachowanie nazbyt ostentacyjne. Mecenas Dąbrowa nie obraził jej przecież w żaden sposób, a jego życie osobiste nie było jej sprawą. Powstrzymała niechęć i ułożyła twarz do uprzejmego powitania.

Adam zaparkował, wysiadł z auta, podszedł. Dziewczynka z zainteresowaniem patrzyła przez szybę. Miała pociągłą ładną buzię, duże oczy i bujne blond włosy. Podobna do matki, skonstatowała Ewa.

– Dzień dobry. Próbowałem się dodzwonić... – Adam starał się ukryć zmieszanie.

– Nie zabieram komórki na jazdy – ucięła sucho.

– I słusznie. Jej dźwięk mógłby spłoszyć konia.

Oboje wiedzieli, że zdarzenie w Zamościu oddaliło ich od siebie. Ewa z satysfakcją odnotowała, że on czuje się z tym gorzej. Poczucie tej przewagi dodało jej pewności siebie. Wskazała na dziewczynkę.

– Przedstawisz mnie?

Adam skinął głową.

– To Kasia, moja córka. Kasiu, poznaj panią Ewę.

Mała wysiadła, podeszła do Augusty i zadarła głowę. Niebieskie oczy patrzyły z podziwem, ale i z przekorą.

– Tato pracuje dla pani?

– Dzień dobry, Kasiu. To jeszcze nie jest postanowione.

– Nie przeszkadzamy? – zapytał Adam.

Ewa chciała odpowiedzieć, że woli być sama, i zrobiłaby to, gdyby przyjechał bez dziecka. Może on zdawał sobie z tego sprawę i dlatego zabrał córkę?

– Odstawię Augustę do stajni – oznajmiła wreszcie. – Zaczekajcie na werandzie.

Popchnęła klacz udami i ruszyła kłusem.

Adam i Kasia wsiedli do jeepa.

– Podoba mi się – stwierdziła dziewczynka.

Silnik samochodu zawarczał.

– Uroda to nie wszystko.

– Ja nie mówiłam o urodzie.

Zaskoczony Adam spojrzął na córkę, wrzucił bieg i zajechał przed dworek. Augusta minęła właśnie werandę.

Z domu wyszła Zenia.

– Zdrowo tak jeździć bez śniadania? – zawołała.

– Zdrowiej niż po śniadaniu, Zeniu – odparła Ewa, kierując klacz do stajni.

– Ładna mi filozofia! A ty dokąd? – zainteresowała się gosposia.

– Rozsiodłam ją, oczyszczę i zaraz jestem.

– Nie mam mowy! Czekaj!

Zenia podbiegła do klaczy i chwyciła za uzdę. Augusta spłoszyła się lekko, Ewa

ściągnęła cugle.

– Straszysz ją – powiedziała.

Z jeeпа wysiedli Adam i Kasia.

– Stanisław! – krzyknęła Zenia. – Chodź tu natychmiast!

Przerażona Augusta przysiadła na zadzie.

– Zeniu, chcesz mnie zabić? – roześmiała się Ewa.

Na werandzie pojawił się stajenny.

– Co się stało?

Gospośia wskazała na kobyłę.

– Gdzie się podziewasz, jak cię potrzebują? – zapytała. – Zabieraj konie do stajni!

– Ja sama... – zaczęła Ewa.

– Grzanki i kawa będą do niczego – przerwała jej Zenia. – No, rusz się! –

Popędziła męża. – A ty złaż!

Rozbrojona Ewa uśmiechnęła i zeskoczyła na ziemię. Stało się jasne, kto będzie rządził w dworku w sprawach posiłków i porządków.

Stanisław chwycił za uzdę.

– Dziękuję – powiedziała Ewa.

– Każdy obrabia swoje – oświadczyła Zenia. – Stanisław kobyłę, ja kuchnię. A ty marsz myć ręce i na śniadanie!

Ewa zerknęła na Adama i Kasię. Wyglądali na rozbawionych rządami gospośi.

Również Stanisław zauważył ich reakcję.

– Musisz tak hałasować? – rzucił dobrotliwie do żony.

Na Zeni nie zrobiło to wrażenia.

– No, no! Do roboty! I wracaj na śniadanie! – zakomenderowała.

Stanisław zrezygnował z konfrontacji, ruszył z Augustą w stronę stajni.

– Myślałem, że dziewiętnasty wiek się skończył... – rzucił z uśmiechem Adam.

Ewa skinęła głową. Nie zamierzała podejmować tego tematu przy Zeni.

– Zjecie z nami? – zapytała.

– Jedliśmy już, dzięki.

– Ja zjem, bardzo chętnie – oświadczyła Kasia.

Gospośia gestem wskazała drzwi wejściowe.

– Trzy minuty! – zarządziła. – Dorobię jajek i podaję. Proszę do jadalni.

Ewa powtórzyła gest Zeni z uśmiechem.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i na werandę wyszła Iza.

– Dzień dobry, panie mecenasie! – zawołała. – Bardzo się za panem stęskniłyśmy!

W salonie na parterze pachniało wilgocią. Smugi zacieków na ścianach świadczyły o nieszczelnym dachu.

Federico, Marco i Giovanni w milczeniu jedli omlet z warzywami, popijając go kawą i wodą z karafki. Na stojącym obok laptopie widzieli Ewę, Adama, Zenię i Kasię wchodzących na werandę dworku. Gdy dołączyła do nich Iza, telefon zadzwonił donośnie. Federico zerknął na wyświetlacz.

Komórka zasygnalizowała połączenie via Skype. Twarz starego Włocha ściągnęła się z niepokojem, spojrział krótko na Marco i Giovanniego. Oni podnieśli się i wyszli na werandę. Federico odebrał połączenie.

– Dzień dobry – powiedział po włosku.

Kamera jego rozmówcy pokazywała pusty pokój z ogromnym oknem, za którym widniał fronton barokowego kościoła. Sylwetka siedzącego tyłem do tego widoku mężczyzny ukryta była w półmroku. Na jego łysej wysokiej czaszce błyszczało słońce.

– Przeczytałem, co ustaliłeś – powiedział po sekundzie.

– Jestem o krok od... – zaczął Federico.

– Jesteś bardzo daleko – przerwał mężczyzna. – Chcesz czekać kolejne sto lat?

– Obiecałem i zdobędę cały klucz.

– Złożyłeś przysięgę. Jeśli nas zawiedziesz, nie będziesz potrzebny. Rozumiesz, co to oznacza?

Federico wstrzymał oddech.

– Tak.

Zapadło milczenie. Mężczyzna na ekranie zapalił papierosa; czerwony odblask przez moment oświetlił surową kościstą twarz. Federico odruchowo wytarł spocone czoło.

– Jesteś bankrutem – podjął mężczyzna. – Bractwo wykupiło zastawiony majątek twojej rodziny. My nie zapominamy o braciach w potrzebie. Ale każdy musi udowodnić swoją wartość. Daliśmy ci szansę, bo twierdziłeś, że masz dość wiedzy i doświadczenia. Wiesz, że najsurowiej karzemy wiarołomność?

– Wiem, maestro.

Mężczyzna podniósł wyżej głowę. W miarę wypowiedzanych słów jego głos nabierał mocy.

– Tobie chodzi o ratowanie majątku, a nam o coś znacznie ważniejszego. Talizmany nie ocaliły Bizancjum, bowiem kapłani przywykli do życia w bogactwie, stracili czystość, nie potrafili ich użyć. Jednak przez długie tysiąc pięćset lat chroniły one wielkość i bezpieczeństwo cesarstwa. My wiemy, jak uruchomić ich potęgę. I w jakim celu.

– Tak, maestro.

W zapadłej ciszy mężczyzna zaciągnął się papierosem. Prześwietlona słońcem chmura niebieskiego dymu owinęła się wokół łysej czaszki.

– Czy Ewa Modlińska rozumie, że data kardynała Bessariona to nie tylko przepowiednia?

– Mam nadzieję, że tak – odparł Federico.

W głosie jego rozmówcy zabrzmiało zniecierpliwienie.

– Masz nadzieję?

– Ewa zdaje sobie sprawę, że data to część klucza do skarbu. Nie wie jeszcze, że data i dokładna godzina pozwolą wyznaczyć jej miejsce na mapie Krzyżtoporu. Nie wie, jak je zastosować na planie pałacu. My zresztą też nie wiemy...

– Przestań gadać i patrz! – rozkazał mężczyzna.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie Abraksasa na kamiennej płycie. Poruszony Federico zbliżył głowę do komputera.

– Abraksas! – zawołał. – Szukałem go! Myślę, że od niego zaczyna się plan! Skąd ta fotografia? Kto ją zrobił?

– Z dziedzińca Krzyżtoporu – odparł mężczyzna. – Zrobił ją mój wysłannik. Ewa znalazła tę płytę godzinę temu.

– Co za wysłannik, maestro? – zaniepokoił się Federico.

– Ktoś, kto nie zawaha się naprawić waszych błędów...

Stary Włoch pokręcił się niespokojnie na krześle.

– Jeśli on porwie Ewę, będzie ją torturował... – przerwał. – Na tym etapie nic to nie da.

– Nie bądź głupi, Farnese! – parsknął mężczyzna. – Zacznie działać, kiedy uznam to za konieczne. Postąpi zgodnie z moim rozkazem. Czekamy już prawie czterysta lat, wielu ludzi zginęło na próżno. Jedno czy dwa życia więcej nie mają znaczenia. Ta kobieta jest inteligentna, wyprzedza cię. Niech zatem dotrze do kodu astrologicznego. A ty masz być wtedy o krok przed nią.

Mężczyzna odwrócił się bokiem do kamery, jakby miał dość patrzenia na rozmówcę. Federico pomyślał, że jego wypukłe czoło, ostro zarysowany nos i szczeka przypominają Anubisa z głową szakala, egipskiego boga życia pozagrobowego.

– Wielki mistrz pyta, kiedy dotrzemy do celu, niecierpliwi się – powiedział tamten.

– Zwołano naradę. Wracam do Rzymu, wystąpię w twojej obronie. Ale czas się kurczy, *signor Farnese*.

– Rozumiem, maestro – przytaknął pokornie Federico.

Mężczyzna skinął głową.

Połączenie zostało przerwane, obraz znikł.

Federico odczekał kilka sekund, potem odłożył komórkę. Wstał, podszedł do stojącej na blacie kredensu torby, wyjął z niej butelkę whisky. Wyciągnął z kredensu szklaneczkę, nalał dużą porcję, wychylił jednym haustem. Nalał ponownie.

Drżenie dłoni sprawiło, że butelka zadzwoniła o szklanekę.

Wypił powoli, do końca. Dłoń drgała jeszcze, ale znacznie słabiej.

Śniadanie na werandzie przebiegało w nieco napiętej atmosferze.

Kasia i Iza nie przejmowały się małomówną parą dorosłych. Siedziały po przeciwnych stronach stołu i za pomocą widelców i owoców grały w strzelanie goli. Zabawa rozkręcała się. Po kolejnym uderzeniu przewrócił się dzbanuszek z mlekiem. Biała struga rozlała się po stole.

– Kasiu! – zawołał Adam. – Bardzo za nią przepraszam...

– Iza, co ty wyprawiasz? – Dołączyła do niego Ewa.

Oboje wzięli się do zwijania obrusa. Iza przyglądała się im spokojnie, z uśmiechem.

– Pięć–dwa. Wygrałam! – oświadczyła Kasia.

– Nie skończyłyśmy jeszcze! – zaprotestowała Iza.

– Nie oszukuj! Wygrałam!

– Pokażesz Kasi stajnię? – zaproponowała Ewa.

Iza domyślnie pokiwała głową.

– Jasne, ciotka.

– Super! – Ucieszyła się Kasia.

Zerwała się z krzesła, sięgnęła do cukiernicy. Z kostkami cukru w dłoniach zbiegła z werandy.

Iza spokojnie wybrała resztę kostek.

– Ostrożnie z końmi. Nie znasz ich – ostrzegł córkę Adam.

– Mają przecież po cztery nogi i ogon. Czy to może inny gatunek?

Adam rozłożył bezradnie ręce.

Iza zeszła po schodkach, pociągnęła za sobą Kasię. Ruszyły biegiem w stronę stajni.

Zapadła cisza. Ewa i Adam unikali swoich spojrzeń.

– Czasami zazdroszczę jej entuzjazmu – powiedział wreszcie Adam. – Nie tak dawno nas też wszystko ciekawiło i cieszyło.

Ewa spojrzała na niego zaciekawiona.

– Naprawdę chciałbyś biegać i skakać, jak twoja córka? Klienci kancelarii mogliby się zdziwić...

– Chciałbym tylko odczuwać taką radość, w każdej sytuacji. Bycie dorosłym nie musi oznaczać powagi i smutku. A zazwyczaj oznacza.

– Też mi to czasem przychodzi do głowy – zgodziła się Ewa. – Pięć lat pracowałam, udając zadowolenie z zarabianych pieniędzy i poczucia bezpieczeństwa. To złudzenia, a płacimy nimi za wolność i radość.

Poruszeni spojrzeli sobie w oczy. Później powróciło wspomnienie poprzedniego dnia i Ewa odwróciła wzrok. Podniosła się, zaczęła zbierać zastawę ze stołu.

– Co to było to w Zamościu? – rzuciła beznamiętnie.

Adam przez chwilę szukał słów.

– Bardzo cię przepraszam – powiedział wreszcie. – Musiałem porozmawiać z żoną.

– Aha.

– Jesteśmy w separacji. Nie mogłem się do niej dodzwonić.

Ewa mocnym ruchem postawiła filiżanki na tacy. Szczęk porcelany o blachę uświadomił jej, że odkrywa swoje emocje.

– Okej, nie moja sprawa – stwierdziła i ruszyła do drzwi. Odwróciła się w progu. – Jeśli Lusia podważy spadek na podstawie choroby psychicznej Zofii, nie może mnie reprezentować adwokat, który nagle wybiegnie z sądu. Jak wariat.

– Powiedziałem przepraszam – powtórzył z naciskiem Adam. – A sekretarka przekazała mi, że kończysz naszą współpracę.

– Jeszcze jej nie zaczęliśmy.

Adam pokiwał głową.

– Rozumiem. Nie mogę jednak pozwolić, aby księgowość Zofii i fundacji znajdowały się poza kancelarią.

– Należą chyba do mnie? – powiedziała Ewa tonem, który oznaczał stwierdzenie faktu.

– To ja prowadzę księgi, razem z moim biurem rachunkowym. Musi się odbyć

formalne przekazanie. Poza tym fundacja nie jest twoją własnością.

Ewie zabrakło argumentów.

– Nie oddam tych ksiąg! – oświadczyła z uporem.

– Nie bądź dzieckiem. Jeśli naprawdę je zatrzymasz, będę musiał zastosować środki prawnoformalne.

– Przed chwilą marzyłeś o dziecięcych ideałach, a teraz donos? Prokurator? Może siła, z pomocą policji?

Zenia, która pojawiła się na werandzie, usłyszała ostatnie zdania. Spojrzała groźnie.

– Czy ten człowiek ci grozi, Ewuniu?

– Nie.

– Może zawołać Stanisława? – Upewniła się gospoia.

– Dzięki. Dam sobie radę.

Zenia podeszła i energicznym ruchem zgarnęła filiżanki.

– Skończył pan kawę? – zapytała.

Filiżanka Adama była w połowie pełna, więc pytanie oznaczało, że pan mecenas nie jest mile widziany i powinien odjechać.

Adam wstał i spojrzał na Ewę, niepewny jak zareagować.

Ona uśmiechnęła się mimo woli.

– Zeniu, przynieś nam, proszę, więcej kawy. I mleko się rozlało.

– Ktoś tu próbował przemocy? – zainteresowała się Zenia.

– Nie. Dziewczyny się bawiły. Zrób tę kawę, jestem bezpieczna. I przynieś, proszę, cukier.

– Cała cukiernica pusta?

Zenia nadal była podejrzliwa, jakby zużycie cukru też było sprawką Adama. Wzięła cukiernicę i dzbanuszek na mleko, rzuciła mecenasowi ostrzegawcze spojrzenie i weszła do domu. Ewa pokazała okna saloniku.

– Może tam porozmawiajmy – zaproponowała.

Przeszli oboje do saloniku, usiedli na fotelach przy stoliku. Z portretu, powieszzonego tu po wydarzeniach z włamywaczami, patrzył na nich Ossoliński.

Marco i Giovanni wrócili do pokoju. Zauważyli butelkę whisky i błyszczące oczy Federica. Nie ośmielili się zapytać o przebieg rozmowy, ale domyślili się, że nie była przyjemna.

Na ekranie laptopa widać było Ewę i Adama, zniekształconych ukrytą w kandelabrze optyką kamery.

– Przejrzałam księgi – mówiła Ewa. – Odziedziczyłam po Zofii plac i kamienicę w Zamościu.

– Zgadza się – potwierdził Adam.

– Warte są więcej niż sześćdziesiąt tysięcy euro.

– Wciąż myślisz o wsparciu stypendiów fundacji? Spadek jeszcze się nie uprawomocnił.

– No to trzeba działać! Na co czekasz?

Adam pokręcił głową.

– Przyjechałem, żeby rozwiązać umowę współpracy. Na twoje życzenie.

Ewa odwróciła wzrok. Milczała przez chwilę.

– Nie mam nikogo na twoje miejsce – powiedziała wreszcie.

Chciała, aby zabrzmiało to obojętnie, dotyczyło wyłącznie spraw spadkowych, ale czuła, że zdradza ją napięcie w głosie. Z jakiegoś powodu nie życzyła sobie, aby mecenas zniknął z jej życia.

– Dziękuję. Świetna motywacja – zauważył Adam sarkastycznie.

Federico wstał i podszedł do kredensu.

– Oszukują się nawzajem – powiedział, nalewając sobie whisky. – Mają ochotę na romans, ale się boją.

Giovanni nachylił się do kuzyna.

– Ile on tak może? – zapytał szeptem.

Marco wzruszył ramionami.

Federico wrócił do stołu, upił duży łyk whisky, odstawił szklanekę.

– Lepiej niech zaczną mówić o talizmanach – mruknął. – Albo po nas – dodał ponuro.

W saloniku Ewa nie mogła usiedzieć spokojnie. Wzrok Adama sprawiał, że gubiła myśli. Denerwowało ją to. Pomyślała, że nie wolno jej mieszać spraw zawodowych z uczuciami, których nawet nie potrafi nazwać. Wstała z fotela, podeszła do okna, oparła się o parapet.

– Jak szybko możesz to załatwić? – zapytała.

– Uprawomocnienie testamentu? Trzeba poczekać na decyzję sądu – odparł. – Pod warunkiem, że Luscia nie wniesie o zatrzymanie postępowania.

– To co ja mam zrobić?

Odpowiedź przyszła Adamowi z trudem.

– Biznesmen z Zamościa chciał kupić od pani Zofii ten plac... Gotów był wpłacić zaliczkę.

– Zapłaci teraz? Nie będzie czekał na sąd?

– Cóż, każdy ma prawo ryzykować. Ale stracisz na tym, cena będzie niższa. A jeśli Luscia zablokuje sprzedaż, to oddamy... Oddasz zaliczkę podwójnie. Ten facet to twardziel.

Ewa odeszła od okna, zatrzymała się przed Adamem, zmusiła się do spojrzenia mu w oczy.

– Sam mówiłeś, że fundacja była oczkiem w głowie Zofii. Skontaktuj się z tym biznesmenem.

– Dobrze. Nie przepadam za nim, ale mogę zapytać. – Skrzywił się Adam.

– Nie jest miłym gościem? Pal licha, byleby kupił.

– Jest bardzo miły. Dla mojej żony.

Ewa aż otworzyła usta, ale zamknęła je czym prędzej. Zrozumiała wreszcie rezerwę Adama. Musi bardzo kochać żonę, skoro tak reaguje na jej kochankę, przemknęło jej

przez głowę. No i co? Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy, podpowiedziała ta druga Ewa. Albo powiedz sobie wprost, że ci na nim zależy.

– Nie ma mowy! – wykrzyknęła.

– Słucham? – zdziwił się Adam.

Ewa zamachała ręką, świadoma, że dziwnie się zachowuje.

– Chciałam tylko powiedzieć, że mi przykro. Z powodu twojej żony.

Skłonił głowę z wdzięcznością.

– Pan Waldemar Kocoń i jego pieniądze rządzą – powiedział.

– Zawieszysz mnie do Zamościa? – zapytała Ewa.

– Do Koconia? Oczywiście.

– To dzwoń do niego. Nie, lepiej zrobię to sama. – Wyjęła komórkę z kurtki. –

Miałam ją ze sobą, ale wyciszoną – wyjaśniła zmieszana.

– Sześćset siedemnaście, osiem, osiem, cztery, osiemset sześćdziesiąt dwa.

Ewa wybrała numer. Czekając na połączenie, zobaczyła, że Adam jest bardzo spięty. Współczuła mu. Żona paradująca z kochankiem po mieście, w którym wszyscy się znają... To musi być bolesne i poniżające. Do tego jeszcze ja zmuszam go do robienia interesów z tym typem.

– A co ze skarbem? – zapytał Adam.

Giovanni, który usłyszał ostatnie pytanie, trącił łokciem wuja przysypiającego z głową opuszczoną na piersi. Federico powoli przechylił się i zwałił na podłogę.

– Przepraszam, nie chciałem! – zawołał przestraszony Giovanni.

Marco zerwał się od stołu.

Federico leżał spokojnie na boku i pochrapywał lekko. Z kącika ust spływała mu ślina.

– Zawał albo wylew – stwierdził Giovanni.

– Ciężkie upojenie – uspokoił go Marco. – Odreagowuje stres. Widywałem go już w takim stanie.

W saloniku Ewa patrzyła z uśmiechem na Adama.

– Ruszyła ci wyobraźnia? Musiałbyś postudiować historię Bizancjum, renesansowej Wenecji i Rzeczypospolitej szlacheckiej. Plus historię sztuki i filozofię z epoki. Pod kątem metafizyki. Mój współnik musi dysponować odpowiednią wiedzą.

– Od jutra? – zapytał z udawaną powagą Adam.

Ewa podniosła dłoń z telefonem.

– Mówi Ewa Modlińska. Czy mam przyjemność z panem Waldemarem Koconiem?

– Przyjemność! – mruknął Adam sarkastycznie.

Uciszyła go gestem.

– Odziedziczyłam po Zofii Solińskiej plac, który pana interesuje. Czy możemy się spotkać?

– Możemy – usłyszała. – A co z kamienicą?

– Tak, kamienicę też.

– Plac bez kamienicy nie wchodzi w grę – oświadczył Kocoń twardo. – Jasne?

– Jasne. Możemy rozmawiać również o kamienicy. Ma pan dzisiaj czas? Mogę być w Zamościu za jakieś... cztery godziny. – Ewa przerwała, wysłuchała odpowiedzi. – Dobrze. Zatem do zobaczenia. – Rozłączyła się.

– Bardzo mu zależy – powiedziała do Adama.

On przytaknął niechętnie.

– Łapie wszystko, co się da. Ma już pięć kamienic.

Ewa rozłożyła ręce.

– Tacy rządzą światem. Wiesz, Trump i koledzy. Swoją drogą, musisz bardzo kochać żonę – stwierdziła mimochodem.

– Sam już nie wiem – odparł z westchnieniem Adam. – Ile w tym uczucia, a ile urażonej dumy.

Dziewczyny chodziły od boksu do boksu, głąskały końskie łby i podsuwały zwierzakom cukier.

– Augusta, ulubienica Ewy – przedstawiła jedną z klaczy Iza.

Kasia podrapała kobyłę po czole, poczęstowała ją cukrem.

– Cudna jest – stwierdziła. – Jeździsz?

– Trochę, ale słabo. Ewa nie ma czasu mnie uczyć.

– A co robi? – zaciekawiała się mała.

Iza położyła palec na ustach.

– Tajemnica – powiedziała. – Przysięgniesz, że się nie wygadasz? – dodała, widząc zawiedzioną minę.

Kasia podniosła uroczyście dwa palce.

– Szukamy skarbu – oznajmiła konspiracyjnym szeptem Iza.

Oczy dziewczynki zaokrągliły się i rozbłyły.

– Skarbu? Super! Gdzie? Tutaj?

– W Krzyżtoporze, w pałacu – odpowiedziała z dumą Iza. – Należał do naszych przodków.

Kasia otworzyła usta.

– Fantastycznie! – zawołała. – To w pałacu jest skarb? Weźmiesz mnie tam ze sobą? Proszę, bardzo proszę! Jaki skarb?

Iza z tajemniczym uśmiechem uniosła dłoń na wysokość głowy.

– Takie figury ze złota, wysadzone drogimi kamieniami. Należały do cesarza Konstantynopola. Dwa tysiące lat temu.

– Kosta... nopo... – Policzki Kasi poczerwieniały z ekscytacji.

– Konstantynopola – powtórzyła Iza, zadowolona, że nauczyła się już tej nazwy. – No wiesz, stolica Bizancjum. Teraz to Turcja – dodała od niechcienia.

– Byłam w Turcji z tatą i mamą! – zawołała Kasia. I posmutniała nagle.

– No co? – zapytała Iza na widok jej miny.

– Nic – bąknęła mała. – Pokłócili się, mama się wyprowadziła. Do jednego faceta.

– Bez sensu – orzekła Iza. – Ale tata jest fajny.

– Mama też jest okej. Tylko... No wiesz.

Dziewczyny wciąż stały przy Augustynie, która węszyła za cukrem, niecierpliwie trącąc je chrapami. Iza poklepała klacz po czole.

– Będzie dobrze – powiedziała. – Nie żałuj, nie znasz mojej rodzinki. Ewa chce, żeby twój tata pomógł jej poszukać skarbu. – Zmieniła temat.

– Taaak? A ile jest wart?

– Skarb? Można by za niego kupić wyspę na oceanie.

Kasia myślała intensywnie.

– Może gdyby tata miał więcej kasy, mama wróciłaby do niego? – zastanowiła się na głos. – Ciągłe robiła awantury o pieniądze.

– Skąd ja to znam! – westchnęła Iza.

– Weź mnie ze sobą! – zawołała Kasia. – Ja ci pomogę szukać tego skarbu!

Zenia energicznie krzątała się po kuchni, przesuając hałaśliwie talerze i garnki.

Stanisław starannie wyczyścił kawałkiem chleba resztkę jajecznicy z talerza, włożył do ust, powoli przeżuł i przełknął. Przez całe życie wszystko robił dokładnie i bez pośpiechu. Unikał sporów i rzadko się denerwował.

– Mogłabyś trochę spokojniej...? – zasugerował, wodząc wzrokiem za żoną.

Zenia wzięła się pod boki.

– Niby co masz na myśli?

– Z Ewą – uściślił. – To nie pani Zofia. Nie jest przyzwyczajona do tych twoich...

– Jakich moich, jakich tych? – przerwała mu. – Może jaśniej?

Stanisław poszukał właściwych słów.

– Do twojego rządu się. Jakbyś była u siebie.

– Mądrala! – parsknęła Zenia.

– Musiałem ją przeproszać. Za twój wyskok z Lusią. – Brnął Stanisław, choć już z mniejszym przekonaniem.

Zenia przystanąła naprzeciwko. Jej mina wyrażała gotowość do starcia.

– Ja cię do Ewy nie wysłałam.

– Uniosłaś się honorem. Znam cię przecież.

Zenia wzniosła oczy, biorąc niebo na świadka.

– Mam przynajmniej swój honor! – fuknęła.

– A ja go niby nie mam? – oburzył się Stanisław łagodnie. – Bo za tobą prosiłem?

Zenia postukała knykciami o gruby blat kuchennego stołu.

– Wiesz, co ci powiem? – zapytała. – Rządź kobyłami w stajni. A mnie zostaw kuchnię, dom i Ewunię. Dobrze? Nie zrobimy sobie krzywdy, bądź spokojny.

Zrezygnowany Stanisław westchnął i sięgnął po kubek z kawą.

Ewa i Adam wyszli z dworku. Na strój podróżny Ewy składała się między innymi marynarka z pluskwą podsłuchu w kieszeni.

– Nie wymagam, żebyś towarzyszył mi na spotkaniu z Koconiem – powiedziała.

– Jestem twoim prawnikiem.

– A nie wywołasz awantury? Zależy mi na tej sprzedaży. I na fundacji.

Adam skinął głową.

– Spuszczę mu lanie przy innej okazji.

Ruszyli w stronę stajni.

– Sporządzisz dla mnie listę lektur? – zapytał Adam.

– Poszukiwacza skarbów? Zrób dyplomy z historii sztuki i archeologii. Jak ja. Wstawię się za tobą u mojego profesora. Za trzy lata przeegzaminuje cię, może wystarczy licencjat.

Adam przemilczał jej ironię. Przyszło mu na myśl, że nie potrafi z nią rozmawiać. Wczorajsze zdarzenie z żoną nadal wisiało w powietrzu. Na miejscu Ewy też uznałby, że jest zakochany i cierpi z powodu porzucenia.

A on nie był w stanie nazwać swoich uczuć.

Niedawno postanowił, że nie zgodzi się na rozwód. A od chwili poznania Ewy zaczął się w jego głowie dziwny proces. Oddalał się od żony, obojętniał na jej romans, na opinie znajomych, wśród których wrzało od plotek. Istnienie Ewy dowodziło, że świat nie kończy się na jednej kobiecie, nawet jeśli jest matką jego dziecka. „Kiedy Bóg drzwi zamyka, to otwiera okno”, przypomniał sobie stare powiedzenie.

– Gdzie one są? – zapytała Ewa.

Zajęty myślami Adam nie zauważył, że weszli do stajni. Konie prychały przyjaźnie, wystawiając z boksów łby na powitanie. Ale Izy i Kasi nie było.

Ewa wyszła z budynku, ruszyła wzdłuż bocznej ściany i niemal natychmiast przystanęła jak wryta.

– No nie! – zachnęła się.

Na ogrodzonym belkami maneżu, po zrytej kopytami ziemi podążały ćwiczebnym galopem obie dziewczyny. Iza dosiadała Augusty, Kasia Cezara. Córka Adama puściła wodze i rozłożyła szeroko ręce. Iza powtórzyła jej ruch i niemal natychmiast zaczęła zsuwać się z siodła.

– Chwyć wodze! – krzyknęła Ewa.

Dziewczyna odwróciła się i straciła równowagę zupełnie. Zwaliła się ciężko na ziemię.

– Iza!

Augusta zatrzymała się, zawróciła do leżącej i obwąchała ją zaciekawiona. Kasia zeskoczyła ze swojego wierzchowca. Podbiegła, pochyliła się i pomogła Izie usiąść.

– Ale lot...! – stwierdziła oszołomiona upadkiem dziewczyna.

Ewa przykucnęła przy bratanicy.

– Nic ci nie jest?

Iza obmacała ostrożnie ciało.

– Chyba nie – powiedziała niepewnie.

– Kaśka, tyle razy mówiłem, że nie wolno ci uczyć! – Zdenerwował się Adam. – A gdyby coś jej się stało?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Sama się prosiła – oświadczyła i wskazała na Cezara. – Ten ogier wymaga ręki profesjonalisty. Mogę go pani ułożyć. Bez kosztów.

– Bardzo za nią przepraszam – powiedział zmieszany Adam. – Wydaje się jej, że w kwestii koni pozjadała wszystkie rozumy.

Kasia chwyciła ogiera za uzdę, poklepała go po szyi.

– Wiem więcej od ciebie, tato.

Zakłopotana mina Adama sprawiła, że Ewa roześmiała się serdecznie. Kasia uznała temat za zakończony i poprowadziła Cezara na przełaj przez maneż.

– Wielka sprawa: zlecieć! – mruknęła pod nosem. – Nie ma chyba tyłka z porcelany?

– Kaśka! – wrzasnął Adam.

Mała nie zareagowała i wkrótce znikła za stajnią.

Ewa pomogła Izie wstać.

– Jadę do Zamościa – poinformowała ją, otrzepując z ziemi.

Skrzywiona dziewczyna trzymała się za potłuczony pośladek. Adam podał jej ramię. Wsparła się na nim z uśmiechem wdzięczności.

– Dzięki, panie mecenasie – powiedziała. – Ja też chcę do Zamościa. Muszę pogadać z mamuszką. Oczywiście, jeżeli w pana jeepie znajdzie się miejsce i dla mnie.

– Naturalnie.

Ruszyli wzdłuż stajni. Ewa prowadziła Augustę, Iza szła, lekko kulejąc, oparta o ramię Adama. Ewa zobaczyła, że jej biodro ociera się o jego udo.

– Jeszcze raz dosiędziesz Augusty bez mojej zgody i wracasz do Lusi – rzuciła tonem ostrzeżenia, po czym zwróciła się do Adama. – Ogier, którego wzięła twoja córka, to Cezar. Nie jest ujeżdżony. To z niego spadła Zofia.

– Przepraszam za nią – bąknął Adam. – Przeżywa nasze rozstanie bardziej, niż jej się wydaje. Ten wybryk to protest.

Ewa pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Nie traćmy czasu – powiedziała. – Pomóż mi z końmi, bo się spóźnimy.

Wyprzedziła kuśtykającą Izę i wprowadziła klacz do stajni.

– Zazdrosna ciotka! – Dobiegł ją ironiczny szept.

Po oporządzeniu koni ruszyli jeepem w stronę Zamościa. Kilka kilometrów od dworku minęli Krzyżtopór. Słońce stało wysoko na niebie, skąpany w świetle pałac wydawał się jasny i potężny. Siedzące z tyłu samochodu Kasia i Iza odprowadziły go spojrzzeniami.

– Ciekawe, gdzie to zakopali – rzuciła Kasia.

Adam spojrzał na nią we wstecznym lusterku.

– O czym mówisz?

Postukała go palcem w plecy.

– O skarbie, tato. Nie chciałeś mi powiedzieć?

Ewa odwróciła się i popatrzyła pytająco na Izę, ale ta gapiała się w okno.

– Ależ skąd, córeczko – zaprzeczył Adam.

– Dobra, dobra! Pani się na tym zna, prawda? – Kasia zwróciła się do Ewy.

– Trochę.

Oczy dziewczynki zaświeciły się. Ochyliła się między przednimi fotelami.

– Pójdziemy w nocy do pałacu? Z łopatami? Byłam raz z wycieczką, tam są strażnicy. Uśpiemy ich gazem, widziałam to na jednym filmie!

– Wolnego, Kaśka! – zaprotestował Adam z rozbawieniem.

Ewa spojrzała poważnie na dziewczynkę.

– Potrafisz dotrzymać tajemnicy?

– Pewnie!

– Wiesz, co by się stało, gdybyś opowiedziała o tym kolegom w szkole?

Adam pokiwał głową.

– Strażników usypiałyby tłumy z łopatami...

Iza parsknęła śmiechem.

– Ha, ha, ha. – Obraziła się Kasia. – Sama odnajdę skarb, zobaczycie. I z nikim się nie podzielę!

Na widok jej miny Ewa nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Spojrzała przez tylną szybę i dostrzegła czarny samochód. Pamięć podpowiadała, że musiała go już gdzieś widzieć. Tak, to jaguar z mojego snu!, uświadomiła sobie. Zbieżność marek na pewno jest przypadkowa.

Przypomniała sobie, że w Zamościu powinna spotkać się z kustoszem Podreckim. Wybrała jego numer, ale usłyszała tylko nagranie automatycznej sekretarki.

– Tu Podrecki. Proszę zostawić ważną wiadomość albo nie zawracać mi głowy.

– Niech pan oddzwoni – powiedziała i przerwała połączenie.

Maurycy Podrecki stał na przystanku autobusowym przy szosie i patrzył na wyświetlacz komórki. Nie zamierzał rozmawiać z Ewą, zanim nie ustali taktyki z Włochami. Na widok nadjeżdżającego jeepa cofnął się szybko pod wiatę i odwrócił twarz. A zaraz potem wyszedł na jezdnię i zamachał ręką. Tuż przed nim zahamował czarny jaguar.

Kustosz otworzył tylne drzwiczki, usiadł obok przypiętego pasami sztywnego Federica. Z przedniego fotela spojrzał na niego Marco.

– Dzień dobry – powiedział Podrecki. – Przed wami przejechał samochód prawnika Zofii. Rozpoznałem go w ostatniej chwili. Chyba mnie nie zobaczono. Jedzie w nim Ewa.

– Wiemy, do Zamościa – przytaknął Marco. – Dlatego ściągaliśmy pana.

Giovanni przesunął dźwignię skrzyni biegów, jaguar ruszył.

– Mam warszawski adres profesora. – Kustosz zwrócił się do Federica. – Mógłbym tam kogoś posłać.

Stary Włoch wymamrotał coś niewyraźnie.

Podrecki spojrzał na niego zdziwiony.

– Dobrze się pan czuje? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, zapytał: – Co z nim?

– Alergia. – powiedział Giovanni.

Jaguar przyśpieszył, niemal doganiając jadącego szybko jeepa.

– Nie za blisko! – powiedział Marco. – Mamy zasięg do trzystu metrów.

10.

Pusta uliczka z zabytkowymi domami sprawiała wrażenie, jakby usnęła wieki temu.

Jeep zaparkował przed siedzibą fundacji. Chodnik w pobliżu otaczało ogrodzenie z desek; przez szpary można było dostrzec, że trwają prace przy fundamentach. Obok stała półciężarówka z materiałami budowlanymi.

Iza i Kasia podeszły do wystawy sklepu z ciuchami w sąsiedniej kamienicy.

Ewa popatrzyła z niedowierzaniem na kamienicę z tablicą CALLIDA IUVENTUS.

– Przywiozłeś mnie na miejsce? To ten dom? – zapytała, niemile zaskoczona.

– Mhm.

– Mam sprzedać kamienicę z siedzibą fundacji, żeby pomóc fundacji?

Adam rozłożył bezradnie ręce.

– A plac?

– Dom stoi na połowie placu. Nieruchomość jest podzielona na dwie części. Druga część placu znajduje się na tyłach.

– Niedobrze – mruknęła Ewa. – Kupimy jakiś lokal w zamian?

– Twoja decyzja.

Przez chwilę milczała, zamyślona.

– Dlaczego w życiu zawsze coś jest za coś? – zapytała retorycznie.

– Studiowałaś również filozofię?

– Bardzo zabawne!

Ewa zdała sobie sprawę, że zależy jej, aby pomóc zdolnym dzieciakom, ponieważ odezwało się w niej poczucie winy. Potrzebowała dobrego uczynku dla uspokojenia sumienia.

Pomimo charakteru Lusi i reszty rodziny rozumiała ich rozczarowanie pominięciem w testamencie. Oto pojawiła się ulubienica Zofii i odebrała nadzieję na lepsze życie. Gdyby Lusia potrafiła zachować się z klasą, Ewa zapewne zaproponowałaby podział majątku, ale wściekła reakcja obudziła ducha przekory i ułatwiła decyzję. Ewa była gotowa walczyć o spadek, choć nie czuła się dobrze z tą świadomością.

Zamyślona zadała pytanie, którego pożałowała już w chwili wypowiedziania.

– Nie uważasz, że Iza jest trochę za młoda?

Adam spojrział na nią zdumiony.

– Nie rozumiem...

– Na leczenie się z żony. – Brnęła Ewa, jednocześnie przeklinając się w duchu.

Jakim cudem jest zazdrosna o bratanicę? Zachowuje się jak idiotka!

– Zwariowałaś? – zapytał spokojnie Adam, widząc panikę w jej oczach.

Ewa miała nadzieję, że nie pociągnie tego tematu.

– Dość, nie mówmy o tym. Gdzie on jest?

– Pan Waldemar? Przyjdzie. To sęp ścierwojad. Wyczuł, że ci zależy. Powiedz tylko, proszę, czy wciąż jestem twoim prawnikiem.

Skrzywiła się w udawanym wahaniu i po chwili wyciągnęła rękę. Uścisnęli sobie z Adamem dłonie, spojrzeli w oczy i oboje poczuli ciepły prąd, przebiegający przez

ramiona do głów. Zmieszani odwrócili wzrok. Ewa wskazała na odsłaniane fundamenty.

– Remont? – zapytała.

– Wczoraj zaczęli prace archeolodzy. W piwnicach. – Adam odwrócił się. – Są już – powiedział.

Ewa podążyła wzrokiem za ruchem jego głowy.

Kilkadziesiąt metrów dalej, przy chodniku, zatrzymała się luksusowa limuzyna. Zza kierownicy wysiadł Waldemar Kocoń, obszedł samochód i otworzył drzwiczki od strony pasażera.

– Dżentelmen! – mruknął Adam.

Z limuzyny wyszła efektowna kobieta w butach na wysokich obcasach, obcisłej spódnicy i krótkim kaftaniku w indyjskie wzory.

Ewa mimo woli pomyślała o swojej porozciąganej marynarce i butach na płaskim obcasie. Przyjrzała się uważniej – wyraz oczu i ściągnięte rysy przybyłej mówiły o twardym charakterze i skłonności do agresji. Dlaczego Adam ożenił się z taką kobietą? Naprawdę wystarczają do tego ładna twarz i dobra figura? Jest tak głupi czy próżny?

Zauważyła, że Adam pobladł.

Kocha ją nadal, może się boi, pomyślała. Za młody był, aby zrozumieć, z jaką kobietą decyduje się spędzić życie. Nie mam prawa go osądzać, sama myliła się czterokrotnie. A może źle oceniam tę kobietę, a jej wyostrome rysy oznaczają cierpienie?

Ewa nie miała pojęcia, jakim mężem był Adam i co tamta przeżyła w ich związku. Ludzie to chodzące tajemnice i potrzeba wiele czasu, żeby dotrzeć do prawdy.

– Mogę porozmawiać z nim sama – zaproponowała.

– Dam radę – odparł głucho Adam.

Przed zbliżającą się parą wyrosły niespodziewanie Iza i Kasia, każda w fantazyjnym kapeluszu, zapewne zakupionym przed chwilą. Żona Adama przystanęła zdziwiona.

Przez moment matka i córka patrzyły na siebie w milczeniu. Potem Kasia, smutna i z zaciętą twarzą, odwróciła się i pomaszerowała do ojca. Stała przy ogrodzeniu z desek.

– Fantastyczne! – Ewa pochwaliła jej kapelusz. – Wybieracie się na pokaz mody?

– Jasne! – przytaknęła Iza, podchodząc.

Kocoń i żona Adama zatrzymali się przed nimi. Ewa wyciągnęła rękę.

– Dzień dobry, Ewa Modlińska.

– Karolina Dąbrowa.

– Waldemar Kocoń.

Uścisnęli sobie dłonie.

Obserwująca tę scenę Kasia wykrzywiła się i ruszyła do zaparkowanego kilkanaście metrów dalej jeepa. W oczach miała łzy. Iza chciała ją objąć, ale mała odepchnęła ją i puściła się biegiem. Dopadła samochodu, wskoczyła do środka i zablokowała drzwiczki.

Dorośli przez kilka sekund trwali w niezręcznej ciszy.

– Nie wiedziałem, że reprezentuje panią mecenas Dąbrowa – powiedział wreszcie chłodno Kocoń.

– Teraz pan już wie – rzucił zaczepnie Adam.

– Kochanie, w tej sytuacji... – zaczęła Karolina.

Jej towarzysz nie ulegał emocjom.

– Nie ma żadnej sytuacji – przerwał zdecydowanie, po czym zwrócił się do Ewy. –

Tę kamienicę i plac kupuję na Karolinę.

– Świetna inwestycja. Gratuluję – stwierdził Adam. – To podatkowy unik czy miłość?

Kocoń zignorował zaczepkę.

– Możemy obejrzeć nieruchomość?

Ewa wykonała zapraszający gest. Karolina szeptała coś na ucho Koconiowi, on kiwał głową. Iza zwróciła się do Ewy.

– Złożę wizytę matce. Zadzwoń, kiedy będziesz wracać.

– Powodzenia.

Zza ogrodzenia z desek wyłonił się profesor Jeliński, cały szary od tynku.

– Witam państwa – przywitał się i ukłonił lekko.

– Nie miałam pojęcia, że tu pracujesz! – powiedziała zaskoczona Ewa.

Jeliński podszedł i pocałował ją w oba policzki. Pozostali przyglądali się ze zdziwieniem. Ewa zwróciła się do Koconia.

– Pan mecenas pokaże kamienicę, ja zaraz dołączę.

Adam obrzucił profesora uważnym spojrzeniem, potem wszedł do bramy. Kocoń i Karolina poszli za nim. Jeliński podszedł do furgonetki, wyjął torbę, wy dostał z niej aparat fotograficzny i kamerę wideo. Ewa przyglądała się z zainteresowaniem. Wiedziała, że oznacza to odkrycie czegoś ciekawego w fundamentach kamienicy.

– Chodź ze mną, a nie pożałujesz – zaproponował Jeliński.

Oboje nie zwrócili uwagi na zaparkowanego na końcu uliczki czarnego jaguara.

Na tylnym siedzeniu Federico kończył opróżnić półtoralitrową butelkę wody mineralnej. Siedzący obok Podrecki przyglądał mu się z podziwem. Dwaj kuzyni tkwili zasłuchani w rozmowę Ewy z profesorem.

Obok jaguara przeszła Iza. Marco poznał ją; to była dziewczyna, którą widział nagą w sypialni na piętrze dworku. Teraz też wyglądała zachwycająco. Zapomniał o podsłuchu, zapatrzył się na nią, kiedy rozkołysanym krokiem mijała samochód. Dostrzegł grę mięśni na smukłych udach, przeżące się pod bluzką piersi, rozwiane włosy i światło w błękitnych oczach. Chciał wysiąść z samochodu i zatrzymać ją.

– Opamiętaj się – rzucił cierpiącym tonem Federico, który właśnie przełknął ostatni łyk wody.

– Kilka litrów i człowiek przytomnieje – powiedział z szacunkiem Maurycy. – Ale jak się ma słabe serce, to może zabić.

– Co znalazłeś? – zapytał w laptopie głos Ewy.

Jeliński chwycił ją pod ramię i pociągnął w stronę kamienicy.

– Sama zobacz.

– Mam spotkanie.

– Chodź, chodź. Spotkanie poczeka. Co to za facet?

Weszli za ogrodzenie.

- Chce kupić kamienicę – wyjaśniła.
- Zajmujesz się nieruchomościami? – zdziwił się profesor. – W Zamościu?
- To spadek. Po stryjecznej babce.

Jeliński gwizdnął z podziwem.

– No, no, kto by pomyślał. Nie sprzedawaj kamienicy, to prawdziwa kopalnia skarbów.

Zatrzymali się przed piwnicznym okienkiem, z którego wyjęto kratę.

– Pomóżcie! – zawołał profesor.

– Nie można normalnie, drzwiami? – spytała Ewa z niepokojem na myśl o wciskaniu się przez małe brudne okienko.

– Chwilowo nie. Wejście nam się zawaliło – wyjaśnił z rozbajającym uśmiechem Jeliński.

– Świetnie! Rujnujesz moją własność.

– Dla dobra nauki.

Z muru wysunęła się głowa i ręce jednego ze studentów. Ewa przykucnęła z westchnieniem. Student chwycił za jej rękę, Jeliński popchnął, razem przeciągnęli ją przez okienko.

Niewielkie pomieszczenie z półkolistym sklepieniem z cegieł oświetlała wisząca na drucie żarówka. Oszołomiona Ewa przystanąła obok dwóch chłopaków. Mieli po dwadzieścia kilka lat, byli przystojni i sympatyczni.

– Cześć – przywitał się ten, który wciągnął ją do środka.

– Cześć – odparła z uśmiechem.

Chciałaby znaleźć się w magiczny sposób na ich miejscu, znów być studentką historii sztuki, z pasją brać udział w takich wyprawach. Uczyć się, bawić, podkochiwać w przystojnym profesorze, nie myśleć o przyszłości. W tym wieku istnieje wyłącznie czas terażniejszy. Nigdy nie będzie się starszym, nic złego się nie wydarzy. Wszystko dzieje się naturalnie, bez wysiłku.

Przemknęło jej przez głowę, że wystarczy zatrzymać umysł, po prostu być. Cieszyć się każdą chwilą, jak przed dziesięciu laty. Druga Ewa czekała cierpliwie.

Przez okienko przepchnął się Jeliński, głową do przodu, nie wypuszczając z rąk aparatu i kamery. Przy pomocy obu studentów stanął na nogi. Wskazał na drzwi.

– Idziemy.

Włączył latarkę i podążył przodem.

– Co znaleźliście? – zapytała Ewa.

– Cierpliwości.

Korytarz okazał się ciemny i niski, trzeba było się pochylić. Za jego zakrętem zaczynały się płaskie stopnie prowadzące w głąb piwnicy. Sklepienie było tu jeszcze niższe.

– Uwaga na głowy! – ostrzegł jeden z chłopców.

Ewa przygięła kark, zeszła po schodkach i dogoniła Jelińskiego.

– To jest poziom z siedemnastego wieku. W tamtych czasach jedyny pod ziemią – powiedział. – Ale wiesz, jak to jest, coraz wyżej kładziono ulice.

– Na warstwach odpadków i schnącego błota – potwierdziła Ewa i syknęła z bólu.

Czubkiem głowy uderzyła o podpierający sklepienie łuk. Do jej uszu dobiegły odgłosy kucia. Światło latarki rozproszyło się w szerokim korytarzu, padło na twarze czwórki studentów i asystentów z grupy profesora. W ich oczach widać było napięcie.

– I jak? – zapytał Jeliński.

Najstarsza z dziewczyn bez słowa wskazała na przeciwległy koniec pomieszczenia. W głębokiej na metr niszy dwaj studenci z latarkami na hełmach kuli młotkami, łomem podważając cegły.

Jeliński bez słowa wyciągnął rękę z latarką. W kręgu światła, na łuku pod sklepieniem pojawił się wypłowiały fresk. Błada czerwień linii składała się na rysunek labiryntu.

Ewa wstrzymała oddech.

– Labirynt, symbol ukrycia – wyszeptała po chwili.

Jeliński patrzył na nią z uśmiechem. To była jedna z tych magicznych chwil, kiedy wspólne odkrycie łączyło ich jak kiedyś.

Ewa znów spojrzała na fresk z labiryntem. Powyżej, pomiędzy cegłami, pojawił się i poszerzał ciemny zygzak.

– Uwaga! – wrzasnęła.

Profesor błyskawicznie chwycił dwóch studentów i szarpnął ich do tyłu. We trzech z impetem wpadli na Ewę, przewracając ją na posadzkę.

W tej samej sekundzie rozległ się trzask i sklepienie niszy runęło z hukiem. Latarka zgasła, pomieszczenie wypełnił tuman tynku. Rozległy się okrzyki przestachu i tupot uciekających nóg.

Trzej Włosi i Podrecki zamarli w bezruchu.

– Zginęli? – Odważył się po chwili zapytać Giovanni.

– Trzeba wezwać pomoc! – rzucił Marco.

Federico powstrzymał ich gestem.

– Zaczekajcie.

Laptop milczał.

– Stare sklepienia miały prawo nie wytrzymać tak intensywnego kucia – zauważył kustosz.

– Domyślam się – mruknął pod nosem Federico.

Z głośnika komputera dobiegło kasłanie i jakieś niewyraźne głosy. Siedzący w jaguarze odetchnęli z ulgą.

– Żyją. Czas się dowiedzieć, czy coś wykopali – odezwał się Podrecki.

– Obchodzi nas Krzyżtopór, nie Zamość – przypomniał mu Marco.

Kustosz pokręcił głową.

– To nie takie proste. Wiadomo, że Ossoliński kupił w Zamościu pałacyk i kilka kamienic. W mieście miała siedzibę jego loża masonów. Bywał częstym gościem u Zamoyskiego. Mógł się z nim podzielić swoją tajemnicą.

Federico bez słowa sięgnął po leżącą pod fotelem butelkę z wodą, otworzył ją i zaczął pić.

Gdy światło latarki przebiło się przez zawieszinę pyłu w powietrzu, ukazały się w nim pobielone tynkiem przestraszone twarze.

– Żyjecie? – zapytała asystentka profesora.

Zdażyła uciec, zanim zawalił się strop, a teraz przybyła z odsieczą.

Spoza opadającego szarego tumanu wyłoniły się sylwetki Jelińskiego, Ewy i dwóch studentów. Wszyscy byli oszołomieni i brudni. Profesor zapalił latarkę.

– Następnym razem patrzeć nad głowy, geniusze – powiedział z ironią.

– Przepraszam – mruknął jeden z zawstydzonych chłopaków.

– Podziękujcie pani Modlińskiej. Uratowała wam życie.

Ewa przejęła latarkę i zaświeciła w głąb powstałej dziury. Skulona ruszyła przez rumowisko.

– Zaczekaj! Ostrożnie! – zawołał Jeliński.

Nie posłuchała. Musiała być tam pierwsza. Przecież symbol labiryntu zapowiadał coś niezwykłego.

Jej oczom ukazała się przestronna niska sala z krzyżowym sklepieniem. Ewa omiotła światłem latarki ściany, zatrzymała je na wizerunku czarnego dwugłowego ptaka. Studenci, asystentka i Jeliński weszli za nią. Jeden z chłopców gwizdnął z podziwem.

– Carski orzeł!

Jeliński podszedł, przyjrzał się uważnie.

– Bizantyjski – sprostował. – Taki sam jak symbol Republiki Mnichów na górze Athos. A Rosja uważała się za spadkobierczynię Bizancjum.

Ewa przytaknęła. Powoli przesunęła krąg światła i z mroku wychynął kolejny symbol. Nieco wyprany z kolorów barwny fresk przedstawiał postać o ludzkim tułowi, z głową koguta, rękami i nogami jak węże.

Abraksas!

Wzruszenie chwyciło Ewę za gardło. Stała przed malowidłem z zamętem w głowie. Los doprowadza mnie do tego symbolu już po raz trzeci, myślała gorączkowo. Jakby duchy z innego świata uparły się, aby to właśnie mnie powierzyć swoje tajemnice.

– Co tutaj masz? – Jeliński podszedł bliżej. – O, Abraksas! Ciekawe.

Ewa poświeciła latarką na wisiołek na szyi. Profesor pokiwał głową.

– Identyczny, pamiętam.

Reszta grupy penetrowała pomieszczenie. Jeden ze studentów przeciągnął z korytarza żarówkę na kablu. Zrobiło się jasno.

– Możesz nikomu nie mówić? – poprosiła cicho Ewa.

– Dobrze.

Skinęła głową z wdzięcznością i ukryła wisiołek pod bluzką.

– Dostałam go dawno temu od mamy. A ona od swojej matki.

– Robi się coraz ciekawiej – powiedział Jeliński. – Twoja rodzinna historia i ukryta sala masonów. Abraksas rządzi liczbą trzysta sześćdziesiąt pięć, symbolizuje rok, czas i spełnienie.

– Jest otoczony planetami ze starej astrologii.

– To klucz do skarbu? Znajduje się może na terenie Krzyżtoporu?
Ewa zawahała się, czy powiedzieć prawdę.
– Krzyżtopór ma trzysta sześćdziesiąt pięć okien plus jedno zamurowane.
Przepowiednia kardynała Bessariona ma odniesienie astrologiczne...
– Poszukaj związku – zachęcił ją Jeliński.
Wzruszyła ramionami.
– Gdzie? Od czego zacząć? – Rozejrzała się zamyślona. – Kto i po co zbudował tę salę? – zapytała. – I ukrył ją.
– Mam zamiar się dowiedzieć. Ty też, prawda?
Ewa przytaknęła. Jeliński wyciągnął rękę.
– Witam na pokładzie. Czas najwyższy.
Uścisnęli sobie dłonie.
– Najwyższy na co? – spytała retorycznie.
Dawno nie czuła się tak potrzebna.
– Nie jesteś już młoda. Kiedy chcesz zacząć karierę naukową? – odparł pytaniem profesor, nie puszczać jej dłoni. – Teraz prowadzi cię Abraksas. Zapewne wiesz, że w języku Koptów *abrak* i *sax* oznaczają „czcigodne” i „błogosławione”.
– A w mitologii egipskiego gnostyka Basylydesa, Abraxas to najwyższa istota – dodała Ewa.
– ...z której rodzą się Duch, Słowo, Opatrzność, Mądrość i Potęga – wszedł jej w słowo Jeliński.
– I symbol siedmiu stopni oświecenia człowieka.
– To zobowiązujące wyzwanie, droga pani Modlińska – zakończył profesor.
Ewa uwolniła dłoń.
– A może wolę zostać miliarderką? – rzuciła przekornie.
Jeliński pogroził jej palcem.
– Mamy w tej sali symbol Bizancjum oraz Abraksasa – powiedział głośno, żeby usłyszeli go wszyscy obecni. – Zaliczę cały rok za połączenie znaczenia tych znaków. Podpowiadam, że należy zacząć od symboliki masońskiej. Bractwo zapewne zbierało się w tej sali na tajne posiedzenia łoży.

W jadalni zapisanego Izie w testamencie mieszkania, nad rozłożoną na stole dokumentacją medyczną, zebrała się rodzina Solińskich. Brakowało tylko Darii. Lusie wskazywała palcem kolejne fragmenty tekstu, Iza czytała w milczeniu. Wreszcie przerwała i podniosła głowę.

– Gdzie jest moja siostra? – zapytała.
– Przechodzi kryzys nerwowy – oświadczył Zenon.
Lusia wyciągnęła z teczki kolejny dokument.
– Przejdzie jej – stwierdziła lekceważąco. – Czytaj to. O, tu. I tu.
Iza nieuważnie przebiegła tekst oczami.
– I co? – zapytała z naciskiem Lusie.
Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Babcia Zofia miała nerwicę. Co z tego wynika?

Jej matka westchnęła na znak, że pokłady tolerancji ma ogromne.

– Wiesz, skarbie, co to jest nerwica lękowa? – zwróciła się do Izy łagodnym głosem.

– Nerwowy lęk?

– Ty jej powiedz – nakazała Lusia zięciowi. – Leczyłeś się na to paskudztwo.

Robert nie był zadowolony z ujawnienia jego przypadłości.

– Nerwica lękowa to jest tak, jakby... – Zawahał się.

– No, wyduśże to z siebie wreszcie!

– Paraliżuje człowieka strach, nie potrafi podjąć żadnej decyzji – wymieniał Robert niechętnie. – Boi się wyjść z domu.

Iza spojrzała z ciekawością.

– I nie przeszkodziło ci to ożenić się z moją siostrą?

– Byłem wtedy na psychotropach...

– Jak to? – Zenon poruszył się niespokojnie. – Dlaczego nikt mi nie powiedział?

– Daj spokój! Zawsze tylko o sobie! – Lusia podniosła rękę. – Ja wiedziałam, że Robercik to skarb, trzeba mu tylko dać trochę czasu. A Daria jeszcze trochę i zostałaby starą panną. Dość o tym. – Postukała palcem w ostatni dokument. – Teraz rozumiesz, dlaczego Zofia zmieniła nazwisko. I zapisała cały majątek Ewie. Nie licząc tego mieszkania – dodała.

– Mieszkanie jest moje – przypomniała Iza.

– No właśnie, osoby nieletniej – zgodziła się Lusia. – Na szczęście masz matkę.

Chciała pogłaskać córkę po głowie, ale Iza wykonała unik.

– Co mama chce zrobić?

– Jak to, co? – zdziwiła się Lusia. – Odzyskać to, co należy się twojemu ojcu. Nam wszystkim. Kochanie, jeździłaś przecież często do babci Zofii. Powiedz szczerze. Była szurnięta, prawda? Musiałaś coś zauważyć.

– Nieprawda – odparła Iza spokojnie.

Zapadła cisza. Zenon z Robertem spojrzeli po sobie, ale żaden nie zareagował. Lusie zwróciła się do nich tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Bądźcie łaskawi zostawić nas same.

– Jako ojciec mam chyba prawo... – zaprotestował Zenon.

– Proszę cię – przerwała mu Lusia lodowato. – Zaczyna mnie boleć głowa.

To ostrzeżenie oznaczało, że za chwilę nastąpi wybuch złości.

Robert podniósł się i wyszedł z dotkniętą miną. Teść podążył za nim, utykając.

– Dlaczego tata kuleje? – zapytała podejrzliwie Iza.

– Ma postrzał – wyjaśniła ze spokojem Lusie.

– Co to znaczy... Kto go postrzelił?

– Tak się tylko mówi. O rwie kulszowej.

Za Zenonem zamknęły się drzwi. Lusie odczekała chwilę w uroczystym milczeniu.

– Musimy porozmawiać poważnie, córeczko – podjęła.

Iza przytaknęła.

– Fakt. Przyjechałam, żeby ustalić, że mieszkanie jest moje. I tylko moje. Jeśli

mama coś z nim zrobi, zanim skończę osiemnaście lat...

– Po kolei, skarbie. Po kolei.

Lusia wstała i zatrzymała się przy oknie. Prześwietlona promieniami słońca sprawiała wrażenie natchnionej.

– Popatrz na fakty. Pomyśl choć raz w życiu jak osoba dorosła. Chodzi mi o twoje szczęście, córeczko, wyłącznie o twoje szczęście. Wiesz, jakie są czasy. Ile warte jest wykształcenie. Zero, nul, nic! Żyjemy na takim poziomie dzięki układom. Moim układom. Ale kiedyś mnie zabraknie, a ty, z twoją buzią, twoim zwyczajem mówienia ludziom, co myślisz, po prostu zginiesz. Nie znajdziesz bogatego męża. Nie z takim charakterkiem.

– Aha – mruknęła Iza.

Lusia oderwała się od parapetu, usiadła na krześle obok, chwyciła ją za ręce.

– Córeczko, taka jesteś. Dlatego pozwól mi pomóc. Urządę cię na całe życie. Staniesz się bogata, będziesz śmiała się z ludzi. A faceci będą za tobą biegać jak psy!

– Kupię sobie Pedigree Pal – mruknęła pod nosem dziewczyna. – Majątek babci Zofii chcesz przekazać właśnie mnie?

– Tak! – przytaknęła energicznie Lusia. – Dokładnie tak, kochanie! – Wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju. – Tyle że nie od razu cały. Ale kto po mnie dziedziczy, jak nie ty?

– A jeśli dożyjesz dziewięćdziesiątki?

Lusia roześmiała się chrapliwie. Zatrzymała się i mocno oparła o blat stołu obiema rękami, na znak determinacji.

– Chyba nie życzysz matce rychłego zejścia? – zapytała. – Przecież mówię wyraźnie: podzielę się z tobą majątkiem. Całym! – oświadczyła z naciskiem.

Iza wytrzymała jej spojrzenie. Obietnice matki nigdy się spełniały. Wiedziała, kiedy tamta zaczynała swoje manipulacje. Tym razem jednak potrzebowała córki i była szczerą.

– Co mam zrobić?

Lusia z rozmachem uderzyła dłonią w blat.

– Nareszcie! Moja krew! Wystarczy, że zeznasz w sądzie, że Zofia była wariatką. Razem wymyślimy historyjki o jej szaleństwach.

– Nie trzeba nic wymyślać – powiedziała powoli Iza.

Lusia była poruszona. Jej oczy zwilgotniały.

– Wspólnie tego dokonamy, odbierzemy, co nam się należy!

W przypiływie emocji obeszła stół i porwała córkę w objęcia.

Adam, oparty o parapet w sali konferencyjnej fundacji, patrzył na Waldemara Koconia i Karolinę, którzy studiowali dokumentację kamienicy. Panowała cisza. Słychać było wyłącznie brzęczenie much i dobiegające zza okna odgłosy ulicy.

– Hipoteka wydaje się w porządku – powiedział wreszcie Kocoń, odrywając się od książki wieczystej.

– Jest w porządku – rzucił Adam. – Przecież mówiłem.

Karolina spojrzała na niego z niechęcią.

– Różne rzeczy mówisz, a potem zmieniasz zdanie.

Kocoń machnął ręką.

– Jak to prawnik. Daj mu spokój.

Jego tekst był świadomie obraźliwy.

– Mu? – zapytał Adam.

Kocoń wzruszył ramionami.

– Prawnicy kłamią zawodowo. Nie ma o czym mówić.

Dąbrowa odszedł od parapetu.

– A biznesmeni zawodowo kupują cudze żony. – Zrewanżował się.

Kocoń wstał. Zatrzymali się kilka kroków do siebie, gotowi do starcia.

– Ustaliliście coś? – usłyszeli głos Ewy.

Odwrócili się w jej stronę. Ewa stała w progu. Jej głowa i ubranie pokryte były szarym tynkiem.

– Co się stało? – zaniepokoił się Adam.

– Nic takiego. Mały zawał w piwnicy.

Kocoń przechylił głowę i spojrzał podejrzliwie.

– Konstrukcja jest uszkodzona? – zapytał. – Grozi zawaleniem?

– Nic podobnego. Naukowcy dokopali się po prostu do ukrytej sali – odparła Ewa.

– I spadło trochę cegieł.

– Okej. Ale na tym koniec grzebania! – Kocoń przeciął powietrze ręką. – Zgadzam się na zaliczkę. Sześćdziesiąt tysięcy?

– Euro – uściśliła Ewa.

Biznesmen pokiwał głową.

– Pod warunkiem, że zejdzie pani dwadzieścia procent z ceny. I natychmiast usunie tych dłubaczy.

– Nie schodź – wtrącił się Adam. – Cena i tak jest niska.

Ewa otworzyła usta do odpowiedzi, ale przerwał jej głos Jelińskiego.

– Ten budynek nie jest na sprzedaż.

Wszystkie głowy odwróciły się w stronę drzwi. Kocoń wymierzył w profesora wskazujący palec.

– To pan niszczy kamienicę – zauważył zimno. – Uprzedzam, że ja z tym skończę.

– Sorry, ale mamy poważny romans, z historią – powiedział Jeliński, podchodząc do Ewy. Ujął ją pod rękę.

– Ale fundacja potrzebuje... – zaczęła.

– Kamienica nie jest na sprzedaż – powtórzył z naciskiem. – Prawda?

Ewa posłusznie skinęła głową. Jak studentka nieośmielająca się sprzeciwiać wykładowcy.

– Nie jest – powiedziała.

Jeliński wykonał w kierunku Koconia gest oznaczający koniec dyskusji. Potem odwrócił się i wprowadził Ewę.

Adam patrzył za nimi, nic nie rozumiejąc. Ucieszyła go odmowa sprzedaży kamienicy, ale nie podobała się zażyłość Ewy z profesorem.

– Co to ma znaczyć? – rzucił wściekły Kocoń.

Twarz Karoliny była ściągnięta złością.

– Słyszałeś i widziałeś – powiedziała. – Ona ma z tym gościem romans. Nie pozwolił jej sprzedać kamienicy, bo pewnie sam ma na nią ochotę.

Adam zdawał sobie sprawę, że powinien zachować profesjonalny spokój i poprosić w imieniu klientki o odłożenie negocjacji. Nie był w stanie.

– Zatem jest niemal jak ty, kochanie... – rzucił z przekąsem.

Kocoń spojrzał na niego z groźbą w oczach.

– Co to miało znaczyć? – zapytał.

– To, co słyszałeś. Kupujesz kobiety jak przedmioty i nieruchomości. Kamienica ma uciszyć wyrzuty sumienia mojej żony?

Biznesman chciał odpowiedzieć, ale nagle zmienił zdanie. Podeszedł do Adama i wyprowadził cios pięścią, który miał trafić w szczękę. Dąbrowa odchylił głowę w bok, pięść Koconia przeleciała przed nosem. W następnej sekundzie Adam uderzył w splot słoneczny. Trafił precyzyjnie; Kocoń zwinął się z jękiem bólu i przykucnął obezwładniony. Adam jedną ręką uniósł jego podbródek, kantem drugiej uderzył w między ustami a nosem. Biznesman zwałił się na plecy.

– Cham! – krzyknęła z wściekłością Karolina, podbiegając do Koconia. – Co on ci zrobił, ten damski bokser?

– Przepraszam – bąknął Adam. – Nie miałem pojęcia, że ten pan jest transwestytą.

Dygotał, ale oddychał głęboko, starając się odzyskać równowagę. Na atak Koconia zareagował odruchowo. Nie wiedział nawet, że jest zdolny do takiej agresji.

– Słyszeliście. Kamienica nie jest na sprzedaż. Nic tu po was – powiedział.

Opuścił salę i starannie zamknął za sobą drzwi.

– Dzwonię po policję! – krzyknęła za nim Karolina. – Pójdiesz siedzieć, obiecuję ci!

Jedyna wskazówka, jakiej Jeliński udzielił Ewie, brzmiała:

– Idź do biblioteki i studium. Przypomnij sobie radość zanurkowania w starodruki, łacinę i grekę. Książnica Zamojska ma bogate zbiory z siedemnastego wieku, szukaj renesansowych symboli zapisanych przez miejscowych autorów. Może któryś z nich był współnikiem Ossolińskiego, pozostawił ślad dla wtajemniczonych?

To była praca na następne dni, może nawet tygodnie, a Ewa nie miała już cierpliwości, jak wówczas, gdy zaczynała doktorat. Zdecydowała jednak, że przyjrzy się zbiorom, wykona listę lektur. Po drodze do muzeum wstąpiła do sklepu zaopatrzenia plastyków, zakupiła butelkę terpentyny i kilka pędzli w różnych rozmiarach. Miała zamiar za ich pomocą zadać kilka pytań Ossolińskiemu.

W bibliotece muzeum na rynku natrafiła od razu na siedemnastowieczny bestiariusz, ze wspaniałymi ilustracjami, których kolory sprawiały wrażenie, jakby zostały wykonane kilka, a nie czterysta lat temu. Ewa wiedziała, że to siła naturalnych barwników, używanych wówczas przez malarzy.

Patrzyła zafascynowana na postacie mitologicznych zwierząt, powoli odczytywała

łacińskie objaśnienia znaczeń, które symbolizowały. Widzialny i niewidzialny świat przenikały się i uzupełniały. Kosmos podzielony był na części, w których mieszkaly tajemnicze stwory. Znajomość spraw, nad którymi sprawowały pieczę, pozwalała człowiekowi rozumieć świat, a wtajemniczonym dawała moc panowania nad losem.

Dół i lewa strona reprezentowały cuchnący świat podziemi, gdzie przebywały duchy nieczyste. Zamieszkiwała go żaba, symbolizująca błoto i nicość, pojawiająca się też pod postaciami czarownic i heretyków. Chował się podstępny i złowrogi krokodyl, jeden z symboli Szatana, wcielenie żądy i skąpstwa. Nie zabrakło skorpiona ze złowrogim jadem, innowiercy i zdrajcy, którego pocałunek oznaczał ukąszenie śmierci. W mętnej wodzie mieszkaly syreny, czyli cielesne pokusy, które hamują rozwój duchowy. A ponad nimi unosiły się muchy, zuchwałe przedstawicielki sił piekielnych.

Z owych ponurych podziemi człowiek mógł się wydostać dzięki sile wiary i charakteru, do świata środka. Choć i tutaj czyhały na niego pułapki. Centaur oznaczał opętanie, ale również instynkty, które mogły służyć dobru. Podobnie koziorożec – z jednej strony jeden wielki błąd i kryjące się w ciemnościach oszustwo, a jednocześnie szansa na cierpliwość i wytrwałość, nagrodę w postaci nowego światła. Jak słońce w jego znaku, upadające w grudniu i niemal natychmiast podnoszące się w styczniu.

Spotkać tu można było panterę, stworzenie bardzo kobiece, a zatem alegorię pożądlivosti i ziemskiej miłości. Ale przy tym piękną i łagodną, przyjazną wszystkim zwierzętom poza smokiem, który lęka się jej panicznie. Żyjąca w ogniu, lecz przeraźliwie zimna salamandra to odwaga i stałość wiary. Jako bezpłciowa, reprezentuje czystość.

Zabawny był słoń, który spółkował w ukryciu, a wcześniej zjadał korzeń mandragory, aby obudzić swoją seksualność. Był mądry, podporządkowywał się cyklowi słonecznym i księżycowym, posiadał uczucia religijne i zanosił modły do bogów. Symbolizował też skromność. Obok słonia mieszkał hipogryf, w połowie gryf, w połowie koń, czujny strażnik świętości i rumak szlachetnych bohaterów.

Im wyżej, tym człowiek stawał się szlachetniejszy, wchodząc w świat najpiękniejszych stworów. Feniks spalał się w promieniach słońca, z jego kości powstawał nowy. Był symbolem cyklicznego zniszczenia i odrodzenia w alchemii finalnego powstawania dzieła, czyli procesu tworzenia nowego życia. Pochodził z południowej części nieba, gdzie nazwano jego imieniem konstelację gwiazd.

Na górze świata przebywał też paw – wierzono, że jego mięso się nie psuje, dlatego był symbolem nieśmiertelności i niezniszczalności duszy – oraz wspaniały jednorożec, przedstawiający kosmiczną równowagę i harmonię w świecie uwolnionym od wszystkiego, co nieczyste.

Pochłonięta oglądaniem rycin i czytaniem opisów Ewa nie zauważyła, że minęły dwie godziny. Ocknęła się na widok cienia rzuconego na rozłożone na stole starodruki. Podniosła głowę i zobaczyła elegancko ubranego pięćdziesięciolatka, który przyglądał się jej uważnie.

– Dzień dobry, nazywam się Stanisław Ochocki – przedstawił się. – Jestem dyrektorem muzeum.

– Dzień dobry, panie dyrektorze. Ewa Modlińska.

Wyciągnął rękę z przyjaznym uśmiechem.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – powiedział. – Profesor Jeliński uprzedził mnie o pani wizycie. Te starodruki udostępniamy wyłącznie na prośbę uniwersytetów, do uzasadnionych badań.

– Widziałam informację w katalogu – potwierdziła Ewa.

– Jeśli mogę w czymś pomóc, moje biuro jest na pierwszym piętrze. Łatwo znaleźć.

– Bardzo panu dziękuję.

Dyrektor skinął głową i odwrócił się, aby odejść.

– Przepraszam... – Zatrzymała go Ewa. – Gdzie mogę znaleźć kustosa Maurycego Podreckiego?

Ochocki spojrzał ze zdziwieniem.

– Dlaczego pani o niego pyta?

– Byliśmy umówieni, a ja nie mogę się z nim skontaktować. Nie mam numeru jego telefonu.

– Pani studia mają z nim coś wspólnego?

Zamiast udzielić odpowiedzi, ten człowiek dopytuje się o sprawy, które go nie dotyczą!, zirytowała się Ewa.

– Kustosz współpracuje ze mną – odpowiedziała chłodno. – Mam nadzieję, że nie potrzebuje do tego pozwolenia dyrekcji?

Ochocki uśmiechnął się, lecz jego oczy pozostały czujne.

– Cóż, moim obowiązkiem jest przestrzec panią przed tym osobnikiem.

– Co pan przez to rozumie?

– Pan Maurycy Podrecki od dwóch lat już u nas nie pracuje. Dowiedzieliśmy się, że posługiwał się podrobionym dyplomem doktora historii sztuki, podczas gdy nie ukończył nawet trzeciego roku studiów. Pracował tu jako kustosz trzy lata. Fałszerstwo wyszło na jaw przy podejrzeniu, które na niego padło. W związku z kradzieżą siedemnastowiecznego portretu, za który podstawiono kopię. Nie udowodniliśmy Podreckiemu tego czynu, ale wyrzuciłem go za dyplom.

– Coś podobnego – powiedziała Ewa powoli.

Intuicja od początku podpowiadała jej, że coś jest nie w porządku z Maurycem. Znowu nie posłuchała wewnętrznego głosu. Zastanawiała się, czy fałszywy kustosz może zaszkodzić wyjaśnianiu zagadki talizmanów. Zgromadził dużą wiedzę na ten temat, od niego dowiedziała się o przepowiedni kardynała Bessariona. Jeśli jest oszustem, a może i złodziejem, będzie na niego uważać. Nadal jednak go potrzebuje.

Ochocki dostrzegł jej zamyślenie.

– Proszę zachować ostrożność – powiedział z naciskiem. – Wiem, że Podrecki kręci się w okolicy, handluje dziełami sztuki. Zapewne oszukuje ludzi. Pani jest krewną Zofii Solińskiej, prawda?

– Tak – odparła zaskoczona Ewa. – Znał ją pan?

Dyrektor muzeum przytaknął.

– Zaprzyjaźniliśmy się trochę. O ile w jej przypadku można tak to nazwać. Starsza pani była pełna rezerwy do obcych ludzi.

– Dlaczego nie ostrzegł jej pan przed Podreckim?

Ochocki opuścił głowę.

– Nie miałem pojęcia o ich znajomości – powiedział. – On umiejętnie ukrywał ten fakt. Na pewno zamierzał wykorzystać lub oszukać panią Zofię. Dowiedziałem się już po jej śmierci, od mojej pracownicy. Wspominaliśmy starszą panią, a ona przypomniała sobie, że widziała panią Solińską w jego towarzystwie.

– Gdzie mogę go złapać? – zapytała Ewa.

– Nie mam pojęcia. Chyba ma mieszkanie w Zamościu, ale adres, który podał przy umowie o pracę, jest nieaktualny. Poczta zwraca listy. Wie pani, jak to jest z oszustami. No cóż, mimo wszystko, życzę udanych studiów. Podobno to doktorat?

Ewa zdała sobie sprawę, że ma niemądrą minę. Jeliński dorobił jej historię, która otworzyła dostęp do zamkniętych części biblioteki. Może uwierzył w jej powrót do nauki. A ją interesowały tylko talizmany.

Ochocki czekał na odpowiedź, która nie nadchodziła. Uznał wreszcie, że powinien się wycofać i wyciągnął rękę do pożegnania. Ewa podała mu swoją.

– Być może będzie z tego doktorat – oświadczyła z uśmiechem. – Nie mam otwartego przewodu, ale temat podoba się profesorowi.

– Jaki temat, jeśli mogę zapytać? – zainteresował się Ochocki.

Otworzyła i zamknęła usta. Nie chciała mówić o talizmanach Apoloniusza, czuła zamęt w głowie. Z pomocą przyszedł otwarty bestiariusz.

– Symbolika renesansowego bestiarium w praktykach masońskich loży – skłamała gładko.

– Bardzo interesujące – powiedział dyrektor. – Miło mi było panią poznać – dodał. – Życzę dobrej pracy i do zobaczenia.

– Dziękuję i do zobaczenia – odparła z ulgą.

Poczuła ukłucie winy. Oszukała tego miłego człowieka, choć nie potrafiłaby wytłumaczyć dlaczego. Być może obawiała się śmieszności? Wzmianka o talizmanach rozbawiłaby każdego wykształconego humanistę. Brzmiałaby jak szukanie świętego Graala.

Wystarczy na dziś, postanowiła. Mimo wszystko spotkam się z Podreckim i wyciągnę z niego całą wiedzę. Niestety, nie mogę odebrać mu sztychów i instrumentów astronomicznych, które otrzymał mocą testamentu.

Spojrzała na zegarek i jęknęła. Trzy godziny od rozstania z Izą, godzina w kamienicy i dwie w bibliotece. Dziewczyna na pewno wariuje z nudów i próbuje się dodzwonić!

Po włączeniu komórki na wyświetlaczu pojawiło się dziesięć nieodebranych połączeń. Osiem od Izy.

Jak mogła o niej zapomnieć! Wybrała numer.

– No, ciotka, nareszcie! – usłyszała po chwili. – Myślałam już, że nie żyjesz.

– Strasznie cię przepraszam! Wpadłam do biblioteki tylko na kwadrans, a wcięło mnie na dobre. Gdzie jesteś?

– W drodze do domu – odparła Iza z rozbawieniem.

– Wracasz autobusem?

– Zabrał mnie fajny chłopak. Włoch.

– Kto? Skąd go znasz? – zaniepokoiła się Ewa.

– Nie przejmuj się, ciotka!

Powróciło wspomnienie mężczyzny o urodzie dobermana. Serce Ewy podeszło do gardła.

– Ma na imię Giovanni?

– Nie, Marco. To na razie! Pa!

Połączenie było skończone.

Ewa przez chwilę siedziała nieruchomo. Wewnętrzny głos mówił jej, że bratanicy nic nie grozi, ale ten Włoch... Czy to podwiezienie jest przypadkowe? Powinna ją ostrzec, ale Iza nie była skłonna do wysłuchiwanie rad. Adama też zlekceważyła, a przecież miał je odwieźć do domu. Wizja wracania autobusami nie była przyjemna. Poza tym było już późno, mogła nie złapać połączeń, nocować gdzieś po drodze. Jak idiotka sterczała tak długo nad starodrukami!

Chwyciła za telefon, wybrała numer. Po trzech sygnałach usłyszała uprzejmy głos:

– Tu Adam Dąbrowa. Proszę zostawić wiadomość.

– Zadzwoń do mnie – powiedziała. – Pora wracać.

Na ekranie zauważyła dwie nowe wiadomości od Izy.

Pierwsza miała załącznik w postaci zdjęcia paszportu młodego przystojnego mężczyzny. Marco Farnese.

Nie pomyliłam się, Farnese uprowadzili Izę!, zmartwiła Ewa.

Otworzyła następną wiadomość.

Po spotkaniu z matką Iza rozsiadła pod czerwonym parasolem w kawiarni Verona, nieświadoma, że Ewa znajduje się w oddalonym o zaledwie sto metrów muzeum. Zabijała nudę mrożoną kawą, czekoladowymi lodami i pisaniem do przyjaciółek z Warszawy na WhatsAppie, Facebooku i Twitterze. Korespondencja wyczerpała ją szybko.

Wracam do Ujazdu!, postanowiła. Dosyć tego czekania!

Znalazła w internecie połączenie z przesiadką w Sandomierzu. Autobus odjeżdżał z Zamościa za pół godziny i był ostatnim w tym kierunku. Mogła, oczywiście, przenocować z rodziną w mieszkaniu Zofii, ale była to wizja mocno zniechęcająca.

Iza odwróciła głowę w stronę drzwi i gestem przywołała kelnerkę. Pochyliła się nad plecakiem, wyciągnęła portfel.

– Romeo nie przyszedł? – usłyszała męski głos z lekko śpiewnym akcentem.

Podniosła wzrok i tuż przy stoliku zobaczyła młodego mężczyznę o urodzie amanta filmowego. Padające ukośnie promienie słońca uwydatniały wystające kości policzkowe i mocny zarys szczęki. Usta nieznanego odsłaniały w uśmiechu białe zęby, czarne oczy patrzyły z przyjazną ironią zza okularów.

Ale przystojniak!, pomyślała Iza. I dodała na głos:

– Chodzi o Veronę? Właśnie wychodzę. Pan może poczekać na swoją Julię.

Położyła na stoliku dwa dziesięciozłotowe banknoty.

– Proszę zatrzymać resztę – powiedziała do kelnerki.

Schowała portfel do plecaka i spojrzała niecierpliwie na mężczyznę, który wciąż stał nieruchomo i przyglądał się jej z uśmiechem.

– Coś jeszcze? – zapytała, nadając głosowi opryskliwe brzmienie.

– Nie wiem, co robić – odparł i bezradnie rozłożył ręce. – Przyjechałem z Wenecji, mieli na mnie czekać przyjaciele z Polski.

Chciała odpowiedzieć, że to nie jej problem, ale zrobiło się jej żal zagubionego Włocha.

– Świetnie pan mówi po polsku – pochwaliła go mimo woli. – Studiował pan u nas?

– Miałem babkę Polkę. Ona mnie nauczyła.

– No to da pan sobie radę. Ja muszę lecieć. Do widzenia.

Zrobiła krok w stronę wyjścia, ale Włoch zastąpił jej drogę.

– Co jest? – zapytała ostro, rozbawiona i zirytowana jednocześnie.

– Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie mam pojechać – poprosił, składając ręce.

– Nie rozumiem...

Wykonał szeroki gest, którym objął połowę horyzontu.

– Przyjaciół nie ma, ale jestem w ojczyźnie babci, więc chciałbym zobaczyć jak najwięcej. Zamość już widziałem, piękne miasto. Ale co dalej?

Czekał z miną pokornego ucznia.

Iza uśmiechnęła się. Oczywiście, nieprzypadkiem ją wybrał. Próbował flirtu. Robił to jednak z takim wdziękiem, że nie sposób było się gniewać. Trzeba przyznać, że ma klasę, pomyślała. Wrodzoną swobodę i uprzejmość.

– Proszę sobie kupić przewodnik turystyczny – zaproponowała. – Ja naprawdę muszę już iść. Spóźnię się na autobus.

Przez sekundę poczuła żal, ale zdecydowanym ruchem wyminęła Włocha i ruszyła na przełaj przez rynek.

Dogonił ją po paru krokach.

– Podobno powinienem zobaczyć zamek Krzyżtopór – rzucił od niechcienia.

– Pałac – sprostowała odruchowo Iza i przystanąła.

Przypomniała sobie nagranie, opowieść o wizycie Zofii w Wenecji i tajemniczych Włochów, którzy przyjeżdżali do Polski i kręcili się wokół Krzyżtoporu. Człowieka, który przedstawił się Ewie jako kuzyn...

To nie był zbieg okoliczności. Poczuła dreszcz ekscytacji i lęku.

Mogła zażądać, aby zostawił ją w spokoju, a gdyby nie posłuchał, ściągnąć policję. Coś ją jednak powstrzymało. Włoch był przystojny i miły, wypadł znakomicie na tle mężczyzn, którzy próbowali ją podrywać. Europejczyk z manierami arystokraty.

Nic nie ryzykowała. Przecież nie porwie jej, żeby szantażować Ewę i wymusić odnalezienie talizmanów. Żadna z nich nie ma pojęcia, jak dotrzeć do skarbu. Udam nieświadomość, pokażę mu Krzyżtopór, postanowiła. Jeśli rozegram to umiejętnie, być może on ujawni coś przypadkiem.

Włoch czekał z cierpliwym uśmiechem w oczach. Iza skinęła głową.

– Krzyżtopór koniecznie – powiedziała. – To w końcu *pallazo in fortezza*, włoska robota.

– Tak słyszałem – przytaknął zadowolony. – Jestem Marco. – Wyciągnął dłoń.

Iza podała mu swoją. Poczuła mocny uścisk ciepłej dłoni, przez jej ramię przebiegł lekki prąd. Spojrzenie czarnych oczu przenikało ją, badało i zapowiadało nieznanne.

Wzdrygnęła się i uwolniła rękę. Zbyt pochopnie zgodziła się na tę znajomość. Postanowiła nie ujawniać swojego imienia.

– Za dwadzieścia minut odjeżdża ostatni autobus do Sandomierza – poinformowała. – Jeśli chcesz dojechać dziś do...

– Wynająłem samochód – przerwał jej Marco. – Sandomierz jest po drodze do Krzyżtoporu, prawda? Jeśli tam mieszkasz, chętnie cię zabiorę.

Iza zawahała się. Przyjemnie byłoby zostać odwiedzoną na miejsce, ale czy powinna się narażać?

Marco jakby czytał w jej myślach. Podniósł prawą dłoń.

– Przysięgam, jestem dżentelmenem – oświadczył. – Nic ci nie grozi.

– Zgoda – powiedziała Iza po paru sekundach. – Tylko wyślę rodzicom twoje nazwisko i dane z paszportu.

Marco sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Iza ustawiła aparat w smartfonie, zrobiła zdjęcie, wysłała je do Ewy. W następnej wiadomości napisała szybko: „Mój Włoch jest miły i niegroźny. Nie martw się, panuję nad sytuacją. Jedziemy do Ujazdu. Całusy!”.

Pierwsza godzina od wyjazdu z Zamościa upłynęła w milczeniu. Ewa nie chciała zadawać pytań o Karolinę, zaś Adam pogrążony był w rozpatrywaniu po raz setny przyczyn rozpadu swojego małżeństwa.

Po bójce z Koconiem udał się do kancelarii i skupił się na pracy. Przewertował kodeks cywilny, próbując zorientować się w prawnych konsekwencjach choroby nerwowej Zofii. Zastanawiał się też nad sposobem przeprowadzenia własnego rozwodu.

Nie potrafił zdecydować, czy przystanie na ugodę. To przecież on został zdradzony i porzucony. Na pewno nie oddam Kasi na wychowanie Karolinie!, postanowił. Mała nie może stać się podobna do matki. I nie ma mowy, aby zajmował się nią Kocoon!

Aż zatrzęsł się z irytacji. Nie był w stanie się skupić, zbyt rozstrojony po spotkaniu z Karoliną i starciu z Koconiem.

Po dwóch godzinach bezmyślnego przerzucania papierów, przypomniał sobie o obietnicy odwiedzenia Ewy i Izy do Ujazdu. Włączył telefon, odsłuchał nagranie.

Niedługo potem ruszyli jeepem. Na początku podróży Adam opowiedział, co sądzi o sprawie Zofii i przewidywanym ataku Lusi. Ważni będą świadkowie, którzy stwierdzą poczytalność starszej pani. On sam wystąpi w roli świadka, przekazując w odpowiedniej chwili prowadzenie sprawy zaufanemu koledze adwokatowi. Ewa była pewna, że może liczyć na Stanisława i Zenię. Oboje postanowili stworzyć listę potencjalnych świadków na podstawie notatnika Zofii, z nazwiskami jej znajomych.

Wyczerpali temat i umilkli.

Adam prowadził ze wzrokiem utkwionym w szosę. Słońce zniżało się nad horyzontem, migało między drzewami i domami, zmuszało do mrużenia oczu. Milczenie sprawiało, że oboje czuli się niezręcznie. Niewypowiedziane zdania wisiały w powietrzu. Ewa miała ochotę usłyszeć, co on czuje do Karoliny, ale było to ostatnie pytanie, na które by się odważyła.

– Byłaś kiedyś z osobą, która tak wypełnia przestrzeń, że zapominasz o sobie? – zapytał Adam po długim milczeniu.

– Twoja żona? – Domyśliła się Ewa.

Wdzięczna była, że przerwał ciszę i sam zaczął temat. Adam skinął głową.

– Byłem ciężko zakochany. Zachwycony, że zwróciła uwagę właśnie na mnie. Nie mogłem w to uwierzyć. Cały Zamość kochał się w pięknej Karolinie. Mogła lepiej wybrać, ja nie byłem bogaty.

– Pokochała cię.

Adam zastanowił się nad odpowiedzią.

– Nie wiem – odparł. – Karolina rzadko mówi o uczuciach. Parę lat po ślubie wyznała, że zawsze chciała mieć męża prawnika. Żeby czuć się bezpieczna. Kiedy się zaręczyliśmy, bałem się, że zabije mnie jakiś facet, którego unieszczęśliwiła. Serio, w małym mieście żyje się jak w sycylijskiej mafii. – Roześmiał się. – Przetrwiałem falę tej męskiej nienawiści. Po ślubie spełniałem każdą jej zachciankę. Wszystko podporządkowałem rodzinie, woli mojej żony.

– A ona?

– Przyjmowała moje oddanie z wdziękiem – westchnął. – Potrafi być czarująca, możesz mi wierzyć.

– Wierzę.

– Zrezygnowałem z zostania sędzią, choć po to studiowałem prawo. Marzyłem o wymierzaniu sprawiedliwości. Założyłem kancelarię. Na początku było ciężko, potem, gdy zacząłem obsługiwać firmy, pojawiły się pieniądze. Wybudowałem dom, zaczęliśmy wyjeżdżać na dalekie wakacje, Azja, Afryka. Kiedy urodziła się Kasia, nagrałem wideo z samym sobą. Powiedziałem do kamery, że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Zachowałem to nagranie.

– Co się popsuło?

– Coś w mojej głowie – powiedział powoli.

Ewa spojrzała z ciekawością. Miała wrażenie, że Adam wypowiada na głos jej myśli. Ona również żyła w związkach, których zaczynała mieć dość pod wpływem zmian w swojej głowie.

– Zacząłeś czuć się samotny...

Adam spojrzał na nią ze zdziwieniem w oczach.

– Skąd wiesz? – zapytał.

– Witaj w klubie! – Uśmiechnęła się Ewa. – Jest nas dużo. Zakochanych matolów.

– Dziękuję.

W głosie Adama nie było rozbawienia.

– Mów dalej – poprosiła.

– Pracowałem po dwanaście godzin na dobę. A kiedy wracałem do domu, Karolina była zajęta przyjaciółkami. Podejmowała je kolacją albo rozmawiała z nimi przez telefon. Godzinami. Ukończyła handel zagraniczny, ale rzuciła dobrą pracę, kiedy zacząłem dużo zarabiać. Coraz częściej zostawiała Kasię z opiekunką i składała wizyty przyjaciółkom. Albo wyjeżdżała – do Lublina, Krakowa, Warszawy. Teatry, pokazy mody, jakieś imprezy. Zostawała na weekendy. A kiedy była w domu, wszystko się kręciło wokół jej

spraw i problemów. Zdałem sobie sprawę, że moja żona nie ma kontaktu z córką, nie interesuje się nią. To był wstrząs. Pojawiła się opiekunka, która stała się dla małej drugą matką, a raczej jedyną. Próbowałem o tym rozmawiać z Karoliną, ale słyszałem tylko, że nie jest niewolnicą, ma jedno życie, a ja cierpię na urojenia. Kiedy Kasia albo ja byliśmy chorzy, Karolina reagowała rozdrażnieniem i znikła.

– A jej rodzina?

– Ojciec wyłączył się z życia, zabijał nudę grą w szachy albo oglądaniem telewizji. Miał wysoką emeryturę, w PRL-u był dyrektorem huty. Matka spędzała czas z przyjaciółkami. Córka jej nie interesowała.

– Z pokolenia na pokolenie...

Adam przytaknął ruchem głowy.

– Powinniśmy uważniej przyglądać się rodzinom, które wychowały naszych wybranków – powiedziała Ewa.

– Selekcja? Jak w hodowli psów? Czy nie ma wad wrodzonych, dysleksji albo słabego serca?

– Coś w tym rodzaju.

Popatrzyli na siebie rozbawieni, choć ich oczy pozostały poważne.

– Jacy byli twoi rodzice? – zapytała Ewa

– Kochali siebie nawzajem, i mnie. Czasem miałem wrażenie, że siebie bardziej.

– Nie zaznałeś matczynej miłości?

– Nie jestem pewien.

– To dlatego pomyliłeś pozory z prawdą – stwierdziła Ewa. – Fascynację Karoliną, swoje uczucie do niej, z prawdziwą miłością.

Na wąskiej szosie zrobiło się gęsto od samochodów. Kierowcy wyprzedzali ryzykownie. Adam skupił się na jeździe.

– To zabawne, ale trochę mi żal Koconia – rzucił po chwili.

– Jej kochanka?

– Mhm. Wydaje mu się, że zdobył wspaniałe trofeum. Przez rok, może dwa będzie szczęśliwy. Karolina potrafi się kontrolować. Dopóki nie zacznie się nudzić, nie wzrosną jej potrzeby.

– Pan Waldemar jest bogaty – zauważyła Ewa.

Adam pokręcił głową.

– Ona ma w sobie brak, którego nic nie jest w stanie zaspokoić.

– Brak miłości?

– Nie wie, co to miłość. A jej potrzeby to wielki ssący lej. Wciągnie każdego śmiałka. Jak w greckiej mitologii.

– Wypluje resztki i znajdzie następną ofiarę?

– Dopóki będą działać uroda i seksapil.

– A potem zacznie się samotność. Myślisz, że wtedy spróbuje nawiązać z tobą kontakt?

– Nie ze mną. Z córką.

– Może być już za późno...

– Nie wiem. Ale nie będę nastawiał Kaśki przeciwko matce – powiedział poważnie

Adam. – To nie wina Karoliny, że trafiła na takich rodziców. Nie wie jeszcze, jak bardzo będzie nieszczęśliwa.

Ewa patrzyła poruszona. Nigdy dotąd nie słyszała, żeby zdradzony i porzucony mężczyzna tak mówił o kobiecie, która go zraniła. Chciała wypowiedzieć to na głos, ale powstrzymała się.

A może to manipulacja, przedstawienie, starannie zaaranżowane i rozegrane?, przemknęło jej przez głowę. Uwodzenie na szlachetność i współczucie? Może prawda o związku z Karoliną wygląda inaczej? On jest zimny i wyrachowany, a ona samotna i zagubiona. Ucieka, bo nie potrafi z nim być. Każdy człowiek jest w stanie wymyśleć historyjkę, w której przedstawi się jako ofiara przemocy i niesprawiedliwości. To jeden z podstawowych ludzkich talentów...

Chciała wierzyć, że tym razem tak nie jest.

– Mam pomysł – rzuciła. – Włóż habit i idź do klasztoru. Z takim nastawieniem do kobiet nie masz szans w normalnym życiu.

Adam pokiwał poważnie głową.

Długie cienie, na przemian z jasnym plamami słońca ożywiały kamienie, malując pałacowe posadzki w fantazyjne mozaiki.

Iza i Marco przeszli nieśpiesznie przez przykryte dachem puste sale obu skrzydeł pałacu, okrążyli pokryty murawą dziedziniec. Przystanęli między wieżami.

Przez całą drogę z Zamościa prowadzili lekką rozmowę o filmach, muzyce, ludziach znanych z mediów i różnicach między mentalnością Włochów i Polaków. Iza wyznała w końcu, jak ma na imię. Marco żartował, opowiadał anegdoty o przyjaciółach z Wenecji i wrażeniach z podróży do Polski.

Zmienił się, kiedy weszli do Krzyżtoporu, spoważniał, w milczeniu i skupiony przyglądał się ruinom. Jego zachowanie dziwiło, lecz Iza powstrzymała się od pytań.

Zatrzymali w największej sali pałacu. Marco rozejrzał się dookoła.

– Wiesz, że Krzysztof Ossoliński, budując Krzyżtopór, wzorował się na pałacu Caprarola, który należał do rodu Farnese? – zapytał uroczystym tonem.

Nazwisko z jego paszportu! Iza aż otworzyła usta.

– Do twoich przodków?

Skinął głową potakująco.

– Jesteśmy boczną i mniej ważną linią rodziny. Zresztą Caprarola dawno już nie należy do rodziny. Podobnie jak Villa Farnese w Rzymie, którą odziedziczyli po nas Bourbonowie z Neapolu, a potem kupił francuski rząd.

– Jak to jest pochodzić z wielkiego rodu? – zapytała Iza.

Marco uśmiechnął się na widok jej miny.

– Mój ojciec mawiał, że to ogromne zobowiązanie.

– To znaczy?

– Wobec świata i ludzi. Jeżeli zostaliśmy obdarowani takim pochodzeniem i majątkiem, to mamy obowiązek bronić słabszych i dbać o mniej szczęśliwych.

– I ty tak robisz?

– Staram się. Choć nasz majątek bardzo się skurczył i nie mam już takich możliwości, jak poprzednie pokolenia.

Iza zastanowiła się przez chwilę.

– A gdybyś tak znalazł wielki skarb? – zapytała ostrożnie.

– Jaki skarb masz na myśli? – odpowiedział pytaniem Marco.

Uśmiechał się, ale jego oczy patrzyły uważnie.

– Powiedzmy, że ukryty właśnie tutaj...

– W tych ruinach? – Marco objął je gestem. – Z pewnością zostały dokładnie przeszukane.

Iza ruszyła przed siebie. Zatrzymała się pod północną ścianą sali, pogłaskała palcami umieszczony między cegłami biały piaskowiec.

– To dziwne uczucie wiedzieć, że twój przodek pomagał Ossolińskiemu przy wznoszeniu tej budowli – powiedziała. – Być może stał tu, gdzie ja teraz, patrzył na murarza, który układał ten kamień. Razem rozmawiali z architektem Wawrzyńcem Senesem.

– Masz na myśli swojego przodka? – Oczy Marca błysnęły.

Iza z dumą skinęła głową.

– Georgiosa Solona, przyjaciela wojewody. To mój prapradziadek.

– Niesamowite! Spotykamy się przypadkiem, a okazuje się, że łączy nas przeszłość!

– Może to nie jest przypadek?

– Co masz na myśli?

Stali blisko siebie, ona oparta plecami o ścianę, on lekko pochylony do przodu, z napięciem czekający na odpowiedź. Iza poczuła niepokój. Byli sami, strażnicy przy bramie wejściowej nie usłyszeli wołania o pomoc.

Po co jednak Włoch miałby ją atakować? Wpadła mu w oko i dlatego popisuje się pochodzeniem i wiedzą. Był przystojny, miły, nie miałaby nic przeciw niewinnemu romansowi. I to ona więcej o nim wie, może wyciągnie jakąś tajemnicę. Podobała jej się ta gra. Z uśmiechem przesunęła się w bok, minęła Marca, ruszyła przed siebie, zatrzymała się pośrodku sali.

– Może nasi przodkowie pragną, abyśmy razem odnaleźli skarb cesarzy Bizancjum? – zapytała kokieteryjnie. I natychmiast ugryzła się w język.

Marco podszedł bliżej.

– Cesarzy Bizancjum? Jaki skarb masz na myśli?

Iza nagle postanowiła pójść o krok dalej.

– A co zginęło z Konstantynopola? Po zdobyciu go przez Turków?

Marco udał, że próbuje sobie przypomnieć.

– Masz na myśli talizmany Apoloniusza?

– A zatem o nich słyszałeś...

– Wszyscy o nich słyszeli.

Iza pokręciła przecząco głową.

– Nie udawaj – powiedziała. – Jesteś z rodu Farnese, interesujesz się Krzyżtoporem i wiesz o talizmanach. Nie jesteś tu przypadkiem.

Marco westchnął, gestem pokazał, że się poddaje.

– Trafiony, zestrzelony – odparł. – Masz rację. Słyszałem o tej legendzie. Zaciekała mnie, przywiodła do Krzyżtoporu. Ale nie wożę w bagażniku łopaty. Nie przyjdę kopać w nocy.

Roześmieli się oboje.

– A nawet gdybym chciał, nie miałbym pojęcia, od czego zacząć – ciągnął. – Może w twojej rodzinie przechowały się jakieś wskazówki?

Dziewczyna rozłożyła ręce.

– No cóż... Zatem, możemy jechać. – Marco wskazał głową na wyjście.

Iza poczuła lekki żal. Nie spotkała jeszcze tak interesującego i przystojnego osobnika płci przeciwnej. Szkoda byłoby zakończyć tę znajomość tak nagle, stwierdziła w duchu.

– Połączymy siły? – zaproponowała, nie zastanawiając się, co może z tego wyniknąć.

Marco przystanął.

– Chcesz szukać skarbu? – zapytał.

– Dlaczego nie? Dla zabawy.

– To nie zabawa, droga Izabello. Tu potrzebna jest ogromna wiedza.

– Moja ciotka zna się na renesansie. I też ma ochotę pogrzebać przy talizmanach.

Cholerny język! Co robisz idiotko?, ofuknęła się w myślach, ale było już za późno.

Oczy Marca błysnęły.

– Ja też wiem trochę o starych sposobach ukrywania skarbów – powiedział powoli.

– Chciałabyś podzielić się tym, co ustaliła ciotka?

– Jeśli ty mi wszystko powiesz.

Marco wyciągnął rękę. Iza zawahała się, ale podała swoją.

– Wspólnicy? – zapytał.

– Wspólnicy!

Nie wypuszczał jej dłoni.

– Myślę, żeby napisać książkę o fundatorze Krzyżtoporu – zaczął.

– O Ossolińskim?

– Natrafiłem na ciekawe ślady w jego biografii. Sądzę, że ogromny wpływ miała na niego kobieta.

– Żona? – zaciekała się Iza.

– Kochanka. Zakazana miłość. Renesans pełen jest romantycznych historii. Nasi przodkowie potrafili kochać mocniej. Szaleli z miłości, zabijali i ginęli dla miłości.

Iza westchnęła głęboko.

W mieszkaniu rozległ się dzwonek. Była szósta wieczorem i nikt nie spodziewał się gości. Luscia siedziała przy biurku w pokoju, który zajęła na swój gabinet. Ubrana była w podomkę z czerwonymi różami, na twarzy miała zieloną maseczkę z alg; przed nią leżała dokumentacja medyczna wykradziona z Buska. Spisywała długą listę faktów świadczących o chorobie psychicznej Zofii Solińskiej.

– Daria, Robert! Ktoś do was? – zawołała.

– Nie! – odkrzyknęła córka.

– Zenon, gdzie jesteś? – wrzasnęła Lusia.

– W toalecie! – Dobiegło zza zamkniętych drzwi.

Dzwonek zadźwięczał ponownie. Długo i natrętnie.

– Wylaź i zobacz, kogo przyniosło!

– Nie mogę, bo sram! – odkrzyknął zdenerwowany Zenon.

– Cham – mruknęła pod nosem Lusia. – Robert, Daria! Ruszcie się, do cholery!

Rozległo się niewyraźne przekleństwo. Ubrany w bokserki i podkoszulkę Robert pojawił się w przedpokoju. Podszedł do drzwi wyjściowych i otworzył je na szerokość blokującego łańcuszka.

W szparze pojawiła się twarz Maurycego Podreckiego.

– Ja do pani Leokadii Solińskiej – powiedział z uprzejmym uśmiechem.

– Kustosz do ciebie! – zawołał Robert w głąb mieszkania, nie spuszczać wzroku z przybysza.

– Czego chce? – odpowiedział mu głos Lusi.

Robert spojrział na gościa pytająco.

– Mogę pomóc w odzyskaniu spadku – powiedział Podrecki.

– Mówi, że pomoże ze spadkiem!

Zapadła cisza, a po chwili rozległo się szuranie kapci. W przedpokoju pojawiła się Lusia.

– Niby jak? – zapytała opryskliwie.

Podrecki cofnął się na widok zielonej maski, która nadawała Lusi wygląd rozgniewanej kosmitki.

– Pragnę przeprosić szanowną panią za zajście w dworku – zaczął uprzejmie, zezując przez szparę w drzwiach. – Słyszałem, że pani chce dowieść choroby psychicznej nieboszczki. Uważam, że mogę być w tej materii przydatnym świadkiem.

Zielona maska wygładziła się nieco. Lusia spojrzała przychylniej.

– Na co czekasz? Nie trzymaj tak gościa za drzwiami – rzuciła z naganą do zięcia.

Robert zdjął łańcuszek, otworzył drzwi na oścież. Podrecki przekroczył próg.

– Widział pan szaleństwa Zofii? – zapytała rzeczowo Lusia.

– Niejedno, szanowna pani – potwierdził.

– No to zapraszam.

Wskazała na otwarte drzwi do jadalni.

– Zmyję tylko maseczkę i wracam – oświadczyła. – Robert zrobi panu coś do picia.

– Bardzo dziękuję, nie trzeba.

– Zrób panu kawy – poleciła Lusia i znikła.

Robert z Podreckim spojrzeli po sobie.

– Jeśli już, to z mlekiem – poprosił kustosz.

– Nie ma mleka – stwierdził sucho Robert i poszedł do kuchni.

Podrecki usiadł przy stole.

Po kilku minutach drzwi otworzyły się i do jadalni wkroczyła Lusia. Wciąż miała na sobie podomkę, jej twarz była blada i błyszcząca od kremu. Usiadła naprzeciwko

gościa, spojrzała badawczo.

– Słucham – powiedziała.

Kustosz odchrząknął, po czym zaczął mówić, z naciskiem, dobierając słowa. Nie patrzył gospodyni w oczy.

– Uważam, że Zofia nie miała prawa pozbawiać spadku najbliższego krewnego...

Lusia machnęła lekceważąco ręką.

– Daj pan spokój z komunałami! – prychnęła. – Interesują mnie konkrety.

Niemile zaskoczony Podrecki wbił wzrok w blat.

– Ewa Modlińska zmanipulowała stryjeczną babkę... – oznajmił po kilku sekundach.

– To jasne jak słońce. Ma pan coś dla mnie, czy nie?

Wszedł Robert, postawił na stole szklanek z kawą i wyszedł. Kustosz złożył usta w ciup.

– A gdybym powiedział, że widziałem Zofię, jak galopowała w nocy na koniu? – zapytał.

– I co z tego?

– Całkiem naga.

Lusia patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Żartuje pan?

– Nie żartuję. Zupełnie jak lady Godiva.

– Kto taki?

– Dama z jedenastowiecznej angielskiej legendy – wyjaśnił kustosz. – Żona lorda Coventry. Żeby przebłagać męża i obniżyć podatki, zgodziła się przejechać konno przez miasto na golasa.

– Co mi pan zawracasz głowę jakąś Godziwą? – Zirytowała się Lusia. – Widział pan gołą Zofię, czy nie?

Podrecki przytaknął z przekonaniem.

– Jak panią widzę – zapewnił.

– Głupie porównanie – parsknęła.

– Przepraszam. – Poprawił się kustosz. – Na koniu, w nocy, galopowała całkiem naga.

Lusia uderzyła pięścią w blat.

– To jest coś! – zawołała zadowolona. – A jakieś inne przykłady?

– Cała lista, droga pani.

– Świetnie! – Podekscytowana Lusia wstała i zaczęła krążyć wokół stołu. – Spiszemy pana zeznania. No i wystąpi pan w sądzie!

– Pod jednym wszakże warunkiem... – zastrzegł się Podrecki.

Lusia spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Chce pan procentu? – zapytała. – Uprzedzam, że zapłacę dopiero po odzyskaniu spadku i sprzedaży majątku.

Kustosz rozgrywał uzyskaną przewagę w milczeniu, udając, że się waha.

– No, mówże pan!

– Zgodzi się pani sprzedać dworek moim znajomym. To Włosi, zamożni. Szukają

czegoś w tym stylu.

Lusia zastanowiła się.

– Jeśli zapłacą dobrą cenę, dlaczego nie? – odparła.

– Cena będzie w porządku. – Kustosz uśmiechnął się zadowolony. – Aha, mam jeszcze coś. – Położył na blacie płytę DVD. – Zofia nagrała swoje wystąpienie, krótko przed śmiercią. Wykradłem płytę i zrobiłem kopię.

Zaciekawiona Lusia przyjrzała się kopercie.

– Mówi jak psychicznie chora?

– Można to tak określić. Ale istnieje też możliwość, że mówi do rzeczy.

– Proszę jaśniej.

Podrecki zaczerpnął powietrza.

– Opowiada o skarbie, który być może ukrył wasz przodek, Grek o nazwisku Solon, wspólnie z Ossolińskim.

Mina Lusi świadczyła o niezrozumieniu albo o wątpliwościach co do zdrowych zmysłów gościa.

– Powiedział pan: Solon? – Upewniła się. – To dlatego ta wariatka zmieniała nazwisko?

– Zgadza się, proszę pani.

– Co jej to dało? I jaki znowu skarb? – Teraz w oczach Lusi niedowierzanie mieszało się z chciwością. – Ukryty jest w dworku?

– W Krzyżtoporze – sprostował kustosz.

– W pałacu? Ale co Zofia...

– Powiedziałem już – wszedł jej w słowo Podrecki. – Wasz przodek Solon i Ossoliński być może ukryli tam skarb. Tak zwane talizmany Apoloniusza, całe ze złota, wysadzone drogimi kamieniami.

Lusia przysiadła na krześle. Na jej policzki wystąpiły rumieńce.

– Ile to może być warte? – wyszeptwała.

Kustosz udał zastanowienie.

– Hm, mogą wystąpić problemy ze sprzedażą... Ale zakładając, że uda się wywieźć talizmany na przykład do Chin, szacuję zysk rzędu kilkuset milionów dolarów.

Lusi na moment zabrakło tchu.

– Żartuje pan?

– Jestem śmiertelnie poważny, pani Leokadio – zapewnił ją Podrecki. – Tyle że wywiezienie ich wcale nie będzie proste.

– Można przetopić złoto na sztabki – zasugerowała Lusia. – A kamyki to nie problem

– Brawo! Bardzo praktyczne – pochwalił sarkastycznie kustosz. – Najpierw jednak trzeba znaleźć talizmany. Po odzyskaniu dworku zbadamy tropy, na które moim zdaniem tam natrafimy. Myślę, że dworkę kazał zbudować, lub kupić, sam Georgios Solon. Zamieszkał w Rzeczypospolitej jako strażnik skarbu. Z pewnością pozostawił po sobie tajemne kody. Trzeba przeszukać piwnice, strychy, zajrzeć pod tynki. Ludzie renesansu kochali się w tajemnicach i prowadzących do nich zaszyfrowanych symbolach.

– Coś o tym słyszałam – bąknęła Lusia. – Ale odzyskanie spadku może potrwać

rok albo i dłużej.

– Kiedy sąd zawiesi wykonanie testamentu, dworek zostanie zamknięty i opieczętowany. Ale my znajdziemy sposób, żeby dostać się do środka. A po wszystkim sprzeda go pani Włochom.

– Doskonale! – powiedziała Lusia i nagle zaniepokoiła się. – Ewa wie?

Kustosz przytaknął.

– Jej wiedza się nam przyda. A potem pozbędziemy się kłopotu.

– Chyba nie ma pan na myśli... – Lusia przesunęła palcem po szyi.

Podrecki twardo spojrzął jej w oczy.

– Ludzie znikają, gdy w grę wchodzi znacznie mniejsze sumy – powiedział. – Proszę obejrzeć film Zofii, to lepiej pani zrozumie wszystkie niuanse. Radzę jednak nie pokazywać go rodzinie. Im mniej wtajemniczonych, tym lepiej dla sprawy.

Lusia przełknęła ślinę i posłusznie pokiwała głową.

Po przyjeździe do dworku oboje nie mieli ochoty na rozstanie. Ewa zaproponowała, żeby zjedli razem kolację. Adam zgodził się, ale najpierw zadzwonił do Kasi. Upewnił się, czy nie będzie miała za złe, że nie powie jej dobranoc.

Ewie udało się wreszcie połączyć z Izą. Usłyszała, że dziewczyna dobrze się bawi i wróci późno. Ucięła pytania o Włocha, który ją odwiózł do Ujazdu, ale obiecała, że opowie o nim.

Kolację podała Zenia, której nie przeszło jeszcze uprzedzenie do Adama. Powstrzymała się od pytań i komentarzy, ale obrzucała go nieufnym spojrzeniem. Z hałasem postawiła przed nim butelkę czerwonego wina i korkociąg.

– Lekko mnie przeraża ta kobieta – wyznał szeptem Adam.

Ewa obiecała porozmawiać z gosposią. Potem unikali osobistych tematów, mówili o zarządzaniu majątkiem i prawnych sposobach odparcia ataku Lusi. Zdaniem Adama, sąd musi przystać na powołanie dwóch biegłych psychiatrów, można będzie zatem podważyć opinię tego, któremu zapłaci Lusia.

W połowie rozmowy zadzwoniła Małgorzata, która domagała się szczegółowej relacji z wizyty w Zamościu. Chciała usłyszeć, czy Ewa zdecydowała się wreszcie na romans z Adamem.

– Przyjrzyjmy się razem portretowi – zaproponowała Ewa po kolacji.

Przeszli do saloniku. Ewa zdjęła portret ze ściany i ustawiła na stoliku. Adam przyglądał się z ciekawością, z kieliszkiem wina w ręku. Ewa wylała do porcelanowej miseczki trochę terpentyny. Zanurzając najmniejszy pędzelek w terpentynie, spojrzła w oczy Ossolińskiemu.

– Mówmy sobie per ty, wojewodo – zaproponowała. – Tyle lat się znamy, a tak mało o sobie wiemy. Wiedziałaś, że jestem prawniczką twojego przyjaciela Solona, ale nie zająknęłaś się o tym ani słowem.

– Nieładnie, Krzysztofie – powiedział Adam.

Ewa wskazała na niego pędzlem.

– To mój adwokat, Adam Dąbrowa. Udawał, że nie interesują go tajemnice

z przeszłości, ale w końcu nie wytrzymał. Teraz razem pociągniemy cię za język. Nie jesteśmy inkwizytorami, ale nie cofniemy się przed naruszeniem twojej nietykalności.

Adam przytaknął z powagą.

– Na twoim miejscu nie opierałbym się. Tej pani się nie odmawia, kiedy czegoś chce.

– A dzięki twej szczerości, być może zdecyduję się powrócić do zajęcia, które kocham, a które zdradziłam dla mamony – ciągnęła Ewa.

– Historia sztuki? – zapytał Adam.

Skinęła głową.

– Poza tym wywołałibyśmy sensację na skalę światową – tłumaczyła magnatowi.
– Zjechałyby się telewizje ze wszystkich kontynentów. Stałbyś się, mości Krzysztofie, sławny. Bardziej niż za życia. Co ty na to?

Ossoliński patrzył na nią z lekkim uśmiechem.

– Muszę przyznać, że masz ładne oczy – stwierdziła Ewa zalotnie. – Gdybyś ożył, może bym się w tobie zakochała.

Adam poruszył się niespokojnie.

– Arystokraci to ludzie pyszni i zarozumiali – stwierdził.

– Nie wszyscy. Krzysztof z pewnością miał wielkie serce.

– I dlatego wypędził arian z Sandomierza i okolicy?

– Nie wiedziałam. – Ewa pogroziła portretowi palcem. – Nieładnie.

– Zagorzały katolik, wróg reformacji – ciągnął Adam. – To oznacza ciasny nietolerancyjny umysł.

Ewa skarciła go spojrzeniem.

– Przestań! – powiedziała – Próbuję się z facetem zaprzyjaźnić. W tamtych czasach bycie katolikiem równało się jedności i sile Rzeczypospolitej skupionej wokół wspólnej wiary. Przypominam ci, że protestanci z radością powitali Szwedów niedługo później.

– To prawda – przyznał Adam. – Wybacz, Krzysztofie. Przemówiła przeze mnie zazdrość.

Ewa zastygła z wyciągniętym w jego kierunku pędzlem. Aby pokryć zmieszanie, zwróciła się do portretu.

– Dość głupot. Nie gniewaj się, wojewodo, ale trochę oczyszczę cię z brudu. Zapuszczony jesteś straszliwie.

Ponownie zanurzyła pędzelek w terpentynie i ostrożnie przejechała włosiem ponad lewym ramieniem Ossolińskiego. Poprzedniego dnia oświetliła płótno stuwatową żarówką i dostrzegła w tym miejscu niewyraźne geometryczne kształty.

Adam pochylił się i w napięciu śledził delikatne ruchy.

– Nie zasłaniaj światła! – ofuknęła go Ewa.

Lampa oświetlała obraz z przeciwnej strony, mimo to Adam cofnął się posłusznie.

Terpentyna działała powoli, rozjaśniając warstwy pociemniałej farby. Pojawił się zarys miniaturowych wież i murów.

– Krzyżtopór! – wyszeptał Adam.

Ewa uśmiechnęła się zadowolona.

– Oczywiście. A co innego poleciłby umieścić Ossoliński na swoim portrecie?

Pałac był jego radością i dumą.

– Za ledwie przez rok...

– Zgadza się. Fatalna malaria! – stwierdziła Ewa i przystąpiła do czyszczenia farby ponad miniaturą pałacu.

Pędzelek odsłonił po lewej bryłę piramidy, a po prawej wizerunek jednorożca.

Ewa odsunęła się o krok. Musiała opanować ogarniające ją podniecenie.

– Wspaniałe! Tylko dlaczego na odwrót? – myślała na głos.

– Co: na odwrót?

– Na sztychu, który dostał się Podreckiemu, jednorożec był po lewej, a piramida po prawej. Zobacz.

Wyciągnęła z kieszeni telefon, odnalazła zdjęcie.

– To ma znaczenie?

– W renesansie nic nie bywało przypadkowe. Najmniejszy szczegół to ważny symbol. W gotyku też, ale renesans miał prawdziwego fioła na punkcie alegorii. Jednorożec oznacza kosmiczną równowagę, harmonię w świecie uwolnionym od wszystkiego, co nieczyste. Piramida to wieczność, wspinaczka do wyższego świata.

– Dobra jesteś. – W głosie Adama zabrzmiał podziw.

Ewa skinęła głową ze skromnym uśmiechem.

– Wie o tym każdy student drugiego roku historii sztuki.

– Mówisz renesans, a obraz to początek siedemnastego wieku. Pełny barok.

– W sztuce, panie mecenasie. Renesans zaczął się w głowach. I przetrwał tam kilka wieków. Popatrz tylko na to!

Wyciągnęła spod bluzki wisiorek i wskazała na wizerunek Abraksasa na portrecie.

– Kazałaś zrobić sobie taki sam?

– Dostałam go od mojej matki. A ona od swojej matki.

– Ciekawe...

– Abraksas to symbol wieloznaczny. Symbolizuje pełnię, trzysta sześćdziesiąt pięć tysięcy lat, czyli według starożytnych wiek Kosmosu albo tysiąc ludzkich lat. Oraz pełny rok. Trzysta sześćdziesiąt pięć okien ma Krzyżtopór, plus jedno zamurowane. Znalazłam Abraksasa na kamiennej płycie na pałacowym dziedzińcu. I w tajnej loży masonów, w naszej zamojskiej kamienicy.

Adam był pod wrażeniem.

– Ale nie mam pojęcia, co dalej. – Rozłożyła ręce Ewa.

Uśmiech Ossolińskiego zdawał się kpić z jej bezsilności.

– No, Krzysztofie – poprosiła go Ewa, zbliżając pędzelek do ust magnata. – Podpowiedz coś albo zmażę ci ten uśmieszek z gęby!

– Nie wypada tak mówić do wojewody – napomniał ją Adam.

– Masz lepszy pomysł?

– Prześwietlmy go rentgenem. Słyszałem, że w renesansie zdarzało artystom się malować wielowarstwowo. Może i Ossoliński coś ukrył w ten sposób?

– Nie jesteś ignorantem! – zdziwiła się Ewa.

– Interesowałem się kiedyś historią sztuki.

Ewa usiadła na fotelu, odłożyła pędzelek. Że też sama na to nie wpadłam,

pomyślała.

– Po co miałby coś ukrywać pod farbą? Nie znał chyba rentgena? – zapytała.

– Może miał ją usunąć wtajemniczony spadkobierca? Albo sam Ossoliński, w kolejnym wcieleniu.

– Zagorzały katolik i mason wierzący w reinkarnację? – Uśmiechnęła się Ewa. – Coraz lepiej, panie mecenasie. Masz znajomego radiologa?

– Znajdzie się.

– Cóż, zgadzam się, żebyś został moim pomocnikiem przy wyjaśnianiu zagadki talizmanów – powiedziała.

– Wspólnicy?

– Nie jesteśmy gangsterami, panie mecenasie, a naukowcami. Skarbu zapewne nie odnajdziemy, ale być może powstanie z tego ciekawy esej.

– Albo praca doktorska? – zasugerował Adam przekornie.

– Albo doktorat – potwierdziła. – Myślisz, że o taką opiekę chodziło Zofii?

– Jej duch czuwa nad nami.

Oboje starali się ukryć wzruszenie. Uścisnęli sobie dłonie.

Federico siedział skupiony przed laptopem, na ekranie którego Ewa i Adam stali przed mocno oświetlonym portretem. Giovanni krążył między kuchnią a salonem.

– Mówią coś ciekawego? – zapytał, stawiając na stole półmisek z parującym spaghetti, butelkę wina, talerze i kieliszki.

– Ewa znalazła na portrecie miniaturę pałacu, jednoroźca i piramidę – odparł Federico. – Niestety, są zbyt małe, by zobaczyła je nasza kamera.

– Co to jest jednorożec? – zapytał Giovanni.

Stary Włoch westchnął niecierpliwie.

– Mitologiczny stwór, koń z rogiem na czole, symbol kosmicznej harmonii. A także czystości i niewinności. Istotne jest, czy ma jelenie nogi i ogon lwa i z jakiej pochodzi epoki. I w którą stronę jest zwrócony.

– Aha – zgodził się Giovanni. – I co, wskaże nam rogiem talizmany?

– Oczywiście, mój drogi – wycedził Federico. – A ty popędzisz i zaczniesz kopać. Giovanni zrobił obrażoną minę.

– Niech wuj lepiej coś zje. – Wskazał na półmisek.

Federico przyjrzał się makaronowi.

– Z krewetkami?

Giovanni z dumą skinął głową.

– Nikt takiego nie potrafi zrobić – pochwalił się. – Oferowano mi pracę w kilku restauracjach.

– Trzeba było przyjąć – stwierdził senior rodu Farnese. – Nie ma nic gorszego niż zmarnowany dar od Boga. – Przyciągnął do siebie talerz. – Nie wiesz przypadkiem, co się dzieje z twoim kuzynem? – zapytał.

Giovanni wzruszył ramionami i zaczął nakładać wujowi spaghetti.

– Zawraca głowę tej dziewczynie – oświadczył. – Wyłączył telefon.

Federico zaniepokoił się.

– Mam nadzieję, że nie posunie się za daleko – sapnął. – Mógłby wszystko popsuć!

– Posuwanie jeszcze nikomu nie zaszkodziło...

– Osiół jesteś, Giovanni! Dziewczyna jest młoda. Łatwo ją spłoszyć.

Po wyjeździe Adama Ewa wzięła gorący prysznic, a potem z wdzięcznością przyjęła gorące kakao, które zaproponowała jej Zenia. Usiadły razem przed telewizorem w gabinecie Zofii, ale Ewie trudno było skupić się na serialu, który włączyła gosposia. Nieuważnie śledziła skomplikowane losy bohaterów.

– Który to odcinek, Zeniu? – zapytała.

– Tysiąc dwudziesty drugi.

– To oglądaj, nie przeszkadzaj sobie. Miałam ciężki dzień, idę spać – oświadczyła i ruszyła do drzwi.

– Nie słyszysz czasem skrzypienia podłóg albo kroków na strychu? – zagadnęła gosposia.

Ewa przystanąła w progu.

– Chyba nie mówisz o duchach?

Zenia przytaknęła z poważną miną.

– Nie boję się Zofii – oświadczyła Ewa. – Ona na pewno nie chciałaby nas skrzywdzić.

Gosposia użyła pilota i telewizor zamilkł.

– Starsza pani nie mówiła nic, bo nie chciała cię straszyć.

– O czym?

W oczach Zeni czaił się lęk.

– W tym domu mieszka duch Baldwina – powiedziała konspiracyjnym szeptem.

– Syna Krzysztofa Ossolińskiego?!

Zenia przytaknęła, a potem się przeżegnała.

– Ja się tam do niego przyzwyczaiłam – oświadczyła. – Ale wolałabym się z nim nie spotkać twarzą w twarz.

– Może jest przystojnym młodzieńcem. – Uśmiechnęła się Ewa, choć na plecach poczuła mrówki.

– Nie wolno tak żartować! – powiedziała z pretensją gosposia. – Biedny Baldwin! Zginął na wojnie z Turkami, od strasznej rany po ciosie zadany toporem!

Wykonała szeroki zamach i gwałtownie opuściła ramię.

Ewa aż się wzdrygnęła.

– Przestań – poprosiła. – Dusze nie mają cielesnych ran.

– A skąd o tym wiesz? – Zenia przekrzywiła głowę. – Widziałas jakąś?

– Czasem śni mi się mama – odparła po namyśle Ewa. – Zawsze młoda i piękna.

– Bo cię kocha – stwierdziła z przekonaniem gosposia. – A Baldwin nie ma za co.

– Skąd wiesz?

– Zginął daleko stąd, nikt nie sprowadził ciała, bo jego ojciec już nie żył. Tak mówiła pani Zofia. Może w ogóle nie miał chrześcijańskiego pochówku? Przecież Turcy

to poganie. Dlatego chodzi i straszy.

– W naszym dworku? – powątpiewała Ewa. – Przecież tutaj nie mieszkał.

– W pałacu też go widziano – upierała się Zenia. – A nasz dworek i pałac coś mają ze sobą wspólnego.

– Według Zofii?

Gospośia przytaknęła.

– Dałam na mszę za Baldwina, ale nie pomogło – powiedziała. – Dalej chodzi.

Ewa uznała, że najwyższy czas zakończyć tę rozmowę.

– No cóż, nic na to nie poradzimy. Kiedy go spotkam, poproszę, żeby dał nam spokój.

– Lepiej, żebyś go nie spotkała, Ewuniu. Można umrzeć na serce. Zapytaj Stanisława.

– Widział Baldwina?

– Jak ty mnie widzisz. Gdyby się nie napił mojej nalewki, nie strzymałby, jak nic! Ewa ledwie powstrzymała rozbawienie.

– Może najpierw się napił?

W oczach Zeni pojawiła się obraza.

– Mój Stanisław? W życiu!

– Przepraszam cię, żartowałam – powiedziała szybko Ewa. – Czas spać – dodała.

Zenia ani drgnęła.

– Tu tylko ksiądz pomoże. Taki, który zna się na rzeczy.

– Egzorcysta?

– Właśnie. Mówiłam pani Zofii, ale była uparta, jak nie przymierzając osioł. „Żaden ksiądz nie będzie mi tu odprawiał czarów-marów”, mówiła.

– Wyobrażam sobie! – Uśmiechnęła się Ewa.

Zenia wzięła jej rękę w obie dłonie.

– Ale ty jesteś mądra i się zgodzisz, prawda? – poprosiła.

– Zastanowię się. Obiecuję.

Oczy gospośi rozblęły radością.

– Dziękuję, Ewuniu! Gadałam już z naszym proboszczem. Powiedział, że sprowadzi najlepszego, z Krakowa. Poproszę, żeby do niego zadzwonił!

– Powoli, Zeniu...

– Oczywiście! Co nagle, to po diable. Ten ksiądz wygania złe duchy w całej Polsce, nie jest łatwo go ściągnąć. Proboszcz powiedział, że trzeba będzie poczekać nawet trzy miesiące. Może do tej pory Baldwin się nie zjawi?

– Na pewno, Zeniu. Dobrej nocy. Śpij spokojnie.

– Ty też, Ewuniu.

W sypialni Ewa z ulgą wyciągnęła się na łóżku. Zdała sobie sprawę, że czas spędzony z Adamem ją wyczerpał. Czy to oznacza, że w jego obecności tłumiła uczucia i podświadomie czyniła wysiłki, żeby dobrze wypaść? Znała siebie od tej strony – nic jej tak nie męczyło, jak próby stania się lepszą od wyobrażenia o sobie samej. Wydatek energii na podobanie się ludziom. Od tej pory zacznie traktować Adama wyłącznie jako doradcę, postanowiła.

Zamknęła oczy i rozluźniła ciało. Kogo próbujesz oszukać?, kołatało jej w głowie pytanie drugiej Ewy, lecz myśli już płątały się bezładnie i odpływały.

Ocknęła się na dźwięk dzwonka telefonu. Na wpół przytomnie spojrzała na wyświetlacz.

– Cześć, Małgoś – ziewnęła.

– Co się z tobą dzieje? – usłyszała głos przyjaciółki. – Próbowałam się połączyć trzy razy!

– Przepraszam. Zasnęłam na moment.

– Na moment? – parsknęła Małgorzata. – Też miewam takie momenty! Od kochania się całymi nocami. Powiedz lepiej prawdę.

Ewa rozbudziła się całkowicie.

– Przestań! Jestem bardzo grzeczna.

– To fatalnie – stwierdziła Małgorzata. – Nie zamierzam cię zresztą ciągnąć za język. Mam problem z Baltazarem. – Zmieniła temat.

– Co się dzieje?

– Nie chce, bydlę, jeść. Byłam dziś u weterynarza, nie chciałam cię martwić, myślałam, że da mu coś na apetyt i z głowy. Ale on powiedział, że to z tęsknoty. I że papugi potrafią zagłodzić się na śmierć. Nie ma wyjścia. Musisz wracać albo przywiozę ci ptaszysko do twojej dziury.

– Jestem straszliwie zajęta...

W głosie Małgorzaty zabrzmiała złośliwość.

– Wiem, wiem, majątek i pan mecenas! Lojalnie uprzedzam cię, że zrobię z Baltazara rosół, zanim schudnie do reszty!

Ewa wyobraziła sobie ukochanego papuga z nastroszonymi piórami i smutnymi, na wpół przymkniętymi oczami. Bywał taki, kiedy ona wracała od mieszkającej w Bieszczadach matki. Nie mogła go tam zabierać. A gdy mama zachorowała i Ewa musiała spędzić z nią kilka tygodni, Baltazar omal nie wyzionął ducha.

– Jesteś tam? – zniecierpliwiła się Małgorzata.

– Jestem. Czy możesz dać Baltazara do telefonu?

– Co takiego? Padło ci na umysł, Ewuniu?

– Mówię poważnie. Przystaw telefon do klatki.

Małgorzacie na chwilę odjęło mowę.

– Rozumiem – westchnęła wreszcie. – Banda wariatów! Znalazłaś już te swoje talizmany?

– Jeszcze nie. Jesteś przy klatce?

– Aha.

Ewa myślała intensywnie. Musiała odezwać się w taki sposób, jaki papug znał i lubił.

– Witaj, Baltazarze. Co u ciebie słysząc? – powiedziała ostrożnie.

Cisza.

– Baltazarze... Niedługo wrócę, obiecuję.

Wciąż nie było reakcji.

– Siedzi z obrażoną miną – stwierdziła Małgorzata. – Odwrócił się plecami! –

zawołała. – Szturchnę drania w bok, co?

– Nie, zostaw! – Powstrzymała ją Ewa. – Może rozwalić ci palec. Potrafi być bardzo szybki. Daj mi chwilę – poprosiła.

Przypomniała sobie nagle magiczne słowa, na które papug reagował najmocniej.

– Baltazarze, kiedy wrócę, pójdziemy do parku na spacer!

– Idiotka! – rozległ się w telefonie skrzeczący wrzask.

Małgorzata wybuchnęła śmiechem.

– Masz za swoje!

– Baltazarku... Proszę cię, zjedz coś – ciągnęła niezrażona Ewa. – Kocham cię, przecież wiesz.

– Odwrócił głowę! – zawołała podekscytowana Małgorzata. – I przechylił na bok, jakby chciał lepiej słyszeć. Mów dalej!

– Zjesz trochę, prawda? – przekonywała Ewa. – Bardzo cię proszę.

– Jasna cholera! Makabra! – wrzasnął papug.

– Masz rację. Bardzo cię przepraszam – ciągnęła ze skruchą.

– Dziobnął ziarno! – relacjonowała Małgorzata. – Je. Zaczął jeść! – krzyknęła.

– No i chwała Bogu! Rano porozmawiam z nim ponownie – obiecała Ewa. –

A teraz pozwól mi pospać.

– Śpij – zgodziła się przyjaciółka. – Ale jeśli zamieszkasz tam na stałe, ja też przestanę jeść!

– Kocham Ewę! – zawołał Baltazar.

A ona poczuła napływające do oczu łzy.

Zapadła noc, w dworku zgasły światła.

Przy parkowej bramie zatrzymał się samochód, wyłączył reflektory. Wysiedli z niego Iza i Marco. Przez gałęzie dębów świeciła tarcza księżycyca.

Po wizycie w Krzyżtoporze nie potrafili się rozstać. Długo spacerowali po łąkach, opowiadali o sobie, bawili historiami o członkach swoich rodzin. A kiedy zaszło słońce, zgłodnieli i pojechali do Ujazdu.

Do kolacji na tarasie klasycystycznego dworu wypili butelkę czerwonego wina. Iza poczuła przyjemny szum w głowie. Leniwie zastanawiała się, czy Marco zaproponuje wynajęcie apartamentu. Nie była pewna, czy odmówiłaby.

Nie spędziła jeszcze nocy z mężczyzną, była pod tym względem ostatnia wśród przyjaciółek. Znajomi chłopcy wydawali się niedojrzali, zarozumiali i pełni kompleksów.

Przystojny, pewny siebie, a zarazem delikatny Włoch byłby idealnym startem w dorosłość, myślała. Ale Marco zachowywał dystans, choć była pewna, że nie zawahałby się, gdyby to ona uczyniła pierwszy krok. Nie chciała jednak, by uznał ją za łatwą zdobycz.

Z zalem przyjęła propozycję odwiezienia do domu.

Stali teraz w milczeniu naprzeciw siebie i nie potrafili znaleźć słów pożegnania. W gałęziach dębów słowik śpiewał miłosną serenadę. Iza czuła uderzenia tętna w skroniach, gotowa zacząć całować Marca albo go odepchnąć. Gdyby on spróbował.

- Muszę już iść – powiedziała w końcu z przymusem.
- Ja też – przytaknął Marco. – To był najprzyjemniejszy wieczór, jaki pamiętam.
- Dziękuję. Świetnie się bawiłam.

Że też nie potrafię wymyślić nic oryginalnego!, zżymała się w duchu.

- Kiedy się zobaczymy? – zapytał Marco.

– Nie wiem. Zadzwoń.

– Na pewno.

Zamilkli ponownie, zmieszani wzajemną bliskością. Marco ostrożnie dotknął jej szyi, Iza pochyliła głowę. Pocałowali się delikatnie, żeby nie spłoszyć uroku chwili.

- Dobranoc, Marco – westchnęła Iza i przytuliła głowę do jego piersi.

– Dobranoc, Izabello.

Odwróciła się i ruszyła przez bramę w stronę uśpionego dworku.

- Dam znać, jak się mają sprawy z talizmanami – rzuciła przez ramię.

– Śpij dobrze.

Po cichu weszła do uśpionego domu, ruszyła w stronę schodów. Po paru krokach zawróciła i weszła do salonu. Nie potrafiłaby teraz zasnąć, miała ochotę na jeszcze jeden kieliszek wina. Zapaliła latarkę w telefonie i dotarła do kredensu. Za przeszklonymi drzwiczkami nie znalazła wina, wzięła więc butelkę koniaku i nalała sobie pół kieliszka.

Kiedy szła do wyjścia, światło telefonu padło na wiszący na ścianie portret. Coś przykuło jej wzrok. Podeszła do portretu i poświeciła z bliska. Nad lewym ramieniem Ossolińskiego, na oczyszczonym fragmencie tła, zobaczyła miniaturę Krzyżtoporu, a nad nią dwa znaki: jednorożca i piramidę.

- Coś podobnego – szepnęła do siebie podekscytowana.

To była okazja, aby podziękować Marco, dowieść, że poważnie traktuje ich współpracę. Ustawiała w telefonie aparat fotograficzny, zrobiła zdjęcie odsłoniętym znakom na portrecie. Odnalazła numer Marca, wysłała zdjęcie. Pod spodem dodała serduszko i pytanie: „Jeśli wiesz, napisz, co to znaczy”.

Czuła się znakomicie. Jest świetnym konspiratorem, będzie pracować na dwie strony, zdobędzie wiedzę od Włochów i Ewy. Kiedy nadejdzie decydująca chwila, ona okaże się najlepiej poinformowana, wskaże drogę do skarbu cesarza Bizancjum, a wszystkim opadną szczęki. Zadowolona podniosła kieliszek z koniakiem w stronę Ossolińskiego.

- Twoje zdrowie, Krzysztofie.

11.

Za oknem szara zawiesina mżawki odbierała kamieniczkom kolory, zlewając niebo i kontury miasta w jeden twór. Jakby złudzeniem był wysiłek człowieka, aby zaprowadzić porządek w labiryncie świata.

Leokadia Solińska i Maurycy Podrecki siedzieli w kancelarii, której nazwa i renoma sięgały czasów przed pierwszą wojną światową. Adwokat o dźwięcznym litewskim nazwisku Sabiłło wywodził swój ród od radcy prawnego służącego na dworze kanclerza i hetmana wielkiego koronnego Jana Zamoyskiego.

Z krótko przyciętą siwą brodą i wąsami, w wysokim kołnierzyku koszuli i przypominającym surdut garniturze sprawiał wrażenie, jakby zszedł z obrazu na ścianie gabinetu. Płótno przedstawiało zamojską i lubelską palestrę na zjeździe w latach dwudziestych.

Jedynymi nowoczesnymi przedmiotami pomiędzy ciężkimi antykami były odtwarzacz wideo i telewizor, na ekranie którego Zofia opowiadała o próbach rozwiązania tajemnicy skarbu Krzyżtoporu.

Lusia z napięciem patrzyła na twarz mecenasa, próbując się domyślać, co mu chodzi po głowie. Jednak ku jej rozczarowaniu stary wyjadacz najmniejszym drgnieniem mięśni ani błyskiem oka nie dawał po sobie poznać, co myśli.

– „Mam nadzieję, że ty, dzięki wykształceniu, poskładasz wszystkie tropy. Ja nie potrafię. A jeśli rozwiążesz zagadkę z przeszłości, dotrzymaj przysięgi Solonów! Znajdź skarb cesarza Bizancjum i strzeż go jak oka w głowie!” – wybrzmiały ostatnie słowa monologu Zofii, a ekran wypełniła szara mżawka.

Sabiłło milczał, zadumany.

– I co pan mecenas uważa? – Nie wytrzymała Lusia, pokrywając zniecierpliwienie uprzejmym uśmiechem.

Prawnik posłał jej ciężkie spojrzenie spod krzaczastych brwi. Wory pod oczami świadczyły o jego słabości do alkoholu, problemach z wątrobą i snem.

– To byłaby sensacja na skalę światową – powiedział wreszcie.

Głos miał niski i chropowaty. Mówił powoli; odnosiło się wrażenie, że oszczędza gardło przed wystąpieniami na salach sądowych.

– Chyba nie myśli pan mecenas, że osoba przy zdrowych zmysłach mogłaby opowiadać takie nonsensy? – zapytał Podrecki.

Sabiłło spojrzał na niego z niechęcią.

– Znałem panią Zofię, wszyscy ją znaliśmy – oświadczył. – Była ekscentryczna, to prawda. Nigdy jednak nie sprawiała wrażenia pomyłonej.

Lusia wyprostowała się w fotelu jak porażona prądem. Nachyliła się nad biurkiem i postukała palcem wskazującym w rozłożoną dokumentację.

– A to? „Nerwica wegetatywna i lękowa” – przeczytała. – To świadczy o psychicznym zdrowiu?

Mecenas zacisnął usta. Pokiwał głową z ekspresją mędrca, który zmuszony jest zniżyć się do poziomu słuchaczy.

– Droga pani, tym sposobem możemy zakwalifikować do grona wariatów połowę

naszego społeczeństwa – wycedził.

– Co też pan opowiada? Połowa nie ma postawionej diagnozy! – odpała zdenerwowana Lusia.

Podrecki spojrział na nią z niepokojem. W przeciwieństwie do niej słyszał opowieści o Sabille i wiedział, że należy zachować ostrożność. Przekonanie do sprawy tego starego lisa oznaczało szansę wygranej w sądzie, zrażenie go mogło przysporzyć kłopotów.

– Zgadzą się z panem mecenasem co do stanu polskiego społeczeństwa – zaczął powoli, dobierając słowa. – Jednak mamy podstawy sądzić, że opowieść pani Zofii Solińskiej vel Solon nosi znamiona fantazjowania.

Lusia przytaknęła skwapliwie i zawisła wzrokiem na ustach prawnika, który zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Fantazjowanie nie jest zakazane prawnie ani nie stanowi materiału dla psychiatry. Chyba że... – zawiesił efektownie głos.

– Chyba że...? – Nie wytrzymała Lusia.

– ...w ślad za nim idą zachowania i czyny, które mogą narazić na szwank fantazjującą osobę lub innych ludzi.

– Oczywiście! – zawołała Lusia. – Też mi to przyszło do głowy!

Oczy Sabiły błysnęły niechęcią, na znak, że jego koncepcje miały pozostać jego własnością. Pojął to natychmiast Maurycy.

– Pan mecenas ujął to zagadnienie bezbłędnie – oświadczył przymilnym tonem. – Byłem świadkiem takich ryzykownych i dziwacznych zachowań pani Zofii Solińskiej vel Solon.

Adwokat, nie patrząc na kustosza, głaskał palcami lewej dłoni obity skórą blat biurka.

– Na przykład?

– Na przykład galopowanie na koniu nago. Po nocy! – wypaliła Lusia.

– Pani była świadkiem tego ekscesu? – Sabiło wyglądał na zaskoczonego.

Lusia wskazała na Podreckiego.

– Ja nie. Ale ten pan.

Kustosz przytaknął skwapliwie.

– To rzeczywiście dziwne. Zwłaszcza w jej wieku – przyznał mecenas. – Zrobił pan może zdjęcie?

– No skąd! Przecież to był środek nocy! – zdenerwowała się Lusia.

Sabiło rozłożył ręce.

– W takim razie materiału dowodowego brak.

– A zeznanie pana Podreckiego?

– Nie ma znaczenia. Domyślam się, że pan Podrecki ma interes, aby podważyć spadek?

Irytacja sprawiła, że policzki Lusi pociemniały. Powstrzymanie się przed wybuchem złości kosztowało ją dużo. Odetchnęła głęboko.

– Kustosz Podrecki jest głównym świadkiem – oświadczyła z godnością. – A wszelkie insynuacje odeprę z łatwością.

Przez chwilę mierzyli się z Sabiłą wzrokiem.

– Rozumiem. – Pojednawczo skinął głową stary adwokat. – Proszę się nie denerwować.

W oczach Lusi pojawiły się łzy.

– Łatwo panu mecenasowi powiedzieć! A ja przez chorobę tej wariatki tracę cały majątek! Głowa mnie zaczyna boleć...

– Z dokumentów, z którymi się zapoznałem, wynika, że ewentualny spadkobierca to pani mąż – zauważył Sabiło.

Lusia machnęła ręką. Wyciągnęła z torebki chusteczkę.

– Zenona okradłoby nawet dziecko – powiedziała. – Mój mąż to szlachetny idiota. Proszę, tutaj jest jego notarialne upoważnienie do działania w jego imieniu w sprawie spadku.

Adwokat uważnie obejrzał dokument.

– Zatem chce pani podważyć zapisy testamentu na podstawie upośledzenia umysłowego spadkodawczyni?

– Dokładnie tak, panie mecenasie.

– Myśleliśmy o wnioskowaniu do sądu o zawieszenie wykonywania praw spadkowych do czasu ostatecznego wyroku – wtrącił Podrecki.

– Na użytek sprawy zgadzam się z panem, jednak jako świadek pani Leokadii musi się pan powstrzymać od wyrażania sugestii – zwrócił mu uwagę Sabiło. – Mam nadzieję, że nie był pan karany i może składać zeznania w sądzie?

Podrecki pobladł, ale opanował się szybko. Przytaknął z miną skarconego ucznia.

– Naturalnie, panie mecenasie.

Sabiło przetrzymał go chwilę wzrokiem, po czym zwrócił się do Lusi.

– Nie mogę zagwarantować, że sąd przychyli się do prośby o zawieszenie wykonania testamentu. Ze względu na możliwą stronniczość można wnioskować o przeniesienie sprawy do Lublina. Nie zdecydowałem jeszcze, czy przyjmę sprawę. Potrzebuję czasu, aby zapoznać się z dokumentami oraz rozejrzeć w środowisku znajomych Zofii Solińskiej. Jeżeli jednak to wyłącznie państwo będziecie dowodzić jej choroby... – przerwał i rozłożył ręce.

Lusia nachyliła się do niego.

– W przypadku wygranej w sądzie zamierzam sprzedać majątek Zofii – powiedziała z naciskiem. – Proponuję dziesięć procent. Nie licząc pańskiego wynagrodzenia.

W zapadłej ciszy Sabiło gładził palcami blat.

– To oferta warta rozważenia – powiedział wreszcie chropawym głosem. – Mam zaprzyjaźnionych psychiatrów, którzy występowali już jako sądowi eksperci – dodał z powagą.

W pociągu do Zamościa Ewa siedziała sama w pustym przedziale i mogła odpowiedzieć na piąty tego ranka telefon Małgorzaty. Wyznała jej, że w nocy zdecydowała, jak postąpić z Adamem.

Nie będzie próbowała go oceniać, przestanie zadawać pytania o uczucia, da sobie spokój z rozpamiętywaniem nieudanych związków. Koniec z przeszłością i z wizjami przyszłości! Koniec z podejrzliwością. Odtąd każdą chwilę będzie przyjmować taką, jaka jest. Z akceptacją lub rezerwą, bez niepotrzebnych myśli, które wszystko mierzą i ważą. Lubi towarzystwo Adama, czuje do niego sympatię, nie przeszkadza jej, że rozwodzi się z żoną. Nie będzie szukać przyczyny rozpadu ich związku, aby przekonać się, czy jest fałszywy. Ma zaufanie do niewidzialnej siły, która kieruje jej losami. Intuicja podpowiada, że Adam nie skrzywdził żony. No i nie jest w stanie oszukać Kasi, która go uwielbia.

Małgorzata wysłuchała zachwycona.

– To moja filozofia, co do słowa! – zawołała. – Gdybyś dotychczas tak podchodziła do życia, już od dawna byłabyś szczęśliwa! Ze świetnym facetem u boku! – roześmiała się.

– Tak jak ty? – zapytała Ewa i natychmiast pożałowała zgryźliwości. – Przepraszam, przepraszam!

– Nie szkodzi. Masz rację – przyznała spokojnie Małgorzata. – Tyle że ja nie robię z tego problemu. Jestem sama, bo chcę być sama. Szkoda mi siebie dla jednego mężczyzny. Mam ochotę poznać ich tak wielu, ilu tylko się da. A jeśli któryś okaże się ideałem, i w łóżku, i w życiu, na pewno nie wypuszczę go z rąk!

– Doskonały plan!

– Ewcia, muszę pędzić – zakończyła Małgorzata. – Jedź do tego swojego Adama, szukajcie skarbu i miłości. Niech cię dobre duchy prowadzą, baw się doskonale. Całuję cię, pa!

Zaprzyjaźniony z Adamem lekarz radiolog nie ukrywał zdziwienia niecodzienną prośbą.

– Jak dowie się o tym ktoś z zarządu, będę miał kłopoty. – Skrzywił się.

Pomogła opowieść Ewy o skarbie.

– No dobra, pomogę wam – zdecydował zaintrygowany lekarz. – Oficjalnie zrobię zdjęcie Adamowi. A technika spławię pod byle pretekstem.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. „Pacjent” odczekał swoje w kolejce, wszedł z torbą do pracowni radiologicznej. Technik został odesłany z jakimiś papierami do dyrekcji. Ewa czekała przed drzwiami, na wypadek gdyby wrócił zbyt wcześnie. Na szczęście pojawił się minutę po zabiegu, gdy Ossoliński z powrotem spoczął w torbie razem ze swoim prześwietleniem.

Pół godziny później, w sali konferencyjnej fundacji Callida Iuventus, Adam wyjął zdjęcie i ustawił je na tle lampy z mocną żarówką. Oboje z Ewą nie powstrzymali okrzyku ekscytacji.

Od czarnego tła wyraźnie odcinały się kreski wyznaczające labirynt i cztery niewielkie symbole. Ewa przyjrzała się im za pomocą lupy. Pośrodku labiryntu tkwiły: orzeł, wąż z głową węża, słoń i feniks.

– Talizmany Apoloniusza! – wyszeptała, oddając lupę Adamowi.

– Tylko gdzie ich szukać? – zapytał, po uważnych oględzinach. – W podziemiach Krzyżtoporu?

Pokręciła głową z powątpiewaniem.

– W renesansie labirynt miał różne znaczenia. Mógł oznaczać prawdziwy labirynt albo mistyczny, symbolizujący błądzenie ludzkiej duszy. Może być znakiem, kluczem do tajemnicy, nie musi dokładnie wskazywać miejsca ukrycia. Nie przypadkiem ten tutaj umieszczono pod warstwą farby. Dla wtajemniczonego miał być symboliczną wskazówką.

Adam spojrział przez lupę raz jeszcze.

– Moim zdaniem jest złocony albo posrebrzany – powiedział. – Bardzo cienką warstwą. Nie przepuszcza promieni Roentgena.

– Najwyraźniej ktoś w przeszłości miał zmyć portret...

– Substancją, która nie rusza ani złota, ani srebra...

Patrzyli na zdjęcie w milczeniu. Delikatny zarys labiryntu zapraszał do rozwiązania tajemnicy. Adam westchnął z udawaną powagą.

– Jesteś przecież z rodu Solonów – stwierdził. – Potomek strażników skarbu cesarzy Bizancjum powinien wiedzieć, jak do niego dotrzeć.

Ewa nie była w nastroju do żartów. Zagadka prowokowała ją i męczyła. Za każdym razem, kiedy się do niej zbliżała, okazywało się, że rozumie mniej niż dotychczas.

– Chciałabym, aby tak było. – Pokiwała głową. – Ale mój prapradziadek, ostatni Solon, który coś wiedział, zginął, zanim przekazał informacje synowi. Został zamordowany przez potomków weneckiego doży. Muszę mieć kilka dni, żeby to wszystko przemyśleć.

– A co potem? – zapytał Adam.

Ewa rozłożyła ręce.

– Nie mam pojęcia. Może Ossoliński zechce nam pomóc? Jeśli, naturalnie, uznał, że czas ujawnić talizmany świata.

Zadzwonił telefon. Adam spojrział na wyświetlacz i odebrał.

– Cześć, co się dzieje? Dobrze, przyjadę po ciebie – powiedział i przerwał połączenie. – Kasia nie chce zostać na weekend z matką. Pojedziesz ze mną po nią? – zwrócił się do Ewy.

Zawahała się.

– To chyba nie najlepszy pomysł – stwierdziła. – Kasia chce być z tobą.

– Polubiła cię. Powiedziała, że jesteś fajna i normalna.

– Normalna? – roześmiała się Ewa. – Nigdy wcześniej nikt mi nie powiedział takiego komplementu! Ona jest niesamowita.

– To prawda – przytaknął Adam z dumą w oczach. – Czasem muszę się szczypać, żeby nie zapominać, że jest dzieckiem.

Zapakowali portret i zdjęcie do torby. Adam zamknął puste pomieszczenia fundacji na klucz. Poszli do jeepa zaparkowanego na następnej ulicy. Ruszyli w stronę podmiejskiej dzielnicy.

Adam zatrzymał samochód przed nowoczesną willą, z wielkimi taflami szkła w ścianach. Wysiadł i zadzwonił do furtki. Z domu wybiegła Kasia z plecakiem w rękę,

pędem podbiegła i skoczyła ojcu w objęcia. Za nią w drzwiach pojawiła się Karolina. Zatrzymała się za ogrodzeniem.

– Mój adwokat powiadomi cię o warunkach oddania opieki nad Kasią – usłyszała Ewa przez uchylone okno. – To mecenas Sabiło. Znacnie się, ale po przestudiowaniu sprawy zgodził się mnie reprezentować.

Adam postawił Kasię na ziemi. Gestem dał do zrozumienia, że nie chce przy niej rozmawiać o rozwodzie.

– Zaczekajmy z tym do spotkania pojednawczego – zaproponował.

Karolina skrzywiła się z niechęcią.

– Nasza córka jest chyba wystarczająco duża, aby znać prawdę?

– Jaką znów prawdę? – Adam z trudem pohamował irytację. – Sąd mnie przyzna opiekę nad dzieckiem.

– Doprawdy? – Karolina uniosła brwi. – A co, jeśli znajdą się świadkowie rozpadu naszego małżeństwa? Z twojej winy, naturalnie.

– Zaczekaj, kochanie, w samochodzie – zwrócił się Adam do Kasi, leciutko popychając ją w kierunku jeepa. – Musimy z mamą porozmawiać.

– Nie kłóćcie się tylko – poprosiła dziewczynka i posłusznie pomaszerowała do auta.

Ewa wysiadła, otworzyła tylne drzwi. Kasia starannie zapięła pasy. Usta jej drżały.

– Wszystko będzie dobrze. Nie martw się...

Dziewczynka zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie będzie – mruknęła ze smutkiem.

Ewa pragnęła powiedzieć coś więcej, ale zabrakło jej słów. Usiadła obok i przytuliła małą. Chciała zamknąć szybę, ale przycisk nie działał przy wyłączonym silniku.

Tymczasem rozmowa przy furtce nabierała mocy.

– Wciąż jesteśmy małżeństwem. – Karolina wskazała na jeepa. – Sąd zapewne zainteresuje fakt, że mimo to zadajesz się z tą kobietą.

– Ty wyprowadziłaś się do Koconia – odparował Adam.

– Nie miałam wyjścia. Czułam się zaniedbana emocjonalnie. I osamotniona.

Adam pokiwał głową z uznaniem.

– Świetna linia obrony – pogratulował z sarkazmem. – Masz na to świadków?

– Mój psychoterapeuta, przyjaciółki, znajomi – wyliczyła Karolina. – Wszyscy pamiętają, jak się męczyłam. Proszki, bezsenność, próba samobójcza.

Adam otworzył usta.

– Samobójcza? – zapytał ze zdumieniem. – O czym ty mówisz, na miłość boską?

Karolina podniosła dłoń.

– Uspokój się. Nie histeryzuj. Nigdy nie potrafiłeś panować nad emocjami – stwierdziła jadowniczo. – Waldemar zezna, że rzuciłeś się na niego z pięściami. Zrobił obdukcję, ma pęknięte dwa żebra. A ja rok temu poddałam się psychoterapii w Warszawie. Nie przyznałam się, bo wiedziałam, że zareagowałbyś agresywnie. W hotelu połknęłam proszki nasenne. Miałam nadzieję, że się już nie obudzę, ale uratowała mnie przyjaciółka.

Adam stał z opuszczonymi rękami, jakby nagle stracił energię.

– Nie wierzę ci – przerwał przedłużającą się ciszę.

– To nieistotne – stwierdziła z satysfakcją Karolina. – Mecenas Sabiłło uwierzył, a sąd nie będzie kwestionował prawdy. Mam zaświadczenie ze szpitala – płukanie żołądka, kroplówka. Z trudem ubłagałam lekarzy, żeby nie zawiadamiali policji.

– Przedawkowałam proszki i zapewne popiłam je alkoholem – mruknął Adam pod nosem.

– Cały ty! – parsknęła Karolina. – Dość tego! Informuję cię, że zgodzę się oddać ci Kasię, jeżeli przepiszesz na mnie dom.

Adam spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Przecież zbudowali go moi rodzice!

– To była rudera. – Machnęła lekceważąco ręką. – Zrobiliśmy remont i dobudowaliśmy całe skrzydło.

– My?

– Wspólnota małżeńska, kochanie. – Przypomniała Karolina. – Zależy ci na Kasi, oddaj dom. I do zobaczenia w sądzie.

Odwróciła się na pięcie.

– Nie będzie próby mediacji? – powiedział Adam w kierunku jej pleców.

Nie odwracając się, uniosła dłoń i poruszyła palcami.

– Dla własnego dobra nie kontaktuj się z Sabiłą, bo tylko sobie zaszkodzisz – rzuciła. – Mecenas jest poruszony prawdą o tobie. Powiedział, że można latami znać człowieka i nic o nim nie wiedzieć.

Otworzyła drzwi i wypuściła na podwórko czarnego sznaucera olbrzymia. Pies rzucił się, szczekając, do ogrodzenia, z wyszczerzonymi wściekle zębami skoczył łapami na furtkę. Adam cofnął się odruchowo. Wsiadł do jeepa i w milczeniu uruchomił silnik.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Nie powinienem was na to narażać.

– Nie przejmuj się – odparła Ewa. – Pojedźmy na dobre lody. Co wy na to?

– Bardzo proszę – wyszeptała Kasia.

Po południu Ewa sama wróciła do Ujazdu, pociągiem i autobusem. Nie zgodziła się, aby odwiózł ją Adam. Po starciu z żoną musiał zająć się Kasią.

Po drodze zrelacjonowała Małgorzacie przez telefon scenę z Karoliną. Przyjaciółka była pod wrażeniem jej występu.

– Do zakończenia sprawy rozwodowej powinnaś trzymać się z daleka – stwierdziła, choć bez przekonania. – Miałam podobną historię – ciągnęła. – Facet rozwodził się i rozwodził, przez całe trzy lata. W końcu miałam dość tej sytuacji i umówiłam się z jego żoną. I zgadnij, co się okazało?

– Że nie ma żadnej sprawy rozwodowej.

Małgorzata parsknęła śmiechem.

– Lepiej! Oni wcale nie byli małżeństwem! Ale to nie wszystko. Oboje romansowali, a swoim kochankom sprzedawali bajki. A potem opowiadali sobie przygody, ze szczegółami. To ich kręciło, rozumiesz? Wyobrażasz sobie, jaką miałam

minę? Do tego ta kobieta zaproponowała mi, żebym strzeliła sobie romans z nią. Wiesz, taki wyższy stopień wtajemniczenia.

– Nieżle – przyznała Ewa. – W przypadku Adama to dużo prostsze.

– Tak? A jeśli scena została odegrana specjalnie dla ciebie? – zapytała Małgorzata.

– Po co cię tam zaciągnął?

– No nie! Ja...

– Co: ty? Ty, Ewuniu, nie masz wyobrażenia, jak pokręceni są ludzie. Wszystko jest możliwe, dosłownie wszystko! Nic mnie już nie zdziwi. Istnieją faceci i kobiety, którzy nie są w stanie odczuwać niczego. Są wyłączeni, mają coś popsutego w mózgu. Coraz więcej takich. Widocznie za dużo stresu i ludzie się wyłączają, żeby nie wariować. A z tego wyłączania nic potem nie czują i są nieszczęśliwi. Dlatego potrafią zrobić bardzo dużo, żeby coś do nich dotarło, każdy numer, który może przełamać blokadę. Inni się nie liczą, trzeba ich wykorzystać. Egoizm zablokowanych. Tak bym nazwała naszą cywilizację.

– Dobra jesteś, Małgoś – powiedziała z uznaniem Ewa. – Na szczęście Adam nie jest zdolny do takiego przedstawienia.

– Miejmy nadzieję, kochana. Miejmy nadzieję. Pamiętasz jeszcze, dlaczego wyjechałaś do tej dziury?

– Nie przypominaj mi! – Ewa nie miała złudzeń, że przyjaciółka posłucha.

– Aby odnaleźć spokój z dala od intryg i zamieszania. – Bezlitośnie ciągnęła, śmiejąc się, Małgorzata. – Widocznie w gwiazdach masz zapisany bałagan!

Ewa dotarła do dworku późnym wieczorem. Powiesiła na miejscu portret Ossolińskiego i pokazała Izie zdjęcie rentgenowskie z labiryntem i sylwetkami talizmanów. Dziewczyna była podekscytowana, zadawała mnóstwo pytań, na które Ewa nie знаła odpowiedzi. Obiecała w końcu, że podzieli się każdym tropem, który przyjdzie jej do głowy.

Rozmowa o skarbie cesarzy trwała również przy kolacji. Iza wpadła na pomysł, aby zwrócić się o pomoc do jasnowidza.

– Jeśli potrafią odnajdywać zaginionych ludzi, być może odnajdą talizmany – powiedziała.

Ewa szczerze wątpiła w skuteczność tej metody.

– Zastanowię się – odparła, aby zakończyć temat.

Obie były gotowe, by pójść do łóżek, gdy na podjeździe zachrząściły opony. Wyszły na werandę i ich oczom ukazał się wysiadający z mercedesa Podrecki.

– Przepraszam, bardzo przepraszam, że bez zapowiedzi! – wołał, idąc w ich stronę. – Jechałem do Sandomierza, ale zagotowała się chłodnica. W okolicy nie mam poza wami żadnych znajomych, a boję się stać po nocy na szosie i czekać na pomoc, która nie nadjedzie. Na luksus assistance mnie nie stać...

Ewa zawahała się. Wizja spędzenia nocy z tym człowiekiem nie była przyjemna. Był jednak wykształcony i posiadał sporą wiedzę, a lawirując między prawdą i fałszem, walczył po prostu o przetrwanie. Rozmowa o nowych odkryciach na temat Krzyżtoporu

mogła być interesująca.

– Rozumiem, panie Maurycy. Proszę się uspokoić – powiedziała. – Może pan przenocować, a rano znajdziemy jakiś warsztat.

– W Ujeździe są motele – zasugerowała Iza.

Podrecki zrobił błagalną minę.

– Pan kustosz ma ograniczone środki – zwróciła się Ewa do bratanicy tonem wyjaśnienia. – Zapraszam, na pewno jest pan głodny. Zjadłyśmy już kolację, ale Zenia z pewnością coś znajdzie w kuchni.

– Jest pani aniołem! – oświadczył rozpromieniony Podrecki.

Weszli do dworku i zasiedli przy stole w jadalni. Zenia niechętnie przyjęła do wiadomości, że należy nakarmić gościa i pościelić mu w jednym z pokoi sypialnych, ale postawiła na stole odgrzane kartofle z jajecznicą i kefir do picia.

Ewa odczekała, aż Podrecki skończy jeść, po czym zapytała spokojnie:

– Dlaczego nie powiedział mi pan o fałszerstwie dyplomu i wyrzuceniu z muzeum?

Kustosz zakrztusił się ostatnim łykiem kefiru; przez chwilę nie mógł odzyskać oddechu. Wreszcie zaczerpnął powietrza, chwycił serwetkę i starannie wytarł usta i brodę.

Iza przyglądała mu się z satysfakcją.

– Mogła mnie pani zabić – poskarżył się Podrecki z krzywym uśmiechem.

– Prościej było wyznać mi prawdę – ciągnęła Ewa nieustępliwie. – Że utrzymywał pan Zofię w niewiedzy, podczas gdy ona potrzebowała fachowej pomocy.

– Tak, jestem winny – oświadczył uroczyście Podrecki, unosząc dłonie. – Ale dyplom... Miałem problem z uzyskaniem go, ponieważ jako student wdałem się w działalność antykomunistyczną.

– Kłamie – stwierdziła spokojnie Iza.

Ewa powstrzymała bratanicę gestem.

– Poczekaj. Pozwól panu skończyć.

– Dziękuję. – Podrecki skłonił się z wdzięcznością i zwrócił się do Izy. – Nie zna pani tamtych realiów, proszę zatem nie wypowiadać się pochopnie. – Spojrzał na Ewę. – Pani z pewnością miała kontakt z ludźmi, którzy czynnie stawiali opór tamtemu systemowi. Drukowaliśmy ulotki, chodziliśmy na demonstracje, biliśmy się z zomowcami. Koledzy trafiali do więzień. Mnie się udało uniknąć ich losu.

– Jakoś mnie to nie dziwi – mruknęła Iza pod nosem.

Podrecki zignorował jej złośliwość.

– Zostałem relegowany ze studiów po napisaniu pracy magisterskiej. Z Uniwersytetu Lubelskiego. Wtedy otrzymywało się wilczy bilet, zakaz wstępu na jakąkolwiek inną uczelnię. Z pracą też nie było łatwo. Mogą panie zapytać, dlaczego nie zrobiłem dyplomu w wolnej Polsce. Otóż podjąłem taką próbę i nawet doprowadziłem do obrony. Niestety, trafiłem na profesora, który okazał się zazdrosny o wyniki moich prac badawczych nad renesansem i zablokował uznanie dyplomu. Do czasu, aż dowiodę, że moja praca nie jest plagiatem. Rozumiecie panie? On nie potrafił znaleźć na mnie haka, a ja musiałem dowieść, że nie jestem wielbłądem!

Ostatnie słowa Podrecki wykrzyczał z gniewem i żalem. A potem zapadła cisza.

– Spokojnie – powiedziała Ewa. – Nikt tu pana o nic nie oskarża.

Pokręcił głową.

– Skoro jednak posądza się mnie o oszustwo, proszę mi pozwolić dokończyć wyjaśnienia. Otóż tułałem się po Polsce i Europie, podejmowałem się dorywczych robót, nieraz bywałem na granicy głodu. I niespodziewanie natrafiłem na ślad skarbu ostatniego cesarza Bizancjum. W bibliotece w Akwizgranie przeczytałem przepowiednię kardynała Bessariona i postanowiłem pójść za ciosem – pojechałem do Wenecji, dokonałem tam ważnych odkryć, które skierowały mnie do Krzyżtoporu. W tej sytuacji wakant na etacie kustosza w zamojskim muzeum uznałem za znak Opatrzności. Nie zawahałem się, przyznaję. Przedstawiłem dyplom z podrobionym podpisem mojego zawistnego promotora, z nadzieją, że zdążę zakończyć prace nad tajemnicą talizmanów. Niestety, dyrektor muzeum odkrył prawdę. Ale nie żałuję niczego, co uczyniłem. Liczyło się wyłącznie dobro nauki – zakończył uroczyście Podrecki.

Iza już otwierała usta, ale Ewa wzrokiem nakazała jej milczenie.

– Dziękuję za szczerość. Szkoda, że nie opowiedział pan tej historii Zofii – powiedziała chłodno.

– Też tego żałuję – przyznał. – Mogą mi panie wierzyć lub nie, ale zamierzałem. Niestety, zmarło się nieboszczce tak nagle...

– Podarowała panu sztychy i instrumenty astronomiczne jako kustoszowi muzeum!

– Nie wytrzymała Iza. – Uważam, że powinien pan je zwrócić!

Podrecki zerknął na Ewę, ta jednak milczała.

– Mogę to rozważyć – oświadczył niechętnie. – Choć zapis w testamencie nie wspomina nic o moim zawodzie.

– Na razie proszę je zatrzymać – zdecydowała Ewa. – Postanowiliśmy współdziałać w poszukiwaniu talizmanów, więc tego się trzymajmy.

Były kustosz podziękował skinieniem głowy.

– Jest pani wspaniałomyślna! Obiecuję, że nie pożałuje pani naszej współpracy.

– Tymczasem pokażę panu, co odkryłam na portrecie Ossolińskiego. – Ewa wstała od stołu.

Przyniosła z gabinetu tekturowy rulon, wyjęła zdjęcie, położyła na stole.

Podrecki zaniemówił z wrażenia.

– To niesamowite! – wykrzyknął po chwili. – Jest pani geniuszem, genialne! Labirynt, od dawna to przeczuwałem. Labirynt w podziemiach! Cztery talizmany w labiryncie, droga ukryta pod portretem Ossolińskiego – mamrotał chaotycznie, jękając się. – A gdzieżby miała być? Idiota ze mnie! Całe życie czekałem na tę chwilę! Tyle lat błędzenia po omacku... Opatrzność mi panią zesłała!

– W Krzyżtoporze? – zapytała Ewa, wykorzystując przerwę w jego słowotoku.

– Oczywiście! To jasne jak słońce! A gdzieżby indziej?!

– Może pan nie wrzeszczeć? – poprosiła zgryźliwie Iza. – Nie jesteśmy głuche.

– Ja bardzo przepraszam, ale proszę zrozumieć... To jest dla mnie jak odkrycie hieroglifów! Poświęciłem talizmanom najlepsze lata życia! A pani dociera do nich ot tak, jakby prowadziły ją dobre duchy! – ciągnął ciszej podniecony Podrecki.

– Już to dziś słyszałam. – Uśmiechnęła się Ewa. – Może to duch Zofii? Bardzo pragnęłabym, aby tak było. Wciąż jednak nie wiemy, jak odnaleźć wejście do podziemi –

zauważyła. – A nawet jeśli się tam znajdziemy, tajemnicę będzie chronił labirynt. Bez odczytania znaków zabłądzimy.

– To prawda – potwierdził skwapliwie kustosz. – Lecz z pani i moją wiedzą złamiemy każdy kod. Jestem o to spokojny. Bylebyśmy odnaleźli wejście. O dalszy ciąg nie ma się co martwić.

Ewa zamyśliła się nad zdjęciem.

– Możemy to zgłosić do Polskiej Akademii Nauk – powiedziała. – Profesora Jeliński pomoże nam z pewnością. Może zgodzą się sfinansować poszukiwania? Przy użyciu sond akustycznych wykonalibyśmy dokładną mapę podziemi...

Podrecki złożył dłonie jak do modlitwy.

– Błagam, niech pani tego nie robi! – zawołał szczerze przestraszony. – To straszliwy błąd. Wszystko nam popsują!

– Nie bardzo rozumiem.

Oczy kustosza niemal wyszły z orbit. Znow zaczął się jąkać.

– Przyjadą z tą aparaturą, narobią hałasu na całą Polskę. Nazjeżdża się telewizji, wariatów, dziennikarzy. Nic nie znajdą, bo to niedouczeni idioci, ale zrobi się taki bajzel, że zabronią zbliżać się do pałacu. Nam też!

– Już dobrze, dobrze. Spokojnie, panie Podrecki, nie zwróć się do Jelińskiego. Co najwyżej poproszę go o pomoc w rozszyfrowaniu kolejnych znaków. O ile takie znajdziemy.

– Damy radę sami, z pewnością! – wykrzyknął. – Tylko nikomu ani słowa! Proszę obiecać. Błagam panią!

– Zgoda – westchnęła zrezygnowana Ewa. – Do czasu, kiedy okaże się, że ani pan, ani ja nie dajemy rady – zastrzegła.

W oczach Podreckiego błysnęła radość, policzki odzyskały kolory.

– Jest pani wielka, Kocham panią! – oświadczył z emfazą. – To znaczy, jako badaczkę i znawczynię historii sztuki. – Zreflektował się speszony.

– Mam nadzieję – wtrąciła z niesmakiem Iza.

Ewa zwinęła zdjęcie i wsunęła je w rulon.

– Na dziś wystarczy – powiedziała. – Czas spać. Jutro zastanowimy się, co dalej. Pokażę panu pokój i łazienkę.

Udali się do swoich pokoi na piętrze. Maurycemu przypadła sypialnia na końcu korytarza. Zniknął za drzwiami, kłaniając się z uśmiechem. Iza weszła do pokoju Ewy.

– Nie wierzę w ani jedno słowo tego krętacza – stwierdziła z przekonaniem.

– A ja owszem – odparła spokojnie Ewa.

Dziewczyna spojrzała na nią zaskoczona.

– Żartujesz, ciotka? Ten typak działaczem podziemia wyrzuconym ze studiów?

– W to akurat wątpię. W historyjkę z dyplomem też.

– Przepraszam, to co zostaje?

– Ogromna pasja. Pan Podrecki kręcił się przy dziełach sztuki, być może handlował obrazami albo antykami. Ktoś mu powierzył sprzedaż starej książki z przepowiednią Bessariona. W ten sposób natrafił na ślad talizmanów Apoloniusza. I połknął haczyk.

– Mówi, że przeczytał tę przepowiednię w Akwizgranie.

– To też zapewne bajka. Ale wierzę, że potem dotarł do Wenecji, gdzie wpadł na trop tajemnicy Paleologów.

– Ostatnich cesarzy Bizancjum?

– Zgadza się. Przyznać trzeba, że zna niemiecki, łacinę i zapewne włoski. Widywałam już takich pasjonatów-samouków. Nie należy ich lekceważyć.

– Oszustów, ciotka. Oszustów! – przypomniała Iza.

Ewa skinęła głową.

– To czasem chodzi w parze – powiedziała. – Historia sztuki, stare dzieła w ogóle mają magnetyczną siłę przyciągającą dziwaków. Nie tylko ze względu na swoją wartość. Jest w nich zaklęty czas, dusze wielu ludzi. Tych, którzy je stworzyli, i właścicieli. Obrazy, meble, przedmioty codziennego użytku przez wieki patrzyły na pokolenia, które rodziły się, starzały i umierały. Gdyby mogły przemówić, opowiedziałyby historie przyjaźni, nadziei, miłości, zdrad i bankructw. Przechodziły z rąk do rąk, wędrowały jak niemi świadkowie. Widywały wzloty i upadki, rodzinne kłótnie i święta, poważnych ojców i utracjuszy, którzy przegrywali je w karty albo w kości. Patrzyły na szczęśliwe zakochane dziewczyny i na starzejące się zgorzkniałe kobiety. Na wojny, gwałty, przemoc, klęski i zwycięstwa. – Zamyśliła się chwilę. – A poza tym, są po prostu niewiarygodnie piękne. Bo kiedyś ludzie nie byli w stanie tworzyć brzydoty. Czegokolwiek się tknęli, przyświecał im duch harmonii i piękna. Tysiące lat, od Mezopotamii, Asyrii, Egiptu przez Grecję, Rzym do Europy... Z genialnymi Hindusami, Chińczykami i Arabami. Zaledwie sto kilkanaście lat temu zaczęliśmy produkować i budować ohydztwa i zalewać nimi świat. Historia sztuki to ogromna tęsknota za utraconą niewinnością człowieka – zakończyła.

Iza słuchała ze świecącymi oczami.

– Chciałabym mieć takich nauczycieli, jak ty – powiedziała.

Ewa pocałowała bratanicę w czoło i delikatnie wypchnęła ją za drzwi.

– Dobrej nocy, skarbie.

Wkrótce po północy, gdy reszta domu była pogrążona we śnie, z lekkim skrzypnięciem otworzyły się drzwi pokoju na końcu korytarza i wychynął z nich Maurycy Podrecki. Kompletnie ubrany, z niewielką latarką w ręku przemknął jak duch do schodów i zszedł na dół. Przeciął hall, wszedł do salonu. Przesunął fotel na środek, stanął na nim i odczepił od żyrandola ukrytą kamerę.

– Dość tego. Nie będziecie się wtrącać, grozić ani mieszać – mruknął do siebie.

Odstawił fotel na miejsce, wyszedł na korytarz. Po chwili zjawił się w gabinecie Zofii. Usunął podobną kamerkę, schowaną w lampie na korytarzu.

– Cholerni Farnese... Wydaje im się, że coś wiedzą. Że wszystko mogą – skomentował tę zdobycz i ruszył dalej.

Po kilkunastu minutach znikły kamerki z jadalni i z werandy. Zadowolony z akcji Podrecki opadł na kanapę w gabinecie i w tej samej chwili przypomniał sobie o pluskwie w marynarce Ewy. Muszę jeszcze zlikwidować ukryty pod murem przekaźnik, pomyślał.

Jego wzrok padł na fotografię na biurku. Skierował na nią światło latarki i zobaczył

wpatrzoną w siebie Zofię. Wzdrygnął się i wykrzywił usta w uśmiechu.

– Nie patrz tak – mruknął. – Przecież chciałaś, żebym pomógł odnaleźć skarb. Nie powiedziałem ci, że chodzi o talizmany, bo bałem się, że doniesiesz Ewie, a ona narobi szumu. Nie zrobiłem nic złego. Farnese zmusił mnie do współpracy szantażem. Niczego więcej ode mnie nie dostanie. A ty lepiej powiedz, co przede mną ukryłaś. Odziedziczyłaś ten dom po starym dziwaku Solińskim, który nie chciał gadać z kobietami. To twoje słowa. Umarł, zanim zdążył przekazać tajemnicę synowi, który nie powrócił z Ameryki. Przejrzałaś papiery starego, ale chyba nie potrafiłaś pojąć ich znaczenia. Albo on o niczym nie miał pojęcia, a ślad urwał się na twoim zamordowanym pradziadku. Farnese to zboczeńcy! – zakończył.

Snop światła omiótł pomieszczenie i wydobył z mroku wysoką szafę. Podrecki podszedł do niej powoli, uchylił skrzypiące drzwi i zajrzał do środka. Składała się z dwóch części. Po lewej miała wysoką komorę, po prawej sześć szuflad.

Wysunął je po kolei. Stare książki i dokumenty, skonstatował z zadowoleniem.

– Aha! Tego, co ważne, nie trzymała w bibliotece – wyszeptał.

Wyciągnął z szuflad książki i papiery, położył je na podłodze. Rzucił obok poduszkę przyniesioną z fotela, usiadł i zaczął segregować zdobycz. Czytał strony tytułowe, jedne papiery odkładał od razu na bok, innym przyglądał się uważniej.

Najstarsze tomy, datowane na siedemnasty i osiemnasty wiek, napisane były po łacinie, włosku i po polsku. Dotyczyły wielu dziedzin – od rozpraw prawniczych poprzez dzieła geograficzne i botaniczne, aż po literaturę piękną. Dokumenty okazały się tytułami prawnymi ustanawiającymi własności rodziny Solonów, nierzadko w wyniku sądowych sporów.

Po godzinie wertowania Podreckiego ogarnęło zniechęcenie. Nie natrafił na najmniejszy ślad dotyczący Krzyżtoporu. Zupełnie jakby Solonom zależało na odcięciu się od przeszłości wielkiego przodka, przyjaciela Ossolińskiego.

Poodkładał do szuflad księgi, nie dbając o zachowanie poprzedniego porządku. Pewien był, że Ewa, jak dotąd, nie poświęciła im uwagi.

Zamknął szafę, ale zaraz otworzył ją ponownie i oświetlił latarką pustą komorę po lewej. Nie ma w niej ubrań, jakie zatem ma przeznaczenie?, zastanowił się. Zajrzał do środka, zbadał wzrokiem gładkie ściany, opukał je zgiętym palcem. W jednym miejscu odpowiedziało mu głucho echo.

Zaciekawiony wszedł do szafy i jeszcze raz opukał i obejrzał tylną ścianę.

Między ciemnymi deskami widniała rysa, jakby stolarzowi nie udało się ich dopasować. Wyjął z kieszeni szwajcarski scyzoryk, wysunął cienki bolec i wcisnął go do rysy. Ku jego zaskoczeniu pogłębiła się, a kiedy mocniej przycisnął, z dolnej krawędzi wysunęła się wąska metalowa listwa.

Wstrzymując z podniecenia oddech, chwycił listwę i pociągnął do góry. Zobaczył odsuwającą się prostokątną deseczkę, która odsłoniła ciemną wnękę. Światło latarki padło na związany w rulon stary papier. Jednocześnie poczuł, że dno szafy ustępuje pod jego stopami i zaczyna spadać.

Z okrzykiem przestachu sięgnął do wnęki, ale zamiast złapać się brzegu, próbował pochwycić rulon. Minał się z nim o centymetr, zadziałała grawitacja i Maurycy runął

w ciemną otchłań. Upadł z okrzykiem przerażenia i bólu na miękką ziemię. Snop światła latarki omiół zamykającą się w sklepieniu zapadnię, nastąpiła ciemność.

Krzyk obudził Zenię, której pokój mieścił się tuż obok. Zaspana gosposia narzuciła szlafrok, chwyciła z kominka pogrzebacz i ruszyła stawić czoła niebezpieczeństwu.

Najpierw sprawdziła sypialnię Zofii, potem weszła do gabinetu. Zapaliła światło. Jej uwagę od razu zwróciła otwarta szafa, przed którą leżała poduszka. Cofnęła się, poszła do hallu, zerknęła do jadalni i salonu, które okazały się puste, po czym pomaszrowała na górę. Obudziła Ewę i Izę.

Razem stwierdziły, że Podreckiego nie ma w jego sypialni. Przeszukały cały dom, lecz nie natrafiły na żaden ślad, który wyjaśniałby zniknięcie kustosza.

Mercedes stał zaparkowany przez werandą.

– Porwał go duch Baldwina – stwierdziła wreszcie Zenia. – Polazł grzebać w rzeczach pani Zofii... I Baldwin nie strzymał.

Ewa nie była skłonna zgodzić się z tą wersją, jednak nic rozsądnego nie przychodziło jej do głowy. Myśl, że Podrecki wybrał się na przechadzkę po okolicy, wydawała się absurdalna.

– Znalazł coś cennego, ukradł i uciekł – oświadczyła zaspana Iza. – Zadzwońmy rano na policję.

– Mógłby spokojnie ukryć to coś w swoim wozie – zauważyła przytomnie Ewa. – Bardzo to dziwne. Tak bardzo był podekscytowany labiryntem i gotów do współpracy, a nagle znika. I jeszcze zostawia samochód.

– A na co Baldwinowi stary mercedes? – zakpiła Zenia. – Znajdzie się pan Podrecki bez kropli krwi w żyłach, zobaczycie! Gdzieś w lesie albo w pałacu. Słyszałam od ojca, że przed wojną znajdowano truposze tych, co się za bardzo interesowali ruinami. Baldwin potrafi bronić swojego domu!

– Niechże Zenia przestanie opowiadać głupstwa! – Nie wytrzymała Ewa.

Gosposia pokiwała głową.

– Wiem, czego szukasz, Ewuniu. Razem z tym twoim mecenasem. I mówię: daj sobie spokój! Zobacz, co się stało z kochaną panią Zofią, kiedy dostała zajoba na punkcie skarbu. Jeśli tam coś jest, to należy do nich.

– Do Ossolińskich. – Domyśliła się Iza.

Zenia przytaknęła.

– Stare upiory są chciwe i zazdrosne, nie wydadzą, co ich. Radzę wam, nie zaczynajcie z nimi, bo skończycie jak starsza pani i ten Podrecki. A jak się będziecie upierać, to ja się przeprowadzam do Stanisława. Nie mam ochoty na spotkanie z Baldwinem! – Przeżegnała się szeroko i ruszyła przez hall do siebie.

– Zaczekaj, Zeniu, pozwól sobie wytłumaczyć...!

Gosposia tylko machnęła ręką i znikła na zakrętem korytarza.

Ewa z Izą weszły do gabinetu, z którego zdaniem Zeni dobiegł krzyk Podreckiego. Zauważyły poduszkę i otwartą szafę. Ewa zajrzała do środka i dostrzegła rulon papieru.

Wyjęła go, rozwiązała kruszącą się ze starości taśmę i ostrożnie rozłożyła na biurku. Zaskoczona patrzyła na trzy karty ze starej księgi i dwa szkice poziomych rzutów Krzyżtoporu, z odręcznym opisem po łacinie i wizerunkiem pelikana na marginesie.

Iza zauważyła jej poruszenie.

– Co jest, ciotka?

Ewa przebiegła wzrokiem po tekście i ilustracji przedstawiającej fontannę, wokół której widniały sylwetki złotego orła, węża z lwią głową, feniksa i słonia.

– To karty z *Hypnerotomachia Poliphili*, czyli *Snu Polifila*, napisanej przez Francesca Colonnę – powiedziała wreszcie pełnym napięcia głosem. – Chyba pierwsze wydanie, z tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Najbardziej tajemnicza księga renesansu, której przypisywany jest zapis wiedzy magicznej. Gdyby była kompletna, byłaby warta kilka milionów dolarów. Patrzysz właśnie na opis talizmanów Apoloniusza z Tiany – zwróciła się do bratanicy.

– Niesamowite! – wyszeptała Iza, jakby obawiała się spłoszyć tajemnicę. – Jeżeli jednak ten oszust to znalazł, to dlaczego nie zabrał ze sobą?

– Też się zastanawiam – przyznała Ewa. – Colonna twierdzi, że Apoloniusz to najświetniejszy mag i cudotwórca starożytności. Żył w pierwszym wieku, był znawcą sił rządzących naturą. Colonna nazywa to „białą magią”. Apoloniusz znał się na sympatiach i antypatiach sił kosmicznych i planet. Stworzył talizmany, aby strzegły stolicy Bizancjum, Konstantynopola. Być może gwarantowały też wieczną młodość.

– Podrecki mówił to samo – przypomniała sobie Iza.

– Zgadza się.

Ewa spojrzała na podpis u dołu karty, za wierszami równego odręcznego pisma.

– To notatki Krzysztofa Ossolińskiego. Po łacinie – powiedziała głosem zdławionym emocją. – Być może jesteśmy o krok od skarbu.

– Znasz łacinę?

– Mam nadzieję, że dostatecznie.

Oczy Izy zabłyśły.

– Przeczytajmy to!

Ewa pokręciła głową.

– Jest środek nocy, a tu potrzeba słownika. Papiery czekały tyle wieków, mogą poczekać do jutra.

– A co oznacza ten pelikan? – Iza wskazała palcem.

– Nie mam pojęcia.

– A gdzie jest fałszywy pan kustosz?

Ewa rozłożyła ręce.

– Jeżeli nie wróci do rana, zawiadomimy policję. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

Zwinęła kartki w rulon, zawiązała go taśmą. Zgasiły światło w gabinecie i wyszły na korytarz.

– Będiesz w stanie zasnąć? – zapytała Iza z powątpiewaniem.

– Nie jestem pewna – przyznała Ewa. – Rano przekonamy się, czy Ossoliński chce, abyśmy odnalazły talizmany. Intuicja podpowiada, że czekają nas kolejne zagadki.

Upadek był bolesny, ale macając wszystkie części ciała, Podrecki uspokoił się, że

nie ma połamanych kości. Stękając i pojękując, przeskakał po omacku wilgotną ziemię naokoło siebie i natrafił na latarkę. Zapalił ją ucieszony, poświecił na ściany i sklepienie.

Światło wydobyło z mroku zardzewiałą żelazną klapę wysoko nad głową. Nie miał szans dostać się do niej po gładkich kamiennych ścianach, które lśniły od wilgoci. Znał się dostatecznie na renesansowych sztuczkach, aby wiedzieć, że wpadł w pułapkę zastawioną na śmiałków, którzy porwali się na zakazaną tajemnicę.

Na pewno miejsce to było izolowane, aby nikt z zewnątrz nie usłyszał wołania o pomoc.

Przed sobą ujrział czarny otwór niskiego korytarza. Nie śpieszył się, aby tam pójść, obawiał się następnych niespodzianek, zapadni lub spadających głazów.

Pomimo grozy sytuacji poczuł żal, że nie udało mu się pochwycić rulonu papierów, który dojrzał we wnęce szafy. Pewien był, że zawierały ważne wskazówki. Być może była też w nich podpowiedź, jak wydostać się z podziemi. Budowniczo wie pułapek zwykle ukrywali mechanizm uwalniający człowieka znajdującego się na rzeczy. W rulonie mógł też być plan całego labiryntu.

– Labirynt! – wyszeptał mocnym głosem.

Ta myśl wprowadziła go w ekscytację. Oczywiście, to może być wejście do labiryntu, tego samego, który ukryty był pod portretem Ossolińskiego! Jeśli dworek zbudowany został przez Georgiosa Solona, to naturalne było, iż Grek pomyślał o tajemnym połączeniu z Krzyżtoporem. Podziemnym korytarzem mógł niepostrzeżenie dostać się do ukrytych pod pałacem talizmanów. Aby nikt inny tego nie dokonał, kazał wykonać labirynt i umieścić plan pod portretem, dla spadkobierców. Wejście ukrył w szafie, zabezpieczając je zapadnią-pułapką. Kto o tym wiedział, otwierał klapę i schodził po drabince.

Każdy labirynt można pokonać, przestrzegając prostej zasady, trzymając się prawej lub lewej strony ścian. To mogło oznaczać długą drogę, bowiem błędzący musiał wchodzić do ślepych zaułków, w końcu jednak trafiał do wyjścia. W tym wypadku do celu, do talizmanów Apoloniusza!

Podrecki zadrżał z podniecenia.

– Dotrę do skarbu, a potem odnajdę wyjście! – mruknął tryumfalnie. – Z pewnością Ossoliński i Grek przewidzieli konieczność wywiezienia stąd talizmanów, więc nie będzie trzeba ich dźwigać przez cały labirynt.

Oświetlił latarką wejście do korytarza, nabrał głęboko powietrza, pochylił się i ruszył przed siebie. Patrzył uważnie pod nogi, sprawdzał ściany i sklepienie. Po kilkunastu metrach zatrzymał się z mocno bijącym sercem.

Korytarz dzielił się na dwie odnogi. Lewa, szersza i wyższa, prowadziła lekko w górę. Prawa była węższa i schodziła w dół.

– Labirynt! – wyszeptał podniecony Podrecki. – Jestem genialny!

Próbował przypomnieć sobie wszystko, co do tej pory przeczytał o labiryntach i wyborze właściwej drogi.

Lewa odnoga zdawała się go zapraszać, prawa budziła niechęć i lęk. Były jak typowo renesansowa alegoria dróg życia, odwołująca się do tradycji – antycznej i chrześcijańskiej.

– Biblijny szeroki trakt grzeszników i wąska ścieżka prawych. Dobrze, bracie Solonie, może i nie jestem chodzącym wzorcem moralności, ale moja głowa pracuje – mruknął zadowolony i bez wahania ruszył prawym korytarzem. Mocno przygięty pojękiwał z wysiłku.

Po kilkudziesięciu krokach z ulgą rozprostował plecy przy kolejnym rozwidleniu, tym razem na cztery odnogi. Wszystkie wyższe i wygodniejsze od tej, którą właśnie przebył, wyłożone kamiennymi płytami.

Zatrzymał się, zamyślił i otarł pot z czoła.

– Jeśli pójdę w złą stronę, ale będę trzymał się ściany, wrócę w to samo miejsce – mówił do siebie ściszone głosem. – Choć nie wiadomo, ile czasu potrwa przekonanie się, że trafiłem na ślepy zaułek. Jeśli nie będę miał szczęścia za pierwszym razem, pozostają mi jeszcze trzy możliwości...

Poczuł w gardle nieprzyjemny ucisk strachu.

Może spędzić w tym labiryncie wiele dni, zanim odnajdzie talizmany. Pomysł z jedną ścianą jest dobry w przypadku pojedynczych rozwidleń, ale nie czterech. Diabli wiedzą, ile ich jeszcze kazał wykonać Solon.

Muszę porzucić to rozwiązanie, myślał gorączkowo. Renesansowy budowniczy z pewnością umieścił jakieś wskazówki również tutaj!

Uspokoił przyspieszony łękiem oddech i w świetle latarki przyjrzał się uważnie kamiennym ścianom. Nagle aż podskoczył.

– Jest!

Pod sklepieniem, w granitowym kamieniu wryta była postać dziewczyny, która z uśmiechem wskazywała pochodnią na korytarz po prawej. Znak był niewielki i zatarty czasem, lecz czytelny.

– Pochodnia! – mruknął Podrecki. – Symbol oświecenia i nadziei! Skierowana w dół oznaczałaby śmierć. Ale ta skierowana jest płomieniem do góry, czyli wskazuje na życie, prawdę i odradzającą siłę ognia. Dobrze, złotko – powiedział do dziewczyny. – Idziemy w prawo. Mam nadzieję, że nie oszukujesz.

Powiedziawszy to, skręcił w prawy korytarz i pomaszerował przed siebie, uważnie świecąc pod nogi i na sklepienie.

Federico i Marco siedzieli nad rozłożonym na stole planem labiryntu.

Po wiadomości od Izy Marco pojechał do Buska, gdzie kazał powiększyć i wydrukować zdjęcie. Przy okazji kupił pizzę na kolację. A potem do późnej nocy wraz z Federikiem próbowali wywnioskować cokolwiek z zawilego rysunku i wizerunków talizmanów. Federico miał nadzieję, że powiększenie ujawni kolejne symbole, dzięki którym labirynt przemówi.

Nie znalazł ich jednak.

Po północy na laptopie zobaczyli, jak Podrecki wspina się na fotel w salonie i wyłącza kamerę. Potem usunął cały podgląd zainstalowany w dworku. Ekran stał się czarny. Próby kontaktu z kustoszem nie powiodły się.

– Pewnie obawiał się zdemaskowania – powiedział niepewnie Marco.

Federico miał na ten temat inne zdanie.

– Stary oszust postanowił działać na własną rękę – stwierdził. – Założę się, że znalazł nowy ważny ślad i uznał, że czas się nas pozbyć. Przewidziałem, że zdradzi, ale nie sądziłem, że tak wcześnie.

– To co robimy? – zapytał Marco.

– Czekamy, aż się pojawi. Pośpieszył się, nie wierzę, że dotarł do jądra tajemnicy. Poczęstuje nas kolejnymi kłamstwami. Ale damy sobie z nim radę. Pożałuje tej pochopności!

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do jadalni chwiejnym krokiem wkroczył Giovanni. Jego twarz przypominała nadmuchany balon, który lada moment eksploduje. Znajome pozostały jedynie oczy.

– Papryka... w pizzy – wymamrotał z trudem i usiadł bezwładnie na podłodze.

Marco podszedł do niego szybko.

– Prosiłem, aby była bez papryki! – rzucił zaniepokojony.

– Kłamstwo... Wszystko kłamstwo! – zajęczał Giovanni przez wargi wielkości parówek. – Umieram.

– Zawieź go do szpitala, pośpiesz się! – rozkazał Federico.

Marco dźwignął z wysiłkiem kuzyna, postawił go na nogi. We dwóch wyprowadzili go z domu i umieścili na tylnym siedzeniu jaguara. Giovanni mamrotał coś niewyraźnie.

– Co mówisz? – Nachylił się do niego Marco.

– To modlitwa do świętych Firmusa i Rustyka – wyjaśnił wuj. – Patroni chorych i pokrzywdzonych, straceni za wiarę w Weronie. Jedź!

Marco wskoczył za kierownicę, odpalił silnik i wyjechał przez bramę. Federico patrzył ze złością na oddalający się samochód.

– Psiakrew, tylko tego nam brakowało! – rzucił do siebie.

12.

Noc okazała się pełna chaotycznych snów.

Pojawiali się w nich Zofia i Krzysztof Ossoliński. Ona była młodą dziewczyną, on jej możliwym kochankiem. Kąpali się o północy w sadzawce, w towarzystwie młodych i pięknych dziewcząt i chłopców. Sadzawka wypełniona była wodą życia tryskającą z fontanny ozdobionej figurą Merkurego. Ze wszystkich stron zmierzali do niej ludzie, którzy pragnęli uleczenia chorób lub przedłużenia grzesznego żywota. Podążali pieszo, konno lub na wozach. Niektórych wieziono na taczkach.

Kąpiącym się przygrywali na lutniach, skrzypcach i bębenkach kolorowi grajkowie.

Z lewej pejzaż zamykały góry. Na jednej z nich wznosił się warowny zamek. Po prawej stał purpurowy namiot, do wnętrza którego zapraszał mężczyzna w pięknym renesansowym stroju, ze szpadą u boku. Wykąpani wchodzili doń – nadzy, bezwstydni i szczęśliwi. Ubierano ich w ozdobne szaty i rozpoczynała się biesiada przy suto zastawionym stole, w cieniu drzew. Nie groziły im już choroby ani śmierć. Na zawsze cieszyli się życiem i miłością.

Młoda Zofia i Ossoliński długo nie wychodzili z sadzawki; podczas kąpieli obejmowali się jak kochankowie, nie przejmując się świadkami swojej namiętności. Aż wreszcie ulegli zaproszeniu mężczyzny ze szpadą i weszli do namiotu. Gdy pojawili się przy stole, okazało się, że Zofia jest ciężarna. A zaraz potem legła w połogu i urodziła.

Dzieckiem okazała się być Ewa, która dorosła niemal natychmiast. Jako dojrzała kobieta została rozebrana przez dwóch młodzieńców i wprowadzona do sadzawki. Fontanna trysnęła perlistą wodą, a Ewę otoczyli piękni i roześmiani chłopcy i dziewczęta. Za ich namową zanurzyła się pod powierzchnię wody i wstrzymała oddech.

Poczuła niewysłowioną błogość. Znikły lęki i wątpliwości, przeszłe i przyszłe życie przestało się liczyć. W nagłym olśniewającym błysku Ewa zrozumiała Prawdę i Tajemnicę Wszechświata. Niczego już nie pragnęła i nigdy nie będzie pragnąć. Miała trwać w zachwycie, wolna i szczęśliwa, jako dziecko Boga.

Nie musiała oddychać, stała się istotą ezoteryczną, doskonałą. Poczuła, że może przepłynąć ocean lub wzbić się w przestworza. A gdy otworzyła oczy, dostrzegła prześwitujące przez cienką zasłonę słońce. Sięgnęła ku niemu, bowiem czas i przestrzeń również przestały istnieć...

I nagle usiadła z okrzykiem zdumienia na łóżku, oślepiona mocnym blaskiem.

Odruchowo zamknęła powieki w daremnym wysiłku powrócenia do wizji ze snu. Powoli dotarło do niej, że jest w realnym świecie. Skupiła się, aby przywołać euforię sprzed chwili, ale ta również minęła bezpowrotnie.

Zamyślona opuściła stopy na chłodne deski podłogi.

Nigdy dotąd tak jasno i wyraźnie nie dane jej było pojąć wielkiego marzenia ludzi renesansu o ujawnieniu Prawdy Bytu. Bo do tego przecież zmierzały mity i symbole odkrytego przez nich antyku. Człowiek, skażony ułomną naturą i grzechem, gnębiony strachem przed głodem, wojnami i zarazami, marzył o Ostatecznej Wolności.

Wystarczyło użyć rozumu i wiary, w przeciwieństwie do ciemnego średniowiecza

odważyć się sięgnąć do nadludzkiej mocy, aby doznać oświecenia i na zawsze uwolnić się od przekleństwa ludzkiej egzystencji. Woda życia zapewniała nie tylko wieczną młodość, ale przede wszystkim przeniknięcie Tajemnicy.

Dlaczego właśnie teraz dane mi było ujrzeć to we śnie?, pomyślała Ewa. Dzieło wyobraźni poruszanej talizmanami Apoloniusza?

Zadrżała od chłodu i uświadomiła sobie, że jest naga, choć mogłaby przysiąc, że położyła się do łóżka w koszuli nocnej. Zobaczyła ją porzuconą na podłodze i zdała sobie sprawę, że przecież rozebrała się przed wejściem do sadzawki. A może rozebrali mnie dwaj piękni młodzieńcy ze snu?, uśmiechnęła się.

Usłyszała dźwięk klaksonu. Poderwała się i zatrzymała się przy uchylonych drzwiach balkonowych. Przy jeepie stał Adam, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami. Pomachała mu ręką i nagle uświadomiła sobie, że widać ją od stóp do głowy. Cofnęła się gwałtownie, z rozpędem wpadła na łóżko i przewróciła się.

– Przepraszam... Zaraz schodzę! – krzyknęła w stronę balkonu.

Kompletnie zapomniała, że w nocy wysłała do niego esemesa z zaproszeniem na wspólne oglądanie znalezionych papierów.

– Czekam na tarasie! – usłyszała rozbawiony, a jednocześnie zakłopotany głos.

Ubrała się pośpiesznie, spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Westchnęła z rezygnacją na widok podpuchniętych z niewyspania i zaczerwienionych oczu. Przeciągnęła szczotką po włosach, wyjęła spod łóżka rulon i zdjęcie labiryntu.

Zeszła na dół.

Adam wstał na jej widok. Podali sobie ręce, oboje trochę zmieszani. Ewa zauważyła, że z boku nadal stoi mercedes Podreckiego. Powinna chyba zawiadomić policję.

– Świetnie, że jesteś – powiedziała na głos. – I sorry za to przedstawienie.

– Nic nie było widać – odparł kurtuazyjnie Adam. – Słońce odbijało się w szybach. Skinęła głową z wdzięcznością.

– Zjesz z nami śniadanie? – zaproponowała.

– Dziękuję, już jadłem.

– No to napijesz się kawy – zdecydowała.

Na ganku pojawiły się Zenia z Izą.

– O, pan mecenas! – rzuciła z uśmiechem dziewczyna. Podeszła do Adama i podała mu rękę. – Wyjechał pan o piątej?

– O szóstej.

– Nieładnie tak łamać przepisy... – Iza pogroziła mu palcem i usiadła w wiklinowym fotelu. – Co sprowokowało ten pośpiech?

– Poczekaj chwilę. Zaraz się dowiesz – powiedziała Ewa z przyganą. – Możemy prosić o kawę, kilka grzanek i konfitury? – zwróciła się do Zeni.

– Oczywiście, Ewuniu – potwierdziła gospośnia. – A tego Podreckiego dalej nie ma? – zainteresowała się.

Ewa rozłożyła ręce. Zenia pokiwała głową z ponurą miną, odwróciła się i weszła do domu.

Adam czekał z pytaniem w oczach.

– Pan Maurycy Podrecki zjawił się wieczorem, bo zepsuł mu się samochód. Został na noc – wyjaśniła Ewa. – Po północy Zenia usłyszała krzyk i okazało się, że kustosz zniknął. Jej zdaniem, porwał go duch Baldwina Ossolińskiego.

– Bardzo możliwe – zgodził się z uśmiechem Adam. – Zofia opowiadała mi o tym nieszczęsnym młodzieńcu. Wezwałaś mnie, żebym pomógł w poszukiwaniach Podreckiego?

Pokręciła przecząco głową i wskazała na rulon.

– Jest dorosły, ma prawo chodzić swoimi drogami. Ale w nocy natrafiłam na to.

Wyjęła z koperty zdjęcie, położyła je na stole. Obok rozwinęła pierwszą kartę.

– *Hypnerotomachia Poliphili*. Magiczna księga. Moim zdaniem pierwsze wydanie, z piętnastego wieku. Opisuje talizmany Apoloniusza.

Pochylony nad stołem Adam porównywał figury na karcie i na zdjęciu.

– Identyczne! – zawołał poruszony.

– Właśnie.

– A mnie to nie dziwi – wtrąciła się Iza. – Ossoliński i Solon zostawili dla nas ślad.

Wyciągnęła z kieszeni smartfona i sfotografowała oba zestawy figur.

– Po co ci to? – zapytała nieufnie Ewa.

– Na wypadek, gdyby znów nas okradziono.

Głos Izy zabrzmiał nieszczercze. Ewa obiecała sobie, że później przepytą bratanicę. Zwróciła się do Adama.

– Jako prawnik musisz znać łacinę.

– Trochę. Ale dawno nie miałem okazji...

– Spróbujmy razem.

Pochylili się nad zadrukowaną stroną.

– Słońce patrzy w twarz Księżycowi, Merkury w głębokim lochu – zaczął Adam. – Księżyc, Wenus i Mars zanurzone w wodzie. Centuria... – przerwał.

– Centuria pierwsza, centuria czwarta, trzydzieści i trzy – dopowiedziała Ewa. – To pachnie kodem astrologicznym.

– Jak najbardziej.

Ewa podniosła ręcznie zapisaną kartkę.

– Te notatki podpisał Krzysztof Ossoliński. Ilustracje też są jego.

– Zdolny był! – rzuciła z podziwem Iza.

– W tamtych czasach dobrze urodzeni uczyli się malarstwa, muzyki i poezji – wyliczyła Ewa. – Oraz kilku języków, z greką i łaciną włącznie. Nie licząc, oczywiście, historii, geografii i geometrii.

– Uznaliby nas za barbarzyńców – mruknął Adam.

Ewa skinęła głową.

– Mamy przed oczami opowieść o poszukiwaniu utraconej pięknej Polli, ukochanej Polifila – ciągnęła. – Polifil musi dotrzeć do tajemnych miejsc, przejść próby inicjacyjne i magiczne. Według starożytnej tradycji wyłącznie czysta miłość zapewnia pełne wtajemniczenie.

Wskazała kolejną kartkę, z odręczną, starannie wykonaną ilustracją. Nadzy kobieta i mężczyzna pochylali się nad nurtem rzeki.

– Będą się kąpać? – zapytała Iza, przygotowując smartfona.

– Dusze zmarłych kochanków piją z rzeki Lety – wyjaśniła Ewa. – Musisz robić te fotki? – zirytowała się.

– Jeszcze ta jedna, proszę...

Ewa z dezaprobatą pokręciła głową.

– Kochankowie piją z rzeki, żeby odrodzić się blisko siebie i odnaleźć w następnym wcieleniu. Takie poszukujące się połówki duszy, pierwiastek kobiecy i pierwiastek męski, anima i animus – tłumaczyła powoli. – U Platona boska dusza była jednością, męsko-kobietą całością, którą symbolizowała kula. Z powodu nieczystości człowieka ta jedność się rozpadła. Dwie połowy duszy spotykają się znów, by w stanie miłości przeniknąć niezrozumiałą i niewidzialną Tajemnicę Bytu. Tajemnicę Krzyżtoporu może przeniknąć tylko osoba, która odnajdzie czystą miłość, drugą połowę swojej duszy. Zgodnie z tym, co wyjawiają nam starożytni, pojawieniu się tej drugiej połowy musi towarzyszyć znak – zakończyła.

Nikt się nie odezwał. Iza sprawiała wrażenie zamyślanej.

– To trochę mało konkretna wskazówka – powiedział wreszcie Adam, patrząc na rozłożone karty z *Hypnerotomachii* i notatki.

– Wcale nie! – zaprzeczyła Iza. – Wystarczy, że pan i ciotka zakochacie się w sobie.

– Nie pleć głupstw! – zawołała Ewa.

Dziewczyna roześmiała się.

– No to ja znajdę sobie drugą połówkę – oświadczyła. – I pierwsza dotrę do skarbu.

Ewa popatrzyła na nią uważnie.

– A co zrobisz potem?

– A co się robi z miliardem dolarów? – Wzruszyła ramionami Iza. – Kupię samolot i wyspę. I oczywiście podzielę się z wami. I z paroma przyjaciółkami.

– Miałam w nocy dziwny sen – powiedziała Ewa z namysłem.

Adam i Iza spojrzeli na nią pytająco.

– O talizmanach i kochankach? – zapytała dziewczyna.

Ewa przytaknęła.

– Wiecie, po co ludzie renesansu pragnęli osiąść Tajemnicę Bytu?

– Żeby być szczęśliwi, nieśmiertelni – próbowała zgadnąć Iza.

– Aby stworzyć doskonałą cywilizację, wolną od chorób, wojen i przedwczesnych śmierci – mówiła dalej Ewa. – Wynurzyli się z ponurych czasów średniowiecza i marzyli o lepszym świecie. Szybko zrozumieli, że rozum jest bezsilny, nie zmienia ludzi, przed niczym nie zabezpieczy. Domyślali się, że człowiekiem i kosmosem rządzą tajemnicze ukryte siły, w których tkwi potencjał wolności i szczęścia.

– Religia też to obiecywała – zauważył Adam.

– Nie odrzucali religii. Ale nie wystarczała im, nie odpowiadała na podstawowe pytanie: dlaczego los człowieka jest tragiczny? Lecz nawet jeśli odpowiedź znajdowała się w *Nowym Testamencie*, zepsuci ludzie kościoła nie byli autorytetami, nie mieli charyzmy. Przez tysiąc lat nie wykorzystali szansy na naprawę ludzkości.

– Co to wszystko ma wspólnego z twoim snem, ciotka? – Iza pogubiła się nieco.

– Zobaczyłam zrealizowane renesansowe pragnienie – ludzi odnowionych dzięki

wodzie życia, poznających prawdę, spełnionych i szczęśliwych. Poza zasięgiem czasu i przemijania. Stałam się jedną z nich. Ale przebudziłam się. – Ewa z uśmiechem rozłożyła ręce.

– To moja wina – powiedział Adam. – Przepraszam za klakson.

– Przeprosiny przyjęte. – Skinęła głową. – A sen dał mi do myślenia. Po co cesarz ukrył talizmany? Dlaczego tak bardzo zależało mu, aby doczekały innych czasów?

– Żeby wróciły do Bizancjum! – Domyśliła się Iza. – Kiedy zostaną stamtąd wygnani Turcy.

– Być może – zgodziła się Ewa. – Ale bardziej przekonuje mnie idea, że cesarz i jego przyjaciele, Krzysztof Ossoliński i nasz przodek Solon, marzyli o czasach, kiedy ludzie będą gotowi na ich przyjęcie.

– Gotowi? – zdziwił się Adam.

– Tak, mentalnie. Uwolnią się od obłędu chorej cywilizacji, zaprzestaną gonitwy za władzą i bogactwem. Wówczas będą potrafili użyć tajemnej mocy talizmanów.

Iza pokręciła głową z powątpiewaniem.

– Staną się nieśmiertelni?

– Być może wystarczy, że uwierzą w nieśmiertelność duszy. Wtedy przestaną cierpieć i zadawać cierpienie innym.

– Chrześcijanie w nią nie wątpią – zauważył Adam

– To dlaczego żyjemy tak, jakbyśmy nie wierzyli? – zapytała Ewa. Nie doczekała się odpowiedzi. – Ludzie renesansu uważali, że zbyt mało wiemy o esencji Bytu, tajemniczej sile, która napędza Wszechświat – kontynuowała. – Ich ciekawość i marzenia nie były sprzeczne z religią, chcieli jednak pójść dalej. Wierzyli, że mądrość i miłość uwolnią ich, poprowadzą drogą wielkiej Tajemnicy. Do prawdziwego Boga.

– I jak się to skończyło? – zapytała Iza.

Ewa pokazała naokoło szerokim gestem.

– Tak jak widzisz – powiedziała.

– Czy to znaczy, że taka droga nie istnieje? – W głosie dziewczyny pobrzmiwał zawód.

– Istnieje – odparła Ewa. – A naszym zadaniem jest odkrywanie jej wciąż od nowa.

– A co jeśli znajdziemy talizmany? – rzucił Adam.

Spojrzała na niego uważnie.

– No właśnie – westchnęła. – Czy świat jest gotów na ich przyjęcie?

Po ośmiu godzinach błądzenia Podrecki był wyczerpany i bliski obłędu. Od chwili kiedy zdecydował się porzucić myśl trzymania się jednej strony korytarzy i ruszył w kierunku wskazanym przez dziewczynę z pochodnią, pokonał kilometry podziemi, wiele razy wybierając drogę według takich samych znaków. Pochodnie zawsze były uniesione, choć pod różnymi kątami, i wyznaczały korytarze, w które należało skręcić.

Te niewielkie różnice niepokoiły, Podrecki powtarzał sobie jednak, że w labiryncie najważniejsza jest konsekwencja. Wierzył, że dziewczyny nie prowadzą go na manowce. Oznaczały przecież oświecenie i nadzieję, dodawał sobie otuchy. Za każdym razem kiedy

spotykał kolejny znak, kłaniał się i mamrotał podziękowania.

Minęło sześć godzin, kiedy dotarł do lekkiego łuku korytarza i na ścianie zobaczył dziewczynę z pochodnią skierowaną w dół. Zamarł z przerażenia, bowiem oznaczała śmierć. Z bijącym sercem pokonał zakręt i w świetle latarki dostrzegł ślełą ścianę. Żadnego rozwidlenia, żadnej wskazówki. Pod ścianą siedział szary ze starości kościotrup w rozsypanych się resztkach zbutwiałego ubrania. To był prawdziwy koniec, śmierć rabusia, który jak on ośmielił się wejść do labiryntu, nie znając jego prawideł.

Podrecki usiadł pod ścianą z uczuciem paniki; nie był w stanie oddychać. Dusił się, jakby nagle w powietrzu zabrakło tlenu. Osunął się bezwładnie na wilgotną ziemię i przez minutę kaszlał gwałtownie. Wreszcie uspokoił się i wstał.

Oslabione ciało odmawiało posłuszeństwa, strach wciąż dławił za gardło, a nogi dygotały, ale jednocześnie pojawił się załazek gniewu. Odwrócił się do kościotrupa plecami, chwiejnym krokiem powrócił do załomu korytarza i oświetlił znak z dziewczyną.

– Zaufałem ci, a ty mnie oszukałaś – powiedział z pretensją. – Cieszyłaś się, kiedy tamten zginął?

Puste oczy dziewczyny patrzyły bez wyrazu, jak oczodoły śmierci.

Latarka zamigotała i zgasła, zapanowały ciemności. Podrecki potrząsnął nią, ale bez efektu. Drżącą z nerwów dłonią uruchomił aplikację latarki w telefonie.

Okrągły snop słabego światła rozjaśniał zaledwie kilka metrów korytarza, przegrywając z mrokiem. Wyświetlacz sygnalizował, że bateria naładowana jest do połowy. Jeśli natychmiast nie odnajdę drogi do wyjścia, zginę w podziemiach!, spanikował Podrecki. A mój szkielet zostanie odnaleziony po wiekach, jak szkielet tamtego biedaka...

Niedoczekanie! Przecież jest wykształcony, potrafi czytać znaki! Pozwolił, żeby dziewczyna go zwiiodła, lecz był to ostatni raz. Budowniczy labiryntu na pewno pozostawił symbole prowadzące i do talizmanów, i do wyjścia. Wystarczy, że będzie wybierał korytarze, których nie wskazuje zwodnicza przewodniczka z pochodnią, a znajdzie te znaki z pewnością!

Odzyskał energię, ruszył korytarzem i dotarł do znajomego rozwidlenia. Miał do wyboru dwie drogi. Pochodnia dziewczyny wskazywała na korytarze po prawej, zatem trzeba kierować się w stronę przeciwną, zdecydował po chwili wahania.

Kilkanaście kroków dalej wydało mu się, że w świetle telefonu widzi na ścianie niewyraźny rysunek. Zatrzymał się, podszedł bliżej i ujrzał trójkąt z okiem na szczycie.

– Świetnie! Wreszcie nie ta cholerna dziewczka! – wyszeptał uradowany. – Piramida, z okiem Opatrzności – ciągnął, jakby chciał powiedzieć rządzącym podziemiem siłom, że jest znawcą i powinny mu sprzyjać. – Świadomość, Mądrość, Wielki Architekt. Wszzechwidzące oko i trzynaście stopni piramidy wiodących do oświecenia, które spływa na ciemnych ludzi zamieszkujących Dolny Świat. Nie jestem ciemny, wierzę w oświecenie, które mi wskazujesz. Prowadź swojego wyznawcę!

Pomimo zmęczenia i słabnących mięśni, energicznie ruszył przed siebie.

Karty z *Hypnerotomachii* i notatki Ossolińskiego nie chciały ujawnić niczego więcej. Ewa czuła się zakłopotana, że uległa odruchowi ekscytacji i ściągnęła Adama. Wykorzystała to odkrycie jako pretekst. Nie chciała się przyznać, że potrzebuje jego obecności, i nie jest to związane z tropieniem skarbu. Dodatkowo irytowała ją mina Izy, która zdawała się odczytywać jej intencje.

Kiedy skończyli rozmawiać o renesansie i talizmanach, Adam też poczuł się niezręcznie. Nie spodziewał się rewelacji na temat skarbu, poza tym miał dużo pracy w kancelarii, a jednak od razu zdecydował, że przyjedzie. Myślał o Ewie, chciał ją zobaczyć, przebywanie z nią sprawiało mu wielką przyjemność. Talizmany były świetnym sposobem, aby spędzać razem czas.

Teraz nie potrafił pociągnąć rozmowy, czuł się zagubiony, jakby to była pierwsza randka z dziewczyną z liceum. Poza tym przeszkadzała mu obecność Izy, która nie ukrywała rozbawienia stanem ich uczuć. Nie było sensu ciągnąć wizyty, należało się pożegnać i odjechać. Zwrócił się do Ewy.

– Słyszałaś o zamku Ossolin?

– Zofia wymieniła kiedyś tę nazwę, ale nie pamiętam, w jakim kontekście – odparła.

– Ruiny leżą jakieś piętnaście kilometrów stąd w linii prostej – ciągnął. – Ossolin zbudował brat Krzysztofa, Jerzy Ossoliński, wielki i pyszny magnat. Zasłynął wyprawą do Rzymu w roku tysiąc sześćset trzydziestym trzecim, z rozkazu króla Władysława IV. Wybrał się z poselstwem, aby wyjednać u papieża i cesarza większe swobody dla Rzeczypospolitej. Orszak liczył trzystu ludzi, muły, wielbłądy i konie. Polskie konie gubiły złote podkowy, a zdumieni Rzymianie zbierali je skwapliwie.

– Nieźle! – podsumowała Iza.

– Niekoniecznie. Na opłacenie przedstawienia Jerzy zaciągnął dług, dwieście tysięcy złotych. Nie wystarczyło, więc król pożyczył pieniądze u żydowskich lichwiarzy z Lwowa. Zastawił też dobra koronne na Litwie. Ossoliński sprawy u papieża nie załatwił, ale pieniądze wydał. Otrzymał tylko tytuł Księcia Cesarstwa Rzymskiego od cesarza Ferdynanda II. Oddał go potem, bo bardzo się to nie podobało szlachcie. I tyle z całej jego wyprawy.

– Ciekawe – powiedziała Ewa. – Ale po co o tym opowiadasz?

– Wśród miejscowych krąży legenda, jakoby Ossolin i Krzyżtopór łączył podziemny korytarz. Wsypany solą kamienną, po której można było szybko jechać saniami.

– Niesamowite! – szepnęła Iza. – To może być część labiryntu. Droga do skarbu? Ewa się uśmiechnęła.

– Z pewnością. Pojedziemy po niego zaprzęgiem!

Iza wydeła usta.

– Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni – powiedziała.

– A kiedy Ossolin zniszczono? – zapytała Ewa. – Szwedzi czy Rosjanie?

Adam pokręcił głową.

– Zdziwisz się – odparł. – Zamek przetrwał i szwedzki potop, i wojny z Rosją. Przechodził z rąk do rąk. Ostatnim właścicielem był hrabia Antoni Ledóchowski.

W tysiąc osiemset szesnastym roku wysadził go w powietrze.

– Dlaczego? – zdumiała się Ewa.

– Aby uchronić przed zepsuciem swoich synów.

Oczy Izy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

– Idiota! – prychnęła.

– Może doznał oświecenia? – zaprotestowała Ewa. – Ujrzał prawdę i zagrożenie płynące z bogactwa?

– Synowie musieli go za to kochać – zauważyła Iza.

Adam roześmiał się.

– Podobno zaciągali karciane i pijackie długi pod zastaw majątku. Po wysadzeniu zamku hrabia Antoni przekazał resztę dóbr żonie, a sam wstąpił do klasztoru.

– A widzisz? – Ewa zwróciła się do bratanicy.

Dziewczyna westchnęła.

– Poddaję się – powiedziała. – Chociaż zamku szkoda. Ale jeżeli to wszystko na temat talizmanów, a pan mecenas wraca do Zamościa, chętnie się zabiorę.

– Proszę bardzo.

Ewa nie kryła zaskoczenia.

– Nic o tym nie mówiłaś...

– Teraz mi przyszło do głowy – wyjaśniła spokojnie Iza. – Postanowiłam odwiedzić kochaną rodzinę, zanim wysadzi w powietrze moje mieszkanie.

– Ożeni się pan z Ewą? – zapytała Iza, kiedy wyjechali na szosę prowadzącą z Ujazdu do Sandomierza.

Adam właśnie wyprzedzał ciężarówkę i musiał mocno skupić się po tym pytaniu, aby nie popełnić błędu. Przyśpieszył, zjechał na prawy pas i spojrzał zmieszany na dziewczynę.

– Co to za pomysł?

Iza uśmiechnęła się przebiegle.

– Nie mój, tylko wasz. Przecież to widać. Proszę nie ściemniać.

Adam odwrócił głowę.

– Wciąż jestem żonaty.

– A zatem pan nie zaprzecza! – ucieszyła się dziewczyna. – Niedługo będzie pan wolny.

– Zmieńmy temat, proszę.

– Nie ma mowy! Szczęście ciotki jest dla mnie bardzo ważne! To wspaniała kobietka, a nie ma farta do facetów. Co na któregoś postawi, to katastrofa. Nie wiem, jaki jest pan, ale na oko wydaje się pan w porządku gościem.

– Znasz się na mężczyznach? – zapytał rozbawiony Adam.

Iza prychnęła lekceważąco.

– To nie sztuka – odparła. – Wszyscy jesteście podobni.

– Jeśli tak, to czym różnię się od tych, na których zawiodła się twoja ciotka?

Przez chwilę trwała cisza.

– Mam wrażenie, że nie jest pan narcyzem – wyjaśniła Iza po chwili. – A to już coś. Dziewięćdziesiąt procent facetów to narcyzowie. Fitness, lustro, ciuchy i opowieści o sobie. A tak w ogóle, to mówmy sobie po imieniu. Iza jestem.

– Adam.

– W towarzystwie ciotki zachowujesz się tak, jakbyś coś zgubił i zapomniał, co to było – oświadczyła dziewczyna. – Jeśli to nie jest zakochanie, to co zgubiłeś?

Adam z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Pierwszy raz słyszę takie porównanie – powiedział.

– Nie wykręcaj się. Ewa też ma minę, jakby chciała, ale się bała. A może nawet nie wie, że chce. Nie zapytałam jej jeszcze.

– Nie zapytałaś? Aż trudno uwierzyć.

Iza spojrzała karcąco.

– Nie śmiej się – powiedziała z naganą. – To delikatna sprawa. Ciotka właśnie została trafiona, kilka dni temu. I nie może dojść do siebie.

– Ja też zostałem trafiony – stwierdził Adam.

– Z facetami to co innego. Jesteście inaczej skonstruowani.

– Czyli?

– Wydaje się wam tylko, że cierpicie. Ale wystarczy, żeby przydarzyło się coś nowego i od razu zapominacie. O byłej żonie, o dzieciach. O wszystkim.

– Mocny osąd, droga Izo – powiedział Adam poważnie.

– To biologia i kawał historii – oświadczyła dziewczyna tonem znawcy. – Musicie być gotowi do następnego polowania albo do wojny. Facet rozłożony uczuciami nie nadawałby się do czynu. A cierpiąca kobieta może prowadzić dom i wychowywać dzieci.

Adam się uśmiechnął.

– Coś w tym jest – przytaknął. – Ale to przeszłość. Nie zamykacie się już w domach.

Iza klasnęła w ręce.

– I właśnie dlatego mamy gorzej! Jesteśmy mądrzejsze, bardziej wrażliwe, mocniej wszystko przeżywamy. A musimy być twarde.

– Zgadza się.

– Chyba się nie mylę co do ciebie – stwierdziła z zadowoleniem. – Większość facetów próbowałaby udowodnić, że jestem za młoda i nic nie wiem o życiu.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Po obu stronach szosy rozciągał się las, powietrze było nasycone czystą zielenią i błękitem, niskie słońce migotało między gałęziami i pniami. W górze wiatr ścigał się z obłokami.

– Pięknie jest – westchnęła Iza.

Wyciągnęła się wygodnie w fotelu, zrzuciła tenisówki i oparła boscie stopy na półce pod przednią szybą.

– Nie uważasz, że Ewa potrzebuje czasu? – zapytał Adam.

Spojrzała na niego uważnie.

– Z miłością jest jak z wypadkiem samochodowym – odparła, starannie dobierając słowa. – Człowiek nie może się przygotować, trach i już! Ja też się zakochałam – dodała po kilku sekundach.

Adam odwrócił się do niej zaciekawiony.

– Chłopak z fundacji? Student z grupy profesora?

Iza pokręciła przecząco głową.

– Pudło. I nie powiem. Umówiłam się z nim w Sandomierzu. Nie chciałam, żeby Ewa wiedziała. Obiecuj, że mnie nie zdradzisz.

Adam podniósł dłoń.

– Obiecuję.

– Dziękuję. – Dziewczyna mrugnęła porozumiewawczo. – W zamian za to wyciągnę od ciotki, co do ciebie czuje. Na pewno chciałbyś wiedzieć, prawda? Moim zdaniem, powinieneś być gotów na wielki sztorm.

Podrecki siedział pod ścianą, bezwładny jak szmaciana lalka. Słabo świecący telefon skierował na znak wyryty w kamieniu na wysokości oczu.

Była to sylwetka nagiego człowieka stojącego na półksiężycu. W szeroko rozpostartych rękach trzymał niewielkie węże, z ramion wyrastały mu skrzydła. Miał dwie głowy: brodatą męską i kobiecą, obie przykryte jedną koroną.

– Hermafrodyto... – wyszeptał kustosz, prawie nie poruszając spierzchniętymi wargami. – Powiedz, oznaczasz szczęście czy zagładę?

Zamilkł i na długo zastygł w bezruchu. Po dwunastu godzinach błądzenia w podziemiach paliło go pragnienie i dręczył głód. Gdyby nie wizja ujrzenia za następnym zakrętem figur świecących złotem i drogimi kamieniami, już dawno poddałby się i zgodził na śmierć.

Zmęczony mózg powoli wydostawał z zakamarków pamięci znaczenia znaku.

– Hermafrodyta – mamrotał pod nosem. – Jedność przeciwieństw, doskonałość alchemii. Mistyczny związek księżycowego pierwiastka żeńskiego ze słonecznym męskim. Chemiczne zaślubiny. Razem tworzą coś potężniejszego niż osobno. Tajemną energię życia.

Rozejrzał się dokoła.

Znak wykuto w narożnym kamieniu, od którego odchodziły dwa korytarze. Kustosz musiał wybierać – albo pójdzie w lewo, w kierunku, który wskazuje ramię mężczyzny, albo w prawo, gdzie zaprasza kobieta. Fortuna lub zagłada.

– Myśl, myśl! – napomniał się na głos. – Który element wybrałby Apoloniusz? Na pewno oba, zjednoczone. Głupiec nie pojmie tajemnicy alchemii, zgubi się. Z ciała skrzydlatego hermafrodyty wyrasta mistyczne drzewo, z niego ulatuje dusza do wyższych sfer spirytualnych. W którą stronę ulatuje? Pamiętam! Na prawo! Na prawo, do ogni w niebieskim okręgu Kosmosu! To kobieta wskazuje jedyną słuszną drogę!

Odepchnął się od ściany i ruszył chwiejnie prawym korytarzem. Z trudem odrywał stopy od ziemi, ale mruczał z coraz większym żarem.

– Ty wiesz, że błędziłem przez całe życie! Od bardzo dawna, od najmłodszych lat. Kiedy przekonałem się, jak głupi i naiwni są ludzie. Jak łatwo ich zwodzić i oszukiwać. Okradać za ich przyzwoleniem. Udawałem, że Ciebie nie ma, choć wciąż i wciąż natrafiałem na Twoje ślady. W każdym przejawie piękna i mądrości, które bez Ciebie nie

mogłyby powstać, przez wieki. Jestem tchórzem, bo bałem się spojrzeć w Twoje oblicze. Musiałbym wtedy zaprzeczyć sam sobie. Albo oszaleć. Ale teraz, kiedy poddany zostałem próbie... Błagam, nie odwracaj się ode mnie! Nie każ mi ginąć w cierpieniu i samotności! Podaruj mi nagrodę, na którą nie zasługuję! A ja przysięgam, że stanę się innym człowiekiem. Bogactwo nie zaćmi mnie już nigdy, będzie źródłem radości dla setek, tysięcy ludzi. Podzielę się. Przysięgam na resztki mojej nędznej kłamliwej duszy!

Zakręciło mu się w głowie i upadł, ciężko uderzając o twardą ziemię. Telefon wypadł z bezwładnej ręki, potoczył się w ciemność i zgasł. Podrecki jęknął z bólu. Spróbował dźwignąć się na rękach, lecz nie dał rady. Leżał na boku, dysząc bezradnie. Zrezygnowany zamknął oczy i wtedy usłyszał cichy szmer.

Coś miękkiego przesunęło się wzdłuż jego dłoni.

Szczur!, dotarło do niego w przeblysku świadomości. To znaczy, że niedaleko musi być wyjście!

Uchylił powieki i ujrzał przed sobą słabą poświatę. Z głębi korytarza zbliżała się ku niemu lekko świecąca sylwetka w zbroi i hełmie. Z nagim mieczem w dłoni.

Baldwin, syn Krzysztofa! Podreckiemu zjeżyły się włosy. Tak, słyszał o nim od mieszkańców Ujazdu i okolic, ale śmiał się z tych opowieści. Kto ujrzy Baldwina, nie będzie już cieszył się życiem! Zmarnieje i szczeźnie!

Przerażenie odebrało mu oddech, ale przez ciało przebiegł elektryczny prąd strachu, nogi i ręce odzyskały nagle władzę. Sylwetka rycerza była coraz bliżej. Widział już białe oczy i wyszczerzone zęby w gnijącej czaszce, ze straszną raną od topora.

Dźwignął się, charcząc i bełkocząc niewyraźnie, odwrócił i ruszył w ciemność, szeroko rozstawionymi rękami macając po ścianach. Próbował biec, lecz nogi plątały się, groziły upadkiem. Poczł nagle, że emanuje bladym światłem, ramiona i nogi wypełnił trupi blask. Baldwin przenikał go, stawał się nim!

– Neeee... – Wydostało się z gardła Podreckiego.

Nagle uderzył głową o twardą kamienną przeszkodę.

Upadł na kolana, oparł się dłońmi o ziemię. Tuż przed sobą zobaczył złote światło wydobywające się między kilkoma szparami. Talizmany Apoloniusza... Za kamienną ścianą!

Poczł falę podniecenia, lęk przed Baldwinem znikł. Stwórca nie chciał mu pomóc, a uczynił to upiór!

Wydobył z kieszeni szwajcarski scyzoryk i dysząc z wysiłku, zaczął drażyć w szparach. Wydłubywał ziemię i zbutwiałe korzenie, poszerzał powstałe otwory, szarpał i pchał kamienie. Poddawały się jego wściekłemu atakom opornie. Ale wreszcie udało mu się wyrwać granitowy głaz. A potem następny.

Nagle cała ściana zachwiała się i rozsypała, głazy wpadły do jasnej komory. Zaskoczony Maurycy stracił równowagę i przewrócił się na brzuch. Wrzasnął z bólu, ale od razu zerwał się i rozejrzał. Stał na dnie płytkiej studni, dwa metry nad sobą widział gąszcz chwastów i zarośli, przez nie wpadały złote promienie słońca. To nie talizmany, lecz ratunek! Wdrapał się z wysiłkiem po zmurszałych ceglach precyzyjnie przez otwór i upadł na ziemię. Nad sobą zobaczył arkadę na wpół zrujnowanego mostu i resztki baszty.

Wiedział, gdzie dotarł; to były pozostałości zamku Ossolin. Leżał bez ruchu, łyżki były białe bruzdy na jego czarnej od brudu twarzy. Płakał bezgłośnie, z poczucia wdzięczności za życie, i z żalu.

– Oszukałeś mnie, nie pozwoliłeś, żebym stał się lepszym człowiekiem. Dałeś mi znak, poddałeś mnie próbie... I zadrwiłeś ze mnie. Dziękuję Ci za życie... W biedzie i poniżeniu. Dziękuję za Twoją wspaniałomyślność, Panie. Trzeba mi było zostać w labiryncie... Lepiej bym Ci służył jako upiór. Nic Ci nie jestem winien!

Pojękując i przeklinając, wstał i ruszył przez gęste krzewy. Wydostał się na bitą drogę, która prowadziła pod mostem. Wiedział, że jest oddalony o piętnaście kilometrów od Krzyżtoporu i dworku Zofii.

Stare legendy mówiły prawdę – istniał podziemny korytarz, który łączył siedziby braci Ossolińskich. Był jednak labiryntem i zabłądzenie w nim groziło niewtajemniczonym śmiercią. Być może w jego czeluściach czekają na odkrycie talizmany cesarza Bizancjum, żeby jednak do nich dotrzeć, potrzebny jest klucz do podziemnych znaków. Bez niego błądzący zostaje wydany na pastwę upióra...

Lekarz, który w szpitalu w Sandomierzu zajął się Giovannim, położył go na trzy dni na oddziale chorób wewnętrznych pod ścisłą obserwacją. Niebezpieczna alergia mogła uszkodzić wątrobę i nerki. Pacjent powoli dochodził do siebie, ale wciąż był słaby i przestraszony.

– Chciałbym, żeby przyjechała tu moja żona – powiedział, kiedy w szpitalnej izolatce odwiedził go kuzyn.

– Po co? – zdziwił się Marco. – Przecież się rozwodzicie...

Giovanni zagapił się w sufit.

– Czuję, że mogę z tego nie wyjść – wyszeptał. – Chcę ją przeprosić za krzywdy, które jej wyrządziłem.

– Przestań! Nic ci nie jest! – zachnął się Marco. – Zresztą Paula nie będzie chciała przyjechać. O ile wiem, ma cię powyżej uszu.

– No właśnie – przytaknął Giovanni. – Ale człowiek zasługuje na szansę, aby uporządkować swoje sprawy. Zanim odejdzie.

Marco wskazał gestem telefon na szafce.

– Zadzwoń do niej – zaproponował.

Giovanni pokręcił głową.

– Ze mną nie będzie chciała gadać, ale ciebie wysłucha. Powiedz jej, że bardzo ze mną źle. Że nie mogę rozmawiać.

– Znów chcesz ją okłamać?

– Tym razem w dobrej sprawie. Wyznam jej wszystko.

Marco westchnął z ubolewaniem.

– Zanim Paula dojedzie... O ile dojedzie – zaczął. – Ty wyzdrowiejesz i przejdzie ci skrucha. Pokłóćcie się, jak zawsze. Ona będzie wściekła, że dała się nabrać na twoją śmiertelną chorobę. Ciebie też poniesie. Po co ci awantura?

Giovanni milczał przez chwilę. A potem pokiwał głową.

– Może i masz rację – zgodził się. – Ale jeśli umrę, powiesz Pauli, że żałowałem i chciałem prosić o wybaczenie?

– Powiem.

– Dziękuję – odetchnął z ulgą Giovanni. – Przyrowadzisz księdza? Marny ze mnie katolik, ale w takiej sytuacji nie chciałbym ryzykować bez spowiedzi...

Marco przewrócił oczami.

– Jezu! Uspokój się, człowieku!

– Wiem, co mówię – upierał się Giovanni. – Z Pauli mogę zrezygnować, ale nie z rozgrzeszenia!

– Dobrze, już dobrze... Poproszę pielęgniarkę, żeby go przysłała. To wszystko? Giovanni skinął głową.

– No to na razie – rzucił z ulgą Marco. – Zajrzę do ciebie jutro.

Otworzył drzwi izolatki.

– Zaczekaj! – Kuzyn przywołał go gestem i ściszył głos. – Jak myślisz, co Federico zrobi z talizmanami?

– Jak to: co? Sprzeda jakiemuś miliarderowi. Ma kontakt z pośrednikiem z Brazylii.

– I to mnie właśnie martwi – wyznał Giovanni.

Marco zawrócił od progu.

– O co ci chodzi? – zapytał zdziwiony. – Przecież wiadomo o tym od początku.

Głos Giovanniego zdradzał napięcie.

– Talizmany ratowały ludziom życie, przywracały im zdrowie. Tak mówiliście.

– Przesady! – Uśmiechnął się Marco. – Bizantyjczycy w to wierzyli.

– A jeśli to nie przesady? Kiedy człowiek jest bliski śmierci, inaczej na to patrzy...

W błyszczących oczach chorego czaił się lęk.

– To nie zmienia faktu, że skarbu cesarzy potrzebuje nasza rodzina – powiedział z naciskiem Marco. – Inaczej stracimy wszystko.

– Co to jest wszystko? – zapytał filozoficznie Giovanni.

– Pałac, ziemię. Cały nasz majątek. Zostaniemy bankrutami.

Giovanni wskazał palcem na sufit.

– Zabierzesz to tam?

Marco stracił cierpliwość. Usiadł na krześle obok łóżka.

– Kompletnie ci odbiło! I to po jednej papryce. Przy każdym ataku alergii dopadają cię dziwaczne myśli. Trzy lata temu w Calabrii, kiedy ugryzła cię osa, chciałeś zamknąć się w klasztorze. Pamiętasz?

– No właśnie!

– Co: właśnie?

– Opatrzność przypomina mi, ile warte są złudzenia, za którymi gonimy...

– Znów chcesz zostać zakonikiem?!

Giovanni zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie pozwolę, żeby magiczne talizmany dostały się w łapy złodzieja-miliardera – powiedział twardo. – Zamknij się w swoim sejfie i będzie pokazywał kumplom z mafii!

Marco na moment zamilkł z wrażenia.

– Nie pozwolisz? A co zamierzasz?

– Powiadomię o naszych planach władze – oznajmił Giovanni. – Niech znajdą talizmany, aby służyły ludziom.

– Nie zrobisz tego, kuzynie – oświadczył Marco z błyskiem w oku.

– Zrobię.

– Wszystko, co osiągniesz, to zakaz zbliżania się do Krzyżtoporu. Albo zostaniemy wyrzuceni z Polski. A talizmanów i tak nie odnajdą bez nas.

Giovanni zastanowił się przez chwilę.

– Ewa ich doprowadzi.

Marco uniósł obie dłonie.

– Przestań, bo cię uduszę! – ostrzegł. – Ewa też wie zbyt mało. Próbujemy złożyć jej wiedzę z naszą, ale ciągle jesteśmy daleko. Pozwól nam spokojnie działać, a ja obiecuję, że kiedy znajdziemy talizmany, ty pierwszy wypróbujesz ich moc. Zjesz paprykę i przekonamy się, czy spuchniesz. Chcesz pomóc ludzkości, to odrobina poświęcenia nie zaszkodzi.

Argumenty zdawały się trafiać do Giovanniego.

– Może zarobimy potem na uzdrawianiu – stwierdził z zadowoleniem. – Ale będę wam patrzył na ręce! – ostrzegł.

– Naturalnie – powiedział z ulgą Marco. – A teraz prześpij się i niczym nie martw.

Natychmiast po wyjściu ze szpitala Marco zadzwonił do Izy. Od rana wymieniali się esemesami i w końcu umówili się w Sandomierzu.

Marco dotarł do miejsca spotkania w chwili, kiedy Iza podjechała jeepem. Ukrył się za rogiem ulicy i widział pożegnanie z kierowcą. Dziewczyna pocałowała tamtego w policzek i wysiadła z samochodu. Jeep odjechał.

Marco bez ruchu patrzył na Izę, która zaczęła spacerować tam i z powrotem po chodniku. Od chwili kiedy ją poznał, nie przestawał o niej myśleć. Powtarzał sobie, że wykonywał tylko zadanie wyznaczone przez Federico. Flirtował z tą dziewczyną, aby wyciągnąć z niej wiedzę o talizmanach. A jednak uroda Izy, jej wdzięk, radość życia i inteligencja robiły na nim wielkie wrażenie. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek czuł się w towarzystwie kobiety tak dobrze.

Nie uważał się za nieśmiałego, a mimo to romantyczne zdobycze kosztowały go dużo wysiłku. Zawsze czuł, że kobiety oczekują od niego dowodu, że jest mężczyzną, o którym marzą, a nie potrafił się domyślić, na czym miałyby to polegać. To były dziwne gry, bez znajomości reguł, jak loteria, w której nie określono liczb ani wygranej. Te związki trwały krótko i kończyły się niezręcznie, a on pozostawał z poczuciem, że wywołał rozczarowanie i niedosyt.

Próbował o tym rozmawiać z bardziej doświadczonymi mężczyznami, ale oni śmiali się z jego wątpliwości i powtarzali, że liczy się tylko, czy kobieta wylądowała w łóżku. Poważniejsze związki zawierało się, kalkulując pozycję i materialny status wybranki. Tak było od zawsze i nikt rozsądny nie próbował tego zmieniać.

Z czasem Marco przestał oczekiwać, że zostanie zrozumiany. Nie próbował też dzielić się swoim problemem z kobietami. Miał wrażenie, że one nie zdają sobie sprawy

z własnych oczekiwań. Marzyły o wielkiej miłości; wciąż słyszał to z ich ust. I robiły wszystko, aby do niej nie doszło.

On też potrzebował uczucia, choć nie miał pojęcia, jakimi prawami się rządzi. Przyzwyczał się, że wystarczyć muszą mu dobry seks i zabawa, których nigdy nie brakowało w wesołej Wenecji. Nie zaspokajały jednak głodu bliskości drugiej osoby.

Z Izabellą było inaczej. Wydawało się, że ona pochodzi z innego świata, w którym kobiety niczego nie oczekują i nie próbują oceniać mężczyzn. Nie, nie dlatego, że była Polką. Marco poznawał wcześniej jej rodaczki, które nie różniły się od Włosek.

Ona posiadała dar, z którym nie spotkał się nigdy dotąd – niczego nie podawała w wątpliwość, nie zastanawiała się nad wartością słów i zdarzeń, natychmiast i naturalnie przyjmowała każdą sytuację. Nawet jeśli z czegoś żartowała albo w coś wątpiła, towarzyszyła temu ciekawość, akceptacja i radość.

Jeżeli istniał talent do życia, to Iza była nim obdarowana w wymiarze zapierającym dech w piersiach. Przebywanie z nią stanowiło czystą przyjemność i niezwykle przeżycie. Wszystko w tej dziewczynie było afirmacją i szczęściem, jakby nie istniał świat smutku i cierpienia. Takie istoty jak ona posłano na Ziemię, żeby życie stało się piękniejsze.

Marco powtarzał sobie od dwóch dni, że nie jest w niej zakochany. Po pierwsze, był o sześć lat starszy. Po drugie, zamierzał ją wykorzystać, czyli oszukać. Po trzecie, czuł się fatalnie w roli, w której występował.

To nie może być miłość, doszedł do wniosku.

Teraz zaszedł Izę od tyłu i otoczył ją ramionami. Drgnęła przestraszona, ale odwróciła twarz i uśmiechnęła się natychmiast.

– Chcesz, żebym umarła na serce? – zapytała.

– Tak – odparł z nieoczekiwaną powagą. – Może wtedy udałoby mi się zapomnieć o tobie.

Nie próbowała wyswobodzić się z objęć. Zrobiła półobrót i wsparła się biodrami o jego uda.

– Nie dasz rady – rzuciła z uśmiechem. – Jesteś moją włoską zdobyczą. Nie wypuszczę cię.

– Do czego mógłbym ci się przydać?

Prowokująco przymrużyła oczy.

– Zapomniałeś? Używam cię do zdobycia bogactwa. Jak każda kobieta, marzę o wielkiej forsie.

Marco pokręcił głową.

– Nieprawda.

– Nie znasz mnie – oświadczyła. – Patrzę na ciebie, a widzę złoty talizman.

– Który?

– Wciąż nie potrafię rozstrzygnąć. Wąż z lwią głową albo słoń.

– Jestem kłamliwym wężem – powiedział Marco poważnie. – I wcale nie ze złota.

Iza położyła dłoń na jego ustach, a za chwilę cofnęła palce i pocałowała go delikatnie.

– Wiem – powiedziała cicho, z wargami na jego ustach. – Wszystko wiem. Jesteś oszustem. Ale wpadłeś we własne sidła, prawda?

Marco zeszywniał, a potem poczuł falę gorąca. Nie wiedział, ile w tym było wstydu, a ile podniecenia bliskością dziewczyny. Mięśnie nóg odmówiły mu posłuszeństwa.

Oderwał się od Izy, przeszedł kilka kroków i bezwładnie opadł na ławkę. Ona usiadła obok.

– Co teraz? – zapytała z uśmiechem niewiniątka, przypatrując się uważnie.

– Nie mam pojęcia – wyznał bezradnie.

– Prawda nas wyzwoli – powiedziała z przekonaniem Iza, ubawiona sytuacją. – Chciałeś mnie wykorzystać. Młodą, naiwną Polkę, która oszalała na punkcie przystojnego Włocha. I prawie ci się udało. Gdybyś nie stracił głowy... Marny z ciebie gangster.

– Nie jestem gangsterem – zaprotestował bez przekonania.

– Szkoda. Byłoby ciekawiej. Zatem, co powiesz, panie nie-gangsterze, na to, abyśmy razem zagrali na nosie naszym mądralom?

Marco powoli odzyskiwał równowagę.

– Chcesz odnaleźć talizmany? Ze mną?

Iza przytaknęła. Ujęła jego dłoń.

– Poczytałam w internecie o Apoloniuszu – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

– Był wielkim magiem i cudotwórcą, uzdrawiał ludzi. Wierzę, że te talizmany mają tajemną moc.

Marco starał się nie oddychać, żeby nie zepsuć chwili.

– Powiedz coś! – ponagliła go dziewczyna.

– Jesteś drugą osobą, która mnie przekonuje o ich potędze – bąknął.

– A kto był pierwszy?

– Mój kuzyn Giovanni. Odwiozłem go właśnie do szpitala. Miał ciężki atak alergii.

Iza puściła dłoń Marca. Sięgnęła po telefon.

– Zobacz – powiedziała.

Na ekranie pojawiła się karta ze starej książki.

– *Hypnerotomachia Poliphili* – oznajmiła Iza. – Zapisałam sobie, żeby niczego nie pokręcić.

Marco patrzył poruszony.

– Skąd to masz? – zapytał.

– Siedziało sobie schowane w szafie w dworku Zofii. Znalazłyśmy to wczoraj z Ewą. O, tu jest opis talizmanów po łacinie.

– Zgadza się – przyznał Marco. – To fantastyczne! Solon ukrył ten tekst dla potomnych w swoim domu!

Iza przytaknęła z uśmiechem.

– To nie wszystko. Popatrz na to. – Postukała palcem w ekran. – Notatki samego Ossolińskiego!

Marco wyjął z jej dłoni telefon, powiększył tekst i przebiegł go wzrokiem.

– Wiesz, co jest tutaj napisane? – Podniósł oczy.

– Że tajemnicę Krzyżtoporu może przeniknąć tylko człowiek, który odnajdzie czystą miłość, drugą połowę swojej duszy. Pojawieniu się drugiej połowy musi towarzyszyć znak – wyrecytowała.

- Nie znalazłyście nic więcej?
- Mało ci? Przecież to jest o tobie i o mnie!

Marco wstrzymał oddech.

- Chciałbym, żeby tak było – powiedział ze smutkiem. – Ale...
- Ale co? – Zniecierpliwiła się dziewczyna.
- Za każdym razem, kiedy próbowałem związać się z kimś...

Ujęła go od brody i zmusiła, by spojrzał jej w oczy.

- Ja nie jestem kimś. Takiej, jak ja, nie spotkałeś. I nigdy nie spotkasz.
- Też tak myślę – przytaknął.
- No widzisz! Otrzymaliśmy znak!
- A co nim jest?

– To, że się poznaliśmy, bałwanie! – zawołała Iza. – To, że miałeś mnie wykorzystać, a się zakochałeś! I ja w tobie. To się przecież nie zdarza! Musimy być tymi dwiema połówkami, i tyle! Przez chwilę myślałam, że to Ewa i Adam, ale... To beznadzieja. Są starzy i mają pokręcone sprawy z byłymi. Nie są w stanie wyznaczyć, że coś do siebie czują.

– Rozumiem – powiedział Marco. – Tylko co dalej? Nie mamy pojęcia, gdzie szukać – dodał z powątpiewaniem.

Iza wywróciła oczami.

– Człowieku małej wiary, ciesz się, że mnie masz! O resztę zadba opatrność. Ty wydostaniesz wszystko od swoich, ja od ciotki. Razem będziemy o krok przed nimi. Dwie połówki, anima i animus! Rozumiesz?

Marco niepewnie pokiwał głową.

– Teraz cieszymy się sobą. – Iza pocałowała go i spojrzała mu z bliska w oczy. – Wynajmij piękny pokój w ładnym hoteliku. Najwyższy czas na rozstanie z dziewictwem. Oszołomiony Marco otworzył usta i zamarł.

13.

Następnego dnia o ósmej piętnaście rano, wracający ze sklepu, obciążony plastikowymi torbami z jedzeniem Zenon, dostrzegł zaparkowanego przed bramą kamienicy jaguara i całującą się na przednich siedzeniach parę. Poczł lekkie, lecz nieprzyjemne ukłucie zawiści. Nigdy nie stać go było na taki samochód. I na pewno nie przeżyje już romantycznej nocy z piękną kobietą. Nie odwiezie jej rano do domu, aby odebrać ostatni dowód miłości.

Chciał minąć jaguara, lecz drzwi pasażera otworzyły się, zmuszając go do nagłego zatrzymania. Zirygowany, chciał zwrócić uwagę nieuważnej osobie i zaniemówił z wrażenia. Przed nim stała jego córka Izabella.

Zaróżowiona, szczęśliwa i uśmiechnięta, nie zmieszała się na widok ojca. Nachyliła się do wnętrza samochodu, palcami lewej ręki posłała niewidocznemu kierowcy pocałunek, po czym zatrzasnęła drzwi i powiedziała spokojnie:

– Dzień dobry, tato. Jak się masz?

Zenon nie wiedział, co odpowiedzieć ani jak się zachować. Patrzył bez ruchu na odjeżdżającego jaguara. Zauważył przy tablicy rejestracyjnej literę I.

– Włoch – powiedział wreszcie nieswoim głosem.

– Marco Farnese – potwierdziła Iza. – Na pewno go polubisz.

Patrzył na nią wzrokiem, który miał wyrażać sprzeciw i oburzenie, ale było w nim wyłącznie zagubienie.

– Moja córka... – zaczął.

– Och, przestań, tato! – przerwała mu Iza. – Daj, pomogę ci.

Powiedziawszy to, wyjęła z ręki Zenona jedną z toreb i pierwsza weszła do bramy kamienicy.

Poszedł za nią na sztywnych nogach, z bałaganem w głowie. Jedyłą myślą, jaka kołatała w jego głowie, było pytanie: co powiem Lusi? Potrzebował więcej informacji, aby wytłumaczyć się z zarzutów, które zaraz miał usłyszeć. Dlaczego nie zatrzymał i nie przepytął mężczyzny, który przywiózł jego córkę? Czy nie obchodzi mnie jej los? Jakim jest ojcem?

– Skąd wytrzasnęłaś tego Włocha? – zapytał głucho.

Iza przytrzymała drzwi, przepuściła ojca przodem.

– Spadł mi z nieba... No i zakochałam się – powiedziała ze szczęśliwym uśmiechem.

– Zakochałaś się – powtórzył jak echo Zenon. – Jak to? Kiedy?

– Przedwczoraj po południu. Spędziliśmy ze sobą cały wieczór. No i dzisiejszą noc. Zenon zatrzymał się jak wmurowany w posadzkę.

– Dzisiejszą noc.

– Będiesz tak powtarzał każde zdanie? – rzuciła rozbawiona Iza. – Tak, dzisiejszą noc, tato.

Oczy jej ojca były okrągłe i przestraszone.

– Co z nim robiłaś w nocy?

Iza nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– Boisz się mamy, prawda?

Zenon chciał coś odpowiedzieć, ale zamknął usta.

– Przyznaj się. – Dźgnęła go palcem pod żebro.

– Nie mam pojęcia, jak jej to przedstawić... – wyznał.

– Ale z ciebie tchórz! – westchnęła zniecierpliwiona Iza. – No, nie rób takiej miny, kiedyś to musiało nastąpić. Nie sądziłeś chyba, że będę czekać z tym do ślubu?

Zenon przysiadł na schodach, jakby nagle opuściły go siły. Iza przycupnęła obok, położyła mu głowę na ramieniu.

– Jestem szczęśliwa, wiesz? – wyznała cichym głosem.

– To dobrze, córeczko – wymamrotał bez przekonania.

– Przepraszam, jeśli trochę cię zaskoczyłam.

– Trochę.

Trwali tak chwilę bez ruchu.

– Co ja powiem mamie?

– Wcale nie musiałeś nas widzieć – zaproponowała Iza. – Spotkaliśmy się na ulicy, o niczym nie wiesz.

– A ty jej powiesz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Po co? Żeby usłyszeć, że jestem puszczalska? Dziękuję, nie mam ochoty.

– A mówisz, że to ja jestem tchórzem! – mruknął Zenon z pretensją.

– Bo jesteś.

– To nie takie proste...

– Co nie jest proste? – Iza spojrzała ojcu prosto w oczy. – Człowiek albo ma odwagę zawalczyć o siebie, albo nie ma.

Zenon pokręcił głową.

– Z twoją matką trzeba umieć postępować.

– Proszę cię! Chcesz powiedzieć, że ty umiesz?

– Oczywiście. Lusia ma ciężki charakter. Gdybym nie potrafił jej ustępować albo pozabijalibyśmy się, albo już dawno rozwiedli.

– Nie wiem, co byłoby lepsze...

– Łatwo ci mówić. A ja ją kocham – powiedział Zenon bezradnie.

Zaskoczona Iza przez kilka sekund szukała właściwych słów.

– Coś podobnego – mruknęła w końcu. – W ogóle mi to nie przyszło do głowy.

– No widzisz. Tak to jest. I ona też mnie kocha.

– To dlaczego tobą pomiata?

– Bo taką ma naturę – stwierdził z przekonaniem Zenon.

Z gardła Izy wydostało się nieartykułowane prychnięcie.

– I ty jej na to pozwalasz? W imię miłości?

– Miłość ma wiele twarzy, córeczko.

– Mam nadzieję, że nigdy nie poznam tej podobnej do waszej!

Głos Zenona stał się pewniejszy. Pojawiła się w nim nuta godności.

– Zapewniam cię, że lepsza jest taka miłość niż żadna. Znam małżeństwa w naszym wieku, które nic do siebie nie czują. Albo gorzej – nie cierpią się, a nie potrafią się rozstać.

Zapadła cisza.

Iza siedziała z pochyloną głową, próbując przetrwać nową i niespodziewaną dla siebie prawdę. Zenon czekał.

– Niesamowite – westchnęła po dłuższej chwili. – Szkoda, że nie powiedziałeś mi tego wcześniej.

– Nie pytałaś.

Iza spojrzała ostro.

– Nie pytałam, bo widziałam ojca bez charakteru. Takiego, na którego wystarczy krzyknąć, żeby stał się malutkim koteczkiem. Nie obchodziło cię, jak ja się czułam? Patrzyłam na chłopaków w moim wieku i szukałam w nich prawdziwych mężczyzn. Takich, którzy nie będą przypominali mi ojca.

– I co? – zapytał Zenon ze smutkiem.

– Widziałam w nich jeszcze gorsze cechy. – Iza wzruszyła ramionami. – Ty przynajmniej nie jesteś egoistą ani narcyzem.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę. Jeśli ma ci to ci wystarczyć.

Zenon skinął głową.

– Wystarczy – powiedział. – Mam ciebie, Lusię i Darię. Czy człowiek może chcieć więcej od życia? Nie jestem herosem, nie rządę rodziną. Ale nikogo nie krzywdzę, nikomu nie odbieram woli. Niczego wam nie narzucam. Mój ojciec nie potrafił znieść choćby słowa sprzeciwu, matka bała się jego cienia, my z bratem też. Myślisz, że tak byłoby lepiej?

Po chwili milczenia Iza objęła ojca i przytuliła jego głowę do szyi.

– Cieszę się, że jesteś taki, jaki jesteś – oświadczyła z mocą. – No i powinniśmy wcześniej zacząć ze sobą gadać...

– Lepiej późno niż wcale – odparł. – Prawda?

– Prawda, tato. Kocham cię.

– Ja ciebie też, córeczko. Bardzo. Fajny jest ten twój Włoch? – zapytał Zenon z uśmiechem, ukradkiem ocierając oczy.

– Bardzo fajny – przytaknęła Iza. – A teraz już chodź. Mam sprawę do mamy.

– Chyba nie zamierzasz wychodzić za mąż – zaniepokoił się. – Po jednej nocy?

Roześmiała się.

– Nie bądź głuptas, tato! Masz do mnie zaufanie?

– Całkowicie, córeczko.

– No to nie zdziw się, że zrobię to, co muszę zrobić. Nawet jeśli mama uzna, że to okropne. Okej?

Zenon podniósł dwa palce.

– Obiecuję.

– Nie bój się, nie będę potrzebowała obrony. I tak nie dałbyś rady.

Wstali, chwycili torby z zakupami i poszli schodami do góry. W milczeniu, które znaczyło więcej niż wszystkie słowa, jakie wymienili kiedykolwiek.

Na widok wchodzących do jadalni córki i męża, Lusia podniosła się energicznie sprzed telewizora. Podeszła do Izy i uściskała ją wylewnie.

– Wreszcie jesteś, córeczko. Czas najwyższy!

– Dzień dobry, mamo. – Iza nie odwzajemniła uścisków.

Lusia poprowadziła ją do fotela pod oknem.

– Siadaj i słuchaj – poleciła.

Iza usiadła posłusznie.

– Ja też chcę ci coś powiedzieć – oświadczyła.

– Najpierw posłuchaj – powtórzyła Lusia.

W pokoju pojawili się Daria z Robertem. Zenon zajął miejsce przy stole.

– Nadeszła decydująca chwila – oświadczyła z naciskiem Lusia. – Tak się składa, że za kilka minut pojawi się tutaj mecenas, który prowadzi naszą sprawę.

– O wpół do dziewiątej rano? – zdziwił się Zenon. – Dlaczego nie spotykamy się w jego kancelarii?

Lusia westchnęła niecierpliwie.

– Czy ja kiedykolwiek zrobiłam coś, co nie miało sensu?

Pytanie zawisło w ciszy, której nikt nie był gotów stawić czoła.

– Dowiedziałam się od mojego informatora o dwóch kluczowych kwestiach – ciągnęła Lusia. – Po pierwsze, mecenas Sabiłło ma zadawniony konflikt ze znanym nam Adamem Dąbrową. Obie kancelarie starły się przy okazji sprawy kamienicy naszej drogiej Zofii. Sabiłło reprezentował klienta, który kupił prawa reprivatyzacyjne od rzekomych spadkobierców. Dąbrowa udowodnił, że dopóki Zofia żyła, owi krewni nie mieli żadnych praw.

– Czyli Adam wygrał dla nas sprawę z Sabiłłą... – powiedziała Iza.

Jej matka zmarszczyła brwi.

– Z czasem okazało się, że dla Ewy. Jak na razie. Teraz jednak pan Dąbrowa i my stoimy po przeciwnych stronach barykady.

– A Sabiłło pragnie zemsty. – Domyślił się Robert.

– To kwestia lokalnego prestiżu. Przegrana z nieopierzonym adwokatem była ciosem dla szanowanej kancelarii. Utarcie mu nosa w naszej sprawie będzie świetnym rewanżem.

– Jeżeli się powiedzie – wtrąciła Iza.

Lusia uśmiechnęła się przebiegle.

– Uda się, córeczko – zapewniła. – Zwłaszcza jeśli połączymy to z drugą sprawą.

Mój informator...

– Kim on jest? – Nie wytrzymał Zenon.

– Zaraz, nie przeszkadzaj – skarciła męża Lusia. – Mój informator powiadomił mnie, że Ewa ma romans z panem Dąbrową.

Iza wzruszyła ramionami.

– Przesada. A nawet jeśli, co to ma do rzeczy?

– Czyli mają romans? – Lusia złapała ją za słowo.

– Nie chcę się w to bawić. – Iza wstała z fotela. – Muszę się przespać.

Zenon zerknął na córkę, ale szybko odwrócił wzrok.

– No właśnie – zainteresowała się Lusia. – Gdzieś ty była w nocy? Zjawiasz się tutaj świttem jak gdyby nigdy nic.

Iza spojrzała jej w oczy.

– Byłam z kochankiem – wypaliła. – W hotelu, w Sandomierzu. Odwiózł mnie. Tata nas widział.

Zapadła cisza.

Pobladła Lusia sprawiała wrażenie, że nie rozumie wypowiedzianych słów.

– Coś ty powiedziała? – zabalgotała wreszcie zdławionym głosem.

– Której części nie zrozumiałaś? – Uśmiechnęła się Iza. – Poznałam przystojnego Włocha i poszłam z nim do łóżka.

Daria i Robert wymienili zdziwione spojrzenia, Zenon wbił wzrok w podłogę. Lusia oddychała głęboko, kręciła głową i szukała winowajcy. Jej wzrok spoczął na mężu.

– Widziałeś naszą córkę z jakimś Włochem i nic nie mówisz? – zapytała oskarżycielsko. – Nic nie zrobiłeś?

– Było już za późno – powiedziała rozbawiona Iza. – Mleko się rozlało.

Matka patrzyła na nią wytrzeszczonymi oczami.

– Co się rozlało? Czyś ty zupełnie zwariowała?!

– Coś w tym rodzaju, mamó. Miłość jest jak szaleństwo.

Lusia tupnęła nogą i zamachała rękami, jakby chciała odgonić niewidzialną zmorę. Parsknęła niewyraźnie, bo nie była w stanie znaleźć słów.

Daria postanowiła przyjść matce z pomocą.

– Puściłaś się z pierwszym lepszym Włochem i nazywasz to miłością? – zapytała z przekąsem.

– A co ty nazywasz miłością, kochana siostró? – odparła spokojnie Iza. – Opowiedz nam, jak kochasz Roberta.

W oczach Darii zamigotał niepokój.

– To nie twoja sprawa – oświadczyła z godnością. – My nie wskoczyliśmy do łóżka na pierwszej randce. I jesteśmy małżeństwem.

Iza spojrzała na szwagra, lecz on uciekł spojrzeniem. Bał się, że zostanie zmuszony do spowiadania się z uczuć, których nie był pewien. Ta wymiana spojrzeń była aż nadto wymowna.

– No, powiedz jej coś! – zażądała nienaturalnie wysokim głosem Daria.

– Co takiego? – rzucił obronnie Robert.

Lusia już doszła do siebie.

– Natychmiast przestańcie! – krzyknęła rozkazująco i uderzyła otwartą dłonią w blat. – Co się tutaj wyprawia? Iza prowokuje jakąś idiotyczną rozmowę... Nie mogę tego słuchać! Jeśli ona chce się prowadzić jak dziwka, to niech sobie marnuje życie!

– Zamknij się – powiedział spokojnie Zenon.

Lusie na moment zatchnęło.

– Coś ty powiedział? – zapytała z niedowierzaniem.

– Żebyś się w końcu zamknęła – powtórzył. – Jeszcze jedno złe słowo o mojej córce, a obiecuję, że nie wytrzymam i...

Daria i Robert otworzyli z wrażenia usta.

– I co? – zainteresowała się Lusia.

Zenon nieśpiesznie wstał z krzesła. Jego oczy błyszczały długo powstrzymanym ogniem.

– Nie trzeba, tato – powiedziała cicho Iza.

Pokręcił przecząco głową.

– Trzeba, córeczko.

Dźwięk dzwonka u drzwi podziałał na wszystkich jak impuls elektryczny. Pierwsza zareagowała Lusia.

– Mecenas Sabiłło, w samą porę! – Odetchnęła z ulgą. – Bardzo proszę, abyście zachowali się jak rodzina. A z tobą jeszcze nie skończyłam – zwróciła się do córki.

W zapadłej ciszy ruszyła do przedpokoju.

Iza dotknęła ramienia ojca.

– Dziękuję.

Zenon skinął głową i ciężko opadł na krzesło. Niedokończone wystąpienie kosztowało go wiele sił. Daria podeszła do okna; jej ramiona drżały, powstrzymywała płacz. Robert nie patrzył w stronę żony. Zapalił papierosa i skrył się w kłębach dymu.

Z przedpokoju dobiegł odgłos otwieranych drzwi i powitań. Lusia wprowadziła gościa. Sabiłło miał na sobie elegancki garnitur w delikatne prążki, na jego przegubie błyszczał wielki złoty zegarek.

– Pan mecenas Sabiłło, moja rodzina – dokonała prezentacji Lusia. – Mąż Zenon, córki Daria i Izabella, zięć Robert. – Wskazywała kolejno palcem. – Zgaś, proszę, papierosa – zwróciła się do tego ostatniego.

Robert mruknął coś niewyraźnie, ale podszedł do stołu i zdusił niedopałek w popielniczce.

Daria wciąż stała odwrócona plecami. Adwokat udał, że jej nie dostrzega. Ukłonił się pozostałym.

– Bardzo mi przyjemnie – powiedział.

– Proszę, niech pan mecenas usiądzie. – Lusia wskazała mu krzesło przy stole. – Napije się pan kawy?

– Dziękuję, już piłem – odmówił uprzejmie.

Usiedli oboje.

– Rozmawialiśmy właśnie o romansie Ewy Modlińskiej z Adamem Dąbrową... – zaczęła Lusia.

– To plotki – wtrąciła Iza.

– W każdej plotce jest ziarno prawdy, młoda damo – zauważył Sabiłło poważnie.

Iza popatrzyła na niego z niechęcią.

– Dlaczego interesuje się pan plotkami o mojej ciotce? – zapytała.

Lusia pokręciła głową.

– Panie mecenasie, proszę nie zwracać uwagi na wyskoki mojej córki.

Adwokat uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Nie ma problemu, pani Leokadio.

– Okazało się, że pan mecenas reprezentuje w sprawie rozwodowej Karolinę Dąbrowę – poinformowała Lusia resztę rodziny. – W tym świetle romans jej męża z Ewą

jest istotnym elementem.

Iza wzruszyła ramionami.

– Przecież to Karolina zostawiła Adama. Dla Waldemara jakiegoś tam.

Jej matka wzniosła oczy do nieba.

– Izabella przeżywa młodzińczy bunt...

– To ze wszech miar naturalne. – Sabiło spojrział z uśmiechem na dziewczynę. –

Chodzi o to, że pan mecenas Dąbrowa pragnie uchodzić za wzorowego męża i ojca – wyjaśnił. – Jeśli przed uzyskaniem rozwodu wdał się w romans, ten wizerunek nie obroni się w sądzie.

Robert postanowił wykazać się aktywnością.

– Czy utrudnianie rozwodu sprawi, że Dąbrowa będzie mniej skuteczny w naszej sprawie o spadek?

Sabiło pokiwał głową.

– Sprawa państwa jest delikatnej natury. Ich słowo przeciw naszemu. Mecenas Dąbrowa będzie bronił tezy o umyślowym zdrowiu Zofii Solińskiej vel Solon, jako jej radca prawny i bliski znajomy. Jego integralność etyczna i wiarygodność mają zatem znaczenie. To małe miasto, wszyscy się znają i obserwują. Dotychczas Dąbrowie udawało się uchodzić za wzór do naśladowania. Walczył o nienaruszalność małżeństwa, o ugodę. Tymczasem niekoniecznie jest wierny. Co to oznacza?

– Że nie jest człowiekiem godnym zaufania! – oznajmiła z satysfakcją Lusia. – Że jako radca prawny Zofii wykorzystał jej chorobę umyślową. Czyż nie nakłonił jej, aby umieściła jego fundację w kamienicy, którą dla niej wywalczył? Wiadomo, co to są fundacje... Pralnie brudnych pieniędzy!

Sabiło uniósł dłoń gestem powstrzymującym emocje.

– Spokojnie, pani Leokadio. Na tę ostatnią tezę nie mamy dowodów.

– Ale wszyscy o tym wiedzą!

– Wystarczy fakt zajęcia kamienicy Zofii Solińskiej przez fundację mecenasa Dąbrowy – oświadczył adwokat. – Człowiek o wątpliwej kondycji moralnej, odnoszący materialne korzyści kosztem klienta, nie powinien występować w sprawie zdrowia psychicznego osoby, którą wykorzystał.

– Brawo! – zawołała Lusia.

– Ale z was parka! – mruknęła Iza. – Wstała. – Chcę was prosić, żebyście wrócili do Warszawy. Najlepiej jeszcze dziś – zwróciła się do rodziny.

Oczy Lusi zwęziły się w szparki.

– Jak śmiesz tak się zwracać do matki?

– Mieszkanie jest moje. Za pół roku kończę osiemnaście lat. Zaczynam samodzielne życie.

– Masz rację, za pół roku – zgodziła się Lusia z hamowanym gniewem. – Dlatego nie pozwolę, żebyś zmarnowała sobie życie w tym zapchlonym miasteczku! – Sabiło drgnął, ale nie zwróciła na to uwagi. – Pan mecenas złożył nam wizytę również po to, żeby obejrzeć mieszkanie – ciągnęła lodowato. – Podjął już decyzję o zakupie, prawda?

Adwokat przytaknął, nie patrząc na Izę. A jej na moment odebrało mowę.

– Na szczęście jestem twoją prawną opiekunką. Wiem, co dla ciebie lepsze –

dokończyła z satysfakcją Lusia.

Dziewczyna odzyskała panowanie nad sobą. Powoli podeszła do prawnika.

Zenon wykonał taki ruch, jakby chciał ją powstrzymać.

– Jeśli spróbujesz kupić moje mieszkanie... – wycedziła Iza.

– Siedź cicho! – przerwała jej Lusia.

Adwokat skrzywił się z niesmakiem.

– To co zrobisz, panienko? – zapytał chłodno.

– Zastrzelę cię. Jak szczura, którym jesteś – dokończyła Iza.

– Iza! – krzyknęła piskliwie Lusia.

Robert wstał, Daria parsknęła nerwowym śmiechem. Zenon westchnął głęboko, ale wyglądał na zadowolonego.

Sabiłło pobladł, wstał z krzesła. Przez chwilę wydawało się, że uderzy Izę, która czekała na jego reakcję z pogardliwym grymasem. Złość na twarzy adwokata mieszała się z lękiem.

– Ach tak... – powiedział zduszonym głosem. – W takim razie, żegnam państwa.

Odwrócił się na pięcie.

Lusia wydała z siebie zwierzęcy warkot, chwyciła Sabiłę za ramię i osadziła w miejscu.

– Proszę nie zwracać uwagi na to chamstwo! – zawołała. – Iza, natychmiast przeproś pana mecenasa!

– Gównu! – rzuciła dziewczyna, dygocząc z nerwów. – Zastrzelę go z dubeltówki babci Zosi. Wiem, gdzie jest, i mam naboje. Wara, szczurze, od mojego mieszkania! Jasne?

Odwróciła się i wyszła z jadalni. Lusia posadziła adwokata na krześle, o mało nie zrzucając go przy tym na podłogę.

– Pan zostaje! – rzuciła z pasją. – Daria, uspokój się! – Spojrzała groźnie na uśmiechniętą córkę.

Robert chwycił żonę za ramię i ścisnął mocno, a ona skrzywiła się z bólu. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

Mecenas czekał na dalszy ciąg, wykrzywiwszy usta. Wcale nie zamierzał rezygnować z zakupu, a ta awantura, pretekst do okazania obrazy, sprzyjała obniżeniu ceny.

Lusia oddychała szybko. Toczyła wzrokiem po obecnych, szukając obiektu, na którym mogłaby się wyładować.

Zenon wstał.

– A ty gdzie? – zapytała ostro.

– Ktoś powinien być z Izą.

– Siadaj!

Zawahał się, ale usiadł.

Sabiłło uśmiechnął się z niesmakiem.

– Młodzi ludzie nie doceniają tego, co dla nich robimy – zauważył z godnością.

– Mam nadzieję, że nie wziął pan poważnie dziecięcej groźby – powiedziała Lusia.

– Ależ skąd! Wystarczająco wiele razy grozili mi prawdziwi przestępcy,

zapewniam panią.

– I nie zrezygnuje pan z zakupu?

– Zapomnijmy o tym incydencie, droga pani Leokadio – powiedział pojednawczo mecenas.

Iza stała pośrodku swojego pokoju. Nie mogła uspokoić dygoczących mięśni, rozboleł ją brzuch. Miała ochotę wyjść i pojechać do Ujazdu, ale wiedziała, że musi zostać i bronić mieszkania. Nie zrezygnuję z szansy uwolnienia się od matki, obronię mieszkanie, i pójdę na studia w Lublinie!, postanowiła z determinacją.

Była śpiąca i zmęczona. Podczas nocy spędzonej z Marcem, nie spała ani minuty, potem zdrzemnęła się przez chwilę w jego samochodzie. Już tęskniła, musiała przynajmniej usłyszeć jego głos.

Wyjęła telefon i odwróciła się, aby zamknąć drzwi. Jej wzrok padł na biurko w pokoju po przeciwnej stronie korytarza. Na blacie leżała tekturowa teczka, którą już widziała.

Wyszła na korytarz i spojrzała w stronę jadalni. Drzwi były zamknięte, nikt nie mógł jej przeszkodzić. Podeszła do biurka, podniosła teczkę.

Nie myliła się. Miała w rękach dokumentację medyczną Zofii.

Otworzyła torbę podróżną, wrzuciła do niej dokumenty. Trudno, nie wyśpię się, pomyślała. I nie odziedziczę po rodzicach babcinego dworku, uśmiechnęła się przekornie. Za to będę mogła spojrzeć w lustro. A z Markiem znajdę talizmany Apoloniusza. A jeśli ich nie znajdziemy, zawsze będziemy mieć siebie.

Wyszła na korytarz, ostrożnie nacisnęła klamkę, wysunęła się na klatkę schodową, zamknęła za sobą drzwi. Przez cały czas mocno przyciskała torbę do boku.

W jadalni Sabiło ciągnął swój wywód.

– Z punktu widzenia prawa decydują dowody wsparte zeznaniami wiarygodnych świadków. Wiarygodność mecenasa Dąbrowy już omówiliśmy. Powiedziała pani, że możemy też liczyć na świadectwo informatora. Kim jest ten człowiek?

– Poznał go pan – odparła Lusia. – Nazywa się Maurycy Podrecki. Był kustoszem w tutejszym muzeum.

Rozczarowany Sabiło wykrzywił usta.

– Obawiam się, że to zły wybór – mruknął.

– Dlaczego, panie mecenasie? – zaniepokoiła się Lusia. – Podrecki był przyjacielem Zofii, dzielili wspólną pasję do historii. Opiekował się nią, a nawet ostrzegał ją przed tym Dąbrową.

– To wszystko może być prawda – zgodził się adwokat. – Ale po naszym ostatnim spotkaniu zasięgnąłem języka. Niestety, pan Podrecki jest znany w Zamościu z powodu oszustwa.

– Oszustwa? – zdziwił się Robert.

Lusia machnęła ręką na znak, by się nie wtrącał.

– O czym pan mówi, na miłość boską? – zapytała. – To nasz ważny świadek! Sabiło rozłożył ręce.

– Podrecki sfałszował dyplom doktora historii sztuki, na podstawie którego otrzymał stanowisko kustosza. Sprawę pogarsza fakt, że był podejrzany o kradzież obrazu. Nie udowodniono mu winy, ale przy tej okazji wyszło na jaw fałszerstwo dyplomu. Okazało się, że nawet nie ukończył studiów.

– Jezu... – jęknęła Daria.

– Właśnie, miła pani – zgodził się mecenas. – Jak już mówiłem, Zamość to niewielkie miasto. Pan Podrecki wciąż tu zamieszkuje, trudni się handlem dziełami sztuki, być może nie kradzionymi, lecz pojawia się w towarzystwie dziwnych postaci. Sami państwo rozumiecie...

– Niech to szlag trafi! – rzuciła cicho Lusia.

– Możemy wykorzystać informacje, które uzyskała pani od Podreckiego – pocieszył ją adwokat. – Ale nie powoływałbym go na świadka.

Lusia milczała, próbując pozbierać myśli.

Sabiłło spojrział na złoty zegarek.

– Muszę się oddalić – oznajmił. – Obowiązki wzywają. Umówiliśmy się, że powierzy mi pani dokumentację medyczną Zofii Solińskiej – przypomniał. – Wykonam ksero i odeślę przez asystentkę.

– Tak, oczywiście, panie mecenasie. Mam nadzieję, że te dokumenty wystarczą. Niestety, nie wiem, czy mogę liczyć na zeznania Izabelli. Jest w wieku, w którym emocjonalne rozchwianie to norma. Jednego dnia zgadza się stanąć po stronie rodziny, a drugiego... Sam pan widział.

Sabiłło przytaknął z uśmiechem.

– Mam trójkę dzieci, przechodziłem przez to – odparł. – Dla sądu dokumenty to podstawa. Stwierdzone zaburzenia nerwicowo-lękowe są wstępem do poważniejszej choroby, na przykład do schizofrenii. Pani Zofia mogła nie być w stanie podejmować świadomych decyzji...

Lusia patrzyła na niego z wdzięcznością i oddaniem.

– Opatrzność nam pana zesłała! – westchnęła i odwróciła się do zięcia. – Przynies teczkę z dokumentacją – poleciała.

Robert posłusznie wstał i wyszedł z jadalni.

Sabiłło czekał z rękami złożonymi na blacie. Zerknął na Zenona, jakby pragnął upewnić się, że jego milczenie nie spowoduje kolejnej niespodzianki. Lusia zrozumiała to spojrzenie.

– Mąż bardzo przeżywa utratę spadku – powiedziała. – Prawda, kochanie?

– Mhm – przytaknął.

– To rzeczywiście przykre – przyznał Sabiłło. – Ale proszę być dobrej myśli.

Zenon wymamrotał podziękowanie.

– Nie ma! – W progu stanął Robert.

– Czego nie ma? – zapytała ostro Lusia.

– Te-eczki, do-okumentacji – jąkał się Robert. – Znikła!

– Nie opowiadaj bzdur! – Zdenerwowała się Lusia – Leży na biurku, czeka na pana mecenas!

Robert pokręcił głową.

– Sprawdziłem we wszystkich szufladach. Może mama gdzieś przeniosła?

Lusia wstała, zachwiała się i wsparła dłońmi o stół.

– Iza... – wyszeptwała, prawie nie poruszając zdrętwiałymi wargami. – Nie siedź tak! – krzyknęła na zięcia. – Goń ją, na miłość boską!

Iza szła szybko wąskimi uliczkami Starego Miasta, z nadzieją, że nie będzie długo czekać na pociąg do Sandomierza. Dwa razy wybrała numer Marca, ale jego telefon był wyłączony. Pozostawiła na skrzynce głosowej informację, że bardzo go potrzebuje, że chce, żeby zadzwonił i po nią przyjechał.

Dotarła do rynku, skręciła na wschód, pomaszerowała wzdłuż rzędu kolorowych kamienic.

– Iza! – usłyszała za sobą.

Odwróciła się i zobaczyła idącego szybko Roberta. Ruszyła biegiem.

– Iza... Stój! Nie wygłupiaj się!

Robert przyśpieszył. Iza wbiegła w ulicę, na końcu której widać było czerwone mury obronne. Robert pędził wielkimi krokami, był coraz bliżej. Rzuciła za siebie wzrokiem i jęknęła. Nie uda jej się uciec!

Biegnać, rozejrzała się w panice. Kilkanaście metrów przed sobą zobaczyła kratkę kanalizacji. Nie zatrzymując się, zerwała z ramienia torbę, otworzyła i wyciągnęła teczkę z dokumentacją. Dopadła do wylotu kanalizacji, przykucnęła zdyszana, przytknęła teczkę do szpary między kratkami.

– Nie wygłupiaj się! – wrzasnął Robert.

Był o dziesięć metrów od niej.

Iza spróbowała wepchnąć dokumenty w niewielki otwór. Bez powodzenia.

– Zostaw to, idiotko!

Zgięła teczkę, pchnęła z całej siły. Papiery utknęły na występie ocembrowania, metr pod kratką.

Robert z całej siły odepchnął Izę od wylotu kanalizacji. Przewróciła się oszołomiona i z okrzykiem bólu uderzyła plecami o krawężnik. Robert szarpnięciem podniósł kratkę, przyklęknął i sięgnął do otworu. Sapiąc z wysiłku, końcami palców chwycił teczkę, zaczął ją unosić.

Iza oprzytomniała, zerwała się i z całej siły kopnęła Roberta w pośladek. Zawył i upadł brzuchem na wylot kanalizacji. Teczka wyśliznęła się z jego palców, z pluskiem wpadła do wody i znikła pod powierzchnią.

14.

Federico uważnie badał zdjęcia kartek z *Hypnerotomachii* i notatek Ossolińskiego, które wydrukował Marco. Porównywał symbole z rysunkami na fotografii labiryntu.

– *Poliam frater Franciscus Colonna peramavit* – powiedział wreszcie cicho. – Wiesz, co to znaczy?

Siedzieli obaj przy stole na ganku.

– Brat Francesco Collonna bardzo kochał Polię.

Federico pokiwał głową.

– Dobrze. *Hypnerotomachia* uznana jest za najbardziej spektakularną i najcenniejszą księgę renesansu. Spędziłem nad nią prawie miesiąc w Londyńskiej Bibliotece Królewskiej. Rok czekałem na zezwolenie, potem trzy miesiące w kolejce. Niezwykłe, że po latach wraca do mnie... Nie mam pojęcia, w jaki sposób może nas doprowadzić do talizmanów, nie licząc faktu, że Colonna o nich pisze. Masz jakiś pomysł?

– Niestety, wuju.

Federico zamyślił się.

– Przypomnijmy sobie treść – powiedział. – Opowieść zaczyna się od bezsennej nocy Polifila, który cierpi, ponieważ odrzuciła go ukochana Polia. W końcu Polifil zasypia i we śnie zostaje przeniesiony do puszczy, gdzie gubi się, natyka na smoki, wilki i uwodzicielskie dziewice, którym się opiera. Błądzi po fantastycznych budowlach, aż w końcu ucieka i zasypia ponownie.

– Sen we śnie?

– Owszem. W drugim śnie nimfy zabierają go, aby poznał ich królową, przed którą musi wyznać miłość do Polii. Potem każą mu dokonać wyboru spośród jednej z trzech bram. Polifil wybiera trzecią i za nią odnajduje ukochaną. Nimfy zabierają oboje do świątyni, gdzie dochodzi do zaręczyn. Po drodze narzeczeni spotykają pięć tryumfalnych procesji, które świętują to wydarzenie.

– Budowla fantastyczna jak Krzyżtopór – wtrącił Marco. – Pałac ma trzy bramy.

Federico przytaknął skinieniem głowy.

– Polifila i Polię zabiera bogini Cytera na swoją łódź, którą ciągnie łabędź-Kupidyn – podjął. – Mijają jeszcze jedną tryumfalną procesję. Potem narracja Polifila zostaje przerwana, a zaczyna się opowieść Polii, która dzieli się z nami sądem o namiętności kochanka. Gdy Polifil dochodzi do głosu ponownie, opowiada, że Polia odrzuciła go, wskutek czego on upadł jak martwy u jej stóp. Polii objawia się Kupidyn i namawia ją, aby pocałowała Polifila. Pocałunek narzeczonej przywraca go do życia. Błogosławi im bogini Wenus i kochankowie wreszcie są połączeni na wieki.

Federico zawiesił głos.

– Happy end? – powiedział domyślnie Marco.

– Niestety. Kiedy Polifil już ma pochwycić Polię w ramiona, ona rozplywa się w powietrzu i znika. A on się budzi.

– Jednak sen?

– Mhm – przytaknął stary Włoch. – Życie jest marzeniem, ułudą. Nawet miłość nie

istnieje. Wszystko to iluzje, z których budzimy się do rządzącej Wszechświatem Prawdy. Jeśli nie potrafimy jej odnaleźć, jesteśmy zaledwie igraszką w rękach Losu.

– Kluczem do niej są talizmany Apoloniusza?

– Dobrze myślisz, bratanku. – Federico pochylił się nad kolejnym zdjęciem. – Najmocniejszym symbolem w *Hypnerotomachii* jest smok. Spotkanie z nim oznacza, że należy wykazać się siłą, odwagą i hartem ducha.

– Ale jest też posłańcem duchowej równowagi, który zachęca nas, abyśmy spojrzeli w głąb naszej psychiki oczami cudu i tajemnicy – uściślił Marco.

– W rzeczy samej. Powinniśmy zamknąć nasze ślepe fizyczne oczy i otworzyć te wewnętrzne. Spojrzeć na znaki, które zostawili Solon i Ossoliński oczami duszy. Pamiętasz, co one mówią?

– Słońce patrzy w twarz Księżycowi, Merkury w głębokim lochu, Księżyc, Wenus i Mars zanurzone w wodzie. Centuria pierwsza, centuria czwarta, trzydzieści i trzy – odczytał Marco.

Przez chwilę obaj trwali w milczeniu.

– Przychodzą mi do głowy znaczenia tych planet, ale nic z nich nie wynika – westchnął z rezygnacją Federico. – Muszę się z tym przespać, przestać myśleć. Może wszechświat zechce coś podpowiedzieć.

Wstał i podszedł do krawędzi ganku. Słońce minęło już najwyższy punkt na niebie. Ukośne promienie przedostawały się między gałęziami starych lip i zapalały niezliczone drobiny kwietnego pyłu.

– Zapomniałem zapytać, jak się czuje Giovanni...

– Przeżył wstrząs – odparł wykrętnie Marco.

Senior rodu Farnese wyczuł jego wahanie. Odwrócił się i spojrzał uważnie.

– Co to oznacza?

Marco rozłożył ręce.

– Doświadczył czegoś w rodzaju życia po życiu.

– Przecież nie umierał!

– W drodze do szpitala stracił przytomność. Był reanimowany.

– I cóż takiego ujrzał po drugiej stronie lustra?

– Uwierzył, że talizmany mogą uzdrawiać. Martwi się, że chcemy je sprzedać.

Federico roześmiał się.

– No proszę, Giovanni stał się mistykiem! Cóż, strach przed śmiercią czyni cuda. Przejdzie mu, kiedy zobaczy złoto. – Machnął lekceważąco ręką. – Proste natury łatwo zapominają o ideach. Powiedz lepiej, co ci się udało osiągnąć z tą dziewczyną. Jak ona ma na imię?

– Izabella – bąknął Marco, nie odrywając oczu od zdjęć.

Coś w jego głosie sprawiło, że Federico zareagował wzmożoną uwagą.

– Chyba nie straciłeś dla niej głowy? – zapytał.

– Nie, wuju.

– To z jej powodu nie wróciłeś na noc?

– Próbowałem zdobyć jej zaufanie. – Marco podniósł głowę. – Ale wiedza Izabelli jest niewielka.

– Uważaj, byś nie skończył jak Polifil.

Marco skinął posłusznie głową. Stary Włoch przetrzymał go przez moment wzrokiem, potem wrócił do stołu, złożył zdjęcia i wsunął do dużej koperty.

– Nie odnalazłeś Maurycego?

– Zapadł się pod ziemię.

Oczy Federica błysnęły gniewem.

– Wydaje mu się, że jest przebiegły, a to zwykły głupiec. Znajdź go i przyprowadź. Chętnie posłucham jego wykrętów i kłamstw.

Chciał dodać coś jeszcze, ale cichy dźwięk oznajmił, że ktoś próbuje połączyć się przez Skype'a. Federico pobladł lekko i bez słowa wszedł do domu.

– Czas się skończył, Farnese – usłyszał po chwili Marco metaliczny głos. – Zaczynij działać, jak ustaliliśmy, albo zostaniesz odwołany.

– Urowadzenie tej kobiety nic nie da – odparł Federico z hamowaną irytacją. – Wiemy to samo, co ona.

Jego rozmówca cedził słowa z zimną nienawiścią. Marco poczuł dreszcz w kręgosłupie.

– Siedzisz beczynn timer, nie potrafisz nawet wyznaczyć daty Bessariona. A jeśli właśnie mija ten jedy ny dzień w roku? Poczekamy następne sto lat? Wiesz, co to oznacza.

Odpowiedź Federica była cicha, prawie niesłyszalna.

– Wiem.

– Ktoś będzie musiał umrzeć – ciągnął metaliczny głos. – W przeciwnym razie nigdy nie odnajdziemy talizmanów.

– To stary przesąd... – zaczął Federico.

– Co sto lat bezskutecznie ponawiamy próby. I składamy ofiary z rodziny zdrajców Solonów – przerwał mu rozmówca. – Ostatni raz w tysiąc dziewięćset siedemnastym. Znajdź talizmany albo ta kobieta zginie!

– Koniecznie musisz przyjechać i zobaczyć, co moi studenci znaleźli w sali masonów pod tynkiem! – rozległ się w telefonie głos Jelińskiego.

Perspektywa kolejnej wyprawy do Zamościa, kilku godzin w autobusie i pociągu, nie była zachęcająca.

– Powiedz mi teraz albo wyślij zdjęcia – poprosiła Ewa.

– Jesteś historykiem sztuki czy nie? To twoja kamienica. I trzeba zdecydować, co dalej z pracami konserwatorskimi – rzucił Jeliński i zakończył połączenie.

Ma rację, przyznała w duchu. Żadne zdjęcia nie zastąpią spojrzenia na masońskie symbole własnymi oczami. Poza tym, nie byłby tak kategoryczny, gdyby chodziło o coś błahego. A w Zamościu umówię się z Adamem, który odwiezie mnie z powrotem.

Ewa zerknęła na zegarek; była piąta po południu. Wyjazd musiał poczekać do następnego dnia.

Godzinę wcześniej wróciła Iza, w dziwnym nastroju. Na przywitanie objęła ciotkę i śmiejąc się, ucałowała ją w oba policzki. A przy obiedzie, który podała Zenia, nagle rozplakała się i uciekła do swojego pokoju. Zamknęła się na klucz i mimo łagodnych

perswazji nie chciała otworzyć drzwi. Tuż przed telefonem Jelińskiego zeszła na dół, opanowana i uśmiechnięta, oświadczając, że jest szczęśliwie zakochana. Oraz że nie spędziła nocy w mieszkaniu w Zamościu, lecz ze swoim kochankiem.

– Powiesz coś więcej? – zapytała nieco przestraszona Ewa, ale dziewczyna wyminęła ją bez słowa i wyszła do ogrodu.

Po rozmowie z profesorem odnalazła Izę na trawie pod murem ogrodzenia, w cieniu starego dębu. Leżała z rozłożonymi rękami i patrzyła w prześwitujące pomiędzy gałęziami niebo.

– Czasami śni mi się, że latam – powiedziała rozmarzona. – Ale to jest lepsze od latania... Dużo lepsze.

– Co? – spytała Ewa, siadając na trawie i domyślając się odpowiedzi.

Iza rozłożyła szerzej ręce, jakby chciała objąć cały świat.

– Kochanie.

Ewa położyła się obok niej.

– Chcesz mi opowiedzieć?

Dziewczyna przekręciła się na brzuch, spojrzała Ewie w oczy.

– Przecież wiesz lepiej ode mnie! – roześmiała się.

– Niekoniecznie. Za każdym razem jest inaczej.

– Chciałaś powiedzieć: z każdym kochankiem.

– Też – zgodziła się Ewa. – Najważniejsze jednak, czy jesteś zakochana. Bo bez tego seks...

– Jestem! – zawołała Iza radośnie.

Ewa spojrzała uważnie.

– Odwiedził cię chłopak z Warszawy?

Iza przekornie pokręciła głową.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że poznałaś kogoś w Zamościu i od razu się zakochałaś?

– Chcę!

– Ale to nie... Adam? – zapytała Ewa i od razu tego pożałowała.

Iza wybuchnęła głośnym śmiechem, przetoczyła się tam i z powrotem po trawie, zatrzymała się z głową przy jej nogach.

– A gdybym powiedziała, że tak?

Ewa wzruszyła ramionami.

– Cóż, pogratulowałabym. Trochę dla ciebie za stary, ale jak na pierwszy raz...

– Przestań, ciotka! – przerwała jej Iza. – Przecież nie jestem świnia. To nie Adam, daję słowo! On jest cały twój.

– Wobec tego, kim jest ten szczęśliwiec?

– Marco Farnese. Jeden z Włochów, którzy ścigają się z nami do talizmanów.

Ewie zabrakło tchu. Patrzyła na dziewczynę z niedowierzaniem i pustką w głowie.

– Zwariowałaś? – zapytała, nie wymyśliwszy niczego sensownego.

– Kompletnie! Wszystko dzieje się jak *Hypnerotomachii*!

– O czym tym mówisz?!

– O Marcu i o mnie! Jesteśmy jak Polifil i Polia. Pamiętam, co opowiadałaś – dwie

połówki duszy. Myślałam, że chodzi o ciebie i Adama, ale wy się ociągacie i udajecie, że nic między wami nie ma. Jesteście za starzy na taką miłość.

Ewa musiała pozbierać myśli. Bezwiednie wstała, przeszła kilka kroków, wróciła i usiadła na tym samym miejscu. Iza patrzyła na nią z uśmiechem.

– Mówisz o miłości, o której pisze Ossoliński?

– Oczywiście! – zawołała dziewczyna. – Bez niej nie odnajdziemy talizmanów.

– I w tym celu kochałaś się z tym Włochem... Którego poznałaś chwilę przedtem.

Iza zaprzeczyła, kręcąc głową z podskakującym końskim ogonem.

– Poprzedniego dnia. Spędziliśmy razem całe popołudnie i wieczór. Nie mogliśmy się rozstać. Bo jesteśmy dwiema połówkami...

– On ci to powiedział?

– Czy to ważne?

– O dwóch połówkach duszy słyszałam wielokrotnie – westchnęła Ewa. – Kiedy byłam w twoim wieku i trochę starsza. Prawie zawsze, kiedy gość próbował mnie szybko zaciągnąć do łóżka. Potem już się nie słyszy takich bajek. Faceci nie chcą się kompromitować.

Iza zacisnęła usta. Usiadła i objęła nogi ramionami.

– To nie było ładne, ciotka.

Ewa delikatnie pogłaskała ją po plecach.

– Masz rację, przepraszam. Ale nie przyszło ci do głowy, że temu Marcowi chodzi wyłącznie o talizmany?

– Powiedziałam mu to!

– A on?

– Wyznał mi prawdę. Że zainteresował się mną na zlecenie wuja. Miał mnie uwieść i wyciągnąć wszystko, co wiem.

– I udało mu się – mruknęła Ewa pod nosem. – Wypełnił przynajmniej pierwszą część zadania.

– Drugą też – oznajmiła dziewczyna.

Ewa zamarła.

– Jak to? Chyba nie...

– Tak, ciotka. Podzieliłam się z nim wiedzą. Właśnie po to robiłam zdjęcia.

Ewa nie posiadała się z oburzenia. Patrzyła w roześmiane oczy bratanicy i musiała się powstrzymać, aby nie chwycić jej za koński ogon i porządnie nie wytarmosić.

– Zdradziłaś mnie dla tego Włocha?! – Nie mogła uwierzyć.

Iza machnęła ręką, jakby odganiała osę.

– Zastanów się na spokojnie, ciotka – odparła. – Co wiemy o talizmanach? Tylko tyle, że być może są ukryte w ruinach Krzyżtoporu. Od kilku dni nie posunęłaś się ani o krok. Same zagadki, znaki, kody. Włosi też utknęli. Ale wuj Marca to mądry gość, z ogromną wiedzą. Ty też potrafisz myśleć.

– Nie będę współpracować z typem, który się ukrywa i nasyła podrywacza, żeby uwiódł moją bratanicę! – zawołała Ewa.

– Wcale ci tego nie proponuję – oświadczyła spokojnie Iza.

– No to, o co ci chodzi? Po co poszłaś do łóżka z tym Markiem?

– Bo się zakochałam. Ile razy mam ci mówić?

Ewa nie była w stanie usiedzieć.

– Dałaś mu zdjęcie *Hypnerotomachii* i notatek Ossolińskiego?

– I labiryntu z portretu – dodała dziewczyna.

– Coraz lepiej, bravo! I zrobiłaś to z miłości, która zaczęła się poprzedniego dnia. Oraz z powodu odnalezienia drugiej połówki duszy. Który to fakt ma nas zaprowadzić do talizmanów – podsumowała Ewa sarkastycznie.

– Zgadza się, ciotka.

– A czy ustaliliście już z twoim Polifilem, w jaki tajemniczy sposób to się wydarzy? Pójdziecie do Krzyżtoporu, chwycicie się za ręce i otworzy się wejście do podziemi?

– Dobry pomysł! Nie wpadłam na to – zgodziła się rozbawiona dziewczyna.

– Nie wiem, co cię tak śmieszy! Włosi usłyszeli o wszystkim, co ustaliłam, a ja nie mam pojęcia, na jakim oni są etapie!

– Znają przepowiednię Bessariona, dlatego przyjechali w tym roku z Wenecji. Ale nie wiedzą, jak ustalić dokładną datę. Mają nadzieję, że ty i portret Ossolińskiego dostarczycie wskazówek – wyrecytowała z dumą Iza.

Ewa z wrażenia otworzyła usta.

– To dlatego portret wracał do mnie jak bumerang! – Zrozumiała nagle.

– Ukradzono go na zlecenie mojej mamuski, dwa razy – przytaknęła zadowolona Iza. – Tu w dworku zrobili to tato i Robert. Marco pokazał mi ich fotki, jak śpią.

– Jak śpią?

– Po pobiciu Adama i kradzieży portretu. Marco i jego kuzyn Giovanni dopadli ich i uśpili chloroformem. Giovanni to trochę gangster, zna się na takiej robocie.

– Świetnie, bardzo mnie uspokoiłaś! – ironizowała Ewa. – Mogę chwilę pomyśleć?

– Spoko, ciotka – rzuciła dziewczyna i rozciągnęła się na trawie.

Ewa stała nad nią bez ruchu. Plan podwójnej gry bratanicy był ryzykowny, ale wydawał się kuszący. Włosi z pewnością wyruszyli do Polski z czymś więcej niż tylko z przepowiednią Bessariona. Starszy Farnese mógł posiadać realną wiedzę o talizmanach i renesansie.

Patrzyła z góry na Izę, która przymknęła oczy przed promieniami słońca. Dotarło do niej, że wieczorem wyczuła w niej delikatną, ale znaczącą zmianę. Teraz potrafiła ją nazwać. Iza przestała być dzieckiem, stała się kobietą. Piękną, dojrzałą i świadomą siebie.

To odkrycie wstrząsnęło i poruszyło Ewę. Powstrzymała łzy, które napłynęły jej do oczu. Przypomniała sobie dzień, kiedy jej świat też się zmienił. Dawno temu, całe wieki, przeżycie, które nigdy się nie powtarza. Wielka tajemnica nagle przeniknięta z radością i lekkością, jakby grawitacja przestała istnieć. Spełnione marzenie o miłości.

Usiadła obok Izy, pogłaskała ją delikatnie po głowie, a potem nachyliła się i pocałowała ją w czoło.

– Przepraszam cię. Jestem okropna – powiedziała.

Powieki dziewczyny uchylły się nieco.

– Wszystko w porządku, ciotka.

Ewa pokręciła przecząco głową.

– Przepytałam cię, jakbym była Lusią.
– Może i tak – zgodziła się z lekkim uśmiechem Iza. – Ale ty potrafisz się przyznać, a ona w życiu!

– Przestraszył mnie ten Marco Farnese. Pamiętasz, co mówiła Zofia o wyprawie do Wenecji i o Włochach?

Iza usiadła. Podniosła dłoń jak do przysięgi.

– Nie powiedziałabym Marcowi, gdybym nie była pewna jego uczuć – oświadczyła uroczyście. – I moich. To było jak piorun z jasnego nieba. Wierzysz mi?

Ewa ponownie pogłaskała ją po głowie.

– Wierzę, wierzę – powiedziała. – Chciałabym, żebyś była z nim szczęśliwa. Mnie się to nie udało z nikim. Jak do tej pory.

– Adam za tobą szaleje! – zawołała Iza. – Wszystko wokół talizmanów dzieje się jak w zaczarowanej krainie! Nie widzisz tego?

– Może masz rację – odparła zaskoczona Ewa.

Oczy dziewczyny błyszczały podnieceniem.

– Mam rację! Myślisz, że faceci nie ciągnęli mnie do łóżka? Setki razy! Żaden nie miał szans. Nawet jak chodziłam z takim miesiąc albo dłużej! Do widzenia, kolego, spadaj! A teraz... Nagle, bez myślenia, bez kombinowania. Wiedziałam, że to miłość. Nie dlatego, że Marco jest przystojny. To cudowny, delikatny, nieśmiały mężczyzna, któremu nie układało się z kobietami. Całą noc przegadaliśmy... Poza kochaniem się, oczywiście. Też do rana. – Iza roześmiała się radośnie. – Ale z niego kochanek! Czyste wariactwo!

Ewa roześmiała się również.

– Genialnie, że twój pierwszy wiedział, co robić – stwierdziła. – Ja straciłam dziewictwo z niedorajdą. Naprawdę myślisz, że to wszystko dzieje się za sprawą talizmanów? To trochę fantastyczne...

Iza przewróciła się na plecy.

– Wszystko tutaj jest fantastyczne, od początku! Testament Zofii, jej historia na filmie, twoje spotkanie z Adamem, moje z Markiem... W ciągu paru dni wydarzyło się więcej niż przez lata! Masz jeszcze wątpliwości? Talizmany maga Apoloniusza broniły przez tysiąc czterysta lat Bizancjum. Potem z jakiegoś powodu przestały działać. Może obraziły się na kapłanów? Ale ich moc nie znikła, jesteśmy tego dowodem! One są tutaj, ciotka! Są! A ty nie chcesz ich odnaleźć wyłącznie dla siebie!

– To prawda – powiedziała Ewa z wahaniem.

– Odkryjemy je, zobaczysz. Razem z moim Markiem!

Lusia i Podrecki umówili się w motelu na drodze z Zamościa do Lublina. Ona nie chciała wtajemniczać rodziny w konszachty z ekskustoszem, on wolał nie pokazywać się w mieście z obawy, że odnajdą go wysłannicy Federica.

Matka Izy przyjechała czerwonym mitsubishi, weszła do restauracji i stwierdziła, że Podrecki jeszcze nie przybył. Zadzwoiła do niego, zirytowana, ale telefon okazał się wyłączony. Zajęła stolik w niewielkiej salce na tyłach, zamówiła kawę. Czekiwała, bębniąc niecierpliwie palcami po blacie.

Kustosz spóźnił się przeszło dwadzieścia minut. Kiedy wszedł, Lusia była w stanie tłumionego wrzenia.

– Czy pan jest, do cholery, poważnym człowiekiem?! – wypaliła w odpowiedzi na jego powitanie. – Pół godziny spóźnienia! Myśli pan, że nie mam niczego lepszego do roboty?

– Dwadzieścia trzy minuty – sprostował spokojnie, zerknąwszy na zegarek. – I rzeczywiście tak myślę.

Lusia zacisnęła usta i nosem wypuściła powietrze. Powinna teraz wstać i wyjść, lecz ciekawość była silniejsza. Po utracie papierów z Buska każdy sprzymierzeniec wart był wysłuchania.

Podrecki usiadł na krześle naprzeciwko.

– Jak sprawa podważenia testamentu? – zapytał.

– Pojawiły się pewne komplikacje – odparła niechętnie.

Zaniepokojony Podrecki uniósł brwi.

– Może jaśniej? – poprosił.

– Straciliśmy dokumentację medyczną Zofii.

– Jak to: straciliśmy?

Lusia wzruszyła ramionami.

– Ukradła ją moja zbuntowana córka.

– Izabella? – Podrecki pokiwał głową ze zrozumieniem. – Miałem z nią do czynienia, wyobrażam sobie. Nie chce oddać?

– Gorzej – mruknęła Lusia.

– Proszę jej zabrać siłą. Nie zdaje sobie pani sprawy, jak ważne jest, abym bez przeszkód dostał się do dworku Zofii!

Lusia zabębniła palcami po blacie.

– No co? – Zniecierpliwził się. – Niechże to pani z siebie wydusi!

– Wypraszam sobie takie uwagi! – oświadczyła. – A Iza wrzuciła teczkę z dokumentami do kanalizacji. Mój zięć próbował jej przeszkodzić, ale ta wariatka go skopała.

– Nie wy dostał te czki?

Lusia skrzywiła się i rozłożyła ręce.

– Fatalna wiadomość – zmartwił się Podrecki.

Przez chwilę milczeli oboje.

– Muszę przyznać, że po raz pierwszy mam do czynienia z taką dziwną rodziną – oświadczył wreszcie kustosz.

– Proszę się liczyć ze słowami! Przynajmniej nikt z nas nie jest oszustem, jak pan!

Podrecki wyprostował się z godnością.

– Nic pani o mnie nie wie – powiedział.

– Wiem wystarczająco dużo – stwierdziła Lusia, zadowolona z uzyskanej przewagi.

– Nie może pan zeznawać przed sądem w Zamościu, bo wszyscy w mieście znają pana na wylot. Nie jest pan wiarygodnym świadkiem.

– Mam gdzieś, co sobie o mnie myślą w Zamościu – prychnął kustosz. – Wszyscy, włącznie z panią i tym adwokacina Sabiłą. Postarałem się o robotę muzeum, bo tylko tak

mogłem dostać się do starodruków i miejskich dokumentów z siedemnastego wieku. Od dziesięciu lat jestem na tropie skarbu cesarza. Mógłbym zrobić pani wykład o masońskich związkach Ossolińskiego z Zamoyskim, ale nic by pani z niego nie zrozumiała. Wiem, że w Zamościu zachowały się ślady ich współdziałania, dlatego się tu sprowadziłem. Pasja znawcy i badacza historii kultury wymaga czasem niezwykłych środków.

Lusia słuchała tego monologu ze zmrużonymi oczami.

– Piękna opowieść – zauważyła. – Każdy oszust ma taką na podorędziu.

– Jeszcze jedno słowo i... – Podrecki zawiesił głos.

– I co? – zapytała z ironią Lusia. – Pójdzie pan sobie? Droga wolna. To pan mnie potrzebuje. Dla mnie pan się skończył.

Kustosz z ubolewaniem pokiwał głową.

– Pan mecenas Sabilło, który wystawił mi laurkę, jest czołowym graczem przy reprivatyzacjach w całym województwie lubelskim. Na tak wielką skalę, że nie nazywa się tego złodziejstwem. Ale jeśli pani sobie nie życzy, nie pcham się do sądu.

Nadeszła kelnerka, więc oboje wyprostowali się na krzesłach i przybrali obojętne miny.

Podrecki zamówił kawę i szarlotkę.

– A co dla pani?

Lusia pokręciła głową, nie zaszczyciwszy kelnerki spojrzeniem.

Po jej odejściu ponownie nachylili się ku sobie, jak bokserzy gotowi do wymiany ciosów.

– Po co chciał pan mnie widzieć? – zapytała ostrym tonem Lusia.

– A pani mnie? – odparł pytaniem Podrecki.

Lusia wydeła usta i sapnęła przez nos.

– Tracę na pana czas!

– A ja myślę, że skarb cesarza Bizancjum podziałał pani na wyobraźnię – stwierdził spokojnie kustosz. – W przeciwnym razie nie spotykałaby się pani z nic niewartym oszustem.

Dłoń Lusi wykonała w powietrzu nieokreślony gest.

– Im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje się to fantastyczne. Może jest pan zwykłym wariatem?

Podrecki roześmiał się głośno.

– Gdyby pani była młodsza, chybabym się w pani zakochał!

– Nie dotknęłabym pana nawet palcem! – Skrzywiła się.

Po raz pierwszy w oczach obojga pojawiło się coś na kształt uznania. Lusia chciała coś powiedzieć, ale Podrecki powstrzymał ją gestem.

– Chwila, mam pewien pomysł – oznajmił i zamilkł.

– No, wykrztuś pan to! – Nie wytrzymała Lusia. – Głowa mi pęka!

Kustosz zrobił tajemniczą minę.

– Ja muszę mieć swobodny dostęp do dworku Zofii. A pani zależy na podważeniu testamentu. Możemy połączyć siły.

– W jaki sposób?

– Co pani powie na skompromitowanie Ewy Modlińskiej?

– Słucham dalej.

– Na przykład okaże się, że jest narkomanką – ciągnął Podrecki. – Albo lepiej: dilerem narkotyków?

Lusia zrobiła sceptyczną minę.

– Znow pan fantazjuje.

– Nie do końca...

– Znam moją kuzynkę. Ona nie ma nic do czynienia z narkotykami.

– Każdy może tak twierdzić... Dopóki w jego domu policja nie znajdzie, powiedzmy, trzydziestu działek heroiny. Albo stu tabletek amfetaminy. Nawet pół kilo marihuany wystarczy w dzisiejszych czasach.

Lusi zabłyśły oczy.

– To jest myśl!

Kustosz uśmiechnął się skromnie.

– Potrafi pan zdobyć takie ilości tego świństwa? I podrzucić do dworku?

– Mam pewne znajomości. W pewnych środowiskach.

– Za coś takiego Ewa może załapać kilka lat mamra – mruknęła podekscytowana Lusia.

– Podważenie testamentu też inaczej będzie wyglądać w oczach sądu, jeśli strona będzie doprowadzana na rozprawy z aresztu – podpowiedział Podrecki.

– Bardzo słusznie! Nie można udawać moralnej spadkobierczyni, a jednocześnie dostarczać narkotyków młodzieży.

– Młodzieży? – zdziwił się.

Lusia przytaknęła energicznie.

– Droga Ewunia i ten jej adwokat prowadzą fundację dla zdolnej młodzieży. To świetny rynek na rozprowadzanie tych trucizn.

Podrecki pokiwał głową i wydał usta.

– Zrobi pan to? – W głosie Lusi zabrzmiało napięcie.

– To jedyne wyjście, miła pani Leokadio. Po aresztowaniu Modlińskiej policja zapieczętuje dworek. I będę mógł działać.

– Co pan zamierza? – Lusia nie kryła ciekawości.

Teraz, kiedy zostali współnikami, jej nieufność znikła.

Kustosz spojrzął jej głęboko w oczy.

– Będę potrzebował pomocy – odparł. – Ale muszę mieć pewność, że mogę pani zaufać. W stu procentach.

– Panie Podrecki... Jeszcze nikt i nigdy się na mnie nie zawiódł – powiedziała Lusia uroczyście.

– Nie wątpię.

– Moje słowo znaczy więcej niż podpis prezydenta.

– Dziękuję. To mi wystarczy – zapewnił ją kustosz. Pochylił się nad blatem i ściszył głos. – W dworku ukryte jest wejście do podziemi. Już dawno podejrzewałem ich istnienie, ale nie byłem w stanie ustalić niczego więcej. Dwa dni temu odwiedziłem Ewę, aby rozejrzeć się w domu ponownie. I przypadkiem wpadłem do lochu, który okazał się początkiem labiryntu.

– Coś podobnego!

– Właśnie. Tylko moja dogłębna znajomość renesansu sprawiła, że nie zdziwił mnie ten fakt.

– Labirynt? – Upewniła się Lusia.

– Labirynt – potwierdził Podrecki. – Ponieważ do tej pory nie zdołałem rozszyfrować kodu Ossolińskiego, długo błądziłem. Aż w końcu, dzięki umiejętności czytania symboli, wydostałem się na powierzchnię w ruinach Ossolina. Trzydzieście kilometrów od dworku!

Rozczarowana Lusia opadła na oparcie krzesła.

– Sądziłam, że ta dogłębna znajomość epoki doprowadziła pana do skarbu – zauważyła ironicznie.

Kustosz nachmurzył się.

– Powoli! To nie takie proste. Dobrze, że moja wiedza pozwoliła mi przeżyć. W podziemiach natrafiłem na kilka szkieletów. Najwyraźniej mierzyli się z labiryntem mniej wykształceni ode mnie ludzie.

Kelnerka przyniosła kawę i szarlotkę.

– I co pan zamierza? – zapytała niecierpliwie Lusia, gdy ponownie zostali sami. – I co z tym kodem?

– Jestem już blisko, bardzo blisko – zapewnił ją Podrecki. – Zapamiętałem znaki z podziemi, które wskazują fałszywe kierunki. Ale nie chcę wchodzić do labiryntu od strony Ossolina, bo do Krzyżtoporu stamtąd kawał drogi. Z dworku to niecały kilometr.

– Zgadza się – powiedziała Lusia. – Tylko do czego ja się mogę przydać?

– Pani i cała rodzina – uściślił Maurycy. – Oczywiście, bez Izabelli.

– Oczywiście.

– Po pierwsze, do wyniesienia talizmanów z podziemi. To kupa złota. Nawet jeśli figury są puste w środku, każda waży ze sto kilo. Albo i lepiej.

– Albo i lepiej – powtórzyła jak echo Lusia.

– Po drugie, nie mam ochoty ponownie pobłądzić w labiryncie – ciągnął Podrecki.

– Zatem potrzebuję pomocy. Zna pani mit o Ariadnie?

– Nie. A kto to taki?

– Córnica króla Krety Minosa i Pazyfae.

– I co z nią?

Pytania Lusi padały szybko, towarzyszył im przyśpieszony oddech i błyszczący wzrok.

– Owa Ariadna pomogła niejakiemu Tezeuszowi pokonać kreteński labirynt – wyjaśnił kustosz.

– W jaki sposób?

– Przewiązała go w pasie przędzą. Sama stała przy wyjściu, odwijając ją stopniowo z kłębka.

– Dobrze – pochwaliła Lusia. – Ale to musiała być cholernie długa nić!

– Przędza.

– Aha. A na cholerę ten Tezeusz pchał się do labiryntu? Po skarb?

– Nie. Musiał zabić Minotaura. Potwora o tułowiu człowieka i głowie byka.

– Ależ bzdury ludzie wymyślają! – Skrzywiła się Lusia.

Kustosz pominął tę uwagę milczeniem.

– W naszym przypadku użyjemy żyłki wędkarskiej – powiedział. – Połączę kilkadziesiąt szpul. Pani zostanie na górze, ja wejdę do labiryntu. Jeśli pobłądzę, wrócę po żyłce.

– Przecież może pan przywiązać tę żyłkę do czegokolwiek i odwijać ją sam – stwierdziła Lusia po zastanowieniu.

– Fakt. Ale kiedy trafię do skarbu, pani z mężem, zięciem i córką znajdą mnie bez problemu. Po żyłce.

We wzroku Lusi w miejsce ekscytacji zjawiała się podejrzliwość.

– A nie zwieje pan z tym skarbem? Innym wyjściem?

Podrecki wywrócił oczami.

– Na miłość boską, pani Leokadio! – zniecierpliwził się. – Po co wtajemniczałbym panią w cały ten plan? Tłumaczyłem przecież, potrzeba ludzi do wyniesienia talizmanów. I co najmniej dwóch wozów, żeby wywieźć je z Polski. Zmieszczą się w moim kombiaku i w waszym vanie. Ciężarówka to zawsze ryzyko kontroli celnej.

– Dobrze, już dobrze! – Poddała się Lusia. – I niech pan nie wzywa imienia Boga nadaremno – napomniała. – Dokąd wywieziemy figury?

– Do Hamburga. – Podrecki najwyraźniej miał gotowy plan. – A stamtąd popłyną statkiem do Chin. Mam kontakt z ludźmi, którzy sprzedadzą talizmany chińskiemu miliarderowi.

Uśmiechnął się mimo woli, bo wyobraził sobie miny Lusi i jej rodziny na widok odpływającego statku bez nich na pokładzie. Nieraz wyprowadzał w pole partnerów w interesach, w tym zawodowych oszustów. Rodzina Solińskich była banalnym przypadkiem.

– Jak się pani podoba taki scenariusz? – zapytał.

– Może być. – W głosie Lusi zadźwięczała rezerwa.

Kustosz zatarł ręce.

– No to działam! – oznajmił. – Pozostała tylko kwestia kosztów...

Wzrok Lusi stwardniał.

– Jakich znowu kosztów?

– Na przykład zakupu narkotyków – wyjaśnił Podrecki.

– Ile?

– Tysiąc złotych.

– Pięćset musi wystarczyć.

– Osiemset.

– Sześćset – rzuciła Lusia twardo. – To moje ostatnie słowo.

– Zobaczą, co da się zrobić – westchnął Podrecki.

Kontury jednorożca i piramidy wykonano lekką kreską, wnętrza wypełniono czerwoną farbą, wyblakłą przez lata. Pół metra poniżej widniała prostokątna pusta rama. Jednorożec znajdował się po jej lewej stronie, piramida po prawej.

Fresk odsłonięty został spod siedemnastowiecznego tynku. Wieńczył go herb Zamoyskich, z trzema złotymi włóczniami i kozłem na szczycie, umieszczony tuż ponad wizerunkiem Abraksasa.

Ewa stała nieruchomo przed ścianą. Musiała uspokoić emocje, myśleć chłodno. Wrażenie, jakie wywarło na niej odkrycie studentów, było ogromne.

– Znów są odwrócone – wyszeptała do siebie.

– Co masz na myśli? – zapytał stojący za jej plecami Jeliński.

Czekał na nią w kamienicy wraz z całym zespołem. Wszyscy mieli tajemnicze miny. Jak dzieci, które wykonały trudne zadanie i spodziewają się pochwały.

– Nie wygadałeś im o mojej tajemnicy, prawda? – zagadnęła Ewa w drodze do piwnicy, a Jeliński zapewnił ją, że o talizmanach nie zająknął się słowem, choć podzielił się ze studentami informacją o jej odkryciach. O związkach Ossolińskiego z ostatnim cesarzem Bizancjum oraz o możliwym udziale w ich przedsięwzięciu masonerii i Zamoyskiego.

– Na portrecie wojewody jednorożec umieszczony jest po prawej, a piramida po lewej – powiedziała Ewa. – Na sztychu z projektem Krzyżtoporu odwrotnie, jak tutaj. To musi mieć znaczenie, choć nie mam pojęcia jakie.

– Masz rację. W renesansowej ikonografii nic nie jest przypadkowe – zgodził się Jeliński.

Wskazała palcem poniżej obu symboli.

– Co może oznaczać ta rama? – zapytała. – I dlaczego jest pusta?

– To miejsce na czyjs portret? – zasugerował Jeliński.

– Ostatniego cesarza Paleologa? – Szukała w myślach Ewa. – Gdy już powróci w chwale na tron?

Jeliński podrapał się po głowie.

– Ktoś ma pomysł? – zwrócił się do otaczających ich młodych ludzi.

– Może to nie jest rama obrazu... – rzuciła jedna z dziewcząt.

– A czego?

– Lustra...? – dokończyła niepewnie.

– Lustro! – wykrzyknęła podniecona Ewa. – Jasne, że lustro! Idiotka ze mnie! Dlaczego symbole są odwrócone? Bo patrzymy na ich odbicia w lustrze. W renesansie ciągle wykorzystywano lustra! Leonardo da Vinci, jego pismo! Ludzka inteligencja zwierciadłem natury...

– Mądrość jest zwierciadłem bez zmayı boskiego majestatu – powiedział Jeliński. – *Stary Testament* – dodał.

Ewa spojrzała na niego z pretensją w oczach.

– Wiedziałeś to od pierwszej chwili...

Rozłożył ręce z uśmiechem.

– To twoje badania – odparł przekornie.

– Dziękuję, panie profesorze. Właśnie oblałam egzamin.

– Doszłabyś do tego. Monika była odrobinę szybsza, to wszystko.

Dziewczyna, która domyśliła się przeznaczenia ramy, uśmiechnęła się. Ewa odwzajemniła uśmiech.

– Co jeszcze symbolizuje lustro? – zapytał jeden ze studentów.

Stojący obok niego chłopak zerknął na smartfona.

– Niebo, słońce, świat, ogień, płomień, życie, przeznaczenie, wróżbę, prorocstwo, kobiecość, zalotność, próżność, miłość, przyjaźń, dumę, ostrożność, wzrok, objawienie, widzenie, wizje, odbicie, refleksje, echo, samowiedzę, kontemplację, samokontrolę, wiedzę, prawdę, samorealizację – wyrecytował na jednym oddechu.

– Nasza wiedza jest im niepotrzebna. Wystarczy kliknąć – szepnął Jeliński z westchnieniem.

Młodzi ludzie roześmiali się. Ewa nadal patrzyła na fresk.

– Lustro prowadzi inteligentnego człowieka do poznania tajemnicy. Znaki odwrócone ujawniają prawdę wtajemniczonym...

– ...masonom – dodał Jeliński.

Ewa przytaknęła.

– Ossoliński pragnął zabezpieczyć swoją tajemnicę. Na wypadek gdyby jego albo Solona spadkobiercy zgłupieli. Jak ja.

Jej słowa zostały przyjęte następnym śmiechem. Profesor zwrócił się do swojej grupy.

– Stojąca przed wami Ewa Modlińska jest prawnuczką Georgiosa Solona, wiernego towarzysza Aleksego Paleologa, ostatniego cesarza Bizancjum. I przyjaciela Krzysztofa Ossolińskiego.

Zapadła cisza.

– To nie było potrzebne – szepnęła Ewa.

– Niech mają świadomość, że pięćset lat to mgnienie oka – odparł Jeliński. – Nieustająca ciągłość idei, przechowywana w przedmiotach i ludziach. Bizancjum i Konstantynopol istniały i upadły zaledwie wczoraj.

– Dzień dobry. Nie przeszkadzam? – rozległo się za ich plecami.

Wszyscy odwrócili się. W przebitym przejściu stał Adam, z uśmiechem czekał na pozwolenie.

– Proszę, panie mecenasie – powiedział Jeliński. – Łamiemy sobie właśnie głowy nad tajemnicami masonów. Może prawnicza wiedza wniesie coś nowego.

Adam stanął tuż obok niego.

– Ani słowa! – ostrzegła go szeptem Ewa.

Skinął głową na znak, że zrozumiał, po czym spojrzął na fresk.

– Coraz ciekawiej – zauważył. – Gratuluję. Rozszyfrowaliście te znaki?

– Wiemy tylko, że są częścią kodu – odparł Jeliński. – Ewa znajduje je wszędzie, gdzie się pojawia Abraksas.

Ewa wzruszyła ramionami.

– Jestem tak samo głupia, jak byłam. I na dziś mam dość – odparła i zwróciła się do pozostałych. – Bardzo wam dziękuję za to znalezisko. Dołożę starań, aby podziemia kamienicy zostały zabezpieczone jako część zabytków Zamościa.

– Możemy pracować dalej? – zapytał Jeliński. – I podzielisz się z nami kolejnymi ustaleniami?

– Oczywiście, profesorze. Nie przeszkadzajcie sobie. My z panem mecenasem

mamy sprawę do załatwienia.

Wzięła Adama pod rękę, ruszyła z nim do wyjścia. Przeszli przez piwniczny korytarz, wydostali się okienkiem na ulicę.

– Po twojej minie domyśliłam się, że coś znalazłeś – powiedziała Ewa, otrzepując się z tynku i kurzu.

– Wykonałem horoskop – odparł. – Na podstawie notatek Ossolińskiego. Chodźmy do fundacji, pokażę ci.

Weszli na pierwsze piętro kamienicy, zamknęli się w małym biurze. Adam rozłożył na biurku arkusz z rozrysowanym horoskopem.

– Pamiętasz? – zapytał. – Słońce patrzy w twarz Księżycowi, Merkury w głębokim lochu, Księżyc, Wenus i Mars zanurzone w wodzie. Próbowałem różnych wariantów, aż w końcu wyszło to.

Ewa patrzyła poruszona na horoskop.

– Nie mówiłeś, że znasz się na astrologii.

– Na tyle, aby zrozumieć symbole starych dzieł – wyznał Adam.

– Co jeszcze przede mną ukrywasz?

Adam zawahał się. Ewa podniosła na niego wzrok. Ich spojrzenia spotkały się. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że on odpowie: „To, że cię kocham”. Adam zawahał się, potem powiedział z napięciem:

– Wciąż nie mam pojęcia, co oznaczają „centuria pierwsza”, „centuria czwarta”, „trzydzieści i trzy”.

Ewa kiwnęła głową. Ukryła rozczarowanie i była na siebie zła. Jeśli pragnęła deklaracji miłości, to znaczyło, że sama pogubiła się w uczuciach. Co by odpowiedziała? „Ja też cię kocham?”. Nie zdobyłaby się na te słowa. A jednak jechała do Zamościa, myśląc obsesyjnie o ich spotkaniu. Bliskość Adama wywoływała zamieszanie w umyśle i poruszenie w ciele.

Musi się skupić na swoim zadaniu. Czas, potrzebuje czasu. Niech to coś, co między nimi zaistniało, ujawni się w pełni lub okaże złudzeniem. Poczula smutek na myśl o drugiej ewentualności. Spojrzała znów na horoskop.

– Ustaliłeś dokładną datę? – zapytała.

– Mam nadzieję.

– Dziesiąty maja – odczytała.

– Słońce w znaku Byka.

– To za dwa dni...

– Zgadza się. Myślę, że chodzi o Księżyc o północy. Dziesiątego będzie pełnia.

Słońce patrzy w twarz Księżycowi.

– Racja.

Adam wskazał na dół rysunku.

– W najniższym punkcie horoskopu znajduje się Merkury, tak jakby krył się w podziemiach. Symbole merkurialne to na przykład piramida, słoń, uskrzydłone sandały boga. I hermafrodyta o głowach kobiety i mężczyzny w koronie. Czyli dusze, które dostały wtajemniczenia, połączyły się.

– Znów połączenie dusz – zauważyła Ewa. – Jak Polifila i Polii.

- Co jeszcze mamy? – zapytał Adam.
- W sali masonów są jednorożec, piramida i lustro.
- Ta rama jest od lustra?
- Mhm. Chodzi o odwrócenie kierunków na planie Krzyżtoporu.
- Gdzie położymy plan?
- Na kamieniu z Abraksasem, na dziedzińcu. Na tym, który znalazłam. Ale to nie

wystarczy.

- Musimy jechać do pałacu!

Oboje mówili szybko, poruszeni przecuciem zbliżania się do tajemnicy. Pochyleni nad horoskopem stali blisko, dotykali się ramionami. Dłoń Ewy posunęła się w bok, dotknęła jego dłoni, ich palce się splotły.

Odwrócili się do siebie. Adam podniósł rękę, dotknął jej policzka. Ewa patrzyła mu prosto w oczy. Zbliżyli się i zaczęli delikatnie całować. Pocałunki stały się bardziej namiętne, ciała się zwarły. Podniecone oddechy przyśpieszyły, ręce zaczęły coraz śmielsze pieszczoty.

- Nie tutaj – poprosiła Ewa, nie odrywając ust od jego warg. – Jedźmy do mnie.

15.

Obudzili się o siódmej rano, wyrwani ze snu warkotem silnika samochodu i podniesionym głosem Zeni.

– Pani ciężko pracuje i ma prawo się wyspać!

Ewa powoli wracała do rzeczywistości. Jej głowa leżała na ciepłym ramieniu, a ona nie chciała się ruszać. Była spełniona, w całym ciele czuła rozkosz minionej nocy. Odwróciła się powoli i pochwyciła spojrzenie Adama. Wtuliła się w niego, zamknęła oczy. Słyszała bijące nieśpiesznie serce i spokojny oddech.

Adam gładził ją po włosach.

To powinno trwać wiecznie, pomyślała leniwie. Niech nic więcej się nie zdarzy.

Obie Ewy były w tej chwili jedną doskonałą istotą.

Podmuch wiatru podniósł zasłony, otwarta okiennica stuknęła o framugę.

– Policja musi mieć nakaz, żeby ludziom tak wcześnie zawracać głowę! – perorowała energicznie Zenia.

– Mamy nakaz. Proszę spojrzeć – powiedział męski głos.

Ewa rozpoznała komisarza Tomasika i zaniepokojona otworzyła szeroko oczy. Adam spojrzał pytająco.

– Nie mam pojęcia. – Pokręciła głową.

Usiadła na łóżku i rozejrzała się za ubraniami; garderoba jej i Adama była porzucana po podłodze. Uśmiechnęła się na wspomnienie drogi ich namiętności.

Adam wyciągnął dłoń i dotknął jej piersi.

Poczuła przebiegający przez ciało dreszcz, zapragnęła wsunąć się z powrotem pod kołdrę i znów się kochać. Powstrzymała ten odruch. Wstała, czując jego wzrok na swoim nagim ciele. Sprawiało jej przyjemność, że na nią patrzy, widziała w jego oczach podziw i miłość.

Wyjęła z szafy dzinsy i bluzę, ubrała się bez pośpiechu. Przysiadła na brzegu łóżka, pochyliła się i pocałowała Adama w usta. Gdy chciała się wyprostować, przytrzymał ją, a ona przylgnęła do niego całym ciałem.

– Wróć jak najszybciej – powiedział cicho.

– Mogłabym cały dzień spędzić z tobą w łóżku, ale w domu są jeszcze Iza, Zenia i Stanisław – przypomniała z naganą. – No i ten policjant, z jakimś nakazem. Pomóż mi, jesteś prawnikiem. Zejdź na dół, tylko nie od razu. I udawaj, że spałeś w innej sypialni.

Adam pokiwał głową.

– Świetny pomysł. Wskoczę z okna w pokoju obok.

Roześmieli się oboje i pocałowali się ponownie.

Wreszcie Ewa odepchnęła się od jego piersi i wstała. Po drodze do drzwi rzuciła wzrokiem na lustro toaletki. Rozczochrane włosy, nabrzmiałe usta, rozpalone oczy zdradzały, co robiła w nocy.

Beznadziejna sprawa. Wyglądam, jakbym uciekła z planu filmu pornograficznego, pomyślała z rezygnacją i z przyjemnością zarazem.

Ściągnęła włosy w kok, związała je gumką, którą znalazła na toalecie.

Na korytarzu natknęła się na bratanicę. Iza, w koszulce nocnej, rozspana, patrzyła

na Ewę z rozbawieniem i niepokojem.

– Czego chce policja? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. – Ewa ruszyła schodami w dół.

– Cieszę się, ciotka – rzuciła za nią dziewczyna.

Ewa zatrzymała się z niewinnym wyrazem twarzy.

– Z czego?

– Nie ściemniaj. – Uśmiechnęła się Iza. – Ściany są grube, ale nie dość. Na szczęście mam mocny sen, inaczej do rana oka bym nie zmrużyła.

– Możesz to zatrzymać dla siebie?

– A komu miałabym opowiadać? – Dziewczyna udała zdziwienie.

– Adam nie ma jeszcze rozwodu. Czekają go sprawy o opiekę nad dzieckiem i majątek.

Nie chcę mu zaszkodzić.

– Okej, ciotka.

Ewa odwróciła się i zaczęła schodzić w dół schodów.

– Kochacie się? – usłyszała.

– Nie wiem, myślę, że tak – odparła Ewa, przystając ponownie. – Mam nadzieję.

– On jest w tobie zadurzony po uszy! – oświadczyła Iza. – Ciebie też brało, widziałam. Wszystko jest w porządku. Tylko tego nie zepsujcie!

– Iza, proszę...

Pod werandą stali przed radiowozem: komisarz Tomasik, młody policjant z wilczurem na smyczy, Zenia i Stanisław. Wiatr szarpał ich ubraniami, rozwiewał włosy. Z zakłopotanymi minami sprawiali wrażenie aktorów z przedstawienia, w którym nie chcieli brać udziału.

Zenia uniosła trzymany w dłoni papier.

– Upierają się, że mają prawo wejść do domu! – zawołała poirytowana. – A ja im tłumaczę, że bez twojej zgody nie wejdą!

– Dzień dobry, pani Ewo – przywitał się zmieszany Tomasik. – Niestety, otrzymaliśmy powiadomienie. I mamy nakaz.

Sięgnął w kierunku Zeni po dokument, ale ona schowała się za plecami męża.

– No co ty, Zenia? – Zawstydział się Stanisław.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie fałszywy papier? – zapytała gospoia prowokacyjnie.

Ewa zeszła z ganku, odebrała jej nakaz, przebiegła wzrokiem i oddała Tomasikowi.

– Dzień dobry, panie komisarzu – powiedziała uprzejmie. – Nakaz prokuratorski to poważna sprawa. Mogę wiedzieć, o co chodzi?

– Tak, jak mówiłem, otrzymaliśmy powiadomienie i... – zaczął komisarz.

– Czyli donos? – przerwała mu Ewa. – Anonimowy?

Na przystojnej twarzy Tomasika pojawił się grymas wstydu i irytacji.

– Anonimowy.

– O ile wiem, nikt w tym domu nie został zamordowany – ciągnęła Ewa chłodnym tonem. – Nie ukrywamy też łupów z napadu na bank.

Była niemal pewna, że za całą sprawą kryje się Lusja. Zastanawiała się z niepokojem, co tym razem wymyśliła.

Komisarz spojrział na młodego policjanta z wilczurem.

– Niestety, musimy dokonać przeszukania z pomocą psa – oświadczył zdecydowanie. – Mam nadzieję, że nie będzie pani oponować.

Na werandzie pojawił się Adam. Zszedł ze stopni, zatrzymał się przy Tomasiku.

– Dzień dobry, panie komisarzu – przywitał się swobodnie i wskazał na otwarte okno pokoju obok sypialni Ewy. – Słyszałem wszystko. Pozwoli pan na moment?

Ujął policjanta pod ramię i odprowadził na bok.

Rozmawiali przez kilka minut ściszymi głosami, a szumiący w gałęziach wiatr zagłuszał ich słowa. Mina Adama świadczyła, że sytuacja jest poważna.

Do Ewy podeszła ubrana już Iza.

– Co tu się dzieje? – zapytała.

– Ktoś na mnie złożył donos.

Oczy dziewczyny zaokrągliły się ze zdziwienia. Niecierpliwym ruchem odgarnęła na bok rozwiane wiatrem włosy.

– Donos? A w jakim temacie?

– Nie mam pojęcia.

Adam i Tomasik wrócili przed werandę.

– Przykro mi, ale pan komisarz musi wykonać swój obowiązek – oświadczył Adam z napięciem w głosie.

Ewa wskazała ręką na otwarte drzwi.

– Zapraszam.

Tomasik i policjant z wilczurem weszli do domu.

– Powinnaś uczestniczyć w tym przeszukaniu – powiedział Adam.

– Czego szukają?

– Czegoś, czego nie zgubili! – mruknęła zirytowana Zenia. – Chodź, Staszek – zwróciła się do męża. – Trzeba im patrzeć na ręce.

Energicznie ruszyła do środka, a Iza i Stanisław za nią. Ewa spojrzała pytająco na Adama.

– Wykrztuście to z siebie wreszcie! – powiedziała.

Za oknem salonu zamajaczyła sylwetka młodego policjanta.

– Zdarza ci się palić marihuanę? – zapytał zmieszany Adam.

Ewa wzruszyła ramionami.

– Zdarzało się.

– Ktoś doniósł, że trzymasz w domu znaczne jej ilości. Że jesteś dilerem.

– Co takiego?! – Ewę zamurowało. – To niedorzeczne! Czeka... Ty się zastanawiasz, czy to prawda! – zdumiała się. – Niech cię szlag trafi!

Ruszyła wielkimi krokami w stronę domu. Adam dogonił ją i chwycił za ramię.

– Nic takiego nie powiedziałem! Nie przeszkadzaj im, pogorszysz tylko sytuację – ostrzegł.

– Nie ma żadnej sytuacji, idioto... – zaczęła Ewa, lecz nagle zakryła dłonią usta.

– Co...? – zaniepokoił się Adam.

– Cholerny Podrecki! Był tutaj wczoraj! Pamiętasz?

Porażeni odkryciem zamilkli.

Wieczorem na odcinku szosy w bezpośrednim sąsiedztwie dworku zobaczyli mercedesa kombi, który jechał w przeciwną stronę. A potem Zenia przywitała ich relacją o wizycie fałszywego kustosza.

Popołudniu przyjechał taksówką po swoje auto. Pomimo nieobecności Ewy domagał się wpuszczenia do domu pod pretekstem zabrania pozostawionej książki. Gosposia nie zdołała go powstrzymać, a zanim przybiegł na pomoc Stanisław, Podrecki dostał się do gabinetu Zofii.

Wyszedł stamtąd szybko, pokazując jakąś książkę. Zenia, ani Stanisław nie byli w stanie stwierdzić, czy to jego własność, czy nieboszczki. Podrecki powołał się na Ewę, a nawet zaproponował, aby do niej zadzwonić. Gosposia zgodziła się w końcu, aby odjechał z książką, kazała tylko Stanisławowi spisać jej tytuł.

Zdobycz kustosza okazała się współcześnie wydanym katalogiem zabytków, zatem Ewa uznała, że wizyta intruza to rzecz bez znaczenia. Smaku sprawie dodało wyznanie Zeni, która poprzedniego dnia przeszukała mercedesa i w bagażniku znalazła, wedle jej relacji, „obrazki i narzędzia, które pani Zofia niepotrzebnie zapisała oszustowi”.

Chodziło naturalnie o sztychy z planem Krzyżtoporu oraz stare instrumenty astronomiczne. Gosposia ukryła je w swoim pokoju. Adama ucieszył ich widok, Ewa jednak postanowiła oddać je Podreckiemu.

Tymczasem na werandzie pojawili się policjanci i wilczur, a tuż za nimi Iza, Zenia i Stanisław. Miny całej szóstki świadczyły, że wydarzyło się coś złego.

Komisarz podniósł plastikową torbę wypełnioną suszonym ziołem.

– Czy to pani własność? – zwrócił się do Ewy.

– Moja! – rzuciła zaczepnie Iza.

– Nie wygłupiaj się – powiedziała Ewa, podchodząc do Tomasika. – Ani moja, ani Izy. Jestem pewna, że ta torba została podrzucona wczoraj przez niejakiego Maurycego Podreckiego.

– A to skurwysyn jeden! – wykrzyknęła Zenia. – Wyczułam, że coś kręci! Głupia jestem, że go zostawiłam samego! Był tu wczoraj, mąż go widział!

Policjanci spojrzeli po sobie. Tomasik pokazał jej torbę.

– Zauważyła pani, czy miał to przy sobie?

– Oczywiście, że miał! – skłamała gładko Zenia i łypnęła na Stanisława. – Prawda? No, powiedz coś! – popędziła go. – Nie stój tak!

Stajenny odchrząknął.

– Chyba miał – stwierdził niepewnie.

– Miał i już! – oświadczyła Zenia, biorąc się pod boki. – Mój mąż jest mało spostrzegawczy!

– A dlaczego pozwoliła pani, aby Podrecki umieścił torbę w kredensie? – ciągnął przesłuchanie komisarz.

– Bo wepchnął się jak cham! – odpaliła Zenia. – A ja poszłam po męża, żeby go wyrzucił. Kiedy wróciliśmy, był już przed domem.

Tomasik bez przekonania pokiwał głową. Odwrócił się do Ewy.

– Zmuszony jestem zatrzymać panią do wyjaśnienia sprawy. Pojedzie pani z nami do Zamościa.

Adam zrobił krok i stanął przed Ewą.

– Chwileczkę, panie komisarzu. Zeznanie pani Zenobii musi zostać wzięte pod uwagę. Jako adwokat reprezentujący Ewę Modlińską jestem zdania, że nie ma pan wystarczająco obciążającego materiału, aby dokonać zatrzymania.

Komisarz zawahał się, zważył w ręku torbę.

– Tu jest z kilogram marihuany – bąknął. – Pies ją znalazł w kredensie. Nie mamy dowodu, że została podrzuciona.

– Ale mamy uzasadnione wątpliwości, prawda? – zapytał Adam. – Pani Ewa stawi się na przesłuchanie, nie ma potrzeby stosowania aresztu. Poza tym, sposób zabezpieczenia śladów na torbie jest niedopuszczalny. Trzyma ją pan gołą ręką, zamazując wcześniejsze odciski palców. Co pan powie, jeśli nie będzie na niej śladów Ewy, a będą inne? Nie licząc pańskich, oczywiście. Proszę oddać dowód do badania daktyloskopijnego i pozwolić, by po wynikach podjął decyzję prokurator.

Tomasik zastanawiał się z zaciśniętymi ustami. Ewa z Izą patrzyły z uznaniem na Adama.

Zenia machnęła ręką.

– Nie ma co myśleć, panowie policjanci – zarządziła. – Nie popisaliście się. Do widzenia.

– Bądźże raz cicho, kobieto! – ofuknął żonę Stanisław.

– Sam bądź cicho! – odpaliła bez zastanowienia Zenia. – Gdybym nie wymyśliła tej torby, byłoby źle.

Obecni na werandzie popatrzyli na nią z przestraczem. Gospościa odpowiedziała zdziwionym spojrzeniem. Nie zdawała sobie sprawy, co właśnie wyszło z jej ust.

– Gdyby jej pani nie zobaczyła – sprostował Adam.

– No przecież mówię! – Oprzytomniała Zenia.

Tomasik posłał mecenasowi przeciągłe spojrzenie. A Potem podszedł do radiowozu, otworzył tylne drzwiczki i wrzucił torbę na kanapę.

– Skontaktujemy się po wynikach badań – powiedział, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Młody policjant uchylił bagażnik, zapakował do niego wilczura.

Komisarz podszedł do Ewy.

– Bardzo mi przykro, że wynikła tak niemiła sprawa. Mam nadzieję, że wszystko się wyjaśni. Proszę zrozumieć, że wypełniam obowiązki służbowe. Prawo jest prawem.

– Tyle zamieszania o trochę trawki? – rzuciła lekceważąco Iza. – Do dupy takie prawo! W mojej szkole więcej spalamy na długiej przerwie.

Komisarz nie zwrócił uwagi na tę zaczepkę.

– Do widzenia, pani Ewo – powiedział.

Ewa nie przyjęła wyciągniętej ręki.

– Do widzenia, panie komisarzu. Dziwię się, że uwierzył pan temu donosowi.

Odwróciła się na pięcie i weszła na werandę.

Radiowóz ruszył, objechał klomb przed dworkiem i znikł za bramą. Zenia zwróciła się do Ewy.

– Chyba teraz nie oddasz oszustowi tych narzędzi? Pani Zofia w grobie by się

przewróciła!

Wiatr przyginał korony drzew z jeszcze większą siłą. Ewa, Adam i Iza, którzy jedli śniadanie na werandzie, musieli przytrzymywać podwiewany obrus i uciekające serwetki.

Rozmawiali o marihuanie i zdradzieckim podstępnie Maurycego Podreckiego.

– Nie puszczę mu tego płazem – obiecał Adam. – Jeśli na tej torbie zostaną znalezione jakieś odciski palców, zmuszę policję, żeby sprawdziła kustosa.

Zastanawiali się, co kierowało oszustem. Iza była przekonana, że za całą sprawą stoi jej matka. Przypomniała sobie, że Lusie wspominała coś o informatorze z Zamościa.

– Zakłamanym panem kustosz i moja mamusia pasują do siebie jak ulał! – oświadczyła z przekonaniem.

– To niebezpieczny sojusz – mruknął pod nosem Adam. – Lusie zapewne próbuje skompromitować cię przed procesem o spadek – zwrócił się do Ewy.

– Muszę wam powiedzieć, że dokumentacja medyczna podająca w wątpliwość psychiczne zdrowie Zofii wylądowała w ściekach, tam gdzie jej miejsce – pochwaliła się Iza swoją akcją.

Zrelacjonowała przebieg wydarzeń w Zamościu, wygraną walkę z Robertem. Ewa i Adam pogratulowali jej z ulgą. Zadowolona Iza zapytała, czy dokonali jakichś odkryć w sprawie talizmanów. Ewa poprosiła, aby Adam zademonstrował swoje astrologiczne obliczenie. Rozłożyli na stole rysunek horoskopu i notatkę Ossolińskiego. Adam wyjaśnił, jak stworzył horoskop, potem wymienił datę, dziesiątego maja.

– To przecież jutro! – wykrzyknęła podekscytowana Iza. – Raz na sto lat? Tak mówi kalendarz tego Bessariona?

– W rzeczy samej – przytaknęła Ewa.

Dziewczyna spojrzała z niedowierzaniem.

– I wy tak sobie spokojnie siedzicie?

– A co mamy zrobić? – spytał Adam. – Nie wiemy, jaki związek ma data z planem Krzyżtoporu. Domyślam się załedwie, że chodzi o Księżyc o północy.

– Musi być jakiś sposób! – zawołała rozgorączkowana Iza. – Nie możemy pozwolić, żeby talizmany się nam wymknęły!

– Dlaczego? – odpowiedziała pytaniem Ewa.

– Bo są zbyt cenne, zbyt niesamowite! No co ty, ciotka? Miałaś na ich punkcie fioła, a teraz odpuszczasz? Bo masz już faceta?

Ewa otworzyła usta, żeby skarcić bratanicę, ale na widok miny Adama nie potrafiła powstrzymać rozbawienia. Iza nie była skłonna do śmiechu.

– Przepraszam, przesadziłam – stwierdziła samokrytycznie. – Ale wy oboje jesteście do bani. Ossoliński pisze, że połączone połówki duszy odnajdą skarb. Jesteście tymi połączonymi połówkami czy nie?

Adam poczerwieniał.

– Nie wymagaj takich deklaracji... – zaczęła Ewa.

Iza pokręciła głową.

– Ale...

– Kocham ją – powiedział Adam spokojnie, choć z napięciem w głosie.

Iza klasnęła w ręce.

– No i proszę! To takie proste! Teraz ty, ciotka.

– Daj mi spokój! – rzuciła poirytowana Ewa. Chciała dodać coś jeszcze, ale nagle poczuła, że zaraz się rozplacze. – Ja nie mogę tak, przepraszam – wymamrotała niewyraźnie, po czym wstała i weszła do domu.

Przystanąła w hallu, rozejrzała się, ale nie miała pojęcia, co ze sobą zrobić. Trzymając się mocno poręczy, weszła na piętro. Nieco chwiejnie dotarła do sypialni i opadła na łóżko. Poczuela, że drżą jej dłonie, więc splótła palce, żeby je uspokoić. Drżenie nie ustało, przeniosło się na całe ciało. Dygotała jak w gorączce, nie mogła powstrzymać łez. Wiatr rozwiewał zasłony, denerwująco stukał okiennicami, jakby z niej kpił.

– Niech to szlag, zachowujesz się jak nastolatka – wyszeptała z irytacją.

Była przecież dumna z opanowania i zimnej krwi. A wystarczyło, że usłyszała dwa słowa. „Kocham ją”. Co za tupet! Przyszły mu łatwo, jak zamówienie kawy. Niedawno był zakochany w swojej żonie.

Nie pozwoli na manipulacje swoją osobą. Zejdzie na dół i zażąda, aby wyjechał. Powie, że jest dotknięta i rozczarowana. Jedna noc nie upoważnia do wchodzenia z butami w cudzą duszę.

Uspokajała się powoli. Poczuela rozchodzącą się po całym ciele ciszę, nerwy i mięśnie przestały dygotać. Drgnęła na odgłos otwierających się drzwi.

Do pokoju wszedł Adam. Sprawiał wrażenie przestraszonego, ale odważnie podszedł, usiadł na łóżku obok i objął jej ramiona ręką.

– Przepraszam – zaczął cichym głosem.

Ewa wtuliła głowę w jego pierś.

– Też cię kocham. To jest zatrucie umysłu, dosypano nam czegoś do jedzenia. Znamy się kilka dni.

Adam ujął jej twarz w dłonie, zaczął delikatnie całować wilgotne oczy, policzki i usta.

Wiatr wiał coraz silniej. Jak uciekinier z zakładu dla obłąkanych szarpał koronami drzew, wzniecał tumany kurzu i z chichotem rzucał nimi w Izę. Osłaniając twarz, szła szybko drogą prowadzącą od parku do szosy. W jednym ręku dźwigała ciężką torbę, drugą przyciskała telefon do ucha. Trzeci raz wykręciła numer i czekała na połączenie.

– Odbierz, człowieku, odbierz! – zawołała niecierpliwie.

– Halo? – Rozległo się wreszcie w telefonie.

– Marco! Musimy się spotkać, natychmiast! – rzuciła, z napięciem, przekrzykując wiatr,.

– Przywożę kuzyna ze szpitala, będziemy za godzinę.

Iza zatrzymała się.

– Myślałam, że po mnie przyjedziesz – powiedziała zawiedziona. – Mam niesamowitą wiadomość! O talizmanach.

– Powiedz mi teraz.

– Nie ma mowy, masz przyjechać! – Zbuntowała się. – Idę w stronę Ujazdu. Czekam na ciebie w motelu. Niech szlag trafi ten wiatr! Zaraz mnie porwie!

– Uważaj na spadające gałęzie – ostrzegł Marco.

– Jedź i nie każ mi czekać!

Iza rozłączyła się i spojrzała w niebo. Wichura przyganiała z zachodu ciemne burzowe chmury.

– Niedobrze – powiedziała do siebie. – Jeśli nie będzie księżyca, poczekamy następne sto lat...

Odwróciła się i chroniąc twarz przez tumanami siekącego boleśnie piasku, ruszyła biegiem. Do motelu w Ujeździe były trzy kilometry. Miała nadzieję zdążyć, zanim zacznie się burza.

– Zaczekaj, Marco – powiedział Federico i spojrzał na bratanków poważnie. – Mam wam coś do zakomunikowania.

Wyszedł ze swojego pokoju, gdy Marco ruszał na spotkanie z Izą. Błady Giovanni leżał na kanapie w saloniku.

– Od starożytności przez całe średniowiecze, aż do renesansu żywe były w literaturze opowieści o źródłach młodości... – zaczął.

– Słyszałem, wuju.

– Mityczne źródła fascynowały pisarzy, malarzy, a nawet filozofów. W tradycji alchemicznej, zwłaszcza w siedemnastym wieku, znany był motyw fontanny Merkuriusza, odpowiednika *vas hermetis*, czyli naczynia, w którym starano się odtworzyć *primae materia*, materię pierwotną, kolebkę nowego życia. Określaną także jako *aqua permanens*, wieczna woda. Albo *hydron theion*, boska woda.

– Po co nam wuj...

– Nie przeszkadzaj! – przerwał kuzynowi Giovanni.

Federico ożywił się. Na jego bladej twarzy pojawił się rumieniec.

– Istota procesu alchemicznego polegała na zjednoczeniu wrogich przeciwności – objaśniał. – Co było obrazowane przez zanurzonych w sadzawce, a następnie spółkujących Króla i Królową.

Giovanni wsparł się na łokciu.

– Wiedziałem, że wujowi nie chodzi wyłącznie o złoto i klejnoty! – powiedział poruszony.

Marco spojrzał na kuzyna zdumiony.

– Co takiego? Mówiłem, on lekko zwariował.

– Nie do końca, drogi Marco – zaprzeczył Federico. – W Giovannim obudziło się coś, o co nigdy bym go nie podejrzewał. I to nie wskutek alergii.

– A czego?

– Bliskości talizmanów – wyjaśnił Giovanni.

Wzrok Marca świadczył, że podejrzewa o szaleństwo obu krewnych.

Federico położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

– Wobec tak wielkiej tajemnicy konieczna jest pokora. Nie zaprzeczysz chyba, że

Krzysztof Ossoliński był wszechstronnie wykształconym okultystą? Interesował się zarówno alchemią, astrologią, jak i ezoteryczną gnozą.

Marco skinął głową.

– Zgodę. Ale...

– Pora, abyście się dowiedzieli, co ustaliłem wiele lat temu – ciągnął Federico. – Pracujący dla mnie bibliotekarz doniósł, że w Archivo Publico w Wenecji pojawił się pewien profesor o polskim nazwisku Jeliński, zainteresowany spadkobiercami cesarza Bizancjum. Bibliotekarz zapisał rewery ksiąg i papirusu czytane przez profesora. Wykradłem te księgi i papirus, znalazłem w nich rewelacyjne informacje. Ossoliński zaprzyjaźnił się z potomkami uchodźców z Konstantynopola, którzy osiedli w Wenecji po upadku Bizancjum, w roku tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim. Oni pozwolili mu na zrobienie odpisu starego papirusu alchemicznego z czwartego wieku. A także zdradzili miejsce, w którym ukryli jeden z talizmanów Apoloniusza z Tiany. Ossolińskiemu udało się zorganizować wyprawę na ziemie zajęte przez Turków i wydostać ten talizman.

– Jak to? – zdziwił się Marco. – Przecież szukamy czterech talizmanów ukrytych dla cesarza Aleksego Paleologa.

Federico uśmiechnął się tajemniczo.

– Tak sądzą ludzie, którzy sfinansowali i powierzyli mi tę ekspedycję.

Marco zaniepokoił się bardziej.

– Jacy ludzie, wuju?

– Nazwijmy ich odłamem Wielkiej Loży Wenecji. Niebezpiecznym odłamem.

– Masoni?

– Jestem członkiem tej loży – oświadczył Federico. Odczekał chwilę zdumionej ciszy, która zapadła po jego słowach i kontynuował. – Nigdy nie przestaliśmy wierzyć w alchemię. Nawet nowoczesna medycyna jest skłonna przyznać, że źródłem siły i zdrowia jest psychika. A co robili alchemicy? Sprawiali, że ludzie wierzyli w nadprzyrodzone siły. I stawali na nogach, nawet ciężko chorzy. – Federico przyłożył dłoń do czoła Marca. – Tu tkwi prawdziwa moc. Wystarczy ją uwolnić.

Giovanni klasnął w ręce i zerwał się z kanapy. Zachwiał się, zbyt osłabiony, aby stać pewnie, przytrzymał się oparcia i zawołał z płonącymi oczami:

– Znajdźmy ten talizman!

Federico posadził go z powrotem na kanapie.

– Powoli, drogi Giovanni – powiedział. – Najpierw wysłuchajcie mojej teorii. Ossoliński ma zatem w ręku jeden oryginalny talizman oraz, dzięki starożytnemu tekstowi, zna sposób, jak wykonać kolejne trzy. Trzeba w niezwykłych proporcjach stopić metale planetarne: złoto, srebro, ołów, rtęć, miedź i cynę, odtworzyć z nich formy zwierząt z różnymi odstępstwami od naturalizmu. Potem w odpowiednim miejscu wygrawerować zaklęcia w językach greckim i aramejskim, które można odczytać za pomocą lustra, w specjalnym oświetleniu.

Marco pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Skąd wuj to wszystko wie? I dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz?

Federico wyprostował się z dumą.

– Mam sześćdziesiąt pięć lat. Wielka Loża Wenecji przyjęła mnie i zleciła zajęcie

się talizmanami Apoloniusza, kiedy byłem w twoim wieku. Trzydzieści pięć lat studiów, podróży i poszukiwań.

– I cały czas zwodził wuj tych ludzi, że chodzi o cztery ukryte talizmany?

– Sam w to wierzyłem. Pomimo śladów pozostawionych przez Ossolińskiego i jego tajemniczej wyprawy do Turcji. Pomimo papirusu, który znalazł polski profesor w Archivo Publico. Nie byłem w stanie zrozumieć dziwnych receptur topienia i mieszania metali, ustawiania marmurów i granitów. Ani symbolu pelikana. Miałem wrażenie, że to wytwór szalonego umysłu. Na wszelki wypadek jednak wykonałem kopię, którą mam ze sobą. A teraz przekonałem się, że intuicja mnie nie zawiodła.

– Teraz?

Federico przytaknął z zadowoleniem.

– Dzięki tobie i twojej młodej kochance. Dwóm połówkom dusz.

– Notatki Ossolińskiego! – Domyślił się Marco.

– Tak, mój mądry bratanku. To nie przypadek, że wy je dostarczyliście. Słońce patrzy w twarz Księżycowi, Merkury w głębokim lochu, Księżyc, Wenus i Mars zanurzone w wodzie. Centuria pierwsza, centuria czwarta, trzydzieści i trzy.

– Co to oznacza? – zapytał podekscytowany Giovanni.

– Zapis astrologiczny i alchemiczny – wyjaśnił Federico. – Wyznacza dokładną datę użycia talizmanów. Mówi też, jakie zastosować elementy.

– Do czego? – Nieufnie zapytał Marco.

– Do stworzenia wody życia.

Ostatnie słowa stary Włoch wymówił powoli, uroczystym tonem. Nastąpiła cisza. Potem Giovanni wyszeptał nabożnie:

– Woda życia.

Marco powstrzymał zniecierpliwienie.

– Raz wuj mówi o jednym talizmanie, a raz o czterech!

Federico przytaknął.

– Ów talizman widzę jako pelikana, stary symbol zapobiegający gniciu, rozkładowi. Wiemy, że Apoloniusz stworzył co najmniej sześć różnych talizmanów. Pelikan stoi na trójgłowych węzłach pokrytych łuską. Dzięki ocalonemu papirusowi Ossoliński dowiedział się, jak zbudować fontannę i ulokować ją w przestrzeni zgodnie z astrologicznymi wytycznymi. Jakie mają być jej proporcje, jakiego kamienia użyć do budowy, skąd sprowadzić niepsującą się wodę.

Podekscytowany Giovanni prawie nie oddychał.

– Skąd?

– Na przykład ze źródła Kastalii w Delfach albo z podziemnej rzeki w Cumae – odparł Federico. – Albo z Morza Martwego.

Zmartwiony Giovanni zmarszczył brwi.

– Przecież tam nie pojedziemy.

– Nie musimy – oświadczył Federico. – Przemyslałem to. Wystarczy kupić dużą ilość wody destylowanej. Ossoliński wiedział, w jakim układzie planetarnym kapiel przynosi efekt. Uzdrawia ciało i duszę, czyli zapewnia wieczną młodość. I zdolność zdobywania miłości.

– Dlatego umarł rok po ukończeniu pałacu – mruknął sceptycznie Marco. – Na zwykłą malarię.

Stary Włoch pokiwał głową ze smutkiem.

– Coś mu przeszkodziło w realizacji planu – powiedział.

– Przestań nudzić! – warknął Giovanni na kuzyna. – Słyszałeś, skąd trzeba było ściągać wodę! Na pewno posłał po nią ludzi i nie doczekał.

– Bardzo mądre wytłumaczenie – pochwalił Federico. – Poza tym, zadanie jest utrudnione, bowiem kąpać się powinno równocześnie siedem par. Partnerki mają być dziewicami urodzonymi w konkretnym miejscu i czasie. Ich horoskopy związane z sytuacją planetarną umieszczone są w papirusie. Wśród nich jedna koniecznie musi być Etiopką, czyli czarną dziewczyną.

– No widzisz – rzucił z zadowoleniem Giovanni pod adresem Marca. Zaraz jednak się zmartwił. – Skąd weźmiemy tyle dziewczyn?

– To drobiazg. Już wtedy pieniądź czynił cuda, uczyni i dziś – stwierdził z udawaną powagą Marco. – Jak rozumiem, o ściśle wyznaczonej dacie i godzinie należy rozmieścić wokół sadzawki cztery talizmany. Potem wypełnić sadzawkę niepsującą się wodą z fontanny i wykąpać z siedmioma parami spółkujących kochanków.

– Dobrze to ująłeś – przytaknął Federico.

– I w tym celu szukamy talizmanów Apoloniusza? – Upewnił się Marco.

Federico uniósł obie ręce.

– Myślisz, że w moim wieku uganiałbym się za bogactwem?

– A co z ratowaniem fortuny naszej rodziny?

– Ossoliński wykonał swoje talizmany ze złota i szlachetnych kamieni. To wierne kopie oryginałów. Ale pelikan jest, moim zdaniem, prawdziwy.

Marco zastanowił się przez chwilę.

– Gdy wuj już się wykąpie, zajmiemy się ich sprzedażą?

Odpowiedzią był potakujący ruch głowy.

– Brawo! – wykrzyknął Giovanni. – Ja też będę mógł się wykąpać? – zaniepokoił się.

– A ty po co? – zapytał z przekąsem Marco. – Chcesz skończyć jako osesek?

Giovanni wykrzywił twarz.

– Nie pomyślałeś, że wyleczy mnie to z alergii?

– I da talent do rozmówienia w sobie kobiet – odpowiedział Federico.

– Właśnie! – Ucieszył się Giovanni. – Sam wleziesz, kiedy znajdziemy tę fontannę – powiedział do Marca.

Marco patrzył na wuja i kuzyna w milczeniu. Postanowił nie wdawać się w dalszą dyskusję.

– Czy notatka Ossolińskiego nie jest jednocześnie wskazówką astronomiczną, jak znaleźć talizmany? – zapytał.

– Oczywiście, że jest – zgodził się Federico. – Tak działają najlepsze kody renesansu. Słabo wtajemniczeni poznają wyłącznie pierwsze ich znaczenia. Dalej idą tylko ci, dla których został stworzony kod.

– Czyli my! – zawołał Giovanni. – Ruszajmy, na co czekamy? – dodał

rozgorączkowany.

Marco się podniósł.

– Jeśli to wszystko, chciałbym teraz pojechać na spotkanie.

Federico skinął głową na znak zgody.

– Zaproś ją do fontanny! – rzucił za kuzynem Giovanni. – Chyba że już pozbawiłeś ją dziewictwa!

Iza wciąż biegła w stronę odległego o pół kilometra motelu w Ujeździe.

Wichura spiętrzyła czarny wał obłoków i przycichła. Świat zamarł w oczekiwaniu, znieruchomiłe drzewa skupiały siły do odparcia uderzenia. Ciemna opończa chmur zniżyła się powoli, ogarniając miasteczko złowrogim półmrokiem. A potem wysłała kilka ciężkich, ostrzegawczych kropli deszczu.

Szaleństwo rozpętało się znienacka. Niebo pękło na pół i uderzyło w ziemię falą wody, ognia i wiatru. Iza miała wrażenie, że odfrunie i utopi się jednocześnie. Oślepiiona błyskawicami i ogłuszona hukami, pędziła pustą ulicą, której asfalt zagotował się wściekle pod uderzeniami ulewy. Za zasłoną z wody domy i drzewa przestały istnieć.

Ogłuszający hałas i oślepiające światło błyskawicy, która uderzyła w drzewo, sprawiły, że Iza stanęła jak wryta. Przed zalanymi wodą oczami zamajaczył płonący kształt i na asfalt runęło olbrzymie, ogarnięte płomieniami drzewo. Najwyższe cienkie gałązki smagnęły dziewczynę boleśnie po nogach. Niezdolna do ruchu patrzyła rozszerzonymi z lęku oczami na ogień, szybko zduszony przez ulewę.

Gdybym się nie zatrzymała..., przemknęło jej przez głowę.

Leżałaby teraz rozciągnięta na asfalcie, pod osmalonym ogniem pniem.

Szerokim łukiem ominęła powalonego olbrzymia i ruszyła znowu pędem. Po paru metrach zwolniła i nagle roześmiała się na cały głos. Nie było sensu biec; była tak przemoczona, jakby właśnie wyszła z basenu. Wyprostowała się i spokojnie pomaszzerowała w stronę majaczącego w półmroku neonu, który oznajmiał, że pomimo ataku natury cywilizacja wciąż trwa niezłomnie.

Zza okien parterowego budynku obserwowały ją zdumione ludzkie twarze. Idąca z kamiennym spokojem wśród nawałnicy dziewczyna musiała sprawiać wrażenie chorej umysłowo.

Rozbawiona tą myślą Iza weszła na stopnie wiodące pod daszek nad drzwiami. Kątem oka zauważyła wylaniającego się zza ściany deszczu znajomego jaguara. W pierwszym odruchu chciała podbiec, ale powstrzymała się i wkroczyła do hallu. Marco musi odpokutować, że po mnie nie przyjechał!, pomyślała buńczucznie. Z jego winy omal nie zginęłam!

Kilkoro motelowych gości patrzyło na nią ze współczuciem, gdy ociekając wodą, podeszła do recepcji. Otyła blondynka po trzydziestce zmierzyła ją spojrzeniem pozbawionym sympatii.

– Czy jest wolny pokój dwuosobowy?

– Dowód osobisty – zażądała recepcjonistka.

Iza zmieszała się nieco.

- Czy to konieczne?
- Przestrzegamy regulaminu.

Od drzwi dobiegły kroki. Przy Izie zatrzymał się Marco, położył na blacie włoski paszport.

- Jesteśmy razem – powiedział z uśmiechem.
- Recepcjonistka nie zamierzała dać za wygraną. Uniosła brwi z dezaprobatą.
- Razem? Państwo są rodzeństwem?
- Marco sięgnął w zanadrze kurtki.
- Przyjaciółmi – odparł.
 - Ta pani... – Palec recepcjonistki wycelował w pierś Izy. – ...jest niepełnoletnia.

W naszym hotelu...

Przerwała w pół zdania na widok banknotu o nominale stu euro, który Marco wsunął pod hotelowy folder.

- Z widokiem na park poprosimy – rzuciła z uśmiechem Iza.

Marco wziął klucz, podniósł torbę i odwrócił się w stronę schodów. Iza ruszyła przodem, świadoma taksujących spojrzeń kilkunastu par oczu. Ich przejściu przez hall towarzyszyły grzmoty i światła błyskawic.

Na pierwszym piętrze Iza odwróciła się, aby powiedzieć, co myśli o wystawieniu jej na pastwę burzy, ale Marco zamknął jej usta pocałunkiem. Próbowwała stawić opór, lecz ciało nie zamierzało słuchać. Poczowała falę gorąca, zapomniała, że jest przemoczona. Wreszcie zrobiła krok do tyłu i ruszyła korytarzem, sprawdzając numery pokojów.

Zatrzymała się przed numerem 10, przekreśliła klucz w zamku, weszła do środka. Nie zatrzymując się, zrzuciła z siebie mokre ubranie i bieliznę, naga wyciągnęła się na łóżku.

Marco zatrzymał się w progu z oszołomioną miną.

- Sprawdź, co jest w środku – zaproponowała.
- Gdzie? – zapytał zdezorientowany, po czym przypomniał sobie o torbie.

Otworzył ją i na moment zapomniał o dziewczynie. Z wnętrza zaświeciły mosiądzem i polerowanym drewnem astronomiczne torquetum, astrolabium i libella. Spomiędzy nich wystawały dwa sztychy z planem Krzyżtoporu.

– Skąd to masz? – zapytał, wyciągając okrągłą tarczę złotego astrolabium ze znakami planet.

– Najpierw zajmiesz się mną – oświadczyła Iza i przeciągnęła się na łóżku jak wielki kot.

Ewę obudziło natrętne i głośnie pukanie do drzwi. Oprzytomniała błyskawicznie, trąciła śpiącego Adama w ramię i zwinęła się pod kołdrą. Zanim zdążył zareagować, do pokoju energicznym krokiem wkroczyła Zenia z zastawioną śniadaniem tacą w rękach.

- Dzień dobry pani – powiedział Adam przyjaźnie.
- Nie taki dobry – oświadczyła gosposia. Hałasując, postawiła tacę na stole. –

Pogoda pod psem! Cały dzień będzie padać.

Rzuciła gościowi ciężkie spojrzenie, ostentacyjnie pozbierała porzrzuconą

garderobę, odsunęła zasłony i wyciągnęła spod łóżka pustą butelkę po winie. Ewa, wyrzucając sobie tchórzostwo i głupotę, starała się nie oddychać.

Zenia zatrzymała się w progu.

– Panienska Iza nie wróciła na noc – powiedziała przesadnie głośno. – Nie do pomyślenia za moich czasów! Siedemnastoletnie dziewczyny nie włóczyły się po nocach nie wiadomo gdzie. Albo mówiono o takich, za przeproszeniem, dziwki.

Ewidencje czekała na reakcję Ewy.

– Izabella zaraz kończy osiemnaście i... – zaczął Adam.

– Za życia pani Zofii takie rzeczy nie działały się w tym domu! – przerwała mu gosposia. – Każdy znał swoje miejsce, głupoty nie przechodziły. A pan mecenas to na pewno się rozwodzi? – zapytała zniecierpliwiona.

Ewa zatkała usta dłonią, żeby nie parsknąć śmiechem.

Adam oniemiał z wrażenia.

– Tak, pani Zeniu – wykrztusił wreszcie. – Sprawa jest w sądzie.

– W sądzie to każdy gada, co chce! – parsknęła lekceważąco gosposia. – Pytam się, jak jest w pana sercu.

– Rozwodzę się – potwierdził.

– To trzeba mówić jak człowiek! – zakończyła Zenia i zamknęła za sobą drzwi.

Ewa odczekała, aż na schodach ucichną kroki i ostrożnie wysunęła głowę.

– Ale masz minę! – Spojrzała na Adama z uśmiechem.

– Wiedziała, że tu jesteś – odparł, wciąż w lekkim szoku.

Ewa pocałowała go w usta, potem usiadła, oparła się o poduszkę i gestem pokazała, aby postawił przed nią tacę ze śniadaniem. Adam spojrział na okno i drzwi balkonowe.

– Zła wiadomość – oznajmił.

– Co się stało?

– Pogoda.

Szare chmury zdawały się dotykać konarów dębów. Drobną mżawką osiadała mgiełka na szybach.

– O cholera! – Zmartwiła się Ewa.

– Dziewiąty maja. Jutro pełnia.

– Jeśli nie zobaczymy planet i Księżyca...

– ...poczekamy sto lat.

Ewa odrzuciła kołdrę i naga podeszła do otwartego okna. Wyrzała na zewnątrz. Zobaczyła Stanisława, który pracował pośrodku klombu, z grabiami, łopata i taczka sprzątajac polamane gałęzie i liści. Ukryła się za zasłoną i spojrzała na niebo.

– Niedobrze. Ani kawałka bez chmur – powiedziała, wracając do łóżka. – Co zrobimy?

Adam rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia. Ja pojedę do Kasi, potem przejrzę księgi twoich działek na sprzedaż.

– Dla naszej fundacji?

– Tak. I napiszę nowy pozew rozwodowy. Miałem nadzieję, że porozumiem się z Karoliną, ale to niemożliwe. Wrócę wieczorem.

Ewa z westchnieniem nalała gorącej kawy do dwóch filiżanek, dodała mleka ze srebrnego dzbanuszka. Sięgnęła łyżeczką do cukiernicy.

– Nie pamiętam, ile słodzisz. – Zatrzymała się w pół ruchu.

– Jedną – odparł. – A ty dwie.

– Szybko się uczysz – pochwaliła. – Jeśli talizmany chcą być znalezione, do wieczora zrobi się piękna pogoda – dodała z przekonaniem.

– To nie Arka Przymierza. – Uśmiechnął się Adam.

– Od odejścia Zofii nic nie dzieje się przypadkiem – ciągnęła Ewa. – Śniła mi się w nocy... Powiedziała, żebym nie patrzyła wyłącznie na złoto i klejnoty, a domyśliła się prawdziwego przeznaczenia talizmanów.

– Ochrona Bizancjum?

– Nie jestem pewna. Chyba miała na myśli coś ważnego dla mnie. Pomyślę o tym dzisiaj, poczytam. Powiem ci, kiedy na coś wpadnę.

Szara mżawka zanurzała stary dom i otaczające go lipy w nierealnym świetle. W mocno oświetlonym saloniku Federico oglądał sztychy i instrumentarium, które Marco położył na stole.

– Torquetum, libella i astrolabium – szeptał, dotykając kolejno lśniącego mosiądzu i polerowanego drewna. – Mają z pięćset lat...

– Ten kłamca Podrecki miał je od pierwszego dnia – powiedział Marco.

Giovanni z nabożnym skupieniem położył dłoń na jednym ze sztychów.

– To plan Krzyżtoporu? – zapytał. – To oznacza, że mamy już wszystko?

– Niestety. Wciąż nie znamy daty – odparł Federico.

– Dziesiąty maja, czyli jutro – rzucił Marco.

Wuj spojrzał na niego z ożywieniem.

– Skąd wiesz?

– Od Izabelli. Przyjaciel Ewy zna się trochę na astrologii i astronomii. Dokonał wyliczeń horoskopu na podstawie notatki Ossolińskiego.

W głosie Federica pojawiła się nuta zawiści.

– Ja też się znam. I wyszły mi cztery różne daty. Księżyc, Wenus i Mars zanurzają się w wodzie cztery razy w roku...

– W jaki sposób? – zapytał Giovanni. – Dziesiątego maja też?

Federico zignorował jego pytanie.

– Twoja dziewczyna na pewno się nie pomyliła? – zwrócił się do Marca.

– Myślę, że nie.

– Wykradła instrumenty, przekazała nam datę... – Zamyślił się Federico.

– Nie nam, tylko Marcowi – sprostował Giovanni z uśmiechem.

Stary Włoch spojrzał na niego zirytowany.

– Przystaniesz, z łaski swojej, wtrącać głupie pytania i uwagi?

– Przepraszam, wuju – mruknął pokornie Giovanni. – Ale co nam szkodzi spróbować jutro?

– Dziś o północy – poprawił go Marco.

Federico wciąż był nieprzekonany.

– Dlaczego Izabella chce, żebyśmy odnaleźli talizmany?

– Wierzy, że dokonać tego mogą dwie połówki duszy. Jak pisze Ossoliński. I że my jesteśmy tymi połówkami.

– Anima i animus. To ma sens – przyznał Federico. – Chciałbym ją poznać.

Marco pokręcił głową.

– To nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego? – Nie wytrzymał Giovanni. – Dziewczyna chce, abyśmy podzielili się łupem, niech się zachowa jak współniczka!

– Łupem? – zdziwił się Marco. – Całkiem niedawno mówiłeś innym językiem. Poczujesz się lepiej i zapomniawsz o cudownej mocy talizmanów?

– O niczym nie zapomniałem! – zaprotestował Giovanni. – Ale faktem jest, że talizmany są ze złota i...

– Wystarczy! Przestańcie obaj! – zażądał stanowczo Federico. – Dlaczego uważasz, że to zły pomysł?

– Izabella ma do mnie zaufanie. Umówiliśmy się, że do skarbu dotrzemy we dwoje. Stary Włoch pokiwał głową.

– Znakomicie! – prychnął. – A mogę dowiedzieć się, jak zamierzacie tego dokonać?

Obaj z Giovannim patrzyli pytająco na Marca. On zawahał się.

– Położę szkic na Abraksasie, który znajduje się na dziedzińcu – zaczął ostrożnie, dobierając słowa. – Libella pomoże ustalić poziom. Torquetum i astrolabium skieruję na Wenus, Merkurego i Marsa.

– Dobrze – rzucił Federico tonem nauczyciela, który wie, że ucznia czeka nieuchronna kompromitacja. – I co dalej?

Marco zastanowił się.

– Trzy planety wyznaczają trzy punkty na planie pałacu – ciągnął. – Poprowadzę trzy linie. W ich przecięciu powinno znajdować się wejście do podziemi.

Giovanni był pod wrażeniem.

– A co z Księżycem, drogi bratanku? – zapytał z przekąsem Federico.

– Nie mam pojęcia...

– Ale chcesz tego dokonać z Izabellą? Dwie połówki duszy mogą oznaczać jedną kompletną głupotę. A nawet jeśli cudem natraficie na podziemia, jak pokonacie labirynt?

Marco nie zamierzał się poddawać.

– Poszukam symboli prawdy – odparł bez przekonania. – Na przykład piramidy z okiem opatrności. Mówiliśmy też o smoku z *Hypnerotomachii*.

– A „centuria pierwsza, centuria czwarta, trzydzieści i trzy”?

Marco rozłożył ręce.

– Centuria pierwsza... – zaczął powoli Federico. – „Studiując nocą potajemnie, milczący pustelnik zasiadłszy na mosiężnym trójnogu: słaby płomyk pośród samotnej nocy zdaje się odsłaniać to, w co nikt nie powinien wątpić”.

– Nostradamus! – zawołał Marco.

– Brawo. Zaczynasz myśleć. Centuria czwarta, wers trzydziesty trzeci. „Jupiter

bardziej związany z Wenus niż z Księżycem, który lśni swym pełnym blaskiem. Wenus niewidoczna pod światłem Księżyca. Neptun, który potężną lancą trafiony zostanie przez Marsa”.

– Przepowiednia Nostradamusa? – Upewnił się Giovanni.

Federico odwrócił się do niego z uśmiechem.

– Owszem. Stary złowrogi Nostradamus! Lekarz, matematyk, astrolog i okultysta. Genialny Żyd, który wieszczy ludzkości nieustanne katastrofy i wojny.

– Co wynika z tego dla nas? – Nie przestawał pytać Giovanni.

– „Mosiężny trójnóg zdaje się odsłaniać to, w co nikt nie powinien wątpić” – ciągnął Federico. – Po co Ossoliński odwołał się do tej centurii?

– Wskazał miejsce, gdzie należy ustawić mosiężny trójnóg! – Domyślił się Marco. – Świetnie.

– A luneta ustawiona na trójnogu wskaże Księżyc.

– I...? – Federico zawiesił głos.

– Wenus o tej porze zniknie za poświatą Księżyca...

– ...a Neptun trafiony lancą Marsa – dokończył Giovanni.

Federico zrobił miejsce na stole, wyciągnął z szuflady czystą kartkę i długopis, narysował trzy przecinające się trójkąty. Wyznaczył ich wspólny środek, ułożył kartkę na sztychu, przebił ją długopisem. Na planie pałacu pojawił się czarny punkcik.

– Tak to będzie wyglądać – oświadczył. – Jeśli przyjaciel Ewy nie pomylił się w obliczeniach, dziś w nocy wyznaczymy wejście do podziemi i odnajdziemy talizmany Apoloniusza.

Zapadła cisza. Marco i Giovanni trwali zapatrzeni w plan Krzyżtoporu.

– Pójdiesz tam sam z Izabellą – powiedział Federico.

– Dlaczego? – zaprotestował Giovanni. – Przecież wuj mówił, że...

– Uszanujemy wolę i tajemną wiedzę brata masona Ossolińskiego – uciął zdecydowanie senior rodu Farnese.

Giovanni nie zamierzał się poddawać.

– We dwoje przecież nie wyniosą talizmanów. A co z wywiezieniem ich z Polski?

– Wynajmiemy transport – odparł Marco. – I dobrze opłaconych ludzi.

Federico podszedł do okna, zapatrzył się na szarą zasłonę drobnego deszczu i ciężkie chmury.

– Być może nie będzie nam dane przewyciężyć dzisiaj klątwy cesarza Paleologa – powiedział cicho. – I pozostawimy fontannę i talizmany tam, gdzie zostały ukryte. Aby w przyszłości spełnić mogły swoją misję, uratować nowe Bizancjum.

Giovanni spojrzał zdumiony na wuja.

– Znowu zaczyna szaleć – wyszeptał, nachylając się do kuzyna.

Wieczorna burza, a później nieustająca mżawka pokryły błotnistą mazią drogę i zbocza jaru, nad którym rozpięty był arkadowy most.

Pięć postaci w nieprzemakalnych kurtkach, z plecakami, linami, kilofami i łopatami, ślizgając się w błocie i przeklinając po cichu, opuściło się z krawędzi parowu

do ukrytej pomiędzy krzakami rozpadliny.

Wyprawie przewodził Maurycy Podrecki, za którym podążali Robert i Daria. Jako ostatni zeszli na dół Lusia i podtrzymujący ją troskliwie Zenon. Zatrzymali się skupieni wokół wylotu starej studni, ocembrowanej zmurszałymi ze starości cegłami. Latarka w ręku kustosa oświetliła mętną wodę.

– W życiu tam nie zejść! – oświadczyła Lusia. – Pan chyba zwariował!

Kiedy rano zebrali się w mieszkaniu po Zofii, wykonała telefon do komisariatu i zażądała widzenia z aresztowaną poprzedniego dnia Ewą Modlińską. Dyżurny policjant połączył ją z komisarzem Tomasikiem, który oznajmił, że nikt taki w areszcie nie siedzi.

Lusia wyraziła zdziwienie faktem darowania Modlińskiej posiadania kilograma marihuany. Tomasika zdziwiła jej wiedza na temat zarekwirowanego w dworku narkotyku. Poprosił o wyjaśnienia.

– Głowa potwornie mnie rozboleła! – jęknęła Lusia i zakończyła połączenie.

Przysłuchujący się rozmowie Podrecki pogratulował jej niefortunnego wyznania.

– Czy przyciśnięta wyda pani w ręce policji i mnie? – zapytał.

Awantura, która wybuchła, omal nie storpedowała ekspedycji. Wspólny cel, czyli wizja bogactwa, okazał się jednak ważniejszy od emocji, a po mediacji Zenona zwaśnione strony postanowiły nadal współdziałać. Ewa na wolności stanowiła jednak poważną przeszkodę.

Wykluczono rozwiązanie siłowe, bowiem wtargnięcie do dworku oznaczałoby konfrontację z nieobliczalnymi Zenią i Izą, wspartymi siłą Stanisława.

– Musimy pokonać te trzynaście kilometrów podziemnych korytarzy dzielących Ossolin od Krzyżtoporu – oświadczył wreszcie zrezygnowany Podrecki. – Nie ma innego wyjścia.

Lusia, która doskonale pamiętała jego relację z wizyty w labiryncie, skrzywiła się jak po wypiciu octu.

– Istnieje technika pokonywania labiryntu w kilka osób – ciągnął kustosz. – Modyfikacja metody Ariadny dostosowana do długich dystansów. Należy połączyć się parami żyłką i badać korytarze po kolei, w razie czego wyciągając z matni błądzącego osobnika.

Zapewnił, że spędził całe życie na studiowaniu renesansowych symboli i że jest przygotowany do wyprawy. Pójdzie na jej czele jak Tezeusz, a nić Ariadny być może wcale nie będzie potrzebna.

Po ustaleniu szczegółów planu dokonano zakupu sprzętu, na wypadek konieczności burzenia ścian i pokonywania podziemnych studni.

W samo południe mercedes kombi i mitsubishi van wyjechały z Zamościa. Dwie i pół godziny później oba zaparkowały w pobliżu arkad Ossolina, jedynej pozostałości po wysadzonym zamku Ledóchowskich.

– Niestety, nie znam innej drogi – oświadczył Podrecki po proteście Lusi na krawędzi jaru, jednocześnie rozwijając linę. – Może pani zostać i poczekać na nas. Przypominam jednak, że umówiliśmy się co do podziału zysków. Każdy, kto przyczyni się do znalezienia skarbu, otrzyma równą część. Pozostając tutaj, może pani liczyć co najwyżej na ochłapy.

Lusia wskazała oskarżycielskim gestem na dno studni.

– Nie uprzedził pan, że tam jest woda!

– Bo jej nie było. – Podrecki spokojnie zawiązał węzeł na linie, którą owinął wokół pasa. – Zebrała się po burzy. Na pewno nie jest głęboko.

– To się okaże, gdy pan tam zlezie!

– Niech się mama nie obawia – mruknął Robert. – Przewiążę mamę i opuszczę ostrożnie. Będę się z mamą obchodził jak z porcelanowym słoniem.

– Sam jesteś słoń! Co za porównanie! – obruszyła się Lusia. – No, dawaj tę linę! Co się gapisz?

Wkrótce cała piątka była już na dole. Lusia i Daria jęknęły z obrzydzenia, kiedy zanurzyły się po uda w błotnistej wodzie.

Podrecki wcisnął się w szczelinę w ścianie. Wyjrzał po minucie i skinął na pozostałych.

– Tu jest zupełnie sucho – powiedział zachęcająco. – I znalazłem już pierwszy symbol, zółwia na ziemskiej półkuli. Oznacza siłę, cierpliwość i długie życie. Odwagi, jesteśmy na dobrej drodze!

– Cierpliwość i długie życie? – powtórzył Zenon. – W podziemiach?

– Niechże tato przestanie krakać! – ofuknęła go Daria i odważnie wkroczyła do podziemnego korytarza.

Zielone sylwetki Izy i Marca sprawiały wrażenie zjaw, które wydostały się z podziemi. Oboje klęczeli w pobliżu prawego skrzydła pałacu, pochyleni nad białą plamą. Ustawiali na niej koliste i prostokątne kształty.

Ewa podała noktowizyjną lornetkę Adamowi. A on wskazał na ciemne niebo, które nie zamierzało odsłonić gwiazd ani księżyca.

– Muszą mocno wierzyć w tajemną moc talizmanów – mruknął.

– W przepowiednię Ossolińskiego, w swoją miłość – powiedziała cicho Ewa.

Adam spojrział przez lornetkę.

– A gdzie pozostali dwaj Włosi?

– Może kochanek Izy przekonał ich, aby się nie ujawniali? Żeby jej nie przstraszyć. – Domyśliła się Ewa.

Oboje leżeli na mokrym murze, przy wieży strzegącej bramy Krzyżtoporu. Lornetkę Adam pożyczył od przyjaciela oficera. Czekali, aż Marco dokona pomiarów, które wskażą ukryte wejście do podziemi. Obok leżały dwa plecaki, a w nich latarki, saperki, łom i lina wspinaczkowa.

To nie był łatwy dzień. Ewa przede wszystkim bała się o Izę. Wyobrażnia podsuwała jej obraz uwięzionej i porwanej dziewczyny. Powinnam jej przypilnować, wyrzucała sobie, nie pozwolić na wieczorną ucieczkę.

Uspokoili ją trochę trzy esemesy od bratanicy, choć mogły zostać napisane pod presją porywaczy. Ewa powstrzymywała się, aby nie zadzwonić do komisarza Tomasika i nie poprosić go o pomoc. Potrzebowała obecności Adama, lecz on twierdził, że musi dokończyć sprawę w Zamościu.

Nie potrafiła sobie znaleźć miejsca. Bezproduktywnie spędziła trzy godziny nad kartą z *Hypnerotomachii*, notatkami Ossolińskiego, jego portretem i zdjęciem labiryntu. Nie chciały do niej przemówić, a we wzroku wojewody dostrzegła więcej kpiny niż chęci pomocy.

Prawie nie tknęła obiadu i musiała zapewniać zaniepokojoną gospozię, że czuje się świetnie i nie jest chora z miłości.

Po południu poprosiła Stanisława, aby jej towarzyszył w konnej przejażdżce.

Osiadłali Augustę i Cezara, ruszyli przez łąki w stronę Krzyżtoporu. Dzień był mglisty i choć ustała mżawka, ciemne chmury dokładnie pokrywały niebo. Mokra trawa parowała w nieruchomym powietrzu, po łąkach spacerowały dostojnie bociany. W oddali pasło się stado krów.

Rozdrażniona Ewa przeszła na Auguście z kłusa do galopu, a później w wyciągnięty cwał. Stanisław dotrzymał jej kroku na Cezarze, ale rzucał przy tym zdziwione spojrzenia, Ewa zawsze bowiem dbała o rozgrzanie koni.

Przemknęli wśród zamglonych łąk, wpadli do rzadkiego zagajnika, który zmusił ich do zwolnienia tempa. Minęli kilka domów i dotarli do parkingu przed pałacem. Ewa zeskoczyła z parującej Augusty, rzuciła wodze Stanisławowi. Kupiła bilet i razem z kilkunastoosobową wycieczką, słuchając wysokiego głosu przewodnika, przeszła powoli przez bramę na dziedziniec.

Zaczekała, aż grupa dotrze do głównej części ruin i wycofała się do bocznego skrzydła. Sprawdziła, że jest sama, po czym czubkiem buta zagrzebała w murawie. Jej oczom ukazał się fragment tułowia, z którego wyrastał wąż.

Był tam nadal. Mityczny Abraksas, który towarzyszył Ewie od dzieciństwa i czekał, aż ona dojrzeje do odkrycia tajemnicy. Pięć pierwotnych sił. Duch, Słowo, Opatrzność, Potęga i Mądrość. Dlaczego starożytni zawarli je wszystkie w jednym przerażającym symbolu człowieka-węża?

Ewa pamiętała słowa wielkiego badacza mitów Carla Gustawa Junga. „Oto okropny Abraksas. Jest najgwałtowniejszym ze Stworzeń, w nim Stworzenie napawa się trwogą przed samym sobą. Jest przerażeniem syna wobec matki. Jest miłością syna do matki. Jest zachwytem ziemi i okrucieństwem nieba”.

Nosiła wisiorek z wizerunkiem Abraksasa. Jak pogańska kapłanka, nie przejmowała się złowrogimi znaczeniami. A jeśli to ona miała zostać złożona w ofierze, w jakimś obłądnym następstwie masonskich fascynacji mitami?

Wzdrygnęła się i nasunęła murawę na kamienny relief.

Kiedy szła powoli w stronę bramy, pamięć podsunęła jej zasłyszaną niegdyś myśl: na końcu ewolucji pozostanie na Ziemi wyłącznie jeden człowiek. W jego świadomości zawarte będą wszystkie istnienia, cała historia i doświadczenie ludzkości. Ten absolutnie oświecony będzie trwać w doskonałej jedności z Wszechświatem, z Bogiem. A potem opuści Ziemię, aby połączyć się z innymi podobnymi mu istotami, w niezniszczalnej postaci.

A może Jung się mylił i w postaci Abraksasa zamknięta została wizja ostatniego człowieka?, pomyślała.

Podczas milczącego powrotu do domu pozwoliła Auguście na powolnego stępa,

z podgryzaniem po drodze trawy i gałązek. Nie mniej zdziwiony niż poprzednim szalonym cwałem Stanisław uszanował tę potrzebę wyciszenia. W stajni rozsiodłali i wyczyścili konie; Stanisław został, aby je napoić i nakarmić. Ewa uściskała go serdecznie i podziękowała, że o nic nie pyta.

Czas do przyjazdu Adama spędziła w łóżku, na próżno próbując zasnąć, aby nabrać sił przed nocną wyprawą. Zapadała w krótkie nerwowe drzemki, w których na przemian widziała to porwaną Izę, to siebie zanurzaną w sadzawce z fontanną, otoczoną przez zakapturzone sylwetki z pochodniami i szpadami.

W ostatniej wizji pojawiła się Zofia oparta plecami o bramę Krzyżtoporu. Siedziała i uśmiechała się łagodnie. Lecz kiedy Ewa do niej podeszła, zobaczyła, że jej stryjeczna babka ma zamiast twarzy trupa czaszkę, szczerzącą zęby w przerażającym grymasie.

Przerażona i skutecznie rozbudzona usiadła na łóżku. Wołała stawić czoła nadchodzącej nocy senna niż narażać się na koszmary.

Nie opowiedziała Adamowi o swoich majakach ani o konnej wyprawie do pałacu, która nie była rozsądnym posunięciem, ponieważ Włosi mogli obserwować Krzyżtopór. Po kolacji zasiedli w salonie przed kominkiem, w którym płonął ogień. Niespokojni, oczekiwali nadchodzącej nocy. Nie rozmawiali ani o kodzie Ossolińskiego, ani o talizmanach.

Do pałacu dotarli pół godziny przed północą. W budce przed mostkiem natknęli się na uśpionego chloroformem strażnika.

– To sprawka Włochów – mruknęła Ewa domyślnie.

Przeszli przez bramę i wdrapali się na mur ograniczający dziedziniec. Od razu zobaczyli parę kochanków, zajętych odgrzebywaniem spod murawy reliefu z Abraksasem. Pozostałych przedstawicieli rodu Farnese nie było widać.

Iza i Marco zakończyli rozstawianie instrumentów, usiedli na murawie, niespokojnie zerkając na zachmurzone niebo.

– Jeszcze siedemnaście minut – wyszeptał Adam. – Marnie to wygląda...

Ewa przyłgnęła do niego całym ciałem, zamknęła oczy i zatrzymała myśli. Ogarnęły ją spokój i cisza. Miała wrażenie, że staje się coraz lżejsza, że nie dotyczy jej grawitacja. Że zaraz otworzy ramiona i wzleci ponad ruinami pałacu, ujrzy księżyc i planety, które odsłonią tajemnicę Apoloniusza.

Niech ta chwila trwa do końca życia i przez następne wcielenia, pomyślała. Przez całą wieczność. Dwie połowy duszy odnalazły się po wiekach...

Uśmiechnęła się i uchyliła powieki. Dostrzegła srebrny błysk, potem następne dwa.

– Patrz! – wyszeptała bez tchu.

Nad dwiema wieżami Krzyżtoporu, pomiędzy rozstępującymi się chmurami, błyszczały trzy gwiazdy. Przybywało ich, zapalały się jak za dotknięciem różdżki Wielkiego Maga. Czarne welony chmur zwijały się konwulsyjnie, gnane niewidocznym zachodnim wiatrem.

– Dziewięć minut! – odliczał w napięciu Adam, zerkając na fosforyzującą tarczę zegarka.

Ewa przekreśliła się na brzuch i przytknęła do oczu lornetkę.

Iza i Marco wstali. Poruszeni pokazywali sobie świecące coraz śmieiej gwiazdy.

– Księżycu, pokaż się! – poprosiła Ewa, zapominając o ostrożności.

Jej słowa rozległy się zbyt głośno w ciszy.

Oboje z Adamem przypadli do muru i znieruchomieli, ale tamci dwoje najwyraźniej nie usłyszeli. Ruiny trwały w milczeniu. Ewa przytknęła znów lornetkę do oczu.

Widoczna w noktowizorze zielona sylwetka Izy wciąż wpatrywała się w niebo, Marco klęczał przy planie i instrumentach.

Oślepiąca nagłym blaskiem Ewa zamknęła oczy. Jednocześnie usłyszała szept Adama.

– Jest!

Doskonale okrągła tarcza księżyca wychynęła zza czarnego wału chmur i zawisała nad Krzyżtoporem. Zalane widmowym światłem ruiny zdawały się ożywać i potężnieć. Kamienie i cegły pokryły się srebrnym tynkiem.

Marco położył się przy trójnogu i wycelował lunetę w kierunku jednej z wież. Zamarł w oczekiwaniu. Iza przykucnęła nad planem pałacu z długopisem w dłoni.

Księżyc niemal niezauważalnie wznosił się po po ukośnej trajektorii. Ukrył się do połowy za ścianą pałacu, później rozbłysnął w górnym oknie wieży. Jakby duch z odległej przeszłości zapalił wielką lampę, oznajamiając światu, że powrócił i objął Krzyżtopór we władanie.

– Dwunasta! – szepnął Adam.

Na dole rozległ się tryumfalny okrzyk Marca.

Ewa ponownie spojrzała przez lornetkę.

Na sztychu z planem Krzyżtoporu zobaczyła świecący okrąg, efekt skupienia księżycowego światła w soczewkach lunety.

Iza zaznaczyła pisakiem jego środek, Marco ustawił tam astrolabium. Wycelował je w mieniącą się kolorami Wenus. Położył na nim linijkę, wyznaczając na planie kolejny punkt. Podobnie postąpił z torquetum wymierzonym w Merkurego. Połączył wszystkie trzy punkty w trójkąt, wyznaczył jego środek. Oboje z Izą byli coraz bardziej podekscytowani.

Marco wyciągnął z torby taśmę mierniczą, podał jej koniec dziewczynie i ruszył w kierunku lewego skrzydła pałacu. Iza stanęła przy stalowym paliku wyznaczającym środek dziedzińca. Marco odczytał odległość, powrócił do planu i narysował następny punkt.

– Dobry jest! – wyszeptała Ewa z szacunkiem. Jej głos wibrował podnieceniem.

Marco schował instrumenty do torby i ruszył z Izą do bramy.

Ewa i Adam przypadli do muru po przeciwległej stronie. Zobaczyli dwie sylwetki przebiegające po moście i skręcające w prawo. Światło księżyca rozjaśniało fosę w dole. Marco i dziewczyna pobiegli dalej, skręcili za murem obronnym.

– Za nimi! – rzucił Adam.

Przeszli szybko przez bramę, skręcili w prawo, ostrożnie doszli do końca muru. Do ich uszu dobiegł głuchy odgłos metalu uderzającego o kamień. Adam wysunął się zza rogu, przyłożył lornetkę do oczu, potem oddał ją Ewie.

Jedna z zielonych sylwetek uderzała żelaznym oskardem o podstawę muru, druga

rozglądała się czujnie. Ostatnie uderzenie wywołało słabo słyszalny rumor osuwających się kamieni.

– Znalazł wejście! – szepnęła Ewa.

Adam pociągnął ją do tyłu i położył palec na ustach.

– Poczekajmy.

Dobiegły ich podniecone okrzyki i uciszające szepty. Światło mocnej latarki omiotło trawnik i przygasło.

– Weszli – stwierdził Adam, zerknąwszy zza rogu.

– Szybko! – zawołała Ewa.

Wybiegli oboje zza muru. Latarka Adama wyłowiła z mroku rozkopaną ziemię, czarny otwór u podstawy muru i leżącą obok torbę. Ewa sięgnęła do niej i wyciągnęła sztych z planem Krzyżtoporu.

– Jest!

Na poziomym rzucie pałacu widoczny był niewielki punkcik, miejsce, w którym się znajdowali.

Ewa wyciągnęła z plecaka zwiniętą linę. Adam pochylił się i zajrzał do otworu w murze.

– Nic im nie grozi? – zapytał. – Renesans kochał się w pułapkach.

– Zapadnie i ruchome ściany? – Uśmiechnęła się. – Tylko w Hollywood. Jedyne, co ich czeka, to błędzenie w labiryncie. Trzymaj!

Podadła Adamowi koniec liny i ruszyła w drogę powrotną. Idąc rozwijała linę. Dotarła do rogu murów, zawiązała na linie supeł. Wyznaczyła w ten sposób dokładną odległość od wejścia do podziemi. Zwinęła linę. Przeszli oboje przed bramą pałacu, minęli most i samotny jesion, którego liście srebrzyły się w świetle księżyca.

Adam zatrzymał się na rogu muru, Ewa poszła dalej, rozwijając linę. Zatrzymała się, kiedy dotarła do swojego supła. Tu znajdowało się miejsce symetryczne wobec punktu, który Marco zaznaczył na planie Krzyżtoporu. Jak w odbiciu lustra z sali masonów.

Czując przyśpieszone bicie serca, wyciągnęła z plecaka saperkę, przyklękła pod murem i zaczęła kopać. Adam podszedł do niej.

– Pozwól – powiedział, wyjmując jej z rąk narzędzie. – Jesteś pewna, że to tutaj? Lustrzane odbicie?

Przytaknęła z przekonaniem. Oświetliła latarką odrzuconą kupkę ziemi.

– Kop! – poleciła. – Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego piramida i jednorożec na portrecie Ossolińskiego ustawione są inaczej niż w labiryncie. I na sztychu. Olśniło mnie, kiedy zobaczyłam fresk w sali masonów w Zamościu. Lustro było ulubionym motywem renesansowych artystów. No i Krzyżtopór jest idealnie symetryczny. Stary Farnese, o którym mówiła Iza, nie miał okazji widzieć tego, co ja. Inaczej byłby teraz w tutaj.

– Mam nadzieję, że Włosi nie są równie przebiegli, jak ty, i nie siedzą nam na karku – mruknął Adam, nie przerywając kopania.

Odrzucana ziemia odsłoniła prostokąt z cegieł. Ewa pochyliła się i stuknęła weń kilka razy latarką. Odpowiedział jej głuchy odgłos. Adam chwycił za łom. Wystarczyło kilkanaście ciosów, aby powstał otwór, z którego buchnęło zatęchłe powietrze. Latarka

oświetliła opadający łagodnie wąski korytarz.

– Iza spisała się wspaniale – mruknęła Ewa z napięciem w głosie.

Adam przytaknął bez przekonania. Wieczorem próbował powstrzymać ryzykowną wyprawę dziewczyny, ta jednak oświadczyła, że Marco ją kocha i nie pozwoli skrzywdzić.

Podnieśli swoje plecaki. Adam wbił saperkę w ziemię i owinął na niej koniec liny. Ewa przytuliła się do niego.

– Wyobrażasz sobie? Cztery lata temu Ossoliński i Solon zamurowali to wejście. A teraz ja, prawnuczka Solona, z tobą... Wchodzimy za ich zgodą i przyzwoleniem. Żeby ujawnić światu talizmany Apoloniusza.

– Wolałabyś zwrócić je cesarzowi Bizancjum?

Nie odpowiedziała. Przykucnęła i precyzyjnie się przez otwór w murze. Ostrożnie postawiła stopy na kamiennej posadzce korytarza o niskim stropie. Pochyliła się i zobaczyła wyrytego w kamieniu słonia.

– Słoń, symbol merkuralny, podziemny – powiedziała cicho.

Adam stanął obok.

– Jak w *Hypnerotomachii*.

Ewa przytaknęła i zaświeciła latarką w głąb ciemności. Kamienne ściany z nierównych głazów pochłaniały światło. Kilkanaście metrów dalej korytarz albo skręcał, albo się rozwidlał.

Oboje byli zbyt poruszeni, aby zauważyć, że po ich wejściu do podziemi od rosnącej niedaleko kępy drzew oderwały się sylwetki dwóch mężczyzn. W widmowym świetle księżyca koścista twarz i łysa czaszka starszego mężczyzny sprawiała wrażenie, jakby wychynął z legendy o nawiedzających Krzyżtopór upiorach. Młodszy był wysoki i potężnie zbudowany. Szedł dwa kroki z tyłu, rozglądał się czujnie, gotów zademonstrować swoją siłę.

Ewa odetchnęła głęboko i ruszyła naprzód, oświetlając kamienie pod stopami i trzymając się ściany.

– To labirynt? – zapytał Adam.

– Przekonamy się.

– Mamy czterdzieści metrów liny. Co potem?

– Odczytamy prawidłowo znaki – odparła Ewa.

– Musimy uważać, żeby się nie podusić. Dwutlenek węgla jest cięższy od powietrza, zbiera się na dole, a my idziemy pochyleni.

– Czujesz ten lekki przewiew? Pradziadek zadbał o wentylację. – Uśmiechnęła się Ewa.

Doszli do końca prostego odcinka. Adam rozwijał linę i po cichu liczył kroki. Zatrzymali się przy zakręcie korytarza w prawo. Strop w odnodze był nieco wyższy, więc Ewa z ulgą wyprostowała plecy. Adam nadal musiał stać pochyłony.

Światło latarki wydobyło z mroku kolejny znak na ścianie. Nagą parę obejmującą się na rydwanie zaprzężonym w dwójkę koni.

– Gdyby stał na nim król, byłby to znak z tarota – powiedziała Ewa. – W prostym położeniu oznacza dążenie do celu i sukces. W odwrotnym katastrofę.

– A ta para co oznacza?

– Nie jestem pewna. W indyjskich świętych księgach, *Upaniszadach* i *Mahabharacie*, rydwan jest metaforą człowieka, który potrafi utrzymać zmysły pod kontrolą umysłu. Jak konie powstrzymywane cugłami przez woźnicę. To się powtarza w buddyzmie i w jednym z dzieł Platona.

– A tutaj?

– Być może to wskazówka, aby powstrzymać się od chciwości i żądzy bogactwa. Para na rydwanie ma sens, jeśli poważnie potraktować ideę kochanków, którzy mają rozwikłać tajemnicę...

Ewa ruszyła dalej, Adam szedł za nią, rozwijając linę i licząc kroki. Ściany były wilgotne i gdzieś tam porośnięte cienkim mchem. Dotarli do następnego zakrętu, pod kątem prostym w lewo. Na jasnym granitowym kamieniu dostrzegli znak żółwia.

– Mamy iść wolniej? – Próbował zgadywać Adam.

Ewa pokręciła głową.

– Niekoniecznie. Żółw to symbol wytrwałości.

– Skończyła się lina. A jakoś do tej pory nie zauważyłem labiryntu...

– Myślę, że go nie będzie.

– Jak to?

– Labirynt ma za zadanie zwodzić ludzi, którzy nie potrafią przeniknąć tajemnicy. To ostatnie zabezpieczenie. Ten pod farbą na portrecie Ossolińskiego jest metaforą błądzącego umysłu. Mówiłam ci o tym, prawda?

Adam pokiwał głową z uznaniem.

– Dobra jesteś – stwierdził. – W labiryncie błądzą teraz Iza i Marco?

– Tak sądzę.

– Wydostaną się?

– Jeśli nie, odnajdziemy ich.

Adam skierował latarkę w głąb korytarza. Ujrzeni rozproszone światło oznaczające następny zakręt. Spojrzeli na siebie; ich oczy błyszczały od ekscytacji, twarze były zaczerwienione.

– Korytarz prowadzi wprost do skarbu. – Domyślił się Adam.

– Nie używaj tego określenia – poprosiła Ewa. – Talizmany to znacznie więcej niż złoto i kamienie.

Pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział poważnie.

Ruszyli dalej. Na zakręcie zobaczyli znak jednorożca.

– Jesteśmy coraz bliżej – wyszeptała Ewa. – Pamiętasz? Jest na portrecie i w loży masonów. Jednorożec – mądrość, wspaniałość i siła. Poza tym monarchia absolutna, śmierć, czystość i łagodność.

– MASONI BYLI ZWOLENNIKAMI OŚWIECONEJ MONARCHII ABSOLUTNEJ – zauważył Adam.

– Daj rękę.

Adam chwycił jej dłoń, Ewa zacisnęła ją mocno. Skręcili w korytarz, który okazał się szerszy i wyższy. Ściany i dno wykonane były z gładzonych granitowych głazów, sklepienie wyłożone równymi płytami piaskowca. Zatrzymali się w końcu przed

zamykającą przejście gładką ścianą. Nie było zakrętu ani rozwidlenia. Wysoko pod sklepieniem wyryta była piramida z okiem na szczycie.

– Opatrzność, jedność Wszechświata, stopnie do oświecenia... – przypomniał Adam.

– I koniec naszych marzeń – mruknęła rozczarowana Ewa. – Zakpili sobie z nas.

– Ossoliński z twoim pradziadkiem?

– A któżby inny?

– Może jednak stoimy na progu sali z talizmanami?

Ewa bez przekonania przyjrzała się z bliska granitowym gładom. Palcami dotykała szczelin, próbowała przyciskać w różnych miejscach. Wreszcie usiadła zrezygnowana.

– Spróbuję łomem – zaproponował Adam.

– Najpierw pomyślę. Rozwalenie tej ściany zajęłoby ci kilka dni.

– Mówiłaś, że zapadnie i ruchome ściany zdarzają się wyłącznie w filmach – przypomniał.

– Możemy się wycofać i sprowadzić ekipę zawodowców, ze sprzętem skanującym i maszynami. Podziękują nam. I pochwalą się przed światem.

– A twój profesor Jeliński?

– Nie jest dość mocny, żeby powstrzymać medialną nawałnicę. Jeżeli za ścianą czekają talizmany i fontanna.

– Fontanna?

– W nocy po pogrzebie Zofii ujrzałam we śnie magiczną fontannę. Jak tę z obrazu Cranacha.

– Z wodą życia?

– Brawo! – pochwaliła. – Wchodzili do niej różni ludzie, również chorzy i starzy. Wychodzili zdrowi, odmłodzeni i przepełnieni miłością. Młode dziewczyny i chłopcy obejmowali się i kochali.

Adam usiadł, objął Ewę ramieniem.

– Ty też się w niej wykąpałaś?

Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały poważne.

– Nie uprawiałam seksu – odparła. – Nie było tam ciebie.

– Ja cię odnalazłem bez magii.

– Wszystko jest magią.

– A co dalej z tą fontanną?

– Po znalezieniu karty z *Hypnerotomachii* zaczęłam myśleć i przypominać sobie wykłady z historii sztuki...

– U Jelińskiego, który się w tobie kochał?

– Skąd wiesz?

Adam się roześmiał.

– Patrzy na ciebie jak na marzenie z przeszłości.

– Nie przesadzaj! – rzuciła Ewa z udawaną irytacją i powróciła do przerwane go wątku. – Talizmany chroniły Bizancjum, na pewno wierzone też w ich magię uzdrawiającą. Grecy uważali, że zdrowie ciała połączone jest ze zdrowiem umysłu. Jego wyrazem jest gotowość człowieka do walki i miłości. Greccy i rzymscy bogowie nie

cierpią jak nasz Chrystus. Toczą wojny, mają mnóstwo kochanek i kochanków.

– Talizmany i woda życia? – powątpiewał Adam.

– Dlaczego nie? Po drodze mamy masonów, czyli spadkobierców templariuszy.

A ci z kolei czerpali z tajemnej wiedzy egipskich kapłanów.

– Którzy skupiali się na wiecznym życiu.

– Właśnie.

– Czy to nas przybliży do przejścia przez ścianę?

– Nie mam pojęcia.

Zamikli przytuleni i w ciszy wpatrywali się w granitowe głazy na końcu korytarza.

Federico i Giovanni czekali ma esemesa w jaguarze zaparkowanym kilometr od Krzyżtoporu. Później wysiedli i nie przechodząc przez most, ruszyli wzdłuż murów. W świetle laterek dostrzegli rozkopaną ziemię i zrobiony przez Marca otwór.

Federico przystanął.

– Kiedy odnajdziemy talizmany, chciałbym abyś zachował zimną krew.

– Dobrze, wuju – odpowiedział Giovanni.

Nie próbował jednak ukryć ekscytacji. Zajrzał do podziemnego korytarza. Stary Włoch zmarszczył gniewnie brwi, chwycił bratanka za ramię i odwrócił go do siebie.

– Widziałem idiotów, którym widok złota i drogich kamieni odbierał rozum.

Gotowi byli posunąć się do zbrodni, żeby je zdobyć.

– No nie, wuju. Ja nigdy bym... – zaczął Giovanni.

– Zamknij się i słuchaj! – przerwał mu ostro Federico. – Talizmany są warte więcej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Nawet jeżeli tylko jeden z nich pochodzi z Bizancjum, a pozostałe kazał wykonać Ossoliński. Omamią cię, zobaczysz siebie na szczytach świata. Zapragniesz jak najszybciej wywieźć je i sprzedać.

W oczach Giovanniego była podejrzliwość i upór.

– Wuj mówił coś o jakiejś kąpieli...?

– Nic nie wiesz i nic nie rozumiesz! – uciał Federico. – Zrobisz, co ci każę. A jeśli będziesz próbował się sprzeciwić, użyję mocy talizmanów, aby odebrało ci rozum!

– Co takiego? – Spłoszony Giovanni spojrzał z niedowierzaniem.

Stary Włoch parsknął ironicznie.

– Przekonasz się, czego potrafili dokonać starożytni. Utrata zmysłów to najmniejsza kara. Możesz dostać alergii, która zabija powoli.

Giovanni cofnął się o krok.

– Wuj chyba nie jest szamanem? – zapytał niepewnie.

W świetle latarki ostre rysy i grzywa siwych włosów Federica sprawiały demoniczne wrażenie.

– A jak myślisz, do czego byłem szkolony przez czterdzieści lat?

– Do odnalezienia talizmanów? – wymamrotał Giovanni.

– Do ich użycia, głupcze – wyjaśnił spokojnie jego wuj, oświetlając wejście do podziemi. – Właż! – polecił.

Giovanni ani drgnął.

– Dlaczego ja? – zapytał.

– Bo demony wolą młodsze ciała. Ale ze mną nic ci nie grozi – powiedział uspokajająco Federico. – Pod warunkiem że będziesz posłuszny.

Mamrocząc niewyraźnie pod nosem, Giovanni wsunął się do otworu i stanął na dnie korytarza.

– Ciasno tu – stwierdził z markotną miną.

– Cofnij się, podaj rękę.

Federico usiadł na ziemi i zsunął się obok bratanka. Obaj oświetlili wyłożony kamiennymi płytami korytarz.

– Porządna robota – pochwalił budowniczych stary Farnese, wskazując na jedną ze ścian. – Popatrz tylko. Hermafrodyta.

Wyryty w kamieniu znak przedstawiał człowieka z dwiema głowami, kobiecą i męską, pod jedną koroną.

– No co wuj? Znam paru transwestytów, ale oni nie mają dwóch głów!

Federico skierował światło latarki na twarz bratanka.

– Jesteś geniuszem, Giovanni – sapnął sarkastycznie. – Bardzo się cieszę, że zabrałem cię na tę wyprawę. A nawiasem mówiąc, hermafrodyta symbolizuje współistnienie przeciwieństw. Jak ty i ja. Albo całość pierwszego, doskonałego człowieka. Starożytni Grecy wierzyli, że Hermafroditos był synem Hermesa i Afrodyty tak pięknym, że zakochała się w nim nimfa Salmakis. Nie mogła go jednak uwieść, więc w chwili, gdy wchodził do rzeki, by zażyć kąpieli, zespoliła się z nim w jednym ciele. A Platon w *Uczcie* pisze, że kiedyś istniała trzecia płeć. Istoty będące mężczyznami i kobietami jednocześnie. Same się zapładniały, miały po cztery ręce i nogi oraz dwie głowy.

– Po co wuj mi to opowiada?

– Żeby twój umysł pojął cokolwiek z elementów tajemnicy, której zaraz dotkniemy. Nie możesz stanąć przed talizmanami jako kompletny ignorant. W starożytności ludzie wierzyli, że spojrzenie z bliska w oblicza bóstw to wyłączny przywilej kapłanów. Zwykły śmiertelnik, zrobiwszy to, padłby jak rażony gromem.

– Talizmany to nie bóstwa... – Słabo zaprotestował Giovanni.

– Apoloniusz wyposażył je w boską moc. Idziemy!

Sklepienie pozwalało Federicowi na swobodny marsz, ale Giovanni musiał iść przygarbiony. Dotarli do rozwidlenia, nad którym widniał symbol kobiety z pochodnią skierowaną w prawo. Zauważyli znak wykonany białą kredą.

– Marco właściwie czyta symbole – stwierdził z zadowoleniem Federico i skreślił w zaznaczonej odnogę. – Kobieta z pochodnią to wolność, oświetla też drogę oświecenia. Naszą drogę.

Po kilkudziesięciu krokach obaj przystanęli w miejscu potrójnego rozwidlenia. Na stropie dostrzegli symbol przedstawiający sandały ze skrzydłami, a na ścianie znak Marca, wskazujący na korytarz po lewej.

Federico zamyślił się nad oświetlonym reliefem.

– Hm, sandały Hermesa – mruknął. – Ale dlaczego brak ich właściciela?

– Coś nie tak? – Zaniepokoił się Giovanni.

– Nie jestem pewien. Hermes to bóg podróży, kupców, pasterzy. Ale i złodziei. Dzięki swoim uskrzydłonym sandałom może latać. Nie wolno obdarzać go nadmiernym zaufaniem, bo zdarza mu się kłamać i oszukiwać. Zastanówmy się: Hermes pozostawił sandały, bo w podziemiach nie można fruwać. I poszedł szukać talizmanów na piechotę. Tylko w którą stronę?

– W lewo. – W głosie Giovanniego zabrzmiała pewność. – To strona kłamców i oszustów.

Federico spojrział z uznaniem.

– Dobrze, bratanku – pochwalił. – Twój umysł zaczyna się otwierać. To znaczy, że jesteśmy blisko.

Korytarz był obszerniejszy i staranniej wykończony od tego, którym przyszedli. Po kilkunastu metrach zaczął opadać łagodnie w dół i się rozszerzać. Wieńczyło go okrągłe pomieszczenie o kilkumetrowej średnicy, ze ścianami z białego granitu. Odchodziło od niego sześć odnóg; przy wejściach do nich widniały różne symbole.

Federico oświetlił je kolejno latarką.

– Kupid wypuszczający strzałę o trzech grotach – wymruczał do siebie. – Nic z tego! Słoń? Ciekawie. Piramida, jednorożec, rydwan. Smok! – zawołał podekscytowany. – Jest smok!

Giovanni spojrział ponad ramieniem wuja.

– Co on oznacza?

– Hart ducha, pokonywanie przeciwności, odwagę, wyzwanie – wymienił szybko Federico. – Smok był na karcie z *Hypnerotomachii*. Ten stary lis Ossoliński użył go nieprzypadkiem! Widzisz gdzieś znak Marca?

– Tam. – Giovanni wskazał na wylot jednego z korytarzy, ten ze słońcem.

– Niedobrze. – Zmartwił się Federico. – Pomylił się. Trzeba iść śladem smoka!

– Zadzwonimy?

– Nie sądzę, żeby był tu zasięg. W tym świecie liczą się mądrość, wiedza i intuicja. Ruszamy zatem na spotkanie ze smokiem.

Powiedziawszy to, wszedł w korytarz przed sobą. Giovanni podążył za nim. Po kilkadziesiąt kroków sklepienie zniżyło się, a ściany przybliżyły, zmuszając obu do schylenia się. Pomimo to Federico nie zwalniał tempa.

– O wielka Juno, niezwyczęzona, powołuję Cię na prawo trzech! – mamrotał słowa, które brzmiały jak zaklęcie albo modlitwa. – Co się zgubiło, niechaj wróci do mnie! Niech śmierć mnie nie zwodzi! Oddaj mi siłę miłości!

Giovanni przeżegnał się zabobonnie i splunął pod nogi.

Korytarz zakręcał szerokim łukiem. Federico przyśpieszył, zaczął biec. Mocno przygięty Giovanni nadążał z trudem.

Obaj wpadli z impetem do tej samej okrągłej sali, z której wyruszyli. Jednocześnie w wylocie korytarza naprzeciwko pojawili się Marco i Iza.

Federico zatrzymał się gwałtownie, Giovanni wpadł na niego. Obaj wywrócili się na kamienną posadzkę.

– Co oni tu robią? – zawołała Iza.

Stary Farnese ze złością zepchnął z siebie Giovanniego, zerwał się i rozejrzał

szybko, oświetlając ściany latarką. W snopie światła ukazały się reliefy słonia, Kupida, jednorożca, piramidy, rydwanu i smoka.

– Jasna cholera! – wrzasnął z wściekłością. – Wróciliśmy w to samo miejsce!

– My też – oznajmił Marco.

Iza stanęła przed nim i założyła ręce piersi.

– Oszukałeś mnie i zdradziłeś – powiedziała lodowato.

Marco zrobił skruszoną minę.

– Nie mogłem ich zatrzymać. A zresztą bez wuja i tak nie odnajdziemy talizmanów. To jest Izabella. – Dokonał prezentacji. – Mój wuj, Federico Farnese, i kuzyn Giovanni.

– Bardzo mi miło – powiedział ten drugi, wyraźnie pod wrażeniem urody dziewczyny.

– Mnie wcale – oświadczyła Iza. – Wy dwaj to dwie połówki duszy? – zapytała złośliwie. – Gratuluję!

Federico nie zwrócił na nią uwagi, zajęty oświetlaniem znaków na ścianach.

Marco wskazał na wylot korytarza z symbolem piramidy.

– Pozostał tylko ten. Pozostałe są albo ślepe, albo prowadzą tutaj.

– Opatrzność i Mądrość... – mruknął w zadumie jego wuj.

– Na portrecie Ossolińskiego też jest piramida – wtrącił Giovanni. – I na sztychu z planem Krzyżtoporu.

– Pamiętam! – rzucił rozdrażniony Federico. – Myślałem, że to symbol inicjujący drogę. W końcu po piramidzie człowiek się wspina do oświecenia. Dobrze zatem, niech będzie piramida. – Machnął ręką. – Idź przodem, Marco, z panną Izabellą.

Dziewczyna cofnęła się.

– A kto powiedział, że idę z wami? – zapytała prowokacyjnie.

Giovanni stanął za jej plecami, gotów użyć siły. Federico powstrzymał go gestem.

– Moja droga, potrzebujemy siebie nawzajem – zaczął łagodnym tonem perswazji.

– Beze mnie nie odczytacie wskazówek. Bez ciebie i Marca talizmany mogą nie ujawnić swojej mocy.

Iza rozluźniła się nieco.

– Co chcecie z nimi zrobić? Zamierzacie je ukraść?

Federico rozłożył ręce.

– W jaki sposób? Przecież we trzech ich nie wyniesiemy.

– To po co tu jesteście?

– Żeby odnaleźć jeden z największych skarbów ludzkości. I najpotężniejszych.

Ostatnie zdanie zrobiło wrażenie na Izie.

– Wierzy pan w magiczną moc talizmanów?

Federico przytaknął.

– Maga Apoloniusza nazywano synem Boga, bowiem przywracał zdrowie i wskrzeszał umarłych – powiedział poważnie.

Giovanni poruszył się niespokojnie.

– To przecież bluźnierstwo!

– Twój prosty umysł wszystko miesza i bierze dosłownie. – Skrzywił się stary Farnese. – Ale ty rozumiesz, o czym mówię, prawda? – zwrócił się do dziewczyny.

– Chyba tak...

– To co, idziesz z nami?

– Tak. Ale uprzedzam, że jeśli odnajdziemy talizmany, dam znać Ewie.

– Oczywiście – zgodził się Federico. – W końcu jesteśmy tutaj dzięki jej wiedzy i twojej pomocy.

Zapraszającym gestem wskazał na wejście z symbolem piramidy. Marco wyciągnął dłoń, a Iza po chwili wahania podała mu swoją.

Ruszyli przodem.

Korytarz okazał się dłuższy od poprzednich. Wił się, to opadał, to podnosił. Po kilkudziesięciu metrach granitowe płyty na ścianach zastąpiły nierówne bloki piaskowca. Pod nogami chrzęścił mokry piasek, ze sklepienia kapą woda. Korytarz obniżał się i zwężał. Gdzieniegdzie trzeba się było przeciskać przez wąskie szczeliny.

Szczupła Iza pokonywała przeszkody szybko i pewnie, Federico i Marco musieli podbiegać, żeby dotrzymać jej kroku. Potężnie zbudowany Giovanni męczył się na końcu pochodu.

– Nie podoba mi się tutaj! – oświadczył, gdy z trudem pokonał kolejne zwiężenie.

– Nie narzekaj – rzucił Federico przez ramię. – Droga grzechu jest szeroka i wygodna, do raju wiedzie wąska ścieżka.

Piaskowe podłoże przeszło znienacka w wąskie i strome kamienne schodki, prowadzące w ciemną czeluść.

Iza przystanąła z wahaniem, Marco obok niej. Oboje skierowali w ciemność światło latarek.

Kilkanaście metrów niżej coś błysnęło.

– Co tam jest? – zapytał stary Włoch.

– Podziemny strumień – odparł Marco. – Idę pierwszy.

Ostrożnie zszedł po mokrych i śliskich stopniach i po minucie stał zanurzony po kolana w wodzie.

– W porządku, możecie ruszać – powiedział.

– Wolę zaczekać tutaj – oświadczył Giovanni.

– Opowiemy ci, jak wyglądają złote talizmany – rzuciła kąpiąco Iza.

Odwróciła się i sprawnie zeszła po schodkach. Za nią podążył Federico, na końcu przeklinający pod nosem Giovanni. Marco podał dziewczynie rękę, pomógł jej przejść przez wodę. Gdy stanęli na suchym gruncie, oświetlili ściany i sklepienia.

Znajdowali się w szerokiej na kilkanaście metrów kamiennej grocie, przez którą przepływał strumień. Na jej dnie leżały nieregularne głazy, w ścianach widać było wyloty czterech korytarzy. Giovanni przedostał się przez wodę i stwierdził ponurym głosem:

– Nie ma żadnych symboli.

Federico w milczeniu przyglądał się ścianom i sklepieniu groty.

– Masz jakiś pomysł? – zapytała Iza.

Marco pokręcił przecząco głową.

– Uprzedzam, że dalej nie idę – powiedział Giovanni. – Nie zamierzam błędzić.

– A jak wrócisz? – zapytał Federico.

– Po kredowych znakach.

Marco pokazał pustą dłoń.

– Kreda się skończyła się, zanim was spotkaliśmy – oznajmił.

– No to pięknie! Brawo! – Giovanni usiadł na głazie obok strumienia. – Czekam, co wymyślą genialne głowy!

Odpowiedziało mu milczenie. Federico stał zamyślony pośrodku grotty, nie reagując na pytające spojrzenie Marca. Tylko Iza sprawiała wrażenie spokojnej, a nawet rozbawionej sytuacją. Stary Farnese zauważył jej reakcję.

– Może podzielisz się z nami przyczyną tak doskonałego humoru – zaproponował.

– Mam dobrą orientację – odparła. – Pamiętam, jak wrócić.

Federico podszedł bliżej i zaświecił jej w oczy latarką.

– Nie interesują cię już talizmany?

Iza wytrzymała jego wzrok.

– Bardzo – odparła. – Ale widzę, że nie ma pan pojęcia, co dalej.

Giovanni zrobił ruch w jej stronę, lecz Federico zatrzymał go podniesieniem dłoni.

Nie spuszczał dziewczyny z oka.

– A ty masz pojęcie?

Iza wzruszyła ramionami.

– Przecież bym powiedziała.

Głos Włocha obniżył się. Zabrzmiął groźnie.

– Od początku wiedziałas, że to zła droga.

Iza otworzyła szeroko oczy, z udanym zdziwieniem.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Nieszczerość w jej głosie wyczuł nawet Giovanni. Podszedł i chwycił dziewczynę za ramię.

– Gadaj, dziwko! W co nas wciągnęłaś?

– Au! – Iza skrzywiła się płaczliwie, bezskutecznie próbując uwolnić ramię.

Marco podskoczył do kuzyna, odepchnął go mocno. Giovanni cofnął się chwiejnie, puścił Izę, odzyskał równowagę i skoczył do walki.

– Wystarczy!

Okrzyk Federica zatrzymał Giovanniego. Stary Włoch zwrócił się znowu do dziewczyny.

– Powiesz nam, gdzie popełniliśmy błąd, albo...

– Albo co? – zapytała Iza wyzywająco.

– Albo nigdy stąd nie wyjdiesz – dokończył Federico.

– Wuju... – Zaniepokoił się Marco.

Federico błyskawicznie odwrócił się do niego.

– To nie jest zabawa, Marco! Moje i wasze życie zależy od znalezienia talizmanów! Od czterystu lat szukamy bezskutecznie. Wiesz, ilu ludzi straciło życie na tej drodze. Jeśli mamy wrócić z niczym, ona tu zostanie! Jest z rodu Solonów. Wypełni się klątwa naszego przodka, doży Farnese.

Zapadła cisza.

Poblada Iza ukryła się za plecami ukochanego. Jej usta drżały.

– Nie pozwolisz mnie skrzywdzić, prawda? – zapytała szeptem.

Marco poszukał jej dłoni.

– Powiedz wszystko, co wiesz.

Federico czekał z lodowatym wzrokiem utkwionym w Izę. Giovanni wyglądał jak wielki, gotowy do ataku kot.

– Lustro... – wykrztusiła dziewczyna.

– Co takiego? – warknął stary Włoch. – Głośniej!

– Lustro. Lustro! – powtórzyła ze złością. – Wszystko trzeba odwrócić, jak w lustrzanym odbiciu! Tyle wiem od Ewy!

– Lustro... – powtórzył jak echo Federico. – Jestem głupcem! Piramida i jednorożec po przeciwnych stronach, na portrecie i na sztychu! Lustro! – Spojrzał na Izę. – Dostarczyłaś nam instrumenty i sztychy, abyśmy wyznaczyli wejście. Bo twojej ciotce zabrakło wiedzy. Ale domyśliła się znaczenia lustra, a ty nas zwodziłaś. Twoja nagła miłość to też przedstawienie?

– Nie! – zaprotestowała dziewczyna gwałtownie. – Uwierz mi, proszę! – powiedziała błagalnie do Marca.

Popatrzył na nią z wahaniem.

– Wyszliśmy na głupców? – zapytał Giovanni.

– Tak. Ale nie jest jeszcze za późno. Wracamy!

Federico energicznie przekroczył strumień i wszedł na pierwszy schodek.

– Zabieramy ją? – zapytał Giovanni, wskazując na Izę.

– Tak! I pośpieszcie się!

W głębi jednego z prowadzących do groty korytarzy rozbrzmiały światła, rozległy się głosy.

Stary Farnese przystanął zaskoczony.

Iza puściła się biegiem w stronę otworu korytarza, krzycząc głośno:

– Ewa, Adam! Tu jestem!

Jej sylwetka zamajaczyła na tle światła i nagle zatrzymała się. Federico zawrócił, stanął przy bratankach. Do groty weszli kolejno: Maurycy Podrecki, Robert i Daria. A zaraz po nich pojawili się Lusja i Zenon. Wszyscy byli zmęczeni, brudni i mokrzy. W dłoniach ściskali latarki. Z niedowierzaniem patrzyli na Izę i Włochów.

– Co ty tutaj robisz, do cholery? – zwróciła się Lusja do córki, przysiadając ciężko na jednym z głazów. – I kim są ci faceci?

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, Giovanni skoczył do Maurycego i wymierzył mu potężny cios w twarz. Kustosz wywalił się na plecy z wrzaskiem bólu i chwycił za złamany nos, z którego chlusnęła krew. Wszyscy zamarli, a Lusja oświadczyła ze spokojem:

– Jedna sprawa załatwiona.

Rodzinną wyprawę do podziemi okazała się fatalną w skutkach pomyłką. Początkowo Podrecki z dużą pewnością siebie odczytywał wyryte na ścianach znaki i skręcał w kolejne korytarze. Ale po kilku godzinach, gdy okazało się, że powrócili do miejsca, z którego wyszli, zwątpił w swoją wiedzę i rozeznanie. Zarządził badanie korytarzy metodą Ariadny i Tezeusza, za pomocą wędkarskiej żyłki i wysyłania połączonych par w różnych kierunkach. To doprowadziło do kompletnego chaosu,

plątania się i zrywania żyłek, gubienia w ciemnościach, rozpaczliwego nawoływania o pomoc i kłótni.

Lusia zażądała wreszcie, aby kustosz natychmiast wyprowadził ich z podziemi, lecz to też okazało się niewykonalne. Zbici w jedną gromadę i coraz bardziej przestraszeni szli czarnymi korytarzami, często brodzili w lodowatej wodzie i przeciskali się przez zwężenia. Nie zdarzały się już boczne odnogi i Maurycy przysięgał, iż pokonali labirynt, zbliżają się do Krzyżtoporu i miejsca ukrycia talizmanów. Dodało im to otuchy, ale zmęczenie i głód brały górę nad marzeniami o bogactwie. Światła, które zobaczyli w oddali, uznali za zbawienie. Tym większe było ich zdumienie na widok Izy.

Po boksterskim zajściu zapadła cisza. Wszystkie oczy zwróciły się na Federica, który pochylił się nad krwawiącym kustoszem.

– Znalazłeś talizmany? – zapytał groźnie.

Podrecki pokręcił przecząco głową.

– Jesteś nędznym zdrajcą, wiesz?

– Na moim miejscu postąpiłby pan tak samo – odparł śmiało kustosz.

Federico pochylił głowę jak byk gotowy do szarży.

– Nie porównuj się ze mną. Kim są ci ludzie?

– Rodzina Ewy.

– Po co ich ze sobą ciągniesz?

Podrecki usiadł na ziemi.

– Ktoś musi wynieść talizmany z podziemi – wymamrotał niewyraźnie, kuląc plecy. – Twój goryl złamał mi nos – poskarżył się płacząco.

– Ciesz się, że nie połamał ci rąk i nóg! Zostałbyś tu na zawsze.

Lusia, która odzyskała trochę sił, postanowiła przejąć inicjatywę.

– Pan na pewno jest Włochem, o którym opowiadał nam kustosz – powiedziała, wstając. – Mam nadzieję, że wie pan, jak nas wyciągnąć z tych lochów. Bo ten idiota kompletnie się pogubił.

Federico odwrócił się do niej.

– Niestety, muszą państwo wrócić inną drogą.

– To wykluczone! – Zdenerwowała się Lusia. – Włeczemy się przeszło dziesięć godzin!

– Zamknij się, kobieto – powiedział spokojnie stary Farnese, ale z groźbą w głosie.

Oburzona Lusia otworzyła usta, uprzedził ją jednak Zenon. Zrobił krok w kierunku Włocha.

– Nie pozwolę na chamstwo wobec mojej żony! – powiedział ostro.

Rodzina spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Zenon stał ze ściągniętą twarzą i zaciśniętymi pięściami, jakby wielogodzinna przeprawa obudziła w nim męczyznę, którego istnienia nie podejrzewał. Federico zmierzył go uważnym spojrzeniem i uznał, że nie warto szukać zaczepki. Wskazał na jeden z korytarzy.

– Tam jest wyjście.

– To kłamstwo! – zawołała Iza. – Wszystko, co on mówi, jest kłamstwem!

Federico spojrzał na Giovanniego, a ten ruszył w stronę dziewczyny.

Przed nim wyrósł Zenon, chwycił go za bluzę na piersi.

– Spróbuj dotknąć mojej córki! – zagroził.

Giovanni wykręcił mu rękę błyskawicznym ruchem i popchnął mocno.

Zenon przebiegł kilka chwiejnych kroków, potknął się i przewrócił do strumienia.

Lusia zawyla ze złości i zaatakowała Federica latarką. Giovanni ruszył wujowi na pomoc, ale na jego plecy skoczył Robert. Przewrócili się i zaczęli szarpać, wściekle sapiąc i wymierzając ciosy pięściami. Zenon zerwał się ze strumienia; ociekając wodą rzucił się na pomoc zięciowi. Federico zasłaniał się przed ciosami latarki Lusi, krzyczał coś po włosku. Marco podbiegł do walczących mężczyzn. Bezskutecznie próbował ich rozdzielić.

Grotę wypełniły krzyki i przekleństwa. W świetle latarek migały zacięte ze złości twarze, snopy światła tańczyły po ścianach i sklepieniu. Iza, która wycofała się poza zasięg walczących, patrzyła przez chwilę szeroko otwartymi oczami, a potem zaczęła się śmiać.

Od kamiennych ścian odbił się niespodziewany huk. Wszyscy znieruchomieli, zasłaniając boleśnie podrażnione uszy.

Pośrodku grotki stał Federico z dymiącym pistoletem w dłoni. Przed nim zamarła Lusia z latarką wzniesioną do ciosu.

– Jeśli nie masz pomysłu, może czas wracać? – zaproponował Adam.

– Możesz iść. Ja zostaję – odparła Ewa.

Spędzili już prawie godzinę pod ścianą z granitowych głazów i przez większość czasu milczeli. Ewa kilka razy wstawiała i badała połączenia między głazami. Oglądała również sklepienie i kamienne płyty u podstawy ściany. A potem wracała i ponownie pograżała się w myślach.

– Po co chcesz tu siedzieć? – W głosie Adama zabrzmiało ledwie wyczuwalne zniecierpliwienie. – Nie mamy cienia wskazówki. Znalezliśmy się w ślepych zaułku.

– Zamaskuj wejście do podziemi i przywieź coś do jedzenia – odparła spokojnie Ewa. – I baterie do latarki.

Adam patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Jak długo jeszcze zamierzasz łamać sobie głowę?

– Cóż, buddyjscy mnisi spędzają w górskich grotach parę miesięcy albo lat. Aż osiągną idealny stan umysłu. Będziesz mi dostarczał jedzenie – powiedziała. – Przydałby się też materac i śpiwór.

– Przestań, proszę. Nie jesteś buddyjską mniszką.

– Skąd wiesz?

Adam wstał energicznie.

– Myślisz od godziny i nic nie wymyśliłaś!

– Może mam zbyt niskie IQ? Tacy jak ja potrzebują czasu. Bystrzaki twojego pokroju najwyraźniej kombinują szybciej – powiedziała Ewa zjadliwie.

– Jakiego pokroju?

– Przemądrzałych prawników, którzy wszystko wiedzą lepiej.

W głosach obojga brzmiały powstrzymywane gniewne nuty.

– Trzymaj się swoich historyjek o oświeceniu! Ja mam dość! – oświadczył Adam, po czym odwrócił się i ruszył korytarzem.

– Oświecenie! Czekaj! – zawołała podekscytowana Ewa.

Zerwała się i oświetliła najwyższy gład pośrodku ściany, z reliefem piramidy.

– Pomóż mi!

Adam nie poruszył się.

– Co chcesz zrobić?

– Chodź tu i pomóż!

Adam podszedł z westchnieniem rezygnacji. Ewa ustawiła go plecami do ściany i gestem pokazała, aby zrobił z dłoni podnózek. Wspięła się z latarką w ustach, dotknęła symbolu piramidy obiema rękami.

– Zaprzyj się porządniej! – zażądała przez zaciśnięte zęby.

Adam wysunął do przodu stopy i oparł się plecami ścianę. Ewa zaczęła pchać piramidę, najpierw lekko, potem coraz mocniej. Adam zachwiał się.

– Zostaw to! – stęknął z wysiłkiem.

– Jeszcze trochę!

Gład zgrzytnął i drgnął.

– Idzie! – wrzasnęła Ewa i napała z całej siły.

Adam krzyknął ostrzegawczo. Jego dłonie skoczyły do przodu, stopy Ewy straciły podparcie. Wywróciła się z okrzykiem przestachu, wypuszczając z ust latarkę. Adam próbował ją pochwycić, oboje upadli i z okrzykami bólu potoczyli się po kamiennych płytach. Usiedli oszołomieni. Ewa podniosła jedną z latarek i zaświeciła na ścianę. Wyglądało na to, że gład z piramidą zagłębił się minimalnie.

– Niesamowite... – wyszeptał Adam.

Ewa podniosła się, nie zważając na poobijane kolana i łokcie.

– Jeszcze raz! – zakomenderowała.

Adam posłusznie stanął pod ścianą, zgiął kolana pod kątem prostym. Ewa weszła na jego uda, sięgnęła do gładu. Stękając z wysiłku, popchnęła obiema rękami relief z piramidą. Gład drgnął, ruszył się o kilka centymetrów. Potem nagle przyśpieszył, wpadł w ciemność i potoczył się z hukiem.

Ewa krzyknęła z radości i zeskoczyła na kamienne płyty.

– Działa jak zwornik, ciężarem przyciska pozostałe! – Pokazała na blokujące przejście cztery bloki granitu. – Razem!

Popchnęli następny gład. Przesunął się dość łatwo wzdłuż gładkich krawędzi i jak poprzedni upadł z hukiem po przeciwnej stronie. Oświetlili korytarz latarkami, zobaczyli, że skręca po kilkunastu metrach. Ściany pokryte były reliefami przedstawiającymi mityczne zwierzęta i astrologiczne symbole.

– Cudownie! – Ekscytacja Ewy rosła. – Nasza pierwsza kłótnia otworzyła mi umysł!

– Kocham cię. I przepraszam – powiedział Adam.

– Cicho bądź! Ja ciebie też. A teraz mi pomóż!

Wepchnęli trzy ostatnie gładz do środka i przeszli przez powstałą szczelinę. Ewa

obejrzała znaki na ścianach.

– Fantastyczne... Cała mitologia i astrologia! – zawołała z zachwytem.

Postaci bogów, mitologiczny zwierzynek i tajemne znaki ciągnęły się długimi szeregami w głąb korytarza. Za nim otworzyła się sala o ponaddwudziestometrowej przekątnej. Jej posadzkę i ściany pokrywały płyty czarnego lśniącego marmuru, krzyżowe sklepienie zdobiły zniszczone freski. Tynk z farbą opadał przez wieki na stojącą pośrodku ogromną kamienną misę, którą otaczały posągi wzrostu człowieka.

Naprzeciwko wejścia, na trójgłowych wężach pokrytych łuską, stał pelikan. Po jego lewej stronie orzeł z wężem w szponach, po prawej feniks. Tyłem do wyjścia ustawiony był słoń. O dawnej świetności figur świadczyły wyblakłe czerwone linie zdobiące tułowia i białe, wpatrzone w przybyszów oczy.

– Talizmany – wyszeptała Ewa przez ściśnięte gardło. – Gliniane!

– Brakuje węża z lwią głową – zauważył Adam.

– Pelikan jest w notatce Ossolińskiego.

– Pamiętam.

– Oznacza niezniszczalność...

Ewa powoli podchodziła do każdego z posągów. Oświetlała je latarką, dotykała delikatnie. Szeptała do siebie, jakby była w transie. Adam obejrzał dokładnie posąg słońca.

– Wypalana glina – powiedział. – Jak w terakotowej armii cesarza Chin.

Ewa przykucnęła przy kamiennej misie. Wytarła dłonią jej brzeg.

– Fontanna życia... Jak w moim śnie...

Adam zatrzymał się po przeciwnej stronie misy.

– Jesteś rozczarowana, że nie są ze złota?

– Trochę. A jednocześnie czuję ulgę.

– Bo unikniemy zamieszana na skalę światową?

Ewa przytaknęła skinieniem głowy.

– I tak będzie o tym głośno. Ale Wenecja i Istambuł nie zgłoszą roszczeń.

Zachowując ostrożność, weszła do misy, stanęła pośrodku wyprostowana, położyła palec na ustach i zamknęła oczy. Nie poczuła niczego.

Miała ochotę roześmiać się i jednocześnie była zirytowana swoją głupotą. Czy naprawdę oczekiwała, że talizmany ujawnią swoją moc? Gliniane kopie talizmanów.

Już chciała otworzyć oczy, lecz powstrzymał ją ledwie słyszalny głos, który powiedział: „Zaczekaj”. Poczła delikatną, napływającą ze wszystkich stron falę. To nie był ruch powietrza. Przypląnęła następna i następna fala; były ciepłe i łagodne, ledwie wyczuwalne. Przenikały przez skórę, wypełniały ją i odpływały, zabierają napięcie, lęk i zmęczenie.

Myśli zatrzymały się i rozmyły. Umysł stał się lekki i pusty, zapominał historię Ewy. Znikły przeszłość i przyszłość. Była tylko ta chwila. Oznaczała akceptację i radość.

Ewa stawała się przezroczysta, coraz mniej ważna. Jej ciało i głowę zajmowała ta druga, która towarzyszyła jej od zawsze, choć rzadko była dopuszczana do głosu. Połączyły się teraz w jedność. W Istotę, niezmienną i wieczną, zespoloną z Wszechświatem, który był Świadomością i Miłością.

Znieruchomiła, zadziwiona i zachwycona. Chciała wyrzucić wysoko ręce i zacząć krzyczeć, wstrząsnęły nią bezgłośny śmiech i płacz. Niech ta chwila trwa bez końca. Nie oczekuje niczego, o niczym nie marzy, nie ma żadnych potrzeb. Cisza i spokój, czysta radość istnienia. Kocha cały świat, wszystkich ludzi! To najprostsza rzecz, jaka może się przydarzyć człowiekowi!

Kiedyś w przyszłości ludzkość przebudzi się i ujrzy Prawdę. Znikną lęk, chciwość i gniew. Staniemy się Jednością. Ujrzeli to Budda, Lao Tse i Chrystus. Marzyli o tym Apoloniusz, święty Franciszek, mistrz Ekhart... I wielu, wielu innych. Jest nas coraz więcej, potężnieje wielka fala ludzkiej Nadziei. A ja poświęcę tej Prawdzie całe życie! I moje kolejne wcielenia.

Adam patrzył poruszony na zmieniającą się pod wpływem uczuć twarz Ewy. Kiedy weszła do misy, skierował latarkę na sklepienie, aby jej nie razić. W rozproszonym świetle jej rysy rozjaśniał wewnętrzny blask. Nigdy nie widziałem piękniejszej kobiety, pomyślał. I poprawił się natychmiast: piękniejszego człowieka.

Wszystko, co do tej pory przeżył, nagle wydało się nieważne. Gotów był spędzić z nią resztę życia. Zjawisko, którym stała się Ewa, wymykało się rozumowi, jakby istniało w idealnej, niedostępnej dla śmiertelników sferze.

Poczuł niepokój. Czy spełni jej oczekiwania? Czy nie okaże się zbyt przyziemny, nudny? Przypomniał sobie *Sen Polifila*. Może jak on miał zostać nieszczęśliwym kochankiem, którego idealna ukochana pozostanie nieosiągalna? Dwie dusze, którym nie było dane się połączyć. Odnalezienie glinianych talizmanów jest żartem Apoloniusza?

Ewa powoli uchyliła powieki, obróciła się wokół swojej osi. Zobaczyła jasne oczy wpatrzonych w nią pelikana, Feniksa, słonia i orła. Z uśmiechem wyciągnęła rękę do Adama. On przekroczył próg misy i stanął obok niej.

– To ryzykowne – powiedział z powagą, która maskowała niepokój. – Jeśli odmłodniejemy, wyjdziemy stąd jako dzieci.

– Cicho, przytul mnie.

Otoczył ją ramionami, a ona wtuliła się w niego.

– Dokonałiśmy wielkiej rzeczy – wyszeptała wzruszona.

– Gliniane talizmany to przedstawienie na użytek szpiegów weneckiego doży – domyślił się Adam. – Gdzie zatem mogą być ukryte prawdziwe?

– Nie dowiemy się, ale to nie jest ważne. Nic nie jest ważne.

– Brawo! – powiedział spokojny męski głos.

W progu stał wysoki mężczyzna o pomarszczonej wyrazistej twarzy. Mógł mieć około siedemdziesiątki. Wysoko sklepiona łysa czaszka sprawiała, że w świetle latarek wyglądał jak zjawa. Wszedł do sali, zbliżył się do misy.

– Jestem zaszczycony – powiedział po angielsku z wyraźnym włoskim akcentem.

– Wiedziałem, że mogę na panią liczyć.

Szerokie bary jego młodszego o połowę towarzysza zdawały się wypełniać wylot korytarza. Mężczyzna trzymał w dłoni pistolet z tłumikiem.

Ewa oderwała się od Adama.

– Kim pan jest? – zapytała po angielsku. – I po co ta broń?

– Przybywamy z Wenecji po naszą własność...

– Talizmany pozostaną w Krzyżtoporze – przerwała mu twardym tonem.

Wyszła z misy i stanęła przed mężczyzną, gotowa bronić posągów. Zdziwiło ją, że nie odczuwa lęku. Zupełnie jakby chroniła ją czyjaś niewidzialna wola.

Mężczyzna odsłonił w uśmiechu nienaturalnie białe zęby. Sieć zmarszczek na jego twarzy zbiegła się, tworząc teatralną maskę.

– Złote też? – zapytał od niechcienia.

– O ile je znajdziecie – wtrącił Adam, stając obok Ewy.

Nie spuszczał oczu z barczystego osobnika przesłaniającego wylot korytarza.

– Nie znajdą – powiedziała spokojnie Ewa. – Potrafią tylko szpiegować i kraść.

Łysa czaszka skłoniła się lekko.

– Nie doceniasz nas.

Starszy Włoch podszedł do swojego towarzysza, wyjął mu z rąk latarkę i pistolet. Obszedł misę, zatrzymał się przed feniksem.

– Uprzedzam, że zawiadomiłem o naszych poszukiwaniach policję. – Adam zrobił krok naprzód, zasłonił sobą Ewę.

Kolba pistoletu uderzyła w podstawę feniksa.

– Co pan robi? – zawołała Ewa i nagle zrozumiała, że zna odpowiedź.

Powierzchnia w miejscu uderzenia zapadła się i pokryła rysami pęknięć. Mężczyzna uderzył jeszcze raz. Kawalek gliny wielkości kilkunastu centymetrów spadł na posadzkę. Latarka oświetliła powstały otwór i odblask złota rozjaśnił całą salę.

– Boże... – szepnęła Ewa.

– Do niczego nam się nie przyda – stwierdził starszy Włoch, odwracając się do niej.

– Działają tu potężniejsze moce.

Wycelował pistolet w Adama.

Na jego skinienie barczysty podszedł szybko, chwycił Adama za ramię i z łatwością posadził na brzegu misy. Potem popchnął Ewę, zmusił ją, aby usiadła obok. Postawił na posadzce plecak, wyciągnął z niego linę i wprawnie zaczął ich obwiązywać.

– Nie uda się wam wywieźć talizmanów – powiedziała Ewa.

Jej głos nadal był opanowany, bez lęku. Adam spojrzał na nią zdziwiony jej spokojem.

– To już nie twoje zmartwienie – stwierdził starszy mężczyzna.

Podszedł do pelikana, kilkoma uderzeniami odłupał glinę. Zalśniło złoto, czerwonym blaskiem zapaliły się dwa rubiny wstawione w oczy węża.

Barczysty wepchnął w usta Adama kawałek materiału, obwiązał mu głowę.

– Ostatnia sprawa – powiedziała Ewa. – Sprzedacie talizmany, czy użyjecie ich, jak chciał Apoloniusz?

– A ty jak byś postąpiła?

– Zostawiłabym je tutaj.

Poorana zmarszczkami twarz skrzywiła się z pogardą.

– To byłoby barbarzyństwo.

– Uwolnisz nas po zabraniu talizmanów?

– Żebyście opowiedzieli wszystko policji? Proszę użyć inteligencji!

Barczysty szybko zakneblował Ewę. Jasne się stało, że oboje z Adamem mają tu

zostać na zawsze. Przywiązani do siebie plecami, ciasno owinięci liną, nie mieli szans się uwolnić. Zakneblowani, nie mogąc wezwać pomocy, długo będą konać w ciemnościach.

Młodszy Włoch wyszedł z sali, starszy zatrzymał się w progu, skierował latarkę na Ewę. Jego głos nadal brzmiał spokojnie, lecz przesycony był radością. Włoski akcent nadawał angielskim słowom śpiewne brzmienie.

– W Bizancjum bezczelny śmiałek, który sprofanował talizmany dotknięciem, karany był śmiercią. Do dzieła Apoloniusza mieli prawo zbliżać się wyłącznie kapłani podczas składania ofiar. W trakcie wielkich ceremonii plebs mógł wejść zaledwie na dziedziniec pałacu i święte posągi oglądać z daleka. Złamaliście to prawo, więc zapłacicie życiem. Tak jak zapłacili złodziej Ossoliński i jego syn Baldwin. To klątwa kapłanów sprawiła, że ród Ossolińskich przestał istnieć. Teraz przyszedł czas na was. Nie zabiję was szybko, bo rodzaj śmierci musi odpowiadać winie, spodobać się bogom. W przeciwnym razie, obrażeni, odebraliby talizmanom ich moc. Żegnajcie. Niech was pocieszy myśl, że giniecie jako wybrańcy, którzy dotknęli Prawdy.

Odwrócił się i wyszedł. Po chwili znikł blask latarki, w sali zapadły ciemności.

Ewy nie opuszczał spokój. Dziwny, nienaturalny. Siedziała w bezruchu, próbowała zrozumieć swoje myśli. Nie marzyła o śmierci z głodu i pragnienia, lecz czyż nie było to przejście do innej formy istnienia? Nie, musi otrząsnąć się, zacząć działać. Ma przecież prawo żyć!

Zaparta się nogami o posadzkę i pociągnęła w swoją stronę. W tym samym momencie Adam gwałtownie szarpnął więzami. Stracili równowagę i spadli z misy na posadzkę, boleśnie uderzając bezwładnymi ciałami. Zaczęli znowu ciągnąć w swoje strony i napierać na linę. Znieruchomieli nagle na odgłos zbliżających się kroków.

W sali, poprzedzone światłem latarek, pojawiły się sylwetki kilku mężczyzn. Ich twarze ginęły w mroku, lecz jeden z nich był barczystym Włochem. Mężczyźni bez słowa dźwignęli posąg pelikana i ruszyli do wyjścia.

Po kilku minutach wrócili i wynieśli słońca.

Ewa patrzyła bezsilnie na tę metodyczną, spokojną pracę. Wyglądają jak pracownicy muzeum, wynoszący eksponaty z magazynu na wystawę, przemknęło jej przez głowę.

Ale to nie było muzeum, lecz ukryta w podziemiach sala, w której miała umrzeć powolną śmiercią, spełniając wolę starego psychopaty, zapewne członka chorego odłamu masonskiej loży. Przypomniała sobie nagle Kasię i pożałowała, że wciągnęła w tę historię Adama. Łzy zakręciły się jej w oczach. Pomimo to nadal nie czuła lęku, a zaledwie niepokój i niecierpliwość. Niech wreszcie wyniosą talizmany i pozwolą jej działać!

Czas płynął powoli. Mężczyźni wynieśli feniksa i orła z wężem w szponach. Barczysty osiłek sprawdził więzy i kneble więźniów i znikł. W ciemności rozległo się złowrogie szuranie gładów u wylotu korytarza i zapadła cisza.

Adam ponownie zaczął się szarpać, lecz Ewa zaprotestowała nieartykułowanym dźwiękiem. Potrzebowała czasu do namysłu. Oboje zamarli w bezruchu.

Minęło kilkanaście sekund. W umyśle Ewy pojawił się niewyraźny obraz. Początkowo nie rozumiała, co oznacza. Potem dotarło do niej, że widzi nierówną ostrą krawędź glinianej skorupy. Musiała leżeć niedaleko, na posadzce.

Zaparła się stopami o misę i pociągnęła za sobą Adama. Pomógł jej, odpychając się nogami od posadzki. Przesunęli się o dwa metry w bok. Ewa pociągnęła ich dalej i przejechała plecami po czymś ostrym. Zaciśnęła zęby, żeby nie jęknąć z bólu. Wydała z siebie głos, który oznaczał, że znalazła to, o co jej chodziło. Adam posłusznie znieruchomiał.

Ewa poruszyła głowę w bok. Adam zrozumiał. Nacisnęli na linę i z trudem położyli się na boku. Gliniana skorupa znalazła się pod liną, Ewa mogła jej dotknąć palcami lewej dłoni. Nacisnęła całym ciężarem ciała i zaczęła odpychać się i przyciągać nogami.

Modliła się w duchu, aby skorupa okazała się dość twarda i przecięła linę. Jej nadzieja rozsypała się nagle, wraz ze zgrzytem pękającej na drobne kawałki gliny. Zamarła przestraszona. W następnej chwili przypomniała sobie, że stary Włoch odłupał kawałki dwóch posągów.

Zduszonym przez knebel głosem dała znać, że muszą szukać. Adam pojął jej intencję. Przez kilka minut podrzutami ciał przesuwali się po marmurowej posadzce, bez powodzenia szukając drugiej skorupy. Zatrzymywali się, zdyszani i spoceni, chwyтали oddechy, po czym ruszali dalej.

Zenia zawsze miała czujny sen. Wystarczyło, aby Zofia przywołała ją cichym głosem. Pomimo grubych ścian, Zenia zawsze ją usłyszała w swoim pokoju na końcu korytarza.

Również tym razem obudziła się z wrażeniem, że jest potrzebna.

Pokój wypełniała srebrna poświata księżycy, z gabinetu dochodziły niewyraźne hałasy, jakby starsza pani przeszukiwała bibliotekę lub przesuwawa jakieś przedmioty po podłodze. Zenia powoli przytomniała. Z żalem zdała sobie sprawę, że Zofia nie żyje.

Spędziły razem przeszło dwadzieścia lat, zżyły się jak siostry. Przy czym Zenia miała wrażenie, że to ona jest tą starszą i mądrzejszą, która ma się opiekować młodszą i nierozważną Zofią. Właśnie dlatego przeprowadziła się do dworku, pomimo protestów Stanisława, który wybudował dla nich wygodny domek pod Ujazdem.

Odgłosy z gabinetu nie cichły. Rozbudzona na dobre Zenia dotknęła ramienia śpiącego obok męża.

– Słuchaj! – nakazała.

Przez chwilę nasłuchiwali oboje.

– Myszy – mruknął nieprzytomnie Stanisław i odwrócił się na bok.

– Bzdura! – Zdenerwowała się jego małżonka. – Musiałyby być wielkie jak koty!

Wstawaj i dzwoń na policję! Znowu mamy włamanie!

– A jeśli to Ewa?

Zenia pokręciła głową z powątpiewaniem.

– Ewa ma randkę z mecenasem. Powiedziała, że będzie nie wcześniej niż rano.

Wiesz, jak to jest z młodymi. Bierz telefon i dzwoń! Ja idę sprawdzić.

Stanisław usiadł na łóżku, sięgnął do nocnej lampki.

– Zostaw to! – Powstrzymała go żona. – Niech dranie myślą, że śpimy.

Opuściła stopy na podłogę, po omacku wsunęła je w kapcie, wstała.

– Bądź ostrożna – poprosił Stanisław.

Patrzył z niepokojem na Zenię, która wyciągnęła coś z szafy. Domyślał się, co to było.

– Dzwon, na co czekasz! – usłyszał. – Niech oni się boją!

Podeszła do drzwi, nacisnęła na klamkę i po cichu wysunęła się na korytarz. Nie docierało tutaj światło księżycy, lecz знаła każdy centymetr drogi do gabinetu. Wiedziała, jak ominąć komodę z pościelą i skrzynię z zimowymi ubraniami, które przekładała naftaliną. Posuwała się małymi krokami, niemal bezgłośnie. Jakie to szczęście, że Stanisław rok wcześniej przełożył stare deski!, pomyślała z wdzięcznością. Porządnie nawoskowane nie skrzypią.

Z gabinetu dobiegły niewyraźne głosy, a Zenia zatrzęsała się z oburzenia i gniewu. Nie dość, że raz już okradli dworek, musieli wrócić po resztę łupu? Przyśpieszyła, zdecydowanym ruchem pchnęła drzwi, sięgnęła do wyłącznika. Żyrandol rozbłysnął jaskrawym światłem.

W progu, tuż za plecami żony, wyrósł Stanisław z pogrzebaczem w dłoni.

– Stać i ani mi się ruszyć! – krzyknęła ostro Zenia, mierząc z dubeltówki.

Cztery brudne i mokre postacie obróciły się z przestachem w stronę drzwi. Lusja, Daria i Iza stały na środku gabinetu, w otwartej szafie zamarł wychylony do połowy Zenon. Wyglądali tak nędznie, że zdumiona Zenia opuściła lufę.

– Co wy, do cholery, wyprawiacie? – zapytała spokojniej. – I co panienka robi w tym towarzystwie?

Daria otworzyła usta, ale ubiegła ją Lusja.

– Niech gosposia nie zadaje głupich pytań, a Stanisław nam pomoże! – rzuciła rozkazująco.

Jej głos i ton podziały na Zenię jak smagnięcie batem. Poderwała lufę dubeltówki i zaciskając z gniewu palce, nieopatrznie nacisnęła na spust. Rozległ się przerażający huk, trafiony śrutem żyrandol rozprysnął się. Odłamki kryształu runęły w dół, na głowy Lusi i Darii. Zapadła ciemność, z której dobiegło wycie przerażenia i bólu.

Stanisław przytomnie przegalopował przez gabinet, dopadł lampy na biurku i zapalił światło.

Daria i Lusja leżały na podłodze, obejmując dłońmi głowy. Pomiędzy ich palcami lśniła krew. Iza zdążyła odskoczyć pod ścianę, a Zenon ciężko zwałił się na podłogę.

W szafie pojawiła się twarz Podreckiego ze zniekształconym opuchlizną nosem. Gdzieś z dołu rozległ się zduszony krzyk Roberta:

– Co się tam, kurwa, dzieje? Kto strzelał?

Wystrzałem z pistoletu Federico zmienił sytuację w grocie na korzyść Włochów. Potem zmusił piątkę przestraszonych poszukiwaczy do wybrania jednego z korytarzy i kazał dołączyć do nich Izie. Marco próbował protestować przeciw rozstaniu z dziewczyną, ale Federico był nieubłagany. Od chwili kiedy zrozumiał podstęp dziewczyny oraz swój błąd w kwestii lustra, zaczął się śpieszyć. Wiedział wreszcie, jak odnaleźć talizmany, obawiał się, że Ewa go uprzedzi.

Iza pocałowała Marca na pożegnanie i zapewniła go, że wszystko dobrze się skończy, niedługo się spotkają i nic ich nie rozdzieli. Uradowany Marco zaczął ją przeproszać i błagać o wybaczenie, lecz ona zamknęła mu usta następnym pocałunkiem.

Przeklinając i trzymając się za złamany nos, Podrecki wprowadził swoją grupę w korytarz, na który się zdecydował. Federico, Giovanni i Marco ruszyli po schodkach w drogę powrotną.

Tym razem fałszywemu kustoszowi sprzyjało szczęście. Po krótkim błędzeniu natrafił na znajome znaki na ścianach: jednorożca, hermafrodytę i piramidę, aż wreszcie przy kolejnym rozwidleniu ujrzał dziewczynę z pochodnią. Na jej widok mruknął coś mściwie, po czym zaczął biec. Po kilkunastu minutach wykończeni wędrowcy znaleźli się pod dworkiem.

Lusia i Daria leżały rozciągnięte na podłodze, pojękując cicho. Zenia patrzyła na nie z przestachem. Nie była pewna, czy nie zraniła ich fatalnie. Po chwili, w świetle lampy zapalanej przez Stanisława, zorientowała się, że zostały niegroźnie pokaleczone kryształkami z żyrandola. Widząc to, złamała dubeltówkę, wsunęła w lufę nowy pocisk i zawołała groźnie:

– Leżeć i nie wstawać! A wy tam, wyłazić mi tu! Złodziejska banda!

Zenon posłusznie usiadł na podłodze. Popchnięty od dołu Podrecki wygramolił się z trudem z szafy, a w otworze pojawiła się głowa Roberta. Jęki Lusi i Darii oraz stękania kustosza zagłuszył nagle wybuch śmiechu.

Iza oparła się plecami o ścianę i zanosła się niepowstrzymanym atakiem wesołości. Nic nie było w stanie zagłuszyć jej szczęścia.

Ewa poczuła, że więzy stają się luźniejsze. Z okrzykiem stłumionej przez knebel radości szarpnęła mocniej. Adam pociągnął w swoją stronę. Wreszcie wyplątali się oboje z liny. W całkowitych ciemnościach pozbyli się knebli. Objęli się, zdyszani i szczęśliwi.

– Może zaczekamy, aż odjadą – powiedział cicho Adam.

– Nie ma mowy! Nie oddam im talizmanów!

Ewa ruszyła na czworakach w stronę ściany, po omacku wybierając drogę. Natrafiła na kamienną misę i poczuła powracającą falę spokoju. Przesunęła się wzdłuż krawędzi misy i dotknęła dłonią zimnego marmuru.

– Jestem – wyszeptał za nią Adam.

Wstali i poszli, macając po ścianie, jak ślepcy w kierunku wejścia. Dotarli do przeszkody z granitowych głazów. Adam oparł się o nie plecami, Ewa ostrożnie wspięła się na jego uda. Po ciemku było to trudne i ryzykowne, zawodził zmysł równowagi. Gdyby upadła na posadzkę, nie byłaby w stanie osłonić się przed bezwładnym uderzeniem o kamienne płyty.

Przesunęła dłońmi po ścianie, wymacała połączenia pomiędzy blokami i dotknęła położonego najwyżej, pod stropem. Nie wyczuła najmniejszej nierówności; granit był równo wypolerowany. Miała nadzieję, że budowniczy uskokiem w ścianie nie

zabezpieczył bloku przed wysunięciem od strony sali z talizmanami. Na pewno nie zdołali by go wciągnąć z tej strony. Zza grubych bloków granitu nikt nie usłyszałby ich wołania o pomoc. Wstrzymała oddech i nacisnęła z całej siły. Usłyszała cichy zgrzyt. Poczła wdzięczność i wielką ulgę.

– Idzie! – szepnęła uradowana.

– Dasz radę? – spytał Adam.

– Czeka.

Zapała się mocniej stopami o jego uda i popchnęła. Kiedy przebrzmiały huk i łoskot spadającego bloku, do ich uszu dotarło odległe wycie syren.

– Policja! – zawołał Adam.

– Skąd wiesz?

– Mówiłem przecież, że ich zawiadomiłem!

– Myślałam, że kłamiesz. Żeby zrobić wrażenie na Włochach.

– Zawsze mówię prawdę – oświadczył. – Schodź. Pośpiesz się!

Ewa stanęła na posadzce.

– Po co ściągnąłeś policję? – zapytała.

Adam pchał już następny głaz.

– Talizmany są warte kilka miliardów, to twoje słowa – odparł głosem zmienionym przez wysiłek. – Jak chciałaś je przewieźć? To ryzykowna impreza bez osłony policji.

– Ja bym ich nie ruszyła z miejsca!

– Zrobili to już za ciebie włoscy przyjaciele. Pomóż mi!

Wepchnęli do korytarza ostatnie granitowe bloki. Nadal panowały tu zupełne ciemności. Przeszli przez otwór, ostrożnie minęli zwalone głazy. Trzymając się za ręce i dotykając ścian, ruszyli korytarzem. Pokonali trzy zakręty.

I nagle oboje krzyknęli z radości.

W czarnym otworze przed nimi zaśnił ogromny księżyc. Syreny wyły donośniej, słyhać było okrzyki.

Nie zważając na nierówności posadzki, zaczęli biec. U wylotu korytarza Adam podsadził Ewę, ona wydostała się przez otwór w murze obronnym. Upadła na mokrą rozkopaną ziemię. Odczołgała się i położyła na plecach.

Nad sobą widziała rozgwieżdżone niebo. Oddychała głęboko i spokojnie. Czła radość i wdzięczność. Otrzymała w darze miłość, przebudziła się z długiego snu. Pomyślała o miliardach galaktyk, milionach planet i zamieszkujących je istotach. Być może osiągnęły oświecenie już dawno temu, i to ich wiedzę zamknął w talizmanach wielki Apoloniusz, aby pomogła Ziemianom w dotarciu do Prawdy.

Zobaczyła nad sobą twarz Adama.

– Wygląda na to, że Tomasiak przeszkodził Włochom – powiedział. – Nie jesteś ciekawa?

Spojrzała na niego rozbawiona.

– Komisarz Tomasiak?

– Kilka razy dzwonił i dopytywał się o ciebie. Głupio mu było z powodu historii z marihuaną. Pomyślałem, że najlepiej właśnie jego poprosić o wsparcie. Idziesz?

Syreny radiowozów i okrzyki dobiegały od strony głównej bramy Krzyżtoporu.

Można było rozróżnić polskie i włoskie słowa.

– Dobrze mi tutaj – powiedziała Ewa. – Wiem wszystko, o czym powinnam wiedzieć. Czyli nie wiem nic.

Adam przyklęknął i pocałował ją w usta.

– Mówiłem ci, że jesteś geniuszem?

Pokręciła przecząco głową.

– Kierowała nami wyższa świadomość – odparła. – Od chwili kiedy zajrzałam pod farbę na portrecie Ossolińskiego. Krok po kroku doprowadziła nas tutaj. Talizmany znów będą służyć ludziom. Nadszedł ich czas.

Poruszony Adam bez słowa podał jej rękę, pomógł się podnieść. Ewa przytuliła się do jego ramienia.

Nieśpiesznie poszli w kierunku wyjących syren.